

PRZEGŁĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BÓG JEGO” *Pt. 143.*

ROK LVI

Tom 222

KWIECIEŃ — MAJ — CZERWIEC

1 9 3 9

WARSZAWA
DRUKARNIA „WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW”

~~~~~  
S P I S R Z E C Z Y  
N A K O Ń C U T O M U  
~~~~~

Pius XI, wychowawca ludzkości.

Czasy, które przyjdą, ujrzą i zrozumieją w pełni wielkość duchową Piusa XI. Niemniej już dziś wszyscy ludzie dobrej woli z czcią i głęboką pokorą pochylają swe głowy przed ogromnym autorytetem moralnym Zmarłego. Niemniej już dziś zarówno wyznawcy jak i wrogowie Kościoła zdają sobie wyraźnie sprawę, iż odszedł Mąż, który przez lat 17 swoich rządów nawą Piotrową ostrzegał, karmił, uczył, prowadził całą ludzkość bez różnicy wyznań i ras ku wzniosłemu celowi braterskiego pojednania. Przez lat 17 sterowania Kościołem w obliczu rozpętania się najbardziej złowrogich sił, niszczących kulturę i swobodę moralną jednostek, był on zawsze ofiarnym i nieulekłym, niezłomnym i bezstronnym rzecznikiem praw człowieka, obrońcą ładu i karności, apostołem sprawiedliwości i miłosierdzia, jakim może być tylko człowiek, przejęty do głębi serca boską ideą swego świętego posłannictwa.

Żadna sprawa ludzka nie była mu obca, żadna nędza duszy człowieczej obojętna. Znając doskonale „zagadnienia dręczące i niepokojące nowoczesnego człowieka“, patrząc na przeróżne powikłania społeczne, polityczne, obyczajowe, rodzące chaos życia współczesnego i walkę wszystkich ze wszystkimi, — spokojnie i wytrwale wskazywał środki i drogi wiodące do zwycięstwa sił moralnych i ugruntowania Królestwa Chrystusowego. Byстрыm spojrzeniem, które umiało docierać do istoty rzeczy, ujmował on prawdziwe przyczyny zła współczesnego, i jak lekarz najtroskliwszy rozstaczał swą opiekę nad cierpiącą ludzkością, pracując gorliwie nad jej duchowym odrodzeniem. Pius XI był i pozostanie jednym z największych wychowawców ludzkości.

1. Osobowość Piusa XI.

Nikt nie był tak, jak on, do tej roli przygotowany. Kiedy 6 lutego 1922 r., kardynał Achilles Ratti został obrany papieżem, był on już podówczas mężem 62-letnim, wszechstronnie wykształconym i doświadczonym, zasłużonym wielce w służbie nauki i Kościoła, był pełną i harmonijną osobowością, umiejącą godzić znakomicie potrzeby życia nowoczesnego z głębokimi wymaganiami ducha religijnego. Doceniał on należycie znaczenie kultury fizycznej, technicznej i naukowej dla człowieka, szanował wszelki wysiłek ludzki w służbie cywilizacji i organizacji życia, on sam uprawiał sport, pracował naukowo i rozwijał działalność społeczną, ale wszelkie swoje poczynania uświęcał szczerą troską o wewnętrzne religijne pogłębienie życia tych, z którymi i dla których pracował.

Owa troska o duszę człowieka, o jej moralne w duchu chrześcijańskim udoskonalenie była podstawowym motywem całej jego kapłańskiej działalności. Już dość wcześnie, bo bezpośrednio po uzyskaniu doktoratu teologii, prawa kanonicznego i filozofii (1882) jako profesor seminarium duchownego w Mediolanie, prowadził pracę społeczną i religijną, zakładając związek nauczycielek katolickich i opiekując się kominiarczykami z Tyrolu włoskiego, którzy bezdomni tułali się po Mediolanie. A kiedy jako doktor Ambrosianum (1888) został dyrektorem owej biblioteki publicznej, rozpoczął intensywną pracę naukową, ogłaszając liczne i poważne dzieła, zarówno źródłowe jak i historyczne: *Akta kościoła mediolańskiego*, *Listy papieża Piusa II*, *Kodeks praski*, *Manuskrypt wołfyniański*, *Fragmenty dawnego kodeksu Satyr Juwenala*, *Stosunki polityczne i religijne górnych Włoch*, *Kodeks Petrarcki*, *Przyczynek do historii Eucharystii*, *O manuskrypcie dzieł Wergiliusza*, *Szafka typograficzna w Mediolanie*, *Cysters Benoni i jego dzieła* — oto tytuły prac najważniejszych.

Rozumiejąc znaczenie pracy naukowej, ułatwiał on uczonym korzystanie z zasobów biblioteki, sam wielce dbał o ich pomnożenie, a jak wysoko cenił wyniki nauk ścisłych, wystarczy wspomnieć o mowie, którą wygłosił, z okazji „srebrnych godów” swego kapłaństwa. Z pewnym tryumfem

podkreślał on w niej odkrycia badaczy włoskich w zakresie fizyki i wzywał swych rodaków, by nie zaniedbywali pracy naukowej i nie dali się wyprzedzić nauce niemieckiej. Nawet od kapłanów (w encyklice o kapłaństwie 1933) domagał się, aby

...nie zadowolili się wykształceniem, które dawniej uchodziło za dostateczne, ale zdobywali pełniejszą i rozleglejszą wiedzę w różnych dziedzinach, wiedzę odpowiadającą wspaniałemu i powszechnemu rozwojowi nauk, do którego kosztem nadmiernych wysiłków doszła nowożytna cywilizacja.

Był ks. Ratti również zapalonym zwolennikiem należytej pojętej kultury fizycznej. Wraz z Ferrinim, profesorem prawa rzymskiego w Pawli, a swoim przyjacielem, uprawiał on turystykę alpejską, wdzierając się na takie szczyty, jak Monte Rosa, Matterhorn, Mont Blanc, przy czym odkrywał lepsze wejścia i wawozy; interesował się fauną i florą górską, studiował wyprawy swoich poprzedników, zasłużonych w dziedzinie alpinizmu.

Jak głęboko pojmował on znaczenie sportu górskiego, wystarczy przytoczyć te jego słowa:

...Alpinizm to nie sama gimnastyka mięśni i szukanie zwady z groźną przyrodą, ani popis dla podziwu, ale przede wszystkim jest to czyn ludzki w pełnym znaczeniu tego słowa; w czynie tym uczestniczą wyższe siły ludzkie, by wśród cudów natury z boskimi łączyć się śladami.

Tych śladów boskich wypatrywał on w przyrodzie i w życiu i nimi starał się iść we wszystkich swoich poczynaniach.

Ale ks. Ratti był nie tylko nauczycielem, działaczem społecznym, uczonym, alpinistą; był on także wiernym synem swego narodu, był patriotą włoskim, świadomym, iż „nie sposób jest wyzbyć się swej narodowości”. Toteż wędrując po górach zwracał uwagę, czy jego przewodnik alpejski włada dobrze językiem ojczystym, poprawiał obce nazwy gór, dróg i ścieżek na włoskie i, jak każdy prawdziwy patriota, żywił „radosną i dumną ufność w przyszłość swego narodu”.

Był więc ks. Ratti człowiekiem nowoczesnym o pełnej kulturze duchowej, o należytych zrozumieniu warunków życia współczesnego i jego wymagań, — ale zarazem o głębokiej świadomości religijnej. Duch prawdziwego chrze-

ścijańskiego wychowania wyniesiony z domu i ze szkoły, pogłębiony i utrwalony w życiu, przenikał wszelkie jego myśli i kierował wszelkimi jego pracami. Sport, nauka, czy praca — wszystko miało na celu udoskonalenie wewnętrzne i chwałę Bożą, wszystko służyć miało współdziałaniu z ludźmi w duchu chrześcijańskiej miłości. Toteż, jakkolwiek bolał, kiedy, przypatrując się życiu współczesnemu, widział panoszenie się społecznego i politycznego terroryzmu, ciemnienie człowieka i deptanie godności ludzkiej, szowinizm i bałwochwalczy nacjonalizm, przecież ani na chwilę nie zwątpił w moc ducha ludzkiego, przejętego wiarą w Boga i wierne Bożym przykazaniom. Wierzył on niezachwianie, że siła moralna prawa musi ostatecznie zwyciężyć wszelki gwałt i przemoc, i że jedynie szlachetność i miłość, opromienione łaską wiary, zdołają przywrócić pokój na ziemi i chrześcijańskie pojednanie.

W tym duchu działał też ks. Ratti już w Polsce, najpierw jako wizytator apostolski (1918), wzywając w liście swym arcybiskupów lwowskich na początku r. 1919, by wpłynęli na swych wiernych w kwestii zaprzestania walki i podjęcia rokowań z dobrą i szczerą wolą. W tym duchu pracował także jako nuncjusz (od lipca 1919 r.), przekonany, że Polska wierna chrześcijańskiej tradycji, „nie przestanie jaśnieć siłami moralnymi, których źródłem jest religia”.

Dlatego też, kiedy hordy bolszewickie zagrażały stolicy Polski, nuncjusz Ratti pragnąc dopomóc Polsce do zwycięstwa, nie opuścił Warszawy, ale niewzruszony pozostał na miejscu, wykazując hart ducha i gotowość ofiarną.

I takim niewzruszonym był on zawsze. Niewzruszonym bojownikiem o pokój i sprawiedliwość, bojownikiem i wychowawcą zarazem, wskazującym środki do budowania życia duchowego na ziemi: *Pax Christi in regno Christi*.

2. Program religijno-wychowawczy Piusa XI.

Ale tę swoją wielką misję wychowawczą mógł ks. Ratti rozpocząć w pełni dopiero wówczas, kiedy po krótkich swych rządach jako arcybiskup mediolański, został obrany Namiestnikiem Chrystusowym.

Temu swojemu wielkiemu programowi religijno-wychowawczemu dał wyraz charakterystyczny w dwóch momentach: raz, kiedy, po obraniu go papieżem, zapytany jakie imię obiera, odpowiedział: imię Piusa. „Pius bowiem to imię pokoju, a wszystkich swych wysiłków pragnę użyć do uspokojenia świata”; drugi raz, kiedy po złożeniu przysięgi, chcąc całemu światu błogosławić, po raz pierwszy od lat 76 udzielił swego ojcowskiego błogosławieństwa: *Urbi et orbi* z balkonu zewnętrznego Bazyliki Piotrowej. Był to znak najbardziej widomy, w jakim kierunku pójdzie praca i działalność nowego papieża: Pokój Chrystusowy w królestwie Chrystusowym. Przez wychowanie ludzkości do jej pojednania, do jej zjednoczenia i uspokojenia w oparciu o prawdy objawione przez Boga - Człowieka.

W jaki sposób próbował Piusa XI przeprowadzić ów swój wielki program religijno - wychowawczy? Sytuacja, w jakiej znajdował się świat, a świat katolicki w szczególności, była niezwykle tragiczna. Benedykt XV, będąc papieżem w okresie wojny światowej, u schyłku swego życia patrzył na słabnące coraz bardziej polityczne wpływy Kościoła. Była to istotnie *Ecclesia depopulata*. Klęska i rozpadnięcie się katolickiej monarchii austro - węgierskiej, rosnące wpływy protestantyzmu angielsko - amerykańskiego i laickiej Francji, bankructwo ruchu katolicko - społecznego w Austrii, Hiszpanii i w Niemczech, coraz beczelniej poczynająca sobie masoneria z jednej strony, a propaganda komunistyczna z drugiej, — wszystko to zdawało się grozić całkowitą klęską dotychczasowemu światu, zbudowanemu na podstawach humanistyczno - chrześcijańskich.

Co więcej, nawet na państwa prawdziwie katolickie, jak Belgia, Polska, Węgry, czy Włochy nie mógł Kościół wiele liczyć, bo były one albo wyczerpane i pokonane, albo osłabione i borykające się z wewnętrznymi trudnościami, albo wreszcie utrzymujące zupełnie chłodne stosunki z Watykanem. Trzeba było zatem posiadać niezwykłą moc ducha i wiarę w słuszność sprawy, by w tych warunkach podjąć stanowczą walkę o zwycięstwo idei chrześcijańskiej w świecie.

3. Działalność Piusa XI.

Pius XI nie zawahał się ani na chwilę; rozpoczął zaś swoją pracę od ojcowskiego aktu miłosierdzia. Już w kilka dni po zostaniu papieżem wysłał do Rosji amerykańską misję dobroczynną, a 10/VII 1922 r., ogłosił list do wszystkich biskupów na świecie, wzywając ich, by urządzili zbiórkę na rzecz głodnych mieszkańców Rosji. Sam złożył na ten cel półtrzecia miliona lirów, oraz wydelegował tamże dwunastu mężów apostołskich dla udzielenia pomocy ludności rosyjskiej.

Równocześnie na zjazdach zwycięskich mocarstw, na których rozstrzygały się losy narodów, występował jako rzecznik miłosierdzia i sprawiedliwości i czynił wszystko, by w niczym nie ucierpiała ważność interesów duchowych. Wreszcie w encyklice ogłoszonej tegoż roku (23/XII) zwrócił się po raz pierwszy z ostrzeżeniem do wszystkich państw i narodów, wykazując, że nienawiść wzajemna narodów i ich walki między sobą mają swoje źródło w nieokiełznanymi namiętnościach, zamaskowanych często dobrem publicznym i ojczystym. „Bo nawet miłość ojczyzny i kraju — pisał — jest źródłem niesprawiedliwości i zatargów, gdy przekracza granice prawa i staje się niepohamowaną namiętnością”. Przypominał więc światu, że

...wszystkie narody są częścią wielkiej rodziny ludzkości, związanej węzłem braterstwa, że inne narody mają również prawo do życia i dobrobytu i że nie wolno przenosić korzyści własnej nad prawo sprawiedliwości. Korzyść osiągnięta z krzywdą innych choćby na razie wydawała się znaczna, ani trwała, ani pewną być nie może.

Jeśli na świecie ma zapanować pokój prawdziwy, uspokajający i przenikający umysły, należy wrócić do zasad Chrystusowych i odwiecznego prawa Bożego.

Nawet sprawiedliwość sama jest tu niewystarczająca, bo ona usuwa tylko zniszczenia i krzywdy, owe przeszkody prawdziwego pokoju; źródłem zaś głębokiego pojednania jest tylko miłość. By atoli owej miłości utorować drogę do serca ludzkości należy wyzbyć się materializmu, który zatruwa życie publiczne i rodzinne, należy wrócić do wiary w godność i nieśmiertelność duszy ludzkiej; należy zaufać

Kościółowi. Bo tylko Kościół, tylko odwieczne prawa Boże, mogą zbliżyć do siebie różne warstwy społeczne i przejąć całą ludzkość uczuciem wzajemnego braterstwa, godność człowieka zbliżyć do majestatu Boga, naprawić obyczaje w życiu publicznym i prywatnym, zbudzić sumienia rządzących i poddanych.

Przewidując okiem proroczym bankructwo Ligi Narodów, do której tak wielkie przywiązywano podówczas nadzieje, Pius XI podnosił, że nie masz takiego urządzenia, które by mogło wszystkim narodom narzucić kodeks praw powszechnych, tak jak to się działo w wiekach średnich, kiedy to istniał prawdziwy związek narodów. Narody bowiem muszą wpierv oprzeć prawa swego życia na prawie Bożym, muszą uznać Kościół za swego nauczyciela i przewodnika duchowego, musi najpierw zapanować na świecie pokój Chrystusowy, zanim możliwe będzie współdziałanie i współżycie narodów. Nie znaczy to bynajmniej — wyjaśniał dalej Ojciec św., — by narody miały się wyrzec swojej władzy państwowej, albo ją osłabiać lub pomniejszać, ale chodzi o to, by rządziła ona według odwiecznych praw Bożych, według miłości i sprawiedliwości, by uznawała niezależność Kościoła i nie czyniła trudności jego pracy wychowawczej. Takie były idee przewodnie zawarte w tej pierwszej Encyklice Piusa XI (*Ubi arcano Dei*), które odąd miały stać się wytycznymi całej jego działalności wychowawczej.

Aby poprowadzić ludzkość przez pojednanie ku królestwu Chrystusowemu, Pius XI daje szczerzy wyraz swojej woli pokoju, usiłując pogodzić poróżnione narody, nawołując do przestrzegania praw moralnych, ostrzegając przed niebezpieczeństwem ostatecznej ruiny Europy. Jakkolwiek już jako kardynał w r. 1921 wytykał Niemcom, że „całą ufność położyli w samej tylko sile zbrojnej, myśląc narzucić wszystkim ludziom gorzkie owoce nauki przepojonej materializmem“, to jednak nie pochwalał on zajęcia zagłębia Ruhry przez Francję, a nawet w liście do kardynała Gaspariego (1923) uznał za niesprawiedliwe żądania państw koalicyjnych zbyt wielkich odszkodowań wojennych od Niemiec, zaznaczając, że sprawiedliwość i miłość społeczna

sprzeciwiają się poniekąd, ażeby od przeciwnika żądać więcej, niż mógłby on dać bez narażenia własnych środków i możliwości produkcji. Z tego mogłoby wynikać nie tylko niebezpieczeństwo przewrotów społecznych, ale nowe zadrażnienia, dyszące groźbą jeszcze okropniejszych nieszczęść.

W kilka lat później (1926) potępił Pius XI znowu knowania rojalistów francuskich przeciw państwu i zabronił katolikom należeć do lig monarchicznych, które jak *Action Française* nie uznają Boga, całej naszej racji bytu za ostateczną podwalinę porządku indywidualnego i społecznego.

Wreszcie nie poprzestał na zawarciu konkordatów z szeregiem państw (Polską, Bawarią, Prusami, Łotwą) celem uregulowania w nich spraw kościelnych, ani na utrzymaniu z innymi normalnych stosunków dyplomatycznych, ale wychodząc z założenia, że władza duchowna papieża nie może i nie powinna zależeć od żadnej ludzkiej władzy, ani podlegać obcym prawom, lecz musi być całkowicie i prawdziwie niezależna, zawarł z Włochami 11 lutego r. 1929 traktat polityczny, głośny układ laterański, na podstawie którego uzyskał od rządu włoskiego uznanie suwerenności Stolicy św. w dziedzinie międzynarodowej, zgodnie z jej misją światową, oraz zwierzchności papieskiej wyłącznej i absolutnej na terytorium państwa watykańskiego.

Ten ważny układ, kładący kres zadrażnionym stosunkom z państwem włoskim, będący najbardziej widowym dowodem wysiłków pokojowych Piusa XI, nie tylko przywracał prawa i godność Stolicy św. i dawał swobodę ruchów działalności katolickiej we Włoszech, ale objawiał światu, że ponad wszelką władzą polityczną istnieje prawdziwa moc duchowa, będąca źródłem prawa moralnego, prawd nieomylnych i prawdziwej chrześcijańskiej miłości. W imię tej mocy duchowej zabierał odtąd Pius XI coraz częściej głos w głośnych swoich encyklikach, poruszając w nich wszelkie bolesne sprawy, jątrzące ludzkość, podkopujące ład moralny świata, grożące spaceniem i zatruciem duszy ludzkiej. „Biada — wołał ów wielki wychowawca, — biada światu, jeżeliby losy jego spoczywały tylko w rękach ludzi“.

By przyspieszyć proces odrodzenia się duchowego ludzkości, rozwinął intensywną działalność w czterech kie-

runkach: 1) w ożywianiu ruchu katolickiego i dynamizowaniu życia przez głębokie motywy religijne; 2) w podejmowaniu prób pojednania religijnego z innymi kościołami chrześcijańskimi; 3) w organizowaniu przy pomocy nowych metod pracy misyjnej; 4) w ciągłym i niezmordowanym wykazywaniu podstawowych błędów naturalizmu, socjalizmu, komunizmu, skrajnego nacjonalizmu, a przede wszystkim rozwijaniu pozytywnego programu wychowania katolickiego.

Tak więc, jeśli chodzi o zdynamizowanie życia katolickiego, Pius XI rzuca hasło corocznego odrodzenia obyczajowego w święto Chrystusa, ożywia i wzmacnia siły moralne w formie powszechnego aktu zadośćuczynienia Zbawicielowi za grzechy świata, demokratyzuje i upowszechnia praktykę rekolekcyj zamkniętych; odświeżając wzory dla życia chrześcijańskiego, wynosi na ołtarze szereg nowych świętych; św. Franciszka Salezego czyni patronem pisarzy katolickich; uczonym świata stawia przed oczy wzór św. Tomasza z Akwinu, godzącego naukę z pobożnością, wykształcenie z cnotą, prawdę z miłością. Zakłada instytut Archeologii chrześcijańskiej, ożywia Akademię Nauk, popiera uniwersytety katolickie, opracowuje konstytucję apostolską dla śpiewu i muzyki kościelnej w katedrach, kolegiatach, klasztorach, a przede wszystkim organizuje akcję katolicką, broniąc z jej pomocą „świętych i nie dających się pogwałcić praw duszy do zdobywania dobra duchowego pod przewodnictwem i pod kształcącą działalnością Kościoła”. Ruch ten wzrasta nieustannie i dziś jesteśmy świadkami nowego rozkwitu życia katolickiego w całym świecie.

Pius XI nie poprzestaje atoli na owym przygotowaniu nowych wciąż szeregów do podjęcia walki o cele duchowe w życiu ludzkości; myśl jego sięga znacznie dalej: pragnie on widzieć w ramach Kościoła wszystkich chrześcijan, pragnie przywrócić jedność Kościoła; z jednej więc strony za pośrednictwem kardynała Mercier'a prowadzi nieoficjalne rozmowy z anglikanami, z drugiej stworzony przez Benedykta XV Instytut Wschodni, na nowo organizuje i zwraca się z apelem do biskupów (w encykl. *Rerum Orientalium* 8/9 1928), by tworzyli katedry nauki o wschodzie chrześcijańskim i muzułmańskim przy seminariach, zakłada bibliotekę tegoż

Instytutu i zaleca gromadzenie wszystkiego, co dotyczy krajów, obyczajów, języków i obrzędów na wschodzie z tą jedną wciąż myślą, że zjednoczenie się z Kościołem przyczyni się do potężnego rozkwitu Wschodu na drodze do cywilizacji, jako też w dziedzinie braterstwa.

Wreszcie, podejmując i rozwijając dalej piękną myśl Benedykta XV, kładzie Pius XI silniejszy jeszcze nacisk przy prowadzeniu pracy misyjnej na tworzenie kadr tubylczego duchowieństwa przez zakładanie seminariów dla krajowców.

...My nie tylko życzymy sobie, ale chcemy i nakazujemy, aby wszyscy przełożeni misyj to samo czynili, tak iżby żaden krajowiec, rokujący nadzieję, natchniony i wybrany od Boga, nie był odsunięty od stanu kapłańskiego i pracy apostołskiej.

Zwalczając przekonanie o niższości umysłowej kolorowych chrześcijan, domaga się on zarówno jednakowego ich z białymi traktowania, zniesienia wszelkiego ich upośledzenia, jak okazywania im szacunku i otaczania prawdziwą chrześcijańską miłością.

W tej intencji zaleca opiekowanie się olbrzymią rzeszą maluczkich i ubogich, zakładanie wszelkiego rodzaju placówek miłosierdzia, organizowanie zgromadzeń zakonnych przystosowanych do umysłowości i upodobań krajowców, oraz radzi, aby akcję misyjną unowocześnić i skuteczniejszą uczynić przez korzystanie z doświadczeń naukowych: „albowiem żyjemy w czasach, w których same akty bohaterstwa i poświęcenia nie wystarczają”. W tym celu też urządza w ogrodach watykańskich wielką wystawę misyjną (1925), a przedtem przenosi z Lyonu do Rzymu (1922) centralę Towarzystwa Rozkrzewiania Wiary.

4. Walka z naturalizmem.

Ale, by ocenić w pełni działalność wychowawczą Piusa XI, należy wczytać się w jego wielkie encykliki jak: *O chrześcijańskim wychowaniu młodzieży* (1/XII 1929), *O małżeństwie chrześcijańskim* (31/V 1930), *O odnowieniu ustroju społecznego* (16/V 1931), *O położeniu Kościoła katolickiego w Niemczech* (14/III 1937), wreszcie *O bezbożnym komunizmie* (19/III 1937). Słowa Papieża są w tych orędziach jasne i proste,

jak prosta jest prawda broniąca godności ludzkiej przeciw poniżeniu, wolności ducha przeciw niewoli, ładu moralnego przeciw zagładzie i rozstrojowi. Przyczyn ogromnej deprawacji czasów współczesnych dopatruje się Pius XI w zmaterializowaniu celów życiowych, w indyferentyzmie religijno-obyczajowym oraz szerzącym się i bezkarnie wojującym bezbożnictwem. Wytwarza to wszystko atmosferę publicznego zgorszenia, które zatruiła duszę młodzieży i grozi wielkimi niebezpieczeństwami na przyszłość. Wszystkie te zaś przyczyny sprowadzają się do naturalizmu, który czyni człowieka miarą wszystkich rzeczy i z samej ludzkiej natury chce wywieść i wyłącznie ludzkimi siłami chce przeprowadzić wszelki porządek na ziemi.

Naturalizm głosi bowiem, że wszelka społeczność ludzka jest wytworem wyłącznie naturalnych sił, jest dziełem materii rozwijającej się wedle praw ewolucji i dążącej z nieubłaganą koniecznością wśród nieustannego zmagania się sił do ostatecznego wyrównania: do bezklasowego społeczeństwa. Tego rodzaju pogląd sprowadza za sobą groźne skutki i to pod czworakim względem: w zakresie wychowania, w stosunkach rodzinnych, w dziedzinie społecznej, oraz w rzeczywistości państwowej.

Ogromna deprawacja obyczajów, zamęt społeczny, terror polityczny, wszelki brak poszanowania godności ludzkiej, rosnące coraz bardziej i upadające barbarzyństwo — oto są jawne i widome dla wszystkich objawy naturalistycznych zapastrywań na cele życia. Toteż przeciwko tym wszystkim, którzy stoją na gruncie naturalizmu wychowawczo-społecznego czy politycznego, podkreśla wyraźnie Pius XI, że błędą ci wszyscy, którzy nie chcą uznać przyrodzonej ułomności natury ludzkiej, którzy chcą wszelkie czynności ludzkie wyjąć z pod zależności od Bożego prawa, którzy ośmielają się w błędnym lekceważącym i niebezpiecznym uproszczeniu poddać badaniu, doświadczeniom i niepowołanym sądom naturalnego porządku nawet przejawy porządku nadnaturalnego. Bo do czegoż to prowadzi naturalizm w dziedzinie wychowania? Oto głosi się autonomię i nieograniczoną wolność dziecka, by osłabić powagę i działanie wychowawcy. Przypisuje się dziecku wyłączny prymat inicja-

tywy w zakresie swojego wychowania, uprawia się tzw. seksualne wychowanie, wprowadza się koedukację, wreszcie próbuje się ustalić jakiś powszechny kodeks moralny wychowania jak gdyby nie istniał ani dekalog ani prawo ewangeliczne, ani nawet prawo natury wyryte przez Boga w sercu człowieka. Odrzucając lekkomyślnie wszelką zależność od wyższego naturalnego i Bożego prawa, nie dostrzegli wychowawcy, że czynią tym samym dziecko niewolnikiem nieuporządkowanych popędów, że niepotrzebnie rozdmuchują w prostym i wrażliwym sercu dziecka, ów ogień, który ugasić potrzeba.

Pius XI przyznaje, iż wszelki gwałt i despotyzm należy usunąć z wychowania, bo nie jest on właściwym środkiem poprawy, zwraca także uwagę na konieczność czynnego, stopniowo coraz bardziej świadomego współdziałania dziecka w wychowaniu, odpowiednio do właściwej mu natury; ale nie krępowanie niczym dziecka, czy prewencyjne pouczanie seksualne wszystkich bez różnicy, nawet publicznie, nie liczenie się zwłaszcza ze skromnością młodzieży żeńskiej, musi paczyć dusze młodociane i czynić je pochopnymi do ulegania własnym namiętnościom.

Aby tym wszystkim niebezpieczeństwom stawić czoło, zaleca Pius XI stworzenie dla dziecka czystej i szlachetnej atmosfery życia, czuwanie zwłaszcza nad środowiskiem dziecka, odpowiednie przygotowanie rodziców do spełnienia swego podstawowego obowiązku wychowania dzieci, wychowywanie wreszcie dziecka nie w szkole świeckiej czy mieszanej, ale w wyznaniowej szkole katolickiej i zaszczepianie mu zdrowej filozofii życia, bez encyklopedycznej powierzchowności.

Występując z jak najgorętszą obroną dziecka, Ojciec św. potępia nie tylko ów fakt coraz większego odrywania, pod różnymi pozorami, działwy od rodziny, a zwłaszcza wcielania jej do przymusowych organizacji i zniekształcania jej i deprawowania w związkach i szkołach bez Boga (socjalistycznych, komunistycznych czy hitlerowskich), ale ponadto żąda od władz publicznego roztoczenia serdeczniejszej opieki nad rodzinami biednymi o liczny potomstwie. Nie bez wielkiego żalu wyraża on zdziwienie, iż z odwróceniem

należnego porządku udziela się pomocy matce i dzieciom nieślubnym, a odmawia się jej dzieciom ślubnym. Ulżenie doli biednych rodzin uważa on za jedno z najpilniejszych zadań państwa.

...Jeżeli bowiem rodziny — pisze w *Encyklice o małżeństwie* — liczną zwłaszcza obdarzone dźwiatwą, nie mają odpowiednich mieszkań, jeżeli mąż pracy i chleba znaleźć nie może, jeżeli środki codziennej potrzeby jedynie za wygórowaną nabyć można cenę, jeżeli nawet matka ku niemałej szkodzie gospodarstwa domowego z konieczności i biedy zarobkować musi, nikt się dziwić nie może, jeżeli małżonkowie oddają się rozpaczcy doprowadzeni do takiego stanu, a w ogólnym przewrocie widzą swoje zbawienie.

Gorącym obrońcą dziecka jest Pius XI i wtedy także, gdy żąda od państwa i ciał ustawodawczych, aby za pomocą odpowiednich ustaw i kar stanęły w obronie tych dzieci, które w niczym nie zawiniły, a które zabija się już w łonie matki, zapominając, że

...życie dziecięcia jest tak samo święte jak życie matki. Odbierać mu tego życia nikt nie ma prawa, nawet państwo. I nie ma też żadnego tzw. prawa „bezwzględnej konieczności”, które by mogło usprawiedliwić uśmiercenie niewinnego dziecka...

Podobnież usiłuje Pius XI położyć tamę rozkładowym tendencjom naturalizmu, jakie on wnosi do małżeństwa i ruchu kobiecego. Broni więc godności małżeństwa i jego sakramentalnej świętości i nierozzerwalności i wykazuje bez ogródek, do jakich krańców rozwyrzzonej zmysłowości posuwają się owi zwolennicy nowoczesnych zapatrywań, którzy, uważając małżeństwo za instytucję czysto ludzką, nie tylko wychwalają rozwody, cudzołóstwa i związane z tym wszelkie występki, ale ponadto ustanawiają nowe formy małżeństwa: terminowe, próbne, koleżeńskie. Wydaje się im, że stwarzają oni tym samym jakąś nową, wyższą kulturę, a tymczasem strącają oni narody kulturalne na barbarzyński stopień jakichś szczepów pierwotnych.

Potępia Ojciec św. również to tak modne dziś przesadne uświadamianie fizjologiczne, które wychwala się pod nazwą „idealnego małżeństwa”, a które jest ostatecznie tylko „małżeństwem znieprawionym”. Potępia również przesadną troskę o cele eugeniki, która posuwa się tak daleko, że

przyznaje państwu prawo do wykonywania różnych operacyjnych zabiegów celem zapobieżenia ułomnemu potomstwu. Przypominając ludzkości, że małżeństwo nie jest czysto prywatnym układem, oraz, że państwu nie przysługuje żadna bezpośrednia władza nad ciałem podwładnych, Pius XI podnosi, że podkopywanie porządku moralnego małżeństwa i rodziny musi ostatecznie spowodować upadek państwa i szczęścia wszystkich obywateli. Żadne bowiem środki przyrodzone, żadne nauki świeckie i wynalazki nie doprowadzą ludzi do poskramiania swoich namiętności, jeśli nie skłoni ich do tego prawo Boże i obowiązek zachowywania tego prawa.

Potępia wreszcie Pius XI fałszywą emancypację kobiet, społeczną, gospodarczą i fizjologiczną, która niszcząc wierność i czystość małżeńską, grozi wypaczeniem kobiecego charakteru i macierzyńskiej godności i czyni faktycznie z kobiet przedmiot igraszki męskiej. Prawdziwe równouprawnienie polega na czym innym. Stanowi je uznanie wartości osoby i godności ludzkiej, a prawdziwy feminizm — to poświęcenie swego życia na uczynki pobożne, wychowawcze, dobroczynne, ewangeliczne, apostołskie. Właśnie w życiu świętych matek i w życiu zakonnic objawia się najpiękniejsze uświęcenie godności kobiecej.

Najzgubniejsze atoli skutki naturalizmu widzi Pius XI w komunizmie, który dąży do zniszczenia wszelkiego ładu społecznego i samych podwalin *civitatis humanae*. Podnosząc uroczysty protest przeciwko prześladowaniom chrześcijan w Rosji, w Meksyku i w Hiszpanii, wskazując równocześnie w licznych przemówieniach na gorzkie owoce idei przewrotowych, zrodzonych przez dialektyczny materializm, Pius XI w przepięknej encyklice o bezbożnym komunizmie przypomina kierownikom narodów, że ich liberalizm i laicyzm budował na bardzo grząskim fundamencie swoje zasady społeczne, skoro zapadły się one tak żałośnie i tak szybko; bo jeśli w duszach ludzkich nie ma idei Boga, muszą ludy nieuchronnie stoczyć się w okrutne barbarzyństwo i całkowite rozprzężenie obyczajów. Kto chce ratować „wolność człowieka, tę duchową podstawę wszelkich norm życiowych“, ten musi pamiętać, że świat nie wyjdzie z upadku

ani przez walkę klas, ani przez terror, ani przez nadużywanie władzy państwowej pozbawiającej ludzi wolności, ale jedynie przez powrót do porządku społecznego, przesiąkniętego duchem sprawiedliwości i chrześcijańskiej miłości.

Pius XI potępia ową rozpowszechnioną dziś przez pewne koła socjologiczne teorię, że jednostka nie jest niczym, że tylko społeczeństwo jest bytem prawdziwym, bytem *sui generis*, całością nadrzędną i samoistną. Zdaniem jego żadne społeczeństwo nie posiada rozumu ani wolnej woli, tylko osobowość człowieka. Niemniej odrzuca on również i liberalizm indywidualistyczny, a domagając się organicznej współpracy, na systemie korporacyjnym opartej, wszystkich w społeczeństwie, nawołuje równocześnie ludzkość do odnowienia życia chrześcijańskiego, do reorganizacji życia społecznego w duchu harmonijnego współdziałania sprawiedliwości i miłości, do pogłębiania chrześcijańskiego wychowania społecznego, do tworzenia organizacji zawodowych, opartych na podstawach chrześcijańskich, wreszcie do zgodności wierzeń i działań, by nie było owego „rozdwójenia sumienia”, które ludziom bezbożnym daje broń do ręki przeciwko Kościołowi.

Pragnąc serdecznie pojednania ludzkości, podnosił Pius XI nie tylko konieczność zgody między katolikami, ale wzywał wszystkich ludzi dobrej woli, wierzących w Boga, by jednoczyli się z sobą i współdziałali przeciwko owym „mocom ciemności” tj. materialistycznemu komunizmowi, pchającemu ludzkość po drodze pochyłej ku całkowitemu rozprzężeniu i zagładzie. Równocześnie żądał on od władzy państwowej przestrzegania sprawiedliwości społecznej, należytej organizacji pracy, zapewniającej każdemu obywatelowi znośne warunki życiowe oraz mądrej i przewidującej administracji.

...Głównym i najważniejszym zadaniem władzy państwowej — pisał — jest właśnie skuteczne popieranie harmonijnej i zgodnej współpracy wszystkich czynników społecznych. Jak w żywym organizmie, tak w organizmie społecznym niemożliwy jest zdrowy rozwój całości, jeśli poszczególnym ludziom, obdarzonym godnością osobowości, nie przyzna się wszystkiego, co im do spełnienia poszczególnych ich funkcji społecznych potrzeba. A nie staje się zadość sprawiedliwości społecznej, jeśli pracownicy nie

otrzymują dostatecznej zapłaty, która mogłaby im i ich rodzinom zapewnić utrzymanie. Nie staje się zadość, jeśli nie umożliwia się im zaoszczędzenia małego kapitału, aby zapobiec powszechnej pauperyzacji, szerzącej się coraz bardziej. Władze państwowe winny przede wszystkim dać pracę ojcom rodzin i młodzieży. W tym celu należy warstwy posiadające nakłonić, ażeby ze względu na wspólne dobro wzięły na siebie owe ciężary, bez których niemożliwe jest ocalenie społeczeństwa, a więc także ich samych. Ale środki zaradcze, podjęte w tym celu przez państwo, muszą być tego rodzaju, żeby dosięgły skutecznie tych, którzy rzeczywiście posiadają największe kapitały.

Wypowiadając się za systemem gospodarczo-społecznym prywatnej własności, przyznawał jednak Pius XI państwu możliwość regulowania przerostów posiadania, powodujących głód własnościowy szerokich mas, i prawo szerokiej kontroli nad życiem gospodarczym. Niemniej pomny objawionej mądrości Bożej i doświadczenia wieków, Pius XI powtarzał nieustannie:

...Żaden przymus, żadne czysto ziemskie ideały, choćby były same w sobie szlachetne i wzniosłe, nie będą w stanie zastąpić na dłuższą metę ostatecznych i decydujących bodźców, pochodzących z wiary w Boga i Chrystusa.

To też podobnie jak zwalczał socjalizm i komunizm, laicyzm i indywidualny liberalizm, tak samo potępił Pius XI hitleryzm, przewracający i fałszujący moralny porządek rzeczy, wyznający ateistyczny panteizm, ubóstwiający rasę i naród. Nie przeczył on faktu, że radosna i dumna ufność w przyszłość swego narodu drogą jest każdemu człowiekowi, a tym samym czymś naturalnym i słusznym; wygrywanie jednak owej wiary przeciwko wierze religijnej jest albo świadomym zacieraniem granic, albo zwyczajnym bałwochwalstwem. Dlatego, potępiając pychę nowatorów hitlerowskich, głoszących nieśmiertelność narodu niemieckiego, a wprowadzających w miejsce objawienia „podszepty krwi i rasy”, znakowi swastyki przeciwstawił znak krzyża, prawu ludzkiemu — Boskie prawo moralne, ciasno pojętemu sportowi — bohaterstwo walki duchowej, przymusowi organizacyjnemu ze strony państwa — posłuszeństwo Bogu i Kościołowi.

Nie uląkł się Pius XI niemieckich prześladowań i za przedwczesną uważał radość ciemniejszych. Prześladowanie Kościoła przyczynia się tylko — wołał — do nowego rozwoju i wewnętrznego oczyszczenia. Upadek życia społecznego i publicznego w własnym państwie sprowadzają ci, którzy, posługując się przymusem i terrorem, nie uznają wyższości prawa moralnego. Jeżeli się bowiem żąda od człowieka najwyższych ofiar i wyrzeczenia się swego małego „ja” na korzyść dobra publicznego, a przy tym odbiera się mu moralne oparcie o czynnik wieczny i boski, to następstwem tego dla niezliczonych jednostek będzie nie branie na siebie obowiązku, ale ucieczka przed obowiązkiem. Zaprzepaszczenie wiecznych norm obiektywnej nauki moralnej, przeznaczonej dla wykszolenia sumień, urabiania tężyzny moralnej i charakteru dla uszlachetniania wszystkich dziedzin życia jest grzechem przeciwko przyszłości narodu, a gorzkie owoce tego kosztować będą musiały przyszłe pokolenia. Kto bowiem oddala się od nadprzyrodzonego porządku moralnego, ten wstrząsa samymi podstawami, na których opiera się społeczność.

W ten to sposób nieugięcie i wytrwale wzywał Pius XI do szanowania godności ludzkiej, do bezinteresownej i czynnej miłości, do harmonijnego kształtowania duszy i ciała, do przestrzegania wiecznego porządku moralnego. W ten sposób bronił on kultury duchowej, owej kultury humanistycznej i chrześcijańskiej, umiejącej godzić wymagania osobiste jednostki ze służbą dla społeczności i państwa, i ostrzegał przed barbarzyństwem niszczącym wyższe wartości, będące podporą trwałego ładu moralnego.

Prawdziwy humanitaryzm, ogromna i szlachetna miłość człowieka, gorący i nieustępliwy zapał chrześcijanina kierowały całą działalnością Piusa XI w kierunku ratowania ludzkości skłóconej i bezradnej i sprowadzenia braterskiego pojednania. *Pax Christi in regno Christi* — oto był jedyny cel owego wielkiego Papieża, a przewodnikiem do tego celu, równocześnie źródłem mocy, była mu wiara nieustraszona — *fides intrepida*.

Prof. dr Ludwik Chmaj.

Sobór florencki w dziejach teologii katolickiej.

Jubileusz 500-lecia soboru florenckiego (1438/39 — 1938/39).

Gdy mowa o soborze florenckim,¹⁾ to na myśl przychodzi przede wszystkim unia Greków z Kościołem katolickim, zawarta we Florencji dnia 6 lipca 1439 r. Jako akt, likwidujący bolesne, wielowiekowe rozdarcie między chrześcijanami, była unia florencka niewątpliwie wydarzeniem radosnym i doniosłym dla Kościoła i słuszenie uchodzi za dzieło wiekopomne soboru florenckiego, mimo że owoce jej nie były trwałe. Dlatego też zrozumiałą jest rzeczą, że historycy Kościoła poświęcają dużo uwagi tak wydarzeniom, które ją poprzedziły i do niej doprowadziły, jak i przebiegowi soboru, na którym została zawarta, oraz jej losom w tych krajach, w których została przyjęta.

Ale w równej mierze, jak te wydarzenia historyczne, zasługuje na uwagę znaczenie soboru florenckiego w dziedzinie teologii. Jak na innych soborach powszechnych, tak i na soborze florenckim zaznaczyła się działalność Ducha Św., który według obietnicy Chrystusa jest w Kościele nauczycielem prawdy i przypomina wszystko, czego Jezus nauczał (Jan 14, 26; 16, 13). Prawdy wiary, do których głęb-

¹⁾ Rozprawa niniejsza oparta jest na dokumentach dotyczących soboru florenckiego, zawartych w 31 tomie Mansi'ego: *Collectio Conciliorum*, oraz na następujących opracowaniach: Hefele - Leclercq: *Histoire des Conciles*, tom VII, część 2; L. Pastor: *Geschichte der Päpste*, t. I, wyd. 2, 1891, str. 231 — 290; A. Vogt: *Concile de Florence*, artykuł w *Dictionnaire de Théologie Catholique*, t. VI, 24. — 50.

sze go zrozumienia przyczynił się sobór florencki swymi uchwałami, pozostają w ścisłym związku z dążeniem tego soboru do przywrócenia jedności Wschodu z Kościołem katolickim. Zwrócenie uwagi na nie dorzuci więc nieco światła do samej kwestii unii. Trudności zaś, jakie piętrzyły się przed ojcami soboru w pracy nad określeniem katolickiej nauki wiary, oraz okoliczności, jakimi Duch Św. posłużył się do przezwyciężenia tych trudności, rzucają światło na tę przedziwną działalność Ducha Św., czuwającego nad tym, by nauka wiary nie uległa w Kościele skażeniu, lecz by coraz dokładniej została poznawana i coraz głębiej przenikała do świadomości Kościoła. Więc obok wielu innych rozważań i studiów, które w związku z 500-ną rocznicą soboru florenckiego pojawiły się lub jeszcze się ukażą w różnych pismach katolickich, warto poświęcić także nieco uwagi jego dorobkowi teologicznemu.

I.

Wiadomo, że sobór zwany florenckim ani nie zaczął się we Florencji, ani tam swych obrad nie zakończył; wiadomo też, że obradował on nie tylko w latach 1438/39, oznaczonych w nagłówku, lecz i przed tym okresem i później. Można więc o soborze florenckim mówić w ściślejszym i w ogólniejszym znaczeniu. Zależnie od tego także jego dorobek teologiczny można pojąć szerzej lub ściślej.

Dlatego, celem ustalenia ram dla naszych rozważań o znaczeniu soboru florenckiego w teologii, zrobimy najpierw pobieżny rzut oka na zmienne koleje soboru, zwracając większą uwagę na te wypadki, które nam będą przydatne w naszych rozważaniach.

Początek soboru można odnieść do roku 1431. W tym bowiem roku papież Marcin V zwołał sobór powszechny do Bazylei, pod naciskiem dostojników kościelnych i świeckich oraz zgodnie z obietnicą daną przy swym wyborze na papieża. Sobór zebrał się jednak dopiero za jego następcy, Eugeniusza IV, gdyż Marcin V umarł 20 lutego 1431 roku. Ale już od początku stało się jasnym, że sobór ten pójdzie za hasłami, głoszonymi już na poprzednim soborze w Konstancji o wyższości soboru nad papieżem. To też ledwie so-

bór zdążył się ukonstytuować, zaledwie w kilka dni po pierwszej uroczystej sesji, Eugeniusz IV bullą z 18 grudnia 1431 r., sobór rozwiązał. Niestety ten krok papieża pogorszył tylko sytuację. Zebrani w Bazylei nie poddali się zarządzeniu papieża. Utwierdziło ich ono w przekonaniu, że papież jest przeciwny wszelkim reformom karności kościelnej, które powszechnie uważano za konieczne, i że wobec tego jedynym stróżem prawdziwego dobra Kościoła jest sobór. Dla uzasadnienia swego postępowania zebrani odnowili uchwałę soboru w Konstancji, że władza soboru jest wyższa od papieża i że papież nie może rozwiązać soboru.

Także wyznaczony przez papieża na przewodniczącego soboru kardynał Juliusz Cesarini był przeciwny zarządzeniu papieża o rozwiązaniu soboru, widząc groźne następstwa tego kroku papieża, wobec zdecydowanej opozycji bazyleńczyków. Nalegał więc na papieża, by cofnął swe zarządzenie. Uczynił to Eugeniusz IV dopiero po dwu latach pod naciskiem królów i książąt oraz wobec trudności w samym Rzymie, które zmusiły go wkrótce do opuszczenia stolicy, do której miał powrócić dopiero razem z końcową fazą soboru w r. 1443. Bullą *Dudum sacrum* z 15 grudnia 1433 roku, uznał Eugeniusz IV sobór w Bazylei za legalnie obradujący. Ale naprężenie raz wywołane nie ustało. Z wyjątkiem niewielkiej garstki zwolenników papieża, z kardynałem Cesarinim na czele, większość nadal pozostawała w opozycji do papieża. Powzięto wprowadzić wiele uchwał pożytecznych tak przeciw herezji Husa, jak i w dziedzinie karności kościelnej. Ale w myśl zasady supremacji soboru nad papieżem posunięto się także do reform, podkopujących i ograniczających władzę papieską.

Nowe trudności wyłoniły się w związku z zabiegami papieża o pozyskanie Greków dla soboru powszechnego i dla unii. Zgodzili się oni na udział w soborze, ale pod warunkiem, że sobór będzie obradował w jakimś mieście włoskim w pobliżu Adriatyku. Ale bazylejczycy, którzy również na własną rękę podjęli rokowania z Grekami, by ich dla swego soboru pozyskać, sprzeciwili się planowi papieża przeniesienia soboru do Włoch. Tylko mała garstka z kardynałem Cesarinim na czele oświadczyła na 25 sesji dnia

7 maja 1437 roku, że zgadza się na przeniesienie soboru do Włoch. Doszło przy tym do zaburzeń między nimi a większością opozycyjną. Wtedy Eugeniusz IV widząc, że dalsze ustępstwa i niezdecydowanie osłabia coraz bardziej stanowisko i powagę papieństwa, zdecydował się na przeniesienie soboru do Ferrary, uzyskawszy zgodę Greków na to miasto jako na miejsce obrad soboru. Z Bazylei udał się tam kardynał Cesarini z nieliczną gromadką uczestników soboru. 10 stycznia 1438 r., rozpoczęły się obrady soboru w Ferrarze. 27 stycznia przybył tam papież, który, po opuszczeniu Rzymu w r. 1434, przebywał ostatnio w Bolonii. W marcu przybyli oczekiwani od dawna Grecy z cesarzem Janem VIII Paleologiem oraz z patriarchą carogrodzkim Józefem II na czele. W sierpniu przybył jeszcze metropolita kijowski, Izidor, wraz z biskupem suzdalskim Abrahamem.

Po całorocznych bezowocnych obradach z Grekami w Ferrarze, Eugeniusz IV, zniewolony trudnościami finansowymi oraz zarazą, która wybuchła w Ferrarze, przeniósł sobór do Florencji, dekretem z dnia 10 stycznia 1439 r.

We Florencji rozpoczął sobór swe obrady 26 lutego 1439 r. Tam też doszło wreszcie do porozumienia najpierw w sprawie nauki o pochodzeniu Ducha Św., nad którą tak długo bezowocnie dyskutowano w Ferrarze; a następnie już znacznie prędzej uzgodniono poglądy w innych spornych kwestiach, jak nauka o czyśćcu, używanie chleba niekwaszonego we Mszy św. i prymat papieski. 6 lipca 1439 r., została wreszcie ku ogólnej radości zawarta unia. 26 sierpnia opuścili Grecy Florencję, śpiesząc z powrotem do swej ojczyzny. Sobór jednak trwał nadal. W listopadzie 1439 r., doszła do skutku unia Ormian, a w lutym 1442 r., unia monofizytów (jakobitów) z Aleksandrii i Jerozolimy. Dekretem z 25 kwietnia 1442 roku, przeniósł Eugeniusz IV sobór do Rzymu, dokąd wreszcie sam mógł wrócić w r. 1443, po blisko 10-letnim wygnaniu. O działalności soboru w Rzymie niewiele wiadomo. Znane są tylko dwie sesje: jedna z 30 września 1444 roku, na której zawarta została unia Syryjczyków z Mezopotamii; druga z 29 lipca 1445 roku,

na której doszła do skutku unia odłamu Chaldejczyków z Cypru oraz Maronitów z Cypru.

Tymczasem bazylejczycy trwali nadal w swym uporze i wkroczyli zupełnie jawnie na drogę schizmy. Po ogłoszeniu Eugeniusza IV heretykiem i po zdegradowaniu go, przystąpili w r. 1439 do wyboru nowego papieża. Został nim książę Amedeusz Sabaudzki, jako papież Feliks V. Jest on ostatnim w dotychczasowych dziejach Kościoła antypapieżem. — Ale powaga soboru bazylejskiego, która zmalała już wskutek przyłączenia się Greków do soboru w Ferrarze, upadła teraz do reszty. Książęta świeccy, którzy dotychczas popierali Bazylejczyków w ich opozycji przeciw papieżowi, zaczęli odnosić się coraz obojętniej do nich, mając jeszcze w pamięci smutny okres schizmy zachodniej. Mimo to bazylejczycy utrzymywali się ze swym papieżem jeszcze przez szereg lat, aż wreszcie zostali wydalenii z Bazylei przez zarząd miasta i przenieśli się do Lozanny, gdzie w r. 1449 sobór zakończył swój niechlubny żywot.

Z powodu opozycji soboru bazylejskiego przeciw papieżowi niektórzy teologowie i historycy nie uznają go w ogóle za sobór powszechny. Słuszniejszym jednak wydaje się zdanie, przyznające charakter soboru powszechnego tym sesjom bazylejskim, które odbywały się za zgodą papieża. Przemawia za tym i ta okoliczność, że papież przeniósł sobór z Bazylei do Ferrary, sobór zaś ferrarski, a następnie florencki jest uważany za powszechny.

Oto w pobieżnym rzucie oka obraz soboru, zwanego ogólnie florenckim. Choć obradował on w czterech różnych miejscach w ciągu czternastu lat, od r. 1431 do 1445, to jednak słusznie oznacza się go nazwą soboru florenckiego i za rok jubileuszowy uważa się pierwszy rok obrad we Florencji, gdyż tam w r. 1439 zapadły najdonioślejsze uchwały, tam doszła do skutku najważniejsza ze wszystkich — unia z Grekami, która pociągnęła za sobą także unię Rusinów, reprezentowanych na soborze przez metropolitę kijowskiego Izydora.

Jak dla historii Kościoła jest ta część soboru najważniejszą, tak i w dziejach teologii ma ona największe znaczenie. Ale i inne okresy soboru nie są bez znaczenia

Dlatego w rozważaniach o znaczeniu soboru florenckiego dla teologii katolickiej będziemy uwzględniać głównie jego okres florencki, nie pominiemy jednak także i innych okresów.

II.

W odpowiedzi na pytanie, które prawdy wiary zostały podczas soboru florenckiego lepiej zrozumiane i głębiej zapisały się w świadomości katolickiej, należy na pierwszym miejscu wymienić prymat papieski. Nie tyle przyczyniły się do tego obrady na temat prymatu z Grekami, gdyż poświęcono im znacznie mniej czasu, niż dyskusjom o pochodzeniu Ducha Św., ile raczej sam udział Greków, a później innych odłamów wschodniego chrześcijaństwa w soborze florenckim. I nie tyle w umysłach Greków, czy innych wschodnich chrześcijan dokonało się to jaśniejsze poznanie prawdy o prymacie papieskim, ile raczej w świadomości chrześcijaństwa łacińskiego.

Aby to zrozumieć, należy przypomnieć sobie, jaki to ciężki kryzys przechodziło papieństwo pod koniec XIV i na początku XV wieku. Niewola awiniońska papieży a potem schizma zachodnia sprawiły, że w umysłach wielu katolików prawda o najwyższej władzy papieża w Kościele Chrystusowym została przyćmiona. Wobec upokarzającej zależności papieży od władzy świeckiej, wobec dwu lub nawet trzech pretendentów do tronu papieskiego podczas schizmy zachodniej, wobec niemożliwości stwierdzenia, który z tych pretendentów jest prawdziwym, legalnie obranym papieżem, utrwaliło się w umysłach wielu zresztą gorliwych katolików przekonanie, że najwyższa władza w Kościele należy do soboru powszechnego, który jedynie może usunąć wątpliwości co do osoby prawowitego papieża i który nie tak łatwo, jak osoba piastująca godność papieską, stanie się narzędziem władców świeckich dla celów niezgodnych z dobrem Kościoła. Więc na soborze w Konstancji w r. 1415 powzięto uchwały, uznające wyższość soboru nad papieżem; a sobór w Bazylei uznaje to stwierdzenie za artykuł wiary a Eugeniusza IV, jako heretyka nie chcącego uznać tego artykułu wiary, pozbawia godności papieskiej. Był to punkt szczytowy zaćmienia się idei prymatu papieskiego. Łatwo sobie wyo-

brazić, co by się stało z Kościołem, gdyby zasada suprema-cji soboru nad papieżem przyjęła się była w Kościele.

O ile stanowisko soboru w Konstancji miało pewne uzasadnienie w owej nad wyraz trudnej i wyjątkowej sytuacji istnienia równocześnie trzech papieży, z których każdy był przez część katolików uważany za prawdziwego, to stanowisko bazyleńczyków, wobec jedyne go tylko i niewątpliwie prawowitego papieża Eugeniusza IV, było zupełnie nieuzasadnione. Głoszona przez nich zasada bezwzględnej supremacji soboru nad papieżem równała się przysłowiowemu podcinaniu gałęzi, na której się siedzi. Bo bez papieża żaden sobór powszechny nie był do pomyslenia. Któż by rozstrzygał, czy dane zgromadzenie biskupów i niższego kleru jest soborem powszechnym? Czyż nie krył się w tej doktrynie zarodek nowych schizm, gorszych od ostatniej fazy wielkiej schizmy zachodniej? Słowem, Kościół stał nad przepaścią, groziło mu rozbitcie takie, na jakie patrzymy w protestanckim, czy prawosławnym odłamie chrześcijaństwa. Bramy piekielne i fale namiętności ludzkich bliskie były zwycięstwa nad Opoką Piotrową i groziły zalaniem łodzi Piotrowej.

W tych to ciężkich dla Kościoła czasach Opatrzność Boża, czuwająca nad Kościołem, przygotowała mu pomoc ze strony najmniej oczekiwanej. Aby prymat papieski znowu w całej pełni zajaśniał w Kościele katolickim, posłużyła się Opatrzność Boża Grekami i innymi przedstawicielami wschodniego chrześcijaństwa.

Oto Grecy, mimo wysiłków Bazylejczyków, którzy ich chcieli na przekór papieżowi pozyskać dla swego soboru, decydują się na przyłączenie się do tej części soboru bazylejskiego, która usłuchała wezwania papieża i przeniosła się z Bazylei do Ferrary. Już to samo podniosło autorytet Eugeniusza IV i sprawiło, że część bazylejczyków, która nie usłuchała pierwszego wezwania papieża, później podążyła do Ferrary. Nawet władcy świeccy zaczęli inaczej odnosić się do papieża, choć w sporze między nim a bazylejczykami zachowywali neutralność i trzymali się z dala od soboru w Ferrarze i Florencji. Temu ponownemu wzrostowi powagi papiestwa przypisać też należy, że wybrany przez bazylejczyków antypapież, Feliks V, nie znalazł wielu zwolenników.

Świat katolicki pamiętał jeszcze smutne czasy schizmy zachodniej i nie chciał już więcej podobnego zamętu. Unia Greków z Eugeniuszem IV, zawarta we Florencji, była dal- szym krokiem na drodze do podniesienia powagi papieństwa na Zachodzie.

Ale do zupełnego przywrócenia powagi papieństwa było jeszcze daleko. Oto w samym Rzymie i w państwie Kościel- nym jeszcze w r. 1434 wybuchła rewolucja, która zmusiła Eugeniusza IV do ucieczki. Wprawdzie kondotier a później kardynał Vitelleschi poskromił rewolucję, ale sytuacja pozo- stawała nadal tak niepewna, że papież zmuszony był do przebywania nadal poza Rzymem, najpierw we Florencji, potem od r. 1436 w Bolonii, skąd w r. 1438 udał się do Ferrary, by osobiście brać udział w obradach przeniesio- nego tam z Byzylei soboru. — Przymusowy pobyt papieża poza Rzymem to widomy symbol, że autorytet papieski jeszcze niezupełnie został przywrócony.

Toteż Opatrzność Boża, oprócz Greków, posłużyła się jeszcze innymi ludami wschodnimi, by autorytet papieża podnieść w oczach jego najbliższych poddanych. Po unii Greków następuje unia Ormian i Monofizytów. Dzięki tym sukcesom idei jedności religijnej z papieństwem rośnie po- waga papieństwa. Pan Bóg niejako namacalnie pokazuje chrześcijaństwu zachodniemu, czym jest prymat papieski, skoro garną się doń ludy odległe i od szeregu wieków od papieństwa odłączone.

W r. 1442 pojednał się z Eugeniuszem IV jeden z naj- możniejszych stronników schizmatyckiego soboru w Bazylei, Alfons Aragoński, władca Neapolu. To pociągnęło za sobą odwołanie poddanych Alfonsa z Bazylei. Wśród nich był najznakomitszy kanonista owych czasów, arcybiskup Pa- lermo, Tedeschi, wyniesiony przez antypapieża, Feliksa V, do godności kardynalskiej. Także książę Visconti z Mediolanu, do niedawna zawzięty wróg papieża, odwołał swych podda- nych z Bazylei i za przykładem Alfonsa Aragońskiego po- jednał się z papieżem. Powaga papieża wzrosła dzięki temu na tyle w samym państwie kościelnym, że po blisko dzie- sięcioletnim wygnaniu, mógł Eugeniusz IV powrócić wreszcie do Rzymu, przenosząc tam także sobór z Florencji.

Rzym, przyjąwszy papieża w swe mury, był świadkiem jak inne jeszcze ludy Wschodu chrześcijańskiego nawiązywały jedność z papieństwem.

Było to zjawisko tak niezwykle na owe czasy, że budziło podziw w całym chrześcijaństwie. Jeszcze półtora wieku po tych wypadkach daje Skarga wyraz temu ogólnemu a radosnemu zdumieniu w swej książce *O jedności Kościoła Bożego*, pisząc tam (Część I, rozdz. 18):

...Na wstawienie tego wielkiego synodu to jeszcze Pan Bóg uczynić raczył, co u mnie jest w wielkim podziwieniu: iż nań nie tylo Greki, ale dalekie barzo i dawno od jedności kościoła Bożego odłączone chrześcijańskie narody przyprowadził, i one także, jako i Greki, zwłaszcza Ormiany, do kupy ś. owczarniej swojej przygarnąć raczył.

A na innym miejscu tejże książki (Cz. I, Zakończenie), wśród cudów, którymi Pan Bóg sobór florencki wślawić raczył, na pierwszym miejscu znowu wymienia unię tylu narodów:

...Pierwszy (cud) się zda być nawiętszy ze wszystkich: iż narody chrześcijańskie ze wszystkiego świata, gdzie jedno imię i sława chrześcijańska kiedy zaszła, o nim nie tylo wiedzieli, ale też nań zezwolili jednem sercem, jednemi usty, a zwłaszcza, iż oni chrześcijanie, tak dawno oddzieleni od jedności kościelnej, z tak dalekich stron, za dziwną pomocą Bożą, nań przyjachali, na jedno się, jako mąż jeden i ciało jednej głowy Chrystusowej zgodzili, a co jeszcze dziwniejszego jest: wszyscy się do matki swej, do kościoła Rzymskiego, jako córki, przyznali, a tę starą matkę swoją, u której mleko ewangeliej ś. ssali, uczcili. Krwie onej, z niej wziętej, żadna starowieczność wyniszczyć nie mogła; przedsię matkę swoją dzieci w tak długi czas poznały. To nie są ludzkie sprawy, ale Boskie dziwne.

Tak to Opatrzność Boża poprzez różne zmienne koleje soboru bazylejsko - ferrarsko - florencko - rzymskiego pogłębiła wiarę w prymat papieski u samych katolików łacińskiego obrządku, u których nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności prawda ta uległa chwilowemu przyćmieniu. A posłużył się w tym celu Pan Bóg, przedziwny w dziełach swoich, tymi chrześcijanami, którzy przez długie wieki nie uznawali papieństwa.

A jakie przekonanie o prymacie papieskim wynieśli sami Grecy? Zaraz na wstępie po swym przybyciu do Ferrary zostali wystawieni na wielką próbę. Oto przybyli z tak daleka w przekonaniu, że zastaną cały Zachód złączony z papieżem, a znaleźli mało budujące rozdarcie; część i to znaczniejsza liczebnie, zebranych w Bazylei Ojców nie usłuchała papieża, owszem posunęła się do jawnego buntu przeciw niemu. Jak wielką to było próbą dla Greków, jakie zgorszenie im Zachód dał swym rozdzieleniem, świadczy fakt, że po pierwszej wspólnej sesji Greków z Łacinnikami dnia 9 kwietnia 1438 r., dopiero w październiku zgodzili się Grecy na drugą wspólną sesję, czekając do tego czasu daremnie na przybycie reszty bazylijczyków.

Ale wspólnych obrad nie zaczęto od sprawy prymatu papieskiego, choć i ona należała do punktów spornych, w których należało osiągnąć porozumienie, aby mogła dojść do skutku unia. Zostawiono ją na sam koniec; przystąpiono do niej dopiero w czerwcu 1439 we Florencji. I gdy po tylu mozolach, po tylu nadludzkich wysiłkach zwolenników unii, doszło do porozumienia w sprawie nauki o pochodzeniu Ducha Św. i w innych punktach spornych, to jeszcze na samym końcu trudności w dojściu do porozumienia co do prymatu groziły kilkakrotnie zerwaniem rokowań. Ale znowu Opatrzność Boża posłużyła się do pokonania tych trudności dwoma Grekami, patriarchą Józefem i metropolitą Bessarionem.

Patriarcha Józef, który przez cały czas soboru w Ferrarze i Florencji chorował, umarł we Florencji dnia 10 czerwca 1439 r. Po ludzku mówiąc, był to dla soboru cios, który groził zupełnym zerwaniem obrad soborowych, bo w przekonaniu Greków bez powagi patriarchy obrady ich nie mogły być prawomocne, więc stawały się bezcelowe. Lecz oto na krótko przed śmiercią, patriarcha czując, że zbliża się ostatnia chwila, uczuł się wewnętrznie przynaglony do napisania swej ostatniej woli, swego testamentu unijnego, następującej treści:

...Józef z miłosierdzia Bożego arcybiskup Konstantynopola, Nowego Rzymu, i patriarcha ekumeniczny.

Ponieważ do kresu mego żywota przyszedłem, pragnąc dokonać wspólnej powinności, za łaską Bożą piszę i podpisuję

otwarcie moje zdanie dla synów moich. Wszystko więc, w co wierzy i naucza katolicki i apostołski Kościół Pana naszego, Jezusa Chrystusa, starszego Rzymu, i ja także wierzę i temu się poddaję. Uznaję także przebłogosławionego ojca ojców, i najwyższego kapłana, i namiestnika Pana naszego Jezusa Chrystusa, papieża starszego Rzymu, według niewzruszonej wszystkich wiary. Uznaję także czyścić dusz. Na potwierdzenie powyższych rzeczy podpisałem dnia 9 czerwca 1439 roku.

Nad tym testamentem znaleziono go martwego. W słowach, że wierzy we wszystko, co wierzy Kościół Rzymski, wyznaje ogólnikowo tylko te prawdy, które stanowiły przedmiot sporów i różnic między Grekami i Łacinnikami. Bardzo ogólnikowo także wspomina o czyścicu. Ale jedną prawdę wyznaje całkiem wyraźnie — to prymat papieski: „Uznaję także przebłogosławionego ojca ojców i najwyższego kapłana i namiestnika Pana naszego Jezusa Chrystusa, papieża starego Rzymu”.

Te ostatnie słowa papieża umożliwiły dalsze obrady nad prymatem. Były one dla Greków napomnieniem, by nie wzbraniali się i tej prawdy przyjąć.

Bessarion zaś, cieszący się u Greków, podobnie zresztą jak i u Łacinników, najwyższym poważaniem jako mąż wielce uczony i świątobliwy, przyczynił się do uznania prymatu przez Greków przez to, że wśród wzajemnych targów między Łacinnikami i Grekami, co do sposobu wyrażenia nauki o prymacie znalazł formułę, którą i papież uznał jako dostatecznie jasno wyrażającą tę prawdę i Grecy bez zastrzeżeń przyjęli:

...Co się tyczy władzy papieża, to wyznajemy, że jest on najwyższym arcykapłanem i przełożonym i zastępcą i wikariuszem Chrystusa, pasterzem i nauczycielem wszystkich chrześcijan i że kieruje i steruje Kościołem Bożym, z zachowaniem jednak przywilejów i praw patriarchów wschodnich.

Po uzyskaniu zgody tak papieża jak i cesarza z biskupami greckimi na tę formułę, nie pozostało już nic innego jak zrehabilitowanie bulli unijnej, tej bulli, która zaczyna się od wyrazu najwyższej radości z powodu uzyskanej zgody, od słów *Laetentur coeli* — „Niech się radują niebiosy i niech się weseli ziemia: albowiem usunięta została przegroda, która

oddzielała Kościół wschodni od zachodniego, a pokój i zgoda powróciły”.

W bulli tej naukę o prymacie udało się za obopólnym porozumieniem wyrazić jeszcze jaśniej, niż w formule Bessariona:

...Określamy również, że św. Apostolska Stolica i Biskup Rzymski dzierżą władzę nad całym światem, i że Biskup Rzymski jest następcą św. Piotra księcia Apostołów i prawdziwym namiestnikiem Chrystusa, a także, że jest głową całego Kościoła oraz ojcem i nauczycielem wszystkich chrześcijan; i że Pan nasz Jezus Chrystus przekazał mu w osobie św. Piotra pełnię władzy pasterza, rządcy i sternika; jak to także w aktach soborów powszechnych i w świętych kanonach się zawiera.

Ostatnie słowa: „jak to także w aktach soborów itd.” były właściwie ustępstwem papieża na rzecz Greków, zwłaszcza cesarza. W projekcie bowiem bulli przygotowanym przez Łacinników było w tym miejscu powołanie się na Pismo św. i na świadectwa świętych Ojców. Cesarz uważał to za niestosowne, żeby w kwestii prymatu powoływano się na Pismo św. i pisma Ojców Kościoła, i zagroził natychmiastowym opuszczeniem Florencji, jeśli słowa te nie zostaną zmienione. Zrezygnowano więc z powołania się na Pismo św. i na świadectwa Ojców, a umieszczono słowa o aktach soborów powszechnych i o świętych kanonach kościelnych. Może to w pojęciach Greków miało wyrażać, że prymat papieski nie jest instytucją boskiego pochodzenia, mającą swe podstawy w słowach Chrystusa, w Piśmie św. zawartych, i w tradycyjnej nauce Ojców Kościoła, lecz że pochodzi z ustanowienia kościelnego. Ale mogło to wyrażać także stwierdzenie, że cała tradycja, której uroczystym wyrazem są sobory powszechne, widziała w prymacie papieskim instytucję pochodzącą od samego Chrystusa. To też w czasie ostatniego Soboru Watykańskiego, który do swej definicji o nieomyślności papieża wciągnął także słowa z bulli unijnej soboru florenckiego, przeciwnicy nieomyślności papieża starali się osłabić znaczenie tych słów.

Niemal w tym samym czasie, gdy Wschód grecki przez swych przedstawicieli na soborze florenckim uznawał w papieżu głowę całego Kościoła, bazylijczycy w walce o supre-

mację soboru nad papieżem ogłosili Eugeniusza IV heretykiem i zabierali się do wyboru nowego papieża, który by uznał ich wyższość nad sobą. Dlatego też po wyjeździe Greków sobór florencki powrócił jeszcze do nauki o prymacie, by ją zdecydowanie przeciwstawić błędnym teoriom bazylejczyków. Eugeniusz IV chciał potępić uchwałę bazylejczyków, że wyższość soboru nad papieżem jest artykułem wiary, którego zaprzeczenie jest herezją. W tym celu poddał to zdanie pod dyskusję na publicznej dyspucie. Kardynał Cesarini bronił zdania bazylejczyków, a Torquemada je zbijał. Cesarini wysuwał jako argument, że jeśli się potępi tę uchwałę bazylejczyków, to tym samym potępi się uchwały soboru w Konstancji o wyższości soboru nad papieżem. Na to odpowiedział Torquemada, że sobór w Konstancji w tym okresie, gdy uchwalał swój dekret, nie był soborem powszechnym, bo jeszcze schizma istniała i wątpliwość, który z trzech papieży jest prawowitym następcą św. Piotra nie była rozstrzygnięta; był on soborem tylko jednej z trzech obediencyj; wobec tego rzeczony jego uchwały nie posiadają nieomyłnej powagi. Nadto istnieje różnica między uchwałami soboru w Konstancji a uchwałą bazylejczyków. Sobór w Konstancji uznawał wyższość soboru nad papieżem w nadzwyczajnym wypadku, gdy istnieją wątpliwości co do prawowitego wyboru papieża, i to tylko dla usunięcia tej wątpliwości. Natomiast bazylejczycy stawiają wyższość soboru jako powszechnie obowiązującą zasadę i jako artykuł wiary.

Owocem tych dalszych dyskusyj o prymacie papieża była bulla Eugeniusza IV *Etsi non dubitemus* z dnia 20 kwietnia 1441 r. Można ją także uważać za jeden ze skutków triumfu odniesionego przez Eugeniusza IV w unii Greków i Ormian. Dalsze unie innych odłamów chrześcijaństwa, dokonane we Florencji lub w Rzymie, jeszcze bardziej podniosły znaczenie papieństwa w Kościele.

Chcąc należycie ocenić cały ogrom przemiany, jaka zaszła w ciągu lat trwania soboru florenckiego w rozumieniu nauki o prymacie papieskim, wystarczy zestawić dwie daty: r. 1438 i 1447. W roku 1438 we Francji król Karol VII i cały episkopat razem z kapitułami, opatami i dziekanami, zebrani w Bourges zajmują w tzw. Sankcji Pragma-

tycznej stanowisko na pół schizmatyczne w stosunku do papieństwa, w duchu ideologii bazylejczyków o wyższości soboru nad papieżem. A w roku 1447 posłowie książąt niemieckich składają przysięgę posłuszeństwa Eugeniuszowi IV, złożonemu już śmiertelną chorobą. Zdarzenie to kazał papież uczcić biciem dzwonów w Rzymie i wspaniałą iluminacją miasta, a wręczając Eneaszowi Sylwiuszowi Piccolomini (późniejszemu papieżowi Piusowi II) dokumenty konkordatów zawartych z książętami niemieckimi, wyraził się, że umiera zadowolony, gdyż żył dość długo, doczekawszy się całkowitego przywrócenia praw Kościoła, skoro Niemcy wrócili do posłuszeństwa Stolicy św.

Z ciężkiego kryzysu, którego ostatnim aktem była schizma bazylejska, wychodziło papieństwo zwycięsko. Brama piekielne nie przemożyła Opoki Piotrowej. Do zwycięstwa tego przyczyniły się w wielkim stopniu Kościoły wschodnie, które wzięły udział w soborze florenckim. Mówiąc o znaczeniu soboru florenckiego dla papieństwa, nie można zapominać o tej ich opatrnościowej roli i o tej walnej przysłudze, jaką oddali całemu Kościołowi katolickiemu.

III.

Obok nauki o prymacie papieskim, której głębsze zrozumienie w całym Kościele katolickim i zwycięstwo nad błędnymi ideami supremacji soborów należy uważać za najważniejszy owoc soboru florenckiego w dziedzinie teologii, inne jeszcze prawdy wiary zostały w ciągu soboru wyjaśnione, pogłębione i określone nieomylną powagą. Wśród nich na pierwsze miejsce wysuwa się nauka o pochodzeniu Ducha Św. od Ojca i od Syna. Dyskusje nad nią między Grekami i Łacinnikami zajęły najwięcej czasu w Ferrarze i Florencji. To też niemożliwą jest rzeczą w ramach artykułu przedstawić choćby w pobieżnym obrazie wszystkie trudności, jakie Ojcowie soboru mieli do przezwyciężenia, zanim wreszcie doszło do uzgodnienia zapatrywań między Grekami i Łacinnikami odnośnie do tego dogmatu. Może w żadnym innym punkcie nie wystąpiła tak jaskrawo różnica między umysłowością Łacinników i Greków, jak właśnie w tej kwestii.

Najpierw jałowe długotrwałe dyskusje nad tym, czy dodatek *Filioque* do symbolu wiary nicejsko-konstantynopolskiego był słuszny, czy nie. Łacinnicy chcieli od razu przejść do dyskusji nad tym, czy sama nauka wyrażona tym dodatkiem jest prawdziwa, czy nie. Ale Grecy, a zwłaszcza Marek Efezki, przywódca grupy opozycyjnej, uparli się, żeby dyskutować nad tym, czy dodatek był dozwolony. Łacinnicy im ustąpili, byle tylko ich nie zrażać. Wykazywali więc, że zakaz soboru Efezkiego i Chalcedońskiego, dodawania cokolwiek do Symbolu wiary, dotyczy nauk błędnych, hereetyckich, a nie może krępować Kościoła w pełniejszym i dokładniejszym wyrażeniu prawd wiary, kiedy tego konieczność walki z błędami i dobro dusz wymagają. Należy więc przekonać się o prawdziwości nauki wyrażonej dodatkiem, a tym samym trudności co do dopuszczalności tego dodatku rozwieją się. Ale Marek Efezki obstawał przy swoim, że choćby nauka tym dodatkiem wyrażona była najślusniejsza, to jednak papież na własną rękę nie mógł ani słówka zmieniać lub dodawać do symbolu wiary, że przez samowolne i bezprawne dodanie *Filioque* Łacinnicy dali Grekom dostateczny powód do zerwania z nimi i że wobec tego całą odpowiedzialność za schizmę ponoszą Łacinnicy; wreszcie, że schizma tylko pod tym warunkiem będzie mogła ustać, jeśli Łacinnicy zaprzestaną dodawania *Filioque* do Symbolu wiary. Na takich to dyskusjach upływał drogi czas w Ferrarze.

Dopiero po przeniesieniu soboru do Florencji strona łacińska zażądała stanowczo przejścia do dyskusji nad samą nauką o pochodzeniu Ducha Św. Grecy tym razem ustąpili. Chodziło teraz o stwierdzenie, czy nauka łacińska, wyrażona dodatkiem *Filioque* jest zgodna z objawieniem. Jak cały dogmat Trójcy Św., tak i ten jego punkt dotyczący osoby Ducha Św. jest dla rozumu ludzkiego tajemnicą; jego prawdziwości nie da się skontrolować przy pomocy dyskusji i roztrząsań rozumowych, jak stwierdzamy prawdziwość twierdzenia Pitagorasa; ani przy pomocy eksperymentów w laboratoriach, jak stwierdzamy ścisłość zaobserwowanych zjawisk fizycznych; ani przy pomocy źródeł historycznych, jak poznajemy żywot królowej Jadwigi. W uznaniu za prawdę

nauki o trzech Osobach Boskich, względnie o pochodzeniu Ducha Św. od Ojca i od Syna, możemy oprzeć się tylko na tym, co nam sam Pan Bóg objawił. Trzeba zatem stwierdzić, co o tej kwestii zawiera się w źródłach, z których czerpiemy znajomość objawienia Bożego, a więc w Piśmie św. i Tradycji.

Dyskusje we Florencji toczyły się głównie około zagadnienia, co o pochodzeniu Ducha Św. poucza nas tradycja chrześcijańska; w szczególności badano naukę trzech Ojców: św. Epifaniasza, św. Bazylego i św. Cyryla z Aleksandrii. Łacinnicy starali się wykazać, że Ojcowie greccy uczą o pochodzeniu Ducha Św. tego samego, czego uczy Kościół zachodni, który posługuje się tylko inną terminologią, według wymagań ducha języka łacińskiego. W szczególności wykazywali, że to, co Grecy wyrażają o pochodzeniu Ducha Św. od Ojca przez Syna, to samo Kościół zachodni wyraża słowami od Ojca i Syna. Ale znowu Marek Efezki używał wszelkich sposobów, żeby dyskusję sprowadzić na sprawy drugorzędne, jak dociekania filologiczne nad znaczeniem terminów teologicznych; a gdy inne sposoby zawiodły, odważył się na zaprzeczenie autentyczności jednego zdania św. Bazylego, które dla niego było bardzo niedogodne.

Oprócz tożsamości formuły łacińskiej od Ojca i Syna z formułą grecką od Ojca przez Syna, wyjaśnili Łacinnicy Grekom, dlaczego i w jakim znaczeniu dla wyrażenia stosunku Syna Bożego do Ducha Św. używają tego samego terminu *principium*, którym posługują się na wyrażenie stosunku Boga Ojca do Ducha Św., podczas gdy Grecy posługują się tu dwoma różnymi terminami: *arche* i *aifia*. Wytłumaczono Grekom, że łaciński wyraz *causa*, odpowiadający greckiemu *aifia*, wyraża przyczynowość Bożą w stosunku do stworzeń, dlatego nie nadaje się do wyrażenia stosunku Syna Bożego do Ducha Św. Te wyjaśnienia dotyczące terminologii zostały wciągnięte do samej bulli unijnej — tak bowiem bardzo ułatwiły dojście do porozumienia w samej nauce o pochodzeniu Ducha Św. Z wyjątkiem tego jaśniejszego sformułowania terminologii, bulla nie przynosi odnośnie do nauki o Duchu Św. nic nowego ponad to, co już przeszło półtora wieku wcześniej na soborze Lyonskim II (1274) określili również wspólnie Grecy z Łacinnikami.

IV.

Inne kwestie teologiczne, nad którymi obradowano w Ferrarze i Florencji, mają już mniejsze znaczenie. Sprawa czyśćca była pierwszą, do której się zabrano w Ferrarze na obradach komisji w okresie oczekiwania na przybycie bazylejczyków na sobór do Ferrary. Z chwilą rozpoczęcia sesji plenarnych pozostawiono ją i powrócono do niej dopiero po uzgodnieniu poglądów w sprawie pochodzenia Ducha Św. we Florencji. Grecy pojmowali los dusz po śmierci w ten sposób, że aż do sądu ostatecznego pozostają one w stanie zawieszenia i oczekiwania na karę, lub nagrodę. Taki pogląd nie dał się pogodzić z nauką katolicką o czyścicu. Grecy odstąpili od niego i w bulli unijnej podpisali naukę katolicką o czyścicu. Pominęto tylko sprawę drugorzędną i nieistotną, w jaki sposób odbywa się oczyszczenie dusz ze zmaż grzechowych. Żeby nie przesądzać kwestii, czy odbywa się ono w tym samym miejscu, w którym potępieni cierpią męki piekielne, z tą tylko różnicą, że dla jednych są te męki wieczne, a dla drugich mieć będą koniec, lub czy czyściec istnieje osobno, użyto w bulli unijnej, podobnie jak na soborze Lyońskim II, zwrotu przymiotnikowego: kary oczyszczające (*poenae purgatoriae*), zamiast rzeczownikowego: kary czyśćca (*poenae purgatorii*). Jest to jeden z licznych przykładów, z jaką oględnością i przezornością Kościół katolicki przystępuje do definicij dogmatycznych, by nie zobowiązywać wiernych w sumieniu do wierzenia w to, co nie należy ściśle do nauki wiary przez Boga objawionej.

Jak chodzi o używanie chleba przaśnego lub kwaszonego do konsekracji Eucharystii, to Kościół katolicki zawsze uznawał dopuszczalność jednego i drugiego. Jedynie Grecy od czasów Michała Cerulariusza oskarżali Łacinników o herezję z tego powodu, że używają chleba przaśnego. Uznanie tego przez Greków na soborze florenckim za różnicę nie dogmatyczną, lecz obrządkową, równie dopuszczalną, jak używanie chleba kwaszonego, było zwycięstwem prawdziwego ducha katolickiego, który nigdy nie zacieśniał wiary katolickiej do jednej jakiejś formy obrządkowej.

Ważniejszym z punktu widzenia teologicznego było oświadczenie Greków, dotyczące tzw. *Epiklezy*. Modlitwa ta,

znajdująca się w liturgii mszalnej bizantyjskiej i w liturgiach mszalnych innych wschodnich obrządków po tej części Mszy św., w której kapłan wymawia nad chlebem i winem słowa ustanowienia Najśw. Sakramentu, wyrzeczone przez Pana Jezusa w Wieczerniku, dała począwszy od XIII wieku powód do jeszcze jednego sporu teologicznego między Grekami i Łacinnikami. Albowiem kapłan prosi w tej modlitwie o zstąpienie Ducha Św. na dary złożone na ołtarzu, aby je Duch Św. przemienił w Ciało i Krew Chrystusa i obrócił je na pożytek dusz wiernych. Teologowie greccy od XIII wieku, opierając się na pewnym wyrażeniu św. Jana Damasceńskiego, zaczęli wysnuwać stąd wniosek, że konsekracja chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa nie odbywa się wtedy, gdy kapłan wymawia słowa Chrystusa: „To jest Ciało moje itd.” i „To jest Krew moja”, lecz dopiero na mocy wspomnianej modlitwy, która od tego wezwania Ducha Św. otrzymała z grecka nazwę „epiklezy”. Wniosek ten był w sprzeczności z powszechnym przekonaniem w Kościele katolickim i z wyraźną nauką teologów katolickich, że konsekracja dokonuje się mocą słów Zbawiciela w chwili, gdy kapłan je wymawia, przyjmując na siebie jakby osobę samego Chrystusa. Dlatego też na soborze florenckim zażądał papież od Greków wyjaśnienia w tej sprawie. Odpowiedzieli, że wierzą tak, jak Kościół łaciński, tj. że konsekracja dokonuje się przez słowa Zbawiciela, wymawiane przez kapłana, a *Epikleza* ma tylko to samo znaczenie, co we Mszy św. łacińskiej modlitwa *Supplices te rogamus*, w której kapłan prosi o owoce Komunii św. dla tych, którzy z tej Eucharystii pożywać będą.

V.

Mówiąc o znaczeniu soboru florenckiego dla prymatu papieskiego, wskazaliśmy już, jakie znaczenie dla pogłębienia tej prawdy wiary miały unie zawarte przez inne odłamy chrześcijaństwa wschodniego. Krótko tylko wspomnimy o ich znaczeniu dla innych prawd wiary. O przebiegu dyskusji z przedstawicielami tych Kościołów Wschodnich wiemy bardzo mało. Znane nam są natomiast bulle unijne dla Ormian, Jakobitów, Maronitów i Chaldejczyków. Ponieważ bulle te dotyczą chrześcijan nawracających się z monofizytyzmu lub

nestorianizmu, więc zawierają potępienie tych herezji, wykład nauki katolickiej o Wcieleniu, uznanie soboru Chalcedońskiego i innych późniejszych soborów, odbytych w jedności ze Stolicą Apostolską, uznanie św. Leona Wielkiego, obrońcy nauki katolickiej przeciw monofizytom w czasach soboru Chalcedońskiego; nadto dołączono do nich wyznania wiary Nicejsko - Konstantynopolskie, lub Atanazjańskie oraz dekrety soboru florenckiego, zawarte w bulli dla Greków. Bulla dla Ormian z dnia 22 listopada 1439 roku, zaczynająca się od słów: *Exultate Deo*, zawiera nadto obszerny wykład nauki o sakramentach w duchu teologii scholastycznej.

Na ogół więc bulle te, choć są bardzo ważnymi i cennymi dokumentami dla teologii, jednak nie przynoszą w stosunku do dawniejszych orzeczeń Kościoła, a także w stosunku do bulli dla Greków, wiele nowego i głębszego oświecenia nauki katolickiej. Wynikało to zresztą z przeznaczenia tych dokumentów dla odłamów chrześcijaństwa, które trwały w błędach już dawno potępionych przez Kościół.

Można więc powiedzieć, że największe znaczenie dla teologii posiada ta część soboru florenckiego, w której brali udział Grecy. Podniesienie w oczach całego chrześcijaństwa autorytetu papieża, tej jedynej niewzruszonej podstawy prawdziwej jedności wśród chrześcijan, jaśniejsze sformułowanie nauki o pochodzeniu Ducha Św., uznanie nauki katolickiej o czyśćcu, ale w takim sformułowaniu, że nie przesądza to pewnych zagadnień do istoty tej nauki nie należących, uzgodnienie poglądów co do konsekracji Eucharystii przez słowa Zbawiciela — oto najważniejsze owoce tej części soboru florenckiego dla teologii katolickiej. Zwłaszcza w kwestii prymatu, tak ważnej dla Kościoła, a tak wówczas zagrożonej, wystąpiła w przedziwnym blasku specjalna Opatrzność Boża nad Kościołem.

Wszystkie powyższe zagadnienia to kwestie doktrynalne. Jedna tylko była poruszona kwestia obrządkowa — mianowicie sprawa używania chleba przaśnego we Mszy św. Sobór zajął się nią nie dlatego, żeby strona łacińska przywiązywała do niej jaką wagę, lecz dlatego, że strona grecka z powodu tej sprawy zarzucała Kościołowi katolickiemu herezję.

To skupienie całej uwagi na kwestiach doktrynalnych jest wymownym świadectwem, że Kościołowi katolickiemu w akcie unii wcale nie chodzi o zrównanie wszystkich chrześcijan w zewnętrznej dyscyplinie i obrzędowości, lecz o trwałe zjednoczenie serc i umysłów, które jest możliwe tylko przy bezwzględnej jedności wiary, której ostoją jest najwyższy autorytet Biskupa rzymskiego. Nie od dziś Kościół ustosunkował się negatywnie do wszelkich kompromisów w dziedzinie wiary, do budowania jedności na fundamencie jak najmniejszej ilości wspólnych prawd wiary, gdyż taka jedność pokrywa tylko wewnętrzne rozdarcie wiary, ale go nie usuwa. Dlatego to unia Greków z Kościołem katolickim, zawarta we Florencji, choć niestety nie była trwała, oraz unie innych odłamów chrześcijaństwa wschodniego, również mniej lub więcej trwałe, stały się wzorem dla wszelkich dalszych podobnych aktów unii, także dla unii Brzeskiej Rusinów Rzeczypospolitej Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego w r. 1596.

To praktyczne stwierdzenie na soborze florenckim, że nie zewnętrzna jednostajność obrządkowa, lecz jedność wiary jest podstawą jedności różnych ludów chrześcijańskich w jednym Kościele Chrystusowym, ma także swe doniosłe znaczenie w dziejach teologii katolickiej.

Ks. B. Waczyński T. J.

Problem religii u A. Świętochowskiego.

Schyłek pozytywizmu polskiego datuje się już z lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy to dowodnie okazało się, iż samą materią żyć nie podobna, a duch ma również swoje prawa i głośno się o nie dopomina. Epoka pozytywizmu polskiego, a jak się zwykło ściślej mawiać — warszawskiego, była więc stosunkowo krótka, mniej więcej dwudziestoletnia, i już teraz, w perspektywie lat pięćdziesięciu, może być tak gruntownie badana, jak na to ze względu na swą oryginalność zasługuje. Powtarzam — oryginalność, bo daremnie szukać w dziejach kultury polskiej takiego drugiego momentu, którym by tradycyjna nasza „filozofia serca“ doznała takiego zlekceważenia i potępienia jak właśnie w latach popowstaniowych.

W tych właśnie latach rozpoczyna swoją działalność jeden z najwybitniejszych publicystów, jakich Polska wydała, a przy tym wódz ówczesnego młodego pokolenia i herold postępowych kierunków, słusznie zwany „ojcem pozytywizmu polskiego“: Aleksander Świętochowski. Bez żadnej przesady, można o tym pisarzu powiedzieć, iż był indywidualnością w naszych stosunkach zgoła wyjątkową, niespotykaną, a choćby tylko z tego względu niesłychanie ciekawą. Cechy charakterystyczne Świętochowskiego streścić można w całkowitym wyłączeniu wszelkiej uczuciowości, w ścisłym, programowym wypełnianiu zadań, uznanych za słuszne, w bezwzględnym potępieniu czynów, które nie miały na celu realnych korzyści, bądź to umysłowych, bądź też społecznych, w wielkiej odwadze wypowiadania własnych

poglądów, w nieliczeniu się, nawet w najmniejszym stopniu, z „tradycyjnymi” autorytetami, przeciwnie — w obrazoburczej, z pasją przeprowadzanej walce przeciw nim, nie przebiegającej w słowach i metodach, a wszystko to w imię czystego, pozytywnego umysłu.

Bo też istotnie — jeśli co kochał Świętochowski prawdę, jeśli czemu oddawał bezwzględny hołd, to z pewnością owemu rozumowi, opartemu na ścisłej wiedzy. Nie istniało dlań niemal nic innego, poza wiedzą. Ubóstwiał ją, z zapamiętaniem bronił jej przed rzeczywistym, czy nawet urojonym skażeniem, walczył o jej prawa, w niej znajdował swoje szczęście i w niej upatrywał szczęście społeczne. Biedał nad tym i żalił się, że jest u nas tyle autorytetów, brak natomiast autorytetu wiedzy, brak szacunku dla nauki:

...Zwykle słyszymy rodziców, uczących swe dzieci, że jest Bóg, że posiada najwyższe przymioty, że jest wszechmocny, że całe szczęście i dobrobyt od Niego posiadamy, że rodziców szanować i słuchać należy, że bliźniego krzywdzić nie trzeba, że swoje społeczeństwo winniśmy kochać i wszystko dlań poświęcać itd., w całym tym, choćby najdalej przeciągniętym szeregu, spotykać będziemy artykuły wiary, dotyczące najrozmaitszych przedmiotów, a tylko prawie nigdy nie znajdziemy takiego, który by nam nakazywał jedno uczucie, mianowicie cześć dla nauki. W powszechnie używanym katechizmie rodzinnym taki artykuł wcale nie istnieje. To znaczy, że nie ma w nim maksymy, która by mówiła dziecku ponad wszystko, co czić będziesz najwyżej, stawiając prawdę bez względu na to, z jakiego ona wypływa źródła i jakie w tobie nawyknięcia pogwałci. Wiedza jest najsilniejszą potęgą, najwznioślejszą godnością, ona da ci szczęście, zadowolenie, dobrobyt, ona cię uczyni wielkim, sławnym, mądrym i uczciwym. Możesz dumnie czoło wzniesić i nie poddać się żadnemu uczuciu, ale przed tą wszechwładną boginią ukorzyć się musisz. Ta to, mówimy, myśl nie weszła dotąd w skład rodzinnego katechizmu. A jednakże jest ona w nim tak konieczna i ważna, jak dogmaty religijne, moralne i obywatelskie...¹⁾

Takie ustosunkowanie się do nauki dało Świętochowskiemu poczucie siły. Obcując sam na sam z nauką, w niej tylko znajdował pomoc w swych pracach, na niej tylko się opierał. Nie uznawał żadnych innych źródeł pomocy w działaniu i życiu ludzkim. Kto sam sobie w życiu rady dać nie

¹⁾ *Przegląd Tygodniowy*, 1873. Nr 40. Art. pt. „Katechizm rodzinny”.

może, dla kogo nawet nauka nie wystarcza, aby kierować jego postępowaniem — ten jest niedołęgą. Opieranie się na Bogu i wypatrywanie pomocy z nieba, alarmowanie Boga swymi kłopotami i zanudzanie Go żałami — to czyny niegodne człowieka. Zgadza się wprowadzić Świętochowski, że modlitwa może być potrzebą duszy, z chwilą jednak, gdy modlimy się, prosząc o łaski, okazujemy własną słabość. Prośba jest zawsze przyznaniem się do własnej słabości. Słabość ta jest czasem usprawiedliwiona, często jednak jest niedołęstwem; modlitwa, jako prośba o łaski, wynikająca z niedołęstwa, jest występkiem. Tylko nauka i tylko praca dają człowiekowi gwarancję osiągnięcia zamierzonych celów, więcej nawet, dają poczucie własnej siły, własnej potęgi, dają radość i niekłamane szczęście.¹⁾

Takie ustosunkowanie się do wiedzy i takie nieomal ubóstwianie jej nasuwają nam od razu na myśl pytania, czy też wiedza udzieliła istotnie Świętochowskiemu odpowiedzi na wszystkie zagadnienia, które stale i zawsze dręczą umysł człowieka i które niewątpliwie tego pisarza również obchodzić musiały? Czy wiedza, którą tak uwielbiał i sławił, mówiła mu coś o początku i końcu świata, o tym, z czego powstaliśmy i jaki jest nasz zasadniczy cel, czy tłumaczyła mu charakter tej sprawczej przyczyny, która rządzi wszechświatem? Otóż okazuje się, że właściwie ścisła nauka, którą posiadał Świętochowski, nic mu o tym wszystkim nie umiała powiedzieć. Tu, w życiu, w naszych codziennych pracach i kłopotach była mu ona przewodniczką wymarzoną, świętą, ale gdy tylko począł zagłębiać się w kwestie ogólniejsze, gdy tylko postawił sobie pytania ostateczne, tam mu jego nauka odpowiedzi nie udzieliła, bo sama ich nie posiada. I stąd rodził się głęboki pesymizm tego wielkiego pisarza i myśliciela.

„Okrutny to los ludzki! — pisał — pragnąć wydobyć się z bezdennej otchłani, a nie umieć wskazać żadnej trwałej opory, chcieć skryć się w inną postać, a nie wiedzieć, w jaką... Gdyby człowiek znał bezwzględna wartość każdej swojej myśli, strułby się własną rozpaczą.

¹⁾ Por. *Przegląd Tygodniowy*, 1872, Nr 34. Art. pt.: „Praca i modlitwa“.

...Bo czy jest w całej naszej wiedzy chociaż jedno pojęcie, o którego prawdziwości bylibyśmy całkowicie przekonani? Bynajmniej. Dwadzieścia już kilka wieków upłynęło, jak filozofia wydała straszny dla naszej wiedzy wyrok, który nam pozwala znać rzeczy tylko w tej formie, w jakiej one nam się przedstawiają, a nie w jakiej niezależnie od nas istnieją...¹⁾

Tak, stwierdzenie tego faktu jest wysoce bolesne, zwłaszcza dla umysłu, który tylko na sobie samym i na wiedzy polega i który chciałby wiedzieć wszystko. Z żalem Świętochowski stwierdza, że:

...doprawdy, nie tylko na niebie, ale i na ziemi nie ma nic pewnego. Nie podobna... niczemu ufać. Dla umysłu ścisłego nie ma prawd wiecznych, naigrawających się przesądom, bo każdy przesąd był kiedyś prawdą i znowu nią zostać może. Stoimy ciągle na tak ruchomym gruncie wiedzy, że nic na nim trwale zbudować się nie da...²⁾

A już najgorzej jest z tymi pytaniami ostatecznymi, dociekającymi początku i końca wszechrzeczy. Świętochowski pyta niby o wartość wiedzy, która nie zna przyczyny wszystkiego, co istnieje, ale odpowiedź na to pytanie daje wymijającą, nie chcąc dyskredytować tej wiedzy, którą sam uwielbia.

...Ach, znamy niby i odkrywamy rozmaite Początki — Cywilizacji, Sztuki, Prawa, Rolnictwa itd., ale smutne to są początki. Nauce zdaje się, że trafia na pierwsze wytryski jakiegoś potopu zjawisk, gdy tymczasem stoi przy szerokim biegu lub ujściu. A jak geografia ludzi się, mówiąc o źródłach rzek, podobnie wszystkie umiejętności łudzą się, mówiąc o początkach każdego szeregu zjawisk. Bo czyż źródłem rzeki jest jakiś strumień, który się spomiędzy skał wydobywa? Przecież i on nie powstaje z niczego i także musi mieć swoje źródło w gazach ziemi. A te gazy skąd się biorą? A skąd się biorą ich składniki? Rzeka jest bez początku... nie ma go podobnież żadna forma bytu.³⁾

Ciekawy to wniosek! Jeśli bowiem początku wszechrzeczy nie podobna wykryć, znaczy to, że tego początku nie ma! Jeśli nauka nie może dać odpowiedzi na powyższe py-

¹⁾ *Przegląd Tygodniowy*, 1876. Nr 24. „Dumania pesymisty”. To samo w wydaniu książeczkowym w Lublanie 1877.

²⁾ Tamże nr 24.

³⁾ Tamże.

tanie, to — pomimo wszelkich biadań — nie jest jej winą, lecz dowodem, że faktu badanego i poszukiwanego brak!

Oto nowe stwierdzenie, jak dalece Świętochowski opierał się tylko i wyłącznie na faktach, zaczerpniętych z nauki, jak wyłączał wszystko to, co nią nie było, a co mogło mieć choć odrobinę spójności z wiarą, czy choćby z prawdziwą metafizyką. Zgodnie z jego poglądami, światem całym rządzi wyłącznie prawa przyrody, siłą niezmiennej konieczności. Każde zjawisko posiada swą przyczynę i samo jest przyczyną dla następującego po nim skutku. Wszystko więc to, co w naszym rozumieniu jest celem istnienia, jest tylko „koniecznym następnikiem poprzednika, koniecznym skutkiem przyczyny”. Łańcuch przyczyn i skutków nie miał swego początku i nie będzie miał końca, śmierć jest tylko zmianą postaci istnienia. Daremnie doszukiwalibyśmy się pierwszej przyczyny, nauka nic nam o niej nie mówi, z jej punktu widzenia nawet ta „praprzyczyna” jest nielogicznością, bo sama skądżeby się wzięła?

A czy w tych naszych badaniach nie może nam w czymkolwiek pomóc religia? Zdaniem Świętochowskiego — w niczym! Jej tezy są niedostępne ścisłemu poznaniu, opierają się na objawieniu i na autorytetach, a więc na czynnikach, które są biegunowo przeciwne samodzielnemu i ufmemu w swe siły umysłowi. Więc w takim razie należałoby wyłączyć religię z życia społeczeństwa, bo do czegoż ona może być potrzebna? Owszem — zdaniem Świętochowskiego — religia jest, mimo wszystko, potrzebna; spełnia bowiem pewne zadanie i to ważne, ma swój cel, wprawdzie ściśle utylitarny, który jednak cenić i w należyтым szacunku mieć trzeba. Jest to mianowicie cel wychowania etycznego, zwłaszcza i przede wszystkim warstw niższych.

...Czy można być pewnym, że prosty chłopiec lub rzemieślnik, wychowany, tak jak Mill, bez religii, również jak on będzie niepokalanie uczciwym? Nigdy! Nawet wątpliwością w tym względzie okłamywać się nie powinniśmy. Dlaczego? Rachunek bardzo prosty. Gdyby w edukacji owego prostaczka zadania religii podjęły i spełniły inne wpływy, nadto, gdyby wpływy te były tak silne, złożone i szlachetne, jak w edukacji wspomnianego wielkiego myśliciela, rozumie się dodatni wynik byłby niezawodny.

Ale zamiana taka w tym wypadku skutecznic by się nie dała, zatem i religia przy roli swej pozostać musi.

...Oto są pobudki i zasady, które skłaniają nas do odrzucenia teorii bezreligijności, jako absolutnego i całość dzisiejszych stosunków obejmującego prawa...¹⁾

Tylko tyle... „Religia ma dla społeczeństw wielką użyteczną wartość, wartość etyczną...” gdyby nie to, to oczywiście nie byłaby zupełnie potrzebna, tak jak nie była potrzebna Millowi. Zostawmy ją przy tej roli, bo spełnia ją z zapałowaniem i jest przez to pożyteczna. Oczywiście, o którą i o jaką tu religię chodzi, to jest rzeczą absolutnie obojętną, bo wartości etyczno - wychowawcze posiada „w zasadzie każda, a przynajmniej zrodzona i dojrzała na gruncie cywilizacyjnego życia”. Nawet należy i trzeba wystrzegać się wszelkiej nietolerancji i fanatyzmu. Z drugiej strony przykład z Millem dowodzi jednak, że wiedza znakomicie zastępuje religię także i w zakresie wychowania i że bynajmniej nawet w tych kwestiach religia nie jest nie do zastąpienia. Chłopów i robotników oczywiście musi ona kształcić, ale już te sfery społeczne, które nie tylko mogą, ale nawet mają obowiązek ścisłego kształcenia swego umysłu, te powinny zrezygnować z metod najprostszych a „przestarzałych” i z wiedzy, a nie z religii, powinny wyciągać wskazówki moralne.²⁾

Kwestiami etycznymi zajął się Świętochowski w swej doktorskiej rozprawie, wydanej w Warszawie w 1877 r. pt.: *O powstaniu praw moralnych*. Założeniem tej pracy było, że wszelkie zagadnienia etyczne rozwiązane być mogą dopiero wtedy, gdy

...usunąwszy wszelkie aprioryczne pomysły, zwrócimy się bezpośrednio i jedynie po odpowiedź do tych faktów, w których metodą porównawczo-histeryczną doszukać się możemy początku i działania moralnych praw...

Usunięcie „apriorycznych pomysłów” znaczy, innymi słowy, usunięcie z naszej świadomości Boga, jako przyczyny sprawczej wszechrzeczy i nie uważanie Go za pierwszego prawodawcę i twórcę moralnego porządku na świecie.

¹⁾ *Przegląd Tygodniowy*, 1874. Nr 8. Art. „Nowe drogi”. Równouprawienia wyznań i pici.

²⁾ Por. *Przegląd Tygodniowy*. 1874. Nr 24. Art. „Nowe drogi”.

Świętochowski nie uważa Boga za źródło prawd i praw moralnych, szuka tych źródeł gdzie indziej. Przede wszystkim podważa twierdzenie, jakoby prawa moralne miały być powszechnymi. Bardzo długim szeregiem dowodów wykazuje, że np. u ludów dzikich nie znajduje się żadnych, nawet najprymitywniejszych zasad moralnych. To wszystko, co my obecnie uważamy za występki, a więc głównie zabójstwo, ludożerstwo, pohańbienie kobiety, brak uczciwości — to wszystko u tamtych ludów jest „na porządku dziennym”, jako coś zgoła naturalnego, nawet nie jako „zło konieczne”. Nie zdawano sobie sprawy z tego, że ten lub ów czyn może być hańbiący! Bo prawa moralne — zdaniem Świętochowskiego — nie są powszechne, ulegają ewolucji, udoskonalają się, a pochodzą z dwóch ludzkich „popędów”: samolubstwa i ze współczucia (miłości innych, pragnienia ich dobra). Prawa moralne, wynikające z tych „popędów” musiały znaleźć oparcie w woli ludzkiej, która przyjęła to wszystko, co zostało uznane za konieczne dla wspólnego życia. Jakiś Bóg przypuszczalnie istnieje, nie należy jednak mniemać, ażeby On sam określał swój stosunek do ludzi; wszystko, co jakoby ma być Jego wolą, bynajmniej nią nie jest, jest tylko wolą jednostek ludzkich, które chcąc łatwiej stworzone przez siebie prawa zaszczepić w umysłach i sercach najszerzych mas, przedstawiają je jako wolę Boga.¹⁾

Analiza powyższych poglądów Świętochowskiego tłumaczy nam już możliwie dokładnie, jaki był jego stosunek do religii i o ile w tych poglądach był on zależny od twórców pozytywizmu zachodnio-europejskiego, takich jak: Comte, Mill, Spencer, Renan, a nawet od szkoły materialistów niemieckich. Dokładne wyznaczenie wszelkich wpływów tych pisarzy i filozofów na rozwój jego poglądów musiałoby być tematem obszernego i bardzo skrupulatnego studium. Wspomnijmy jeszcze tylko, że przez całe swoje życie Świętochowski walczył uparcie z wielkimi kanonami, przepisami, regułami, które nie wynikając bezpośrednio z konieczności życiowych, krępowały i hamowały — jego zdaniem — swobodny rozwój człowieka. Nazywał to walką

¹⁾ Por. *O powstaniu praw moralnych*, str. 248.

o prawa człowieka i dawał temu wyraz zarówno w swej obfitej pracy publicystycznej, jak też i w działalności czysto literackiej. Posłuchajmy, co w tej sprawie mówi ustami jednej ze swych bohatererek (Reginy) w dramacie pt. *Ojciec Makary*:

...Ze wszystkiego co mi się od ludzi należy, najbardziej strzegę moich praw człowieczych. Jestem dla siebie ogniskiem stworzenia. Dla nikogo z musu się nie poświęcę, cnoty w umartwieniu znać nie chcę, obowiązku zapomnienia o sobie nie rozumiem. Niech inni przechodzą życie nie zauważywszy siebie — mnie ten nimbus pokory nie wabi.

Te dumne słowa stają się dopiero wówczas całkowicie zrozumiałe, gdy uzupełnimy je słowami Ariosa z pięknego poematu Świętochowskiego pt. *Duchy*. Arios, postać abstrakcyjna, jest symbolem wszelkich ludzkich cierpień. Walczył o szczęście dla ludzi, ostatecznie jednak zginął, nie wyzwoliwszy człowieka, bo temu zawsze i stale ktoś rozkazywał, czy to partia, czy społeczeństwo, czy rodzina, czy też religia. Człowiek nie był nigdy i nie jest wolny. Żaden ustrój społeczny nie będzie dobry, jeśli nie weźmie pod uwagę szczęścia osobistego poszczególnego człowieka, a będzie chciał tylko uszczęśliwiać grupy. Poglądy Ariosa streszczają się w słowach następujących:

...Nie bądź panem, ani sługą, ani pokutnikiem, ani bogiem; bogów przenieś z nieba na ziemię, a ludzi z ziemi do nieba, nie przywłaszczaj sobie żadnego prawa nad ludźmi, nie bądź niczyją własnością i nikogo nie uważaj za swoją własność; jeśli wydarłeś komuś atom, jesteś takim złodziejem, jakbyś mu ukradł wszechświat; dbaj nie o ludzkość, nie o naród, nie o stronnictwo, ale o człowieka; człowiek nie ma lepszego sposobu uszczęśliwienia ludzkości nad udoskonalenie siebie.

A więc wyzwolenie człowieka z wszelkich krępujących go więzów, oszczędzanie mu przede wszystkim cierpienia, na które nie zasłużył, dostarczanie mu możliwości rozwoju, jakiego jest godny. To wszystko w imię miłości. Nie tej oczywiście miłości, jaką nakazuje również katolicyzm, lecz miłości wyrozumowanej, wypływającej z konkretnych konieczności ustroju życia.

Sumując wszystkie wyniki, do których można było dojść na podstawie badań twórczości Świętochowskiego, na-

leży stwierdzić ogólnie, że była to organizacja psychiczna areligijna; dla umysłów świątłych, wykształconych nie widział żadnych korzyści z obcowania z prawdami religijnymi, wartość przypisywał tym prawdom jedynie i wyłącznie w kwestiach wychowania niższych warstw społeczeństwa. Ponad wszystko w świecie uwielbiał ścisłą wiedzę. Szanował ją i wszystkich, którzy jej służyli. Cenił wolność w postępowaniu człowieka, nie uznawał żadnych zewnętrznych więzów, które by mogły przeszkodzić człowiekowi w rozwijaniu jego wartości osobistych i utrudniać osiąganie postawionych przez siebie celów.

Jednostką jednak antyreligijną, bezbożniczą Świętochowski mimo wszystko nie był. Przede wszystkim uznawał wspomniane wyżej wartości wychowawcze religii, poza tym tęsknił sam do takiej religii, która by odpowiadała nie tak, jak wszystkie dotychczasowe, tylko niższym warstwom społecznym, lecz która mogłaby się stać również odpowiednią dla arystokratów myśli. Takie są w tym przedmiocie jego zwierzenia, uczynione w rozmowie z Alfredem Nossigiem:

...Czasy nasze to epoka zajęta wyłącznie kwestią najtańszej produkcji. Lecz póki nie będą rozwiązane zagadki świata, póty religia, jako system łatwego i uspokajającego poznania, będzie dla ludu niezbędną i istnieć nie przestanie. Czy powstanie nowa jakaś religia inteligencji? Któż to przewidzieć może? Co do mnie, chętniebym należał do takiej gminy wybranej i nieraz czuję potrzebę zetknięcia się z ludźmi, którzy mają „ów worek czystego powietrza z gór przyniesionego”... Wśród tej gonitwy materialistycznej, wśród tych walk drapieżnych, tego rozkładu i rozkwitu, które cechują nasze czasy, widzę nieraz błyski, zwiastujące jakąś Niedzielę ludzkości i wierzę, że po naszych czasach przyjdzie okres, w którym człowiek porzuci to nurzanie się całkowite w błocie zarobkowania i pójdzie znowu za hasłami lepszymi, czystszyimi!...

Widać z tych słów, że wiedza nie rozwiązała Świętochowskiemu zasadniczych zagadek życia, nie zaspokoila jego wewnętrznych tęsknot. Katolicyzmu nigdy głębiej nie poznał, to też nie zaznał tego ukojenia, jakie daje pełnia prawdy. W swej ideologii pozytywizmu pozostał osamotniony. W pokoleniu młodszym nie znalazł już echa, przemawiał językiem przeszłości, któremu na dobitkę brakło podstaw

tak przez niego uwielbianej wiedzy. Jak bowiem wyglądają w świetle nowoczesnej etnologii religioznawczej choćby tak zasadnicze dla konstrukcji myślowej Świętochowskiego twierdzenia o rzekomym amoralizmie ludów pierwotnych?! A takich pozycji przegranych przez pozytywizm i renanowski sceptycyzm na polu nauki jest cały szereg. To też spuścizna po Świętochowskim myślicielu i publicyście zamyka się w ramach przeszłości; okaleczona w zagadnieniach tak zasadniczych i żywotnych dla polskiego narodu, jak katolicyzm i oparta na nim etyka — nie przemówi do przekonania pokoleń, które idą, bo dla nich pozytywizm minął!

Mgr Henryk Zasada.

Założenia poznawcze katolickiej ideologii wychowawczej.

Katolicka ideologia wychowawcza, to najpotężniejszy system przekształcania dusz ludzkich, jaki kiedykolwiek istniał. Jego wielkość zaznacza się równomiernie w dziedzinie ilości i jakości. Akcja wychowawcza Kościoła trwa od dziewiętnastu stuleci i obejmuje dziś wszystkie narody; nawet do ludów najpierwotniejszych docierają misjonarze katoliccy, a również i wśród odstępców działają jawne lub ukryte placówki apostołskie. Jakościowo wpływ ten sięga głębiej niż jakakolwiek inna ideologia, bo wymaga zupełnego opanowania własnej natury i ujęcia jej w karby racjonalnych praw, — a w najwyższej fazie rozwoju prowadzi do życia mistycznego i zupełnego wyrzeczenia się siebie. Regulacja ta dotyczy nie tylko i nie tyle zewnętrznych sposobów postępowania, ale i najgłębszej postawy duchowej, intencji i sumienia.

Ta niezwykła jednolitość czasowo-przestrzenna istotnych zasad katolicyzmu, przy równoczesnym jego dostosowywaniu się do najbardziej różnorodnych warunków, dążeń i poziomów, jest niezwykłym zjawiskiem socjologicznym. Spróbujemy w miarę możliwości wyjaśnić ten niezwykły fenomen. Przyczyni się do tego przede wszystkim analiza założeń poznawczych katolickiej ideologii wychowawczej.

1. Istota i znaczenie założeń poznawczych.

Założenia poznawcze, stanowiąc stałą podstawę myślową i zarazem punkt wyjścia całej ideologii, dają się sprowadzić do zawartych w nich sądów egzystencjalnych (tj. orzekających istnienie danego obiektu), stwier-

dzających (jakiś stan rzeczy, cechy, przebiegi, możliwości itp.) i tłumaczących (przyczyny). Konkretnie przejawiają się one w najróżniejszych postaciach jako dogmaty i niesprecyzowane wierzenia, przekonania, idee, formuły, teorie i doktryny, a nawet całe systemy filozoficzne lub ideologie, a także jako pewne będące w obiegu popularne skróty myślowe, frazeologie, przysłowia, zwroty utarte. Dodać trzeba również „język”, którym się dana ideologia posługuje, a więc cały zasób terminów, przejętych w formie gotowej i mających za sobą już swoją historię.

Odróżnić trzeba tu założenia podstawowe, oraz wtórne, które już się z tych pierwszych dadzą wyprowadzić, jako wnioski, mniej lub więcej logicznie uzasadnione, czy nawet nieodzowne. Założeń może być więcej; nie muszą one bynajmniej tworzyć logicznie skoordynowanego systemu. Wyjściowymi nazwiemy te założenia, które stanowią punkt wyjścia całego systemu (mogą one być podstawowe lub wtórne). Zdarza się nieraz, że w jakiejś ideologii spotkamy kilka nieuzgodnionych, a czasem nawet ze sobą sprzecznych założeń wyjściowych.¹⁾ Ich powiązanie wytwarza się historycznie, nieraz i wbrew logice. Błędy mogą się kryć i we wnioskach, najczęściej leżą one jednak już w samych założeniach. Ujawnia się to nieraz dopiero w późniejszych fazach rozwoju danej ideologii.

Przy badaniu znaczenia poszczególnych założeń trzeba rozróżnić ich subiektywne uzasadnienie w nawygnięciach myślowych, tradycjach czy sformułowaniach — i obiektywne wartości logiczne całego systemu. Tylko ten drugi typ uzasadnienia może zapewnić trwałość, czy nawet, w pewnych warunkach, niezniszczalność systemu.

Na ogół powiedzieć można, że trwałość systemu ideologicznego będzie tym większa, im mniej będzie on miał za-

¹⁾ Sprzeczność taką wykazano m. in. w założeniach ideologii hitleryzmu. Tak np. nie da się przejąć od Gobineau'a przekonanie o tym, że panująca warstwa danego narodu ma inne pochodzenie rasowe, pogodzić z tezą o wspólności krwi całego narodu — niezależnie od tego, czy wspólnotę traktuje się jako skutek genetycznej jednolitości czy też nie. (Patrz Junius: „Poglądy społeczne Adolfa Hitlera. *Kultura i Wychowanie*. 1938, zeszyt IV, str. 306).

łożeń podstawowych.¹⁾ Każde bowiem z tych założeń jest „połem obstrzału” dla krytyki słusznej lub niesłusznej i wymaga dla siebie, ze stanowiska logiczno-poznawczego, osobnego aktu wiary czy też stwierdzenia. Założenia wtórne mogą wprowadzić również stanowić przedmiot krytycznej oceny, lecz będzie ona tak długo nieszkodliwą, dopóki się nie podważy założeń podstawowych.

...Tak np. gdyby ktoś zabrał się do atakowania dogmatu Niepokalanego Poczęcia, krytyka jego będzie tak długo bezsilna, dopóki nie podetnie założenia wyjściowego, jakim w tym wypadku jest nieomyślność papieska, którą znowu sprowadzić trzeba do podstawowego założenia prawdziwości Ewangelii. Można by tu więc mówić o kilku stopniach „fundamentalności”.

2. Katolicyzm jako założenie poznawcze.

Sformułowane tu kryteria pozwolą nam już lepiej zrozumieć tajemnicę trwałości i elastyczności katolickiej ideologii wychowawczej. Traktując ideologię tę jako komplet zasad i konkretyzacji, odnoszących się do zagadnień wychowawczych, musimy katolicyzm jako taki, potraktować tu jako dany już system założeń. W myśl postawionych powyżej zasad nie będziemy już jednak całości kształtu religii katolickiej brać jako założenia ideologii wychowawczej katolicyzmu, — bo zawiera ona szereg prawd, które są ważne dla zrozumienia świata, historii i zbawienia, jak np. dogmat Niepokalanego Poczęcia, ale na sam system wychowawczy nie wywierają bezpośrednio zasadniczego wpływu, chyba okazyjnie i ubocznie. Dążyć więc będziemy do tego, by wszystkie założenia zredukować do możliwie nielicznych założeń podstawowych. Sponując prawidłowość wniosków sprowadza się wtedy konieczność decyzji światopoglądowych do rozstrzygnięcia nielicznych alternatyw.

W wyniku tej redukcji okazuje się nam odkryty fundament myślowy katolickiej ideologii wychowawczej w całej swej monumentalnej prostocie i ujawnia się niezwykła

¹⁾ Zasada ta zaznacza się szczególnie jasno w naukach dedukcyjnych, stanowiących zawsze wzór logicznej ścisłości. Dąży się tam do tego, by jak najbardziej zredukować ilość podstawowych aksjomatów (por. dr J. Metallmann: *Wprowadzenie do zagadnień filozoficznych* I. Kraków 1939, str. 115).

zwartość jego powiązań myślowych. System ten ukazuje się jako konstrukcja najbardziej racjonalna, a przy tym dająca odpowiedź na najgłębsze i najtrudniejsze problemy metafizyczne i etyczne i to odpowiedź, ważną dla różnych poziomów intelektualnych i dostosowaną do najbardziej odmiennych warunków, a przy tym zawsze w istotnej swej treści identyczną. Katolicyzm, jak stwierdza prof. Karol Adam¹⁾ jest zawsze ten sam, wczoraj i dzisiaj, i istota jego była gotowa i poznawalna, gdy rozpoczynał swój pochod w świat. Na tym polega właśnie sens uniwersalizmu katolickiego. Jest to pogląd na świat, w którym, jak to już Mikołaj z Kuzy stwierdził, gubią się w harmonijnej syntezie największe skrajności (*Coincidentia oppositorum*).

...Mamy więc swoistą i bezbłędną syntezę antynomii kosmicznych, jak transcendentyzm (Bóg jest zupełnie niedostępny, poza światem) i immanentyzm (Bóg jest światem), gnostycyzm (chcący Boga ludzkimi środkami przeniknąć) i agnostycyzm, głoszący jego niepoznawalność, mamy interpretację przyrody dynamistyczną i mechanistyczną.

W Chrystusie jako Bogu-Człowieku rozwiązują się również główne problemy dotyczące człowieka. Z faktu wcielenia wynikają według Newmana następujące zasady: a) Dogmat tj. istnienie prawd nadprzyrodzonych, nieodwołalnych, choć wyrażonych w niedoskonałym języku, ale ostatecznych i koniecznych; b) wiara (przyjęcie słowa Bożego bez zastrzeżeń, z wewnętrznym przywiązaniem); c) uznanie wiary za akt rozumu; d) sakramenty (jako dar łaski Bożej w formie widzialnej); e) łaska; f) ascetyzm (jako dążność do pokonania niższej natury ludzkiej, celem utworzenia drogi łasce); g) złość grzechu (tj. jego uznanie za sprzeciwienie się Najwyższemu Dobru); h) stwierdzenie, że ciało jako część naszej osoby, ma również zdolność do uświęcania się.

Dalej mamy tu drogę pośrednią między takimi skrajnościami jak jansenizm, sprowadzający wszystko do działania łaski, i pelagianizm, uznawający jedynie samą naturę. (Nie natura albo łaska, ale natura i łaska). W katolicyzmie schodzi się idealizm filozoficzny (Platon, Augustyn), z realizmem (Arystoteles, św. Tomasz.²⁾ Były czasy, gdy Kościół musiał bronić wartości ciała (przed gnozą). Dziś przeciwnie musi on wy-

¹⁾ Karol Adam: *Istota Katolicyzmu*. Tłum. ks. Korzonkiewicza. Poznań 1930, str. 10.

²⁾ Fr. De Hovre: *Le Catholicisme*. Ses Pédagogues. Sa Pédagogie. — Trad. par. G. Simeon. Bruxelles 1930, str. 46—73.

stępować w obronie ducha. W katolicyzmie wreszcie godzi się nacjonalizm ze supranaturalizmem (tj. uznaniem czynnika nadprzyrodzonego), intelektualizm i woluntaryzm, indeterminizm i świadomość granic wolności, optymizm i pesymizm (niebo i piekło), wyrzeczenie się siebie z najsilniejszym podkreśleniem znaczenia jednostki, wynikającym z uznania nieśmiertelności duszy (personalizm), a pokora z poczuciem wszechpotęgi człowieka (w oparciu o Boga) i jego najwyższej godności (jako istoty, stworzonej na podobieństwo Boże).

W katolicyzmie, jako społeczności doskonałej, godzą się też wszystkie antynomie socjologiczne. Religia wiąże się z kulturą, samorządność z inność, postępek z tradycją, nacjonalizm z internacjonalizmem, a arystokracja z demokracją.

Ta niewzruszona, w wiekowych walkach z wszystkimi możliwymi jednostronnościami wypróbowana syntetyczność, logika, spoistość wewnętrzna i konsekwencja systemu myślowego katolicyzmu tłumaczy jego zdolność dostosowywania się do wszystkich warunków, a równocześnie bezwzględną trwałość i nienaruszalną żywotność, dzięki której założenia te dziś, po dziewiętnastu stuleciach, nie wydają się mniej utrwalone niż w okresie młodości chrześcijaństwa i jego prób ogniowych, przeciwnie można stwierdzić, że w miarę rozwoju i ufundowanie logiczne uwypukla się coraz lepiej (co zresztą nie wpływa hamująco na siłę natarcia przeciwników ideologicznych). Trwałość ta nie oznacza jednak, że w każdym okresie dziejowym świadomość siły tych fundamentów była równie silna. Nie było okresu zupełnej niewiary i ogólnego odstępstwa, ale były czasy, w których zdawać się mogło, że prąd dziejowy popłynął innym korytem, a katolicyzm pozostał jakby wyspa, falami tymi oblana, nieruchoma, ale pozbawiona udziału w wielkich rozgrywkach. Porównanie takie byłoby jednak o tyle błędne, że katolicyzm zawsze był partnerem w walkach o rządy nad duszami, tylko, że w walce tej został on od czasu renesansu (z krótkimi przerwami) zepchnięty w znacznej mierze do roli obronnej. Były to czasy, w których kolejno podważano: najpierw jedność organizacji (reformacja), potem samo objawienie (racjonalizm, deizm), a w końcu i stanowiącą podstawę chrześcijaństwa religię naturalną, samą wiarę

w istnienie Boga (materializm i bezbożnictwo). Za naszych dopiero dni zaczyna się nowa ofensywa katolicyzmu, zdynamizowana przez Piusa XI; jej warunkiem był nowy przypływ wiary, umocnienie świadomości ufundowania tych założeń, na których się katolicka ideologia wychowawcza opiera.

3. Założenie podstawowe katolicyzmu.

O ile podejmiemy z naszą metodą redukcyjno-strukturalną do katolicyzmu jako systemu światopoglądowego, przekonamy się, że cały ten system da się wyprowadzić z jednego tylko założenia podstawowego, mianowicie z prawdziwości faktów i wypowiedzeń, podanych przez Nowy Testament, a nawet i przez same Ewangelię. W nich bowiem jest już zawarty zrab tych najistotniejszych zasad, na których się opiera katolicka ideologia wychowawcza, mianowicie istotny program przekształcenia dusz ludzkich, a przede wszystkim zasadniczy fakt Boskości Chrystusa, bez której uznania cały system w konsekwencji upaść musi. Mamy tu bowiem alternatywę: albo Chrystus mówi prawdę, i wtedy jest Synem Bożym, a cała Jego nauka ma Boskie poręczenie, ustanowione zaś przez Niego sakramenty są źródłem łaski, albo też wszystko jest złudzeniem, czy zgoła oszustwem¹⁾.

Można by zarzucić, że nauka podana w Ewangeliach opiera się sama na pewnych założeniach, jak przede wszystkim istnienie osobowego Boga, wolność woli i upadek pierwszego człowieka; wymagane jest tu więc uznanie prawdziwości głównych zasad objawienia Starego Testamentu. Nieodzowne dla całości nauki są też niewątpliwie Dzieje Apostolskie, Listy, Apokalipsa i tradycja. Mimo to, podtrzymujemy tezę, że starczy uznać prawdziwość Ewangelii, by uzyskać podstawy dostateczne, z których wszystkie zasad-

¹⁾ Badania chrystologiczne tzw. szkoły mitologicznej i historycznej mają tę bezsprzeczną zasługę, że wykazały one niemożliwość przypuszczenia, iż Chrystus został dopiero w późniejszych wiekach za Syna Bożego uznany. Stwierdzono bowiem, że cała chrześcijańska literatura uważała Chrystusa za Boga-Człowieka. Patrz prof. K. Adam: *Jezus Chrystus*, tłum. pol. Poznań 1935, str. 30.

nicze założenia wtórne wyprowadzić można. Nie znaczy to bynajmniej, że chcemy odrzucać dalsze części Objawienia łącznie ze Starym Testamentem lub tradycją. Wiemy, że historyczne fakty odrzucenia niektórych ogniw (np. tradycji przez Lutra) doprowadzały zawsze do zachwiania całej konstrukcji i zerwania z Kościołem. Stawiamy jednak tezę, że przy prawidłowym wnioskowaniu można z wyznania Ewangelii wysnuć i konieczność uznania tamtych części objawienia. Przesłanką środkową jest tu powierzenie apostołom przez Chrystusa władzy nauczania (Mat. XXVIII, 19, 20; Mar. XVI, 15, 16; Łuk. XXIV, 27, 29) i obietnica: „Oto ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata”, związana z nadaniem Piotrowi władzy nad Kościołem (Jan XXI, 15, 17). W tekstach tych zawarta jest obietnica, dana Kościołowi, że Chrystus będzie z nim, a zatem nie pozwoli mu też błędnie nauczać. Kto teksty te uzna za prawdziwe, ten musi uznać władzę nauczycielską Kościoła, a zatem i kanoniczność dalszych pism, tradycji, oraz prawdziwość dogmatów. „Musi” znaczy to oczywiście tylko tyle, że jest to logicznie potrzebne, o ile się nie chce popełnić niekonsekwencji ani dowolnie interpretować jasnych zupełnie wypowiedzeń. Zmusza do tego każde konsekwentne przemyślenie faktów Ewangelii, która bez tych wtórnych założeń musi zawisnąć w powietrzu. Wiemy oczywiście, że w dziejach Kościoła aż nazbyt częste zdarzały się takie niekonsekwencje. Stwierdzenie tych faktów i wniosków nie jest jeszcze zejściem z drogi referującego obiektywizmu poznawczego, gdyż samo uznanie prawdziwości Ewangelii w ogóle, a podanych tekstów w szczególności, pozostaje do wolnego wyboru każdego; tu bowiem leży punkt ciężkości rozstrzygnięć światopoglądowych. Dopiero jednak w całokształcie systemu uwypukla się działanie tego ogniwa myślowego, jakim jest stworzenie przez Chrystusa upoważnionej do autorytatywnej interpretacji Jego słów instytucji. Bez tego całość Jego nauki byłaby pozbawiona sensu, gdyż wpływ Jego ograniczyłby się do bezpośrednich uczniów. To też jedynie pewna droga do Chrystusa wiedzie przez Kościół. Wprawdzie uczą nas historie wielkich konwertytów, że można różnymi drogami dojść do uznania prawdziwości ewange-

licznych nauk. Ze stanowiska naszej metody redukcyjnej i strukturalnej chodzi nam jednak nie o subiektywną drogę poznania, ale o obiektywną konstrukcję logiczną; dla jej uchwycenia wystarczy tu wskazać na centralne węzły logiczne tego potężnego systemu, w którym się wyraża katolicki pogląd na świat.

...Nie leży to w zakresie naszych zadań, ani w naszej kompetencji uzasadniać prawdziwość tych założeń. Nawiasowo jedynie chcielibyśmy wskazać na ewolucję poglądów, jaka się w tej dziedzinie dokonała w ciągu ostatnich dziesiętności lat, i na argumenty, którymi może operować obóz katolicki.

Atak na prawdziwość Ewangelii, uznawaną jeszcze w całej pełni przez Reformację, która zachowała przesłanki, a odrzuciła wnioski, rozpoczął w epoce racjonalizmu niejaki Reimarus († 1768 r.), który zresztą sam nie miał odwagi opublikować swego dzieła¹⁾. Postawił on tezę, że cuda Chrystusa były oszustwem, którego dokonywał On w ten sposób, że uczniowie uzdrawiali ślepych, których On potem leczył. Po tej samej linii mniej lub więcej naiwnego „demaskowania” idą teologowie szkoły tybińskiej: Jan Jakub Hess († 1781 r.) Reinhard, Herder, Opitz, Jacobi, Schleiermacher. Drugi etap tej walki z Ewangelią rozpoczyna wystąpienie Dawida Fryderyka Straussa²⁾ i jego następców. Szkoła

¹⁾ Opublikował je Lessing, wybitny członek loży wolnomularskiej, w r. 1773 pod niewinną nazwą *Beiträge zur Geschichte und Litteratur aus den Schätzen der Herzoglichen Bibliothek in Wolfenbüttel*.

²⁾ David Fridrich Strauss: *Das Leben Jesu für das deutsche Volk bearbeitet*, dwa tomy. Verlag von Emil Strauss IX—XI. Stereotyp — Auflage. Pierwsze wydanie ukazało się w roku 1835 i było przeznaczone dla fachowców. Po latach, gdy praca stała się głośna, nakładca Emil Strauss uznał, że naród niemiecki dojrzał już do przyjęcia tej nowej nauki. O tym, że nie brakło autorowi przedmowy, tupetu, świadczą takie słowa które pisze o autorze książki: „Diese Aufgabe (poddanie krytyce osnowy Ewangelii) hat er mit einer so überlegenen Meisterschaft gelöst, das die ganze bisherige Behandlung der Evangelischen Geschichte, die rationalistische, so gut wie die supra naturalistische, mit einem Schlage für immer zur wissenschaftlichen Unmöglichkeit gemacht...” (str. VI). Dla oceny argumentacji tego autora wystarczy taki przykład: „Bei den beiden Evangelien möchten die Zeugnisse für ihre apostolische Abfassung noch so alt und einstimmig sein, wir werden ihnen doch keinen Glauben schenken, weil der Augenschein wieder spricht“ (tom II, str. 383). Zdaje się, że byłoby wdzięcznym zadaniem zanalizować tendencję tego autora i jego kontynuatorów przy pomocy metod nowoczesnej socjologii wiedzy. Patrz na ten temat: Max Scheler: *Die Wissensformen und die Gesellschaft*. Leipzig 1926 i K. Mannheim: *Sociologia wiedzy*. Tłumaczenie polskie. *Przegl. Socjol.* V. 1937.

ta kwestionuje już samo istnienie Chrystusa, robiąc z niego postać legendarną. Szkoła ta nie rozumie, że mif legendarny nie mógłby iść w przeciwnym kierunku, niż tego wymagały interesy i dążenia narodu żydowskiego oraz wrodzone skłonności natury ludzkiej. Jest to więc konstrukcja, której zarzucić można, że uznaje skutek bez przyczyny. Groteskowy wprost charakter ma koncepcja Brunona Bauera (*Christus und Die Cesaren*), który głosi, że Ewangelia swój wzór moralny Zbawiciela wzięła z przykładu Cezarów rzymskich. Interpretację bardziej już nowoczesną, bo opartą na zasadach „socjologizmu” w stylu Durkheima daje Kalthoff, który uważa, że Chrystus jest skonstruowanym przez grupę twórcą i wyrazem dążeń socjalnych. Wiliam Benjamin Smith (*Der vorchristlicher Jesus*. Giessen, 1906 r.) wslawił się tezą, że Chrystusa wymyślono dlatego, że przepowiednie mesjańskie się nie ziściły.¹⁾

Znamieniem odwrotu od prób skrajnych jest nowszy prąd krytycyzmu antychrześcijańskiego, którego twórcą i sztandarowym wyrazicielem był Renan. Uznaje on Chrystusa za postać historyczną, ale robi z niego zwykłego człowieka, którego przedstawia z wielkim pietyzmem literackim jako najszlachetniejszego marzyciela.

Oba te diametralnie ze sobą sprzeczne kierunki, których sztandarowymi przedstawicielami byli: Strauss i Renan, dziś już należą do historii i u nowszych badaczy stwierdzić można tylko bardzo nikłe i dalekie odgłosy owych hipotez; dziś już — jak stwierdza ks. dr Dąbrowski — dzięki najnowszym odkryciom, nawet najbardziej oporni uczeni uznać musieli, że Ewangelie powstały jednak w ciągu pierwszego stulecia po Chrystusie,²⁾ co jest niewątpliwie rzeczą decydującą, gdyż wobec krótkości czasu, jaki upłynął między wydarzeniami a ich opisaniem i wobec niewątpliwego pozostawania przy życiu świadków naocznych, upadają możliwości zasadniczych zniekształceń, czy nawet stopniowego narastania legendy.

Nie znaczy to jednak, że walka o prawdziwość Ewangelii skończyła się wraz z załamaniem się tych dawniejszych prób. Pozytywizm i materializm nie może się pogodzić z prawdziwością Ewangelii, bo oznaczałoby to podpisanie na siebie wyroku śmierci. Ciekawą jest rzeczą śledzenie, jak nieraz nawet u wybitnych uczonych krzyżują się sprzeczne z sobą tendencje: z jednej strony do ratowania chrześcijaństwa (co nawet dla te-

¹⁾ Ks. dr Jan Szymeczko: *Jezus Chrystus w świetle najstarszych dokumentów literackich*. Kraków 1913, str. 27—42.

²⁾ Ks. prof. dr E. Dąbrowski: *Ewangelie, ich powstanie i rodzaj literacki*. Warszawa 1939, str. 5. Orzeczenia Komisji Biblijnej z roku 1911. Patrz H. Denzinger et Cl. Bannwart S. J. *Enchiridion Symbolorum, definitionum et declarationum*. Freiburg im Br. 1928, str. 592.

ologów protestanckich wiąże się z ich racją bytu jako przedstawicieli religii),¹⁾ a z drugiej do „naukowości” myślenia, zgodnego z zasadami epoki pozytywizmu.²⁾

Do dziś jeszcze istnieje kierunek radykalny, zresztą ilościowo i jakościowo słaby (szczególnie ze względu na wątpliwe metody), stanowiący kontynuację szkoły Straussa; posuwa się on aż do negacji istnienia historycznej postaci Chrystusa. Przedstawicielami tego kierunku są: J. M. Robertson, A. Drews, Andrzej Niemojewski a ostatnio B. L. Couchoud (*Le Mystère de Jésus*). Autorzy ci zyskali sobie popularność przede wszystkim na terenie Rosji bolszewickiej; w Europie bierze się ich na serio jedynie w tych kołach, które niezbyt się troszczą o wartość naukową argumentów, lecz szukają pseudonaukowych „dowodów” dla uzasadnienia z góry przyjętych zasad ideologicznych (podobnie jak czynił Strauss w cytowanym już ustępie).

Najliczniejszych wyznawców ma tzw. szkoła liberalna, do której oprócz Harnacka zalicza się H. J. Holtzmanna, O. Pfleiderera i H. Lietzmanna. Kierunek ten opiera się na tzw. teorii dwóch źródeł, z których jednym jest Ewangelia św. Marka wzgl. jej prototyp, a drugim nieznany nam bliżej zbiór nauk o Chrystusie.³⁾ Badacze tej szkoły, dążą do uprawdopodobnienia Ewangelii przez wyeliminowanie z niej tego, co nie godzi się ze sposobami

¹⁾ Zarzuca to teologom Emil Strauss, autor cytowanej przedmowy (l. c. str. XX).

²⁾ Wyśmienitą ilustracją może być takie rozumowanie słynnego teologa protestanckiego A. Harnacka: uznaje on wpływ ducha (silnej woli i wiary) na ciało i stwierdza: że kulawi zaczęli chodzić, że ślepi przewidzieli, a głusi usłyszeli, tego nie można tak od razu odrzucić; ale aby np. burza mogła być jednym słowem uśmierzona, w to już nigdy nie uwierzemy (*Das Wesen des Christentums*, Leipzig 1900, str. 18). Gdyby Harnack przemyślał przesłanki logiczne i konsekwencje swego myślenia, musiałby uznać, że albo (co autor uznaje) istnieje możliwość działania na materię — i Chrystus z tej możliwości korzystał — a wtedy mógł działać również i na siły przyrody — albo nie, wtedy nie mógł również leczyć ślepych, głuchych czy chorych. Uznanie możliwości cudów nie jest bynajmniej „tezą o częściowej zasadniczej irracjonalności świata” jak twierdzi doc. dr A. Wiegner (W sprawie dowodów, twierdzeń o ponadnaturalnym charakterze pewnych zdarzeń lub zjawisk. Odb. z *Przegl. Filoz.*, zeszyt III, r. 1930, s. 2), gdyż możliwość interwencji Bożej w formie bezpośredniego wpływu ducha na materię jest jednym z założeń filozoficznych o charakterze ściśle racjonalnego postulatu — i nie opiera się bynajmniej na negacji możliwości racjonalnego wytłumaczenia, gdyż jest to właśnie tłumaczenie, które samo uważa się za racjonalne.

³⁾ Dąbrowski l. c. str. 8 nast.

myślenia epoki pozytywizmu. Chcąc wyłączyć cuda, jako rzecz *a priori* niemożliwą, stworzyli specjalne kryteria historyczne, przy pomocy których próbują oddzielić prawdę historyczną od legendy. Słusznie zarzuca temu kierunkowi ks. Dąbrowski,¹⁾ że chcąc Ewangelię uczynić prawdopodobną, uczynili oni samo chrześcijaństwo nieprawdopodobnym, bo jak sam Couchoud — tym razem słusznie — stwierdza, barki tak pojętego Chrystusa są za słabe, by udźwignąć gmach chrześcijaństwa. Istotnie trzeba by tu wykazać, jak było psychologicznie możliwe, by apostołowie decydowali się na ofiarę życia i wyrzeczenie się wszelkich jego rozkoszy w imię nauki, którą sami sfałszowali. Bez tego fałszerstwa nie można by wprowadzić wiary w bóstwo Chrystusa, istniejącej już niewątpliwie od samego początku. I nie pomoże tu nic szukanie analogii w innych religiach i doszukiwanie się ich źródeł w astrologii, jak to czynią Reitzenstein czy Niemojewski. Nikt nie kwestionuje wpływu historycznego środowiska na Ewangelię, ale nikomu nie udało się dowieść, że wpływ ten zaważył na opisach życia Chrystusa i treści jego nauki.²⁾ Mimo wszystko próby obalenia faktów ewangelicznych nie ustają i chyba ustać nie mogą, gdyż inaczej ludzkość musiałaby się zdecydować na przyjęcie Ewangelii, albo też zrezygnować z uzasadnienia swej negacji. Najnowsze kierunki to tzw. eschatologizm i nie dająca się przetłumaczyć *Formgeschichtliche Methode*. Eschatologizm rozwijał głównie krytyk J. Weiss. Kierunek ten wywarł pewien wpływ na niektórych katolików, przyznających się do modernizmu (przed jego potępieniem). Eschatologizm robi z Chrystusa zwykłego moralistę, który uległ złudzeniu co do bliskości końca świata. Etyka Ewangelii ma mieć jedynie charakter tymczasowych wskazań. Oczywiście jest to sprzeczne z jej zasadniczym charakterem, a cała teoria nie wytrzymuje naukowej krytyki.

Twórcą tzw. *Formgeschichtliche Methode* jest M. Dobelius, który swą pracę *Die Formgeschichte des Evangeliums* wydał w r. 1919. Kierunek ten stworzył szkołę, ale dziś po 20 zaledwie latach zaczyna się już załamywać. Chodzi tu o wykazanie, że Ewangelie należą do literatury popularnej, co oczywiście tłumaczy „wkłady legendarne” i prowadzi do zupełnego sceptycyzmu.

Nie jest naszym zadaniem przeprowadzać krytykę tych badań i wdawać się w polemikę z olbrzymią literaturą. Możemy jedynie wyrazić nasze wrażenie, że na ogół zaznacza się w tych badaniach więcej tendencyjności niż obiektywizmu naukowego. Słusznie zaznacza prof. Adam, że w myśl wyników szkoły fenomenologicznej należy tu zwrócić uwagę na współzależność aktu i przedmiotu, czyli związek między procesem a cha-

¹⁾ Dąbrowski, l. c. str. 11.

²⁾ Ib. 13.

rakterem obiektu.¹⁾ Sam fakt, iż istnieje tu — czego i skrajny ateusz zaprzeczyć nie może — możliwość, że chodzi tu o objawienie Boże, musi aktowi poznawczemu w tej dziedzinie nadać silne zabarwienie emocjonalne — pozytywne lub negatywne, zależnie od nastawienia badacza. Ten fakt psychologiczny tłumaczy nam powstawanie coraz to nowych prób obalenia faktu podstawowego dla chrześcijaństwa: prawdziwości Ewangelii. Nie znaczy to, że zarzucamy wszystkim tym badaczom złą wolę. W myśl zasad chrześcijańskich, człowiek nie ma prawa sądzenia cudzych intencji. Stwierdzamy emocjonalne związanie, które zresztą występuje i po stronie tych, którzy chcą przyjąć Ewangelię, nie mogą się zdobyć na wysiłek krytycznego rozprawienia się z przeciwnikami, czego oczywiście jedynie od fachowych badaczy tych spraw wymagać można. Inni mogą się zadowolić zbadaniem wartości autorytetów i podstawowych założeń. W każdym razie sądzimy, że nikt nie odrzuci postulatu prof. Adama, że wewnętrzne usposobienie badacza winno odpowiadać wielkości jego zadania.²⁾

4. Założenia wtórne.

Z założenia podstawowego, prawdziwości zasadniczych faktów i wypowiedzeń, podanych przez Ewangelię — wynikają jako logiczne wnioski założenia, które nazwaliśmy wtórnymi, nie ze względu na ich mniejszą ważność, gdyż w hierarchii znaczenia stoją one najwyżej, ale ze względu na przyjętą przez nas podstawę myślową. Przyjąwszy to założenie podstawowe, można z niego wyprowadzić cały światopogląd katolicki, bądź bezpośrednio (o ile niedwuznacznie wynika z tekstów ewangelicznych), bądź pośrednio — na mocy uznania kompetencji Kościoła do określenia treści objawienia. Tu jednak bierzemy pod uwagę tylko te ogniwa światopoglądu katolickiego, na których bezpośrednio opiera się katolicka ideologia wychowawcza.

a) Istnienie, dobroć i wszechmoc Boga.

W hierarchii prawd religijnych stoi niewątpliwie na czele wiara w istnienie jednego Boga osobowego (wbrew panteizmowi), kierującego (bezpośrednio lub pośrednio przez podwładne sobie istności duchowe) losami

¹⁾ *Jezus Chrystus*, str. 41.

²⁾ *Ib.* 43.

świata (teza przeciwstawiająca się deizmowi.¹⁾ Z pojęcia wszechmocy Bożej, wynika już logicznie to, że Bóg jest Panem stworzonych przez siebie praw przyrody i ma naturalną (tj. z natury swej wynikającą) możliwość zawieszania w pewnych wypadkach ustanowionych przez siebie zasad rządzących rzeczywistością. Interwencje tego rodzaju, które nazywamy cudami, przestają być czymś niezgodnym ze zdrowym sensem i zasadami podstawowymi nauki, skoro się tylko uzna, że Bóg ma możliwość bezpośredniego kształtowania materii, co nie uwłacza głębszej jeszcze możli-

¹⁾ Monoteizm jest, jak wiadomo wcześniejszy od Ewangelii i spotykamy go bynajmniej nie tylko u żydów Starego Testamentu, lecz stanowi on, jak wykazały nowsze badania, religię najpierwotniejszą, w stosunku do której politeizm i antropomorfizm był spaceniem (ks. dr M. Sieniatycki: *Dogmatyka szczegółowa*, IV wyd., Kraków, 1930, str. 9). Istnienie Boga osobowego da się niewątpliwie udowodnić siłami własnego rozumu. Takim jest stanowisko katolickie. (Por. słynne pięć dowodów św. Tomasza z Akwinu — *Summa Teol.* I. q. 2, art. 3). Krytyka tych dowodów Boga, przeprowadzona przez Kanta (patrz *Kritik der reinen Vernunft* ed. Valentiner. Leipzig, 1919, s. 512 — 539) jest o tyle tylko uzasadniona, o ile się pragnie uzyskać ten sam typ pewności, jaki dają dowody matematyczne lub bezpośrednio doświadczenie. Z drugiej strony Kant podkreśla niemożliwość choćby najsłabszego uzasadnienia tezy przeciwnej (ib. 621) i sam uznaje, że pojęcie (wzgl. ideał) Boga nie zawiera błędu (ib. 547) i można przyjąć jego istnienie dla uzyskania racjonalnego obrazu świata (ib. 526, 568), a założenie takie nie może być szkodliwe tylko pożyteczne dla rozumu (ib. 518, 580); uznaje on nawet, że musimy przyjąć jednego, wszechrządnego i wszechpotężnego sprawcę świata (ib. 587). Bez uznania Boga i świata niewidzialnego idee moralności nie mogą być motywami zamierzeń ani wykonania (ib. 670, 672); uznaje też Kant, że chociaż — jak twierdzi — nie można Boga ściśle udowodnić, to jednak wiara w Jego istnienie jest ściśle związana z naszą postawą moralną (ib. 673).

Kant wprowadza więc Boga, którego istnienia rzekomo teoretycznie udowodnić nie można jako postulat praktycznego rozumu, który jest w gruncie rzeczy wolą. Oznacza to, jak słusznie stwierdza O. Fr. Kwiatkowski T. J. (*Z pogranicza filozofii i teologii*. Kraków, 1938, str. 35) wiare, nie opartą na pobudkach rozumnych, a więc ślepą. Filozofia katolicka przeciwstawia temu stanowisku tezę, że istnienie Boga można udowodnić drogą rozumowania, stosując do świata widzialnego zasadę przyczynowości (Kwiatkowski l. c. 39).

Nie mogąc zapuszczać się w zagadnienia tak szerokie i zasadnicze, przytoczyliśmy tu nieco szerzej samego Kanta, by wskazać na to, że i ten najbardziej krytyczny z umysłów nowożytnych rozumie konieczność

wości tworzenia świata z nicości przez Istność czysto duchową.¹⁾ Dalszą cechą Boga, dla nas zasadniczą jest Jego dobroć. Jest ona nie tylko oczywistym postulatem, którego zaprzeczenie wiedzie do niemożliwych do przyjęcia wniosków, ale wynika też z uznania Ewangelii, która daje nam poznać najwyższą dobroć Boga, który Syna Swego zesał na ziemię i poświęcił na mękę, by odkupić upadłą ludzkość.²⁾

b) Nieśmiertelność duszy.

Drugi fundament myślowy katolickiej ideologii wychowawczej to nieśmiertelność duszy. Jest ona warunkiem racjonalności świata, gdyż bez niej nie byłoby możliwości zaspokojenia tęsknoty za sprawiedliwością. Niezależnie od jej uzasadnienia przez objawienie chrześcijańskie można wyprowadzić nieśmiertelność na drodze rozumowania filozoficznego, istnieje bowiem jaźń, która mimo zmienności prądu psychicznego zachowuje swą pewność czasowo-przestrzenną, jako czynnik jednoczący jakby w jednym ognisku wielość niezmierną wrażeń, a przy tym czynnik świadomy tej ciągłości doznań i swej samoistności jako podmiotu. Tego

przyjęcia istnienia Boga i podkreśla ją mimo trudności, wynikających z jego epistemologicznych założeń. W przeciwieństwie do tego krytycyzmu — ateizm jest czystej wody metafizyką, i to negatywną, i o tyle — jak już Kant wykazał — zupełnie bezpodstawną, pozbawioną nie tylko możliwości dowodu, ale nawet jakichkolwiek poważnych argumentów. Obraz świata, oglądany z tego punktu widzenia, staje się chaotyczny i pozbawiony sensu. Ateizm pojawia się w ciągu dziejów raczej epizodycznie. Jego obecna ekspansja w formie ideologicznej nie ma nic wspólnego z jego filozoficznym uzasadnieniem. Jest to wiara (negatywna), której podstawy są irracjonalne i tłumaczą się pewnymi reakcjami oraz działaniem pewnych zainteresowanych w obaleniu religii sił społecznych. Tam, gdzie istnieje wolność myśli i bezinteresowność nauki — mamy wrażenie, ateizm przeżywa dzisiaj ciężki kryzys.

¹⁾ Z kwestią oddziaływania ducha na materię wiąże się koncepcja tzw. paralelizmu, którego błędność wykazuje m. in. H. Driesch (*Leib und Seele. Eine Prüfung des psychophysischen Grundproblems*. Leipzig, 1916, str. 102).

²⁾ Pełnię zrozumienia i przeżycie poczucia dobroci Bożej spotykamy u wielkich mistyków, jak św. Franciszek z Asyżu, św. Jan od Krzyża, Tomasz à Kempis, św. Teresa i inni.

co w sobie wielość jednoczy, nie możemy sobie pomyśleć jako rzeczy złożonej. Faktu tego żadna filozofia materialistyczna nie zdołała wytłumaczyć, mogła go ona jedynie zignorować. Uznanie niezłożonej, świadomej jaźni, prowadzi do wniosku, że nie może ona być śmiertelną, skoro śmierć polega na rozkładzie. Rozwój myśli nowoczesnej po przewyciężeniu materializmu idzie dziś coraz bardziej zdecydowanie w kierunku spirytualistycznym.¹⁾ Umocnienie tego właśnie założenia ma dla perspektyw katolickiej ideologii wychowawczej znaczenie decydujące.

c) Wolność woli i odpowiedzialność moralna.

Trzecim założeniem zasadniczym — wyczerpującym trzy tradycyjne, kantowskie problematy metafizyki — jest wolność woli i związana z nią odpowiedzialność moralna. Mimo antynomij teologicznych, które powstają tutaj w związku z tym, że umysł nasz styka się tu już z nieskończonością osoby Bożej (chodzi głównie o pogodzenie wszechwiedzy i dobroci Boga, stwarzającego ludzi, którzy będą potępieni) przyjęcie wolności woli jest nieodzownym założeniem katolicyzmu. Pod wolnością woli rozumiemy tezę stwierdzającą, że są akty wyboru, nie wyznaczone z koniecznością przyrodniczą przez poprzedzający je spłot przyczyn. Istnienie tej wolności woli jest zgodne z naszą potoczną świadomością. Co najważniejsze jednak, że jest ono niewątpliwie warunkiem wszelkiej odpowiedzialności moralnej, na której się opiera słuszność kary i nagrody,²⁾ a zatem i sens całej etyki i religii.

¹⁾ Okultyzm, mimo całego zamętu, jaki wniósł do pojęć religijnych, jako prąd umysłowy, przyczynił się niewątpliwie do umocnienia wiary w istnienie życia pozagrobowego. Jest zresztą zjawiskiem psychologicznie ciekawym, że ludzie zupełnie nieprzystępni dla racjonalnej, logicznie zwartej i udokumentowanej argumentacji teologicznej nieraz bardzo chętnie i łatwo przyjmowali zupełnie bez próby sprawdzenia różne mniej lub więcej anonimowe „rewelacje” z zaświata.

²⁾ Uznają to na ogół nie tylko indeterminiści (jak np. dr C. Gutberlet: *Die Willensfreiheit und ihre Gegner*. II. Aufl. 1907 str. 343), ale również i determiniści jak Alfred Fouillée (*La liberté et le déterminisme* 7. ed. Paris 1923, str. 313), A. Kielski (Wola i odpowiedzialność) *Kwart. Filoz.* III.

d) Zło i grzech pierworodny.

Fundamentalnym założeniem nie tylko katolickiej ideologii wychowawczej ale i całego chrześcijaństwa jest dogmat grzechu pierworodnego tak dla niektórych umysłów niezrozumiały,¹⁾ i przez jednych odrzucany (optymizm Rousseau na temat natury ludzkiej), a przez drugich przeceniany (Luter, Kalwin, Janseniusz), a jednak tak logicznie konieczny jako ogniwo myślowe całego systemu. Grzech pierworodny jest następstwem nadużycia wolności woli. Wszak można było z góry przewidzieć, że wobec istnienia możliwości upadku (tj. zrobienia złego użytku z wolności wyboru dobra lub zła, wzgl. podporządkowania lub niepodporządkowania się woli Bożej) znajdują się tacy, którzy z tej wolności robią zły użytek. O ile zgodnie z księgą Genezis

str. 298. Determiniści robili oczywiście różne próby godzenia odpowiedzialności moralnej z determinizmem. Najdalej poszedł Wundt, który zaryzykował tezę, że tylko z determinizmem można odpowiedzialność pogodzić (cyt. Gutherleta). Podobnie Fouillée twierdzi, że chcenie, nie wynikające z charakteru, nie da się kwalifikować (l. c. 148). Jest to przesunięcie odpowiedzialności z aktualnej decyzji na decyzje dawniejsze, które się utrwaliły w charakterze (nabytym), albo też ominięcie a nie rozwiązanie zagadnienia. Logicznie jeszcze słabszym wybiegiem jest twierdzenie, że wartościujemy także rzeczy konieczne, jak zjawiska przyrody (tak E. Wenscher: *Der Wille. Versuch einer psychologischen Analyse*. Berlin 1913, str. 145 i W. Windelband: *Über Willensfreiheit* Tübingen 1905, str. 198). Jest to pomieszanie oceny utylitarnej (z punktu widzenia korzyści) i moralnej. Faktem jest, że nawet determiniści tak zachowują się w życiu codziennym, jak gdyby wierzyli w wolność woli (Dr H. Bernheim: *Automatyzm i sugestia*. Tłumaczenie A. Arcta i St. Błachowskiego. Poznań, 1924, str. 75). Warto tu też zaznaczyć, że nowy indeterminizm fizyczny przedstawia więcej miejsca dla istnienia wolnej woli, a dawny determinizm absolutny jako podstawa nauki należy już do przeszłości (poglądy te referuje St. Majewski: *Materiaлизм wobec nauki*. Warszawa, 1936, str. 137).

¹⁾ Jak płytko i niepoważnie odnoszą się do tego zagadnienia niektórzy wolnomyśliciele, może zilustrować taki ustęp z książki Bertranda Russella: *Perspektywy przemysłowej cywilizacji* (przekł. Kurlandzkiej, Warszawa, 1933, str. 147). „Jeśli chce się przekonać ludzi, że z racji zjedzenia jabłka przez Adama wszyscy, którzy nigdy nie słyszeli o tym interesującym wydarzeniu, będą smażeni na wiecznym ogniu przez dobroliwce Bóstwo, należy się do nich zabrać, póki są młodzi, ogłupić ich alkoholem lub atletyką i uchronić od wszelkich styczności z książkami lub towarzyszami, mogącymi ich pobudzić do myślenia”.

przyjmujemy stworzenie i bunt duchów (aniołów) już przed powstaniem naszego globu, i wpływ tych duchów zbuntowanych uznamy, wtedy upadek pierwszych rodziców stanie się jeszcze zrozumialszy. Trudność główna wiąże się tu z kwestią odpowiedzialności potomstwa. Tłumaczy się ją ze strony katolickiej przy pomocy pojęć dziedziczności¹⁾ i uznania grzechu pierworodnego za rodzaj opcji upoważnionego jakby przedstawiciela i głowy moralnej przyszłej ludzkości. Trzeba tu też uwzględnić doniosłą okoliczność, iż w grzechu pierworodnym chodziło o zupełnie świadome przeciwstawienie się Bogu. Winy tej decyzji nie zmniejsza żadne przyćmienie umysłu lub osłabienie woli. Sam obiekt zakazu jest tu rzeczą drugorzędną. W każdym razie jest to faktem empirycznym, że człowiek ma jakąś dziwną skłonność do przestępstw popełnianych w ostatecznej konsekwencji na własną szkodę i do postępowania irracjonalnego. Dogmat grzechu pierworodnego jest jedyną interpretacją tego faktu, pozwalającą pogodzić go z dobrocią i wszechmocą Boga i racjonalnością świata.

e) Synostwo Boże Chrystusa, odkupienie i łaska.

Dopiero dogmat grzechu pierworodnego czyni zrozumiałym całe objawienie i odkupienie, tłumaczy nam jego konieczność²⁾ i wyjaśnia dlaczego zadośćuczynienie musiał dać Bóg sam — tj. Syn Boży. Pojęcie łaski jako pomocy Boga dla upadłego człowieka, celem jego wywyższenia z upadku jest dalszym koniecznym ogniwem całego systemu wychowawczego.

f) Nieomylny Kościół jako szafarz łaski.

Skoro człowiek upadł, trzeba się było po dobroci Bożej spodziewać, że Bóg wskaże mu drogę powrotu, gdyż inaczej człowiek sam nie mógłby jej znaleźć, a gdyby nawet jednostki odszukały ją, to i tak ci odkrywcy nie mieliby

¹⁾ Tak bp. Bougaud: *Credo*. (Wydanie II. Tłum. polskie, Poznań, 1932, str. 156 nast.). Autor ten daje jedno z najgłębszych ujęć tego problemu. Patrz też Kwiatkowski l. c. 249 n.

²⁾ Ze stanowiska potrzeb człowieka. Patrz ks. dr M. Sieniatycki: *Apologetyka czyli dogmatyka fundamentalna*. Kraków, 1932, str. 41.

dostatecznego autorytetu, by innych na nią — wbrew ich skłonnościom — skierować. Raz objawiona prawda może jednak ulec skażeniu, a nawet jest to nieuniknione, o ile nie będzie instytucji, obdarzonej darem nieomyślności, która ludziom prawdę wskazywać będzie. Z drugiej strony, musi istnieć instytucja, która szafować będzie z zachowaniem określonych warunków wysłużonymi przez ofiarę krzyżową łaskami. To też ustanowienie Kościoła jest logiczną konsekwencją objawienia.¹⁾

Kto uznał, że ten postulat logiczny został faktycznie spełniony przez stworzoną przez Chrystusa organizację Kościoła, musi wyciągnąć z tego konsekwentny wniosek, podporządkowując się Kościołowi i uznając całą głoszoną przez niego naukę, czyli uprawnioną interpretację objawienia.

Takie są założenia podstawowe katolickiej ideologii wychowawczej.

¹⁾ Patrz na ten temat — Rosłan (*Apologetyka*, str. 113 nast.). Ustanowienie Kościoła dokonało się przez: a) wezwanie apostołów (Mateusz IV. 19), wybranie uczniów (Mateusz X. 1, Marek III. 13, Łuk. VI. 13) i ich wysłanie na przeprowadzanie Królestwa Bożego (Łukasz IX. 2 — 6), b) zapowiedź zbudowania Kościoła „którego bramy piekielne nie przemogą” (Mat. XVI. 18), c) nadanie Piotrowi władzy nad Kościołem (Jan XXI. 15 — 17), tytułu Piotra — „Opoki”, na której oprze Chrystus swoje Królestwo i nadanie mu „kluczy królestwa niebieskiego”, tj. władzy „wiązanja i rozwiązywania” (Mat. XVI. 18, 19), d) ustanowienie kapłaństwa przez nakaz „czynienia na pamiątkę ofiary z Krwi Chrystusa” (Łukasz XXII. 19), e) nakaz nauczania i chrzczenia wszystkich narodów i obietnicę, że „pozostanie z nimi (apostołami i ich następcami) aż do skończenia świata” (Mat. XXVIII. 19 — 20), przy czym Chrystus zaznacza, że „dana Mu jest wszelka władza na niebie i na ziemi” (Mat. XVIII. 18). Patrz na ten temat również Sieniatycki l. c. 174 nast. Tam też zestawienie poglądów na to zagadnienie.

Dr Andrzej Niesiołowski.

Narodowy Socjalizm i los narodów nie-niemieckiej krwi.

Celem politycznym A. Hitlera podług programu wyrażonego w *Mein Kampf* jest opanowanie całej kuli ziemskiej. Idea ta stanowi nić przewodnią dzieła. Hitler formułuje ją i akcentuje przynajmniej sześć razy. Przypomnieniem o tym celu ostatecznym i wezwaniem do wyznawców ruchu narodowo-socjalistycznego, aby nie cofali się przed żadnymi ofiarami, kończy Hitler swe dzieło.

Droga ku rozwiązaniu tego najważniejszego zadania jest wytknięta: „Zjednoczenie Niemców całej Europy...”, „Zagłada Francji...”, „Koniec Rosji jako mocarstwa...” tj. całkowity jej podbój, jednym słowem unicestwienie wszelkiego państwa na kontynencie, które by miało znaczenie pod względem militarnym.

Nie dopuśćcie żadną miarą do istnienia dwóch mocarstw na kontynencie Europy. Wszelkie próby utworzenia na granicach Niemiec jakiegokolwiek mocarstwa, mającego obecnie lub nawet mogącego mieć w przyszłości znaczenie militarne, uważać należy za napad na Niemcy i przeciwdziałanie powstaniu takiego państwa wszelkimi środkami, nie cofając się przed siłą oręża, uważajcie nie tylko za swe prawo, lecz i za swój obowiązek, a gdyby takowe powstało, należy je zniweczyć.

Wyżej przytoczone słowa „testamentu politycznego” oznaczają dość wyraźnie również zagładę Włoch i Polski. Pomniejsze państwa Europy staną się wówczas same przez się prowincjami Rzeszy. Hitler nie wskazuje, jakimi torami potoczą się dalsze dzieje, lecz domyślić się niezbyt trudno.

Po zdobyciu kontynentalnej Europy, lub nawet po podboju znacznej jej części, gdy do olbrzymich zasobów przemysłu wojennego Niemiec dołączone zostaną zasoby pokonanych krajów, sytuacja Anglii stanie się beznadziejna i podzieli ona również los kontynentu.

Europa wraz z koloniami państw europejskich stanowi już pół świata. Pozostaną zatem dwa pozaeuropejskie mocarstwa: Japonia i Stany Zjednoczone. Zdobycie Stanów Zjednoczonych ma być prawdopodobnie poprzedzone przez podbój Ameryki Południowej. Brzmi to wszystko fantastycznie.

Nie mamy oczywiście zamiaru wdawać się w dyskusję na temat czy i o ile takie pokonanie świata przez Niemcy jest możliwe z punktu widzenia militarnego? — decydować o tym mogą tylko specjaliści wojskowi. Zaznaczyć jednak należy, iż Hitler i inni wodzowie narodowych socjalistów nieustannie twierdzą, iż niemożliwości dla nich nie istnieją.

Plany opanowania mniej lub więcej ścisłego kuli ziemskiej przez narodowy socjalizm oraz wciąż wzmagająca się potęga Trzeciej Rzeszy czynią problem losu narodów krwi nie-niemieckiej, pod grożącym im panowaniem rasizmu, szczególnie aktualnym.

Jak wszystkie inne ważniejsze zagadnienia, tak i to jest w doktrynie Adolfa Hitlera i w programie N. S. D. A. P. rozwiązane ostatecznie i bezapelacyjnie.

Zgodnie z doktryną narodowo-socjalistyczną, państwo nie jest celem samo w sobie, lecz tylko środkiem. Staje się ono narzędziem w walce określonego narodu. Państwo, w którym na zasadzie równości praw zamieszkuje kilka narodów (w rodzaju przedwojennej Austrii) jest, według Hitlera, pozbawione racji bytu. Wszechświatowe mocarstwo, które narodowy socjalizm ma zamiar stworzyć, winno służyć wyłącznie narodowi niemieckiemu. Początkowo, ma ono utworzyć z Niemców arystokrację — „naród panów”, *Herrenvolk* a następnie winno mu zagwarantować wyłączne i niepodzielne „prawo panów” do życia na ziemi.

Położenie nie-niemieckich narodów określone jest w programie N. S. D. A. P. (25 punktów), który Hitler uważa za nie podlegający zmianie.

Punkt 4 głosi: Obywatelem (Rzeszy) może być tylko ten, kto jest niemieckiej krwi, bez różnicy wyznania. Żaden żyd nie może wobec tego, być obywatelem Niemiec.

Zupełnie oczywiste jest, iż pojęcie „nie-niemieckiej krwi” obejmuje nie tylko żydów, lecz w ogóle wszystkie inne narody świata, które wobec tego nie mogą być obywatelami Rzeszy (terytorium Rzeszy ma objąć cały obszar świata). Prawa przeciwko żydom nie są przejawem specjalnego antysemityzmu, jak, dla zrozumiałych przyczyn, wszelkimi sposobami stara się przedstawić tę sprawę rząd i propaganda Trzeciej Rzeszy, lecz tylko pierwszym zastosowaniem ogólnej rasistowskiej zasady.

Kąt widzenia w *Mein Kampf* jest ten sam, co i w programie partii. Hitler stanowczo odrzuca opieranie prawa do obywatelstwa na zasadzie miejsca urodzenia: dziecko żydowskie, polskie, afrykańskie, czy azjatyckie, urodzone na terytorium Rzeszy, nie może być zameldowane jako obywatel Rzeszy (M. K. str. 488). Charakterystyczne jest, że Hitler nie czyni tu żadnej różnicy pomiędzy żydami, afrykanami, azjatami i Polakami, tj. europejskim i aryjskim narodem.

Punkty 5 i 6 programu głoszą, iż ten kto nie jest obywatelem Niemiec, mieszka w Niemczech tylko jako gość i nie może korzystać z praw obywatelskich, ani zajmować stanowiska państwowego, czy społecznego; podlega on specjalnemu ustawodawstwu o obcokrajowcach. Dobitniejszy jeszcze jest punkt 7 programu:

Żądamy, aby państwo przede wszystkim miało obowiązek troszczyć się o możliwość zarobkowania i wyżywienia swych obywateli. Gdy nie ma możliwości wyżywienia całej ludności, osoby należące do obcych narodów (nie obywatele) zostają deportowani.

W ten sposób, przy podbiciu jakiegoś terytorium przez Niemców, rdzennej ludności tego terytorium grozi utrata wszelkich praw, gdyż staje się ona „obcoplemienną”. „Obcoplemienny” nie może być nawet municypalnym zamiataczem ulic. Samo prawo zamieszkiwania „obcokrajowców” w obrębie Rzeszy jest warunkowe; możliwość bowiem wysiedlenia jest przewidziana w programie.

Prawodawstwo Trzeciej Rzeszy jest całkowicie zgodne z tym programem. Dąży ono zupełnie jawnie do pozbawie-

nia praw wszystkich „obcoplemiennych“, nie tylko żydów, chociaż na razie faktycznie stosuje się prawie wyłącznie do tych ostatnich.

Już pierwsze dyskryminujące ustawy nosiły nazwę „paragrafu aryjskiego“. Były one jednak zasadniczo skierowane przeciwko wszystkim niearyjskim narodom.¹⁾

Ustawy Norymberskie o obywatelstwie Rzeszy z dn. 15 września 1935 roku, sięgają jeszcze dalej; głoszą one, iż obywatelami Rzeszy mogą być tylko osoby „niemieckiej lub pokrewnej krwi“. W ten sposób ustawa, jak również i program narodowo-socjalistycznej partii, nie rozróżniają „aryjczyków“ i „niearyjczyków“, lecz osoby „niemieckiej“ i „nie-niemieckiej“ krwi; co prawda, na razie złagodzone to określenie dodatkiem „lub pokrewnej“, lecz ani w ustawach, ani w odnośnych rozporządzeniach wykonawczych z d. 15 listopada (*Durchfuehrungsverordnungen*) ustawodawca nie określa (widocznie z rozmysłem i ze względów politycznych), jakie narody uważać należy za „pokrewne“. W *Mein Kampf* np. słowiańskie i romańskie narody nie są nazwane „pokrewnymi“, lecz narodami obcej rasy *fremdrassig*, niższymi (*niedere*) i „mniej wartościowymi“ (*minderwertig*).

W ten sposób prawne pozbawienie osób nie-niemieckiej krwi wszelkich cywilnych i innych praw teoretycznie już istnieje. W wypadkach, gdy ograniczenia nie wywołują żadnych politycznych komplikacyj (np. wobec cyganów, murzynów, mulatów) są one stopniowo stosowane. Widzimy to już również w pewnych posunięciach i na terenie zajętych Czech i Moraw. Zaznaczyć jednak należy, że prawa Duńczyków i Polaków w Rzeszy, jakkolwiek w prawodawstwie nie zastrzeżone, były potwierdzone cyrkularzem ministra spraw wewnętrznych Frick'a.

Dla przyszłości jednakże ma znaczenie nie praktyka dnia dzisiejszego, lecz zasadnicze wytyczne programu partii, prawodawstwa i *Mein Kampf*'u. Warunki, które w obecnej chwili powodują trudności w stosowaniu ograniczeń (konieczność liczenia się z położeniem mniejszości niemieckiej

¹⁾ Prócz ras kolorowych, wchodzą w grę Arabowie, a z narodów europejskich — Turcy, Węgrzy, Finlandczycy, Estończycy i inni.

zagranicą, z wrazeniem na narody sąsiednie itp.) odpadną po zwycięskiej wojnie, a wówczas program rasizmu urzeczywistni się w całej pełni, jak ma to już miejsce w stosunku do żydów i cyganów.

Zdawać by się mogło, iż narodom pokonanym pozostaje przynajmniej możliwość zasymilowania się z narodem zwycięskim, jak to nieraz miało miejsce w historii ludzkości; kwestia niemieckiej i nie-niemieckiej krwi odpadłaby wówczas całkowicie. Lecz „rasizm“ wyłącza kategorycznie tę możliwość.

Główna cecha odróżniająca „rasizm“ od dawnego nacjonalizmu polega na tym, że nie uznaje on asymilacji obcych narodów.

Naród, zgodnie z doktryną Hitlera i Rosenberga, nie jest jednostką państwową, kulturalną czy językową, lecz rasową, opartą na „pokrewnym“ pochodzeniu. Rasa zaś składa się z jednostek jednej krwi. Rasy krańcowo różnią się pomiędzy sobą. Najniższe rasy, jak powiedział Hitler na kongresie w Norymberdze w 1933 r., stoją o wiele bliżej wyższych gatunków małp, niż człowieka wyższej rasy. Hitler nie uznaje zasady jedności rodzaju ludzkiego, ani zasad humanizmu, który nazywa „przejawem głupoty, tchórzostwa i zarozumiałości“ (*Mein Kampf*, str. 148). Natura nie zna humanitarnych uczuć. Wzajemny stosunek ras powinien odpowiadać takiemu, jaki istnieje pomiędzy różnymi gatunkami zwierząt. Lis nie doznaje uczucia litości względem gęsi.

Nie tylko białe i kolorowe rasy, lecz i poszczególne białe rasy mają różną wartość kulturalną. „Cała kultura została stworzona przez kilka tylko ras, a właściwie przez jedną“. Naturalnie rasą tą jest niemiecko-nordycka.¹⁾

Kultura powstaje tylko tam, gdzie istnieje ta twórcza rasa, gdzie zaś tej twórczej krwi nie ma — kultura powstać nie może.

¹⁾ Hitler często nazywa ją niewyraźnym terminem „aryjska“. Pod aryjczykami w tym sensie, w jakim tego terminu używa Hitler, rozumieć należy nie całą ludność Europy, mówiącą aryjskimi tj. indo-europejskimi językami, lecz tylko rasy nordyckich zwycięzców, którzy jakoby stworzyli kulturę europejską.

Ponieważ nie zewnętrzne warunki stworzyły kulturę, więc i nie one wpływają na jej upadek; tylko skutkiem zagłady wyższej rasy, gdy ta ostatnia zaczyna mieszać się z niższymi i wsiąkać w nie, kultura i państwo skazane są na zagładę. „Mieszanie się ras jest przeciwne prawom natury; jest to największe zło nie do poprawienia, jakie w ogóle istnieje na świecie; jest to „pierworodny grzech ludzkości“.

To też rasizm jest przeciwny wszelkiemu mieszanii się ras. Hitler z całą konsekwencją nie tylko nie żałuje, iż w Austro-Węgrzech nie udała się asymilacja zamieszkujących ją narodów przez Niemców, do której dążył rząd austriacki; przeciwnie, wyraża on z tego powodu zadowolenie: „na szczęście“ nie udała się. Taka asymilacja bowiem byłaby zgubną dla Niemców, jako twórców kultury.

„Rasizm“ zatem jest absolutnie przeciwny wszelkiemu mieszanii się ras. Ustawodawstwo Norymberskie z r. 1935, wzbraniające małżeństw z żydami, uważane jest przez narodowych socjalistów nie za zakończenie, lecz za początek walki z mieszaniami się ras. W mowie wygłoszonej wówczas Hitler wypowiedział się właśnie w tym sensie. *Der Anfang einer Entwicklung...* Oficjalna *Nationalsozialistische Korrespondenz* dodała jeszcze bardziej wyraźne komentarze do Ustaw Norymberskich:

Prawo mówi tylko o żydach. Należy z tego wnioskować, iż małżeństwa mieszane i nieślubne stosunki z żydami są od tego czasu wzbronione i karane przez prawo; nie należy, natomiast, wnioskować, iż małżeństwa mieszane z ludźmi innej rasy, lecz nie żydami, są dozwolone i nawet uważane za pożądane.

Rozporządzenia wykonawcze z d. 15-go września 1935 r., faktycznie bardzo rozszerzają ramy Ustaw Norymberskich. Paragraf 6 rozporządzeń zabrania wszelkich małżeństw, mogących naruszyć czystość krwi niemieckiej potomstwa i karze przekroczenie tego zakazu ciężkimi robotami, również jak i małżeństwa z żydami.

Na podstawie tych rozporządzeń minister spraw wewnętrznych Rzeszy zakazał małżeństw z cyganami, murzynami oraz metysami tych narodów. Wystarczy jednak wydać tylko nowy cyrkularz, by zakazać małżeństw Niemców ze wszystkimi innymi narodami świata.

Wegetacja i niewola pokonanych narodów, jako niższej kasty, nie jest jeszcze bynajmniej ich ostatecznym losem. Cienka warstwa *Herrenvolk*'u jako arystokracji świata jest dopiero okresem przejściowym. Celem ostatecznym jest „zniemczenie ziemi”, tj. całkowite zaludnienie narodem niemieckim. Jaki ma być obszar niezbędnego dla kolonizacji niemieckiej terytorium? Twierdzi się zwykle, iż Ukraina jest tym terytorium, które Rzesza zamierza skolonizować. Lecz o Ukrainie w *Mein Kampf* nie ma wyraźnej wzmianki. O zdobyciu ziemi na wschodzie Europy wspomina się z omówieniami: „Gdy mowa teraz o nowej ziemi w Europie, mówimy w pierwszym rzędzie o Rosji i krajach jej podwładnych” (*Mein Kampf*, str. 742).

„Na przyszłość” i „w drugim rzędzie” ma się na widoku i inne terytoria. Jednak w „politycznym testamentie” Hitlera—jednym z najważniejszych rozdziałów *Mein Kampf*—znajdujemy ściślejsze określenie wielkościżądanego terytorium:

Zważcie, że Rzesza dopóty nie ma wytkniętych granic, dopóki nie zabezpieczy każdemu potomkowi narodu swej piędzi ziemi z góry na setki lat.

Mowa więc tutaj nie tylko o zadośćuczynieniu bieżącym potrzebom niemieckiego narodu.¹⁾ Chodzi także a może przede wszystkim o przygotowanie obszarów ziemi dla przyszłych pokoleń, które przyjdą na świat w następnych stuleciach w zmożonym przez rozrodczość tempie. Iluż będzie wtedy Niemców, a raczej ilu właściwie chce ich mieć „rasizm?”

I na to pytanie Hitler daje odpowiedź:

Obecnie jest w Europie 80 milionów Niemców. Nasza polityka zagraniczna tylko wtedy będzie miała rację bytu, gdy najwyżej za 100 lat na tym kontynencie będzie 250 milionów Niem-

¹⁾ Nawiasem mówiąc, potrzeba ta nie istnieje. Dla 80-milionowej ludności terytorium Rzeszy nie jest za szczupłe i Niemcy zajmują podług gęstości zaludnienia 5 miejsce w Europie. Niemcy (łącznie z Austrią) — 131 głów na kw. kl., Belgia — 266, Holandia — 232, Anglia — 192, Włochy — 137. Wiele prowincyj Wsch. Niemiec ma znaczenie mniejszą gęstość zaludnienia, niż Ukraina Zachodnia.

ców i przy tym nie niewolników, wprzęgniętych w jarzmo przemysłu, pracujących dla obcych.¹⁾

Za 100 lat — 250 milionów, za 200 lat, w tej samej progresji, 750 milionów, znacznie więcej, niż obecnie wynosi cała ludność Europy, za 300 lat — $2\frac{1}{4}$ miliarda, czyli ludność całej kuli ziemskiej, za 400 lat — 7 miliardów... Zatrzymajmy się... Oczywiście, iż nie starczyłoby wówczas obszarów na całą kuli ziemskiej dla zwycięskiej rasy.

Maltus był pierwszym, który zrozumiał, że na ograniczonej przestrzeni kuli ziemskiej nie może żyć wzrastająca bez końca ilość ludności, i z faktu tego wyciągnął pesymistyczne wnioski o nieuniknionych wojnach i nędzy. Wiedział już również, iż dla zaludnienia całego obszaru ziemi starczy jednego narodu. Tymczasem ludzkość znalazła niemoralne rozwiązanie tego problemu w dobrowolnej redukcji urodzeń, bez żadnej zresztą wystarczającej ku temu pobudki.

Hitler również porusza kwestię wzrostu ludności, lecz z oburzeniem odrzuca neomaltuzjanizm, którego wpływ, sam przez się, dał się zauważyć także i w Niemczech. Jak wiadomo, za czasów republiki Wejmarskiej liczba urodzeń w Niemczech spadła do tego samego poziomu co we Francji, a nawet i poniżej. Hitler żąda szybkiego wzrostu ludności oraz bezgranicznej kolonizacji kosztem wszystkich innych narodów świata, których wartościowość i prawo do życia neguje zasadniczo, zgodnie ze swą doktryną.

Nie ma wątpliwości, iż narodowy socjalizm wywiera obecnie silny wpływ na szybkość wzrostu ludności w Niemczech. Od 1933 r. liczba urodzeń w Rzeszy zwiększyła się o 30 %, głównie dzięki finansowaniu małżeństw (ślubne pożyczki). Ponieważ na liczbę urodzeń wpływają w obecnych czasach w znacznej mierze także czynniki czysto psycho-

¹⁾ Zauważyć należy, iż zwiększenie się ludności w trójnasób i więcej drogą naturalnego przyrostu miało miejsce w XIX stuleciu w całym szeregu krajów i nie jest czymś nadzwyczajnym. Ludność Anglii i Walii zwiększyła się w latach 1800—1900 z 8,900 mil. do 32,5 mil.; ludność Niemiec w latach od 1816 do 1910 (94 lata) z 24,8 do 64,9 mil. tj. 2,6 razy; przy tym należy uwzględnić, iż z tych państw wiele osób wymigrowało.

logiczne, wychowanie młodzieży w duchu narodowo-socjalistycznym powinno dać jeszcze lepsze wyniki.

A wtedy jaki los czeka narody zwyciężone?

Jaskrawą ilustrację w tym względzie może dać nie tyle położenie niemieckich żydów, ile raczej los cyganów w Niemczech.

W sierpniu 1936 roku, minister spraw wewnętrznych Rzeszy wydał drakońskie prawa przeciw cyganom, a wiosną 1938 r., narodowo-socjalistyczne zrzeszenie lekarzy Rzeszy powzięło, z inicjatywy burmistrza Berleburga, dra Guenthera postanowienie o przymusowej sterylizacji wszystkich cyganów na terenie Rzeszy.

Prawa te podobno wchodzą już w życie. W każdym razie, w lipcu 1938 r., został ogłoszony w prasie komunikat oficjalnej niemieckiej agencji, głoszący, że wszystkie sprawy dotyczące cyganów koncentrują się w Gestapo oraz, że względem cyganów będą stosowane „wnioski nauki o rasizmie”, tj. sterylizacja. Nie ulega wątpliwości, że niemieckim żydom, o ile nie uda im się wyemigrować, zagraża fizyczne unicestwienie. Streicher już w połowie 1938 r. domagał się na łamach *Stuermer*’a ogólnej sterylizacji Żydów, a *Schwarze Korps*, organ szefa Gestapo Himmlera, wypowiedział się za zupełną zagładą niemieckich żydów „ogniem i mieczem” (*Mit Feuer und Schwert*).

Możliwe, że niemieckim żydom, których liczba jeszcze teraz sięga paruset tysięcy, uda się wyemigrować. Gdzie jednak mają się podziąć setki milionów nie-niemieckiej ludności Europy?

W *Mein Kampf* — dziele, które obowiązany jest znać każdy Niemiec młodego pokolenia, Hitler zawczasu przygotowuje niemiecki naród do myśli o uciemieniu, a następnie zniweczeniu innych narodów.

Czyni on to, twierdząc dowolnie, iż początkowa cywilizacja aryjczyków oparta była na niewolnictwie zwyciężonych „niższych narodów”, z czego wyciąga następujące wnioski:

Bez tej możliwości wykorzystania niższych ras, aryjczyk nigdy nie byłby w stanie zrobić pierwszych kroków ku swej późniejszej kulturze, również jak bez pomocy zwierząt, które

udało mu się ujarzmić, nie osiągnąłby nigdy takiego stopnia techniki, która daje mu możność obecnie, po części, obchodzić się bez nich. Słowa „murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść” mają głęboki sens”. Tysiące lat służył koń człowiekowi i pomagał mu w stworzeniu takich warunków, w których samochód uczynił go zbędnym (*Mein Kampf*, str. 322).

Analogia jest zupełnie wyraźna. Los koni oczekuje wszystkie narody świata nie-niemieckiej krwi!

Hitler i Ludendorff dla podniesienia ducha narodu nazwali wojnę — walką o życie (*Lebenskampf*). W rzeczywistości żadna walka o życie nie grozi narodowi niemieckiemu, bo nikt narodu niemieckiego wytepić nie zamierza i nie zamierzał. Po przegranej czteroletniej wojnie pozostał nie tylko naród niemiecki, lecz i zjednoczona Rzesza Niemiecka. Natomiast pozostałe narody świata bronić muszą przed narodowym socjalizmem swego prawa do życia na ziemi. Narodowi socjaliści twierdzą, że budują „wieczną Rzeszę”. Nie jest to jedynie frazesem: jeśli odniosą zwycięstwo nad całym światem i skazą wszystkie inne narody na zagładę — Rzesza będzie wieczną.

Co się zaś tyczy przyszłego losu narodu niemieckiego, grozi mu pozbawienie swobody w zawieraniu małżeństw i związków nieślubnych. Narodowi socjaliści, w tej liczbie i Hitler, przyznają, iż tylko część narodu niemieckiego należy do nordyckiej rasy (nie więcej jak 50%), wobec czego naród niemiecki musi jeszcze ulec nordyzacji (*Aufnordung*). Środkami nordyzacji będą widocznie z jednej strony sterylizacja, stosowana już obecnie przymusowo i na wielką skalę względem chorych i upośledzonych,¹⁾ z drugiej zaś skasowanie monogamii. Rosenberg w *Micie* wyraża się z uznaniem o poligamii. Lecz i poligamia nie jest jeszcze ideałem dla narodowych socjalistów. Dążą oni do racjonalnej hodowli rasy ludzkiej, na wzór hodowli zwierząt, pod egidą istniejącego już w Niemczech urzędu ochrony rasy (*Rassenamt*), którego funkcje wciąż się rozszerzają.

¹⁾ Podł. oficjalnych danych w ciągu jednego roku dokonano 56.000 sterylizacji.

Praktyki szpitalne młodzieży żeńskiej szkół średnich.

Z wiosną roku ubiegłego opinia publiczna została zaalarmowana wypadkami, jakie rozegrały się z okazji zapoczątkowanych wtedy u nas praktyk szpitalnych uczennic szkół średnich. Że wiadomość o nich przyjęto z żywym niepokojem, nie można się dziwić, skoro w świeżej pamięci tkwiły gorsze jeszcze eksperymenty, których sprawa oparła się aż o salę sądową. Tym razem widownią były niektóre szpitale, gdzie uczennice skierowano do miejsc lub zajęć dla nich nieodpowiednich. Wypadki takie były przypuszczalnie nieliczne, niemniej te, o których wiadomo, wywołać musiały słuszne oburzenie rodziców i wychowawców. Przytaczano przykłady wprowadzania siedemnastoletnich uczennic na sale operacyjne, skąd uciekały przerażone, lub poruczania im dyżurów wśród chorych zakaźnych. Jeśli zaś jest prawdą, że w pewnym mieście asystowały przy zabiegach położniczych, należałoby to określić jako czyn nie tylko brutalny ale wręcz karygodny.

Te, jak powtarzamy, prawdopodobnie nieliczne wypadki były zawinione przez czynniki miejscowe, zdaje się, głównie szpitalne. W planach Ministerstwa nie leżały one wcale, jak to stwierdziła jego delegatka, która objeżdżała potem poszczególne ośrodki, oraz świeżo wydana Instrukcja o praktykach szpitalnych uczennic. Przepisy tejsze, ze względu na aktualność sprawy dla najszerszych sfer społeczeństwa, podamy poniżej; przedtem jednak pragniemy zaznaczyć Czytelników z tłem, na jakim wyrosła idea wspomnianych

praktyk szpitalnych, mianowicie z obowiązującym dziś przysposobieniem młodzieży do obrony kraju.

Że przysposobienie takie wprowadzono u nas wśród starszej młodzieży, należy uznać za rzecz słuszną. W chwili kiedy w coraz nowych krajach zaczyna się przyjmować idea powszechnego obowiązku obrony kraju, kiedy we Włoszech zakłada się organizacje wojskowe niemal dla dzieci, a jeden z naszych sąsiadów usiłuje zamienić cały kraj w obóz pogotowia wojennego, nie może Polska pozostawać w tyle i musi szkolić młode pokolenie, by w razie potrzeby znaleźć w nim gotową pomoc. I temu właśnie celowi służy „Przysposobienie młodzieży szkolnej do obrony kraju”, przeprowadzane dziś łącznymi siłami Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i Ministerstwa Spraw Wojskowych. Jego organizacja i zadania zostały zasadniczo określone zarządzeniem Ministra W. R. i O. P. oraz Ministra Spraw Wojskowych z dn. 10 września 1937 r., w sprawie organizacji przysposobienia młodzieży szkolnej do obrony kraju¹⁾ i uzupełnione potem dalszymi szczegółowymi rozporządzeniami.

Przysposobienie to, w myśl zarządzenia, realizuje się w szkołach średnich ogólnokształcących i zawodowych, oraz w szkołach dokształcających zawodowych, w których uczniowie odpowiadają przeciętnie wiekowi od lat 15 wzwyż, według obowiązujących programów szkolnych. Celem Przysposobienia jest „przygotowanie uświadomionych, czynnych, dzielnych i karnych obywateli, gotowych każdej chwili stanąć w jego obronie przed grożącym z jakiejkolwiek strony niebezpieczeństwem”. A jakkolwiek do wyrobienia takiego typu obywatela zmierzać ma cała praca wychowawcza i naukowa szkoły — przez kształtowanie silnych charakterów i poczucia odpowiedzialności, wyrabianie miłości ojczyzny i cnót żołnierskich — to jednak praktyczne względy każą poświęcić w programie normalnej nauki szkolnej osobny czas tym szczegółowym zadaniom obrony kraju, jakie w potrzebie mogłaby spełniać młodzież. To też w I i II klasie liceum, zarówno męskiego jak żeńskiego, przeznaczają się na

¹⁾ *Dziennik Urzędowy Ministerstwa W. R. i O. P.*, r. 1937 nr 12 poz. 369.

te zajęcia blisko sto godzin rocznie, włączając w to wykłady teoretyczne i praktyczne ćwiczenia. Uzupełnieniem tej nauki są obozy letnie, dłuższe dla młodzieży męskiej, a kilkudniowe dla żeńskiej.

Jak wielką wagę przywiązują władze szkolne do tego działu pracy, świadczy okoliczność, że w myśl powyższego zarządzenia ministerialnego, przysposobienie młodzieży szkolnej do obrony kraju jest „podstawowym zadaniem pracy wychowawczej i dydaktycznej każdej szkoły” i stanowi „obowiązkowy przedmiot”, a ocenę osiągniętych wyników pracy umieszcza się na świadectwach szkolnych. Od zajęć z nim związanych może być uczeń (uczennica) zwolniony „tylko czasowo i częściowo na podstawie orzeczenia lekarza szkolnego”. Owszem „Regulamín tymczasowy”¹⁾ poleca, że i tym, którzy z powodu wady organicznej zostali „częściowo zwolnieni” od zajęć w hufcu szkolnym, należy powierzyć funkcje administracyjne w hufcu lub przydzielać ich (je) do szkolnych organizacji młodzieżowych, łączonych z obroną kraju, jak L. O. P. P., L. M. K., P. C. K.

Przysposobienie męskiej i żeńskiej młodzieży do obrony kraju prowadzone jest oddzielnie i ma odrębny charakter, odpowiednio do przeznaczenia na wypadek wojny. Podobieństwo zachodzi tylko pod względem organizacyjnym i wychowawczym. Tu i tam młodzież (junacy i junaczki) podzielona jest na hufce, które stanowią jednostkę organizacyjną przysposobienia na terenie szkolnym i organizowane są przez dyrektorów (dyrektorki — przełożone) z uczniów (uczennic) tych klas, w których przysposobienie do obrony kraju stanowi przedmiot szkolny. W pracy wychowawczej stosuje się zasady, wzorowane na hierarchii i dyscyplinie wojskowej.

Programy nauki i ćwiczenia są jednak dla każdej kategorii odmienne. Młodzież męska otrzymuje „przysposobienie wojskowe”, którego celem jest wyrabianie w niej „podstawowych cnót żołnierskich” i „ćwiczenie sprawności woj-

¹⁾ Uzgodniony z Ministerstwem Spraw Wojsk. „Tymczasowy regulamin hufców szkolnych” został wprowadzony Zarządzeniem Ministra W. R. i O. P. z dn. 25 lutego 1938 r. *Dziennik Urz. Min. W. R. i O. P.*, r. 1938 nr 2 poz. 30.

skowej w zakresie służby szeregowego". Do ćwiczeń należy dlatego strzelanie i to wszystko, co łączy się ze służbą żołnierską i walką. Dziewczęta natomiast otrzymują „przysposobienie do pomocniczej służby wojskowej”; stąd celem nauczania jest wyrabianie w nich „poczucia podstawowych obowiązków obrony państwa” i „ćwiczenie sprawności technicznej” w ratownictwie sanitarnym i w obronie przeciwlotniczo-gazowej.¹⁾

Ponieważ w tej chwili zajmuje nas głównie sprawa młodzieży żeńskiej, dodajmy bliższe wyjaśnienie, co Ministerstwa W. R. i O. P. oraz Spraw Wojsk. pragną osiągnąć przez szkolenie jej do obrony kraju. Jak mówią „Wskazówki do wykonania programu”, przysposobienie to, jako przedmiot nauki szkolnej, „mieści w sobie dwa zasadnicze składniki. Przedmiot ten daje szereg czysto praktycznych wiadomości z ratownictwa ogólnego i służby oraz posiada wysokie wartości wychowawcze, wskazując dziewczętom obowiązki i zadania kobiet na wypadek wojny, a przez wewnętrzną strukturę hufca, dając możność wyrobienia szeregu cech psychicznych, składających się na dodatni typ kobiety-obywatelki. Przez pracę w hufcu młodzież żeńska przygotowuje się do obrony państwa, czuje się czynnikiem potrzebnym, powołanym do tej służby. Musi ona zrozumieć swe ważne i odpowiedzialne zadanie jako stałej obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej danej szkoły. Będzie to dla dziewcząt bodźcem do pracy nad sobą, do wyrabiania karności, poczucia odpowiedzialności, opanowania i odwagi — cech tak bardzo potrzebnych każdemu”.²⁾

¹⁾ Por. „Program nauki w państw. liceum ogólnokształcącym z polskim językiem nauczania”: o przysposobieniu wojskowym. Ten sam program obowiązuje również w I i II klasie liceów zawodowych, oraz w I i II kl. państwowych liceów pedagogicznych. — Razem z tekstami pozostałych zarządzeń i wskazówek znajduje się on w wydawnictwie: *Hufce szkolne*. Cz. I. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie, 1938; str. 41 i n.

²⁾ „Wskazówki do wykonania programu przysposobienia do służby pomocniczej wojskowej młodzieży żeńskiej w pierwszej klasie liceów ogólnokształcących, pedagogicznych i zawodowych”, rozesłane przez Ministerstwo W. R. i O. P., pod datą 2 kwietnia 1938 r. (p. *Hufce szkolne*, j. w., str. 111 i 123).

Ponieważ do programu ratownictwa sanitarnego, stanowiącego przedmiot nauki I-ej klasy liceum, wchodzi opatrzenie ran, ratowanie w wypadkach załamnięcia, skaleczenia, złamania kości, zatrucia, transport i obsługa chorych, Ministerstwo nie chciało poprzestać na teoretycznych tylko wykładach i laboratoryjnych pokazach, ale pragnęło dać uczniom możliwość zetknięcia się z rzeczywistym chorym i pracą koło niego. W związku z tym wyłoniła się myśl praktyk szpitalnych, które po raz pierwszy weszły w życie z wiosną roku szkolnego 1937/38 i wywołały tyle niepokoju w kraju.

Jak do tego doszło? — Oto Ministerstwo W. R. i O. P. ogłosiło praktyki szpitalne w ramach obowiązującego programu szkolnego, ale poprzestało tylko na ogólnych wskazówkach¹⁾, nie dało zaś szczegółowych dyrektyw; kazało „pracować w terenie“ i zbierać doświadczenia. Ministerstwo Opieki Społecznej ze swej strony nie pośpieszyło również na czas z wydaniem odpowiednich wskazówek dla szpitali, które też (nie można się temu dziwić) nie wszędzie chętnie podjęły ten nowy a niepożądany ciężar. Kiedy więc nadszedł termin organizowania praktyk szpitalnych, zarządy poszczególnych szkół znalazły się w trudnym położeniu i z różnym powodzeniem zdołały wykonać poruczone im zadanie. Poczynione wtedy, smutne czasem, doświadczenia przyniosły wszakże tę korzyść, że posłużyły do opracowania osobnej „Instrukcji w sprawie praktyki szpitalnej uczennic klasy I-ej liceów ogólnokształcących, pedagogicznych i zawodowych“, którą wprowadzono do szkół Zarządzeniem Ministerstwa W. R. i O. P. z dn. 20 stycznia 1939 r.²⁾ Obecnie możemy więc mieć uzasadnioną nadzieję, że wypadki w rodzaju przeszłorocznych nie powtórzą się więcej, a w każdym razie winnych będzie można pociągnąć do odpowiedzialności.

¹⁾ Wskazówki do wykonania programu, j. w.

²⁾ *Dziennik Urz. Min. W. R. i O. P.*, r. 1939, nr 1, poz. 8. — Krótko przedtem Min. Opieki Społ. wydało instrukcję z dn. 25 października 1938 r., o przygotowaniu personelu do ratownictwa sanitarnego w obronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej, oraz pismem, wysłanym do Wojewódów i Komisarza Rządu na m. stoł. Warszawę, w dniu 30 listopada 1938 r., poleciło szpitalom przyjmowanie uczennic na praktykę.

Instrukcja powyższa określa przede wszystkim ćwiczenia, które należą do zakresu praktyki szpitalnej uczennic. Są nimi: „1) Zaznajomienie się z charakterem życia szpitalnego i obowiązującą w szpitalu hierarchią i dyscypliną. 2) Wykonywanie na salach chorych łatwych zabiegów pielęgniarских, jak sianie łóżek, toaleta chorego, pomoc przy rozdawaniu posiłków i ewentualnym karmieniu ciężko chorych, mierzenie ciepłoty i tętna, stawianie bańek, robienie okładów i kompresów, asystowanie przy iniekcjach itd. 3) Pomoc w ambulatorium i na sali opatrunkowej przy nakładaniu i zmianie opatrunków. 4) W miarę wolnego czasu pomoc przy przygotowywaniu materiału opatrunkowego do sterylizacji: zwijaniu opasek, przygotowywaniu wacików, gazyków, tamponów itd., czyszczeniu i konserwacji narzędzi chirurgicznych, strzykawek itd. 5) Dyżury przy ciężej chorych lub chorych po operacji. Zwracanie uwagi na tętno, kaszel, zachowanie się chorego”.

Ćwiczenia powyższe, o ile w danej miejscowości nie ma szpitala, mogą uczennice odbywać także w lokalnych przychodniach lub ośrodkach zdrowia. Wskazane jest jednak „w miarę możliwości”, przewiezienie uczennic do najbliższego miasta, posiadającego szpitala.

Po wtóre, co w związku z przeszłorocznymi wypadkami jest najważniejsze, Instrukcja wymienia zajęcia i miejsca, które wykluczone są z zakresu praktyki uczennic. Zastrzega bowiem (miejsca poniżej rozstrzelone są podkreślone również w oficjalnym tekście): „Praktyka szpitalna uczennic może zasadniczo odbywać się na oddziałach chorób wewnętrznych i chirurgicznych (okulistycznym, usznym) z wyłączeniem sal operacyjnych, oraz w ambulatoriach czy przychodniach. Uczennice w żadnym razie nie mogą odbywać praktyki na oddziałach: zakaźnym, położniczo-ginekologicznym i skórno-wenerycznym. Obecność uczennic na salach operacyjnych podczas operacji jest niedopuszczalna”.

Ażeby wykorzystać jak najlepiej te ćwiczenia i zapobiec możliwym niedopatrzeniom, „dyrektor szkoły omawia sprawę praktyki z dyrektorem szpitala osobiście lub za po-

średnictwem lekarza szkolnego", przy czym „omówienie celu i zakresu praktyki powinno być wyczerpujące i szczegółowe dla uniknięcia błędów wychowawczych i skierowywania uczennic na właściwe oddziały". Również „podczas odbywania praktyki szpitalnej przez uczennice, konieczny jest kontakt dyrektora szkoły z władzami szpitalnymi. Wskazaniem jest po zakończeniu praktyki odbycie krótkiej konferencji z dyrektorem szpitala i przełożoną S. S. pielęgniarek, celem zebrania danych o pracy uczennic, ich stosunku do chorych, ich postawie w szpitalu i korzyściach, jakie odniosły z praktyki".

Jak widać z powyższych wskazówek, instrukcja wymienia szczegółowo osoby, na które spada odpowiedzialność za należyte zorganizowanie praktyk szpitalnych. Są nimi: lekarz szkolny, komendantka hufca i przede wszystkim dyrektor szkoły, on bowiem z pomocą tamtych „zasadniczo organizuje praktykę szpitalną". W toku zaś samych ćwiczeń odpowiedzialne są odnośne czynniki szpitalne: lekarze, pielęgniarki i zwłaszcza dyrektor szpitala, a ze strony szkoły opiekunka przez nią przydzielona.

Przepisy powyższe normują więc całe zagadnienie w sposób, który powinien być dostateczny dla wykluczenia poważniejszych nadużyć. Nie usuną one jednak mniejszych nieporozumień i trudności, chyba tam, gdzie praktykę poprzedzi bardzo staranne przygotowanie, a towarzyszyć jej będzie wysoki taktyk zarówno ze strony lekarzy jak uczennic. Samo dosłowne trzymanie się tekstu instrukcji nie wystarczy. Wolno np. uczennicom asystować przy opatrunkach; lecz te mogą być czasem bardziej drażliwe niż sama operacja. Stawianie baniek i dyżury przy ciężej chorych lub po operacji mogą też mieć swoje trudności. Wolno odbywać praktykę w ambulatoriach i przychodniach; lecz ambulatoria przyjmują ludzi wszelkiego rodzaju, a przychodnie są głównie przeciwweneryczne, -gruźlicze i -jaglicze. Albo jeśli dany chory zaprotestuje przeciw przyglądaniu się dziewcząt jego ranom czy chorobie, bo chyba nikomu to nie jest miłe, to co? Już przy przeszłorocznych próbach były takie protesty i nikt im nie może odmówić słuszności. Dobrze przy-

najmniej, że instrukcja poleca uczennicom tylko „pomoc”, a nie samo nakładanie lub zmianę opatrunków.

Z tym wszystkim należy przyjąć ostatnie przepisy z wielkim uznaniem, a same praktyki szpitalne jako czynnik, korzystny nawet dla życia codziennego, a pożądanym dla uzupełnienia nauki ratownictwa sanitarnego. Zarzut, robiony przez pewne koła lekarskie i pielęgniarские, że w tak krótkim okresie dziewczęta niczego się nie nauczą, nie jest przekonujący. Uczennice nie kształcą się tu bowiem na fachowe pielęgniarki, a zadaniem praktyk, jak zaznacza na wstępie instrukcja, jest: „1) zefknienie młodzieży z chorym, celem usunięcia nerwowego lęku przed szpitalem i człowiekiem cierpiącym, 2) praktyczne zastosowanie wiadomości nabytych podczas pracy w hufcu z zakresu pielęgniarstwa i nakładania opatrunków, 3) zaznajomienie się z pracą służby zdrowia lekarzy i pielęgniarek”. Do osiągnięcia tych celów czas wyznaczony przez szkołę wystarczy, zwłaszcza, że stanowi on i tak dużą rubrykę. Na praktyki szpitalne przeznaczają bowiem Ministerstwo 20 godzin i to przedpołudniowych, co jest równoznaczne z darowaniem czterech normalnych dni w roku szkolnym.

Dodajmy w końcu, że „odbycie praktyki szpitalnej jest dla uczennic obowiązkowe”, a uczennica, która nie odbyła jej bez usprawiedliwionej przyczyny, nie może uzyskać dodatniej oceny z p. w. na świadectwie rocznym. Do usprawiedliwienia takiej nieobecności w ciągu ćwiczeń nie wystarczy zaś poświadczenie domowe, lecz konieczne jest świadectwo lekarskie; do zupełnego zwolnienia od nich wystarczy jedynie cięższe kalectwo.

Patrząc na trudności, z jakimi w pierwszym roku próby spotkały się ćwiczenia szpitalne uczennic, nie możemy powstrzymać się od jednej refleksji. Zdaje nam się, że są one jednym więcej przykładem, jak niebezpieczne jest w dzisiejszych stosunkach wydawanie rozporządzeń, bez równoczesnego podania szczegółowych przepisów wykonawczych. W różnych innych wypadkach, których kilka wspomniemy poniżej, pokazało się, że zarządzenia najwyższych władz szkolnych mogą być dobre, lecz wykonawcy nie zawsze

umieją stanąć na wysokości zadania i popełniają błędy, które krzyżują raczej intencje Ministerstwa i przynoszą szkodę młodzieży.

Weźmy dla przykładu taki drobiazg, jak wietrzenie klasy w zimie. Jest ono podczas przerwy między lekcjami konieczne, lecz nieroztropny nauczyciel(ka) zapomina czasem, że niejedno dziecko jest skłonne do zaziębienia; mimo jego próśb nie pozwala mu wziąć na chwilę płaszcza, lecz każe siedzieć i marznąć w ławce. Przeziębienie i choroba dziecka bywają potem następstwem tej przesadnie rozumianej „higieny”; nauczyciel słuchał ślepo litery przepisu, że nie ma pozwalać dzieciom siedzieć w płaszczach w klasie, a nie myślał o głębszej jego treści, i o tym, że reguła ma wyjątki i to w potrzebie wskazane.

A teraz inny pokrewny przypadek. Piękną i słuszną rzeczą jest udział młodzieży w uroczystościach narodowych, zwłaszcza dn. 11 listopada. Lecz wszyscy wiemy, że jest to zarazem okres najmniej szczęśliwy do wyprowadzenia tysięcy rzesz dzieci i młodzieży na chłodne i dżdżyste powietrze. Przypominamy tu listopad 1937 r., z panującym w owym dniu chłodem i deszczem. Niewielka tylko liczba odważniejszych i troskliwszych o młodzież kierowników i dyrektorów zwolniła ją od masowego udziału w obchodzie i wysłała poczty sztandarowe; pozostali zastosowali się do litery przepisu. Skutek, jak pisał warszawski *Kurier Poranny* (nr 321), był taki:

...Ze wszystkich stron dochodzą skargi na fatalne skutki, jakie dla zdrowia uczniów szkół średnich i, zwłaszcza, powszechnych pociągnęło za sobą wielogodzinne stanie na ulicy w ten mokry, zimny dzień. Nie są to zresztą bynajmniej pierwsze skargi tego rodzaju. Nie od dziś skarżą się rodzice i nauczyciele na to, że po każdej prawie tego rodzaju uroczystości wzrasta gwałtownie fala zachorowań, klasy świecą pustką, dezorganizuje się nauka szkolna, a niejedno z dzieci przypląca nawet poważną i długotrwałą chorobą udział w obchodzie.¹⁾

Czy takie następstwa były zamierzone przez Ministerstwo, czy żądało ono czynnego udziału całej młodzieży,

¹⁾ Zwracamy zaś uwagę, że niektóre choroby zakaźne, jak błonica i płonica (szkarlatyna), nie tylko same są ciężkie, ale pozostawiają nie-raz trwałe szkodliwe następstwa, np. wady serca.

choćby ze szkodą dla zdrowia i nauki? Z pewnością nie. Lecz nie przewidziało tego w osobnych wskazówkach, a znacznie przeważająca część niższych organów nie zdobyła się na własny sąd w tej sprawie.

Z podobnym brakiem samodzielności, dyktowanej roztropnością i względem na dobro młodzieży i szkoły, spotykamy się częściej na różnych innych odcinkach. Ileż to razy deszcz pada, kałuże wody na chodnikach, a tymczasem cała klasa dzieci szkolnych sunie ulicami, przeważnie bez parasoli i kaloszy, bo plan nauki przewidział właśnie na ten dzień zwiedzanie jakiejś osobliwości. Czyż nie było obowiązkiem rozumnego kierownika szkoły zmienić doraźnie ów rozkład czasu? Tak samo, czy nie byłoby wskazane zmienić termin wymarszu do położonej o godzinę drogi od miasta strzelnicy, gdy pada gwałtowny deszcz? Przecież ci uczniowie wyższych klas szkoły średniej, choć należą do P. W., nie wszyscy są bohaterami pod względem zdrowia, a jako „wojskowi” wstydzą się używać wtedy parasola. Wyniki badań zdrowotnych młodzieży, przeprowadzane dziś systematycznie przy wstępie do wyższych uczelni, wykazują przecież między nimi znaczny odsetek słabowitych, a nawet chorych.

Obok powyższych wypadków, w których odpowiedzialne czynniki mogą się ostatecznie zasłaniać literą przepisów i obawą o własny los, zdarzają się jednak inne jeszcze i gorsze, dla których nie ma usprawiedliwienia. Jeden z nich pragniemy tu przypomnieć, bo jest szczególnie silnym dowodem w poruszonej przez nas sprawie. Chodzi mianowicie o głośnie w całym kraju niedawne badania lekarskie i pomiary antropometryczne młodzieży szkolnej na Śląsku i we Lwowie.

Jak wiadomo z ogłoszonego pod koniec grudnia 1936 r. oficjalnego oświadczenia, Ministerstwo W. R. i O. P. w porozumieniu z Ministerstwem Spraw Wojsk. przeprowadziło jesienią tegoż roku badania lekarskie na kilkunastu tysiącach młodzieży wszystkich typów szkół. Badania te miały na celu stwierdzenie jej stanu zdrowotnego i sprawności fizycznej, a tym samym wartości fizycznej przyszłych obywateli Rzeczypospolitej. „Badania te — brzmiał tekst oświadczenia — były przeprowadzane w sposób normalnie stosowany przy badaniach lekarskich, przy zachowaniu

wszelkich form, nie narażających młodzieży na obrazę jej poczucia skromności".

Tak miało być i takie było, nie wątpimy, życzenie Ministerstwa. A jak wyglądało wykonanie? — Wystarczy wspomnieć, że w szkołach śląskich wojewoda dr Grażyński musiał wkroczyć osobiście, gdyż, jak pisała Katolicka Agencja Prasowa, żądano od młodzieży, by stawała „bez ubrania” przed komisją mieszaną mężczyzn i kobiet. Toteż młodzież broniła się, częściowo uciekała, a chłopcy mimo polecenia przychodzili w kostiumach kąpielowych. Wobec rodziców młodzież żaliła się, że komisja nie tylko nie liczy się z nią, ale jej „daje nagany za fałszywą wstydlivość”.

Jeszcze nie ucichła sprawa śląska, a już, głównie za pośrednictwem *Małego Dziennika* (Warszawa), przyszły nowe alarmujące wiadomości o Lwowie. Wprawdzie pierwsze informacje o niewłaściwym sposobie dokonywania badań lekarskich w gimnazjum męskim im. H. Sienkiewicza zostały potem częściowo sprostowane, jako niedostatecznie stwierdzone (w rzeczywistości i tam były nieporządki), ale za to bez odwołania i szczegółowiej przedstawiono wypadki, jakie zaszły w państw. gimnazjum żeńskim im. Królowej Jadwigi.

Podług tych doniesień rodzice skarżyli się, że dziewczęta miały „stawać nago przed komisją, złożoną z trzech lekarzy mężczyzn, oraz czterech pań, tj. dyrektorki zakładu, lekarki szkolnej, nauczycielki gimnastyki i gospodyni klasy”. Dopiero na protesty jednej z pań komisja zrobiła drobne ustępstwo co do zasłonięcia się, niemniej zadawano uczennicom „w obecności swych wychowawczyń żenujące pytania”, a gdy jedna z uczennic nie chciała się rozebrać, „rozebrano ją przemocą i postawiono nagą”. Że wykonawcom tych „naukowych” badań zależało widocznie na zatuszowaniu ich postępowania, zdaje się jasno wynikać z dalszego ciągu sprawozdania, podług którego „pod groźbą jak najdalej idących konsekwencji zabroniono uczennicom zdradzać się przed najbliższym otoczeniem, co z nimi wyrabiano”. Nie zdradzały się też, możemy przypuszczać, już ze względu na poszanowanie samych siebie. W całości jednak rzecz ta nie mogła się ukryć i „w zakładzie powstał formalny bunt”, a „uczennice jednej z klas niższych, które zamierzano wziąć

do badania, kategorycznie oświadczyły swym wychowawcom, że żadna siła ich do tego nie zmusi“.

Fala oburzenia i protestów, jaką wywołały doniesienia o tych wypadkach, spowodowała wydanie wspomnianego powyżej „Oświadczenia“, w którym Ministerstwo W. R. i O. P. usiłowało sprostować informacje *Małego Dziennika* i zapowiedziało pociągnięcie winnych umieszczenia ich do odpowiedzialności karnej, co też uczyniło.

Nie będziemy zatrzymywać Czytelników nad szczegółami rozprawy, która po przeszło rok trwającym śledztwie, rozpoczęła się z początkiem maja 1938 r. w lwowskim Sądzie Okręgowym i zakończyła dn. 21 czerwca wyrokiem, uwalniającym redaktorów *Małego Dziennika* od zarzutu zniesławienia komisji ministerialnej, ponieważ oskarżeni — przeprowadzili dowód prawdy. Zeznania świadków udowodniły bowiem prawdziwość trzech głównych zarzutów, postawionych w *Małym Dzienniku*, że do młodzieży zastosowano przymus psychiczny, naruszono jej poczucie wstydlivosti i to przed komisją mieszaną.

Skierowanie przez Ministerstwo W. R. i O. P. całej sprawy na drogę sądową należy więc uznać za zdarzenie szczęśliwe. Proces nadał jej rozgłosu i udowodnił, że zarzuty były słuszne, owszem że *M. Dziennik* mniej powiedział, niż było rzeczywiście. Gdy się czyta sprawozdania z przesłuchania świadków, wierzyć się nie chce, że coś podobnego jest u nas możliwe. Rzućmy jednak zasłonę na te przykre i niechlubne wspomnienia, i miejmy nadzieję, że wypadki tego rodzaju więcej się nie powtórzą, że władze szkolne będą na przyszłość ostrożniejsze, młodzież okaże więcej energii w obronie swej czci, a rodzice więcej troskliwości o swe dzieci!

O jedno zaś możemy tym śміalej prosić nasze Ministerstwo W. R. i O. P., by wobec doświadczeń, poczynionych przy praktykach szpitalnych uczennic i zwłaszcza przy wspomnianych badaniach lekarskich, nie spuszczało się w trudniejszych wypadkach na podległe mu organy i nie robiło „doświadczeń w terenie“, lecz do każdego programu i zarządzenia w rodzaju powyższych dawało równocześnie szczegółowe dyrektywy, co najmniej zapobiegające nadużyciom.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Przegląd Piśmiennictwa.

Wanda Miłaszewska: *Bogactwo* (wyd. Księgarnia św. Wojciecha) — Tadeusz Kudliński: *Uroki* (wyd. Książnica-Atlas). — Jarosław Iwaszkiewicz: *Dwa opowiadania* (wyd. Gebethner i Wolff). — Izabella Lutosławska: *Państwo Bobrowscy* (wyd. Stefana Dippa w Poznaniu). — F. Antoni Ossendowski: *Biesy* (wyd. R. Wegner). — Henryk Zbierzchowski: *Kariera pana Franciszka* (wyd. A. Krawczyński, Lwów).

Księgarnia św. Wojciecha, ta tak bardzo zasłużona placówka wydawnicza, nie miała jakoś szczęścia ze swym konkursem jubileuszowym. Żadna z nagrodzonych powieści — omawianych już w *Przeglądzie* — ani *Michał Znanieckiego*, budzący zastrzeżenia ideologiczne, ani obarczona poważnymi brakami artystycznymi *Droga do Daugiel* Bohdanowiczowej, nie są osiągnięciami literackimi większej miary. Nie jest też wybitną pozycją literacką trzecia nagrodzona powieść, *Bogactwo*, Wandy Miłaszewskiej, która w swoim dorobku pisarskim posiada rzeczy znacznie lepsze, niż ta ostatnia książka. *Bogactwo* rozpada się wyraźnie na dwie części, nie zharmonizowane ani wewnętrznie, ani wzajemnie ze sobą. W pierwszej odmalowuje Miłaszewska dwa środowiska: zaможnej inteligencji warszawskiej (dom mecenasa Daleckiego), i jako kontrast rodzinę kupca kolonialnego z Powiśla, Tomczyka, przy czym rozkład światła i cieni wypada wybitnie na korzyść świata pracy w sklepie. Środowisko Daleckich, poza bohaterką powieści, młodzieńką Krysią i jej ojcem, jest niemal karykaturą, a to nigdy nie wychodzi na dobre prawdziwie artystycznej opowiadania. Aby doprowadzić Krysię do drugiej części powieści, do pracy w Gdyni na pionierskiej placówce polskiego handlu śledziami, aranżuje Autorka w części pierwszej nieprawdopodobną i w nienajlepszym guście sensacyjną historię rodzinną. Sztuczność tej całej awantury, opartej na paru lichych i wątpliwych kłamstwach Loli, starszej córki Daleckiego, jest istotnym błędem kompozycyjnym, zwłaszcza gdy się zważy, że jest to zasadnicza perypetia książki, mająca decydujące znaczenie dla losów wszystkich występujących postaci. Niczym nieumotywowana jest również różnica charakterów obu córek. Czarny egoizm Loli, powodujący kata-

strofę rodzinną, prowadzący ojca za kraty więzienia, kontrastuje zbyt silnie z dobrą, szlachetną, prawą naturą Krysi. Nie ma w powieści żadnego uzasadnienia, dlaczego dzieci tych samych rodziców, wychowane w tych samych warunkach, rozwinęły się w sposób tak biegunowo różny. Ten staroświecki podział na czarne i białe charaktery budzi w czytelniku natychmiastowy, instynktowny sprzeciw, a co gorsza pozwala zakwestionować prawdę psychologiczną obu postaci. Część druga przedstawia pobyt Krysi w Gdyni i jej samodzielną pracę w firmie „Rybitwa”. Jest to zupełnie nowy świat, nowe zagadnienia, nowy rozdział życia bohaterki, połączony właściwie bardzo luźno z częścią pierwszą. Wtopienie w nurt obyczajowej powieści, jaką jest *Bogactwo*, zagadnień społeczno-gospodarczych, związanych z Gdynią, z problemem polskiego handlu dalekomorskiego, powiodło się Autorce tylko częściowo. Zbyt często bowiem wprowadzenie tych spraw odbywa się po prostu przy pomocy wykładu którejs z postaci na temat ważności zagadnień morskich. Pomimo przedstawienia kilku scen z życia Gdyni, za dużo się o niej mówi, a za mało pokazuje się ją samą. Wreszcie dość powierzchownie potraktowane dojrzewanie wewnętrzne Krysi w zetknięciu z „twardym życiem” nie wiąże się dostatecznie mocno z motywami gdyńskimi, nie jest w sposób konieczny zespolone z takim właśnie środowiskiem, w jakim się znalazła. Oprócz tych braków kompozycyjnych razi mnie w książce Miłaszewskiej jeszcze pewna cecha ogólna, zabarwiająca niekorzystnie całość: jest nią naiwność. I nie mówię tu o naiwności młodziutkiej, niedoświadczonej dziewczyny, jaką jest Krysia. W jej postaci ta cecha jest zupełnie na miejscu, stanowi świadomie użyty chwyt charakteryzujący. Naiwność *Bogactwa* sięga jednak głębiej, naiwne bowiem wydaje się samo podejście Autorki do problemu bogactwa, do tego przewartościowania wartości życiowych, wypracowanego w sobie przez Krysię. W książce roi się od truizmów na temat rzeczywistej wartości pieniędzy, wartości pracy, skarbów ducha ukrytych w „szarym człowieku” itd. itd. Wypowiadanie takich zdań tonem rewelacji i zaprawianie ich sentymentalną łezką, wytwarza właśnie tę atmosferę książki, dla której nie ma innego miana, niż naiwność. Może chodziło Miłaszewskiej o stworzenie książki bardzo łatwej i popularnej, u Autorki jednak posiadającej niewątpliwe zalety pióra, rzetelny stosunek do własnej twórczości i pragnienie służenia dobrem sprawom, chciałoby się widzieć więcej pogłębienia, zdolnego nadać jej utworom trwalszą wartość.

Epoka wojen napoleońskich stanowi i chyba zawsze stanowić będzie kopalnię nieprzeliczonych materiałów pisarskich, z których korzystają zarówno autorzy książek dla młodzieży, jak powieściopisarze i biografowie. Epopeję napoleońską odtwarzano już z rozmaitych punktów widzenia, w przeróżnych oświeśleniach

i skrótach: jako dzieje genialnej jednostki, boga wojny, oswobodziciela i organizatora ludów Europy, Napoleona, lub jako wypadkową działań i zmagających prądów ideowych, intryg i ambicji poszczególnych koronowanych i niekoronowanych władców Europy. Ujmowano ją syntetycznie, operując wielkimi liniami i planami, niejako patrząc na nią z góry, lub też przeciwnie przedstawiano okres tych wielkich przeobrażeń jakby widziany z dołu, bez perspektywy historycznej, okiem ówczesnego szarego człowieka. Kładziono nacisk na stronę militarną lub polityczno-społeczną wypraw napoleońskich, na ich znaczenie w historii kultury i prądów umysłowych. *Uroki* Tadeusza Kudlińskiego jeszcze raz podejmują historię tych lat, bogatych w wydarzenia i w wybitne osobowości. W układzie materiału rzeczowego Autor usiłuje połączyć obydwie metody: syntetyczną i analityczną. Dzięki temu oglądamy rozwijające się wypadki powieści, kolejne etapy wypraw i wojen Napoleona, z dwóch biegunów myśli polskiej i życia polskiego w owych czasach. Najpierw oczami człowieka bardzo przeciętnego, uczestnika tych walk raczej z fantazji żołnierskiej, niż ze świadomego patriotyzmu. Porucznik Jakub Kierzkowski, *simplex servus Dei*, nie zdaje sobie sprawy ze sprzężyn i celów wojny, w której bierze udział. Ponosi go temperament wojaka, kocha swoje rzemiosło i przykrzy sobie dłuższą bezczynność. Jeden z wielu, typowy przedstawiciel mas, kierowanych wolą i geniuszem wodzów. Jego dzieje ukazują odbicie się i załamanie wielkich wydarzeń dziejowych w psychice człowieka, niezdolnego objąć ich znaczenie. Wypadki, w których Kierzkowski uczestniczy wydają się aż pomniejszone tą niefrasobliwą tępotą, z którą wszystko przyjmuje. Za to odmienny aspekt ówczesnej rzeczywistości widzą wodzowie opinii polskiej: ks. Józef Ponia-towski i ks. Adam Czartoryski. Ci dwaj ogarniają całokształt wypadków, widzą ich bliższe i dalsze konsekwencje, czują swoją odpowiedzialność za kraj, za sprawę jego niepodległości, której obydwaj służą, choć jeden jest zwolennikiem — jakby się dziś powiedziało — orientacji napoleońskiej, a drugi prorosyjskiej. Obaj zmagają się z własną niemocą i wahaniem, z otoczeniem, z opinią publiczną, ze zmiennymi nastrojami dwóch cesarzy, z którymi związali swoje losy. Obaj przeżywają krótkie chwile tryumfu, dojmujące klęski i upokorzenia przegranej. Ich przeżycia psychiczne, ich koleje losu rozszerzają horyzont powieści, ciąśniętą tam, gdzie bohaterem wypadków jest tylko porucznik Kierzkowski. Trudno jednak uznać kompozycję *Uroków* za szczególnie skuteczną. Wtłoczenie w ramy powieści dużej ilości materiału historycznego, usiłowanie ujęcia go jednocześnie „z góry” i „z dołu”, wreszcie wyraźnie zaznaczona ambicja stworzenia sylwetek psychologicznych obu wodzów polskich, dały w rezultacie powierzchowną tylko realizację wszystkich tych zamierzeń. Zbrakło Autorowi tchu epickiego i ani akcja powieści, ani psychologia

postaci nie wyszły poza stadium szkicowości. Lakoniczność języka, dająca w niektórych partiach powieści doskonałe efekty, zawodzi jako stała metoda stylistyczna, pogłębia bowiem jeszcze wrażenie zbywania w paru słowach momentów i epizodów domagających się rozwinięcia. W sumie otrzymaliśmy jeszcze jedną powieść z czasów napoleońskich, której główny walor stanowi nie wybitny artyzm pisarski, lecz sam, zawsze fascynujący temat; powieść, o klasę wprawdzie lepszą od niefortunnych *Amarantów* Germana, ale jeszcze nie taką, jakiej od obecnego renesansu powieści historycznej oczekują tragiczne czasy Napoleona.

Dla ludzi, których twórczość Jarosława Iwaszkiewicza czarowała sugestią poetyckiego słowa, a odpychała fatalistyczno-deterministycznym swym obliczem, ostatnia jego książka zatytułowana *Dwa opowiadania* będzie stanowczym przechyleniem szali na stronę oceny ujemnej. Zwłaszcza w pierwszym opowiadaniu *Słońce w kuchni*, Iwaszkiewicz błąka się po bezdrożach jakiegoś specyficznego realizmu, rejestrując kolejne etapy życia Ignacji Zielonko bez żadnego wglądu w ich psychologiczne uмотywowanie. Wszystko w historii Ignasi, (Polki zamieszkałej w Danii, służącej w domu zamożnego kupca duńskiego), jest zagadkowe: miłość do Torbena, wyrzeczenie się związku z nim, małżeństwo z Sercarzem i wreszcie zamordowanie Torbena. Widzimy tylko fakty, tylko powierzchnię życia, wszystko co leży głębiej a wywiera na owe fakty wpływ decydujący, zostało w opowiadaniu skrupulatnie pominięte. Autor kończy nowelę wiadomością, że za materiał do niej posłużyły mu akta sądowe, dotyczące sprawy Ignacji Zielonko. Czy jednak słuszne było nadawanie opartemu na tych aktach opowiadaniu również formy tylko — protokołu? Żadnego komentarza, żadnego powiązania zdarzeń, bezprzyczynowość, irracjonalność podniesiona do absurdu. Gdybyż jeszcze to dziwne, nieciekawe opowiadanie przemawiało do czytelnika językiem dawnych nowel Iwaszkiewicza, skupionym, rytmicznym, oszczędnym w efekty, a mimo to głęboko poetyckim, tym językiem którego blask przyćmiony już nieco w *Pasjach błędmierskich* dał jednak jeszcze tej książce kilka stron wielkiej piękności. Ale *Słońce w kuchni* pisane jest językiem szarym, lakonicznym, suchym, apoetyckim. Wydaje się, że w dążeniu do prostoty stylu, Iwaszkiewicz nie umiał zatrzymać się na granicy swoich poprzednich świetnych osiągnięć, poszedł dalej, i to tak daleko, że język jego odbarwiany systematycznie z elementów wzruszeniowych, coraz bardziej i wyłącznie komunikatywny, stracił tę czarodziejską moc, jaką posiadał dawniej nad wrażliwym na piękno słowa czytelnikiem. Ale zapewne *Słońce w kuchni* nie mogło być napisane inaczej. Protokółarne ujęcie tematu narzuciło też język protokołu. Rezultat jednak wypadł przykro, niepokojąco. Jakie będą dalsze drogi Iwaszkiewicza? — Głębsze

i artystycznie ciekawsze jest drugie opowiadanie *Anna Grazzi*. Wprawdzie i tutaj, jak zwykle u niego, uczucia bohaterów są niczym nieprzygotowane i nieumotywowane, spadają na nich jak cegła z dachu, jednak całość opowiedzianej historii posiada wewnętrzną logikę. Dochodzi w niej ponadto do głosu ten nurt metafizycznego niepokoju, który przebiegał już dawniej w najlepszych utworach Iwaszkiewicza. Dla bohatera noweli, człowieka żyjącego bez myśli o wieczności, nagła śmierć ukochanej żony, ginącej w dzień ślubu w katastrofie samochodowej, staje się wstrząsem, która zmusza do spojrzenia poza doczesność. Przychodzi poczuć istnienie, obecności Boga i zarazem bunt żałosnej pychy człowieczej, która odpycha dobroć i miłosierdzie Boskie upartym *non serviam*. Dwukrotnym „nie!” kończy się opowiadanie, ale wiemy, że struna tęsknoty i niepokoju raz potrącona będzie drżeć długo, że jej dźwięk niesie ze sobą nieprzeczuwane możliwości. *Anna Grazzi* nie jest tak skończone szara stylistycznie, jak *Słońce w kuchni*, jednak i na niej odbiła się bardzo niekorzystnie ewolucja stylu Iwaszkiewicza. Można tylko pragnąć i mieć nadzieję, że obecna maniera nie jest osiągnięciem ostatecznym, a jedynie etapem eksperymentalnym, który przeminie. I że wraz z nią znikną też lapsusy językowe, psujące dobrą polszczyznę utworu, a których nikt by się po Iwaszkiewiczu nie spodziewał.

Adam Grzymała-Siedlecki nazwał *Córke Izabelli Lutosławskiej* „książką w czepku urodzoną”, tak niezwykle gorącego doznała przyjęcia wśród czytelników. Postać bohaterki odczuła od razu jako dobrze znaną, żywą, prawdziwą, spotykaną na każdym kroku. W Warszawie odbył się nawet wówczas wieczór dyskusyjny, na którym namiętnie oskarżano Zazę i gorąco jej broniło. Drugi tom trylogii *Małżeństwo Zazy* wyszedł drukiem w r. 1934, trzeci *Państwo Bobrowscy* ukazał się niedawno i już po 8 tygodniach doczekał się drugiego wydania. Świadczy to o niesłabnącym zajęciu, jakie postać Zazy i dalsze koleje jej życia budzą wśród czytelników. Wydaje mi się, że powodzenie swoje zawdzięcza trylogia Lutosławskiej przede wszystkim tej właśnie postaci centralnej. We wszystkich tomach cyklu Zaza jest ośrodkiem zainteresowania Autorki i czytelnika. Nawet w tym tomie ostatnim, który mam omówić, a gdzie postacią równorzędną mógłby się stać obok Zazy jej mąż, Zbigniew Bobrowski, pozostaje ona wciąż na pierwszym planie i ona to przemawia tak dobitnie do szerokich kół czytelniczych. Ten właśnie typ nowoczesnej panny sprzed lat dziesięciu, piętnastu, jaki reprezentuje Zaza Barska-Bobrowska, wysoce antypatyczny, a dzięki swemu rozpowszechnieniu dobrze każdemu znany, znalazł taki żywy odzwiek w społeczeństwie. Jej potworny egoizm, niepohamowane pożądanie „darów życia”, pojętych oczywiście bardzo przyziemnie

i materialistycznie, jej oschłość uczuciowa i płytkość umysłu, odmalowane zostały doskonale. Zaza nie jest karykaturą, nie jest „czarnym charakterem”, na ujęciu jej postaci nie zaciążyły żadne dążności moralizatorskie — z całkowitym obiektywizmem przedstawiła nam Autorka ten wykwit mieszczańskiego środowiska powojennej Warszawy. Trafne odmalowanie tego rodzaju psychiki przy pomocy tysiąca charakterystycznych drobiazgów stanowi największy walor *Córki*, a jej prawdziwość, jej aktualność i „autentyczność” wywalczyły książce tę zdumiewającą w dzisiejszych czasach poczytność. Niepowodzenia życiowe Zazy zaczynają się tam dopiero, gdzie styka się ona ze światem odmiennych pojęć o życiu, z środowiskiem psychicznym Zbigniewa Bobrowskiego. Z tą chwilą również występują mniej udane momenty powieści. Ani p. Barska, matka Zazy, ani stryjostwo Barscy z Różanki, ani wreszcie sam Zbigniew, nie posiadają już tej plastyczności i dynamiki, jaką odznacza się postać Zazy. Zwłaszcza w ostatnim tomie, poświęconym perypetiom małżeństwa Zazy ze Zbigniewem, widoczny jest kontrast tej dość bladej sylwetki idealnego mężczyzny z dobrze wystudiowaną postacią bohaterki. Duże zastrzeżenia budzi strona językowo-stylistyczna *Państwa Bobrowskich*: często napotykaemy sztywność zdania chropawy, niepolski, a co gorsza Autorce brak nie raz wycucia właściwego znaczenia wyrazów, co prowadzi do tworzenia takich dziwolągów stylistycznych, jak np. zdanie: „Po wyjeździe gości zaczęła obficie i szczegółowo bujać wiosna” (str. 323). Metoda skrętnego gromadzenia szczegółów bez układania ich w większe, logiczne całości sprawia, iż akcja powieści i tak dość nikła, staje się jeszcze bardziej rozproszkowana i powiązana już tylko chronologicznym elementem powieści. Problem przemiany duchowej, jakiej wreszcie — po urodzeniu nieżywego dziecka — ulega Zaza, cały w ogóle problem tego bardzo niedobranego małżeństwa domagałby się ujęcia przede wszystkim psychologicznego, od wewnątrz, a nie obyczajowego, od zewnątrz, jakie dała nam Autorka. W związku z tym ukazaniem jedynie powierzchni życia pp. Bobrowskich nasuwają się nam przy lekturze powieści ustawiczne pytania: dlaczego tak się stało? jak mogło dojść do tego właśnie? — pytania, na które książka nie daje odpowiedzi, choć dotyczą one elementarnych spraw psychiki bohaterów.

Trzeba nielada tupetu, żeby takiej szmirze, jak ostatnia powieść Ossendowskiego *Biesy*, nadać tytuł z dawną w umyśle czytelników zrosnięty z wielkim nazwiskiem Dostojewskiego. Trzeba też dużej pewności siebie i absolutnego braku autokrytycyzmu, aby w ogóle pisać i wydawać podobne książki. Wiele się u nas drukuje rzeczy, które z pożytkiem dla literatury i czytelników mogłyby nigdy nie ujrzeć światła dziennego, ale przykro jest, gdy czyni to pisarz, zażywający bądź co bądź nienajgorszej

opinii wśród szerokich mas publiczności literackiej. Nie tu miejsce zastanawiać się nad tym, czy ta opinia jest słuszna. — *Biesy* w każdym razie zdają się najkategoryczniej temu zaprzeczać. Ta ponura i mglista historia stanowi nieudolną mieszaninę elementów powieści awanturniczo-sensacyjnej, która jest najwłaściwszą domeną Autora, z jakąś bardzo swoistą i dziwaczną pseudomistyką. Psychologia postaci słaba, naciągana, miejscami wprost absurdalna; tytady filozoficzne będące popisami czystego werbalizmu, kombinacją terminów i nazw bez troski o ich sensowne powiązanie, dla okrasy parę „soczystych” scen erotycznych, no i styl górnolotny, pełen wzniosłych słów, a urozmaicony rusekizmami — oto bilans artystyczny tego dzieła. Książka, którą trudno doczytać do końca i która tylko dlatego otrzymuje wzmiankę w *Przeglądzie*, by przypadkiem nazwisko Autora nie zasugerowało nieświadomego czytelnika, że ma przed sobą powieść godną przeczytania.

Z niemięszą przykrością trzeba powiedzieć słów parę o książce Henryka Zbierzchowskiego *Kariera pana Franciszka*. Laureat nagrody literackiej m. Lwowa otrzymał owo odznaczenie zapewne za całokształt swej pracy literackiej, obejmującej szereg powieści oraz olbrzymią ilość drobnych wierszy, urozmaicających szarżyznę gazetarską pism codziennych Lwowa i Krakowa. W śpiewnej, niegłębokiej liryce, z gatunku „miłych wierszyków” czuje się autor stanowczo lepiej. Powieści są słabe, zaś świeżo wydana *Kariera* jest książką wręcz nieudaną. Między wielu rzeczami, które rażą w tej powieści, jak niespoistość kompozycji, łątanie akcji długimi a niezwiązanymi z nią wstawkami, fałszywy sentymentalizm, wybujały erotyzm, rozlewne gadulstwo, najbardziej wszakże zdumiewa sympatia, z jaką Autor odnosi się do stworzonej przez siebie galerii typów kryminalnych, do mordercy i łotra Franciszka, jego bezmyślnej i niemoralnej żony i przyjaciela, kabotyńca i oszusta. Nikt nie wymaga od Autora, aby ciskał gromy na te postaci, jednak nuta ciepłego uczucia i lirycznego rozrzewnienia w stosunku do nich jest co najmniej dziwna i budzi głęboki niesmak. Styl tego rodzaju, który zachwycał 30 lat temu wszystkie pensjonarki: „chóry szatanów” wyjące w duszy bohatera i „wilgotny okwiat(!) bzów” sąsiadują ze sobą wdzięcznie na kartach tej książki, która nie przynosi zaszczytu ani Autorowi, ani jury nagrody literackiej m. Lwowa.

Mgr Hanna Wierzbicka.

Hermann Rauschnig: *Die Revolution des Nihilismus*. Europa-Verlag, Zürich 1938, str. 510 in 8°.

Były prezes gdańskiego senatu, sam niegdyś członek hitlerowskiej partii, znakomicie zorientowany w niemieckich stosun-

kach i w niemieckich dziejach lat ostatnich, daje w tej książce miazdzącą krytykę całego narodowego socjalizmu, jego podstaw i założeń, jego osiągnięć, jego ostatnich celów. R. dowodzi i dowody swoje popiera całym mnóstwem czy to cytatów, czy powiedzeń wodzów partii, z którymi niegdyś poufale obcował, że hitleryzm nie tylko jest rewolucją w najpełniejszym tego słowa znaczeniu, ale rewolucją, z której wieje prawdziwy nihilizm, bo zupełna negacja najwyższych dóbr ludzkości, intelektualnych, moralnych, religijnych, narodowych aż do podkopania godności ludzkiej włącznie i jej zdrowego ekonomicznego życia. Narodowy socjalizm nie jest ruchem płynącym z jakiejś doktryny — doktryny wszystkie *ex post* dorabiano, aby zmylić świat i masy pozorem ideowej podbudowy — ale jest prądem, jest dynamiką, jest impulsem, jest powodzią jakąś, której sile nie mogą się już oprzeć nawet ci, co rzekomo stoją na czele. Ten ruch usiłuje na wszelki sposób przerwać stawiane mu tamy, czy one pochodzą od religii, czy od zasad i sił ekonomicznych, czy od jakichkolwiek wewnętrznych sprzeciwów, czy od praw i interesów sąsiednich narodów. Wszystko musi być usunięte, co przeszkadza ekspansji, już to przez podstępne przymierza, którym cynicznie odmawia się wszelkiej wartości, już to przez brutalne groźby, już też przez gwałt i terror na wewnątrz, już wreszcie przez widmo straszliwej a nieubłaganej wojny, ku której cała Trzecia Rzesza świadomie zmierza, owszem z jakimś dzikim fanatyzmem wyrwa się i przeży. A co ma być celem tej wojny? Na razie podział kuli ziemskiej między trzy imperializmy: włoski, japoński i niemiecki, ale w gruncie opanowanie świata przez ten ostatni. Niemcy bowiem jedni są wyższą rasą, *ein Herrenvolk*, rasą, której z natury rzeczy należy się panowanie. Mówi się więc jawnie, już nie tylko o linii Hamburg—Bagdad, ale o innej: Vliesingen—Władywostok. Przez te arterie mają Niemcy owładnąć kontynentem, aby z niego ciągnąć surowce i wszystkie zasoby, należne urodzonym panom świata. Że w tym muszą koniecznie zginąć dwa imperia, angielskie i francuskie, to samo przez się zrozumiałe. Mówi się o nich tylko z pewnym politowaniem, jako o tworach niezdolnych do życia. Co do Rosji — oczywiście musi zginąć i ona, ale gdyby tytanowi niemieckiemu miało być przez chwilę ciasno w spodziewanym konflikcie z demokracjami Zachodu, mogłaby, przez przymierze, posłużyć Niemcom za chwilową podporę. O Polsce nawet nie ma co mówić. Ta „odrobina“, leżąca na drodze do olbrzymich osiągnięć, albo musi być zgładzona, albo jak Czechy, musi wejść w orbitę niemieckich wpływów i służyć, jako *Unterrasse*, niemieckim interesom. — Książkę Rauschninga, pomimo dość ciężkiego stylu, czyta się od początku do końca z niesłabnącym zainteresowaniem. Chwilami pyta się czytelnik, czy Autor nie naciąga struny swych pesymistycznych ocen i horoskopów, ale rzecz jest tak udokumentowana, tak doskonale składa się na

jeden obraz z faktami nie ulegającymi już wątpliwości, tak pełna jest przenikliwych analiz i bystrych sądów, że nie można odmówić racji zasadniczym tezom. I chciałoby się dać tę książkę do ręki całemu cywilizowanemu światu, zwłaszcza u nas wszystkim myślącym, by otworzyć im oczy na ogrom niebezpieczeństwa, jakie rozwija się i rośnie za naszą zachodnią granicą. Wprawdzie hitleryzm musi koniecznie skończyć się załamaniem, czy to ekonomicznym wewnątrz, czy wojennym, przy nieuniknionym konflikcie zbrojnym z potęgami Zachodu, ale zanim to nastąpi, może Europę całą, a może i świat skąpać we krwi i spowodować niesłychane gospodarcze i kulturalne straty. — Nie dziwimy się zgoła, że Autor omawianej książki, rodem z terytorium Wolnego Miasta Gdańska, uległ w swej ojczyźnie rodzajowi infamii i banicji, i konfiskaty dóbr, ale nie dziwimy się też z drugiej strony, że pierwszy nakład jego książki rozszedł się w dni dziesięć. Pragniemy gorąco, by dalsze nakłady rozchodziły się równie szybko i jak najszerszej, by uświadamiać świat o niezmiernie doniosłych problemach, które wywołane rewolucją hitlerowską, wiszą dziś jak zmory nad całą przyszłością ludzkości.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Kisielewski Józef, *Ziemia gromadzi prochy*, str. 501, Księgarnia Św. Wojciecha, 1939.

Wśród gromkich i wielkich wydarzeń politycznych Trzeciej Rzeszy całkowitemu zanikowi uległo poczucie historycznej prawdy. Kanclerz Hitler, mający na uwadze ideał „zjednoczenia Niemiec (*Gesamtddeutschland*)” — budzi w obywatelach Rzeszy poczucie „krzywdy” narodu niemieckiego, który w minionych okresach dziejowych tracił pierwiastki autochtona na ziemiach przynależnych obecnie „bezprawnie” do innych narodów. Wobec tej wielkiej idei idą w szary kąt „drobne szczegóły” — z których, powiedzmy otwarcie, — składa się przecież historia.

Może w Niemczech, gdzie — jak wskazują zawrotne wypadki i fakty — obowiązuje obecnie światopogląd półinteligentki, da się, nie naruszając sumień, przeskoczyć naukową oczywistość, wymazać z historii pewniki i wmówić w obywateli Trzeciej Rzeszy, że czarne jest białym, a białe czarnym. Inne narody, choć nie są jak Niemcy „kwiatem ludzkości”, choć nie mogą się otrząsnąć ze swej „rasowej niższości” — mają przecież w sobie tę wyższość nad Niemcami, że nie zaprzeczają tak bezecznie prawdzie i nie ubierają fałszu w pozory prawdy!

Polityka kanclerza Hitlera w stosunku do innych narodów, tych zwłaszcza które od wieków, dzięki swej gospodarczo-geograficznej strukturze, stanowiły dla zaostrego apetytu Niemiec „kęsek gładki” — dowodzi niezbicie, że ośławiony *Drang nach Osten* tętni w Trzeciej Rzeszy pełnią życia! I może nigdy dotąd

nie miało to hasło takiego nasilenia, jak właśnie w chwili obecnej, mimo rzekomego pokoju i przyjaźni, mimo że nieustannej ekspansji nadaje się pozory naukowości i okrywa się ją ukutym na zawołanie pancerzem mitu!

Ostatnie lata twórczości publicystyczno-literackiej w Polsce przyniosły kilka bardzo ciekawych z tej dziedziny książek. Niedawno zaś wyszła nakładem Księgarni Św. Wojciecha książka Józefa Kisielewskiego pod poetycką nazwą „Ziemia gromadzi prochy”. Ta ziemia, którą dziś wcielono do ogólnej „brunatnej plamy”, nad którą wznosi się wszechwładna swastyka. Ziemia, nad którą rozlega się potężnym echem głos *Führera*, gwałtem wmawiającego w nią, że jest *urdeutsche*!.. A w głębi spoczywają prochy tych, co z niej wyrosli, ją kochali i w jej obronie stawiali swą pierś przeciw germańskiemu pociskom...

Kisielewski nie poetyzuje, lecz daje sumę prawd o słowiańszczyźnie za kordonem, o duchowym obliczu współczesnych Niemiec, o tym obliczu, którego się nie widzi poza granicami Trzeciej Rzeszy na codzień, ale które widoczne jest bez maski naszym braciom, z konieczności przebywającym pod znakiem swastyki.

Kisielewski nie miota nienawistnych pamfletów — daje tylko nagą prawdę, dokumentaryczne fakty, krzyczące wymową wydarzenia i ilustruje ciągle kontynuowaną politykę zakłamania i fałszu.

Kisielewski nie nawołuje do wojny — budzi tylko czujność Polaków, stawiając im *ad oculos* rzeczywistość, która osłabić powinna wiarę w niemiecką przyjaźń na dłuższą metę...

Stotalizowana myśl niemiecka totalizuje naukę, w celu totalnego zrealizowania *Drang nach Osten*!

I oto pierwszy, zasadniczy problem w książce Kisielewskiego — to zagadnienie mitów. Mity w Niemczech są tworzone celowo. Niemiecka psychika, jak ją scharakteryzował jeden z naszych czołowych publicystów, pozwala się jak żadna inna zasugerować.

Kto wczyta się w książkę Kisielewskiego, ten owo powiedzenie przyjmie bez zastrzeżeń. Dzisiejszy Niemiec posługuje się, jakby aktem strzelistym, magicznym słowem *urdeutsch* — ma ono oznaczać z jednej strony starogermańską tradycję, lecz więcej rzekomą prawdę, jakoby potężna ongiś rasa germańska, zajmująca szerokie przestrzenie centralnej, zachodniej i wschodniej Europy, skurczyła się i skarłała pod naporem brutalnej siły „zaborców”. Wiele zatem połaci — to „ziemie zabrane”, odwiecznie niemieckie, *urdeutsche*!...

Ziemie zabrane — a więc ziemie do zdobycia. Lecz to jeszcze nie jest mit. Mit dopiero tam się rozpoczyna, gdzie znika prawda, a więc gdzie pod *urdeutsch* kryje się np. *urslawisch*!

Kisielewski jechał do Niemiec bez uprzedzeń i nie z zamiarem demaskowania mitów — kiedy jednak stykał się raz po raz ze zdaniem, że *Pommern, Grenzmark Posen, Schlesien* — to *ziemie urdeutsch*, „zrabowane“, *abgerissen*, zrodził się w nim plan napisania książki nie tylko o Niemczech współczesnych, ale i o „szarej prawdzie“ pogrzebanej Słowiańszczyzny, którą spowija utkany z fałszu mit.

Sugestia jest silna, bo przeciętny obywatel Niemiec posługujący się nieustannie terminem *urdeutsch* w większości wypadków będzie na pewno przekonany, że słuszność po jego stronie.

W odpowiedzi na mityczne tezy niemieckie sięgnął Kisielewski do arsenału tych argumentów, których nie zmaże żaden mit i żadna hipnoza. Ścisłe naukowe badania, etnograficzno-archeologiczne odkrycia, dokumenty trwałe nie w postaci hipotez, ale pewników — stanowią wymowną odpowiedź i doskonały materiał orientacyjny, z którym każdy Polak, stający w obliczu bliskich być może konfliktów z Niemcami, musi się zapoznać.

Mówi się w Trzeciej Rzeszy o ucisku mniejszości niemieckiej w Polsce. Mówi się na efekt i eksport. Kisielewski dając żywy obraz życia mniejszości polskiej w Niemczech — mimo woli konfrontuje insynuacje z prawdą.

Dziwne refleksje nasuwają się czytelnikowi *Ziemi* — trudno mu pogodzić megalomanię niemiecką ze znizeniem się do fałszów i kłamstw, które przemierzają już nie tylko granice Trzeciej Rzeszy, ale płyną w rozgłosnych tonach mów kanclerskich na cały świat.

Książka potrzebna, książka głęboka, książka-pomnik bohaterskim prochom Słowian, pogrzebanym w rodzimej ziemi będącej w obcym władaniu.

Imponująca strona graficzna nie jest tylko uzupełnieniem wizualnym tekstu, nie jest artystyczną ozdobą — lecz dalszym ciągiem dokumentów, którymi musimy walczyć z mitami. Gdyby nie celowe, logiczne i jakże umiejętnie i pomysłowo dobrane ilustracje, fotomontaże, wykresy, mapy i karykatury — książka nie wywoływałaby w czytelniku tak potężnego wrażenia, jak je wywołuje. „Nie jesteście tu od wczoraj“ — głosi jeden z rysunków! Jest to wymowniejsze, niż raubritterowskie *Drang nach Osten...* Jest to zwłaszcza mocne zaprzeczenie tych metod, jakie stosowali i stosują Niemcy na terenach Pomorza i Kaszubszczyzny, której Kisielewski poświęca najpiękniejsze rozdziały w swej książce. Mało jest znany Polakom ten smutny wycinek naszych dziejów. Bez echa dokonywa się powolne konanie Kaszubów, którzy przecież do dziś uważają się za Polaków.

W części aktualnej swej książki zastanawia się Kisielewski nad istotnym obliczem narodowo-socjalistycznej rewolucji. Co się poza nią kryje? Na to daje odpowiedź niejedna ilustracja i wykres statystyczny: Niemcy się starzeją! Niemcy groźniejsze są z zewnątrz, niż od wewnątrz. Siłę przeciwstawmy naszą siłę,

naszego żołnierza, nasz dorobek, który by zachwiał niemiecką butę i pewność siebie.

Olbrzymie jest znaczenie obywatelskie dzieła Józefa Kisielewskiego. Budzi ono w narodzie tę prawdę, którą wygłosił kiedyś bp. Naruszewicz:

„Nie lękali się nas Germanowie
Lecz ani my onych, mając
W rękę równie ostre szable
I skuteczniej pisząc żelazem
Dzierżaw zakresy, niżli z cerklem i tablicami“.

Wacław Malewski.

Dzieła Tacyta. Przełożył i wstępem poprzedził Seweryn Hammer. Warszawa, 1938. Kasa im. Mianowskiego. Tom I. Str. 6 nlb. + 268 + 1 nlb.

Szerokie koła czytelników polskich potrzebują udostępnienia im dzieł pisarzy starożytnych, wydawanych we wzorowych przekładach. Serię takich właśnie tłumaczeń zaczęła obecnie wydawać Kasa im. Mianowskiego w „bibliotece prozaików greckich i łacińskich“. Cykl autorów łacińskich rozpoczął Tacyt, na którego przekład z niecierpliwością czekaliśmy już od lat; bo tłumaczenie wszystkich jego dzieł (prócz *Dialogu o mówcach*) pióra Naruszewicza jest dziś przestarzałe i przy tym trudno dostępne, przekład zaś Wład. Okęckiego z końca ubiegłego i początku bieżącego stulecia — mimo, iż tłumacz doskonale rozumiał Tacyta — ze względu na sztuczny i dziwaczny język jest nie do przyjęcia.

Nowoczesny zatem przekład polski tego najwybitniejszego historyka rzymskiego, który tyle wpływów wywarł na literaturę naszą i tyle zawiera żywych zawsze i aktualnych momentów, był potrzebą nie cierpiącą zwłoki. Podjął się tego arcytrudnego zadania profesor wszechnicy jagiellońskiej Seweryn Hammer, wybitny latynista, znawca i badacz rzymskiego historyka-psychologa i dzieła chlubnie dokonał. Na rynku ukazał się już tom pierwszy, dalsze znajdują się w druku.

We wstępie, który obejmuje prawie 120 stron, podaje tłumacz o autorze i jego dziele to wszystko, co przydać się może każdemu inteligentnemu czytelnikowi, by należycie mógł zrozumieć i odczuć wielkiego pisarza; dołącza też wiadomości o losach Tacyta w Polsce, jak również — najgłówniejszą bibliografię tacytowską; na końcu tomu znajdujemy szczegółowy indeks imion własnych z ich wyjaśnieniem.

Przekład wykonany jest z benedyktyńską cierpliwością i drobiazgowością: i *Dialog o mówcach* i *Żywot Juliusza Agrykoli* i wreszcie tak aktualną dziś *Germanię* ma tu czytelnik polski podane z całą akrybią filologa-tłumacza, a przy tym w języku przystępnym, nowoczesnym. Hammer ze znanostwem stosuje, gdzie może, lekkie archaizmy i w języku i stylu; korzysta też nieraz umiejętnie ze szczęśliwych wyrazów, czy zwrotów, swych poprzedników-tłumaczy.

Szkoda jeno, że przekład nie zaopatrzony został w jakiś zwięzły komentarz, tak potrzebny dla polskiego czytelnika dzieł Tacyta, bo ani wstęp — choć tak wyczerpujący — ani wyjaśniający indeks imion własnych, potrzebie tej w zupełności sprostać nie będą w stanie.

Dr Stan. Seliga.

Zygmunt Glinka: *Wieczysta przemiana*. Warszawa, 1938. Skład: „Biblioteka Polska”. Str. 210.

Jednym z najbardziej popularnych poetów łacińskich u nas był i jest Owidiusz. Już Janicki w czasach humanizmu czerpał z niego pełną dłonią barwy i tony. Po nim cały szereg poetów w ten czy inny sposób zapożyczył zarówno motywy jak i formę: działał na nich widocznie powab wewnętrzny i zewnętrzny utworów Sulmończyka, ten powab, który być może przyczynił się i do osobistej tragedii pieśniarza pod koniec życia.

Metamorfozy — utwór najczęściej czytany w szkole — miały u nas swych tłumaczy już w wieku XVII: byli to — Jakub Żebrowski (*Przeobrażenia*) i Walerian Otfinowski (*Przemiany*). Na początku wieku XIX przetłumaczył je znowu Brunon hr. Kiściński; że jest to przekład jeszcze nieprzestarzały, świadczy o tym choćby wybór, jakiego zeń dokonał Jan Czubek, na początku bieżącego stulecia. Poza tym istnieje wiele przekładów poszczególnych urywków z *Przemian*, rozsypanych tu i ówdzie.

Obecnie wyszedł przekład urywków z *Metamorfoz*, uwzględnionych w wydaniu szkolnym tego poety, dokonany przez Tad. Sinkę. *Wieczna przemiana* Glinki to — przekład poetycki (miejscami ładna parafraza) Owidiusza, wywodzący swój rodowód z intymnego życia się tłumacza z pełną fascynującą fantazji „nieprzerwaną” opowieścią rzymskiego poety. Widać to z całego ujęcia przekładu, przyznaje to i sam Glinka w wierszu, poprzedzającym przekład, pt. „Dziwne są książek koleje”.

Każde opowiadanie owidiuszowskie poprzedza tłumacz oryginalnym wstępem poetyckim, niejako wprowadzeniem i wyznaniem tego serdecznego przywiązania, jakie żywi do Owidiusza i dawnej szkolnej i poza szkolnej lektury jego dzieła: rzadki wypadek w naszych czasach i na naszym gruncie!

Przekład swój ujął Glinka w formę wolnego heksametru rymowanego, stosując budowę stroficzną: każdy 4-ty wiersz jest heksametrem niepełnym o zakończeniu jednosylabowym, nierymowanym; pomysł ciekawy i nie pozbawiony swoistego wdzięku! Pewne odchylenia treściowe od oryginału (miejscami) dają tłumaczeniu charakter parafrazy, np. choćby przy inwokacji, lecz bez istotnej ujemy dla wartości przedsięwzięcia. Wiersz przekładu gładki i potoczysty czyta się z przyjemnością. Każdy, kto czytał Owidiusza kiedyś w szkole i kto go nie czytał, powinien zapoznać się z *Wieczną przemianą* pióra Glinki.

Dr Stan. Seliga.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1939:

Zdzisław Czermański: W pluszowej ramie. Str. 218.
Tadeusz Malicki: Ludzie z gór. Opowiadania. Str. 264.

Nakładem Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej, Wilno, 1938:

Balticoslavica. Biuletyn Instytutu Naukowo-Badawczego Eur. Wsch. w Wilnie. Redaguje Erwin Koschmieder. T. III. Str. 541.
Wiktor Sukiennicki: Ewolucja ustroju Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Str. 354.

Nakładem Instytutu Wyższej Kultury Religijnej we Lwowie:

Dr Henryk Dembiński: Kryzys demokracji. Str. 24.
Adam Goćławski: O świadome słuchanie radia. Str. 15.
Dr Leon Halban: Własność podstawą wolności. Str. 31.
Dr Stefan Świeżawski: Duch źródłem wolności. Str. 40.

Nakładem „Roju”, Warszawa, 1939:

Wincenty Lutosławski: Posłannictwo polskiego narodu. Str. 240.
Aleksander Piskor: Siedem ekscelencji i jedna dama.

Nakładem różnych:

Biskup Stanisław Adamski: Szkoła wedle nauki Kościoła i uchwała synodu. Katowice, 1939. Nakładem i drukiem Księgarni i Drukarni Katolickiej. Str. 39.
Fulla Horak: Święta Pani. Skład główny: Michalak, Warszawa, 1939.
Józef Kisielewski: Ziemia gromadzi prochy. Nakładem Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, 1939. Str. 502.
Ks. Władysław Kłapkowski: Konwent Dominikanów w Sejnach. Wilno, 1939. Str. 174.
J. M. Kreutz: Duch Samurajów nad Azją. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”. Warszawa, 1939. Str. 218.
Dr Józef Kulikowski: Zagadnienia gospodarcze Wielkiego Pomorza. Nakładem Związku Zachodniego. Toruń, 1939. Str. 31.
Najświętsze Serce Jezusa a kapłaństwo. Przekład z francuskiego. Nakładem Wydawnictwa oo. Paulinów. Jasna Góra, 1939. Str. 303.
F. A. Ossendowski: Karpaty i Podkarpacie. Z cyklu „Cuda Polski”. Wydawnictwo Polskie R. Wegnera. Poznań, 1939. Str. 256.
Polska Macierz Szkolna na Polesiu. Wydawnictwo Zarządu Głównego P. M. S. Warszawa, 1939. Str. 71.
Polska Macierz Szkolna na Wołyniu. Wydawnictwo Wołyńskiego Zarządu Wojewódzkiego P. M. S. Równe, 1939. Str. 60.
Ks. Jan Sobas T. J.: Cień Najwyższego. Nowenna do św. Józefa. Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy. Kraków, 1939. Str. 124.
Richard Winkel: Die Weichsel. Ihre Bedeutung als Strom — und Schifffahrtsstrasse und ihre Kulturaufgaben. Verlag von S. Hirzel in Leipzig, 1939. Str. 429.
Wronskiana. Rocznik filozoficzno-matematyczny pod redakcją Jerzego Brauna. Skład główny Gebethner i Wolff. Warszawa, 1939. Str. 262.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Katolicyzm w Finlandii.

Kraj wielkiego patryotyzmu narodowego i wielkiej cywilizacji, Finlandia, w olbrzymiej swej większości kraj dziś protestancki, wyrósł i stał się narodem europejskim dzięki katolicyzmowi, z którym następnie zerwał, a do którego obecnie na nowo skłaniać się poczyną.

Wejście chrześcijaństwa do tego kraju, to dzieje wielkich zmagañ i walk, dzieje budzenia się państwowości fińskiej w głębi średniowiecza, dzieje późniejszego kształtowania się świadomości narodowej.

Wiek XII i XIII był widownią wojen krzyżowych o chrystianizację pogańskich plemion ugro-fińskich, osiedlonych pomiędzy wybrzeżami zatoki Botnickiej aż w głąb lądu, ku olbrzymim jeziorom Ładogi i Onegi. Trzy wielkie wyprawy wojenne Szwedów na Finlandię, w latach: 1157, 1250 i 1293, jak i szczerze religijne, misyjne intencje św. Eryka, króla Szwecji, miały także następstwa polityczne: uczyniły bowiem z obszernej, słabo zaludnionej, jeziorami i lasami pokrytej ziemi fińskiej, wał ochronny dla Szwecji od południowo-wschodu i stały się dla niej bramą wypadową w kraje słowiańskie.

Niemniej — wejście Finlandii, już w połowie XII wieku, w orbitę chrześcijańskiej cywilizacji, zdecydowało o jej przyszłych losach, jako narodu i jako państwa, a zorganizowane przez św. Henryka, pierwszego katolickiego biskupa Finlandii, biskupstwo w Abo (Turku), ufundowane w 1171 roku, stało się ogniskiem kultury i myśli zachodniej. Cały wiek XIII jest okresem rozwoju chrześcijaństwa w północno-zachodniej i centralnej Finlandii.

W stolicy biskupstwa, w Abo, zbudowana zostaje wspólna gotycko-romańska katedra. Liczne kościoły z epoki katolickiej, które się zachowały w całym kraju stanowią najcenniejsze, i obok nielicznych zamków fińskiego średniowiecza, jedyne zabytki kultury i architektury tych czasów.

Obok kościołów powstawały klasztory, które były ogniskami wiedzy i sztuki, mistrzami lepszych form życia. Szkoły klasztorne i kościelne, były też pierwszymi uczelniami w Finlandii, i rola ich dla duchowego rozwoju społeczeństwa fińskiego, dla formowania jego pojęć moralnych i urabiania charakteru narodowego całego fińskiego społeczeństwa — była w tym okresie średniowiecza katolickiego bardzo doniosła.

Pierwszym zakonem, który rozpoczął w Finlandii swą działalność misyjną i cywilizacyjną, i który, obok innych zgromadzeń zakonnych, może największe położył zasługi — byli dominikanie.

Przybyli oni do Finlandii w roku 1249 i zbudowali klasztor w ówczesnej stolicy kraju, w Abo, gdzie z polecenia biskupa zorganizowali pierwszą szkołę katedralną dla fińskiej młodzieży rycerskiej. Od 1427 roku mieli dominikanie fińscy jeszcze drugi klasztor — w Wybörgu. Było też w Finlandii kilka klasztorów dominikanek.

Drugim zakonem, który też wcześniej rozpoczął swą działalność w Finlandii, byli franciszkanie. Przybyli oni do Wybörga już w 1403 roku i tu się osiedlili, przebiegając stamtąd pieszo kraj na całym pobrzeżu nadbałtyckim i w głąb lądu, ku Karelii wewnętrznej, wszędzie nauczając i dając przykład własnym życiem.

W 1472 roku powstał drugi klasztor franciszkanów w Kökar, na wyspie Aland, wreszcie w 1449 roku — trzeci, tym razem na stałym lądzie, w Rauma, nad zatoką Botnicką na północ od Abo.

Do największego jednak rozrostu swojego zakonu w Finlandii doszli dominikanie. W ciągu następnych lat wydali spośród siebie wielu znakomitych biskupów, którzy zasiadali na stolicy biskupiej w Abo. Pierwszym biskupem-zakonnikiem dominikańskim był Jan z Sigunty, który rządził diecezją Abo w latach: 1286 — 1290, i odznaczył się jako znakomity organizator życia parafialnego i żarliwy krzewiciel wiary. W dwadzieścia lat później biskupem w Abo jest inny dominikanin — brat Benedykt, który jako biskup w latach: 1321 — 1338, wprowadził do katedry tamtejszej liturgię dominikańską.

Trzecim znakomitym biskupem dominikańskim w Abo, w latach 1338 — 1366, był biskup Hemming, którego pa-

miętne statuty kościelne, z roku 1352, zorganizowały kraj nie tylko pod względem administracji kościelnej, ale i państwowej.

Inny wielki biskup finlandzki, w połowie XV wieku, tym razem już nie dominikanin, Magnus Tavast, uczeń paryskiej Sorbony i rektor tamtejszego kolegium skandynawskiego, położył wielkie zasługi dla średniowiecznego szkolnictwa finlandzkiego, fundując po większych miastach liczne szkoły przy kościołach, przeznaczone nie tylko dla młodzieży szlacheckiej, ale i mieszczańskiej, powierzając kierownictwo tych uczelni zakonnikom dominikańskim i franciszkańskim. W mieście finlandzkim Nodendalu, erygował biskup Tavast w roku 1443 kościół i przy nim pierwszy w Finlandii klasztor żeński, dla sprowadzonych przez siebie ze Szwecji zakonnic — Brygidek.

Z przeszłością katolicką Finlandii łączy się wiele wspomnień i pamiątek jej świetnego rozwoju: kwitło w tym kraju życie religijne, a z nim wolność, sztuka, architektura, malarstwo, rzeźba i poezja.

Znakomity badacz dziejów kulturalnych Finlandii, A. Andersson, w niedawno wydanym swym dziele o pomnikach sztuki i architektury przedreformacyjnej, stwierdza wielkie zahamowanie rozwoju duchowego i artystycznego kraju od czasu wprowadzenia Reformacji, to jest od połowy XVI wieku. Twórczość artystyczna, ten wykładnik życia duchowego narodu — zamarła. Finlandia nie wie co to Renesans, a zna zaledwie później, po dwóch wiekach zupełnego artystycznego wyjałowienia i bezpłodności twórczej, — przeładowany, niemiły okres późnego szwedzkiego baroku.

Tę wyrwę, jakiej w duszy narodu finlandzkiego dokonała rygorystyczna i formalistyczna Reformacja, — uzmysławia najlepiej dział malarstwa i rzeźby w Finlandzkim Muzeum Narodowym w Helsinkach, gdzie obok subtelnej i uduchowionej sztuki katolickiego średniowiecza finlandzkiego, bez żadnego przejścia ani stopniowania, widzimy nieartystyczny w wyrazie — Barok.

Jedynie to może, w swoim rodzaju, zjawisko w sztuce europejskiej, przekonywający dowód bogactwa życia duchowego i artystycznego w katolicyzmie, a jałowości w protestantyzmie.

Przyznają to dziś, nawet żarliwi pod względem religijnym, zwolennicy protestantyzmu, jak np. wspomniany już przez nas Andersson i inni. Natomiast przyznać trzeba, że tenże protestantyzm, z racji bliższej łączności Finlandii ze Szwecją, był już od czasów wielkorządcy kraju — znakomitego Peera hr. Brahe (1637 — 1654) — źródłem wielkiej pomyślności gospodarczej i rozkwitu cywilizacyjnego.

W całym tego słowa znaczeniu bohaterski rapsod walki Finlandii katolickiej o wiarę, stanowią dzieje, do dziś dnia bardzo w pamięci narodu popularnej pary książęcych małżonków: księcia Jana Wazy i Katarzyny Jagiellonki, rodziców naszego króla Zygmunta III.

Historyk finlandzki P. von Törne, w swym pełnym subtelnego zrozumienia dla dziejów Katarzyny, monograficznym szkicu o niej, daje wyraz powszechnemu uczuciu sympatii dla szlachetnej postaci i stałości wierzeń religijnych polskiej królowny na finlandzkim tronie książęcym.

Do tego ostatniego aktu walki Finlandii o jej dawną wiarę, Polska dała swój wkład niemały — w osobie Jagiellońskiej królowny. Katarzyna Jagiellonka, z której pamięcią związany jest prastary zamek w Abo (Turku), miejsce jej szczęścia, a potem — jej udręki, jest jedną z najpopularniejszych i najbardziej lubianych postaci kobiecych w dziejach Finlandii.

Piękny portret Katarzyny (kopia oryginału pędzla Cranacha), ofiarowany niedawno przez rząd polski i przyjęty z wdzięcznością przez rząd finlandzki, jako symbol wiekowych, najlepszych stosunków polsko - finlandzkich, zdobi teraz jej komnatę w zamku w Abo.

Historyk finlandzki H. Gummerus, autor niedawno wydanej pięknej monografii o Marszałku Piłsudskim, w dziele swoim pt. „Finlandia i Szwecja”, niedwuznacznie mówi o metodach przemocy, jakimi Gustaw Adolf, w latach 1523 — 1560, nawracał Finlandię na luteranizm, i o niechęci z jaką, w tym katolickim, od średniowiecza, kraju, przyjmowano nową wiarę.

Faktem jest, że zmuszono naród do jej przyjęcia i że następnie zdołano sprawić, że kraj ten, dotąd całkowicie katolicki, stał się jednym z najbardziej jednolicie luteranckich w Europie.

Katolicyzm, zawzięcie tępiony przez dwa wieki, odzyskał pewne prawa dopiero w drugiej połowie XIX wieku. W 1857 roku zbudowano w Helsinkach, pierwszy po dwu i pół wiekowej przerwie, kościół katolicki pod wezwaniem św. Henryka, przeznaczony głównie dla żołnierzy Polaków - katolików, służących w pułkach rosyjskich, tam stacjonowanych. Niestałymi proboszczami (raczej kapelanami), byli tu najpierw polscy księża katolicy z Petersburga.

Parafia nie powstała w Helsinkach bezpośrednio po zbudowaniu i poświęceniu kościoła, a to dlatego, że Senat finlandzki, opierając się na dawnych ustawach krajowych, z lat 1779 i 1849, wrogich katolicyzmowi, przez szereg lat nie dawał na założenie formalnej, katolickiej parafii w stolicy kraju, swego zezwolenia. Zezwolenie to udzielone zo-

stało dopiero w roku 1903, a partia katolicka, która wtedy w Helsinkach powstała, była pierwszą od czasu Reformacji. Proboszczami tej parafii byli najpierw w dalszym ciągu księża - Polacy. Pierwszym proboszczem także był Polak, ks. Juliusz Rodziewicz.

Proboszczowie Polacy nie władali dostatecznie językiem fińskim, co bardzo znacznie utrudniało ich pracę duszpasterską. Pierwszym proboszczem - krajowcem został, w roku 1906, ks. Wilfrid von Christiersson.

W roku 1909, z dawnego kościoła, powstała druga katolicka parafia w Finlandii — w Wyborgu, w 1910 — trzecia w Abo. W 1911 — czwarta w Teriokach, na pograniczu rosyjskim.

Taki był stan rzeczy do chwili odzyskania przez Finlandię niepodległości w roku 1918, wynikający z pewnego stanu faktycznego, nie oparty na żadnej szerszej zasadzie tolerancji religijnej.

Zasadę tę sformułowały dopiero artykuły 8 i 9 Konstytucji fińskiej z 1919 roku. Artykuły te mówią wyraźnie, że każdy obywatel fiński cieszy się pełną swobodą wyznawania takiej religii, jaką za słuszną uważa i może w tej religii, w jakiej się urodził, swobodnie trwać dalej i tę religię praktykować prywatnie lub publicznie, względnie zmienić ją, wedle swojego swobodnego uznania. Prawa i obowiązki obywatela fińskiego nie są zależne od jego przynależności religijnej.

Powyższe zasady tolerancji, w duchu całkowitego liberalizmu wyznaniowego, były wyraźnym przekreśleniem obowiązującej dotąd w całym kraju zasady tolerancji względnej, a właściwie nietolerancji, zawartej w obowiązującej do 1919 r. ustawie z 1781 r., mocą której jedynie przybyszowi zamieszkałemu chociażby na stałe w Finlandii, wolno było zachować swoją religię. Tolerancja ta nie rozciągała się więc na rodowitych obywateli, którzy jeśli byli innego wyznania, niż wyznanie luteranckie, stali z ustawą obowiązującą, z 1781 roku, w sprzeczności. Zgodnie bowiem z posiadanym przez ewangelicki kościół luterancki przywilejem z roku 1723, państwowej wyłączności religijnej, wszyscy obywatele fińscy zmuszeni byli do niego należeć.

Od 1889 zezwolono na terenie Finlandii na działalność protestanckich sekt baptystów i metodystów. Obydwie te sekty razem były zresztą bardzo nieliczne, bo liczyły w roku 1918 nieco ponad 5000 ludzi, więc w jednolitości luteranckiego protestantyzmu Finlandii nie robiły wielkiego wyłomu.

Inny był zgola, od chwili łączności politycznej z Rosją, tj. od początku XIX wieku, aż do chwili uzyskania pełni niepodległości w roku 1918 — stosunek rządu finlandzkiego do kościoła prawosławnego. Jego pełne uznanie dla wszystkich obywateli narodowości rosyjskiej, było koniecznością polityczną, gdyż tego domagała się od początku wszechpotężna protektorka Finlandii — Rosja.

Prądy socjal-demokratyczne idące z Rosji, po rewolucji 1905 roku, wysuwały zasadę rozdzielenia Kościoła od państwa, w duchu całkowitego liberalizmu. I chociaż ten rozdział, pomiędzy państwem finlandzkim a kościołem luteraniskim, formalnie nigdy nie nastąpił, to jednak, pod wpływem tych prądów liberalnych, poczęto w Finlandii coraz bardziej patrzeć na religię, jako na sprawę przede wszystkim prywatną poszczególnych obywateli kraju. Gdy Rosja wprowadziła u siebie, w teorii, wolność religijną, wówczas i senat finlandzki, dekretem z dnia 28 listopada 1906 roku uchylić musiał dawne ustawodawstwo. Dekret ten, jak wszystkie ustawy państwowe o znaczeniu religijnym, został usankcjonowany uchwałą Rady Kościoła Ewangelickiego w Finlandii, która to sankcja była dana dopiero w dwa lata później, 5 czerwca 1908 roku.

Po rewolucji marcowej 1917 roku, rząd finlandzki zwrócił się do senatu w sprawie przygotowania odpowiedniej ustawy kościelnej, normującej stosunki religijne i uprawnień poszczególnych wyznań w państwie.

Specjalna komisja senatu finlandzkiego opracowała wprowadzić projekt ramowy i ogłosiła go już 4 grudnia 1917, ponieważ jednak projekt ten silnie poruszył opinię publiczną i wywołał ożywioną dyskusję w parlamencie Republiki, sprawa ostatecznego uchwalenia tej ustawy przeciągnęła się do 1921 roku. Dopiero w roku następnym, 1922, ustawa zasadnicza o wolności religijnej w Finlandii uzyskała wymaganą dla tych spraw przez konstytucję finlandzką z 1919 r. — kwalifikowaną większość głosów w parlamencie. Prawo to weszło w życie od dnia 1 stycznia 1923 r.

Ustawa ta głosi, że wolno jest każdemu obywatelowi republiki Finlandzkiej wyznawać prywatnie i publicznie taką religię jaką za słuszną uważa, przy czym granicą dopuszczalności każdego kultu jest nie sprzeciwianie się prawom krajowym (konstytucji) i względ na moralność publiczną, która w żadnym wypadku nie może doznać uszczerbku, ani nieposzanowania.

Kościół i wszelkie budynki o przeznaczeniu religijno-kościelnym, a należące do odpowiednich gmin wyznaniowych, które uzyskują tym samym pełną osobowość prawną — mają, bez jakichkolwiek przeszkód, być rejestrowane przez

urzędy administracji państwowej, co jest jedyną wymaganą przez państwo formą prawną dla ich działalności.

Ustawa z jednej strony gwarantuje wolność w wykonywaniu kultu obywatelom będącym członkami danych gmin religijnych, na terenie republiki finlandzkiej, z drugiej strony uprawnia też oficjalną rejestrację bezwyznaniowców, tj. osób ponad 18 lat, które zgłoszą w odpowiednim urzędzie najbliższej władzy administracji państwowej, że do żadnego wyznania nie należą.

Kto nie ukończył przepisowego wieku lat 18, z samego prawa należy do wyznania rodziców, względnie jednego z rodziców żyjących lub nieżyjących. Jeśli rodzice dziecka nie związali się jakim bądź uznanym przez państwo ślubem religijnym, wówczas dziecko zapisane jest do tej samej gminy religijnej, co matka. Jeśli matka jest bezwyznaniowa — dziecko, do chwili ukończenia lat 18, oficjalnie figuruje jako bezwyznaniowe, po czym o jego przynależności religijnej decyduje jego własne, miarodajne oświadczenie złożone władzy państwowej.

Państwo Finlandzkie nie utrudnia nikomu, kto ukończył lat 18, swobodnej zmiany dotychczasowego wyznania na inne. Wymaga tylko zgłoszenia władzom i odpowiednim gminom religijnym, faktu wystąpienia i faktu wstąpienia do danej gminy.

Dotyczy to również wyznania protestanckiego, które pod tym względem, w nowym ustawodawstwie religijnym z 1923 roku, nie jest obwarowane jakimikolwiek specjalnymi przywilejami, podobnie zresztą, jak i cerkiew prawosławna.

W sprawie nauczania religii w szkole, wyznając w zasadzie potrzebę religijnego wychowania, powiedziano tylko tyle, że o ile zasady danej religii w tej szkole są wykładane, w takim razie rodzice, względnie opiekunowie dziecka, są uprawnieni do zażądania od władz szkolnych, aby to dziecko było wyłączone od lekcji religii do której nie należy.

W sprawie małżeństw — państwo finlandzkie zdecydowało się stanąć w zasadzie na stanowisku ślubów cywilnych, jako prawnie uznawanych przez państwo. Akt cywilny musi być sporządzony przez państwo, jeśli małżeństwo miało mieć skutki cywilne. Skoro ponadto małżonkowie zawarli ślub kościelny, państwo bierze to pod uwagę i w razie żądania rozwodu cywilnego żąda wykazania się także rozwodem lub unieważnieniem małżeństwa kościelnego, przez ten kościół, w którym to małżeństwo było zawarte.

W sprawie zgromadzeń zakonnych i klasztorów ustawa ta zakazuje tworzenia nowych, natomiast stanowi, że do zakonów tak męskich jak i żeńskich, wszelkich wyznań, jakie już w Finlandii, z chwilą wydania tej ustawy,

istniały, wolno będzie nadal przyjmować tylko obywatele finlandzkich.

Obowiązujące taksy kościelne dotyczą odąd tylko luteranów i prawosławnych. Natomiast, co do członków innych gmin wyznaniowych na terenie Finlandii, zostało postanowione, że odąd ich składki, na rzecz kościołów do których należą, będą miały jedynie charakter dobrowolnych ofiar, zależnych od swobodnego uznania samych zainteresowanych.

W zakończeniu omawianej przez nas ustawy o wolności religijnej w Finlandii, określono warunki prawne istnienia i składu osobowego gmin religijnych, które tworzyć mogą wszyscy zamieszkujący stale w Republice, a więc nie tylko jej obywatele. Normalnie ukonstytuowany zarząd gminy wyznaniowej, który winien być podany urzędowo do wiadomości odpowiedniej władzy administracji krajowej, powinien składać się w większości z obywateli finlandzkich. Gdyby jednak ze względu na narodowość wyznawców danego kościoła, takie ukonstytuowanie się zarządu gminy wyznaniowej nie było możliwe, rząd zgodził się nie robić pod tym względem trudności.

Ostatnim postanowieniem tej ustawy jest przepis o posiadaniu przez gminy wyznaniowe nieruchomości miejskich, lub wiejskich. Przepis ten ogranicza ich posiadanie w tym sensie, że prócz nieruchomości niezbędnych dla zapewnienia gminom wyznaniowym utrzymania własnego, szkół, lub wykonywania dzieł miłosiernych, nie wolno jest posiadać poza tym innych nieruchomości bez specjalnego zezwolenia rządowego.

Ciekawym będzie stwierdzenie ujawnionego, wskutek wydania powyższej ustawy o wolności religijnej, rozbicia wewnętrznego w protestantyzmie tego kraju, na kilka głównych, a jak dziś, kilkanaście pomniejszych grup wyznaniowych sekciarsko-protestanckich, nie licząc wyznania katolickiego i prawosławnego.

			‰
1	Ew. luter.	3.637.196	960,5
2	prawosławni	69.993	18,5
3	metodyści	2.773	0,7
4	baptyści	1.423	0,4
5	tzw. kościół niezależny	5.604	1,5
6	żydzi	1.761	0,4
7	mahometanie	331	0,1
8	rz. - katolicy	1.495	0,4
9	bezwyznaniowcy	66.269	17,5
ogółem		3.786.844	1000/1000

Statystyka oficjalna, jaką pod tym względem rozporządzamy, jest tym ciekawsza, że ilustruje wymownie stan rzeczy jaki panował w kraju już przed dziesięciu laty, tj. na przełomie 1928/29 roku.

Statystyka ta jest interesująca przede wszystkim ze względu na stosunkowo duży, już przed dziesięciu laty, odłam bezwyznaniowców.

Według danych z 1936/37 roku ilość bezwyznaniowców wzrosła do 200.000 na ogólną liczbę 3,500.000 mieszkańców. Chodzi tu wyłącznie o bezwyznaniowców zarejestrowanych. W praktyce, jeśli weźmiemy rzeczywisty stosunek danego obywatela do faktu jego formalnej przynależności religijnej, ilość bezwyznaniowców znacznie przewyższa tę cyfrę i dochodzi dziś do 10% ogółu ludności Finlandii, co jest już nie tylko zastanawiające, z punktu widzenia obecnych wpływów protestantyzmu na ludność, — ale jest wprost zastraszające.

W roku 1935/36 było zarejestrowanych w Helsinkach, i ogłaszało swe niedzielne nabożeństwa w tamtejszych dziennikach, ponad 30 najróżnorodniejszych sekt protestanckich!

Jakie jest, w tym stanie rzeczy, obecne położenie i stan liczebny katolicyzmu w Finlandii i jakie są w tym kraju jego widoki rozwoju na przyszłość?

Położenie prawne Kościoła katolickiego w tej części Finlandii, która została przyłączona w roku 1809 do cesarstwa Rosyjskiego, było do tego czasu takie same jak w Szwecji, tj. że na podstawie dekretów Gustawa III z lat 1779 i 1781, oraz patentu króla szwedzkiego z 1783 roku, katolicy Szwecji i Finlandii poddani byli władzy wspólnego katolickiego biskupa, rezydującego w Sztokholmie, i nie byli osobiście krępowani w swobodnym, prywatnym praktykowaniu swej religii, oraz w uczestniczeniu w nabożeństwach odprawianych w kościołach katolickich.

Z inicjatywy rządu rosyjskiego rząd finlandzki zezwolił najpierw na odprawianie nabożeństw katolickich dla żołnierzy-katolików w Wyborgu, gdzie już przed rokiem 1800 istniała kaplica katolicka, a następnie i w Helsinkach, gdzie, jak już wspominaliśmy, zbudowano w roku 1857 pierwszy kościół katolicki pod wezwaniem św. Henryka.

W zakresie przynależności administracyjnej prawosławnych i katolików w Finlandii zamieszkałych, zdecydował autorytatywnie ukaz cesarski z 23 marca 1812 roku, a który nie stracił swej mocy obowiązującej przez cały wiek następny z górą, bo do 1917 roku, — że wyznawcy tak jednego jak i drugiego Kościoła i organizacja ich życia religijnego, będzie poddana władzy zwierzchniej odpowiedniego metropolity, rezydującego w Petersburgu.

Do roku 1896 parafia katolicka w Helsinkach utrzymywana była jeszcze w dalszym ciągu, tak jak poprzednio, jako katolicki kościół garnizonowy, z funduszków rosyjskiego ministerium wojny. Następnie, na utrzymanie tego kościoła, płynęły już wyłącznie składki katolickich parafian miejscowych, w pierwszym rzędzie Polaków.

Sprawa dalszej egzystencji tej parafii była też, w następnych latach, podwójnie utrudniona: po pierwsze z powodu trudności administracyjno-prawnych, jakie czyniono zarządowi katolickiej parafii, po drugie z powodu trudności finansowych, w jakich do roku 1918 zarząd parafii i proboszczowie katoliccy w Helsinkach stale się znajdowali.

25 stycznia 1918 roku, został złożony Senatowi Republiki Finlandzkiej memoriał katolików miejscowych, w sprawie konieczności ułożenia stosunków pomiędzy rządem Republiki a Kościołem Katolickim. W skład komisji, którą wówczas Senat powołał do opracowania takiego projektu, weszło trzech wybitnych senatorów finlandzkich: Koskinen, Eneberg i Sohlman.

Projekt opracowany przez tę komisję wszedł na porządek dzienny plenarnego posiedzenia senatu, w dniu 5 kwietnia 1918 roku. Uchwała, jaką wtedy Senat Finlandzki powziął, głosiła, iż „dążenie do uregulowania stosunku prawnego wyznania rzymsko-katolickiego, ze strony obywateli finlandzkich tego wyznania, uznać należy za uzasadnione i zgodne z interesem Republiki”. Lecz ponieważ przepisy dotąd pod tym względem obowiązujące, były niedostosowane do nowych warunków, wynikających z faktu uzyskania przez Finlandię pełnej niepodległości, postanowiono jednocześnie wydać w tym względzie nową ustawę.

W celu przygotowania odpowiedniego gruntu wobec Stolicy Apostolskiej, rząd finlandzki wydelegował swego ministra pełnomocnego w Paryżu Kihlmana, oraz ówczesnego proboszcza kościoła św. Henryka, ks. Christierssona, w specjalnej misji do Kurii Rzymskiej, z poleceniem omówienia tam warunków dla zawarcia konkordatu pomiędzy Republiką Finlandzką a Kościołem Katolickim.

Sprawę tę przygotowywało duchowieństwo katolickie w Finlandii od dłuższego czasu, a memoriał dziekana wschodniej Finlandii, księdza proboszcza Carlinga z Teriok, stał się podstawą, na której rząd Republiki zdecydował się postawić rzecz wobec Stolicy Apostolskiej.

Ksiądz - dziekan Carling wychodził w swoim memoriale z założenia, że parafie katolickie w Finlandii nie rozwinęły się, lecz przeciwnie, doznały raczej upadku w ostatnim okresie przed Wielką Wojną Europejską, z powodu niechęci rządu rosyjskiego do katolicyzmu. Ponieważ zaś papież,

jako zwierzchnik całego katolickiego Kościoła, był jednym z pierwszych, który uznał oficjalnie niepodległość Republiki Finlandzkiej, co posiadało dla niej, wobec wielkiego autorytetu moralnego Stolicy Apostolskiej, duże znaczenie wobec rządów państw całego świata, przeto, pisał w swym memoriale ks. Carling, byłoby rzeczą słuszną, by obecnie rząd finlandzki uznał międzynarodowe uprawnienia papieża, jako głowy Kościoła Katolickiego i dał temu Kościołowi na terytorium Republiki pełną, niczym nie skrepowaną wolność religijną. Ksiądz Carling wskazywał także rządowi swego kraju, w tym memoriale, na wielką rolę jaką ze względu na swą powagę i ze względu na swój charakter siły duchowej i siły organizacyjnej, odegrać może Kościół Katolicki w życiu odrodzonej Finlandii.

Postępowanie dalsze rządu finlandzkiego miało wskazać na fakt, że doniesłe argumenty wysunięte przez ks. dziekana Carlinga, w imieniu katolików finlandzkich, nie trafiły w próżnię i nie przebrzmiały bez echa. Wyrazem tego stanowiska rządu była misja min. Kihlmana i ks. Christierssona, przy czym sprawą, która głównie interesowała rząd Republiki, była kwestia organizacyjnego wyodrębnienia Finlandii od archidiecezji Mohylowskiej, w skład której dotąd wchodziły katolickie parafie finlandzkie.

Finlandia gotowa była pójść na szereg ustępstw konordatowych, byle tylko osiągnąć to katolicko-kościelne wyodrębnienie, świadczące o jej prawnopaństwowej samodzielności politycznej.

Skoro zaś najlepsze intencje rządu finlandzkiego stały się wiadome w Rzymie, ministerstwo oświaty i wyznań w Helsinkach zostało poproszone o wydelegowanie do Warszawy księdza dziekana Carlinga, który poinformował o istniejącym stanie rzeczy nuncjusza apostolskiego przy rządzie polskim, mgr. Achillesa Rattiego. Mgr. Ratti miał sobie bowiem powierzone w tym czasie przez Sekretariat Stanu, nawiązania tych stosunków, o czym doniósł telegraficznie ówczesnemu ministrowi spraw zagranicznych Finlandii, prof. Soinenen. Nuncjusz apostolski w Polsce, arcybiskup Ratti, doniósł jednocześnie o zamierzonej w tym celu swej podróży do Finlandii. Podróż ta jednak, z powodu rozwoju wypadków politycznych w Polsce, które wymagały obecności nuncjusza w Warszawie, nie doszła do skutku.

Natomiast, w początkach roku 1920, ówczesny minister spraw zagranicznych Finlandii, R. Holsti, odebrał pismo sekretarza stanu kardynała Gaspariego, zawiadamiające go o tym że Ojciec św. Benedykt XV, na zasadzie złożonego mu przez min. Kihlmana i ks. Christierssona, memoriału i prośby rządu Republiki Finlandzkiej, wyraził zgodę na

administracyjne wyodrębnienie Finlandii z metropolii Mo-hylowskiej, pod postacią samodzielnego wikariatu apostoł-skiego, na czele którego byłby postawiony biskup. Kardynał sekretarz stanu zawiadomił jednocześnie rząd finlandzki, o powierzeniu tego wikariatu apostołskiego jednej z kongre-gacji religijnej, albo oo. Serca Jezusowego, albo oo. redem-ptorystom.

6 lutego 1920 roku finlandzka Rada Ministrów po raz pierwszy oficjalnie notyfikowała Sekretarzowi Stanu swe sta-nowisko, wyrażając wdzięczność dla Stolicy Apostolskiej i zgodę na proponowaną formę załatwienia sprawy.

Teraz już, zdawałoby się, że nic nie stało na przeszkodzie pomyślnego układu stosunków pomiędzy Finlandią i Watykanem, w formie konkordatowej. Opracowanie odpo-wiedniego projektu powierzono wybitnemu prawnikowi fin-landzkiemu, profesorowi uniwersytetu w Helsinkach, Setälä oraz ks. dziekanowi Carlingowi. Projekt ten był ostatecznie gotów 24 maja 1922 roku, i, po przyjęciu go przez rząd fin-landzki, został przesłany Stolicy Apostolskiej. Obydwaj pro-jektodawcy, prof. Setälä i ks. dziekan Carling, pragnęli za-warcia konkordatu pomiędzy Finlandią a Watykanem w for-mie najogólniejszej, ramowej, i wypracowali w tym celu odpowiednią formę i formułę prawną. Rząd Republiki skłonny był przychylić się do ich wniosku i wniósł ustawę na plenum parlamentu. Tu jednak wynikła tak ostra opozy-cja przeciw proponowanej ustawie konkordatowej, że w for-mie demonstracyjnej, parlament finlandzki uchwalił skre-slić ten punkt o projekcie konkordatu Republiki Finlandzkiej z Watykanem, z porządku dziennego swego posiedzenia.

Była to demonstracja bojowego, luterkańskiego prote-stantyzmu, przeciwko życzliwej dla katolicyzmu polityce rządu i, popierającego pod tym względem rząd, bardzo znacznego odłamu, nawet protestancko gorącego, ale po-ważnego i dalej patrzącego społeczeństwa miejscowego.

Brak więc do dziś dnia konkordatowej formy załatwie-nia sprawy pomiędzy rządem finlandzkim a Watykanem.

Istniejący religijny *modus vivendi* zawarto dopiero w li-stopadzie 1929 roku, w tej formie, że, za zgodą rządu fin-landzkiego, katolickie duchowieństwo finlandzkie zgłosiło do rejestru wyznań religijnych organizację kościelną pod nazwą „Kościół Katolicki w Finlandii“, wraz z czterema parafiami: Helsinki, Vipuri (Wyborg), Turku (Åbo) i Terioki.

W ramach obowiązującej ustawy finlandzkiej o wolno-ści religijnej z 1922 roku, posiada Kościół Katolicki w Fin-landii faktyczną możliwość wykonywania swych zadań dusz-pasterskich, a nawet i wychowawczych, przez przyznane wszystkim wyznaniom prawo utrzymywania na własny koszt,

tj. na koszt parafii, szkolnictwa prywatnego, kontrolowanego przez państwo.

Zakony i zgromadzenia zakonne prawnie nie są w Finlandii dozwolone; znaczy to, że osoby zakonne przebywające na terenie Republiki Finlandzkiej nie są upoważnione do publicznego noszenia szat zakonnych.

Osoby należące do Kościoła Katolickiego nie podlegają jednak, w myśl tej ustawy, żadnym ograniczeniom publiczno-prawnym, co do wykonywania swych religijnych funkcji.

Nauczanie religii w szkole normuje specjalna ustawa państwowa z 18 maja 1923 roku. Mówi ona, że wykłady religii, w zasadzie obowiązujące dla wszystkich uczniów szkół początkowych i średnich, normowane być mają według zasady większości wyznaniowej w danej szkole. Władze szkolne powinny natomiast zapewnić mniejszości religijnej uczniów nauczanie zasad wiary według tego wyznania, do którego ta mniejszość należy.

W r. 1929 wydano też w Finlandii specjalną ustawę dotyczącą zawierania małżeństw. Ustawa ta głosi, że małżeństwo może być prawnie zawarte albo w formie religijnej, wobec danego kościoła, posiadającego prawo udzielone przez państwo do zawierania małżeństw, przy czym obydwie te formy posiadać będą wobec państwa jednakową moc prawną.

Pierwszym wikariuszem apostolskim Kościoła Katolickiego w Finlandii, został ks. Michał Buckx, Holender, należący do kongregacji Serca Jezusowego. Za zgodą rządu finlandzkiego, wyrażoną co do osoby kandydata, który był przedtem proboszczem w Wybörgu, święceń biskupich udzielił ks. Buckxowi, 15 sierpnia 1923 roku, w kościele w Helsinkach, przewodniczący kongregacji *de Propaganda Fide*, kardynał Wilhelm van Rossum, w obecności biskupów katolickich Szwecji, Norwegii i Danii. Od roku 1934 objął wikariat apostolski w Finlandii biskup Wilhelm Cobben.

Wobec nie dojścia do skutku proponowanego konkordatu pomiędzy Republiką Finlandzką o Stolicą Apostolską, stosunki katolików finlandzkich nie są prawnie unormowane, i układają się, na zasadzie stworzonego jednostronnie, przez zasadniczą ustawę państwową o wolności religijnej z 1922 r., wraz z ustawami uzupełniającymi z 1923 roku, o nauczaniu religii w szkole i z 1929 roku, w sprawie zawierania związków małżeńskich. Zawarty, na zasadach opierających się o powyższe ustawy, *modus vivendi* katolików finlandzkich z rządem, uzupełniany jest każdorazowo, w wypadkach nieodzownych, w konferencjach pomiędzy wikariuszem apostolskim na Finlandię a finlandzkim ministrem wyznań i oświecenia.

Finlandzki wikariat apostolski z siedzibą w Helsinkach, obejmuje obecnie całą Finlandię, w jej aktualnych granicach politycznych i posiada poza wymienionymi kościołami w Helsinkach, Wyborgu, Teriokach i Abo, o charakterze kościołów parafialnych, kaplice w Kuopio, Hamina i Tampere (Tammerfors), gdzie nabożeństwa odbywają się tylko po kilka razy do roku, z powodu braku stale obsługujących te miasta kapłanów katolickich.

Ilość katolików finlandzkich nie jest wielka, bo nie przekracza w Finlandii, 2000—2500 osób. Do tej liczby dodać jednak trzeba bardzo religijną i dość liczną kolonię włoską (około 1500 osób w samych Helsinkach) i bardzo ruchliwą, zamożną (choć liczącą zaledwie około 400 osób), kolonię francuską. Wśród obywateli finlandzkich, największy procent katolików, bo około 500 osób, stanowią Polacy, resztę Finlądzczy (tj. obywatele finlandzcy narodowości szweckiej — po niemiecku: *Finnländer*), a nieliczny tylko procent przypada na rodowitych Finnów (*Finne*).

Niemniej jest rzeczą ciekawą, że w ostatnich zwłaszcza latach, inteligencja finlandzka (i to zarówno Finlandczycy, jak Finnowie), pod wpływem przekonania o jałowości „oficjalnego” i „państwowego” wyznania, i pod urokiem nauki i sztuki katolickiej, coraz więcej interesuje się katolicyzmem i nie ukrywa się z tym, że chętnie uczęszcza na katolickie nabożeństwa i kazania.

Z tego też powodu wszystkie kościoły i kaplice katolickie w całej Finlandii są przepełnione, a w tej chwili bardzo już aktualną jest kwestia budowy w Helsinkach drugiego kościoła katolickiego, gdyż istniejący, niezbyt zresztą duży, kościół parafialny św. Henryka, nie jest już w stanie pomieścić ludzi napływających w święta nie tylko w ranne ale i na południowe nabożeństwa, zawsze połączone z kazaniami. Kazania te odbywają się stale w językach fińskim i szweckim. Często też odbywają się kazania i konferencje przyjezdnych księży Włochów, Francuzów a nawet Anglików.

Upośledzonymi są tylko najliczniejsi w Finlandii obcokrajowcy — katolicy-Polacy, ponieważ nikt się nie postara o polskie kazanie, o polską konferencję religijną, czy o polskie rekolekcje, choćby tylko raz do roku!

Nasze zresztą dość ruchliwe, gdy chodzi o propagandę kultury polskiej, przedstawicielstwo dyplomatyczno-konsularne w Helsinkach, tą, tak ważną dziedziną, najtrwalej umacniającą polskość na obczyźnie — dziedziną życia religijnego kolonii polskiej w Finlandii, nie interesuje się zupełnie.

Należy także niestety powiedzieć, że i nasze duchowieństwo, interesujące się tak wydajnie losem Polaków na

obczyźnie, dotąd nie zainteresowało się jakoś dostatecznie losem tych, co prawda nielicznych i przeważnie niezamożnych Polaków, zamieszkujących stale Finlandię.

W interesie Państwa Polskiego i jego rzeczywistego prestiżu, tak sympatycznie zawsze ocenianego w Finlandii, należałoby szczerze pragnąć, aby ten stan rzeczy uległ jak najprędzej, radykalnej zmianie.

Polak na obczyźnie, który przestaje modlić się po polsku, który nie miewa, choć od czasu do czasu, polskich nabożeństw i polskich kazań, który nie śpiewa polskich pieśni, zatracając powoli przywiązanie do wiary ojców a równocześnie wynaradawia się. Wynaradawia się zwłaszcza, znowu musimy tu przyznać z całą otwartością, jeśli przebywa w środowisku, którego przeciętna zamożność i przeciętny poziom cywilizacyjny, słusznie może, i nawet powinien, imponować.

Dla bezstronnego obserwatora życia finlandzkiego i ewolucji myślowej finlandzkiej inteligencji (nierzadko kończącej wyższe studia w Anglii, Francji, Niemczech, Włoszech, czy Szwajcarii, i wskutek tego coraz mocniej związanej z kulturą łacińską), nie może ulegać żadnej wątpliwości, że proces myślowego nawrotu elity społeczeństwa finlandzkiego, do tradycyjnego, historycznie i kulturalnie bardzo, pod względem zasług dla kraju, wysoko klasyfikowanego katolicyzmu, już się w Finlandii rozpoczął. Złobi on sobie głębokie koryto w myśli młodego pokolenia finlandzkiego, interesującego się bardzo mocno zagadnieniami katolickimi, poruszanymi w konferencjach, odczytach publicznych czy uniwersyteckich „publicach”, w prasie, w literaturze, w sztuce. Katolicki Klub Akademicki w Helsinkach rozwija pod tym względem bardzo ożywioną i poważnie pomyślaną działalność, gromadząc na swych miesięcznych zebraniach nie tylko członków, ale i licznie uczęszczających i chętnie dyskutujących gości. Dorosła inteligencja katolicka zrzesza się w klubie dyskusyjno-samopomocowym *Fidelitas*, tworzy charytatywne stowarzyszenie św. Anny, rozwijające bardzo ożywioną działalność pomocy dla najbiedniejszych (i to nie tylko dla katolików), w duchu naszego „Caritasu”. Wreszcie związki św. Brygidy, patronki Skandynawii, do której Finlandia coraz chętniej i coraz słuszniej się zalicza, spełniają rolę czysto religijno-wychowawczą, naszych sodalicyj i trzecich zakonów. Wydawany jest też kwartalnik i rocznik katolicki *Vox Romana*.

Szkolnictwem katolickim początkowym i średnim, połączonym z internatem dla niezamożnych dzieci, które jest w zaczątkach w Helsinkach i Wyborgu, kieruje zgromadzenie sióstr Serca Jezusowego, w liczbie 14 zakonnic i kilku na-

uczycielek świeckich. Koszty całkowitego utrzymania i prowadzenia, tych, zresztą bardzo uczęszczanych i dobrze się rozwijających placówek katolickiego szkolnictwa średniego w Finlandii, życzliwie ocenianego przez rząd i opinię, spoczywają całkowicie, jak dotąd, na barkach katolickich gmin religijnych.

Na barkach także katolików finlandzkich, pełnych za pału, poświęcenia i zrozumienia dla tego, czym w dziedzinie pełnego odrodzenia narodowego i państwowego Finlandii jest katolicyzm, spoczywają jego przyszłe losy w tym kraju.

Czy odrodzenie katolickie Finlandii, sięgnięcie i nawiązanie do najwcześniejszych, pięknych pod tym względem, tradycji kulturalnych jej państwowości aż po głębokie średniowiecze, dokona się w ciągu życia jednego, czy też kilku pokoleń? — trudno dziś powiedzieć. Jedno wydaje się pewnym, że nastąpić musi.

Dr Stanisław Brzeziński.

Sprawy Państwa.

Niesamowity triumf pacyfizmu. — Pokojowy rozbiór dobrze uzbrojonego państwa. — Ofensywa złotych kul. — Przewaga Niemiec i reakcja Włoch. — Widmo wielkiej koalicji.

Od pamiętnego zjazdu czterech „władców świata” w Monachium minęło brzemienne w następstwach półrocze. Zjazd otworzył w historii Europy „nową epokę” dla której trudno znaleźć analogię w przeszłości. Przy jak najpełniejszym podobieństwie położenia między sierpniem 1914, a wrześniem 1938, w pierwszym wypadku wybuchnął kataklizm wielkiej wojny, w drugim zaś — został „ocalony” pokój.

Mogło się tak stać tylko za cenę niebываłej kapitulacji mocarstw zachodnich z owoców ich poprzedniego nad Niemcami zwycięstwa. W pomonachijskim półroczu kapitulacja ta stopniowo weszła w życie. Weszła w nie łamiąc formalnie złudną literę monachijskiego układu, lecz w gruncie rzeczy zgodnie z jego rekordowo-pacyficzną myślą przewodnią. Był to znów proces pozbawiony jakiegokolwiek precedensu. Zmiany takiej natury i zmiany, które w przeszłości zawsze tylko orężem bywały rozstrzygane, obecnie zostały przeprowadzone pokojowo, w drodze umownej, przy akompaniamencie „grzmotu” li tylko protestów i gróźb.

Bezprzykładnym w dziejach wypadkiem duże, świetnie uzbrojone, niepodległe państwo, stanowiące ważną pozycję w międzynarodowym układzie sił, mogło zniknąć z mapy politycznej bez jednego wystrzału. I bez jednego wystrzału mogło poważnym zasobem swych militarnych i ekonomicznych wartości wzmocnić

Niemcy, a osłabić przeciwny im obóz wersalski. Obok przyjętego już powszechnie „unikania wojen” za pomocą namiastki „zatargów zbrojnych” bez wypowiedzenia, ten „pokojowy rozbiór” Czechosłowacji stanowi jeszcze bardziej zwyrodniały triumf ducha masonskiego pacyfizmu.

To co się po Monachium w Europie dzieje trudno nazwać inaczej jak nieznaną dotąd w historii „pokojową wojną”, która bezoreźnie przeprowadza czysto wojenne dążenia i działania. Psychologiczny mechanizm tego nieposzlakowanie nowoczesnego zjawiska, zdaje się polegać na rozmaitym napięciu strachu przed wojną w stosunku do konieczności lub potrzeb, które według dotychczasowych doświadczeń tylko w drodze wojny zaspakajane być mogły. W grupie mocarstw zachodnich, terytorialnie i surowcowo przesyconych, ten strach jest większy. W grupie centralnej presja wygłodzenia zmniejsza strach zapewniając, zwłaszcza Niemcom, psychologiczno-polityczną nad przeciwnikami przewagę. Pośrodku na polu starcia grup, znalazła się Czechosłowacja, uzbrojona materialnie, lecz rozbrojona moralnie przez ducha Genewy. Oblakana pacyfizmem, demobilizowaniem i równocześnie szowinizmem przez 20 lat powojennych prowadziła samobójczą politykę ufności w wieczny pokój w wiecznej zwadzie z najbliższymi współzagrożonymi przez Niemcy sąsiadami: Polską, Węgrami, Austrią i — Habsburgami. Gdy więc pacyfizm runął postawiony w obliczu wojny, wraz z nim zapadło się genewsko-sezonowe państwo Czechosłowacji w sposób bezprzykładnie, haniebnie humanitarny, bez wystrzału.

Czas jednak omówić dokładniej naturalny mechanizm tego przewrotu w równowadze europejskiej. Już od chwili „pokojowych podbojów” Austrii i Sudetów przez Niemcy pole walki między „osiąmi” rzymsko-berlińską a parysko-londyńską, dotąd przeważnie odśrodkowo rozpustarte od Hiszpanii do Moskwy, poczęło się dośrodkowo skupiać w kierunku dorzecza Dunaju, w wielkiej części wchłoniętego przez Niemcy. Odtąd też ofensywy i kontr ofensywy obu stron coraz silniej poczęły uderzać o brzegi większych, niezależnych państw tego obszaru, Polski i Rumunii. Uderzenia te na ogół nie były w obrębie każdej osi solidarne, lecz prowadzone raczej wypadami: Anglii, pomimo Francji, w kierunku Niemiec, oraz Włoch, wbrew Niemcom, w kierunku węgiersko-polskim i bałkańskim. Ostatnio, przed miesiącem, starły się u południowej ściany Karpat te dwa sprzeczne prądy wytwarzając groźny dla Czechosłowacji wir. Pierwszy z nich to anglo-niemiecki podjazd na Małopolskę i Ukrainę Sowiecką z Rusi Zakarpackiej. Znalazł on swój wyraz w misji Wedgwooda, oraz we wzmożonym nacisku Niemiec dążących do całkowitego uzależnienia Czech, także pod kątem skuteczniejszego dalszego nacisku na Rumunię. Ze strony Anglii była to próba ponownego odwrócenia naporu Niemiec z zachodu na wschód, którą Niemcy do-

rażnie akceptowały. Z natury rzeczy prąd ten nie tylko zagrażał Polsce, nie tylko zmierzał do zwrócenia Węgier na Siedmiogród przeciwko Rumunii, lecz w dość bliskiej perspektywie zwracał się również przeciwko Moskwie.

Druga, współzawodnicząca dążność włoska, poprzez Bałkan i granicę polsko-węgierską sięgała ku Moskwie pozytywnie. Zmierzano do odbudowy wielkiego bloku wschodniego z r. 1933, jako barykady zdolnej powstrzymać *Drang nach Osten*, podtrzymać zaś napór niemiecki na Zachód i kolonie. Wtedy Italia miałaby zapewnione nadal współdziałanie Niemiec w tym dla niej najpożyteczniejszym kierunku, osłaniając się równocześnie przed niemieckim współzawodnictwem na Bałkanie i pozyskując dla osi rzymsko-berlińskiej czynnie rosyjskie poparcie przeciw mocarstwom zachodnim na Bliskim Wschodzie. Ponadto Włochy próbowały jeszcze wyzyskać wpływ rosyjski w czerwonej Hiszpanii dla przeciwdziałania rosnącej przewadze anglo-francuskiej nad obozem gen. Franco. Moskwa wygodziła Italii na terenie walentym komunistyczną kontrrewolucją przeciwko madryckiej juncie kapitulacyjnej gen. Miaja, popieranej przez mocarstwa zachodnie. Moskwa więc, postawiona wobec niemiecko-angielskich poczynań w Czechosłowacji i na Rusi, przyjęła ofertę włoską, dając zewnętrzny wyraz nowej orientacji w układzie handlowym rosyjsko-włoskim. Włochy ze swej strony podjęły organizację przeciwniemieckiego oporu na Bałkanie, która miała ententę bałkańską doprowadzić do porozumienia z Węgrami i Bułgarią na konferencji w Bukareszcie. Do Polski po współdziałanie wyruszył min. hr. Ciano.

Zanim jednak jeszcze stanął w Warszawie nasze M. S. Z. zareagowało przeciwko niemiecko-angielskiej postawie w Czechosłowacji równoległym do włoskiego układem handlowym z Moskwą. Podobnie jak tamten symbolizował on przede wszystkim zwrot polityczny i na tym polegała jego wysoka doniosłość. Układ polsko-rosyjski wychodził naprzeciw nowym planom dyplomacji włoskiej rokując dla odwiedzin jej szefa w Warszawie widoki bardzo pomyślne, dla Zachodu bardzo niepokojące, dla Niemiec niezbyt pożądane. W miarę przeto rozwoju tej nowej koniunktury strony zainteresowane poczęły się do niej czynnie przystosowywać.

Praga oceniła ją jako korzystną dla siebie bo komasującą na wschodzie siły przeciwniemieckie Rosji, Polski, Rumunii Jugosławii, Turcji i Włoch. Zaryzykowała więc wobec Berlina dosyć stanowczy opór. W odwrotnym do tego oporu stosunku wzmożł się napór niemiecki. Wprawdzie Anglia szybko się wycofała z niefortunnej dla niej misji Wedgwooda, spostrzegłszy iż może ona Moskwę zmobilizować do poparcia tureckiej ekspansji na Bliskim Wschodzie, i to w obrębie rzymsko-berlińskiej ofensywy kolonialnej. Jednak Niemcy, ze swego stanowiska, dostrzegły w nowej polityce włoskiej bodźce dla tym silniejszego na własną rękę

kontraktaku przeciwko projektom wielkiego bloku wschodniego, który by przed nimi zamknął bezpośredni dostęp nie tylko do Ukrainy, lecz i do Rumunii i dalej, w ogóle wszędzie, za wyjątkiem Holandii i Szwajcarii. Wobec samodzielnych posunięć administracyjnych Pragi na Rusi Zakarpackiej, Berlin rozszerzył więc pole swego nacisku na całość czesko-słowackiego państwa stawiając podobno żądania redukcji wojsk, ich podziału na cztery grupy narodowościowe, osobowości prawnopublicznej dla Niemców czeskich, oraz absolutnego poddania wobec Niemiec czeskiej polityki ekonomiczno-zagranicznej.

Ponieważ Praga uporczywie odmawiała, przeto Berlin przystąpił do rozsądzania państwa czesko-słowackiego od wewnątrz, za pomocą Słowaków. Zabiegi w tym kierunku trafiły na podatny grunt „niepodległościowej” naiwności, względnie szowinistycznego zaślepienia tego małego ahistorycznego narodu. Niezdolny utrzymać się o własnych siłach nie tylko militarnie lecz i ekonomicznie, odrzucił on propozycję Pragi, która mu ofiarowała pokrycie deficytu i odrębne wojsko słowackie w zamian za wierność unii. W krytycznej chwili słowacki sejm wołał podobne warunki przyjąć z rąk Niemiec, jako lenno wobec nich, kłamliwie upozorowane niepodległością.

Zanim to jeszcze nastąpiło, z bliska i z daleka nadciągały nowe poddmuchy koniunktury coraz groźniejsze dla państwa czesko-słowackiego. W pobliżu zawiódła oczekiwania Włoch i Czech bukareszteńska konferencja bałkańskiej ententy. Dała się ona steroryzować niemieckiej ofensywie przeciwczeskiej widmem Węgier zwróconych przeciwko Rumunii, co spowodowało rumuńską niechęć do jakichkolwiek korektur granicznych także na rzecz Bułgarii. Oliwy do ognia dołała i bezpośrednio spowodowała Niemcy do jak najspieszniejszej likwidacji czesko-słowackiej niepodległości — postawa jaką Zachód zareagował wobec nowych planów włoskich, usymbolizowanych przez układy handlowe między Moskwą, Rzymem i Warszawą, oraz przez warszawską podróż min. Ciano.

Reakcja zachodnia była rzeczowa, gwałtowna, starała się bowiem tę podróż uprzędzić. Przybrała postać „kontrofensywy złotych kul”. Wyraziła się w obietnicach przysłowiowych złotych gór pod adresem Warszawy, Moskwy i Bukaresztu ze strony Londynu i Paryża. W zamian za wycofanie się z projektowanego udziału w kolonialnej ofensywie przygotowanej przez Włochy, oraz defensywne poparcie Zachodu, miały popłynąć na wschód Europy kapitały zachodnie i spotęgować się niebывale obroty handlowe, miała nadto stanąć otworem eksploatacja surowców kolonialnych. Zapowiedziano wyjazd do stolic wschodnich angielskiego min. handlu zagranicznego Hudsona z konkretnymi propozycjami. Miały te propozycje sięgnąć aż do sfinansowania COP'u w Polsce. W istocie były one głównie miarą przerażenia jakie opanowało

Zachód, niemniej przeto wydawały się dla Warszawy, Bukaresztu i Moskwy niezmiernie ponętne.

Tym bardziej niepokojące musiały się za to wydać w Rzymie, a zwłaszcza w Berlinie. Gdyby zostały zrealizowane te „bezpieczeństwa zbiorowe” według zachodniego ideału, doszłoby nareszcie do zguby obu wygłodzonych mocarstw centralnych. Uprzemysłowiony w ten sposób Wschód wspólny z kapitalistycznym Zachodem wytworzyłby potęgę blokującą oś rzymsko - berlińską, która ekonomicznie zaczyna gonić ostatnim tchem, zwłaszcza w zakresie wyścigu zbrojeń. Ponieważ w Londynie i Waszyngtonie równocześnie uchwalono nowe ogromne sumy na zbrojenia, przeto mocarstwa centralne, w szczególności Niemcy, musiały się poczuć wyjątkowo zaszachowane ową „kontrofensywą złotych kul”. Najskuteczniejszą doraźną przeciwko niej zasłoną dla Niemiec mogła się stać tylko aneksja Czechosłowacji, która za jednym zamachem przynosiła Trzeciej Rzeszy nie tylko świetnie skróconą granicę strategiczną oraz pozycję wypadową w dorzeczu Dunaju, ale ponadto (łącznie z Austrią i Sudetami) o jakie 40 dywizyj więcej po niemieckiej stronie, a mniej po stronie przeciwników, wraz z całym „przynależnym” kompletem czeskiego materiału wojennego i przemysłu wojennego. Berlin nie ustawał więc w pracy nad wewnętrznym rozbijaniem Czechosłowacji, tym bardziej, że sami Słowacy i Czesi szli mu na rękę. Dwóch ministrów słowackich udało się do Berlina zabiegać o pokrycie słowackiego deficytu budżetowego. Zdaje się, że wtedy właśnie rząd hitlerowski postawił jako warunek swej pomocy zerwanie unii z Czechami, oraz formalne przyjęcie „opieki” niemieckiej przez Słowaczyznę.

Przyśpieszyły rozstrzygnięcie także inne bodźce ościennie. Odwiedziny min. Ciano w Warszawie wypadły pod względem nastrojowym bardzo serdecznie. Politycznie wyrównały pole dla koordynacji posunięć włoskich z polskimi, odnośnie do Niemiec, Czechosłowacji i granicy polsko - węgierskiej; oraz być może również z rosyjskimi, odnośnie do postawy jaką by zająć należało wobec zachodniej „kontrofensywy złotych kul”. Pożądanym uzupełnieniem tego wyniku stały się następnie odwiedziny w Warszawie rumuńskiego min. spr. zagr. Gafencu, niedawnego przewodniczącego konferencji ententy bałkańskiej w Bukareszcie. Gafencu również gorąco opowiedział się za granicą polsko - węgierską, porozumieniem węgiersko - rumuńskim i jak najściślejszym współdziałaniem rumuńsko - polskim, także ekonomicznym w związku z ofensywą złotych kul.

Było to równoznaczne z rumuńską gotowością do zawarcia przeciwniemieckiego bloku obronnego i polsko - rumuńsko - węgierskiego, opartego o Italię i Moskwę. Wynik obu rozmów warszawskich był wybitnie niekorzystny dla czesko - słowackiej niepodległości. Okrojona z Sudetów, bezsilna wobec Niemiec Czechosłowacja stała się wspólnym niebezpieczeństwem dla wszystkich

trzech państw ościennych: Polski, Rumunii i Węgier, przede wszystkim jako doskonały przewodnik prądu ekspansyjnego niemieckiego. Jednak również polityka oporu wobec Niemiec, stosowana ostatnio przez Pragę, a nawracająca do tradycyjnego „zezu ku Moskwie” nie mogła podzielać ujmująco na Warszawę, Budapeszt i Bukareszt. Na czoło zatem dążeń konkretnych polskich, węgierskich i rumuńskich wysunęła się granica polsko-węgierska. Było zaś rzeczą jasną, iż Niemcy do niej nie dopuszczą inaczej jak tylko za cenę ogólnego rozbioru przy którym by inkorporowali co najmniej Czechy i Morawy. Nad Słowaczną zdawał się wynurzać sporny znak zapytania.

W ten sposób zarysowała się konkretnie także od strony miejscowo-międzynarodowej ta czesko-słowacka perspektywa rozbiorowa, na którą wskazywałem w referacie marcowym, w związku z pierwszym rzutem włosko-rosyjskiej akcji reasekuracyjnej w stosunku do Niemiec. Praga popełniła swój ostatni i śmiertelny dla niej błąd wysyłając gen. Prchalę na Ruś Zakarpacką dla poskromienia germano i ukrajinofilstwa premiera Wołoszyna. Jeżeli mógł być dla Czechosłowacji jeszcze jakikolwiek ratunek, to jedynie tylko przez jak najspieszniejszą całkowitą ewakuację Rusi, oraz zrzućcie kłopotu o nią bezpośrednio na Niemcy, Węgry i Polskę. Niemniej konieczną była, oczywiście, dobra wola współżycia i współbrony Słowaków z Czechami, która przy posiadanym jeszcze zasobie sił militarnych mogła być dla unii poszukiwać oparcia w bloku polsko-rumuńsko-węgierskim, pośrednio zaś w Italii i Moskwie. Nawet bowiem ta ostatnia w danym położeniu miała powody więcej obawiać się Rusi czeskiej niż węgierskiej.

Po rozmowach warszawskich szybko już potoczyły się decydujące wypadki zarówno na widowni światowej jak miejscowej. 10 marca Stalin wygłosił wielką mowę polityczną na kongresie partii komunistycznej w tronowej sali Kremla. Przemawiał w charakterze wodza imperium. Silniej niżli społeczną czerwień akcentując rosyjski nacjonalizm, zapowiadając na wewnątrz kurs centralistyczny, niewątpliwie jako *antidotum* przeciwko opartemu o Niemcy separatyzmowi ukraińskiemu. Ruś Zakarpacką wprowadził formalnie zbagatelizował, ale nie tylko *pro foro interno*, lecz jeszcze bardziej gwoili znamiennej zachęty dla niemieckiej ekspansji zachodniej, kolonialnej. Zachęta nie była zresztą bezwzględna lecz warunkowa. Stalin przejął jak się zdaje od dyplomacji polskiej „barierową” taktykę dwustronnej równowagi w stosunku do obu osi rzymsko-berlińskiej i parysko-londyńskiej, rozwijając ją w grę na dwa fronty, pod hasłem „kto da więcej?” — bezpieczeństwa i finansów.

Mowa ta wygłoszona w odpowiedzi na ofensywę złotych kul miała więc sens dwuznaczny. Stalin ostro zaatakował mocarstwa zachodnie za Monachium, wyrzucając im, że przez poświę-

cenie Czechosłowacji usiłowały odwrócić Niemcy od swych kolonij, a wciągnąć na szlak ukraiński, czyli przeciwmoskiewski. Sugerował Niemcom, że się rzekomo nie dały tej pokusie uwieść i trwają nadal niezłomnie przy orientacji ekspansyjnej na kolonie. W tym momencie mowy ukryty jej dyplomatyczny szyfr wyrażał skłonność Moskwy do współdziałania z zachodnią ekspansją niemiecką w myśl planów włoskich przez Moskwę aprobowanych, a popartych próbą nowej kominternowskiej interwencji w czerwonej Hiszpanii. Z drugiej strony jednak wyrzuty pod adresem Zachodu, z powodu jego polityki nieinterwencji czesko-słowackiej mogącej Zachód doprowadzić do „poważnego niepowodzenia”, podsuwały myśl, że postawa Moskwy mogłaby się orientować dla Zachodu korzystnie, gdyby okazał on więcej odwagi i energii zdolnej bez zastrzeżeń gwarantować Moskwie pomoc zbrojną na wypadek niemieckiego przeciwko niej ataku. Wynikało z tej mowy, że Moskwa byłaby gotowa przyjąć złoty deszcz z zachodu i stać w szeregu przeciwniemieckiego „zbiorowego bezpieczeństwa”, jednak jedynie pod warunkiem formalnego z nią przymierza mocarstw zachodnich, tj. nie tylko Francji lecz także Anglii, a nawet Ameryki. Warunek zrozumiały, ale dla Anglii bardzo wygórowany. W przeciwnym razie Moskwa zamierzałaby postępować raczej, w myśl planów włoskich, z osią rzymsko-berlińską przeciwko zachodnim imperiom kolonialnym.

Prawie natychmiast po zaznajomieniu się z tą postawą Moskwy p. min. Beck wygłosił w odpowiedzi na interpelacje senackie, rodzaj małego *exposé* o zasięgu znacznie większym od moskiewskiego, ale ważkim lokalnie. Stosunek do Rosji i Niemiec potraktowany został bardzo powściągliwie. Min. Beck wysunął tylko, jakby postulatywnie wobec Niemiec, polsko-niemiecki spór mniejszościowy. Na pierwszym planie tej wypowiedzi znalazła się Czechosłowacja. Spotkały ją ostre zastrzeżenia co do jej polityki przeszłej i przyszłej wobec Polski, oraz uwarunkowany tymi zastrzeżeniami, teoretyczny wyraz życzliwości wobec obu narodów czeskiego i słowackiego. Co najważniejsza to fakt, że nasz minister wypowiedział się dyskretnie za niepodległością Słowaczyny, a stanowczo za przyłączeniem Rusi do Węgier, powołując się również na wolę Rumunii. W tak bardzo napiętym jak ówczesne położeniu słowom tym przypadła rola ostatniego gwoźdźcia do trumny Czechosłowacji. Prawie równocześnie nastąpił ostatni autorytatywny wysiłek Pragi, składający z urzędu gabinetu słowacki Tisy, oraz reakcja Berlina w postaci „niepodległościowej” uchwały sejmu słowackiego. W konsekwencji prezydent Hacha z min. Chvalkovskym wyruszyli do Berlina, by poddać Czechy i Morawy Niemcom, Słowaczyna przyjęła opiekę Hitlera, wojska niemieckie wkroczyły do obu krajów, węgierskie zaś na Ruś Zakarpacką. Smutny, niesławny koniec państwa, którego narody okazały się słabe nie tylko liczbą lecz także, duchem i rozumem stanu.

Upadek tego państwa wywołał w równowadze międzynarodowej wstrząs tak głęboki i powszechny jakiego Europa nie przechodziła od wielkiej wojny. Dla Niemiec był to triumf dający fory w wyścigu zbrojeń, oraz skuteczny odpór wobec groźnej ofensywy zachodnich złotych kul. Manewrowały Niemcy przeciwko możliwemu dopływowi kapitałów zachodnich do Polski, naprzód za pomocą kwestii mniejszościowej, nadającej się do zaognienia stosunków polsko-niemieckich oraz odstraszenia owych kapitałów metodą wejmarską, niegdyś z powodzeniem stosowaną od Pomorza. W razie jednak zamierzonego przez Niemcy opanowania całej Czechosłowacji wraz z Rusią, metoda „rokowań mniejszościowych” mogła się łatwo spotęgować w nacisk niemiecki do rozsadzenia naszego państwa od wewnątrz na wzór czesko-słowacki.

Rozbiór Czechosłowacji, pomimo całej jaskrawości niemieckiego triumfu, zamiary te zredukował poważnie o Ruś Zakarpacką. Jej cesja na rzecz Węgier, była równocześnie ustępstwem na rzecz Polski, Rosji i Rumunii, oznaczała bowiem rezygnację z bezpośredniego naporu pod ukraińskim sztandarem na Małopolskę, Bukowinę i Ukrainę. Niemniej zabór Czech i Moraw oraz ścisłe uzależnienie Słowaczyny, uzupełnione wkrótce na północy zaborem Kłajpedy i znacznym uzależnieniem Litwy, przesunęły dotychczasowy stosunek między nami i Niemcami, bardzo już dla nas niekorzystny, jeszcze nieporównanie silniej na korzyść Niemiec. Rzecz można, iż cały graniczny przyrost ich potęgi wraz z osaczającą pozycją strategiczną, przede wszystkim zwrócił się przeciwko nam i Rumunii.

Ofensywa złotych kul została przez Niemcy doraźnie na Wschodzie zablokowana. Misji Hudsona w Warszawie akompaniował Berlin bezpośrednio zaborem Kłajpedy. Ta misja o charakterze ekonomicznym, ale politycznie uwarunkowanym przez żądanie na Zachodzie przeciwniemiecką deklarację i przeciwniemiecką postawę obronną, musiała na razie zawisnąć w powietrzu. Najbliższe przez nowy triumf niemiecki zagrożona Warszawa, Bukareszt i Moskwa, wysunęły wobec tej deklaracji zastrzeżenia, wyrażone już wcześniej w mowie Stalina, a dotyczące kategoryczności, precyzji i natychmiastowej wykonalności zobowiązań obu mocarstw zachodnich do zbrojnej akcji przeciwko Niemcom. Ponieważ Zachód się ociągał przeto Moskwa uzależniła swój podpis na deklaracji przeciwniemieckiej od podpisu polskiego. Najbardziej przystosowała się do grozy spotęgowanego niemieckiego naporu na Karpaty i Bałtyk z jednej strony, z drugiej zaś do pojednawczego gestu z Rusią Zakarpacką — Rumunią. Przyjęła układ gospodarczy z Niemcami, zapewniający im lwią część udziału w eksploatacji naturalnych bogactw tego kraju.

Taki bezpośredni plon uzyskały Niemcy z pokojowego podboju Czechosłowacji. Jak zachowywał się Zachód podczas tej niesamowitej operacji? W końcu lutego i początkach marca, w okre-

sie warszawskich wizyt Ciano i Gafencu, zdawał się być na ogół dobrej myśli i to ze względu na domniemane widoki ofensywy złotych kul na Wschodzie, uchwalone przez parlament angielski 800 milionów funtów na zbrojenia, oraz przewagę w Hiszpanii. W tej ostatniej oś parysko-londyńska usiłowała jak najprędzej doprowadzić do pokojowej kapitulacji obszaru walenckiego wraz z Madrytem wobec gen. Franco, licząc że się on wtedy odwróci od uciążliwych obowiązków wdzięczności wobec Włoch i przyjmie kapitalistyczną opiekę mocarstw zachodnich. Na takim tle przez pewien czas rozwinęło się dziwaczne zjawisko wtórnej wojny domowej w obrębie czerwonej Hiszpanii, przy czym znów, chociaż w zmniejszonej skali, zwalczały się nie tylko strony hiszpańskie, lecz także popierające je wpływy zewnętrzne mocarstw. Londyn sprowokował bunt madryckiej junty obrony narodowej przeciwko rządowi Negrina, w celu przyspieszenia kapitulacji czerwonych wobec Franca. Moskwa zaś, w linii dążeń włoskich, dodała ducha i zapewne amunicji hiszpańskiej komunie, która podniosła antykapitulacyjną rewoltę prowincjonalną przeciwko rewolcie prokapitulacyjnej Madrytu. Na uboczu od tego widowiska gen. Franco zajął postawę wyczekującą, która byłaby trudno zrozumiała gdyby jej nie tłumaczyć powolnością wobec kunktatorskich metod londyńsko-paryskich. Tym razem były one bardziej niż kiedykolwiek uzasadnione, bo chaos walencki sam przez się wykończył zdolność oporu wobec Franca i przygotowywał dlań dojrzały owoc do opadnięcia z drzewa. Jakoż poddał się naprzód Madryt, potem szereg innych miast, likwidacja zaś reszty nie potrwa zapewne długo i wypadnie w myśl dążeń Zachodu.

Pomimo tych pomyślnych hiszpańskich widoków i właśnie w bezpośrednim związku z nimi wybuchła w Paryżu i Londynie, w przedzeniu mowy Stalina, oraz tragicznego finału Czechosłowacji, krótka lecz gwałtowna panika. Spowodowała ją, z kół wojskowych podobno pochodząca, pogłoska, jakoby na sukces anglo-francuski w Hiszpanii, Berlin miał zareagować niespodziewanym uderzeniem zbrojnym na Holandię i Szwajcarię. Poszły nawet urzędowe w tej nucie ambadorskie interpelacje anglo-francuskie do niemieckiego M. S. Z., które oczywiście chłodno zaprzeczyło. Miarą jednak napięcia paniki stała się deklaracja angielskiego min. wojny w izbie gmin, że w razie ataku niemieckiego na Francję albo najbliższe do niej dostępy, Londyn natychmiast wyśle 300 do 500 tysięczny „korpus ekspedycyjny” na kontynent z pomocą napadniętym.

Mowa Stalina niewątpliwie dołała oliwy do ognia, zarówno w Niemczech wobec Czechosłowacji, jak na Zachodzie wobec Niemiec. Niemcy postanowiły skończyć z praską w ich „sercu” ekspozyturą Moskwy, choćby kompensując Moskwę pośrednio rezygnacją z Rusi Zakarpackiej i tego co z niej ku Wschodowi rozwijane być miało. Londyn natomiast i Paryż poczuły się do-

tknięte zarzutami bierności, jako też zagrożone dwufrontową postawą Moskwy, a więc sprowokowane do odważniejszych na przyszłość poczynañ. Mimo to na pierwszą wieść o berlińskim układzie prezydenta Hachy z Hitlerem oraz wkroczeniu wojsk niemieckich do Pragi, rządy londyński i paryski zareagowały raczej minorowo, zastrzegając się, że zbrojnie interweniować nie zamierzają. Dopiero gdy zza oceanu dobiegły krzyki oburzenia, urzędowy protest, odmowa uznania faktu dokonanego, a co najważniejsza zarządzenie nakładające na przywóz niemiecki do Ameryki „cło karne” 25%, wtedy dopiero ryknął brytyjski lew i zapiał gallijski kogut. Założono w Berlinie protest, odwołano ambasadorów. Chamberlain w wyjątkowo gwałtownej mowie wypowiedział Niemcom układ monachijski, dotyczący nie tylko Czech lecz i deklaracji pokojowej, zapowiedział podjęcie niemieckiej rękawicy, kontrofensywę czynną, a nawet powszechną służbę wojskową. Zawtórował mu konieczności Daladier, żądając przy tym i otrzymując od parlamentu wyjątkowe pełnomocnictwa w zakresie intensyfikacji produkcji, zwłaszcza przemysłu wojennego, oraz podniesienia stopy pokojowej armii o trzeci rok służby czynnej.

Skonkretyzowały się te nastroje w dwu głównie kierunkach: 1) konferencji i deklaracji państw zdecydowanych na opór wobec Niemiec, w pierwszym rządzie Anglii, Francji, Rosji, Polski i Rumunii. 2) nowej Kampanii „sankcyj gospodarczych” przeciwko Niemcom, które by je miały zmusić do wycofania się z Czech. Ten ostatni środek, gdyby w szerokiej międzynarodowej skali przybrał postać równie radykalną jak amerykańska „karna taryfa” celna, mógłby się okazać wprawdzie bardzo korzystnym dla bojkotujących, ale bodaj jeszcze groźniejszym dla Niemiec, ekonomicznie wyczerpanych. Takiemu spotęgowaniu ofensywy złotych kul przeciwstawiły Niemcy doraźnie, jak już powiedziano, świeży przyrost potęgi z zaboru czeskosłowackiego i Kłajpedy, oraz rumuński układ gospodarczy. W momencie zapowiedzi bojkotowych Zachodu, oraz nawoływań do wschodniej z nimi solidarności, napięcie międzynarodowe sięgnęło jednak swego szczytu. Gdyby Wschód był wtedy poszedł bez zastrzeżeń za głosem Londynu i Paryża, to przed Niemcami mogłyby się zamknąć wszystkie drogi oprócz jednej tylko: natychmiastowego skierowania wszystkich pomnożonych sił na północo-wschód i dalsze głębokie w tym kierunku wtargnięcie. Trudno wątpić, że tych podbojów już by Niemcy bezoreźnie przeprowadzić nie zdołali.

Dzięki rozwadze Wschodu, stało się inaczej. Ten stopień przewagi jaki Niemcy nad nimi dotąd osiągnęły nie przesądza, że tylko właśnie Wschód przedstawia dla niemieckiej ekspansji linię najbliższego oporu. Przeciwnie, zabór Czechosłowacji mogą Niemcy traktować jako środek takiego układu swoich stosunków z innymi państwami wschodnimi, który by im zabezpieczył tyły dla ofensywy kolonialnej zachodniej, zapewnił apro wizację i surowce na wy-

padek dłuższej wojny; względnie nawet, w myśl dotychczasowej polityki włoskiej, pośrednie współdziałanie Moskwy na Lewancie. Taki sens zdaje się mieć z niemieckiego stanowiska, przede wszystkim układ gospodarczy z Rumunią. Taki zwrot musiałby jednak otrzymać odpowiednie rozwinięcie gwarancyjne ze strony Niemiec w stosunku do Włoch Polski i Rosji.

Zachód zdaje sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa, zarządził więc „nagrodę pocieszenia” w rewizycie prezydenta Francji na dworze londyńskim. Polityczny jej wynik streszcza się w deklaracji sojuszu anglo-francuskiego na wypadek najazdu na Holandię, Belgię i Szwajcarię, które dać mogą Niemcom najłatwiejszy dostęp do Francji oraz brytyjskich, metropolitalnych linii komunikacyjnych. W Paryżu słusznie sądzą, że wynik ten nie pozostaje w należytej proporcji do ogromu możliwych zagrożeń, zwłaszcza pośrednich i kolonialnych.

W chwili gdy kończę niniejszy referat położenie cechuje pewna przewaga Niemiec, która jednak jest jeszcze daleka od ustalenia. Dalsza ewolucja układu sił przesuwają się na płaszczyznę wewnętrzną osi rzymsko-berlińskiej, oraz zewnętrzną, francusko-włoską. Włochy poczytują niemieckie sukcesy wschodnie za nadzbyt wygórowane, naruszające równowagę polsko-niemiecką od strony Litwy i Słowaczyny, godzące zaś jeszcze bliżej w włoską rację stanu na granicy polsko-węgierskiej i, przez układ gospodarczy z Rumunią. Wyrazem tego stanowiska, w którego dalszej perspektywie mogłaby Niemcom grozić nawet izolacja i front Stresy na gruzach osi rzymsko-berlińskiej, stały się mowy króla Wiktora Emanuela i premiera Mussoliniego. Cechuje je wyraźna skłonność pojednawcza w zatargu kolonialnym włosko-francuskim, a tłumaczy ją dostatecznie fiasko w Hiszpanii oraz wschodni przerost przewagi niemieckiej. Także na ofensywę złotych kul ujawnił monarcha włoski pewną możliwość, pod kątem inwestycji abisyńskich, pośluszną nastrojom polityczno-ekonomicznym gen. Franco. Mowa Mussoliniego, jak przystało na dyktatora, była twardsza od królewskiej, ale solidarność osi z Berlinem akcentowała raczej ideologicznie niż dyplomatycznie, wobec Francji zaś stwierdzała zaniki „bariery” hiszpańskiej i wysuwała kwestie sporne (Tunis, Dżibuti i Suez) w tonie realnej dostępności. Czechosłowację *Duce* moralnie potępił, moralnie również osłaniając Niemcy, ale to nie osłabia wymowy faktu, iż Węgrzy odważyli się zbrojnie rozszerzyć swój stan posiadania na Rusi kosztem sąsiednich powiatów słowackich, oraz że prasa włoska najwidoczniej im sprzyja.

To nowe stanowisko Włoch, będące wyrazem reakcji wobec zaboru Czech, Słowaczyny i Kłajpedy, zawiera podobnie jak postawa Moskwy, a częściowo nawet Polski, pierwiastek gry na dwa fronty. Jeżeli Francja zaspokoi zredagowane żądania włoskie, to jak powiedziano, Niemcom mogłoby grozić zerwanie osi przez Rzym oraz izolacja wobec koalicji przypominającej rok 1914. Tej

nowej skłonności włoskiej przeciwdziałać może „urlopowany” na włoską Riwierę Goering licytując kolonialne ustępstwa francuskie niemieckimi w Europie środkowej. W pierwszym rządzie musiałyby w tym celu zwięzić zasięg gospodarczego układu niemiecko-rumuńskiego dopuszczając doń we właściwej mierze Italię. Po wtóre musiałyby dopuścić do znacznego rozszerzenia granicy polsko-węgierskiej, lub, nawet wprost ewakuować Słowacyznę na korzyść Węgier. Po trzecie wypadłoby zapewne Niemcom dopuścić do poważnej kompensaty na rzecz Polski za Kłajpedę. Mogłaby się taką kompensatą stać np. unia litewsko-polska. Taką potrójną ceną możeby Niemcy przelicytowali w Rzymie francuski wymiar ustępstw kolonialnych, zachowali oś, a nawet wzmocnili ją przez współdziałanie ze Wschodem.

Położenie ogólne waha się przeto pomiędzy dwu ekstremami: ogromnego bloku Europy środkowej i wschodniej dla ofensywy kolonialnej przeciwko mocarstwom zachodnim, albo też, przeciwnie, wielkiej koalicji przeciwniemieckiej. Tytułem reakcji wobec najświeższego przerostu ekspansji Niemiec wystąpienie Włoch zwraca się obronnie w kierunku koalicji. Niemal odruchowo, natychmiast sekundować mu poczęły najbliższej przez Niemcy zagrożone państwa północno-wschodnie. Moskwa podobno dochodzi już do jakiegoś porozumienia z Hudsonem, zapewne więc otrzymała jakieś zapewnienia co do rzeczywistej angielskiej determinacji wojennej. Bardzo na czasie, jakby dla dobrego przykładu dla zachodnich partnerów oraz przygotowania atmosfery przed podróżą p. min. Becka do Londynu wystąpiły objawy tej determinacji dobitnie w Polsce. Ich wyraz stanowią nie tylko rezolucje i uchwały, oraz wzmożony ruch konsolidacyjny wewnętrzny, lecz także wewnętrzna pożyczka zbrojeniowa. Podobnie dzieje się na Litwie. To pogotowie mobilizacyjne jest bardzo potrzebne, zarówno dla dodania odwagi mocarstwom zachodnim i przyciągnięcia ich złotych kul, jak dla powstrzymania Niemiec od próby niespodziewanego natarcia, które leży w sferze możliwości.

Dzięki oplakanemu rozstrzeleniu sił zwycięzców z r. 1918, Niemcy zdołali posunąć się na drodze bezoreźnego odwetu ponad wszelkie spodziewanie daleko. Zdaje się jednak, że tym razem uderzyli już o „górną plafon” tego odwetowego wzlotu w Europie. Wysoce nieobojętnym również jest fakt, że przystępują już oni do inflacji inwestycyjnej. Na tej drodze daleko posunąć się nie zdołają. Może zabraknąć im tchu nie tylko wobec widma wielkiej koalicji, lecz także dla organizacji wielkiej ofensywy kolonialnej. Nie pozostałoby im wówczas nic innego, jak wspólnie z sąsiadami przyjąć deszcz złoty i surowcowy z Zachodu w zamian za pauzę w ekspansji.

Andrzej Prawdźic.

Ze świata filmu.

(Zadania krytyki filmowej. — Za kulisami produkcji i cenzury. — Akatolicka etyka w nowych filmach. — Szkodnictwo scenarzystów. — Najlepszy film polski. — Frazeologiczna propaganda. — Przegląd repertuaru.

Sytuacja na polskim rynku filmowym w dalszym ciągu pozostaje pod znakiem sprawy dwóch skonfiskowanych przez cenzurę obrazów *Strachy* i *Za winy niepopelnione*, oraz konferencji zorganizowanej przez nac. Relidzyńskiego w Centralnym Biurze Filmowym w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Produkcja filmowa w Polsce po raz pierwszy bowiem zetknęła się z faktem, że niezależna publicystyka może interweniować w sposób tak skuteczny, iż jej postulaty — jako wyraz opinii publicznej — stają się poniekąd obowiązujące dla cenzury, a w konsekwencji — i dla samej produkcji. O ile dotąd uważano, że o publicznej ocenie filmów decyduje odpowiedni budżet ogłoszeniowy, niezależne zaś głosy wolno traktować jako abstrakcyjne *pia desideria* kilku teoretyków, z którymi nikt się liczyć nie musi, o tyle teraz każda recenzja z filmu krajowej produkcji wywołuje żywe echo. Producenci szukają kontaktu z opinią, starają się jej wrażenia zrozumieć i wziąć pod uwagę, ponieważ wyczuwają, że nadchodzi zmiana upodobań, i że w kształtowaniu tej zmiany prasa może mieć poważny udział.

Charakterystyczne, że nawet w kilku dziennikach, w których recenzja filmowa bardziej jest zależna od liczby ogłoszeń, niż od zdania recenzenta, pojawił się ostatnio ton nieco śmielszy, jak gdyby autorzy recenzyj usiłowali się wyłamać spod nacisku administracji wydawnictw, lub przynajmniej szukali pozoru niezależności. Niewątpliwie ostatnie wydarzenia wzbudziły naturalne uczucie wstydu u tych wszystkich ludzi, którzy, pretendując do miana pisarza i dziennikarza, oddają swoje pióro dla zamaskowanej propagandy. Miejmy nadzieję, że tego rodzaju pseudo-recenzentów będzie coraz mniej, że z jednej strony usuną ich rosnące wymagania publiczności, a z drugiej będą oni sami albo rezygnować albo przechodzić do obozu krytyki poważnie pojmującej swą rolę.

Protest przeciw przerabianiu w filmach na Polaków ujemnych typów żydowskich wywołał wrażenie w sferach branży filmowej, a zarazem, wprowadzając sprawę na łamy prasy codziennej, czyniąc z niej pewną sensację na odcinku kulturalnym życia społecznego, zwrócił uwagę na zagadnienia filmowe. Zaczęto od *Strachów*, ale zainteresowano się i tematami innych filmów. Okazało się wówczas, że film jest u nas najniesłuszniej lekceważoną dziedziną propagandy państwowej, społecznej, kulturalnej, najniesłuszniej wzgardzonym sposobem dostarczania przeżyć estetycznych milionowym masom. Wyszło na jaw, że w Polsce po prostu nie wie się, lub

przynajmniej nie pamięta się, iż frekwencja w kinach jest dziesięciokrotnie większa od frekwencji teatralnej. W ciągu roku 5.000.000 nabywa bilety na przedstawienia teatralne, kabaretowe, na koncerty, popisy baletów i tp. w porównaniu z 50.000.000 ludzi uczęszczających do kin. Kino jest najpopularniejszą rozrywką i o to właśnie, co w kinie 50 milionów widzów corocznie ogląda, zupełnie nie dbamy. Film jest czynnikiem postępu, środkiem wychowawczym, krzewicielem kultury materialnej, równie jednak łatwo może się stawać czynnikiem wstecznictwa, degeneracji etycznej i szerzycielem fałszywego ideału życiowego. Nie wolno więc być obojętnym na treść nieustannej propagandy pewnej postawy życiowej, jaką wskazuje film. Na konferencji w Centralnym Biurze Filmowym v-prezes Rady Naczelnej Przemysłu Filmowego w Polsce, p. Stefan Dękierowski zapewniał, iż nowe filmy produkcji krajowej będą już mieć inny charakter — zerwą z pesymizmem, z tradycyjnym w filmie polskim motywem trumny, grobu, cmentarza, zwrócą się ku rzeczywistości, ku współczesności, rezygnując z przedstawiania życia fikcyjnej arystokracji, z nieokreślonej bliżej przeszłości.

Trzeba jednak pilnować, aby zapowiadany zwrot był istotny i by został należycie wykonany. Zmiana tematyki powinna złączyć się z podniesieniem estetycznego poziomu produkcji — skoro narazie mamy na ekranie ujrzeć prawdziwą, współczesną Polskę, chcemy ją zobaczyć oczyma artysty. I tu, sądzę, otwiera się doskonała sposobność dla rozwinięcia krytyki filmowej. Produkcja wchodząc na nowy teren tematyczny będzie oczekiwać uwag, wskazówek i rad; publiczność uświadomiona coraz bardziej o doniosłej roli filmu, będzie szukać filmów dobrych, a więc tym wyraźniej i chętniej zwróci się w stronę uczciwej, bezstronnej informacji recenzenta. Tak dochodzimy do końcowego wniosku: wygrana kampania krytyki o „Strachy”, „Za winy niepopołnione”, o „Purytanina” musi być początkiem równouprawnienia w prasie polskiej recenzji filmowej z recenzją teatralną.

W tym celu należy jak najspieszniej przeprowadzić badania nad obecnym, stanem krytyki filmowej i dążyć do uświadomienia publiczności, w jakich pismach może znaleźć fachowo prowadzony dział recenzyjny. Równocześnie odpowiednie organizacje dziennikarskie, przede wszystkim zaś Związek Dziennikarzy i Publicystów Filmowych, powinny stworzyć ośrodek opiniowania filmów, całkowicie niezależny od względów wydawniczych, w postaci bądź to „żywej recenzji”, bądź też odpowiednich odczytów i pokazów publicznych, czy wreszcie regularnego ogłaszania wykazu najlepszych filmów i udzielania im odznaczeń. Otwiera się tu piękne pole pracy i dla sekcji prasowej Towarzystwa Rozwoju Filmu Polskiego i dla powołanego niedawno (26 III r.b.) nowego zarządu Zw. Dzien. i Publ. Film.

Obecny zakres zainteresowań naszej krajowej produkcji, którego zmiany oczekujemy w przyszłym sezonie, dobitnie jest scharakteryzowany przez treść i sposób wykonania nowych filmów, podnoszących do 23 liczbę obrazów pełnometrażowych zrealizowanych w Polsce podczas sezonu 1938/9. Są to filmy: *Trzy Serca*, *Biały murzyn*, *O czym się nie mówi*, *Doktor Murek*, *Bezdomni*. Ostatni film, jako żargonowy, nie będzie nas interesował, podkreślimy tylko, że Polska jest jednym z najpoważniejszych producentów filmów w żargonie i że „polskie” obrazy żargonowe mają za granicą duże powodzenie.

Z czterech pozostałych filmów, trzy ukazały się na zeroekranach warszawskich w drugiej połowie marca, czwarty zaś *Doktor Murek*, zrealizowany według powieści Tad. Dołęgi-Mostowicza, uległ w cenzurze skrótom ścinającym około 700 metrów taśmy, co wywołało konieczność przeróbek i powtórnego ocenowania.

W losach filmu *Doktor Murek* jak w złośliwym krzywym zwierciadle odbijają się kulisy przemysłu filmowego w Polsce. Kto czytał powieść Dołęgi-Mostowicza, z której zaczerpnięto scenariusz, zgaduje, że na dobrą sprawę cenzura mogłaby film albo całkowicie odrzucić, albo też przyciąć tak, że równałoby się to jego zniszczeniu. Powieść Mostowicza, napisana z dużym temperamentem i pasją publicystyczną, zajmuje się najprzekrzeszą stroną życia publicznego: protekcjonizmem, oszczerstwem, intrygantwem, brakiem pracy i terenu działalności dla ludzi istotnie wykształconych i wartościowych, na koniec pokazuje przemianę dra Murka, który z naiwnego idealisty staje się cynicznym spryciarzem, by wreszcie — po wewnętrznym załamaniu się, po zdaniu sobie sprawy z beznadziejności życia, w jakim nic nie mógł osiągnąć będąc człowiekiem uczciwym, jako zaś człowiek bez etyki nie zatracił jednak głosu sumienia — popełnić samobójstwo.

Oczywiście historia dra Murka, przedstawiona na ekranie z całą siłą plastyki filmu, byłaby czynnikiem jątrzącym konflikty społeczne. Znamienny epilog, wyrażający intencję autora, nie okupiłby ponurego obrazu życia dra Murka. *Doktor Murek*, jako film, znajduje się niesłychanie daleko od tej optymistycznej, krzepiącej treści, którą chcielibyśmy widzieć w obrazie filmowym, trafiającym do naszych miasteczek i wsi. Całkowite jednak uniemożliwienie wyświetlenia filmu doprowadziłoby do konsekwencji nie przeczuwanych przez ludzi, niewtajemniczonych w kulisy produkcji. Okazuje się bowiem, iż konfiskata filmu uderza przede wszystkim nie w jego żydowskiego producenta, ale w polską placówkę przemysłową, jaką jest np. laboratorium i atelier „Falinga”, własność pp. Dękierowskiego i Drzewickiego.

Paradoks? Tylko pozorny. Trzeba bowiem pamiętać, że produkcja krajowa w bardzo rzadkich wypadkach pracuje z kapitałem, pokrywającym koszt realizacji filmu. Najczęściej, a właściwie

tak często, iż jest to nieomal regułą, producent rozporządza sumą umożliwiającą tylko rozpoczęcie filmu, resztę zaś pokrywają zaliczki na film, zgłaszane przez właścicieli kin i kredyt w atelier i laboratorium. Wynika stąd, że niewypuszczenie filmu na rynek stwarza trudności finansowe dla kin i dla prowadzących laboratoria. Mielśmy właśnie przykład tego zjawiska przy wstrzymaniu eksploatacji *Za winy niepopelnione*. Gdyby *Dra Murka* spotkał podobny los, byłoby to świeże uwiecznienie nielicznych kapitałów obrotowych z jakich żyje przemysł filmowy w Polsce. Wyjście z tych zawikłanych sytuacji może przynieść jedynie zainteresowanie się filmem ze strony poważniejszych kapitałów polskich, co byłoby tym bardziej zrozumiałe, że film z polskim dialogiem cieszy się dużą popularnością i stwarza dla produkcji pomyślne warunki rentowności.

Trzy świeże, wspomniane już przedtem, filmy krajowe, wyświetlane w czołowych kinach Warszawy, są produkcją „Feniksa” (*Trzy serca*) czyli Izzydora i Felicji Fenigsteinów, „Warszawskiego Towarzystwa Filmowego” (*Biały murzyn*), czyli spółki F. Sommera, inż. Zb. Gniazdowskiego i Henryka vel Hersza Modrzewieckiego. *Trzy serca* reżyserował M. Waszyński, *O czym się nie mówi* M. Krawicz, *Białego murzyna* L. Buczkowski. Scenopis dla filmu Buczkowskiego przygotował reżyser wspólnie z A. Sternem; przeróbkę powieści Zapolskiej opracowali: Jerzy Fethke i Napoleon Sadek vel Natan Rosenbaum, scenarzyści przy *Trzech sercach* nie wymieniono, co pozwala przypuszczać, że jest to dzieło jakichś przysłówiowych „sześciu kucharek”, wyrosłe z kilku wersji i legjonu poprawek nieudanego scenopisu.

Wszystkie trzy filmy mają wspólną cechę ucieczki od współczesności. Charakterystyczne jest, że w czasach kiedy życie tak intensywnie tętni nowym rytmem, na ekranie odżywa staroświecka sentymentalna powieść Bałuckiego (*Biały murzyn*) i powraca powieść Zapolskiej (*O czym się nie mówi*), będąca niegdyś czytana w ukryciu sensacją. Również i Mostowicz akcję *Trzech serc* umieszcza w nieokreślonej bliżej epoce, ale w każdym razie musi być to przeszłość dość daleka, skoro intryga opiera się na zamianie dzieci w kołysce przez chłopską mamkę, a stosunek pana do służby i odwrotnie ujawnia patriarchalność, zwyrodniałą w pogardliwe lekceważenie z jednej, a serwilizm z drugiej strony. O ile sfilmowanie powieści Mostowicza da się wytłumaczyć przynajmniej rachubami handlowymi, dyskontowaniem popularności autora, dla pomysłu zrealizowania *Białego murzyna*, czy przeróbki z Zapolskiej niełatwo znaleźć wytłumaczenie. Czyż doprawdy nie ma nic pilniejszego, jak pokazywanie mieszkańcom Warszawy i całej prowincji atmosfery dwuznacznego lokalu z roku 1910? Albo czy jest do pomyślenia we współczesnych warunkach sytuacja, na jakiej opiera się treść *Białego murzyna*, gdzie symbo-

liczny tytuł oznacza męża, wybranego z tzw. ludu, dla pokrycia fałszywego kroku panienki ze dworu, której narzeczony umiera niespodziewanie prawie w przeddzień ślubu. Każdy z tych filmów jest w dzisiejszych warunkach anachronizmem, nie jest zdolny niczego nauczyć, przynieść jakiegokolwiek pożytku. W filmowej wersji powieści Zapolskiej odnajdujemy jeszcze dość starannie odtworzony koloryt epoki, w dwóch filmach pozostałych nie potrafimy określić w jakim właściwie czasie dzieje się akcja.

Podkreślano już wielokrotnie, że filmowi polskiemu brak zupełnie obrazu środowiska. Główne postacie nie znajdują tła, na którym mogłyby wystąpić z odpowiednią plastyką. Owe niejako zawieszenie zdarzeń w powietrzu jest następstwem rzutowania akcji na tło szablonowe, fikcyjne, papierowe, nie znane autorom scenopisu. Produkcja krajowa cierpi na obsesję sielskiego dworu z białymi kolumnami, gankiem i tradycyjnym podjazdem. Film usiłuje się polonizować środkami zewnętrznymi — stąd też rzadko kiedy obywa się bez zabawy w „pałacu” z nieodzownym mazurem. Trzaskają hołubce, statyści o gigołackich obliczach czynią jakieś gwałtowne gesty — czekamy kiedy się jeszcze pojawi dancingowy tancerz w kontuszu i przy karabeli, jak na kiepskiej maskaradzie.

Z dziwnym uporem producent nie chce zrezygnować ze środowiska, którego nie może znać, a tym bardziej którego ducha nie wyczuwa jego scenarzysta (Stern czy Rosenbaum). Jedynym wyjściem byłoby powierzenie opracowywania scenopisów polskim literatom, lub przynajmniej ucieczka z tematami filmów do miasta, jako terenu bardziej swojskiego dla żydowskich scenarzystów. Dodajmy do tego banalne dekoracje, wprost rażące swą tandefnością i obcością (inż. Wajntraub w *Białym murzynie*) i równie banalną muzykę (stali autorzy: Wars i Wichler), a otrzymamy zespół warunków, które *a priori* nie pozwalają u nas filmowi być dobrym filmem.

Krytyka dotychczas najostrzej odnosiła się do reżyserów. Reżyser został w pojęciu ogółu podniesiony do godności artystycznego realizatora filmu, a więc człowieka odpowiedzialnego nie tylko za jego stronę techniczno-reżyserską, lecz również i za obsadę ról, za dekoracje, nawet za treść i ideologię obrazu. Tymczasem w rzeczywistości kompetencje reżysera ograniczają się w naszej produkcji do jak najbardziej niezbędnego kierownictwa scen, do wykonania litera po literze tego, co zostało napisane w tzw. „drehbuchu”, czyli scenopisie. Scenopis bowiem jest właściwym aktem twórczym, scenopis — to cały film ujrzany w wyobraźni — reżyser musi jedynie odtworzyć w konkretnym materiale wizję scenarzysty i scenopisarza. Za granicą reżyser najczęściej albo współpracuje z autorem „drehbuchu”, lub wprost dyktuje mu swoje wymagania — w naszych filmach scenopisarz

otrzymuje dyrektywy od producenta, reżyser zaś z kolei skępowany jest tym, co producent ustalił z autorem „drehbuchu”. Jeżeli więc i producent i scenopisarz nie przywiązują żadnej wagi do społecznego sensu filmu, do jego etyki itd. — reżyser staje się przysłowiowym kowalem, którego powieszono za winy ślusarza. Nie mamy np. powodu bronić Waszyńskiego, reżysera *Trzech serc*, ale trzeba obiektywnie stwierdzić, że nie on ponosi główną odpowiedzialność za bzdurność tego filmu i za rozwijanie wyraźnie sprzeczne z etyką katolicką. W licznych recenzjach wyśmiewano Waszyńskiego, jako autora nonsensów, w które *Trzy serca* obfitują — oczywiście Waszyński jest za nie współodpowiedzialny przez swą zgodę na objęcie reżyserii obrazu o podobnej treści, głównym jednak winowajcą będzie autor scenopisu i akceptujący scenopis producent. Trzeba wreszcie sięgnąć poza parawanik, jakim stali się atakowani przez prasę reżyserzy, dla tych wszystkich kucharczyków, którzy poza plecami rzekomo dyktatorskiego realizatora filmu kłęją naiwne opowieści, przenoszone później na ekran.

Szkoda miejsca na wylizywanie elementarnych wprost błędów, popełnionych w scenopisie *Trzech serc* i *Białego murzyna*. Wystarczy przytoczyć choć jeden z pseudodramatycznych epizodów, wywołujących śmiech publiczności.

Jak już wiemy, w *Białym murzynie* bohater poślubił pannę z wyższej sfery społecznej, aby dać nazwisko oczekivanemu przez nią dziecku. Prawdziwym ojcem dziecka jest zmarły w katastrofie samochodowej pierwszy narzeczony żony bohatera filmu. Po ślubie następuje rozstanie i dopiero po wielu latach w tak przykrych okolicznościach zawarte małżeństwo powraca do zgody. Stworzyła ją tragiczna sytuacja, kiedy dziecko znalazło się u progu śmierci i zostało uratowane dzięki odwadze i przytomności umysłu swego przybranego ojca. Wówczas to matka chłopca mówi do spotkanego po długiej, przesyconej nienawiścią rozłące, męża-lekarsza: — „A teraz chodźmy do naszego dziecka”. Słowo „naszego” brzmi dla widowni dwuznacznie, niemal ironicznie — pamiętają wszyscy, iż jest to przecież dziecko rywala obecnego męża. W efekcie — zamiast sentymentu, zjadliwy śmiech widzów.

Poza błędami kompozycji, poza banalnym dialogiem, filmy te grzeszą przede wszystkim jaskrawą sprzecznością z etyką katolicką. W *Białym murzynie* — małżeństwo potraktowane zostało w sposób ubliżający powadze sakramentu, przedstawione jako pewien czysto formalny zabieg, wymagany przez *savoir vivre* ludzi o odpowiedniej pozycji towarzyskiej. W *Trzech sercach* od początku filmu jest jasne, że tzw. *happy end* może nastąpić tylko przez małżeństwo z kobietą już zamężną. Zgodnie z wymaganiami nierozzerwalności małżeństwa, powtórny związek możliwy jest albo w wypadku wdowieństwa, albo unieważnienia pierwszego

związku. Przebieg akcji (jak i tekst powieści) dawał sposobność do takiego rozwiązania. Nie skorzystano z okazji i stworzono sytuację, z której jedyne wyjście zaspokajające sympatię publiczności dla głównego bohatera, prowadzi przez rozwód. Równocześnie realizatorzy filmu bali się słowa „rozwód” jak ognia, nie wymówiono go też ani razu, posługując się formułą zwrócenia wolności przez pierwszego męża. Cóż jednak ostatecznie znaczy „zwrócenie wolności”, jeżeli ślub został zawarty w kościele katolickim? Rozwodu w katolicyzmie nie ma, zgodnie zaś z obowiązującym na terenie b. Kongresówki ustawodawstwem, związek małżeński podlega jurysdykcji władzy tego Kościoła, który małżeństwo pobłogosławił. Wobec braku jednolitego prawa małżeńskiego dla całej Polski, władze państwowe patrzą przez palce na nadużycia, jakim jest niewątpliwie i z religijnego i z prawnego punktu widzenia zmiana wyznania w niedwuznacznych celach, a następnie otrzymanie rozwodu i ślubu w innym kościele. Otóż bohaterowie *Trzech serc* zdążają niewątpliwie ku osławionemu „rozwodowi wileńskiemu” i film przybiera cechę zawołowanej propagandy rozwodowej, propagandy praktyki sprzecznej dziś z prawem kościelnym i państwowym. Jeszcze jeden dowód jak bardzo na marginesie polskiego życia, w nieświadomości lub w świadomości złośliwych intencjach, pracują autorzy filmowych scenopisów. Nie będzie nigdy — można sformułować kategoryczne twierdzenie — odrodzenia polskiego filmu, jeśli nie przetrzebi się międzynarodowej spółki, fabrykującej treść filmów dla milionów polskich widzów.

Po skierowaniu pod należytym adresem zarzutów, wysuwanych dotąd przeciw reżyserom, zajmijmy się ich osobistym udziałem w nieudolności polskiego filmu, do czego głównie *Biały murzyn* daje niejedną sposobność. Pomijam już takie gaffy z zakresu reżyserskiego elementarza, jak np. ustawienie na biurku, w planie zdjęcia, dużej lampy w ten sposób, że musiała ona zasłonić złączone w uścisku ręce bohatera i bohaterki. Trwa krótka scena niema i właśnie wówczas reżyser niweczy gest rąk, ogranicza możliwości wyrazu do mimiki twarzy. Na brak przygotowania reżyserskiego wskazują również takie szczegóły, jak złe ustawianie aktora, niewytlumaczone psychologicznie zbliżenia, niezwracanie uwagi na sposób trzymania dłoni, na harmonię układu całej postaci.

Probiezmem kwalifikacyj reżyserskich stają się nowe siły aktorskie, angażowane do naszych filmów. Przekonujemy się nieustannie, że jeśli tylko nie są to doświadczeni artyści i artystki teatralne, reżyser nic z nich nie umie wydostać. Panie Engelówna i Wiszniewska mogłyby uchodzić za wzór sztywności i nienaturalności aktora, p. Wrońska, o kształtnej, ładnej główce, mająca sympatyczne warunki zewnętrzne, mówi tekst w sposób mechanicznie wyuczony. Wykształcić aktora, niemal zmusić go do

efektownego stworzenia postaci, nie jest rzeczą łatwą, lecz na tym polega talent i umiejętność reżysera. Tej właśnie umiejętności nie można znaleźć u naszych reżyserów filmowych. Niedostateczna kultura reżyserska, bezradność wobec surowego materiału aktorskiego, zmusza ich do ulegania teatralnej rutynie, do posługiwania się wyłącznie teatralnym aktorem. Sądzę, że w tym tkwi sekret, iż nieznane jest u nas zjawisko odkrywania talentów i że wciąż tę samą ekipę wykonawców oglądamy na ekranach. Oglądamy aż do znudzenia, tym bardziej, że sława większości „gwiazd” krajowej produkcji jest tragikomicznym nieporozumieniem.

Osobna uwaga należy się społecznej roli ostatnich „polskich” filmów. Krytycy filmowi, skupieni głównie w Warszawie, z racji swej „stołeczności” nie dostrzegają na ogół skutków, nie rzucających się w oczy w warunkach socjalnych wielkiego miasta, ale najprawdopodobniej wyraźnych na tle miasteczka, sąsiadującego ze wsią. Zdajemy sobie chyba sprawę z fermentu społecznego rosnącego na wsi. Chłop polski coraz silniej odczuwa odsunięcie go poza życie polityczne państwa, co wraz z wyraźną nędzą, z wolnymi postępami reformy rolnej i parcelacji, kształtuje w nim specyficzne przeświadczenie o „chłopskiej krzywdzie”. I ten właśnie chłop, jeśli w miasteczku w targowy dzień trafi do kina, zobaczy „panów” żyjących we wspaniałych pałacach i traktujących chłopą, jak za czasów pańszczyzny. Pan hrabia nie widzi w chłopskim synu (a kto wie, czy syn owego chłopskiego widza nie walczy w mieście o dyplom uniwersytecki?), mimo jego wykształcenia, równego sobie obywatela. Chłop — według układu społecznego *Trzech serc* i *Białego murzyna* — nadaje się: a) jeśli jest głupi — do czarnej roboty i ślepego posłuszeństwa wobec pana; b) jeśli zdobył naukę — do osłaniania niefortunnego narzeczeństwa córeczki. Dla pańskiej córki — wstyd mieć nieślubne dziecko, dla chłopskiego syna — zaszczyt dawać nazwisko nieślubnym wnuczkom pana dziedzica! Doprawdy, nie widziałbym trudnej roli dla prelegenta, który by chciał poprzecznić wyświetlenie *Białego murzyna* przed wiejską publicznością komunizującym przemówieniem... Obydwa filmy przedstawiają stosunki niewspółczesne, ale szkodliwość tkwi właśnie w automatycznym uwspółcześnianiu staroświecczości Bałuckich. Co dla publiczności warszawskiej jest wyłącznie naiwnością i bezsenssem, na prowincji może przybrać charakter posiewu nienawiści klasowej.

Ostatni z trzech omawianych filmów krajowych — *O czym się nie mówi*, według powieści Zapolskiej, tym przede wszystkim różni się od dwóch pozostałych, że jest świadomym cofnięciem się w przeszłość. Trzeba mu przyznać wykonanie na ogół staranne, pewną poprawność reżyserską, scenopis — nie wycho-

dzący wprowadzić poza banalność, ale w ramach tej banalności utrzymujący ciągłość akcji. Jest też kilka dobrze zagranych ról charakterystycznych (Ina Benita, Sempoliński), obok jednej więcej płakawej nudy Engelówny i scen niepotrzebnie rozwlekanych i raziących mdłym sentymentalizmem. Sceny w podejrzanym kabarecie, które łatwo mogłyby się stać drastyczne, są potraktowane dość dyskretnie — nie wiem czyja to zasługa: realizatorów czy cenzury?

Powraca jednak pytanie: dlaczego tę, a nie inną powieść, postanowiono przypomnieć? Dlaczego już po raz drugi w historii produkcji filmowej w Polsce transponuje się na ekran opowieść Zapolskiej o kobietach, usuniętych za nawias społeczeństwa, a zarazem przez to samo społeczeństwo tolerowanych, utrzymywanych, reglamentowanych i pchanych na dno hańby. Jedynym dodatkowym wytłumaczeniem intencji producenta byłby zamiar poruszenia sprawy prostytucji, jako nieustannie żywego świadectwa zła, za które odpowiedzialne jest społeczeństwo. Ażeby jednak to zrobić — film musiałby mieć współczesne tło, musiałby być związany równie silnie z obecnymi warunkami polskimi, jak amerykański film o podobnym temacie: *Fortancerki*, (*Marqued Woman* z Bette Davies) był związany z dzisiejszą rzeczywistością amerykańską. Książka Zapolskiej była aktem protestu, aktem demaskowania obłudy — jej przykry, natarciwy realizm przypominał zagadnienie, o którym nie chciało się wiedzieć. Równoważnikiem powieści Zapolskiej mógł być film współcześnie podejmujący poruszony przez nią temat, powracanie natomiast do epoki przedwojennej z góry przekreśla możliwość społecznego rezonansu tematu. Widz uświadamia sobie, że tak było za czasów lampy naftowej i dorożek na gumach, z czego jeszcze wcale nie wynika, że tak dalej jest...

Skoro odrzucimy intencję protestu, intencję obnażania wrzodu, jako nie znajdującą pokrycia w treści filmu, pozostaje druga geneza tego obrazu: chęć żerowania na sensacyjności tytułu, na motywie, który zdaje się obiecywać pornografię, lub przynajmniej rzeczy ukryte, niezwykle, jakąś podszewkę życia, kulisy dostępne wyłącznie dla wtajemniczonych. Ponieważ na pornografii robi się nielegalne interesy, postarano się, ażeby zrobić interes legalny na pornograficznym szyldzie bez pornograficznej treści. Takie postawienie sprawy kwalifikuje dostatecznie moralność i filmu i jego producenta. Dziwię się jak ten temat mógł uzyskać zgodę komisji opiniującej przy Związku Producentów Filmowych!

Z filmem *O czym się nie mówi* dość blisko łączą się rezultaty ostatniej akcji publicystycznej w sprawie *Sfrachów i Za winy niepopelnione*. Mianowicie w powieści Zapolskiej właścicielem „restauracji z gabinetami” i odpowiednio licznym personelem dam do towarzystwa jest niejaki Kornblum. Według dawnych reguł

zostałby przerobiony na jakiegoś K o r s k i e g o, po ostatnim przyłapaniu na gorącym uczynku uważano za bezpieczniejsze zachować Kornbluma w oryginale. Od czegoż jednak spryć? Cenzura wymaga, aby Kornblum nie został „spolonizowany”? Dobrze! Zachowujemy nazwisko, ale zapominamy o charakteryzacji. W realistycznym filmie jeden Kornblum będzie nierealistyczny, nieokreślony, będzie żydem bez fizycznych cech żyda. Resztę robi właściwe udźwiękowanie — przytłumianie aparatury w drażliwym momencie wymawiania nazwiska przedwojennego sufenera.

Przeciw sztuczkom tego rodzaju trzeba ostro wystąpić: polskie postacie w filmach są zawsze wyraźne, jednoznaczne, jeżeli w filmie pojawia się żyd — niech naprawdę będzie żydem. Nie chodzi tu bynajmniej o zmuszanie producentów filmowych, jak to usiłuje przedstawić prasa żydowska, by każdy typ ujemny w filmie był nieodzownie żydem. Kryminaliści są w każdym narodzie i z faktu, iż ktoś tam nosi nazwisko takie czy inne nikt rozumny nie będzie wyciągał wniosku, że cały naród składa się z przestępców. Co innego jednak, gdy stawia się odwrotną regułę, gdy stara się stworzyć złudzenie, że nie ma żyda — przestępcy, a są przestępcy Polacy. Nikt nie zmusza żydowskich producentów do filmowania nieodzownie tylko tych powieści, w których występują ujemnie oświeceni żydzi — skoro jednak to robią, wówczas nie wolno uciekać od niewygodnego dla żydów autentyzmu.

Oprócz trzech pełnoprogramowych filmów pseudopolskich, marzec przyniósł dwa obrazy naprawdę polskie: reportaż R. Gantkowskiego pt. *Pogrzeb Dmowskiego* i film średniometrażowy o *COP*ie, realizowany przez J. Gabryelskiego.

Gantkowski, opracowując *Pogrzeb Dmowskiego* był w trudnej sytuacji technicznej. Nie rozporządzał dostatecznym materiałem fotograficznym, musiał ograniczać się do szczupłego zasobu zdjęć, film bowiem przygotowany został z inicjatywy wyłącznie prywatnej i przy szczupłych środkach finansowych, które pochłonęły wyłącznie koszty materiału i pracy laboratoryjnej, zarówno bowiem Gantkowski, jak i jego współpracownicy ofiarowali swoją umiejętność bezinteresownie.

I właśnie z tego względu, że obraz pogrzebu Dmowskiego powstał jako dzieło bezinteresownego trudu, że w skomercjalizowany świat filmowy wprowadzono motyw służby dla idei, nie waham się nazwać owego reportażu najlepszym filmem polskim. Oczywiście, są filmy efektowniejsze technicznie, bogatsze formalnie, żaden jednak nie może się równać siłą wyrażonego wrażenia z reportażem Gantkowskiego. Realizator filmu poszedł słuszną drogą: zrezygnował z ujęcia czysto reportażowego, natomiast postarał się o wydobyte znaczenia faktu, jakim była śmierć Dmowskiego, znaczenia jego życia. Pod piękną, przejmującą mu-

zykę młodego kompozytora, Maklakiewicza-juniora, pod poważny dźwięk dzwonu i suchy łoskot werbla, podłożył Gantkowski dwie cytaty z pism Dmowskiego, z hasłem na czele: *My się nazwy idealistów nie boimy*.

W ten sposób nie forma filmu (nawiasem mówiąc, bardzo poprawna), lecz jego treść stała się czynnikiem dominującym. Że zaś była to treść na wskroś idealistyczna, narodowa, przesycona polską dumą i polskim obowiązkiem, należy się reportażowi ocena zawarta w słowach „najlepszy film polski”. W dziejach naszego filmu jeden był jeszcze obraz o podobnie mocnej wymowie: pogrzeb Piłsudskiego, gwoźli jednak ścisłości nie możemy go porównywać — realizatorami filmu byli wówczas Amerykanie.

Film propagandowy, poświęcony Centralnemu Okręgowi Przemysłowemu, zawiódł oczekiwanie. Sympatyczny sam przez się, jako dowód, że nareszcie zaczyna się u nas oceniać rolę filmu jako narzędzia propagandy, estetyczny w swej formie fotograficznej, nie spełnił jednak niestety przeznaczonego mu zadania.

Co innego znaczy dać zręczny montaż ładnych fragmentów, ładnych widoczków, co innego — poinformować i nauczyć. Przygotowany do filmu komentarz mówiony, trafny w pomyśle, zwinięty został w wykonaniu. Zachłystywano się patosem, triumfowała urzędowa frazeologia, miejsce rzeczowości zajęła pretensjonalna metafora, posługująca się tak wytartymi liczmanami poetyckimi, jak „orły — samoloty”, „serca — silniki” itp. Wprost uciekano od spokojnego, jasnego objaśnienia, zasypywano słuchacza bombastycznymi wykrzyknikami, zmieszanymi z rojem cyfr. Oczywiście nikt nic nie spamiętał, nikt się nic nie nauczył.

Co gorsza, patos komentarza był jakby z rozmyślną złośliwością demaskowany przez filmowy obraz. Gdy „głos ekranu” grzmiał o Wiśle, wspaniałej arterii wodnej, porównywał ją do kręgosłupa polskich ziem — na ekranie widzieliśmy rozmokłe łąki i kałuże. Gdy mówiono nam o wspaniałym wyścigu pracy, wtedy właśnie ukazywało się zdjęcie zbiedzonych, zmęczonych robotników pchających wolno taczki z ziemią. W sumie zatem eksperyment nieudany. A szkoda! — było pole do popisu...

Repertuar zagraniczny miał w ostatnim miesiącu kilka ładnych pozycji. Do najlepszych filmów jakie w marcu można było zobaczyć w Warszawie, zaliczam:

Patrol Bohaterów (Prod. Warner Bros, w rol. głów. Errol Flynn. Wyświetl. w kinie *Colosseum*) — świetny film lotniczy, zwarty, męski, oszczędny w efekcie, a przecież bardzo sugestywnie oddający życie lotników angielskich na froncie wojny światowej. Imponująca lekcja bohaterstwa. Uderzał tylko jeden szczegół: w obrazie w którym tak często zjawiała się śmierć, nie wspomniano o Bogu...

Wielki walc (Prod. Metro Goldwyn Mayer, w rol. głów.: Luiza Rainer, Fernand Gravet. Wyświetl. w kinie *Atlantyc*) — amerykański obraz głośnego francuskiego reżysera, Julian Duvivier.

Pełna wdzięku, tańca i pięknych melodii, historia straussowskiego walca na tle starego Wiednia. Pomysłowa reżyseria, doskonałe złączenie motywów muzycznych z akcją. Jako muzyczny film — „majstersztyk” zręczności i techniki. Poza tym — treść dramatu — cenna dość banalna.

Miasto chłopców (Prod. Metro Goldwyn Mayer. w rol. głów.: Mickey Rooney i Spencer Tracy. Wyświetl. w kinie *Roma*). Bardzo poprawnie wykonany, a miejscami zagrany nawet świetnie, film przedstawiający działalność dzielnego księdza Flanagana, który umiał wyrwać ulicy i przestępstwu setki młodych chłopców. Optymistyczne spojrzenie na życie, tężyzna moralna i fizyczna, wiara w wartość człowieka — oto pierwiastki ideowe filmu połączone z interesującą aluzją, w której nie brak nawet nieodzownych — jak widać, w Ameryce gangsterów. W ideologii *Miasta chłopców* można dostrzec charakterystyczne infiltracje protestanckie oraz specyficzny „amerykanizm” w poglądzie na życie: życie jest grą, życie jest walką, trzeba tylko pilnować, aby walka odbywała się zgodnie z ustalonymi regułami. Tak więc np. ks. Flanagan nie powstrzymuje chłopców od bitki, owszem — zgadza się na rozprawę dwóch czupurnych przeciwników, ale nie pozwala tłuc się w pasji i „na własną rękę”. Każe im założyć rękawice i sam sędziuje na bokserkim meczu.

Do ciekawych obrazów z humanitarną tendencją społeczną, trzeba również zaliczyć *Złudzenia życia* (Prod. Metro Goldwyn Meyer. W roli głównej: R. Donat i R. Russel), filmową wersję znanej powieści angielskiego pisarza Cronina *The Citadel*. Bardzo zręcznym filmem są *Trzy walce*, jakby trzy nowele filmowe, podejmujące ten sam temat w trzech różnych epokach (Napoleon III, epoka 1900 i współczesność), nie można jednak obrazu polecić wobec zastrzeżeń co do jego moralnej strony. Znalazła się w nim nawet dwuznaczna piosenka, stojąca na pograniczu pornografii i równie bliska trywialności. Jest to tym bardziej dziwne, że polski tekst *Trzech walców* był opracowywany przez PAT'a, a oryginał francuski piosenki nie podsuwa aluzji tego rodzaju, co jej polski przekład.

Pozostałe filmy są albo przeciętne albo wręcz słabe. Wy różnić tu jeszcze można błahą, ale przyjemną w swej bezpretensjonalności komedię francuską *Pod szczęśliwą gwiazdą* (tyt. oryg. *Belle étoile*. Grają: Jean Pierre Aumont, Meg Lemonnier, Michel Simon), film amerykański w kolorach *Zwycięzcy przestworzy*, popularyzujący (niezbyt zresztą udatnie) historię lotnictwa, oraz *Chwila pokusy* z Joan Crawford. Pojawiła się również nowa komedia z Franc. Gaal — *Miodowy miesiąc* i nowy film najpiękniejszej artystki Hollywoodu, Loretty Young *Trzy niewiniątka*. Obydwa obrazy mają znaczenie wyłącznie rozrywkowe — nic nie zachęca specjalnie do ich oglądania.

Zdzisław Broncel.

Mieszaniny naukowo-literackie.

Gdy który z wybitnych literatów czy przedstawicieli literatury obchodzi jubileusz, jest obyczajem przygotowywanie albo zbiorowej księgi pamiątkowej, albo zbiorowego wydania jego dzieł.

Gdy się wyłoni myśl wydania księgi pamiątkowej ku uczczeniu dwudziestopięciolecia twórczości naukowej prof. Juliana Krzyżanowskiego, to zamawiam sobie miejsce w tej księdze. Kłóciłem się nieraz o to lub owo z Jubilatem, ale „serdeczne to były zwady” i zawsze miło mi było pochwalić mego antagonistę. Czyniłem to wiele razy, na przykład z okazji milej i pożytecznej książki: *Polish Romantic Literature*, która wśród moich amerykańskich uczniów ma zasłużone powodzenie. Teraz zaś raduję się, że świetny znawca powieści polskiej otrzymał zasłużoną nagrodę za wydaną niedawno monografię o Reymoncie.

Książka ta (*Władysław Reymont, twórca i dzieło*, nakł. Ossolineum we Lwowie) na ogół nie bawi się w odkrycia źródłowe; kilka szczegółów nieznanych, prostujących utarte legendy o przeobrażeniach tekstu *Ziemi obiecanej*, zamieszczono w aneksach, żeby nie psuły ogólnego układu. Także nie zamierzał Autor przeczytać wszystkiego, co poprzednicy jego na temat Reymonta już pisali. Na to wszystko nie było czasu, skoro książka musiała zdążyć w porę na konkurs (termin roczny!) a zresztą nie było potrzeby czytania wielu rzeczy przygodnych, zdawkowych i okolicznościowych, jakie o Reymoncie nakreślono. W każdym razie trochę dziwić może, że np. jeden raz tylko i to mimochodem, wspomniano nazwisko tak wybitnego znawcy twórczości Reymonta, jak Zygmunt Wasilewski, który był ponadto stałym świadkiem pracy tego pisarza poczynając od pierwszych jego kroków na kartach *Głosu* aż do ostatnich chwil życia, a więc mógłby przez swoje liczne wspomnienia, rozsiane np. w rocznikach *Myśli narodowej*, służyć za pierwszorzędne źródło informacji biograficznych.

Bo z tą biografią Reymonta to nielada orzech do zgryzienia. Sam pisarz opowiedział, co prawda, dzieje swego żywota w liście do Wodzińskiego i opowiedział je na pewno bez owej blagi i samochwalstwa, jakie cechują każdą z licznych, a tak z sobą nawzajem sprzecznych, autobiografij Przybyszewskiego; w każdym razie mógł się mylić bezwiednie, bądź wskutek zatarcia się pewnych szczegółów w pamięci, bądź też wskutek nawyczki literackiej, która nawet najobiektywniejszemu pisarzowi każe rzeczy doznane przerabiać w nową fabułę. Ustosunkowuje się też Krzyżanowski dość sceptycznie do owych relacyj, niemniej z konieczności porusza się w ich ogólnym obrębie, gdy kreśli obraz duchowy samego twórcy i charakterystykę jego twórczego dorobku.

Życie Reymonta było niewątpliwie bujne i jakkolwiek chybione były z „praktycznego” punktu widzenia takie obrane prze-

zeń zawody, jak: aktorski lub kolejarsko-urzędniczy¹⁾, to stwierdzić należy, że właśnie one najwięcej mu dały podnieć twórczych i obserwacyj. Stara się też badacz, z wielką wnikliwością, wyłuskać z dzieł jego owe życiowe wspomnienia czy refleksy, zwłaszcza zaś odbicia owych ambicji, jakie w godzinach przymusowego i szarego zarobkowania ożywiały ówczesnego samouka, a przyszłego laureata Nobla. Odtąd już, od owych marzycielstw i fermentów, ściśle się droga intelektualnego i artystycznego rozwoju. W rozwoju tym nie było takiej harmonijnej planowości, jaka cechuje twórczość Sienkiewicza, ale tym mniej nie było (choć ją sobie Reymont usiłował niekiedy narzucić) owej pasji wieczystego poszukiwania, dociekania, walki i niepokoju, jaka cechuje typowo dyszharmonijny geniusz Żeromskiego. Wszelkie defekty dość przygodnie kształconego intelektu ujawniają się u Reymonta dość często; zwraca na nie uwagę badacz np. w ocenie trylogii Kościuszkowskiej. Ale ważniejszą jest płynąca z powyższego jeszcze jedna cecha Reymontowej twórczości: jest to twórczość pod każdym względem nierówna. Miał Reymont pewne sfery zainteresowań sobie właściwe i niejako przyrodzone, podobnie jak całkowicie odpowiednimi dla niego były pewne formy wypowiedzi artystycznych. Póki w nich przebywał, był twórcą wielkim i artystą niepospolitym; ale bywało, że zbaczał w sfery mniej sobie odpowiednie i wtedy wpadał bądź w papierową sztuczność i deklamację, bądź też w prymitywną szablonowość.

Przy wszystkim, co mu monografista zarzucił (nb. wcale tu nie „streszczałem” jego wywodów), bilans ostateczny rozważań wypadł dodatnio, na korzyść Reymonta. Oto bowiem jak brzmi konkluzja dotycząca artyzmu Reymonta: „wychodząc od tego, co obowiązywało w jego czasach, co było dorobkiem poprzedników lub nowymi zdobyczami współczesnych, Reymont na elementach obiegowych w zakresie ekspresji poetyckiej odciskał stempel własny, przetopiwszy je bowiem w tyglu własnej wyobraźni, odlewał je w kształt własny, Reymontowski, dyktowany przez wymagania, które w tworzywie powieściowym i nowelistycznym realizował”.

A wniosek syntetyczny, będący jednocześnie „wróżbą”: jaka jest trwałość dzieła Reymontowego wobec *annorum series et fuga temporum*? Krzyżanowski patrzy w tę przyszłość optymistycznie i spodziewa się, iż „z biegiem czasu wielkość Reymonta nie tylko nie zapadnie w mrok, lecz rozbiłykiwać będzie coraz to nowym i coraz innym światłem”.

¹⁾ Zbyt mało poświęcił uwagi Krzyżanowski niedoszłemu nowicjatu Reymonta na Jasnej Górze; zachowany list do przeora świadczy o głębokości jego poglądów religijnych, o których w monografii ledwo że wspomniano.

Książkę czyta się łatwo i przyjemnie; sądzę, że przy pewnych adaptacjach i moich skrótach, warto by ją wydać w wersji francuskiej lub angielskiej.

Innym darem jubileuszowym ze strony prof. Krzyżanowskiego jest monograficzny zarys, wskrzeszający czy przypominający szerszemu ogółowi zapomnianą i dziś już potrosze legendarną postać Jana Lama. Zarys ten, stanowiący przedmowę do zbiorowego wydania dzieł Lama (nakł. Trzaski, Everta i Michalskiego w Warszawie) ma w swej strukturze linię podobną do monografii o Reymoncie. Jak tam „założeniem” czy punktem wyjścia był autobiograficzny list do Wodzińskiego, tak tutaj rolę tę odegrał szkic biograficzny, „wyjątkowo cenny, bo skreślony wiarogodną ręką Henryka Lama, a więc brata zmarłego pisarza”, a ogłoszony tuż po śmierci tegoż w roku 1886. Od życia do twórczości było tu przejście łatwe, gdyż życie to zostawiło wiele refleksów w dziełach Lama. W większej jednak mierze w dziełach tych odbiło się tło epoki, której obserwatorem był Lam tak bystrym, jak mało kto z jemu współczesnych. Oczywiście rzecz, brał on wiele wzorów i podniet z literatury, zwłaszcza z Thackeraya i Dickensa, których był u nas bodaj pierwszym prawdziwym znawcą i uczniem (następców miał znaleźć w Prusie, a następnie w Makuszyńskim); z drugiej strony nie doceniono jeszcze dotąd Lama w tym wszystkim, co on wniósł samorodnego, oryginalnego i nowego do literatury, ile dał inspiracji pisarzom większym na pewno od niego, ale w humorze i zdolności obserwacyjnej mało go przewyższających. Do Prusa, którego nazwisko wspomina słusznie Krzyżanowski, dorzucę tu dwa jeszcze nazwiska: a więc najpierw Sienkiewicza, który czasem *cum ira*, ale zawsze *cum studio* rozczytywał się w felietonach Lamowych podczas pisania *Szkiców węglem*, tak, iż to drugie w porządku chronologicznym (po *Hani*) arcydzieło wielkiego pisarza godne być nazwane dzieckiem Lamowych inspiracji; po wtóre zaś Żeromskiego, który nie dość, że do śmierci powtarzał w nieskończonych wariantach zjadliwe koncepty Lama pod adresem Golicii i Głodomarii, ale ponadto przyswoił sobie metodę konstrukcyjną jego dzieł (przeplatanie akcji tonem felietonowym) oraz przerysował nie jeden typ przezeń stworzony. Oczywiście rzecz, że z żyjących najbliższy jest Lamowi pod każdym względem Adolf Nowaczyński, o czym już miałem sposobność pisać w swoim czasie.

Wyznacza Krzyżanowski Lamowi „poczesne miejsce w galerii europejskich klasyków humoru”. Przykłaśniemy temu sądowi, choć zaprotestujemy z lekka przeciwko zdaniu pobocznemu: „w galerii, w której u nas od czasów Krasickiego poprzedników nie miał”. Zdaje mi się, że tak źle nie było. Nie mówię już o Żółkowskim, którego konceptem nawet i Lam się zasiliał, ale przecież mieliśmy po Krasickim humorystów także na wielką skalę. Sam Aleksander Fredro ma w tej dziedzinie chlubną kartę,

a podobno i Autor *Kollokacji* zasługuje na przygodną choćby wzmiankę, skoro i u niego Lam się nieco zadłużył. A poza tym Słowacki, choćby tylko jako autor *Fantazego*, nade wszystko zaś *Beniowskiego*, którego dewizę naczelną „jeżeli gryzę, to sercem gryzę” mógłby o sobie Lam powtórzyć! A jeszcze w większej mierze ten nasz prawdziwy klasyk humoru, Adam Mickiewicz, o skali tak ogromnej: od zjadliwości *Ustępu* trzeciej części *Dziadów*, od misternej ironii „To lubię”, aż do jowialnej „Pani Twardowskiej” i pobłażliwego osądzania ludzkich słabostek w przepyszej galerii typów z *Pana Tadeusza* (choćby Ryków, a choćby Telimena, o której pod tym kątem widzenia napisano nie tak dawno rozprawkę!).

Do klasyków polskiego humoru bez wątpienia należy, na jednym z miejsc naczelnych, Henryk Sienkiewicz. Przyznają mu to stanowisko także i krytycy obcy. W naszej polskiej literaturze krytycznej mamy na temat owego stanowiska bardzo piękną rozprawę, której tytuł *Sienkiewicz jako humorysta*, autorem zaś jest — tak niestety rzadko dziś się odzywający, bo zawalony obowiązkami pedagogicznymi i wizytatorskimi — wybitny krytyk ze szkoły Ignacego Chrzanowskiego, dr Stefan Papée.

Książka ta wyszła obecnie w drugim wydaniu (nakł. Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych), pomnożona pewnymi szczegółami. Ponieważ nie wątpię, że niebawem dojdzie i do trzeciego wydania, więc może wolno mi będzie, jako komilitonowi na polu „sienkiewiczologicznym”, dorzucić kilka innych jeszcze szczegółów, które tyczyć się będą głównie Zagłoby. Nosiłem się kiedyś z zamiarem napisania felietonu pt. *Pan Zagłoba*, gdzie na podstawie różnych, nowych przeważnie materiałów, wyświetliłbym genezę i znaczenie tej najpopularniejszej chyba postaci w literaturze polskiej. Myślę jednak, że prościej będzie materiały te odstąpić do zużytkowania dr Papéeemu w rozdziale noszącym w nagłówku nazwisko owego bohatera.

W genezie Zagłoby trzeba wyróżnić dwa rodzaje wzorów: wzory wzięte z życia i wzory literackie. Do pierwszych słusznie zaliczono kapitana Piotrowskiego, przyjaciela Sienkiewicza z Kalifornii (nb. w Obłęgorku jest jego portret piórkowy, rysowany jeżeli nie przez samego Sienkiewicza, to zapewne przez karykaturzystę Paprockiego), ale dodałbym jeszcze kilka innych postaci: jedną z nich będzie pułkownik Władysław Olędzki (o którego roli w stworzeniu przez Sienkiewicza epizodu z Zagłobą w chlewie barwnie opowiedział śp. Adam Breza), drugą jakiś ex-żołnierz ze stron rodzinnych podlaskich, który już w *Starym słudze* służył za model tytułowej postaci, chętnie „koloryzującej” swoje wojenne przeżycia; trzecią będzie teść Sienkiewicza, p. Szetkiewicz, z którego ust pochodzi większa część dykteryjek i konceptów przypisanych Zagłobie (zwierzył się z tego Sienkiewicz Jeremiaszowi Curtinowi). Gdy chodzi o wzory literackie, to prócz

Paska, Falstaffa, Sancho Pansy (w kontraście do Don Kiszota — Podbięty), Żytkiewicza (w *Czarnieckim* Czajkowskiego) czy Fredrowskiego Papkina, z którymi dotychczas porównywano Zagłobę, warto wskazać jeszcze inne, bodaj czy nie najbliższe i najistotniejsze. Pierwszym z nich będzie Daudet'owski Tartarin z Tarasconu, którego Sienkiewicz tak kochał, że aż przełożył na język polski część jego przygód (*Tartarin sur les Alpes*), wspominam o tym szczególnie (znany choćby z *Towarzystwa Warszawskiego* Antałka - Zaleskiego) i dla tej przyczyny, że moim zdaniem przykład ten zasługiwałby na ogłoszenie ponowne, czy to osobno, czy w zbiorowym wydaniu dzieł Sienkiewicza, gdzie już przecie zamieszczono Daudet'owską *Śmierć Delfina*; nb. o to samo prosi się i przekład *Roku 1793* Victora Hugo, dokonany przez Sienkiewicza — co prawda do spółki z innymi tłumaczami. Na każdym więc kroku przekonywamy się, jak nam jeszcze daleko do całkowitego wydania dzieł najpoczytniejszego z polskich pisarzy!...

Drugi prototyp wskazuje sam Zagłoba, skoro nazywa siebie „Ulissesem”. Niestety: *sic notus Ulixes*? Jakoś o tym wzorze zapomniano, a on przecie wytłumaczyłby nie tylko „forte” Zagłoby, nie tylko nawet ciągłe jego zamyślenia na temat własnych przygód: a wszak roi się od nich tak umiłowana Sienkiewiczowi *Odyseja*, gdzie bohater tę samą rzecz opowiada inaczej Kalipsie, inaczej Alkinojowi, inaczej własnej żonie, a jeszcze inaczej Pallas Athenie, na co mu ta mądra bogini zwraca z uśmiechem uwagę, gdyż jej już nie zdołał przechytrzyć!... Ale Ulisses jest jednocześnie wzorem i dla tych cech psychicznych Zagłoby, które stanowią odwrotną stronę medalu i czynią żeń niekiedy nawet prawdziwego bohatera. Choć i to prawda, że cechy te przybierały w miarę pisania *Trylogii* i w miarę popularności samego Zagłoby, który przeto, wedle wyrażenia samego Sienkiewicza, z drugorzędnej w pierwotnym pomyśle postaci „rozrósł się jak baba wielkanocna” i stał się jedną z postaci naczelnych.

Ten rozrost jego roli wprowadzał nieraz w błąd krytyków, choćby nawet tak bystrych (lecz nie pozbawionych czasami partyjnej stronnicości), jak Stanisław Brzozowski. Oto, co byłoby może zabawne, jeśli by nie kończyło się brzydkimi nieraz napaściami: poczęli oni uważać Zagłobę za wyraziela... ideologii samego Sienkiewicza, za jego *porte-parole*! Tymczasem trudno o większą nieprawdziwość. Jeżeli czym reprezentantem i wyrazicielem myśli był Zagłoba, to (użyjemy wyznania samego Sienkiewicza) reprezentował jedynie ogół, „*demos* szlachecki”. Nie trudno znaleźć wzór takiego ujęcia. Przypomnijmy sobie, że Sienkiewicz własnym piórem oceniał kiedyś komedie Arystofanesa w przekładzie Szujskiego i że zajął się tam szczególnie postacią Demosa, mającą wiele rysów identycznych z Zagłobą, i warto też przypomnieć sobie, jak ją krytycznie ocenił.

Resztę postaci podzielił Papée na trzy kategorie: postacie dowcipne, śmieszne i naiwne, poświęcając każdej z kategorii jeden rozdział. W dwóch rozdziałach: pierwszym i ostatnim, zajął się humorem samego Sienkiewicza, odbitym w jego felietonach oraz stanowiącym podłoże jego powieści. Dodać by można było jedną jeszcze dziedzinę, a mianowicie potoczne życie Sienkiewicza, jego (że się tak wyrażę) humor na co dzień, wyrażający się w listach, rozmowach, żartach przygodnych; skoro w tytule rozprawy jest „Sienkiewicz jako humorysta”, a nie tylko „Humor w twórczości Sienkiewicza”, więc tę „nieliteracką” stronę można było też uwzględnić, bo kto wie, czy ona nie tłumaczyłaby najlepiej tego naturalnego źródła humoru, jakie było w samej duszy Sienkiewicza, a które nieraz musiało już specjalną i okolicznościową przyjmować formę, gdy dostawało się na zewnątrz: między „publikę”, poza grono najbliższych osób.

Humor bywa dobrym lekarstwem na smutki dzisiejszych czasów, więc warto by wznawiać co pewien czas jakieś „Księgi humoru polskiego”. Znajdziemy tego humoru dużo we wspomnianej edycji dzieł Jana Lema, znajdziemy i w dziełach Bolesława Prusa, które pod troskliwym nadzorem ze strony prof. Szwejkowskiego ukazują się w zbiorowym wydaniu, pomnażając się o wiele utworów nieznanych lub dawniejszymi czasy zniekształconych (np. przez cenzurę). Ale humor miewali „Polaczkowie mili”, jak ich Rej nazywa, już od dawnych czasów; może od króla Chrobrego, którego pewne figle wspominają kronikarze, może od króla „Krzywogęby”, jak tego trzeciego Bolesława przezwiała pani Zofia Kossak. Wszelakoż piśmienne dokumenty polskiego humoru zaczynają w większej ilości ukazywać się z wiekiem XVI, w różnych powieściach i powiastkach, w zbiorach anegdót, fraszek i figlików. Te są na ogół znane, a co już trochę „zapomnieniem przytrząsło”, to przypomniał prof. Krzyżanowski w kilku swych pracach, oraz re-edycjach owych utworów. Natomiast wiek XVII wciąż jeszcze musimy „odkrywać” i na pewno tai się jeszcze wiele jego zabytków, które już doszczętnie zmieniają niedawną opinię o jakowymś „upadku” literatury naszej w owym czasie. W najszczęśliwszych i najwytrwalszych odkrywców, idących godnie w ślady wielkiego Brücknera, należy prof. Roman Pollak. Wspominaliśmy już na tym miejscu owe zasoby fraszek siedemnastowiecznych, jakie opublikował. Kiedy indziej mieliśmy sposobność pisać o utworze — już nie humorystycznym wprawdzie, niemniej jednak wielce barwnym i ciekawym treścią: o poemacie górniczym Rozdzieńskiego. A oto mamy przed sobą inny wydany przezeń poemat z owegoż wieku, równie interesujący i dla dzisiejszego czytelnika polskiego niemal „aktualny”; jest to *Morska nawigacja do Lubeka* Marcina Borzymowskiego (Gdańsk, Nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku). Powstał ten utwór w roku 1662, a więc zaledwie w kilka lat potem, jak

Czarniecki „puścił się przez morze”... konno... Ale jmcpan Borzymowski nie szedł w jego ślady, bo choć miał Pegaza na swoje usługi, wolał płynąć na okręcie żaglowym. Bogać tam zresztą wolał! Płynął, bo musiał! A bał się przy tym porządnie, bo różne przypadłości człowiekowi grożą w takiej peregrynacji, poczynawszy od morskiej choroby, a skończywszy na burzach i na złych ludziach. Umiął to pan Marcin pięknie opowiedzieć, jak tam na tym morzu kołysało, i słusznie mu oddaje prof. Pollak pochwały za umiejętność odmalowania morskiego żywiołu. W tym względzie ten przygodny poeta jest jakoby pierwszym polskim marynistą, pierwszym piewcą morza przed Mickiewiczem i Słowackim. Inne momenty poematu mniej są składne; kompozycja szwankuje na każdym kroku, bo autor skacze z tematu na temat, jakby się od statku rozbujanego tych podrygów nauczył; są też miejsca, gdzie wpada w kronikarską suchość (być suchym na morzu: to sztuka!) zwłaszcza gdy mówi o ówczesnych faktach historycznych, jakie zasłyszal podczas podróży. Ale są też i opowiadania pełne wdzięku i uczucia, a całość świadczy, że poeta miał talent wcale niezły, tylko, że nie miał rutyny pisarskiej. W dzisiejszych czasach takie właśnie utwory popłacają, więc „Nawigacja” powinna znaleźć czytelników nie tylko między zaprzysięgłymi filologami.

To samo tyczy się i *Liryki mieszczańskiej* z tegoż wieku, wydanej przez dra K. Badeckiego (Tow. Naukowe we Lwowie). Są tam utwory, które biorą za serce dzisiejszego czytelnika, zarówno swą prymitywnością wyrazu, jak czasami i finezją. Co w nich niemal wszystkich uderza, to wielka śpiewność, płynąca na pewno stąd, że wiele tych utworów rodziło się już z gotową melodią. W niektórych uderza przy tym i pewne zabarwienie mową rusińską, w wielu zaś widoczny związek z pieśnią ludową. Związek ten może być różnorodny, ale zdaje się, że częściej owa liryka (biorąca zresztą niekiedy formę od modnych naówczas padawanów czy innych produkcyj choreograficzno-wokalnych) wpływała na pieśń ludową, niż na odwrót. W każdym razie badacze nie tylko literatury, ale i etnografii na zbiór ten baczną powinni zwrócić uwagę, bo może się okazać, że między pieśnią i literaturą ludową, a tzw. artystyczną zachodzą nader ściśle związki, jakich nie zawsze się domyślano.

W tym wszystkim wielkie usługi mogą oddać instytuty badania kultury regionalnej. Dwa z tych instytutów poszczycić się mogą pracą nader intensywną i dorobkiem okazałym: Instytut Bałtycki i Instytut Śląski. O jednym i drugim pisałem tu nieraz i da Bóg, niejednemu raz napiszę. Żeby tym razem nie skończyło się na samych zapowiedziach, wspomnę zbiór ludowych pieśni pomorskich, wydanych wraz z melodiami (na podstawie nagrań fonograficznych) przez prof. Lucjana Kamieńskiego, oraz zainicjowaną, a pod opieką dra Ogrodzińskiego tak pięknie prowadzoną bibliotekę pisarzy śląskich.

Do jednego i drugiego wypadnie nam jeszcze wrócić, teraz tylko chcę dopełnić miarki mych „Mieszanin“, wyrażając szczerę uznanie dr Adamowi Barowi za jego ciekawą książkę o budzicielu Śląska, Karolu Miarce. Przypomnienie tej postaci przyszło w samą porę, bo Miarka był dla reszty Polski, poza Śląskiem, postacią już na poły legendarną, tak jak Jan Lam dla reszty Polski poza „Galileją“. Na podstawie sumiennych badań źródłowych dr Bar określił nie tylko rolę Miarki w dziejach Śląska, ale także dzieje jego duszy, w której polskość budziła się coraz silniej, aż w końcu stała się bohaterstwem. Określa też badacz znaczenie i wartość jego utworów, które choć nie arcydzieła, jednakże zasługiwałyby na wydanie zbiorowe.

Prof. dr Józef Birkenmajer.

Wisconsin, Am. Półn.

Zjazd Ewangelików w Warszawie.

Do wydarzeń niecodziennych, zasługujących na omówienie, należały ostatnio odbyte w stolicy dwie manifestacje protestantów polskich. W obydwóch uroczystościach wzięli udział przedstawiciele rządu. Pierwszą z nich była kalwińska akademія ku czci Szymona Konarskiego, odbyta 25 lutego rb. w sali Rady Miejskiej w Warszawie. Zgromadziła ona znacznie więcej uczestników, aniżeli liczy członków aktywnych parafia „Jednoty Warszawskiej“. Poratowali w ostatniej chwili topniejących z roku na rok kalwinów wycieczkowicze lutерscy z Zaolzia, których wprost z pociągów (nazajutrz miał się odbyć zjazd augsburczyków) kierowano do sali Rady Miejskiej. Równocześnie z tym obchodem urządzono podobne akademie w Łodzi i Wilnie. Rzecz znamienna, że wśród uczestników warszawsko-kalwińskiej manifestacji zauważyliśmy jednego księdza rzymsko-katolickiego. Jak się okazało był nim (ks. Majewski z diecezji Łomżyńskiej) wnuk Szymona Konarskiego.

Drugą z kolei manifestacją protestantów polskich były uroczystości ottowskie, mające na celu spopularyzować zasługi patriotyczne pastora lutерskiego Leopolda Otto, który opiekował się zbrojem warszawskim w okresie powstania 1863 r. Co prawda uroczystości te — określone słusznie jako rocznica bez... rocznicy — były lansowane przez konsystorz ewangelicko-augsburski już w jesieni r. ub. i miały posłużyć za powód do zlotu młodzieży ewangelickiej, ale wskutek wypadków na Zaolziu (hamujących przyjazd protestantów śląskich) nie doszły do skutku. Początkowo prasa polsko-ewangelicka i konsystorz ew.-augsb. reklamowały zjazd ten jako uroczystość wyłącznie patriotyczną, związaną z odsłonięciem tablicy pamiątkowej ku czci Otta. W miarę przygotowań przedzjazdowych uzyskano: 1) protektorat ministrów Świętosławskiego i Ulrycha; 2) uczestnictwo w manifestacjach prezesa polskiego Fi-

dadu gen. Góreckiego i delegacji kombatanckich ze sztandarami i 3) daleko idące ulgi kolejowe a nawet uruchomienie aż trzech pociągów popularnych ze Śląska. Gdy jednak w ostatnich dwóch tygodniach w prasie polsko-ewangelickiej (*Zwiastun Ewangeliczny*) odsłonięto karty i okazało się, że manifestacje ewangelików będą posiadać charakter wybitnie wyznaniowy a nawet polityczny — padły w prasie dwa głosy charakterystyczne: a) *Przegląd Katolicki* energicznie zaprotestował przeciwko uczestnictwu sztandarów kombatanckich i delegowaniu przez zarząd główny polskiego Fidacu delegacji złożonych z katolików na uroczystości wyznaniowo-polityczne ewangelików; z drugiej strony organ Federacji Ewangelików Polskich *Zwiastun Ewangeliczny* określił przygotowywaną uroczystość jako wybitnie polityczną... Poza *Przeglądem Ewangelickim*, organem półoficjalnym Konsystorza — pozostałe tygodniki ewangelickie (*Głos Ew.*, *Zwiastun Ew.*) drukowały jedynie komunikaty konsystorskie o... pociągach popularnych.

Wreszcie doszło do... zlotu protestantów wszelkich odcieni prócz augsburczyków. Dnia 26 II rb., po nabożeństwie w zborze przy ul. Królewskiej w Warszawie, nastąpiło przy udziale circa 70 pastorów odsłonięcie tablicy ofłowskiej. Odsłonięcia dokonał b. sen. J. L. Evert w obecności p. Dunin Borkowskiego — dyrektora departamentu wyznań min. WR i OP oraz vicewojewody Jurgielewicza. Charakterystyczne, że na nabożeństwie zabrakło przedstawicieli sfer wojskowych.

Po odsłonięciu tablicy straż porządkowa zlotu ewangelickiego uformowała z przeszło pięciu tysięcy uczestników pochód, na czele którego postępowali: czwórka szwoleżerów-trębaczy w mundurach, orkiestra tramwajarzy warszawskich, delegacje kombatanckie ze sztandarami, wreszcie kilka sztandarów ewangelickich, grupa około 70 pastorów z superintendentem Burschem i pastorami A. Lothem i P. Nikodemem, wreszcie niespełna pięć tysięcy (przeważnie przybyłych z prowincji) ewangelików, uszeregowanych bądź czwórkami, bądź ósemkami. Pochód po złożeniu wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza udał się przez miasto na cmentarz augsburczyków przy ul. Młynarskiej, gdzie pastor Tytz wygłosił nad grobem Otta przemówienie pochwalne, a dopełniający go jakby delegat kalwinów litewskich dyr W. Gizbert-Studnicki oświadczył m. in., że tylko kościoły ewangelickie położyły zasługi dla Polski. Tych niepoważnych wywodów ekskluzywizmu protestanckiego musieli niesfety wysłuchać ...liczni katolicy, których bądź powołano z rozkazu prezesa Fidacu gen. Góreckiego, bądź z polecenia Zarządu Miejskiego (orkiestra tramwajarzy).

Wieczorem tegoż dnia odbyła się akademія na Ratuszu Warszawskim, na której w półkolu sztandarów kombatanckich zasiadł gen. Górecki i starszyzna augsburczyków z superint. Burschem na czele. Poza przemówieniem past. Michejdy z Zaolzia jedynym referatem był właściwie obszerny odczyt past. Waldemara Preissa

z Bydgoszczy, który atakował Polskie Radio o nietransmitowanie nabożeństw protestanckich i który wszelkie sukcesy odrodzieńcze Polski przypisywał protestantom!

Oto *Zwiastun Ewangeliczny*, którego redaktorem jest b. red. *Polski Zbrojnej* Wł. Evert (syn senatora), ironizował na temat życzeń p. min. Świętosławskiego odnośnie do życzenia pomyślności obrad, konstatując, że manifestacje ...nie były właściwie zjazdem. *Głos Ewangelicki*, organ seniora wojskowego E. Glocha przemilczał znów w ogóle udział Preissa i jego referat na akademii. Jeśli się zważy, że pastorzy ewangeliccy wojskowi oficjalnego udziału nie brali, musimy stwierdzić, że walka odłamów w obozie protestanckim wciąż się pogłębia i mimo wszystko polsko-ewangelicka inteligencja coraz liczniej opuszcza zbory i przechodzi na katolicyzm!

Nie zaradzają temu ani „zjazdy”, ani nawet... szfandary kombatanckie!

Antoni Opęchowski.

NACZELNY REDAKTOR: KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J

Druk ukończono dnia 3 kwietnia 1939 r.

Umowa kulturalna z Antychrystem.

W ostatnich latach różne państwa zawierały wzajemne umowy kulturalne. Wspomnijmy tu tylko o umowie kulturalnej między była Austrią a Trzecią Rzeszą, albo o umowie kulturalnej między Włochami a Niemcami. Te powszechnie znane fakty mogą się stać bodźcem do najogólniejszych rozważań nad zagadnieniem umów kulturalnych. Przy tych czysto teoretycznych rozważaniach nie mamy żadnego specjalnego wypadku na myśli. Nie mówimy o jakimś kraju określonym. Nie potrafimy też w żaden sposób wyczerpać zagadnienia. Chcielibyśmy tylko w sposób bardzo skromny zaprosić do przemyślenia tych spraw, które niewątpliwie porciągają za sobą cały szereg skomplikowanych trudności. Przejdźmy zatem bezpośrednio do tematu i spróbujmy rozróżnić kilka możliwości.

Dwa państwa, które zawierają umowę kulturalną, mogą być na zasadzie swej konstytucji katolickie. W tym wypadku umowa kulturalna nie przedstawia jakiegś specjalnej problematyki. W obu bowiem krajach panują te same podstawowe zapatrywania, różnią się nie duchem, lecz formą. Nie ma żadnych rozdzźwięków pomiędzy Dantem, Calderonem czy Racinem. Kiedy się razem spotkają, stanowi to podłoże do bogatszego rozwinięcia koloru i tonu. Kultura jednego narodu wspiera w tym wypadku kulturę narodu drugiego. Sens i ideał ludzkości zamknięty w pojęciu kultury, odpowiedniej dla wszystkich narodów i po wszystkie czasy, występuje na plan pierwszy, jaśnieje ponad wszystko.

Dalej, możliwy jest również wypadek, że dwa państwa, które zawierają umowę kulturalną, nie są wprawdzie jednolite pod względem światopoglądu swych obywateli, zasadni-

czo jednak stoją na gruncie uznawania osobowości ludzkiej, poszanowania wolności sumienia oraz religii. Także i w tym wypadku umowa kulturalna może przynieść niemało korzyści. Jej jednak przeprowadzenie praktyczne wymaga wiele taktu oraz ostrożności. Wyniki pozytywne można i w tym wypadku osiągnąć. Znamy kraje, w których np. katolicy i protestanci żyją spokojnie i zgodnie jedni obok drugih. Jeżeli nawet różnią się w pojmowaniu niektórych doniosłych prawd religijnych, to przecież jednoczą się w wyznawaniu owej miłości, która wszystko rozumie i wszystko zniesie. Ta miłość nie żąda, ażeby jedna część wyzbywała się swego charakteru w tym celu, aby się drugiej spodobać. Oczywiście przyjaźń, która by polegała na tym, że ktoś rezygnuje ze swego własnego „ja“, byłaby przyjaźnią bez charakteru. A przecież nie żąda się braku charakteru, lecz chrześcijańskiej miłości bliźniego.

Można zresztą powiedzieć, że w Europie przedwojennej zagadnienie współpracy katolików z przedstawicielami innych światopoglądów rozwiązane było teoretycznie i praktycznie dość dobrze. Istniała przecież wszędzie resztką poważania dla przekonań drugiego. Zwłaszcza jeżeli chodzi o katolicyzm, to teologia i filozofia św. Tomasza z Akwinu ze swym ujęciem ludzkiej natury oraz z naturalnymi podstawami wiedzy stworzyły wspólny metafizyczny grunt także i tam, gdzie w specjalnych religijnych pojęciach rozchodzono się nawet daleko. Wspólne trzymanie się prawa naturalnego i wynikająca z tego wyrozumiałość jest przecież czymś zupełnie innym, aniżeli mdła, z indyferentyzmu płynąca tolerancja, która pod względem metafizycznym nie ma podstaw, a pod względem duchowym jest tylko słabością.

Istnieje jednak jeszcze trzecia możliwość, mianowicie umowa kulturalna pomiędzy państwem katolickim, względnie takim, które stoi na gruncie uznania ludzkiej osobowości, a jego partnerem, który nie uznaje ani prawa naturalnego, ani opierającej się na nim głębiej pojętej tolerancji. Mówimy tu o umowie kulturalnej, jaką by np. zamierzało zawrzeć państwo o cywilizacji chrześcijańskiej z ateistyczną Rosją Sowiecką. Bierzymy tutaj przykład Rosji Sowieckiej, ponieważ rzuca on najjaskrawsze światło na to zagadnienie. Ale

oczywiście nie zabrania się nikomu, by, stosownie do doświadczenia, wybrał sobie inne może bliżej leżące przykłady.

Jak będzie wyglądać w praktyce umowa kulturalna w takim właśnie wypadku?

Najpierw nasunie się techniczna strona umowy. A więc wymienia się profesorów, wprowadza się na scenę sztuki teatralne drugiego narodu, wysyła się młodzież jednego kraju do młodzieży kraju drugiego, według pewnego klucza wymienia się czasopisma, dzienniki oraz dzieła literackie i t. d.

A teraz poczyną się praktyka. Ażeby usunąć możliwość tarć, umówiono się dokładnie, że żaden z czynników kulturalnych jednego kraju nie może wyraźnie atakować obyczajów i urządzeń kraju drugiego. Podpisuje się i ogłasza dokonanie porozumienia, sławi się je w podniosłych frazesach jako jeden z najdonioślejszych kroków w postępie na drodze pokojowej ludzkości. Od tego zatem zaczyna się praktyka.

Rozważmy te rzeczy szczerze, bez obłónek. Przybywa zatem z Moskwy profesor, zobowiązany do obrony wszelkimi sztukami propagandystycznej wymowy ortodoksyjnego, rewolucyjnego, absolutnie wrogiego religii marksizmu. Gdyby postępował inaczej, to w chwili swego powrotu do kraju Stalina, zapłaciłby niewątpliwie życiem za niełojalny sabotaż. Profesor ów zatem w wykładach swoich powstrzymuje się od wszelkich wyraźnych ataków na urządzenia kulturalne kraju, którego jest gościem, ale głosi marksizm, uważający religię i kulturę chrześcijańską za opium świata. Nie da się oczywiście tego uniknąć, ażeby nie powstało wkrótce ogólne oburzenie słuchaczy. Przecież w tym kraju nikt nie chce bolszewizmu. Ataki na religię większości obywateli są również niepożądane. Nikt nie chce żadnych uzasadnień totalizmu, terroru, zarządzeń przymusowych wszelkiego rodzaju, systemu szpiegowskiego, słynnych pseudo-procesów, morderszych egzekucyj...

Sprawa dochodzi do władz. No tak — mówi jakiś dyrektor departamentu, wzruszając ramionami — tu się nie da nic zrobić. Wszak zawarliśmy właśnie umowę kulturalną... I nie potrzeba długiego czasu, ażeby wszystkie kioski i dworce były zalane czasopismami i dziennikami obcymi duchowi kraju, których najważniejszym zadaniem jest, jak się wydaje,

wyszydzenie chrześcijaństwa w słowie i obrazach. Rozumie się przy tym, że pisma te i pod względem moralnym nie są bynajmniej bez zarzutu i, że dla poparcia antychrześcijańskiego stanowiska, starają się właśnie zożydzić moralność chrześcijańską w sposób cyniczny, środkami pornograficznymi. I znowu powstaje ogólne oburzenie, znowu sprawa dochodzi do jakiegoś referenta, dyrektora albo jeszcze wyżej, i znowu następuje polityczne wzruszenie ramion: no tak, przykre to i żenujące, ale tu się nic nie da zrobić. Mamy przecież umowę kulturalną...

Zagadnienie staje się jeszcze bardziej interesujące z okazji tego lub innego filmu albo sztuki teatralnej. Ale sprawa staje się już naprawdę niepokojącą, kiedy młodzież wolnego kraju ma jechać do kraju, rządzonego terrorystycznie, z pogwałceniem naturalnych praw rodziny. Wtedy rodzice załamują ręce! Ale i tym razem, nic się nie da zrobić, ponieważ mamy umowę kulturalną...

Wreszcie decyduje się któryś z naczelnych redaktorów na wypowiedzenie w swym piśmie energicznego protestu. I oto natychmiast zjawia się poseł obcego państwa i przedkłada energicznie, że tego rodzaju wystąpienia sprzeciwiają się kategorycznie umowie kulturalnej. No tak, istotnie, wzdycha p. minister, zawarliśmy umowę kulturalną... Artykuł ulega konfiskacie a redaktor naczelny otrzymuje surowe napomnienie.

Wspomnijmy jeszcze, że jeżeli partner o nastawieniu antychrześcijańskim jest znacznie silniejszą potęgą polityczną i militarną, to w praktyce umowy kulturalnej trzymać się musi tylko partner słabszy. Niechaj też nikt się nie łudzi, że szkoda wyrządzona chrześcijańskiemu krajowi wyrówna się choć w części przenikaniem kultury chrześcijańskiej do kraju niechrześcijańskiego, z którym zawarto umowę. Być może, że istotnie przedstawiciele tej kultury zrobią wszystko ze swej strony, ale niechaj nikt nie pyta, gdzie się znajdzie ten obywatel „zaprzyjaźnionego” państwa, który by zechciał w praktyce z tej propagandy skorzystać...

Rozważania te snujemy głównie dlatego, aby wykazać, że z wytworami kultury nie można postępować tak, jak z wymianą towarów, jak z jajami i masłem. Po wtóre stara-

liśmy się wykazać czysto praktycznie, z jak słuszną oceną spotykają się systemy teoretycznego kolektywizmu w owych pismach papieskich, które wykazują absolutną niezdolność do porozumienia się totalistycznego ateizmu z chrystianizmem. Wreszcie trudno zamknąć oczy na fakt, że właśnie umowy kulturalne z potęgami antychrześcijańskimi, jakkolwiek wyglądałyby przyjaźnie, muszą przedstawiać jedno z największych niebezpieczeństw dla kultury chrześcijańskiej. W tym wypadku symbolem ich nie jest Chrystusowa miłość lecz Judaszowy pocałunek.

Ks. Fryderyk Muckermann T. J.

Rzym a Wittenberga, w XVI w. a dziś.

Rzym a Wittenberga, dwa miasta, dwa etapy, dwa symbole!

W dziejach chrześcijaństwa nie było to pierwsze przeciwstawienie. Bardzo wcześnie w Kościele zaczęło się tworzyć i dojrzewać przeciwstawienie Rzymu i Bizancjum, aż wypowiedziało się oderwaniem Kościoła wschodniego, schyzmą. Gdy jednak w ciągu wieków Rzym papieski pozostawał niezmiennie sobą, był konkretem, to jego przeciwstawienie w coraz większym stopniu przemieniało się w symbol. Dziś Bizancjum, jako stolica Kościoła wschodniego, po utworzeniu się wielkiej liczby kościołów autokefalicznych, nie ma żadnego konkretnego znaczenia, pozostało tylko jako wspomnienie czegoś, co było, i jako symbol jednej z form ujęcia chrześcijaństwa.

Podobnie stało się i z drugim w ciągu dziejów Kościoła przeciwstawieniem Rzymu, z Wittenbergą. Z początku jako miasto odgrywa decydującą rolę w powstaniu nowego ujęcia chrześcijaństwa. Jest stolicą duchową, a raczej powiedzmy ściślej kuźnicą, w której wypracowywała się ta nowa forma. Jest konkretnym etapem, do którego z Rzymu będą dążyć tysiące najwybitniejszych jednostek w poszukiwaniu prawdy, i z którego z powrotem będą wracać do Rzymu. Przeciwstawienie: Rzym — Wittenberga jest dwukierunkowe, należałoby je ująć przeto w innej formie: Rzym — Wittenberga — Rzym.

I znowu tutaj bardzo wcześnie konkretność Wittenbergi zaczyna zanikać, miejsce konkretności zajmuje symbol wyrażający po dzień dzisiejszy już tylko pewną ideologię

religijną, pewną formę ujęcia chrześcijaństwa. A pierwszy człon przeciwstawienia: Rzym, jest stale niezmienną rzeczywistością.

Kościół rzymski w ciągu wieków od samego początku patrzył na powstanie i upadek bardzo wielu herezji. Były to jednak epizody, z perspektywy dziejów, drobne; plastycznie można by je nazwać odpadaniem zeschłych liści i gałązek od zawsze zdrowego drzewa. Dopiero gdy spór dotyczył podstaw chrześcijaństwa, — wtedy dochodzi do rozłamu wobec koniecznej nieustępliwości Kościoła a uporu nowatorów. Tak było ze schyzmą wschodnią, tak z rewolucją religijną XVI w. To pierwsze prawo, rządzące dziejami Kościoła, zaobserwowane i stwierdzone na faktach.

Jest jeszcze drugie; nasilenie ataków przeciw Kościołowi i papieżowi wzrasta i potęguje się zawsze wtedy, kiedy albo świętość i boskość Kościoła promienieje wspaniałym blaskiem, albo wtedy kiedy pierwiastek ludzki, czyli ziemski szata Kościoła zasłania niejako i zaciemnia jego boskość i świętość.

W w. XVI mieliśmy ten drugi wypadek. Władza świecka papieża, państwo kościelne zbyt zasłaniało duchową władzę i posłannictwo ojca św., zasłaniała mistyczne ciało Chrystusa, jego królestwo, jego Kościół.

Złożyło się na ten smutny fakt wiele przyczyn. Wprawdzie z walki z cesarstwem papieństwo wyszło zwycięsko; nie była to jednak czysta walka ducha z potęgą materialną doczesną, ale walka dwu sił doczesnych, zwykła walka polityczna, w której jedna strona, słabsza materialnie, wspomagana się autorytetem duchowym. Zwycięstwo papieża nie było czystym zwycięstwem ducha nad materią i światem; interes polityczny, ziemski papieża-monarchy gra tak w walce jak i w zwycięstwie ważną rolę.

A przy tym walka ta nadwątlila bardzo siły Kościoła, wyczerpała w większym nawet stopniu zwycięzcę niż zwyciężonego. Gdy przyszła próba wewnętrznej spoistości, próby tej papieństwo nie wytrzymało bez ciężkiego kryzysu i ogromnych strat moralnych. Na imię temu kryzysowi wielka schyzma zachodnia (1378 — 1417). Jest to jeden z najczarniejszych, najsmutniejszych okresów w dziejach Kościoła.

Bolesne rozdarcie, które jeszcze bardziej nadwaśliło wewnętrzne siły Kościoła, jego zwartość i aktywność, osłabiło do reszty międzynarodowy autorytet papieża. Rola i funkcja papieża jako czynnika jedności i siły w Kościele zaczęła się zacierać w świadomości współczesnych. Nawet ludzie dobrej woli nie łatwo umieli sobie radzić z narzucającymi się z obserwacji rzeczywistości wnioskami.

W tych warunkach obudzenie się tendencji soborowych choć obiektywnie nieuzasadnione, musi wydać się nam zrozumiałe. Skoro papież nie daje Kościołowi potrzebnej siły i jedności — rozumowano — skoro dbają więcej o sprawy doczesnego państwa, którego byli monarchami, niż o Oblubienicę Chrystusa, której byli widzialną głową, to należy im dać jakiś czynnik nadrzędny, który by czuwał nad dobrem Kościoła i papieżem. Oto geneza idei soborowej, idei supremacji soboru nad papieżem.

Z tej nowej próby wyszedł papież znowu zwycięsko, słowa Chrystusa o niezwyciężonej opoce, o tym który sam się kiedyś nawróciwszy ma utwierdzać braci, przypomniały się umysłom.

Ale utwierdzenie nie zaraz miało nadejść. Pierwej musiało się dokonać nawrócenie przez próbę męki i cierpienia! Jeszcze papieństwo miało wypić nie jeden kielich gorczy i upokorzeń, a wśród nich trzy najgorsze, najbardziej bolesne: na imię im Borgia, Sacco di Roma, Luter.

Chwilowo nic się nie zmieniło. Po powrocie papieży z Awinionu, Marcin V (1417—1431) i jego następcy skierowali cały wysiłek nie ku wewnętrznym sprawom Kościoła, ale przede wszystkim ku uporządkowaniu spraw państwa kościelnego, którego stan był straszny, przedstawiając obraz chaosu i nędzy. Walka możnych rodów i kondotierów o wpływy i władzę, nędza ludu, zdziczenie obyczajów, upadek kultury, brud i zniszczenie, oto kilka rysów tego obrazu. Smutne, tragiczne to wprost czasy! Ten wewnętrzny tragizm papieństwa wyrażają najlepiej słowa konającego papieża Eugeniusza IV (1431—1447), następcy Marcina V: „Gabrielu! — zawołał na krótko przed śmiercią — o ileż lepiej byłoby dla zbawienia twej duszy, gdybyś nigdy nie był

został papieżem, a gdybyś był umarł w habicie mnicha w twoim klasztorze“.

Ten tragiczny okrzyk nie znalazł echa u następnych papieży. Nie istniała jeszcze potrzebna do tego atmosfera. Do wyżej wymienionych czynników dołączył się nowy i działał dalej razem z nimi. Był to duch odrodzenia, który w papieżach drugiej połowy XV w. i początku XVI znalazł wspaniałych mecenasów. Średniowiecze zaczęło znikać z miast włoskich i papieskiego Rzymu. Nowy duch, zrodzony z tradycji grecko-rzymskich, a przede wszystkim z pierwiastków czysto ludzkich, jakże daleki od nadprzyrodzoności ducha średniowiecza, opanowywał umysły. Po okresie zastoju dziwnie płodna i bujna rasa włoska, niby wulkan długo wstrzymywany uciskiem niesprzyjających warunków, wybuchnęła erupcją geniuszów, niespotykaną już po raz drugi w dziejach ludzkości. Nazwiska ich znamy dobrze, nie potrzeba ich przypominać. Książęta włoscy, a zwłaszcza papieże, okazali się godnymi tych geniuszów uczniami, opiekunami, mecenasami. Umieli wyzyskać ich zdolności, wprząc ich dzieła do wieńca laurowego swej ziemskiej chwały, i, powiedzmy obiektywnie, choć po części ku chwale Bożej. Wzniesione przez tych geniuszów świątynie, arcydzieła malarstwa i plastyki przetrwały po dni nasze iako hołd człowieka dla Boga.

Ale renesans miał swoją ujemną stronę, wprowadził czy wzmocnił i utwierdził na dworze papieskim i dworach książąt Kościoła we Włoszech, a potem za ich przykładem w innych krajach ducha świata, przepych ziemski, rozrzutność, lekkość obyczajów. Reforma Kościoła została znowu odsunięta w nieznana przyszłość. Upadek duchowego, nadprzyrodzonego autorytetu papiestwa jeszcze się pogłębił. Rządy Aleksandra VI, Juliusza II i Leona X, z różnych przyczyn, mimo pozorów świetności stanowią okres najgłębszego upadku. Mówimy mimo pozorów, bo np. jeśli przypatrzymy się przebiegowi i wynikom soboru Laterańskiego, w oderwaniu od całości dziejowego obrazu, to bardzo łatwo moglibyśmy ulec złudzeniu, że był on nie tylko osobistym triumfem Juliusza II, ale i triumfem autorytetu papiestwa w ogóle. Lud rzymski opłakiwał zgon wielkiego

swego dobroczyńcy, wodza i panującego, a równocześnie poprzez Europę szedł bolesny pomruk zgorszenia nie tylko wypowiedany przez humanistów, ale i przez dusze pobożne, wierne Kościołowi, zatroskane poniżeniem Oblubienicy Chrystusowej.

Ostatnim nieszczęściem Kościoła był w tych smutnych czasach nepotyzm. Dziś z perspektywy dziejów staramy się go zrozumieć, usprawiedliwić nie potrafimy nigdy. Papieże XV w. w wirze walk stronnictw, wojen, zamachów stanu i t.d. szukali oparcia, potrzebowali współpracowników, na których mogliby się oprzeć, którym mogliby zaufać. Oparcia nie dawało im wtedy, niestety, kolegium kardynalskie, którego członkowie bywali przejęci ideą soborową lub służyli rodom czy kondotierom, z którymi łączyły ich związki pokrewieństwa czy interesy. Papieże szukali więc z konieczności oparcia w bratankach, w krewniakach, wprowadzając do rządów nie tylko państwa kościelnego, ale i Kościoła zgubny system nepotyzmu. On to zadał najboleśniejszy cios powadze Kościoła, on był głównym moralnym sprawcą wszystkich nieszczęść i klęsk, jakie Kościół poniósł. Przez nepotyzm weszło do Rzymu papieskie świętokradztwo i symonia, dwie najstraszniejsze zbrodnie, spełniane na mistycznym Ciele Chrystusa.

Przechodziło ono mękę krzyża i zgorszenia. Nie trzeba jednak sądzić, że Chrystus w czasie tej nowej męki ogrojca był w swym Kościele opuszczony, samotny. Wiele, bardzo wiele szlachetnych i świętych dusz cierpiało nad niedolą Kościoła i pragnęło reformy. Ascetyka i mistyka katolicka w wieku XV miała swój okres wspaniałego rozkwitu; ten właśnie wiek wydał i Gersona i Tomasza a Kempis, i złotą książeczkę: *O naśladowaniu Jezusa Chrystusa*. Oblubienica Chrystusa nie przestaje nigdy być świętą. Tragiczna postać Savonaroli i jego działalność we Florencji bardzo wyraźnie wskazuje, że potrzeba reformy była rozumianą nawet przez masę ludu włoskiego.

Reforma ta jednak jeszcze nie nadchodziła. Obraz, jaki przedstawiał Rzym papieski, powtarzał się niezliczone razy po krajach, metropoliach i diecezjach. Biskupi byli raczej książętami świeckimi niż książętami Kościoła, oddani

polityce, sprawom państwa lub swoich wielkich nieraz księstw, nie dbali o diecezje i ich potrzeby. Oświata duchowieństwa niższego, jego zwłaszcza wykształcenie teologiczne wiele pozostawiało do życzenia, kler parafialny był przeważnie ubogi i ciemny, karność w zakonach podupadła bardzo; obok gałęzi wielkich zakonów pilnujących pierwotnej karności, czyli tzw. obserwantów, powoływały się odłamy konwentualnych, które z góry rezygnowały z utrzymania pierwotnego ducha (dziś ten podział nie ma znaczenia).

Tak było w Kościele. A w społeczeństwie świeckim dokonywała się równocześnie daleko idąca przemiana. Średniowiecze, jego ideologia, jego porządek polityczny i społeczny przeżywał się, zamierał. Nowy duch, nowe siły, nowe idee dochodziły do głosu i zdobywały umysły. Poczucie jedności społeczno-politycznej Europy chrześcijańskiej zostało rozbite. Miejsce nieureczywistnionej wprawdzie ale urzeczywistnianej *Civitas Dei* zajęły potężne, wrogie sobie monarchie, miejsce zasady współzycia zajęła zasada egoizmu, racji stanu, podniesiona do wielkości programu przez Machiavela. On jej nie stworzył, on ją wyczuł, wyrozumował, wydedukował z ducha czasu, z pragnień żywionych w duszach i z faktów. Największą przeszkodą w realizacji tak pojętej racji stanu, w przyjęciu się egoizmu jako zasady podstawowej życia państwowego, był Kościół, był jego uniwersalizm. Powstawanie i wzrost nowych państw, względnie rozwój niezliczonych księstw, coraz bardziej usamodzielniających się, wymagał silnych armij, a te znowu pieniędzy. Rodzi się więc kapitalizm nowoczesny, a raczej jego pierwociny, w postaci domów bankowych. Rosnące potrzeby finansowe panujących wzmagają fiskalizm, przeciw któremu broni się duchowieństwo, cieszące się dotychczas, licznymi przywilejami i egzempcjami. Olbrzymie dobra duchowne dla panujących i dla innych stanów są przedmiotem zazdrości i pożądania.

Równocześnie z dokonującą się zmianą stosunków społecznych — gospodarczych i politycznych, zmienia się ideologia człowieka XV i XVI wieku ze średniowiecznej na nowożytną przez humanizm. Już i tak odarty z nimbu nadprzyrodzoności i świętości Kościół musiał w oczach

ówczesnych ludzi stracić jeszcze bardziej na powadze, gdy człowiekowi ukazano nowy ideał życia, polegający przede wszystkim na afirmacji doczesności, na afirmacji natury ludzkiej, jej praw, jej aspiracji, jej wolności. Pierwiastek ludzki, przyrodzoność była zawsze jednym z czynników kształtujących życie i tworzących dzieje, ale w okresie średniowiecza pierwiastek ten był przewyciężany, był poddany supremacji nadprzyrodzoności, wieczności. Teraz ukazano go oczom ludzkim jako dobro samo w sobie warte pożądania, jako wystarczający czynnik życia. Humanizm pogański, który miał swoich zwolenników i apostołów we wszystkich krajach, nie wyłączając państwa papieskiego, nie zadowalał się oczywiście głoszeniem nowej ideologii, ale zwrócił ostrze satyry, gryzącej ironii i oszczerstwa, ujętego w świetną nie raz formę stylową, przeciw znienawidzonemu średniowieczu. Uprzedzenie do średniowiecza, bajka o jego ciemnocie jest tworem humanizmu, który po dzień prawie dzisiejszy pokutuje w umysłach.

W takich warunkach, w takiej obustronnej sytuacji w Kościele i poza nim, zrozumiały i jasny stał się nieprawdopodobny wprost sukces wystąpienia Lutra, zrozumiały się staje symbolizm Wittenbergi. Wystąpienie Lutra w innych warunkach byłoby przeszło bez echa, jak tyle podobnych buntowniczych wystąpień niesfornych kapłanów. Ale właśnie wtedy, na początku XVI w. stało się ową grudką śniegu, chciałoby się powiedzieć — gdyby nie rządziła wszystkim Opatrzność — przypadkowo trącona nieuważną stopą, która rozpętała straszliwą lawinę, największą w dziejach chrześcijaństwa rewolucję religijną. Luter, gdy podnosił bunt przeciwko Kościołowi, nie przeczuwał ani nie przewidywał, jakiego dokona spustoszenia. Czynem swoim przede wszystkim pragnął siebie samego wyzwolić, jak to zaraz zobaczymy, z wewnętrznego rozdarcia, z wewnętrznej niemocy, tworzył dla siebie samego nową teologię, by w niej znaleźć ukojenie, by się nią oszukać i uspokoić. Nie zdawał sobie sprawy, że jego czyn tylu od razu znajdzie zwolenników, tylu obrońców i możliwych patronów. Powodzenie, tak niespodziewane, pchało go do dalszych, coraz gwałtowniejszych, coraz bardziej zuchwałych czynów, aż wyniosło go na wo-

dza całego ruchu. Oczywiście, nie na długo, bo oto wnet pozazdrościli mu tego wodzostwa inni, wyrastali jeden po drugim, czy raczej jeden obok drugiego: Zwingli, Kalwin, Serwet, Socyn, Henryk VIII, Gustaw Adolf szwedzki i tylu innych. Ale palma pierwszeństwa bezapelacyjnie należy się Lutowi.

Dzieło nosi zawsze na sobie cechy swego twórcy, dziecko dziedziczy właściwości swego ojca. Symbolizm Wittenbergi, istotę protestantyzmu najlepiej można uchwycić i zrozumieć przez analizę umysłowości i ducha jego twórcy.

W r. 1510 przebiegał wążutkie uliczki Rzymu, jako pobożny pielgrzym, mnich augustiański. Wśród licznych pielgrzymów wybijał się tylko chyba pobożnością z jaką odwiedzał bazyliki wiecznego miasta i niezliczone jego świętości! Nie gorszył go ani przepych dworu Juliusza II ani wspaniałe nowe budowle, wznoszone przez mistrzów odrodzenia. Tym pokornym, nikomu nieznanym mnichem — był Luter. Nikt nie przypuszczał, że jego imię zaledwie 7 lat później stanie się sławnym w całym ówczesnym świecie, że zostanie przeciwstawione jako hasło i zawołanie namiestnikowi Chrystusa.

Jak wytłumaczyć niepojętą wprost tajemnicę tak przedkij przemiany pobożnego pielgrzyma na buntowniczego antypapieża. Wyjaśnienie znajdujemy w dziejach duszy tego człowieka, dziś, po latach sumiennych studiów i badań wielu historyków, znanych nam już dokładnie.

Syn górnika z Eisleben, obciążony dziedzicznie, o konstytucji psychopatycznej, skłonnej do skrupułów i chorobliwych lęków, wychował się w atmosferze bardzo niesprzyjającej, wprost barbarzyńskiej. Głównym czynnikiem wychowawczym w dzieciństwie Lutra był kij; znęcał się nad nim ojciec, znęcała się matka, bijąc go nieraz do krwi, kijem naukę do głowy wpychał nauczyciel. Psychopatyczne dyspozycje małego Marcina spotęgowało fatalne wychowanie przez rozwinięcie wrodzonej mu już skłonności do chorobliwych lęków. Nauki wyzwolone odbył w Magdeburgu i Eisenach, a po ich ukończeniu wzbogacony tymczasem ojciec posłał Marcina na studia filozoficzne do Erfurtu. Na jego fakulte-

cie filozoficznym panował wówczas system nominalistyczny Occamistów, którego istotą był agnostycyzm filozoficzny, dyskredytujący rozum i jego zdolności poznawcze na korzyść fideizmu. Ten system przeciwstawiał się świadomie tradycyjnej scholastyce, zwalczał ją w gwałtowny sposób.

2 lipca 1505 r., zaskoczyła Lutra w drodze z Mansfeld do Erfurtu wielka burza; oślepiające błyskawice i grzmoty przejęły nerwowego Marcina śmiertelnym strachem, który wyrwał mu z ust ślub wstąpienia do zakonu. Ani brak powołania, ani habitualny stan psychiczny, zdradzający chorobliwe dyspozycje, ani prośby przyjaciół, ani wreszcie sprzeciw ojca, nie wstrzymały Lutra od wykonania nieważnego z powodu braku potrzebnej refleksji ślubu. Wstąpił do augustianów; po nowicjacie i ślubach odbywał studia teologiczne dość powierzchownie i płytko. W czasie tych studiów przejął się jeszcze silniej panującą wtedy w zakonie własnym teologią Gabriela Biela, zwolennika nominalizmu, a równocześnie zaczął się rozczytywać w pismach św. Augustyna i augustynianów, oraz w pismach niektórych mistyków. Znalazł w nich wodę na młyn swej psychiki, swych wewnętrznych przeżyć i udręczeń. Wszyscy ci pisarze podkreślali z naciskiem nędzę człowieka, zepsucie natury ludzkiej, zgubne skutki grzechu pierworodnego, a wielkość i potrzebę łaski i zmiłowania Bożego. A właśnie Luter z powodu swoich chorobliwych dyspozycji, lęków jakie go trapiły, skrupułów, pokus i popędów, które stale odczuwał, a które daremnie pragnął zmusić do milczenia i usunąć ze swej świadomości, zmagął się beznadziejnie z wewnętrzną słabością. Jak wszyscy skrupulaci był uparty, zarozumiały i pyszny, wmówił w siebie, że musi być świętym, jakąś świętością nieludzką, świętością, w której by nie było trudności i pokus, świętością samego Boga. A z drugiej strony nie mógł zrozumieć, jak można było od niego wymagać, by po spowiedzi, po otrzymaniu rozgrzeszenia uważał się jeszcze za grzesznika, by był pokornym i nie wynosił się nad drugich. Nienależycie pogłębione i nieroztropne rozczytywanie się w pismach mistyków, nauczyło go fęsknić za pociechami mistycznymi, które chciał zmysłowo odczuwać; a brak ich uważał za nieszczęście. Stąd w jego psychice ustawiczne

rozdarcie wewnętrzne; wmówił w siebie, że może stać się aniołem, a był tylko słabym człowiekiem. Do tego dołączyła się wpojona mu wychowaniem i atmosferą rodzinnego kraju zabobonność, przesadny diabolizm; nie bez słuszności niektórzy historycy dla wyjaśnienia psychiki Lutra, sięgają nawet do pragermańskich tradycji, przechowywanych w wierzeniach prostego ludu i jego zabobonach. Pozorna supremacja złego pierwiastka nad dobrym, zupełna bezsilność wobec wewnętrznych pożądań i namiętności, wyrobiły w duszy Lutra obok skrajnego egocentryzmu skrajny pesymizm. Ogarniała go czarna rozpacz, wątpił w miłosierdzie Boże, w zbawienie swej duszy, a nie umiał uciekać się do ufnej modlitwy. W czasie mszy św. lub wśród modlitwy napadały go chorobliwe ataki lęku i wstrętu do rzeczy świętych, jako źródła i koniecznych przyczyn potępienia.

Na podstawie tych wyłącznie subiektywnych przeżyć Luter skonstruował swoją teologię. W zarozumiałości swej popełnił fatalny błąd, którego nie był wprost zdolny zrozumieć: swoją chorą duszę wziął za model duszy ludzkiej w ogóle, i to czym sam siebie ratował przed zupełną rozpaczą, ogłosił jako jedynie prawdziwą interpretację nauki Chrystusa.

Tego rzekomego epokowego odkrycia dokonał w połowie roku 1513, nazywając je swoim Patmos. Podsunęła mu je fałszywa interpretacja dwu tekstów św. Pawła, z Listu do Rzymian I. 17: „Albowiem sprawiedliwość Boga w Ewangeliu się objawia z wiary w wiarę, jak jest napisane: a sprawiedliwy z wiary żyje“; oraz Rzym. 3. 28: „Za pewne to bowiem mamy, iż człowiek bywa usprawiedliwiony przez wiarę, bez uczynków Zakonu“ (rozumie się starego, mojżeszowego).

Luter zaczął wierzyć, iż grzech pierworodny zniszczył naturę ludzką, zapanowała więc w niej pożądliwość nieprzewyciężona; szatan jest silniejszy niż Bóg. Człowiek nie może nie pragnąć grzechu, nie może nie grzeszyć. Wolność woli jest tylko słowem, fikcją. Nawet ocean łask nie potrafi człowieka uwolnić od grzechu, może go zbawić tylko sam Bóg i to nie z nim, nie z jego współdziałaniem, ale wbrew jego woli. Dzieje się to przez wiarę, a raczej przez nieprzewyciężoną, silną, nie-

złomną ufność w zasługi Chrystusa, jako zbawcy i ofiary, które zakrywają grzechy człowieka przed oczyma sprawiedliwego Boga. Wiara, wedle Lutra, to stałe przeświadczenie o naszej sprawiedliwości i naszym zbawieniu. Można grzeszyć i być zbawionym, byleby grzesząc miało się przekonać, że się nie grzeszy, ale, że grzechy człowieka przypisują się Chrystusowi, który za nie złożył okup.

Oto podstawowy dogmat nauki Lutra. Skrajny subiektywizm religijny. Już Erazm z Roterdamu, świadek Lutrowej kariery, niepodieczany o stronnictwo, nazwał go doktorem hyperbolicznym. Myśl Lutra nie biegła po linii logicznego rozumowania, ale po najbardziej kapryśnej hyperboli subiektywnych i egocentrycznych przeżyć i kombinacji.

Dla Lutra nauka katolicka o zbawieniu, o potrzebie uczynków, o współdziałaniu człowieka z łaską, była rodzajem pelagianizmu, a tymczasem sam niepostrzeżenie wpadł, jak głęboko zauważa Maritain, w pelagianizm rozpaczny. Nie uczynki, nie życie czyste, nie łaska Boża, nie posłuszeństwo i jedność z Kościołem, ale na wskroś subiektywne uczucie, czy przeświadczenie o pokryciu grzechów przez zasługi Chrystusa, jest podstawą zbawienia. A więc wbrew zasadzie Lutra o koniecznej grzeszności i braku wolnej woli, całe zbawienie zależy ostatecznie wyłącznie od człowieka, od jego subiektywnego przeświadczenia, że jest już sprawiedliwym przez zasługi Chrystusa.

Dalsze punkty nauki Lutra będą już tylko konsekwencjami z podstawowych założeń. Zasada skrajnego subiektywizmu religijnego, oto istota tej nauki, oto również istota niekatolickiego ujęcia chrześcijaństwa, które poczęło się przez Lutra, a trwa po dzień dzisiejszy. Czynnikiem obiektywnym w chrześcijaństwie było papieństwo, było nieustające *magisterium ecclesiae*, stały urząd nauczycielski, oparty na Piśmie św., nauce ojców, teologów, a przede wszystkim na nieomyślności papieża. W miejsce tego obiektywnego czynnika, na którym oparty jest cały katolicyzm, całe życie katolickie, Luter wprowadził czynnik subiektywny. Subiektywna wiara jest jedynym sposobem zbawienia; Pismo św. zawiera wprawdzie mowę Boga do człowieka, ale znowu interpretacja tej mowy zostawiona jest

każdemu człowiekowi. Tylko przez niekonsekwencję zachował Luter niektóre obiektywne środki uświęcenia, np. sakramenty; następcy idąc dalej i wyciągając konsekwencje z jego założeń, będą odrzucać sakramenty, jako obiektywne środki uświęcenia, a przyznają im tylko znaczenie symboliczne. Ostateczne zaś wnioski z założeń Lutra, z jego subiektywizmu religijnego wyciągnię z jednej strony skrajny racjonalizm i agnostycyzm religijny, a z drugiej współczesny modernizm.

Wystąpienie Lutra spotkało nieprawdopodobne powodzenie. Dlaczego? Nie trudno nam na to pytanie odpowiedzieć, gdy mamy przed oczyma uwagi z pierwszej części tego artykułu. Luter swym zuchwałym krokiem wyzwolił nagromadzone w duszach napięcia, żale, namiętności, marzenia. Każdy w jego buncie znajdował to, co mu odpowiadało, co mu było potrzebne; ludzie słabi ewangelie łatwizny życia, usprawiedliwienie dla słabości woli; ludzie niewierzący zachętę do otwartego zerwania z Kościołem; książęta i panujący świetną sposobność załatwienia porachunków z duchowieństwem i łatwej grabieży dóbr kościelnych; szlachta sposobność uwolnienia się od niewygodnych dla niej więzów sądownictwa kościelnego, dziesięcin i przywilejów stanu duchownego. Ogromny procent odstępstw od katolicyzmu miał przyczynę nie w trudnościach dogmatycznych, ale w powodach natury osobistej, gospodarczej i politycznej. Wystarczy przypomnieć Henryka VIII lub Gustawa Wazę, szwedzkiego króla, lub stosunki polskie. U nas reformacja miała podłoże przede wszystkim polityczno-gospodarcze. Gdy szlachta uzyskała zniesienie jurysdykcji sądów duchownych i różne ulgi w sprawie dziesięcin, wróciła równie łatwo do Kościoła jak łatwo od niego odpadła; jedynie arianizm był ruchem religijnym poważnym i głębszym.

W samych początkach sfery kościelne nie zdawały sobie sprawy z doniosłości dokonywujących się przemian i z wielkości niebezpieczeństwa. Dopiero ruiny, dopiero odpadanie całych państw i narodów, dopiero powodzenie Lutra i powstanie nowych herezji uświadomiło grozę niebezpieczeństwa i wywołało z każdym rokiem potężniejącą kontrakcję, nazwaną reformą Kościoła, wspaniałym jego odrodzeniem. Tu Kościół okazał znowu zdumionym oczom

swoją wieczystą żywotność, zdolność odradzania się i reformowania swymi własnymi wewnętrznymi siłami. Inicjatywa akcji odrodzeńczej, jak zawsze w okresach wielkiej twórczości religijnej, szła od centrum, tj. od Stolicy św. i od obwodu tj. od wiernych. W Kościele zjawiają się wielkie jednostki, wybitne, święte i jako wodzowie stają na czele ludzi dobrej woli do walki i pracy. Papieże: Paweł III, IV, św. Pius V, Grzegorz XIII, Sykstus V, święci: Karol Boromeusz i jego oratorianie: Filip Neri, św. Ignacy Loyola z towarzyszami, jego uczniowie: Piotr Kanizy i Robert Bellarmin, św. Teresa od Jezusa, św. Jan od Krzyża, św. Piotr z Alkantary, św. Kajetan, założyciel teatynów, św. Franciszek Salezy z wizytkami, św. Wincenty à Paulo z lazarystami i szarytkami; a u nas w Polsce Hozjusz, Kromer, Batory, Skarga, Warszewicki i Wujek; oto nieco nazwisk, które każde z osobna świeci wspaniałym płomieniem wielkości, a wszystkie razem wzięte składają się na niezrównany w swej piękności i potędze obraz Kościoła XVI w. Na przekór pozorom słabości i upadku Kościoła XVI-wieczny wykazał zdumiewającą aktywność i żywotność. Straty poniesione w Europie powetował zdobyczami w krajach misyjnych; nie tylko się bronił, ale zdobywał, zagarniał, zwyciężał.

Droga z Rzymu do Wittenbergi, natłoczona z początku tłumem, zdążającym tam jak do Mekki, żadnym nowego objawienia z ust Lutra i jego wielkiego współpracownika a właściwego organizatora luteranizmu, Filipa Melanchtona, — zaczęła się wnet przerzedzać, a zapełniała się znowu droga powrotna z Wittenbergi do Rzymu. Tysiące najszlachetniejszych jednostek, które nie dla celów doczesnych, ale z powodu wewnętrznego rozdarcia szukały prawdy w Wittenberdze, bardzo prędko znalazły tam rozczarowanie. Rosnące z dnia na dzień rozbicie protestantyzmu, coraz nowe sekty i odłamy, coraz inni prorocy i mesjasze — dyskredytowali ruch pseudoreformacyjny w umysłach światłych i dawali katolickiej apologetyce potężny argument do walki. Zamieniać autorytet Kościoła, papieża, soboru na autorytet wymysłów Lutra czy kaprysów krwawej Elżbiety lub chciwego Gustawa Wazy? Nie! To było za wielkie poniżenie dla ludzi myślących! I dlatego począł się powrót z Wittenbergi do Rzymu!

Ten powrót trwa po dzień dzisiejszy!

Bo przeciwstawienie: Rzym — Wittenberga jest po dzień dzisiejszy aktualne, rzeczywiste, jak rzeczywiste jest także inne przeciwstawienie: Rzym — Bizancjum, mimo, że drugie człony tych przeciwstawień są już tylko symbolami. Po 400 latach przeciwieństwo katolicyzmu i protestantyzmu nie straciło nic ze swojej ostrości. Gdyby było inaczej, gdyby między katolicyzmem a protestantyzmem nie zachodziło istotne przeciwieństwo, wytworzyłaby się sytuacja wprost nie do zniesienia, sytuacja dla obu wyznań kompromitująca, tragiczna. Wybitny teolog katolicki, Jan Adam Möhler, powiedział w ubiegłym jeszcze wieku: „Pogląd, że między obu wyznaniem nie zachodzi żadna poważna i aż do głębi chrześcijaństwa sięgająca różnica, musi prowadzić tylko do wzajemnej pogardy; albowiem przeciwnicy, którzy mają świadomość, że nie posiadają żadnych wystarczających powodów przeciwstawiania się sobie, a mimo to przeciwstawiają się, mogą sobą tylko pogardzać” (Przytacza R. Grosche: *Pilgernde Kirche*, str. 109).

W kościele katolickim cały proces religijności oparty jest na zasadach obiektywnych, ustalonych, metafizycznych. Obiektywny jest nieomylny, najwyższy urząd nauczycielski, uosobiony w Piotrze — Opoce, obiektywna jest stała i rzeczywista obecność Chrystusa i Ducha Przenajśw. w Kościele, Chrystusa jako głowy mistycznego Ciała, a Ducha Św., jako duszy, obiektywny i ustalony depozyt prawd wiary, obiektywne, konkretne i zewnętrznie poznawalne są sakramenty, widome znaki łaski niewidzialnej, niemniej jednak rzeczywistej; obiektywna, konkretna i ustalona jest organizacja Kościoła, jego monarchiczny ustrój z widzialnym urzędem nauczycielskim, sędziowskim i kapłańskim.

A mimo, że wszystko w Kościele jest ustalone, z góry dane, to przecież właśnie w obrębie i pod wpływem tych od woli wierzącego niezależnych czynników, wykazuje Kościół zawsze niesłychanie bujną żywotność, zdolność przystosowywania się do okoliczności, miejsca i czasu i przetwarzania i kształtowania życia na modłę Chrystusową. W tym właśnie obiektywizmie Kościoła jest jego niespożyta siła i wielkość.

Jak znowu w subiektywizmie religijnym leży słabość protestantyzmu. W nim właściwie nie ma nic stałego, określonego, zdecydowanego. Nie istnieje żaden czynnik jedności; nie ma go ani w nauce, w dogmatach, bo te nie obowiązują, bo one w każdej sekcje są inne; pojemność protestantyzmu pod względem wierzeń jest nieograniczona, obejmuje on zarówno mniej więcej prawowierny luteranizm i jakiś fideistyczny deizm przeróżnych sekt amerykańskich. Nie istnieje dalej żaden czynnik jedności w liturgii, w służbie Bożej, w organizacji. Ostatecznie cała wiara i cała religijność istotna sprowadza się do na wskroś subiektywnego, dowolnego stosunku indywiduum do Boga. Najwyżej tylko pomocą w utrzymywaniu tego stosunku może być Pismo św. dowolnie rozumiane, lub pewne praktyki czy obrzędy religijne, nie posiadające jednak, jako czyste symbole, żadnej obiektywnej wartości. I w tym właśnie leży słabość protestantyzmu i przyczyna jego rozbicia na niezliczone wprost sekty.

Słabość ta występuje jaskrawo za naszych czasów wobec nowego przeciwstawienia, jakie się w naszych oczach utworzyło. W tym przeciwstawieniu z jednej strony jest Kościół razem ze schyzmą i razem z protestantyzmem, czyli całe chrześcijaństwo, a więc i Rzym i Bizancjum i Wittenberga, a z drugiej Babilon nowoczesny, królestwo antychrysta, które do niedawna symbolizowała nam Moskwa, a dziś razem z Moskwą symbolizuje Berlin, czy Berchtesgaden, czyli neopoganizm czerwony i rasistowski. W tej walce, jaka się dziś toczy między chrześcijaństwem a ateizmem, Kościół katolicki jest jedynym, który nie tylko zwycięsko wytrzymuje ataki, ale zdobywa, daje duszom oparcie, siłę, poczucie jedności i pewności. On jest naprawdę w tych światowych zapasach ducha jedynym groźnym przeciwnikiem. Hołd jaki cały świat złożył niedawno zmarłemu Papielowi, Piusowi XI i jego następcy Piusowi XII, jest olśniewającym, wspaniałym dowodem, że jedyną ostoją człowieczeństwa, wolnego, odkupionego krwią Zbawiciela jest *Roma Aeterna*.

Ks. Śf. Bednarski T. J.

Europa w poszukiwaniu nowych podstaw równowagi.

I.

Nieustanne podróże mężów stanu i dyplomatów po rozmaitych stolicach Europy, ożywiające w ostatnich miesiącach wzajemne stosunki różnych państw, świadczą dowodnie o intensywnym poszukiwaniu nowych dróg międzynarodowego współżycia. Wędrówki do Genewy, będące symbolem powojennego układu międzypaństwowych sił, straciły całe swe dawniejsze znaczenie i niemal zupełnie przestały obowiązywać. Zamykając w ten sposób jedną epokę swych dziejów, stanęła Europa na progu innej, nieznanej. Ta dzisiejsza rzeczywistość Europy, usiłującej z niepokojem kształtować nowe formy swego życia, spowodowała autora wstępnego artykułu *Revue Politique et Parlementaire* (10/I 39) do rzucenia gorzkiej uwagi, że „Europa z 1914 r. była wzorem stałości w porównaniu do tej z 1938 r.“

Powojenna Europa tworzyła formy swego życia na zrodzonych wojną przesłankach. „Na skutek bowiem wojny — jak mówi prof. Dupuis¹⁾ — powstał ruch umysłowy, analogiczny z tym, jaki wytworzył się przy końcu wojen rewolucyjnych i imperialnych. Ruch ten cechuje: zmęczenie plagą wojny i potężne pragnienie pokoju. Stąd też, jak się zdawało, polityka ponownie poszukiwać będzie właśnie w prawie gwarancyj, zabezpieczających pokój przyszłości. Pakt Ligi Narodów, inspirowany przez prezydenta Wilsona, miał na

¹⁾ Ch. Dupuis: *La politique et le droit*.

celu podporządkowanie fantazji polityki imperatywnej władzy prawa". W samej swej istocie normy paktu Ligi, jak i aktu Świętego Przymierza, wychodziły z identycznych założeń. Traktat z Akwizgranu, podpisany w r. 1818 przez pięć wielkich mocarstw Europy, wyraźnie mówił, że:

...związek nie będzie miał innego celu jak utrzymanie powszechnego pokoju, opartego na religijnym poszanowaniu zaciągniętych w traktatach zobowiązań i całości wpływających z nich praw...

Oba te akty, jednakowo zrodzone z mistycznych ideałów, przetworzono jednak prawie natychmiast w narzędzie hegemonii określonych tylko mocarstw. Akt Wersalu, mający uświęcić zasadę równości narodów wobec prawa i powszechnej swobody ich rozwoju, stał się instrumentem, umożliwiającym skuteczne czuwanie zwycięzców nad zwycięzonymi i stałe podporządkowywanie ich woli wolę niemal ogółu mniejszych państw. Stan taki nie mógł oczywiście trwać zbyt długo. Dlatego też, jak system Metternicha, którego Święte Przymierze było ostoją, wywołał „wiosnę ludów”, tak samo spaczony ideał Ligi Narodów, spowodował rewoltę zwyciężonych i zgasił zapal do jego obrony u mniejszych państw, niemniej poszkodowanych jego wadliwym funkcjonowaniem.

Zawiedzione w kolektywnym zagwarantowaniu swego bezpieczeństwa, zwróciły się państwa Europy do innych metod. Od pewnego czasu możemy więc obserwować powolny lecz konsekwentny nawrót europejskich stosunków międzynarodowych do dwustronnych umów politycznych, tak honorowanych w okresie przedwojennym, a dlatego też wykłętych paktem Ligi Narodów i założeniami jej czynnej polityki.

Poszukując innych, niż ligowe, sposobów zabezpieczenia swego bytu i swego rozwoju, każde z tych państw usiłuje przeciwstawić ewentualnie grożącym mu niebezpieczeństwom oparty na aliansach ich równoważnik. Duża rozpiętość w siłach militarno-gospodarczych, którymi dysponują różne państwa Europy, zmusza mniejsze wśród nich do pomnażania dwustronnych umów z krajami, którym grozić mogą podobne niebezpieczeństwa. W tym właśnie leży

główna przyczyna ostatnio występujących dążeń do harmonizowania polityki poszczególnych państw w regionalnych ich ugrupowaniach.

Kryzys wrześniowy, a zwłaszcza marcowe akty brutalnej siły zaborczej nasunęły mniejszym państwom obawy, że w ewentualnym regulowaniu spornych spraw pomiędzy wielkimi mocarstwami, one właśnie będą musiały ponieść konsekwencje mocarstwowych targów. Uporczywie powtarzające się pogłoski o projektach zaspokojenia i uspokojenia Niemiec kosztem belgijskich czy holenderskich i portugalskich kolonij, mogą tym bardziej utrwalić takie obawy. Zrozumiałą staje się więc rzeczą, że warunki obecnego rozwoju Europy wywołują potrzebę liczniejszego grupowania się mniejszych państw, ponieważ takie tylko ich zespolenie utworzy siły, zdolne do przeciwstawienia się ewentualnym nakazom, dyktowanym przez wielkie mocarstwa. Z takich to powodów zaistniały, jak sądzimy, w obecnej Europie wszelkie warunki dla szerszego stosowania klasycznych zasad polityki równowagi.

Historyczne precedensy takiej polityki dostarczają obfitego materiału dla studiów i naśladownictwa. Przemawiając w r. 1866 w Izbie francuskiej, Thiers tak ją zdefiniował:

...równowaga Europy związana jest z nieustannym wysiłkiem wszystkich jej państw w czuwaniu jednych nad drugimi i we wzajemnej obserwacji, żeby nikt spośród nich nie rozrósł się do wymiarów groźnych dla wspólnej ich niezależności, oraz w zespoleniu ich zabiegów dla przeciwstawienia się takim właśnie zamiarom w interesie określonej równowagi europejskich sił...

Definicja tegoż samego pojęcia, rozwinięta przez von Gentza na Kongresie Wiedeńskim, niemniej wyraźnie ujmuje konkretne cele takiej właśnie polityki. Według niego jest ona bowiem

...organizacją, dzięki której spośród istniejących obok siebie, lub złączonych ze sobą jakimiś węzłami, państw, żadne z nich nie będzie mogło zagrozić niepodległości i żywotnym prawom drugiego bez równoczesnego napotkania skutecznego oporu, a w konsekwencji i bez związanego z tym dla siebie niebezpieczeństwa...

II.

Trzecia Rzesza zjednoczonego narodu niemieckiego jest dziś niewątpliwie głównym powodem wszelkich wstrząsów w stanie europejskiej równowagi.

Dotychczasowe bowiem ukształtowanie Europy wychodziło z założeń istnienia potężnych państw Zachodu, których zbytnią arbitralność łagodzić miała Liga Narodów, oraz osłabionych wojną Niemiec, których tendencje rewizyjne hamować miał szereg aliansów. Rok ubiegły radykalnie wszystko to zmienił. Zamiast rozgromionego w wojnie państwa, w samym sercu Europy znalazło się osiemdziesięciokilko-milionowe mocarstwo, ożywione duchem dwu wspaniałych, bez strzału odniesionych zwycięstw i geograficznie położone na szlaku głównych komunikacyjnych linii wschodu i południa Europy.

Oszołomienie, które wśród mocarstw Europy wywołały te piorunujące osiągnięcia Rzeszy, udzieliło się, jak się zdaje, jej własnym władcom. Niespodziewane bowiem chwile triumfu zdeorientowały politykę Niemiec, to też widzimy jak poszukuje ona dalszych dróg ekspansji w najrozmaitszych kierunkach. Południowy wschód, wschód i wreszcie zachód Europy, kolejno wysuwają się na naczelne miejsca niemieckich zainteresowań.

Realizacja *Anschluss'u* odrodziła austro-węgierskie tendencje ekspansji ku Adriatykowi, wzdłuż Dunaju i na Bałkany. Szeroko rozwijane plany niemieckiego marszu w południowo-wschodnich kierunkach Europy obudziły jednak czujność Italii. Ona bowiem zawsze bywała pośrednią lub bezpośrednią ofiarą takich właśnie w przeszłości wysiłków Wschodniej Marchii Niemiec. Akt włosko-brytyjskiego zbliżenia był bezpośrednią na to odpowiedzią. Zabiegi Italii w konsolidacji politycznych stosunków w basenie Dunaju i na Bałkanach, pośrednio ją uzupełniły. Niemniej w tej dziedzinie zdecydowany wysiłek osiadłych tu narodów, walcie przyczynił się do ostudzenia pierwszego zapалу w wielko-niemieckim planowaniu.

Aneksja Sudetów, zabór Czech i Moraw, polityczne opanowanie Słowacji a częściowo i Węgier wywołały wschodnie rojenia Niemiec. „Ukraińne” plany, tak głośnie w epoce po-monachijskich sukcesów znalazły jednak niemniej zdecy-

dowaną odprawę. Odmłodzenie polsko-sowieckiego paktu nieagresji, było jednym z tych aktów ostrzegawczych, że droga w tym kierunku nie jest całkowicie wolną. Zdecydowana postawa leżących tu państw do obrony ich wszechstronnej niezależności, mimo jeszcze istniejących pomiędzy nimi nieporozumień, była wskazówką, że ich chęć do najczynniejszej współpracy nie jest równoznaczną z uznaniem niemieckiej hegemonii. Piszący w tych sprawach moskiewski korespondent *Temps'a* (24/I —39) zaznacza, iż

...stwierdza się tutaj, że środowiska sowieckie są, jak się zdaje, mniej obecnie niż przed miesiącem zaniepokojone możliwym rozwojem ukraińskiej sprawy. Jest się bowiem skłonny do wierzenia, że kilka prób przekonały Niemcy, iż napotkają one ze strony polskiej bardziej poważne przeciwdziałanie niż to pierwotnie przypuszczały...

Konieczność wyżywienia osiemdziesięciu kilku milionów obywateli, potężny przemysł, rozbudowany znacznie ponad własne potrzeby, oraz olbrzymie braki w surowcach i żywności, zmuszają Niemcy do energicznej ekspansji na zewnątrz. Państwa Europy Środkowej, walczące o możliwości niezależnego i wszechstronnego rozwoju, nie chcą oczywiście i nie mogą zostać rodzajem niemieckiej kolonii. Gdyby jednak Niemcom udało się opanować nawet całość ich zagranicznego handlu, to i tak dalekie to jeszcze będzie od zupełnego nasycenia wszystkich niemieckich potrzeb. Zagraniczna wymiana Polski, Węgier, Jugosławii, Rumunii i Bułgarii stanowi bowiem niecałe nawet 25% przypuszczalnych zagranicznych obrotów nowej Rzeszy.

Elementarne wymogi politycznej niezależności zmuszają więc państwa Środkowej Europy do kategorycznego przeciwstawienia się planom, czyniącym z nich bierny tylko pomost, umożliwiający Rzeszy eksploatację bogactw Ukrainy, Kaukazu czy Bliskiego Wschodu. Nie inne też motywy przemawiają za polityką ich przeciwdziałania monopolistycznemu opanowaniu ich handlu przez Niemcy. W granicach jednak tych zastrzeżeń współpraca ich z Rzeszą może się okazać korzystną dla obu pertraktujących z sobą na stopie równości stron. Do pewnego bowiem stopnia uniezależni ona gospodarstwo niemieckie od jego zachodnich rywali.

Jeżeli więc wschodnia bariera, przy mocnym poparciu zachodnich mocarstw, zacieśnia zdecydowanie ekspansję Niemiec w ograniczone naturalnymi warunkami ramy, to możliwości na morskich i oceanicznych drogach napotkają niewątpliwie bardziej sztuczne przeszkody. Stąd też można sądzić, że inicjatywa Italii, pociągająca za sobą Rzeszę w wielkiej kolonialnej ofensywie, okazać się może zbawienną dla Europy. Otwierając bowiem przed Rzeszą naturalne drogi najszerzej ekspansji, uchroni liczne narody Europy przed walką o ich niezależność od niemieckiej przewagi. Odstępując Niemcom parę kolonij, gospodarczo przeważnie zaniedbanych, mocarstwa Zachodu niewiele utracą, umożliwią natomiast stworzenie niemieckich etapów na oceanach, rozszerzających ich światową ekspansję, która może się okazać potrzebną w walce o prawa Europy na innych kontynentach.

Stąd też coraz wyraźniej kształtują się formy kolonialnych żądań Niemiec. W swej mowie w Monachium 8/XI 38, wskazał Hitler, iż

...niejeden raz deklarowaliśmy już, że nic nie chcemy od tych krajów (Francji i W. Brytanii) prócz przywrócenia naszych kolonij, które były nam odebrane wbrew wszelkiemu prawu.

Ustęp kolonialny styczniowej mowy w Reichstagu powtórzył mniej więcej tę samą formułę rewindykacyjną. Jednak ogólne nastawienie tej mowy, oraz powiązanie kolonialnych spraw z innymi, nadało mu szczególną wartość. To też nic dziwnego, że komentując tę mowę, wstępny artykuł *Temps'a* (1/II 39), podkreśla, że *Führer* „rozwinął znaną tezę kolonialnych rewindykacji Rzeszy z większą niż dotychczas siłą”.

Wobec oczekiwanego zwrotu Niemiec ku morzu i koloniom, mocarstwa Zachodu w pierwszym oczywiście rzędzie zmuszone będą do określonego ustosunkowania się względem Rzeszy i ściśle z tym związanej europejskiej polityki.

Uświadamiając sobie poniesioną porażkę w swej środkowo-europejskiej polityce, mocarstwa Zachodu zaczynają coraz lepiej zdawać sobie sprawę z konieczności pewnych kolonialnych ofiar. Poważne rozważania tych spraw skła-

niają nawet najbardziej dotąd odporne militarne środowiska do określonych w tej dziedzinie ustępstw. Jak bowiem twierdzi lord Noel Buxton¹⁾

...szereg autorytetów sądzi, iż ze strategicznego punktu widzenia, kolonie w niemieckim posiadaniu okazać się mogą czynnikiem pokoju, jako zmuszające ich posiadaczy do unikania ryzyka wojny z obawy ich utraty...

Według tejże opinii, znane oświadczenia min. kolonij w brytyjskim parlamencie oraz premiera Francji, odrzucające wszelkie możliwości cesyj kolonialnych, nie rozwiązują ostatecznie sprawy. Minister bowiem brytyjski nie powiedział: *No, never!* jak go wzywała do tego opozycja. Stąd też, jak sądzi lord Buxton, odrzucenie niemieckich pretensyj spowodowane było obawami, że „rząd nazistowski nie będzie chciał przyczynić się do powszechnej pacyfikacji“. Czyli innymi słowy, wszelkie ustępstwa kolonialne ściśle są związane z istotnymi gwarancjami pokoju.

Nie inaczej, pomimo innych pozorów, przedstawia się ta sama sprawa i we Francji.

Ewolucja francuskiej opinii jest wysoce znamiennej. O ile bowiem natychmiast po Monachium Francja skłonna była odwrócić się od Europy i szukać ratunku w rozbudowie kolonialnego imperium, obecnie uświadamia sobie coraz lepiej ścisłą łączność tych spraw. Charakterystyczne są w tym względzie słowa Pertinax'a,²⁾ mówiącego, że:

...wypadki są w trakcie nauczania nas — ponieważ premier i minister spraw zagranicznych zapomnieli naukę przeszłości — że nie można równocześnie ulegać hegemonii jednego mocarstwa w Europie i pretendować do zachowania bogatej domeny kolonialnej... Rezultaty kontynentalnego zwycięstwa nie dadzą się bowiem ani ograniczyć, ani oddzielić. Ktokolwiek bowiem dyktuje prawa Europie, będzie również je ustanawiał na zewnątrz jej, i to we wszystkim tym co się tyczy podległych europejskim mocarstwom terytoriów Afryki i Azji, zmuszając je do ich odstąpienia.

W tym ścisłym właśnie związku zagadnień światowych, tkwią główne przyczyny nawrotu państw Zachodu ku aktyw-

¹⁾ *Contemporary Review*, styczeń 1939.

²⁾ *Europe Nouvelle*, 21/I 39.

nej polityce w Europie, a w jej środkowej połaci w szczególności.

...Jasnym jest i uzasadnionym — jak sądzi wzmiankowany wyżej lord Noel Buxton — że Niemcy utrzymywać będą rozwinięte stosunki z krajami południowo-wschodniej Europy, będącymi ich naturalnym rynkiem zbytu i źródłem surowców. Co jednak jest zupełnie nieuzasadnione, to właśnie plany narzucenia Bałkanom przez Niemcy, jednostronnie dla Niemiec korzystnych interesów, oraz wypływające stąd możliwości zawierania pod groźbą politycznych umów z tymi państwami w ustanowionej przez Niemcy formie. Kraje bowiem wschodniej Europy winny pozostać politycznie niezależnymi i gospodarczo zdrowymi.

Stwierdzając te konieczności tenże sam autor wnioskuje, że:

...nie znaczy to bynajmniej żeśmy winni zapobiec dokonywaniu przez Niemcy wielkich transakcyj w państwach wschodu Europy. Winniśmy tylko zapewnić tym ostatnim taki stopień ekonomicznej i politycznej pomocy, który umożliwiłby im podejmowanie tych spraw na równej z Niemcami stopie, bez poświęcenia ich gospodarczej i politycznej niepodległości...

Wyciągając dalej konsekwentne z tego wnioski, uważa ponadto autor, że W. Brytania w szczególności będzie musiała poddać rewizji swój system, ustanowionych w Ottawie preferencyj imperialnych, które

...w niczym nie ulepszyły handlu nie-brytyjskich krajów z nami, a wyraźnie zmierzają do wepchnięcia południowo-wschodniej Europy w nazbyt gorące objęcia Niemiec...

To ponowne zwrócenie się Zachodu do środkowo-europejskich zainteresowań nie zostało przychylnie potraktowane przez Niemcy. Jak bowiem pisał berliński korespondent *Temps'a* (29/I 39)

...aluzja min. Bonnet'a do przyjaźni i aliansów Francji na wschodzie Europy wywołała tu niezwykle żywą reakcję. Pisma, a ich postawa zgadza się całkowicie z opinią Wilhelmstrasse, uważają za rzecz niedopuszczalną, żeby Francja interesowała się nadal tą połacią Europy...

Potwierdzenie tej opinii znaleźć można w mowie Hitlera z 30 stycznia, kiedy to po oświadczeniu, że Austria

i Sudety zaanektowane zostały wbrew woli Europy, kontynuował on słowami:

...nie potrzebuje was (posłów Reichstagu) zapewniać, że również i nadal nie będziemy tolerować, żeby państwa Zachodu wtrącały się do spraw, które ich nie interesują, dlatego tylko, żeby przeszkodzić nam w znalezieniu naturalnych i rozsądnych rozwiązań...

Wreszcie wystąpienie Chamberlain'a, uzgodnione najzupełniej z Francją, zawarcie przymierza odpornego z Polską i rozszerzenie analogicznych aliansów na wschodzie i południowym wschodzie Europy wywołało w Berlinie żywą reakcję oburzenia. Krok ten demokracji Zachodu tłumaczy się jako zbrodniczą chęć okrażenia Niemiec.

Pewną rolę w ukształtowaniu politycznej równowagi Europy grać będą także zgrupowane na zachodzie mniejsze państwa.

Geograficzna pozycja tych państw, oraz ich bogaty stan kolonialnego posiadania, wyznaczyć im mogą poważne nawet zadania. Dopóki jednak Europa pozostawać będzie w stanie fermentacji i wyraźnej w jej polityce przewagi dwu rywalizujących wielkomocarstwowych bloków, wysiłki tych państw zmierzać będą do zachowania możliwie kompletnej neutralności w tej zaciętej rywalizacji o prymat w Europie. Stanowisko to zmieniać się oczywiście może w miarę kształtowania się poważnych sił poza obrębem tych dwu bloków. Na razie jednak konkretnym wyrazem ich wspólnych poglądów jest ich deklaracja, złożona dnia 23/IX 38, na ostatnim zgromadzeniu Ligi Narodów. Jej bowiem nastawienia stwierdzają dowodnie, że dążeniem tych państw jest staranne usuwanie tego wszystkiego, co mogłoby wywołać choćby cień przypuszczeń, iż ich polityka może być skierowaną kiedykolwiek przeciwko któremukolwiek z wielkich mocarstw.

Szczególna rola w tym zespole państw zachodu przypadła do niedawna całkowicie zapomnianej Hiszpanii. Jej wysunięta na dwu morzach pozycja musiała zwrócić uwagę mocarstw, rywalizujących o przewagę na tych właśnie morzach. Tak Niemcom jak i W. Brytanii chodzi tu o zdobycie możliwości niekępowanego użytkowania hiszpańskich portów. Dla Italii i Francji przyjaźń hiszpańska ma oczy-

wiście daleko większe znaczenie. Z jej terytoriów może bowiem Italia zagrozić bezpieczeństwu Gibraltaru, utrudnić komunikację w zachodnim basenie Śródziemnomorza, a łącznie z Niemcami zamknąć Francję w nieprzyjacielskim pierścieniu.

Zwycięstwo gen. Franco, zapowiada wzmożenie się niemieckich i włoskich wpływów w Hiszpanii. Nie można jednak przypuszczać, że po ustabilizowaniu się nacjonalistycznych rządów, Hiszpania bez zastrzeżeń podporządkuje się autorytatywnym państwom Europy. Przeciwnie temu przemawiają bowiem najrozmaitsze względy: jej geograficzna pozycja i jej gospodarcze potrzeby, uzależniające ją od morskich i zasobnych mocarstw Zachodu, oraz duma narodowa, marząca o rozbudowie politycznych związków z hiszpańską Ameryką, gdzie totalne państwa nie mają wielkiego uznania. Doświadczenie ujemne z modelowaną na włoskim wzorze dyktaturą Primo de Rivery przemawiać może za takimi również przypuszczeniami.

W świetle tych rozważań, można zaryzykować twierdzeniem, że w kształtującym się obecnie politycznym układzie Europy żadne z mniejszych państw Zachodu nie da się użyć jako narzędzie agresywnych planów któregośkolwiek z wielkich mocarstw.

Stosunki niemiecko-italskie tworzą kapitalną podstawę nowego porządku rzeczy w Europie.

Ostatnie wypadki pozwalają przypuszczać, że właśnie włoski partner „osi” przyśpieszył swą kolonialną inicjatywą czynne współdziałanie Niemiec. Nie ulega też wątpliwości, że na tych zachodnich, morskich i kolonialnych kierunkach ich ekspansji solidarność obu autorytatywnych mocarstw jest możliwie najpełniejszą. Mniejsza natomiast harmonia panuje w poglądzie na całokształt zagadnień środkowej Europy.

Italia, hamując zbytnią arbitralność niemieckich poczynań w tym rejonie, przyczynia się świadomie, a w każdym razie faktycznie, do skonsolidowania państwowych sił tego obszaru. Równocześnie powstrzymywanie się Niemiec od zbyt wybujałej w tym rejonie inicjatywy, utrwała sojusz obu mocarstw osi, ponieważ zgodność ich środkowo-europejskich interesów jest tylko refleksem ich solidarnego ustosunkowa-

nia się do Zachodu. Warunki środkowo-europejskiej współpracy obu dyktatorów prowadzą więc do tego, że w swych maskowanych intencjach Niemcy zmierzają do utworzenia w centrum Europy podporządkowanych sobie klientów, Italia natomiast, nieporównanie słabsza, dąży znów do zorganizowania tutaj zwartego bloku państw, zdolnego do przeciwstawienia się najrozmaitszym ewentualnościom. Zajęcie Albanii jest nie tylko rekompensatą za okupację Czech, ale i zabezpieczeniem Triestu oraz przede wszystkim wzmocnieniem militarnej pozycji Italii na Bałkanach.

Polityka włosko-niemiecka w ogólnie-europejskich ramach jest więc jeszcze wciąż uzgodniona. Stwierdza się przecież pewne wysiłki i pewne tendencje, wychodzące z różnych koncepcyj i pozwalające domyślać się, że Niemcy i Włochy zdecydowane są do obrony swych indywidualnych a rozbieżnych interesów i że w pewnym momencie nie cofną się przed przeciwstawieniem się sobie w tej wielkiej grze, której obiektem jest, jak wiadomo, poszukiwanie nowej kontynentalnej równowagi.

Dzisiejsza polityka Italii, wycieniowana starannie w niuansach, uzasadnionych koniecznością zachowania dobrych stosunków z Niemcami, co jest obecnie niezbędnym warunkiem skuteczności jej politycznej gry z mocarstwami Zachodu, nie jest jednak tworem wyłącznie ostatnich czasów. Już bowiem hr. Sforza, jako minister przed-faszystowskiego rządu, inicjując politykę zbliżenia z Jugosławią, usiłował otworzyć szerszą drogę dla współpracy ze wschodnimi sąsiadami Italii.

...Droga ta — jak sam o tym pisze¹⁾ — nie mogła być prostą i pewną jak tylko w całkowitym gospodarczym i politycznym porozumieniu, z całością państw Małej Ententy, nie wykluczającym przystąpienia doń Austrii, Węgier i Bułgarii w dniu, kiedy te państwa zrozumieją, że przyszły i nieunikniony *Drang nach Osten* będzie dla nich daleko większym niebezpieczeństwem niż dla tak wielkiego kraju jak Italia...

Świadomość, że niemiecka hegemonia w środkowej Europie niezawodnie zaciąży nad rejonem wschodniego Śródziemnomorza, gdzie Italia posiada najbardziej żywotne inte-

¹⁾ C. Sforza w *L'Esprit International* (styczeń 1939).

resy, nakazuje jej polityce powstrzymywanie wschodniego rozpędu Niemiec. Albańskie wypadki przemawiają za tym, że Italia zdecydowała się na zdobycie strategicznych pozycji na Bałkanach, pomimo iż ten jej krok ujemnie się odbija na stosunkach z Jugosławią i Grecją. Poczynania te dyktowane są jednak potrzebą jakiegoś tryumfu, mogącego dać strawę opinii publicznej, zbyt zatrzwożonej postępami niemieckiego sojusznika. Trudno oczywiście dzisiaj już sądzić w jakim stopniu zaszkodzi to politycznym osiągnięciom Italii na Bałkanach i w basenie Dunaju. Niewątpliwie jest jednak, że zbyt duże dysproporcje w gospodarczych oraz politycznych siłach Italii i Niemiec, zmuszają Italię do konsolidacji polityki środkowo-europejskich stosunków. Już dzisiaj nawet, kiedy sojusz italski przedstawia wielkie dla Niemiec walory, ich posunięcia nie zawsze oszczędzają narodowe ambicje sojusznika i zapowiadają tym szersze ich pretensje w przyszłości. Charakterystyczny pod tym względem jest szczegół, iż min. Funk w czasie swej wizyty w Rzymie dość szczerze i niedwuznacznie zaproponował Italii wprzągnięcie się do niemieckiego rydwanu, tak gospodarczo jak i politycznie. Propozycja ta nie wzbudziła oczywiście entuzjazmu w Italii.

Basen Dunaju staje się więc ponownie terenem wielkich rozgrywek europejskich, przeto osiadłe tu narody okazują coraz mniej chęci do pozostawania biernym tylko ich czynnikiem.

Różne posunięcia szeregu tych państw wskazują na to, iż zaczynają one należycie doceniać wagę polityki, konsolidującej międzypaństwowe stosunki w środkowo europejskim rejonie. Brutalne objawy siły, arbitralnie dyktującej prawa Europie, zmuszają te państwa do rozbudowy militarnej ich potęgi. Realizm politycznego myślenia mówi im jednak, że własne siły nie są wystarczające dla skutecznego przeciwstawienia się potędze, powodującej się w swych poczynaniach jedynie i wyłącznie własnymi tylko interesami. Stąd też rośnie uświadamianie sobie konieczności oparcia się o Zachód Europy, oraz o słabszego z partnerów „osi”, zagrożonego równie, przynajmniej w dalszej perspektywie, niemieckim niebezpieczeństwem.

Niemieckie zabiegi nad Dunajem i na Bałkanach a potem aneksja Austrii, Sudetów, oraz Czech i Moraw pobudziły zgrupowane tu państwa do uzgadniania swej regionalnej polityki. Przez pewien okres czasu zanosilo się nawet dość wyraźnie, że tłumienie zastarzałych antagonizmów doprowadzi do utworzenia jednolitego obronnego ich bloku. Zbliżenie bałkańskich sąsiadów do Bułgarii, oraz powolne doskonalenie się węgiersko-jugosłowiańsko-rumuńskich stosunków, były etapami tych tak pożądaných przemian.

Już aneksja Sudetów wyszczerbiła jednak wyłom w tym kształtującym się obronnym środkowo-europejskim murze. Pobudziła ona bowiem rewizyjne apetyty Węgier, oraz Bułgarii. Możliwości natychmiastowych zdobyczy uspiły czujność wobec groźniejszych lecz odleglejszych niebezpieczeństw. Dzisiejsi bowiem mężowie stanu nie grzeszą na ogół ani umiejętnością przewidywania, ani odpornością na łatwe tryumfy, zazwyczaj drogo opłacane przez następców.

Brutalnemu gwałtowi nad Czechami towarzyszyło łudzenie przez Niemcy państw o rewizyjnych nastawieniach, oraz terror, grożący zwycięskim w wojnie narodom. Ponieważ w tym czasie brakowało w Europie ośrodka, grupującego obronne jej siły, przeto całość zagrożonych tym państw musiała politykować i skrzętnie ukrywać swe istotne zamierzenia. Postępowanie Rumunii, podpisującej gospodarczą umowę z Niemcami, może być klasycznym tego przykładem.

Stosując wypróbowaną maksymę *diviae et impera*, polityka niemiecka już w zarodku potrafiła zabić wysiłki węgiersko-rumuńskiego zbliżenia. Fakt, że właśnie Węgry zależne w tej chwili od Niemiec, tworzą geograficzny ośrodek obronnego systemu środkowej Europy, odwlekl tym samym realizację naddunajskiej konsolidacji. Odwlekl jednak tylko, a nie unicestwił. Tradycyjna bowiem pruska buta wcześniej czy później zmusi całość tych państw do ponownego złączenia swych wysiłków. Paromiesięczny okres istnienia Czecho-Słowacji po zajęciu Sudetów dowodnie potwierdził niemieckie aspiracje do arbitralnego rządzenia państwami w ten lub inny sposób z nimi związanymi. Doświadczenia „usamodzielnionych” Słowaków i protegowanych Węgier nie są

bardziej zachęcające. Należy więc zgodzić się z prof. Toynbee, który twierdzi, że:

...uwzględniając szybki postęp wschodnio - europejskich państw w dziedzinie politycznego dojrzwania, łącznie z powszechnym w świecie zaakcentowaniem się nacjonalizmów, można przypuszczać, iż siła narodowego samopoczucia, dochodząca we Wschodniej Europie do najwyższych prawdopodobnie szczytów, zmusi te narody do właściwej oceny istotnej ich niepodległości i oczywiście nakaże im odrzucenie koncepcyj, pozwalających na samą tylko egzystencję w cieniu opiekuńczych Niemiec...

Jeżeli osiągnięcia Niemiec wywołały taki chaos w politycznym układzie Europy zawdzięczać to możemy bierności Zachodu i naiwnej wierze kierowniczych jego czynników w możliwość zlokalizowania i zaspokojenia niemieckich apetytów w środkowej tylko Europie. Brytyjsko-polski pakt obronny stać się może w tym względzie zwrotnym momentem w dziejach naszego kontynentu. Z jednej bowiem strony dowodzi on wyraźnego zrozumienia przez Zachód ścisłego powiązania spraw Europy, z drugiej natomiast tworzy brakujący dotychczas ośrodek oporu przeciw marszowi Niemiec ku hegemonii.

Dlatego to właśnie w dzisiejszym układzie sił Europy wzrasta coraz wyraźniej potencjalny walor państw, leżących na wschodnim pograniczu Rzeszy.

Położenie Polski na drogach bałtycko-czarnomorskiego międzymorza oraz wśród tak potężnych sąsiadów, podnosi jej znaczenie w kształtującym się statucie europejskiej równowagi, lecz zarazem ogromnie wysubtelnia i komplikuje jej polityczne poczynania. Od polskiej umiejętności utrzymania równowagi pomiędzy sąsiadującymi z nią kolosami zależy nie tylko bezpieczeństwo samej Polski, lecz także ogólny układ pokojowych stosunków Europy. Rzeczywistości te coraz szerzej uświadamia sobie europejska opinia publiczna. Już podróż min. Ribbentrop'a do Warszawy i równoczesna zapowiedź wizyty min. Ciano w Polsce, dały powód wstępnemu artykułowi *Temps'a* (16/I 39) do twierdzenia, że fakty te

...wskazują na to, iż oba totalne kraje, z zupełnie różnych niewątpliwie powodów, usiłują zjednać polskie ambicje narodowe i zaspokoić państwo, które z samej swej geograficznej sytuacji

jest decydującym czynnikiem w politycznej ewolucji środkowej i wschodniej Europy.

Nie uchylając się od pokojowej współpracy z Rzeszą polityka Polski zmierza przede wszystkim do utrzymania swej całkowitej niezależności w stosunku do obu potężnych jej sąsiadów. Stąd też gdy w pomonachijskiej Europie zaczęto lansować zbyt pochopne plany, których koszty obciążyłoby prawdopodobnie Polskę, odmłodzono polsko-sowiecki pakt o nieagresji. Jego to ogólno-europejskie znaczenie tak ocenia *L'Europe Nouvelle* (3/XI 38):

...zwracając się do Francji i Anglii Rzesza Niemiecka wykrzyknęła w ostatnich dniach: „Europa wschodnia należy już do mnie”. Obecna odpowiedź Europy Wschodniej stwierdza jednak, że tak jeszcze nie jest. Tę odważną odpowiedź rzuca ona zresztą nie tyle Hitlerowi, który, jak wiadomo, nikogo nie słucha, ile raczej mocarstwom zachodnim, które uważały za wskazane powierzyć ją swojemu losowi, opętane ustaloną a błędną ideą, że to Zachód właśnie zawsze był zmuszany do walczenia o Wschód i że Wschód nic nie może dokonać własnymi siłami.

Zdecydowana wola Polski do obrony swej niezależności walcnie się przyczyniła do zmiany tych poglądów, tak drogo przez Europę opłaconych.

Równocześnie listopadowa ewolucja w polsko-sowieckich stosunkach powinna dopomóc do uświadomienia, że Sowiety mimo wszystko stanowią poważny jednak czynnik w dziele kształtowania się europejskiej równowagi.

Można przypuszczać, że w miarę słabnięcia sowieckich mrzonek o zrewolucjonizowaniu świata i ustalania się ich wewnętrznego ładu, państwom Europy coraz łatwiej będzie wciągać Sowiety w międzynarodowe obliczenia. Nie można bowiem również pominąć faktu, że niemieckie pożądanja bogactw Ukrainy i Kaukazu, oraz ich parcie do Czarnego Morza i przyległych cieśnin jest dla Sowietów znacznie groźniejsze niż zachłanne apetyty Japonii, demonstrowane na niezmiernych przestrzeniach Azji. Stąd też należy oczekiwać, że w międzynarodowych ramach solidarność środkowej i wschodniej Europy kształtować się będzie stosownie do natężenia niemieckich wschodnio-europejskich zamierzeń.

III.

Zawiedziona w swych ligowych nadziejach Europa przeżywa obecnie niespokojny okres poszukiwania nowych form politycznej swej organizacji, dającej możność pokojowego rozwoju jej państwom. Wobec zawodu sprawionego ideałami kolektywnego bezpieczeństwa, zwracają się jej państwa do starego systemu równowagi, w którym istniejącym siłom politycznym, uważanym za nieprzyjazne, każde z państw usiłuje przeciwstawić określony ekwiwalent w najrozmaiciej formowanych aliansach i porozumieniach.

„Zasada równowagi, którą usiłowano przedstawić jako gwarancję praw każdego, nigdy nie odgrywała tej roli, ponieważ zasada ta jest tylko instrumentem, który może wywołać tak złe jak i dobre skutki, zależnie od sposobów i ducha które nim powodują”.¹⁾ Dlatego to w imię tejże samej zasady umiano tak składować rozdziały dobytka małych pomiędzy potężnych, jak również, w znacznie rzadszych wypadkach, ochraniać słabych przed pożądliwością mocarzy.

Te prawdy muszą być jak najszybciej przyswojone przez ogół małych i średnich państw Europy. Dzisiaj bowiem, kiedy wobec dwu rywalizujących wielkomocarstwowych bloków, ta trzecia Europa pozostaje politycznie rozproszkowaną, a gospodarczo całkowicie od tych mocarstw zależną, może się łatwo przydarzyć, że nasycenie tego lub owego spośród niezadowolonych mocarstw dokona się jej właśnie kosztem. Nie jest również tylko anegdota twierdzenie, przypisywane pewnemu delegatowi, uspokajającemu na ostatnim Zgromadzeniu Ligi zatrwożonych możliwościami wojny kolegów, iż nie potrzebują się obawiać wojny do czasu, póki istnieje chociażby jeden mały kraj do rozczwartowania.

Również w epoce ligowej ta trzecia Europa, złożona z mniejszych państw, nie była zbyt faworyzowana. Ówczesny jednak prymat w Europie należał do państw nasyconych i dostatecznie zajętych kłopotami należytej eksploatacji własnych olbrzymich domen. Duch Genewy, czerpiący swe żywotne soki z pewnego idealizmu, uznającego prawa

¹⁾ Ch. Dupuis: *La politique et le droit*.

wszystkich narodowości, tworzył także określone w tej dziedzinie hamulce. Inny jednak zupełnie powiał dziś wiatr nad Europą, Berło bowiem władzy nad nią wyraźnie przechodzi w ręce narodu, który słusznie czy niesłusznie, wierzy w to, iż w ciągu lat powojennych krzywdzony był i wyzyskiwany przez zwycięzców. Ten duch rewanżu, łącznie z dawną jego tradycją, niezbyt liczącą się z prawami innych, zapowiada najbardziej groźne możliwości.

W tych nowych zupełnie warunkach stara prawda, że zasada równowagi wymaga przeciwstawienia siły sile, nabiera szczególnie wyraźnych zarysów. Ona też stać się winna naczelnym dążeniem wszystkich mniejszych państw Europy, mogących jedynie w zespoleniu swych sił zbudować skuteczne tamy dla swej ochrony przed zbliżającą się niezwykle szybko nawałą. Europa Środkowa w pierwszym rządzie winna to sobie należycie uświadomić. Nie odrzucając też przychodzącej z Zachodu pomocy, w tej swej budowniczej pracy winna liczyć na swe przede wszystkim siły. Zachodnie bowiem mocarstwa zawsze zgodzą się na kompromis jej właśnie kosztem, gdy będą uważać, iż w ten sposób odwrócą od siebie grożące im niebezpieczeństwo. Kryzys wrześniowy dostatecznym jest tego dowodem.

Siły każdego międzynarodowego ugrupowania w równej mierze zależą od stopnia wzajemnego zaufania tworzących go państw, jak i od należytego ich do wszelkich działań przygotowania. Europa Środkowa, której część stanowimy a której przyszłość przysądza poważne niewątpliwie zadania w ustabilizowaniu europejskiej równowagi, szwankuje niestety w obu tych dziedzinach.

Historyczne i geograficzne warunki jej rozwoju, nagromadziły tutaj masę najrozmaitszych spornych problemów. Wkładając się w ich rozwiązywanie, państwa pochłonięte durgorzącymi sporami, nie umiały dotychczas spojrzeć w oczy znacznie groźniejszemu niebezpieczeństwu. To też opinia publiczna, szczuta przez poszukujących łatwych tryumfów „mężów stanu”, bardziej wrogo ustosunkowywała się do swych sąsiadów, grożących oderwaniem pogranicznych wiosek, niż do mocarstw, marzących o całkowitym zniszczeniu tych granic. Jak najszersze uświadomienie sobie wspólnego

niebezpieczeństwa i łagodzenie sporów o mur graniczny ze znajdującymi się w identycznej sytuacji sąsiadami, staje się wstępem koniecznym do politycznej konsolidacji określonego i tworzącego geograficzną jedność rejonu. Intensywna praca w tej właśnie dziedzinie jest najbardziej naglącym zadaniem każdego z mniejszych państw, ponieważ podsycanie ich wzajemnych nienawiści jest chętnie i skutecznie używaną bronią mocarstw, najbardziej pragnących pozbawić ich wolności.

Niedomagania w wewnętrznej organizacji całości śród-kowo-europejskich państw, tworzą niemniej poważną przeszkodę dla ich ściślejszego, a więc i skuteczniejszego w działaniu, zespolenia. Nowoczesne bowiem warunki takiej organizacji, usprawniającej jej funkcjonowanie, tak w pokoju, jak w wojnie, domagają się od niej wszechstronnej gospodarczej, komunikacyjnej i technicznej rozbudowy kraju, jego socjalnej i politycznej stabilizacji, oraz dostatecznie szerokiego demograficznego rozwoju. Z szeregu tych warunków jedynie ostatni jest w całej pełni zadawalniający. We wszystkich pozostałych, istniejące braki zmniejszają skuteczność wewnątrzno - państwowych poczynań i ogromnie utrudniają zorganizowanie współpracy tych państw w tych właśnie dziedzinach. Nawet bowiem walor siły zbrojnej, tego głównego instrumentu polityki zagranicznej, tak powszechnie dziś honorowanego, w daleko wyższym stopniu jest uzależniony od całości wymienionych rozwojowych warunków państwa, niż od bojowej postawy jej dowódców. Stąd wniosek jest prosty: bezpieczeństwo państwa wymaga zespolenia jego wysiłków z wysiłkami sąsiadów, równie zagrożonych przez wspólnego wroga. Skuteczność zaś wspólnych ich działań jest natomiast nie do pomyślenia bez intensywnej i za wszelką cenę uskutecznianej rozbudowy oraz stabilizacji podstawowych czynników każdego nowoczesnego organizmu państwowego.

Roman Piotrowicz.

Żałożenia aksjologiczne katolickiej ideologii wychowawczej.

1. Istota i formy żałożeń aksjologicznych i ich stosunek do żałożeń poznawczych.

a) O względnym i bezwzględnym wartościach.

Wyodrębnienie żałożeń aksjologicznych, tj. odnoszących się do wartości i zawierających sądy wartościujące, opiera się na podstawach logicznych i psychologicznych. Ze stanowiska logicznego sąd poznawczy, zawierający stwierdzenie istnienia wzgl. właściwości danego obiektu lub też tłumaczący jego istnienie i charakter, różni się zasadniczo od sądu wartościującego, zawierającego ocenę. Jedynie sąd poznawczy jest zdaniem w sensie logicznym, tj. zdaniem, którego treść jest przy określonym znaczeniu terminów prawdziwa lub fałszywa,¹⁾ i to niezależnie od istnienia i nstawienia podmiotu.

...Sądy „Bóg jest“, „ziemia obraca się naokoło słońca“, będą w swej treści prawdziwe, niezależne od tego, czy ktoś je wygłosi lub też czy ktokolwiek zechce uznać ich prawdziwość. Oczywiście samo pojawienie się sądu jako takiego, zależy od istnienia jakiegoś podmiotu, który go wypowie — ale jego treść jest w swej prawdziwości lub nieprawdziwości od istnienia tego podmiotu niezależna. Człowiek może wprowadzić jakieś prawdy nie uznać, nawet gdy ona ma charakter bardzo oczywisty. I o tyle nawet każdy sąd poznawczy zawiera pewien akt woli. To uznanie lub nieuznanie ze strony podmiotu nie wpływa jednak na prawdziwość treści...

Inaczej przedstawia się sprawa sądów wartościujących, tj. odnoszących się nie do istnienia, cech, relacji, czy powiązań przyczynowych danego przedmiotu, lecz do jego

¹⁾ Ajdukiewicz: *Logiczne podstawy nauczania*, str. 10.

wartości. Pod wartością rozumieć będziemy znaczenie jakiegoś przedmiotu dla jakiegoś podmiotu z określonego punktu widzenia. Wartość nie jest więc cechą przedmiotu jak jakaś właściwość; „spoczywa” ona na nim o tyle, o ile ją ktoś danemu przedmiotowi przypisuje.¹⁾ Wartość nie „istnieje” lecz „obowiązuje”.²⁾

...Tak np. wyszły z obiegu banknot może mieć wartość dla zbieracza starych pieniędzy ze stanowiska jego dążenia do posiadania możliwie obfitego zbioru — dla innych będzie to bezwartościowy papier. Miłość bliźniego jako postawa człowieka ma — jakby się zdawało — wartość dla każdego ze względu na jego dążenie do pozytywnych stosunków z bliźnimi; jeśli jednak ktoś tego dążenia nie ma i uważa za swój ideał stan walki z innymi, wtedy miłość bliźniego przestaje być wartością (odrzuć ją bolszewicy i hitlerowcy w stosunku do nieczłonków własnej grupy). Bóg — mogło by się zdawać — jest wartością absolutną dla każdego. A jednak i tu można stwierdzić dwa założenia tej oceny: po pierwsze, że uznaje się w ogóle Jego istnienie, po drugie, że chce się podporządkować swoją wolę Jego woli. Jeśli się jedno z tych założeń odrzuci, wtedy Bóg staje się wartością negatywną — albo jako „wymysł burżuazji” (negacja istnienia i potrzeby) — albo ze względu na brak woli podporządkowania się (*non serviam*). Tylko przy takim postawieniu sprawy można zrozumieć możliwość bezbożnictwa lub biblijnego buntu aniołów...

Sąd o wartości jest błędny lub prawdziwy tylko z określonego stanowiska poznawczego i przy założeniu odpowiedniej podstawy wolicjonalnej. Jest to w każdym razie inny rodzaj „prawdziwości” niż ten, który mamy przy zdaniach poznawczych. I w tych tylko granicach można się zgodzić z Behnem, że istnieją ważne powszechnie sądy wartościujące.³⁾ Sąd wartościujący: „Bóg jest najwyższą (pozytywną) wartością”, jest prawdziwy tylko dla tego, kto przyjął wyżej wymienione założenia (istnienie Boga i własną skłonność do podporządkowania się Jego woli). W razie przyjęcia tych

¹⁾ Rozchodzimy się tu z poglądami Behna (*Phil. d. Werte*, str. 26). Od wartości odróżnić trzeba zwykłe znaczenie w obrębie jakiegoś systemu, niezależne od uznania przez jakiś przedmiot (np. znaczenie słońca dla rośliny).

²⁾ Patrz S. Hessen: *Podstawy pedagogiki* tłum. dra A. Ziętarczyka. Warszawa 1931, str. 69.

³⁾ Behn l. c. 27.

dwóch warunków uznanie tego zdania za prawdziwe nie jest jednak już rzeczą dowolną, lecz logiczną koniecznością, jako wniosek, wynikający z przesłanek. Na tej możliwości dedukcyjnego wysnuwania obowiązujących sądów o wartości opiera się możliwość tworzenia uporządkowanych systemów aksjologicznych a nawet i nauki o wartościach (aksjologii). Tego rodzaju dyskursywna analiza, segregacja i hierarchizacja wartości jest oczywiście aktem czysto intelektualnym, który odróżnić trzeba od intuicyjnego wyczuwania wartości (*Wertwifferung* Behna), opartego na działaniu sumienia, oraz od uczuciowego przeżywania wartości (np. radość z odzyskania niepodległej ojczyzny) i wreszcie od pożądań, które mogą też przeciwstawiać się intelektualnej ocenie. Słusznie stwierdza Behn,¹⁾ że nasze rozstrzygnięcia, nawet gdy się dokonywują na podstawie świadomego wyboru — nie są sterowaniem na spokojnie oglądane i wymierzone wartości, lecz są zwykle przedwczesne, podyktowane uczuciami i intuicją a nie przemyśleniem. Jasność decyzji zależy przy tym niewątpliwie od jasności metafizycznego poznania.²⁾

Nasuwa się tu wątpliwość, czy, skoro uznanie pewnych wartości i ich hierarchii (jak np. to, że Bóg jest wartością najwyższą) jest konieczne dla każdego, kto poznał prawdę i nie zbuntował się przeciwko niej³⁾ — nie należy mówić o obiektywnie (tj. każdego, niezależnie od warunków jego postawy) obowiązujących wartościach? Trudno przecież uznać owo prawo np. do negowania Boga i uznawania Go za wartość ujemną — co przecież ze stanowiska każdej chyba możliwej refleksji jest obłędem. Stojąc jednak na stanowisku, że wartość zawsze odnosi się do podmiotu dla którego jest wartością (jest ona zawsze „czyjaś”), musimy przyznać podmiotowi prawo jej rozstrzygania przeciw rozumowi i uznać, że każda wartość o tyle jest subiektywna,

¹⁾ Behn 16.

²⁾ Ib. 18.

³⁾ Dla intelektualisty filozoficznego zło będzie zawsze omyłką w poznaniu wartości; wydaje nam się jednak, że jest to błędne stanowisko. Można bowiem stwierdzić jako fakt, że ludzie nieraz wybierają wartość, którą sami uznają za niższą, ale która narzuca się nieodparcie ich pożądaniom, mniej lub więcej irracjonalnym.

że jej uznanie zależy od dobrej woli i że istnieje ona tylko w odniesieniu do jakiegoś podmiotu — choćby pomyślanego — w przeciwieństwie do obiektywnego znaczenia (roli wzgl. funkcji) poznania, którego treść uznajemy — niezależnie od względności sformułowań i zrozumienia — za przedmiotową. Tak pojęta subiektywność wartości nie przeszkadza uznaniu, że istnieją wartości dla każdego prawidłowo myślącego podmiotu obowiązujące (jak właśnie Bóg, własna dusza itd.) — w przeciwieństwie do czysto dowolnych, z upodobania wynikających (jak np. ów wycofany banknot). Takie wartości, obowiązujące dla każdego możliwego podmiotu możemy nazwać wartościami bezwzględными. Gdyby jednak nie było żadnych podmiotów, wtedy i te wartości bezwzględne nie mogłyby istnieć — chyba tylko potencjalnie, choć istnieć mogłaby prawda.¹⁾

Tak określone sądy wartościujące różnią się tak zasadniczo od sądów poznawczych, że uzasadnia to w pełni wyodrębnienie założeń aksjologicznych, opartych na sądach wartościujących.

b) Przemiany sądów wartościujących.

Załoženiami aksjologicznymi jakiejs ideologii nie będą prawie nigdy sądy wartościujące w formie czystych zdań gramatycznych. Wynika to już z tego, że chodzi tu nie o własne oryginalne sądy inicjatorów czy kierowników danego ruchu ideologicznego, lecz o sądy już przejęte — mniej lub więcej bezrefleksyjnie — jako postawa duchowa danego środowiska. Gdy jakiś sąd wartościujący (np. że zbawienie duszy jest najważniejszym zadaniem człowieka) stał się wspólnym stanowiskiem całej jakiejs szerszej grupy, wówczas mówić będziemy o jej postawie wartościującej. Postawa taka może powstać przez wspólne przeżycia lub uchwały, uzgadniające stanowisko wobec jakiejs sprawy —

¹⁾ Stanowisko tu przez nas zajęte rozchodzi się z poglądami prof. Znanieckiego, który wprawdzie uznaje, że względność sprawdzianów nie jest subiektywną dowolnością i są różnie ważne sprawdziany, lecz odrzuca istnienie sprawdzianów absolutnie ważnych (*Socjologia wychowania* I, str. 283), które istotnie tylko wtedy przyjąć można, jeśli się uzna istnienie prawd bezwzględnych.

albo też może pochodzić z dawniejszej tradycji. Pierwszą nazwiemy postawą odruchową, drugą umowną, a trzecią tradycyjną. Postawy mogą być zasadnicze i akcydentalne (dotyczące rzeczy przypadkowych, drugorzędnych), stałe i chwilowe (np. nastrój wobec jakiegoś projektu).

Drugi ważny moment podziału dotyczy napięcia wolicjonalno-uczuciowego. Są postawy aksjologiczne przeżywane gorąco, nieraz z żywiołową namiętnością (np. stosunek Niemców do traktatu wersalskiego lub Polaków do zamachu na granice Państwa), są i postawy chłodne, wyrozumowane, albo też powzięte na mocy decyzji idącej przeciw własnym pożądaniam.

2. Wartości zasadnicze katolicyzmu i ich hierarchia.

Kto uznał prawdziwość założeń poznawczych katolicyzmu i jest zdecydowany przyjąć wynikające z nich konsekwencje, ten znalazł się już pod przymusem logicznym w stosunku do wartości, które w obrębie tego systemu myślowego obowiązują jako konieczne wnioski z danych już przesłanek.

a) Bóg jako wartość najwyższa.

Naczelną wartością nie tylko dla katolika ale i dla każdego człowieka religijnego jest niewątpliwie Bóg, Istota nie stworzona, Twórca wszechświata (*natura creans non creata* według określenia Eriugeny), Duch czysty, będący poza czasem i przestrzenią, wszechdoskonały i wszechdobry. Bez Boga kierującego wszystkim, świat musiałby się zamienić w chaos — pod Jego kierownictwem staje się on kosmosem.¹⁾ Bóg jest więc najwyższą wartością ze względu na możliwość istnienia świata — a więc warunkiem-przyczyną wszystkiego — łącznie z naszym istnieniem.

Uznanie Boga za najwyższą wartość jest tradycyjną postawą wszystkich prawie narodów — szczególnie chrześcijan, żydów i mahometan. Oficjalne bezbożnictwo, które jest rów-

¹⁾ De Hovre: *Le catholicisme*, str. 40. Greckie „*Kosmos*” znaczyło pierwotnie ład, ozdoba.

nocześnie negacją istnienia Boga i walką z Bogiem,¹⁾ stanowi zjawisko raczej wyjątkowe — choć jako wyraz zdecydowanego buntu (*non serviam*) stanowi ono jedną z możliwych alternatyw rozwojowych. Jest to wybuch irracjonalnych zasadniczo sił negacji, której racjonalne uzasadnienie jest tu raczej czymś wtórnym („derywacją”).

Z drugiej strony trzeba sobie z tego zdać sprawę, że dynamika motywacyjna, tj. siła nacisku na wolę ludzką, jaką wykazuje najwyższa wartość, którą jest Bóg — nie odpowiada bynajmniej znaczeniu rzeczowemu tej najwyższej wartości. Gdyby tu mogła istnieć jakakolwiek współmierność, wtedy człowiek żyłby jedynie dla Boga i przez Boga i widziałby w połączeniu się z Nim cel najwyższy i jedynie istotny swych dążeń²⁾. Wiemy jednak, że do ta-

¹⁾ Mamy tu niewątpliwie nielogiczność, gdyż nie można zwalczać tego, co... nie istnieje. Lecz tego rodzaju nielogiczności nie są zjawiskiem wyjątkowym, szczególnie tam, gdzie wchodzi w grę silne afekty. Negacja istnienia spleta się tu nierozdzielnie z nienawiścią, która jest zarazem jej podstawą. Uczucia te można rozłożyć na różne składniki i motywy, mniej lub więcej heterogeniczne, jak nienawiść klasowa, przenosząca swe uczucia z żywego przedmiotu (klasy wyzyskującej) na wszystkie jej wartości, a z kleru, rzekomo zaprzędanego burżuazji (patrz ks. Fr. Kwiatkowski T. J. *Z pogranicza filozofii i teologii*, str. 99) na cały Kościół i wszelką religię. Wprawdzie sam Marx operował zarzutem, że to chrześcijaństwo się sprzeciwiało Ewangeli (Gesammelte Schriften I, str. 260), ale niewątpliwie miał on uraz psychiczny do chrześcijaństwa w związku ze swymi przeżyciami życiowymi; przede wszystkim jednak wyniósł on ze swego talmudycznego środowiska tradycyjną nienawiść do Krzyża. Dołączyło się tu — słuszne niewątpliwie — przeświadczenie, że chrześcijaństwo jest wadliwą przeszkodą dla ruchu rewolucyjnego. Sama filozofia ateistyczna, którą Marx i jego przyjaciele przejęli od Feuerbacha, jest tu jedynie dekoracją ideologiczną czy derywacją racjonalizującą tej już istniejącej postawy. Świadczy o tym najlepiej fakt, że gdy ukazała się książka Feuerbacha, nikt z grona Marksa nie badał jej wartości (istotnie bardzo niewielkiej ze strony ciężaru filozoficznego samej myśli), lecz przejął ją zupełnie bezkrytycznie, za to z tym większym entuzjazmem jako zaspokojenie potrzeby takiej „derywacji”. *Im nu waren wir alle Feuerbachaner*, pisze o tym przejęciu Engels (W. Sombart: *Der proletarische Sozialismus* t. I, Jena 1924, str. 120).

²⁾ Choćby za cenę wyrzeczenia się wszystkiego i nawet zupełnego ogołocenia umysłu, którego domaga się Jan od Krzyża (*Dzieła* t. I. Wnijście na górę Karmelu tłum. E. Kosteckiej T. O. C. Lwów 1927, str. 124 nast.) Por. też Tomasza à Kempis *O naśladowaniu Chrystusa*. Passim.

kiego nastawienia dochodzą tylko nieliczne jednostki; odpowiada mu pojęcie świętości (oczywiście nie musi ona zawsze zyskać oficjalne uznanie przez kanonizację). Świadomość pierwszeństwa Boga jako wartości najwyższej przejawia się i w różnych hasłach („Bóg i Ojczyzna“). Istnieje ona niewątpliwie w umysłach wszystkich wierzących. Lecz napięcie uczuć związanych z tą wartością najwyższą, jest na ogół wiele mniejsze niż przy innych wartościach, w obiektywnej hierarchii zupełnie niewspółmiernych, czasowych i ważnych tylko pod kątem widzenia potrzeb chwili czy też osobistych upodobań lub namiętności — ale właśnie dlatego bliskich, konkretnych, dostosowanych do stanu psychicznego jednostki, gdy przeciwnie taka wartość najwyższa jak Bóg ma dla wielu charakter abstrakcyjny.¹⁾ Możemy tu mówić o konkretyzacji wartości, z którą wiąże się normalnie ich subiektywizacja, czyli przesunięcie punktu ciężkości z rzeczowego, uzasadnionego uznania na osobiste pożądanie. Proces ten tłumaczy nam fakty tak irracjonalne jak np. wybór, dokonany przez Judasza — i wszelkie poświęcanie własnej przyszłości dla zaspokojenia chwilowych ale za to namiętnych pożądań — a z drugiej strony tak częstą obojętność dla Boga — nawet u ludzi wierzących.

Zrozumiemy teraz, dlaczego uprzytomnienie sobie tej najwyższej wartości i rozbudzenie miłości dla Boga jest rzeczą, wymagającą tak ogromnego trudu pracy wewnętrznej — mimo że chodzi tu przecież o postulaty i postawy tak oczywiste.²⁾ Te subiektywne trudności dostępu do wartości

¹⁾ Bardziej skonkretyzowanym dla wyobraźni ludzkiej niż Bóg Ojciec a szczególnie Duch Św. jest Chrystus jako człowiek i Matka Boska, i to też, m. i. tłumaczy ogromną przewagę kultu Chrystusa i Maryi nad kultem Boga Ojca i Ducha Św. choć nie jest to logicznie uzasadnione. Gdy w pewnych kołach intelektualnych Poznania powstał projekt wzmoczenia kultu Trójcy Przenajśw. to natrafił on na trudności. Pełnia Bóstwa jest zbyt odległa i abstrakcyjna dla wyobraźni ludzkiej, bez której udziału jednak zwykły kult obyć się nie może.

²⁾ Nie docenia tego Guardini, który chce, by oczy wszystkich od razu bezpośrednio na Boga skierować, a nie na to co bliższe — na rozwój własnej osobowości (De Hovre l. c. 421). Droga na szczyty musi przechodzić różne etapy i nie można od razu dostać się na wierzchołek „Góry Karmelu“.

najwyższej nie istnieją jednak dla samego systemu katolickiej ideologii wychowawczej, który się na uznaniu tej wartości naczelnej opiera. Ta rozbieżność między subiektywnym przeżyciem wartości a jej rzeczowym znaczeniem powoduje jednak niewątpliwie silne zahamowanie dynamiki katolickiej ideologii wychowawczej.

b) Dusza nieśmiertelna jako wartość absolutna.

Skoro się uznało, że człowiek ma duszę nieśmiertelną, na podobieństwo Boże stworzoną, której losy zależą od dobrego czy złego wyzyskania wolności woli i udostępnionych przez ofiarę krzyżową źródeł łaski, wtedy musi się uznać, że jest ona wartością po Bogu najwyższą — i to z punktu widzenia 1) przeznaczenia i sensu świata i 2) losów własnych człowieka. Wartości duszy ludzkiej żaden fakt nie może lepiej uwypuklić jak ofiara Boga-Człowieka, który się sam za ludzi ofiarował. O ile się uwzględni, że dusza ludzka jest jedyną obok Boga wartością, która nie przemienia — a z drugiej strony i to, że jej losy wiecznie mają zależeć od tego, jak wyzyskała ona czas swej ziemskiej próby — wtedy musi się uznać, że zbawienie duszy jest najwyższą osobistą (tj. własnej osoby dotyczącą) wartością — wobec której wszystko inne jako przejściowe ustąpić musi, nie wyłączając interesów grupowych, które są przemijające a często i — ze stanowiska długodystansowego — źle rozumiane (np. gdy się ambicje imperialistyczne lub też chciwość cudzej ziemi identyfikuje z dobrem własnym narodu, który prędzej czy później z procentem musi zapłacić za naruszenie cudzych praw). Ten prymat interesu zbawienia duszy, wyrażają słowa Chrystusa: „Cóż pomoże człowiekowi choćby wszystek świat pozyskał, a szkodę podjął na duszy swojej“ (Marek 9, 30).

Ze zrozumieniem wartości duszy nieśmiertelnej wiąże się korelatywnie odczucie grozy grzechu. Jest ono cechą charakterystyczną wielkich reformatorów moralnych i wychowawców jak św. Franciszek z Asyżu, św. Ignacy, św. Jan Bosko. O ile to poczucie grzechu nie jest zrównoważone wiarą w odkupienie i miłosierdzie Boże i połączone z krytycznym

umiarem w jego ocenie — rodzi się z niego nieraz patologiczna skrupulatność albo też ponury kalwinizm czy jansenizm, który wycisnął trwające do dziś jeszcze piętno duchowe na postawie pewnej części katolików francuskich.

c) Wartość ciała.

Jeśli znaczenie aksjologiczne Boga i duszy nieśmiertelnej — tych dwóch wartości naczelnych w chrześcijańskim poglądzie na świat — jest zupełnie jasne i niewątpliwe — to mniej zdecydowanie przedstawia się ocena wartości ciała ludzkiego. Zaznacza się w tej dziedzinie zupełnie wyraźna ewolucja poglądów i nastawień.

Chrystus sam nie wymaga zabijania ciała. Poleca On wprowadzić posty (Mat. 6, 16; 9, 15. Mar. 2, 20) i sam dał przykład postu czterdziestodniowego, lecz posty te miały służyć ćwiczeniom w panowaniu nad sobą lub być wyrazem solidarności z męką Zbawiciela (stąd mają uczniowie pościć „gdy odjęty będzie Oblubieniec”) albo — jak u samego Chrystusa — były przygotowaniem do spełnienia misji. Nie było tu jednak nigdy tego planowego zabijania swego ciała, które przyniosły wieki późniejsze. Przeciwnie Chrystus sam podkreślał, że potrzeby ciała uznaje; chodziło Mu jedynie o to, by tych potrzeb nie stawiać na plan pierwszy i zbytnio się nimi nie przejmować.¹⁾ Nienawiść do ciała narzuciły²⁾ chrześcijaństwu raczej wpływy obce, szczególnie neoplatonizmu, dla którego ciało było rzeczą zasadniczo złą,³⁾ i gnozy, która uważała, że świat jest dziełem duchów niższych względnie złych. Pod wpływem tych prądów mógł się wytworzyć ideał, sformułowany przez św. Bazylisza, który wymagał od chrześcijanina — smutnych i spuszczo-nych oczu, zaniedbanego ubioru, rozczochranych włosów i brudnej sukni.⁴⁾ Choć skrajne to sformułowanie nie

¹⁾ Por. Mat. 6, — 8, 25, 34; Łuk. 12, 30.

²⁾ A. V. Martin: *Mittelalterliche Welt- und Lebensanschauung im Spiegel der Schriften Coluccio Salutati*, München und Berlin, 1903, str. 6.

³⁾ E. Zeller: *Grundriss der Geschichte der griechischen Philosophie*, Leipzig 1920, str. 360.

⁴⁾ H. v. Eicken: *Geschichte und System der mittelalterlichen Weltanschauung*, Stuttgart 1887, str. 130.

utrzymało się jako ideał — niemniej jednak wieki średnie odnoszą się do ciała zasadniczo negatywnie. Rychło jednak zaczyna się ten stosunek zmieniać. Ideały negacji ciała nigdy nie mogły się przyjąć wśród rycerstwa, dla którego siła i piękność fizyczna a także i godność zewnętrznego stroju były wartościami zbyt silnie związanymi z wymaganiami zawodu wojennego oraz pozycji społecznej. Dotyczyło to jednak tylko jednego stanu. Zmiana stosunku wartościującego do ciała przejawia się jako nowy ideał, uznany z czasem i przez przodującą warstwę duchowną. Proces ten zaczyna się w całej pełni dopiero na przełomie czasów nowożytnych. Jednym z wielkich poprzedników tego wielkiego przestawienia był jednak już św. Franciszek, który swój entuzjazm, z jakim się odnosił do całego stworzenia, przeniósł częściowo i na odporne wobec ducha ciało ludzkie („brat osioł”, jak je nazywał).¹⁾ Nowa postawa chrześcijańska krystalizuje się powoli w czasach nowożytnych. Ciało nie jest już teraz wrogiem, tą zniechęcającą i pogardzaną „powłoką cielesną”, lecz siedzibą i narzędziem ducha, narzędziem, które nie powinno stać się wartością samoistną, lecz które wymaga opanowania i doskonalenia. Opanowanie to musi się zaznaczyć przede wszystkim w dziedzinie popędów seksualnych. Są tu dwie drogi: droga uregulowanego zaspokojenia popędu w małżeństwie, podporządkowanego jego celowi głównemu — rozrodczości — i wyższa droga rad ewangelicznych, celibatu, który wymaga transformacji energii seksualnej na duchową (co w myśl także nowoczesnych wyników nauki jest rzeczą zupełnie możliwą). Uznając ciało za wartość pozytywną ale względną (jako narzędzia) nowoczesny katolicyzm przeciwstawia się kultowi ciała jako wartości bezwzględnej, oraz neopogańskiemu mitowi krwi.

d) Wartość dóbr materialnych.

Analogiczną mniej więcej ewolucję przeszedł również stosunek do dóbr materialnych. Przypowieść o uchu igielnym (które należy jednak rozumieć w przenośni jako znaną pod tą nazwą, szczególnie ciasną furtkę w murach

¹⁾ J. Joergensen: *Saint François d'Assise. Sa vie et son Oeuvre* LXXIX ed. Paris 1926, str. 153.

Jerozolimy) traktowała bogactwo jako wielką przeszkodę do zbawienia, którą tylko łaska Boża przezwyciężyć może. Entuzjazm pierwszych wieków chrześcijaństwa łącznie z owym wielkim, chiliastycznym nieporozumieniem, które kazało się spodziewać bardzo rychłego końca świata — a także fakt, że chrześcijaństwo rozpowszechniało się zrazu głównie wśród ubogich i niewolników — a nade wszystko selekcja, jaką dawała wymagana od chrześcijan gotowość do ofiary choćby i życia — to wszystko stwarzało w pierwszych wiekach chrześcijaństwa warunki idealne dla masowej realizacji rady ewangelicznej ubóstwa — choć tylko w pierwszym okresie apostołskim istniał chrześcijański komunizm.¹⁾

Gdy po zwycięstwie chrześcijaństwa, a szczególnie w wieku V, po wędrówce ludów i przejściu do zasady chrzczenia niemowląt — co w konsekwencji oznaczało zaniechanie dawnej, niegdyś tak surowej selekcji oraz przygotowywania do chrztu przez trzyletni katechumenat — do Kościoła weszły i masy nieselekcjonowane i nie przeszkolone w rozumieniu i pełnym realizowaniu nauki chrześcijańskiej, wtedy musiano pójść na ustępstwa i przypomnieć sobie, że całkowite ubóstwo było tylko „radą“ ewangeliczną. Następuje więc przewartościowanie stosunku do dóbr ziemskich. Niegdyś zaledwie tolerowane warstwy posiadające zaczynają teraz nadawać ton. Bogactwo musiało wtargnąć i do samego Kościoła a nawet i do klasztorów. Wyrzeczenie się indywidualnej własności dawało jednak możliwość zaspokojenia żądzy posiadania i władzy na konto zbiorowe. Wiązała się z tym i możliwość używania przyjemności cielesnych. Bogactwo — można by powiedzieć — zaczęło gonić tych, którzy przed nim uciekli — a często umiało ich i... przegonić. Mamy w dziejach Kościoła okresy zmaterializowania — po których jednak zawsze następuje reakcja odrodzieńcza w imię ideałów ubóstwa. Najpotężniejszym jej przejawem był niewątpliwie ruch stworzony przez „Biedacznę“ z Asyżu. Nie

¹⁾ Na który się często powołuje komunizm dzisiejszy, zapominając o tym, że między komunizmem, opartym na dobrowolnym wyrzeczeniu się, a komunizmem, opartym na zabranii przemocą cudzej własności, jest taka mniej więcej różnica, jak między jałmużną a popełnieniem morderstwa rabunkowego.

jest to z pewnością przypadkiem, że był to syn zamożnego kupca.

Na przełomie czasów nowożytnych ustala się nowy, pozornie trąący kompromisem — a w rzeczywistości syntetyczny wzór moralny dystansu wewnętrznego, który pozwala używać dóbr materialnych pod tym jednak warunkiem, by się do nich nie przywiązywać i zawsze „nade wszystko szukać królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego“ (Mat. 6, 33).

Zawsze jednak wiązał się z tym ideał umiarkowania w stosunku do dóbr materialnych; katolickim ideałom gospodarczym odpowiadała koncepcja zaspokojenia potrzeb a nie kapitalistycznej pogoni za zyskiem i związanego z nią rozmachu ekspansywnego.¹⁾ Ostatnio zaczyna się tu tworzyć nowy wzór idealny stosunku do zagadnień gospodarczych, oparty na pojęciu służby społecznej.

e) Wartość poznania.

Ewolucję przechodził również stosunek chrześcijaństwa do nauki. Chrystus sam odnosił się do niej raczej negatywnie, przeciwstawiając mądrości (oraz roztropności) ziemskiej zrozumienie Prawdy, którą Bóg sam „zakrył przed mądrymi i roztropnymi a objawił maluczkiemu“ (Mat. 11, 25). Dużo pisze na ten temat św. Paweł, przykazując: żeby „nie więcej rozumieli, niż potrzeba rozumieć — każdy według miary przez Boga mu wyznaczonej“ (Rzym. 12, 3) — a w innym miejscu (I Kor. 3, 18, 19): „jeśli kto zda się być mądrym między wami na tym świecie, niech się stanie głupim, aby był mądrym. Albowiem mądrość świata tego głupstwem jest u Boga“, a „Pan zna myśli mędrców iż są próżne“ (ib. w. 20). W innych jeszcze miejscach mowa jest o „mądrości ziemskiej i cielesnej“ (Jak. 3, 15) i „mądrości tego świata“ (I Kor. 1, 23; 3, 19. II Kor. 1, 12) oraz „mądrości z nieba“ (Jak. 3, 17).

¹⁾ Ten ideał umiaru ostatnio został w Polsce zaczepiony przez grupę neopogańską „Zadrugi“, która nazwała to defetyzmem gospodarczym, propagującym „minimum egzystencji“ jako zasadę. Zarzut taki jest uzasadniony, o ile się niekrępowaną żadnymi hamulcami produkcję uzna za najwyższą wartość — co oczywiście jest możliwe tylko ze stanowiska materializmu i to bardzo krótkowzrocznego — nawet ze swego punktu widzenia ze względu na nieuniknioną reakcję radykalizmu społecznego, do której musi prowadzić oparcie ustroju na niekrępowanym zysku.

Chrystus kazał swym apostołom ufać nie w swoją mądrość ale w oświecenie Ducha Św. („będzie dane onej godziny, co byście mówili...”) (Mat. 10—19, 20).

W tekstach tych nie ma właściwie żadnej zasadniczo negatywnej oceny nauki jako takiej; ich ostrze zwraca się przeciwko tak charakterystycznej dla niektórych uczonych bez pogłębienia duchowego pysze umysłu — a z drugiej strony przeciwstawia się tu błahości wiedzy dotyczącej rzeczy ziemskich — wartość nauki objawionej, dotyczącej rzeczy wiecznych i najbardziej istotnych. Ten postulat pokory i prymatu prawd objawionych, dotyczący najistotniejszych spraw zbawienia, wynika z logiczną konsekwencją z uznania istnienia Boga i nieśmiertelnej duszy; mimo to jest on dla niektórych typów psychicznych zupełnie niezrozumiały.¹⁾

Mimo braku potępienia nauki jako takiej, chrześcijaństwo niewątpliwie zdezonizowało zrazu wiedzę świecką z zajętej przez nią w starożytności pozycji. Wprawdzie w miarę, jak napływali do Kościoła członkowie warstwy wyższej, podniósł się i przeciętny poziom umysłowy. Zaczyna się już wtedy proces intelektualizacji. Sprzyja mu konieczność uzbrojenia się umysłowego do polemiki z poganami i sekciarzami. I chociaż niektórzy z pierwszych myślicieli chrześcijańskich jak Tacjan i Tertulian występują przeciwko filozofii greckiej, to jednak przynajmniej studium literatury i gramatyki zyskuje sobie u chrześcijan prawo obywatelstwa jako warunek zrozumienia Pisma św. Zaczyna się powoli kształtować świadomość, że kultura starożytna jest pomocą dla chrześcijaństwa. Jej zagrożenie przez najazd barbarzyńców pozwala tym bardziej ocenić jej wartość. Przygotowanie katechetów i kaznodziei zmusza do szkolenia w retoryce i w gramatyce. Lecz proces ten postępującej szybko intelektualizacji został przerwany przez wędrówkę ludów i katastrofalny zalew bar-

¹⁾ Tak np. dla niemieckiego socjologa Bartha, który temu „poniżającemu” ideałowi przeciwstawia jako wyższy wzór grecką „*megalopsychię*” (wielkodusznosc w znaczeniu nie tyle wspaniałomyślności ile silnego samopoczucia). Autor termin ten tłumaczy przez „szlachetną dumę” (P. Barth: *Die Geschichte der Erziehung in soziologischer und geistesgeschichtlicher Beleuchtung*, Leipzig 1925, str. 167). Jest to stanowisko, pokrewne postawie duchowej hitleryzmu, który również pokorę odrzuca, jako „niegodną narodu panów” (*Herrenvolk*).

barzyństwa — a przejście do zwyczaju chrzczenia niemowląt uczyniło szkoły katechetyczne zbyt cennymi. Dopiero za czasów Karola Wielkiego i Alkuina zaczyna się ponownie bardzo powolna intelektualizacja (to czego dokonał Kasjodor, było jedynie ratowaniem nieodzownych dla wychowania kleru resztek wiedzy starożytnej). Konformizm religijny średniowiecza nie zmuszał do obrony wiary i szkolenia w tym celu intelektualnie wyrobionych polemistów. Lecz inne tu zaczynały działać motory: pod wpływem bodźców zewnętrznych jak echa myśli antycznej i filozofia arabsko-żydowska, powstają pierwsze zainteresowania poznawcze. Uzgadniają się one z wiedzą objawioną w formule Anzelma z Canterbury: *credo ut intelligam*. Powoli rozpalają się ognie dyskusyj filozoficznych (sprawa uniwersaliów), tworzą się kierunki filozoficzne w obrębie prawomyślności — choć zaczynają się już wcześniej i pewne kolizje z dogmatami (Roscelinus, Abelard). Wytwarza się teraz powoli pozytywny stosunek do nauki (mającej podówczas na ogół charakter spekulatywnej filozofii), a Kościół zaczyna ją z zapalem popierać.¹⁾ Pod jego opieką powstają pierwsze uniwersytety. Kler stanowi przez długie wieki jedyną warstwę wykształconą. Wiedza objawiona staje się sama przedmiotem nauki (teologii) — ale dopuszcza ona do pomocy — choć w roli podporządkowanej — i świecką filozofię (*philosophia ancilla est theologiae*). Reakcje przeciwko uczoności teologicznej (jak szczególnie u św. Franciszka z Asyżu) były zawsze krótkotrwałe. Franciszkanie jeszcze za życia swego założyciela zaczęli studiować teologię. Rozwój teologii jako nauki opierał się na następujących faktach i punktach widzenia: 1) naukę Chrystusa można czerpać już tylko z ksiąg; 2) wymaga ona interpretacji i rozwiązywania coraz to nowych problemów; 3) gdy nateżenie wiary słabnie, musi ją podtrzymywać systematycznie wyszkolony intelekt; 4) wiara w pomoc Ducha Św. nie może być sankcją dla lenistwa umysłu; 5) rozum jest darem Bożym, który należy rozwijać — jak każdy inny dar — własną pracą; 6) narastające wyniki pracy teologów stwarzają coraz większe wymagania w dziedzinie erudycji.

¹⁾ Przyznać to musi nawet niechętny katolicyzmowi historyk filozofii, dr Baumann; *Gesamtgeschichte der Philosophie*, Gotha 1903, str. 207.

Gdy nadszedł okres buntu intelektualnego, sytuacja zmieniła się zasadniczo. Potrzebnym staje się teraz uzbrojenie intelektualne do walki z odszczepieństwem. Z drugiej strony rozwój wyemancypowanej nauki zaczyna wywierać fascynujący wpływ i na umysły, pogrążone w kontemplacji teologicznej. To też stosunek do nauki zmienia się teraz szybko. Jej znaczenie wzrasta w szybkim tempie. Powstaje dążność do uzgadniania wyników nauk empirycznych z wiedzą objawioną. Wynikiem tego procesu jest rozgraniczenie zakresów — z tym, że wiedza jest już wartością bezwzględnie pozytywną, o ile tylko nie wchodzi w kolizję z lepiej poręczonymi wiecznymi prawdami, danymi nam przez objawienie — i nie prowadzi do tak przez Chrystusa i św. Pawła karczonej pychy rozumu.

W oczach naszych rodzi się nowa epoka — okres totalizmu — którego znamieniem jest podporządkowanie prawdy zasadom ideologii i interesom grupy. W związku z tym zwrotem zmienił się front katolicki. Kościół, przez wieki całe w oczach wyznawców liberalizmu uchodził za wroga wolności nauki — ze względu na to, że w pewnych okresach i teologia przekraczała granice swych kompetencji (np. gdy próbowała kwestie przyrodnicze rozstrzygać na podstawie tekstów Pisma św.), a państwo używało przemocy dla utrzymania jedności wiary (w czym Kościół współdziałał — było to niewątpliwie błędem taktycznym). Dziś staje się on obrońcą zagrożonej wolności badań i nie sfalszowanej prawdy przed naporem neopragmatyzmu kolektywistycznego.

f) Wartość piękna.

Stosunek chrześcijaństwa do wartości estetycznych był może teoretycznie najmniej rozważany. Niezależnie od tego, czy przyzna się pięknu jako jednemu z trzech tradycyjnych ideałów naczelných miejsce wartości równorzędnej z prawdą i dobrem,¹⁾ czy też postawi się je niżej od tych dwóch (do czego skłaniać się będzie myśl chrześcijaństwa), nigdy żaden system myślowy, nie nastawiony na negację po-

¹⁾ Jak tego niektóre kierunki się domagają (patrz dr E. Lemcke: *Estetyka* tłum. B. Zawadzkiego, Lwów 1882, str. 22).

zytywnej wartości świata, nie może ideału tego uznać za negatywny. To też chrześcijaństwo przeciwstawiło się skrajnym kierunkom obrazoburczym i wprzęgło od początku sztukę w służbę religii. Faktem jest, że sztuka na tym podporządkowaniu wyszła jak najlepiej — wydając we wszystkich swych dziedzinach — malarstwie, rzeźbie, architekturze, muzyce — dzieła najwyższej klasy. Podejście artystyczne do tematów religijnych było zawsze płodne dla obu stron. To też walory estetyczne, niezależnie od ich miejsca w hierarchii wartości — stały się doniosłym składnikiem chrześcijańskiego systemu wartości, jedną z dróg duszy ludzkiej do Boga, źródłem i wyrazem najgłębszych przeżyć religijnych.

g) Wartości społeczne.

Stosunek katolicyzmu do grup społecznych jako wartości, ma jako punkt wyjścia prymat interesów indywidualnej duszy ludzkiej. Nie wolno poświęcić zbawienia choćby jednej duszy ludzkiej dla najwyższych nawet interesów grup ziemskich — można jednak poświęcić życie, bo człowiek, który zginął dla wyższej sprawy, zyskuje przez tę ofiarę dla swojej duszy największą nagrodę, (o ile nie zginął w stanie grzechu śmiertelnego — co jednak już od niego zależy). Wprawdzie poczyniono szczególnie w okresie najcięższych walk o ratunek Kościoła przed zalewem herezji i barbarzyństwa za czasów św. Augustyna — pewne koncesje moralne. Lecz dotyczyły one jedynie prawa wyboru mniejszego zła — a nie uznania dopuszczalności łamania praw Bożych w interesie grupy. Nie znaczy to jednak, że chrześcijaństwo nie uznaje grup społecznych, jak szczególnie naród i państwo, za wartości samoistne. Słowa Chrystusa: „Oddajcie co jest cesarskiego cesarzowi, a co jest Bożego Bogu” (Mat. 22, 21) zawierają uznanie uprawnień władzy ziemskiej a przez to i wartości świeckich grup społecznych. Augustynowska koncepcja „Państwa Bożego” wprowadziła tu niezmiernej, dziejowej doniosłości rozróżnienie między społecznością pozytywną, „Państwem Bożym” i negatywną (państwo ziemskie czyli szatańskie). „Państwo ziemskie uczyniła miłość własna, aż do pogardy Boga posunięta; niebieskie państwo uczyniła miłość Boga posunięta aż do pogardy

siebie¹⁾ Z pojęciem Królestwa Bożego, którego wyrazem jest Kościół (w którym na razie dobrzy i źli się mieszają) — kojarzy się wiara w to, że Królestwo Chrystusa kiedyś — gdy wola Boża się spełni, będzie w pełni widome. Wiąże się z tym niewątpliwie kwestia sprawiedliwości, dziś tak aktualny problemat społeczny, którego rozwiązanie w myśl Ewangelii jest jednak możliwe tylko przez odrodzenie jednostki,²⁾ a nie przez same reformy ustrojowe, które wobec tego istotnego warunku schodzą zawsze na plan drugi. Sprawiedliwość winna zapanować i w stosunkach między narodami. Chrześcijańskie pojęcie miłości Ojczyzny — które może w Polsce najlepiej zostało zrozumiane — opiera się na zasadzie poszanowania cudzych praw;³⁾ albowiem wszyscy są bliźniami a nie tylko sami chrześcijanie, jak przez długie wieki twierdził germański ekskluzywizm średniowieczny, który spaczył Augustynowską koncepcję Państwa Bożego; nie przeszkadza to jednak uznaniu, że są bliźsi i dalsi bracia. W każdym razie pozytywna wartość Ojczyzny jest nienaruszalnym składnikiem katolickiego systemu wartości — tylko, że ponad ojczyznę ziemską uznaje on wyższą zaświatową ojczyznę duchową, opartą na zasadzie „świętych obcowania“.

Uważając ziemską ojczyznę za wartość pozytywną — niezależnie od tego, czy był to okres skłaniającego się ku kosmopolityzmowi średniowiecza, czy też nowoczesnego nacjonalizmu — katolicyzm jednak nigdy nie pozwolił z religii zrobić narzędzia władzy państwowej. Walka o niezależność Kościoła trwała całe stulecia i skończyła się jego zwycięstwem, którego już żadne recydywy ani prześladowania nie zachwiały; przeciwnie — były one zawsze czynnikiem odrodzenia — gdy odwrotnie upolitycznienie religii oznacza jej śmierć — gdyż prowadzi ono zawsze do odwrócenia hierarchii wartości. Nie znaczy to, że nawet religia katolicka

¹⁾ Św. Augustyn: *Państwo Boże*, tłum. ks. Kubickiego t. II. Poznań 1934, str. 401.

²⁾ Fr. Peabody: *Jezus Chrystus i kwestia społeczna*, tłum. Jałowieckiej. Warszawa 1911, str. 68.

³⁾ Warto tu przypomnieć pamiętne doktryny Pawła Włodkowica z okresu soboru konstanejskiego, w których chyba po raz pierwszy tak silnie została postawiona zasada poszanowania praw innych narodów.

nie wchodziła w pewnego rodzaju mniej lub więcej jawne przymierze z państwem, albo nawet — co gorzej — z jakąś warstwą panującą. Było to zawsze zaczątkiem przyszłych nieszczęść jakie na Kościół spadały i punktem zaczepnym dla ruchów antyreligijnych (jak szczególnie racjonalizm XVIII wieku i marksizm). Lecz nigdy nie było to wiązanie się oficjalne, czy choćby faktyczne, całego Kościoła, lecz jedynie niektórych jego przedstawicieli. I na tych jedynie może spaść odpowiedzialność za skutki religijnego żyrowania czysto ziemskich interesów.

3. Założenia negatywne.

Obok wartości pozytywnych, które stanowią podstawę danego systemu ideologicznego, odgrywają niemniej doniosłą rolę wartości negatywne. Jeśli tamte wyznaczają co być powinno, to te stanowią wyraz reakcji przeciwko stanom faktycznym. I o tyle są one na ogół bliższe rzeczywistości, goręcej przeżywane jako wyraz protestu. One to pobudzają do wysiłku, do szukania nowych dróg i wyzwalają te siły odruchu moralnego, z których czerpie swe siły każda ideologia. Ich rola jest jednak znacznie większa przy ideologiach polityczno-społecznych. Ideologie wychowawcze przeciwstawiają się głównie stałym błędom natury ludzkiej i kierują się bardziej pozytywnymi ideałami. I dlatego poświęciliśmy im tu najwięcej miejsca. Lecz i dla ideologii wychowawczych reakcja przeciwko jakiemuś złu, które się szczególnie w danym okresie szerzy, jest bodźcem, decydującym o sile i aktywności danego ruchu.

Wartości pozytywne i negatywne wiążą się nierozdzielnie, bo afirmacja jakiejś wartości jest zarazem negacją tego, co się jej przeciwstawia lub jej zagraża.¹⁾

Katolicka ideologia wychowawcza ma dwojakie założenia negatywne: stałe, związane ze spaceniem natury

¹⁾ Tak np. żywiołowy odruch narodu polskiego przeciwko zagrożeniu granic polskich przez Niemcy i przeciw zaborowi Czechosłowacji — był wyrazem zarówno negacji wszelkiej zaborczości jak i uznania własnej niepodległości i własnego państwa za wartość, dla której wszyscy są gotowi życie poświęcić.

ludzkiej i czasowe, aktualne formy zła oraz jednostronne prądy i teorie, związane z epoką i środowiskiem.

Stałe ułomności ludzkie przybierają w różnych warunkach różne formy i akcent przesuwają się na tę lub na tamą kategorię zła. Zawsze można je jednak sprowadzić do naturalnych (ujemnych) skłonności człowieka, określonych w pojęciu grzechów głównych (pycha, nieczystość, obżarstwo i pijaństwo, zazdrość, gniew i lenistwo) i wołających o pomstę do nieba (rozmyślne zabójstwo i zatrzymanie zapłaty najemnikom). Dochodzą tu inne jeszcze rodzaje zła, jak kłamstwo, intrygantwo, obłudność itp.

Dążność do wydobycia człowieka z sidła grzechu i wprowadzenia go na drogę doskonałości jest stałą podstawą katolickiej ideologii wychowawczej i zarazem główną tajemnicą jej wiecznej aktualności.

Szczegółowej dynamiki dodaje jednak walka z aktualnymi formami zła i skrzywienia ideologicznego zwłaszcza ruchów wychowawczych. Każda epoka miała tu swoje problemy. Ich omówienie rozsadziłoby ramy naszej pracy. Mieliśmy więc okresy, w których groźba herezji wysuwała się na plan pierwszy, i inne, w których groził zalew barbarzyństwa lub znowu zdziczenia obyczajów albo obniżenie intelektualnego poziomu. Przez całe średniowiecze Kościół musiał walczyć ze stałymi cechami ludów panujących podówczas, Germanów lub ich mieszkańców romańskich z ich zamiłowaniem do wojen dla wojny samej, ich zaborczością i pychą. Musiał on też zwalczać tak trudne do wykorzenienia przeżytki pogańskie jak pojedynki czy „Sądy Boże”. Reformacja i czasy postępującego odstępstwa wysunęły znowu na czoło konieczność umacniania w wierze i wierności dla Kościoła. Po kolei i równocześnie występują różne kierunki wrogie katolicyzmowi jak racjonalizm, materializm, indywidualizm, liberalizm, socjalizm, laicyzm. W dobie obecnej katolicyzm ma głównego przeciwnika ideologicznego w kolektywizmie bolszewickim i rasizmie hitlerowskim. Pozostał jednak jeszcze na placu laicyzm i liberalizm indywidualistyczny.

Na terenie kierunków naukowo-pedagogicznych musi się myśl katolicka ścierać z całą plejadą przeciwników. Mamy więc jeszcze Durkheimowski „socjologizm”,

różne kierunki radykalno społeczne w stylu Dewey'a, przesadny kult aktywności zewnętrznej, ze szkodą dla pogłębiania i uzurpacje pedagogiki eksperymentalnej, która chce się uważać za jedynie „naukową”. Nie podobna nam tu nawet wymienić wszystkich tych kierunków.¹⁾

Konieczność przeciwstawiania się coraz to nowym ruchom antagonistycznym lub jednostronnym jest niewątpliwie czynnikiem dynamizacji katolickiej myśli wychowawczej — a fakt, że może się ona przeciwstawić każdemu nowemu przeciwnikowi i nie unika nigdy walki, jest dowodem jej nieśmiertelnej, wiecznej młodości.

¹⁾ Pogląd na kierunki pedagogiki współczesnej i ocenę ze stanowiska do katolickiego dosyć zbliżonego daje L. Chmaj w obszernym dziele pt.: *Kierunki i prądy pedagogiki współczesnej*, Warszawa 1938. Zasadniczą i na głębokich podstawach filozoficznych ujętą krytykę głównych kierunków ze stanowiska katolickiego daje ks. dr de Hovre w książce: *Podstawy współczesnej pedagogiki*, tłum. i przeróbka ks. dra P. Tochowicza. Włocławek 1938.

Dr Andrzej Niesiołowski.

Św. Andrzej Bobola.

Scenariusz do filmu osnutego na tle życia i męczeństwa
św. Andrzeja Boboli.

Pierwsza rocznica kanonizacji św. Andrzeja Boboli oraz zbliżające się święto patronalne (16. V.) przypomniało polskiemu społeczeństwu katolickiemu zaszczytny obowiązek budzenia czci Świętego. Dotychczasowa troska o popularyzację kultu św. Męczennika w Polsce, prócz wydawnictw naukowych i popularnych, objęła na razie dwa zamierzenia: budowę bazyliki pod wezwaniem Świętego w stolicy państwa, oraz podjęcie realizacji religijnego filmu osnutego na tle życia Wielkiego Bohatera. Pierwsze dzieło co prawda powoli, ale nieustannie dojrzewa, na razie w postaci płynących z całego kraju ofiar pieniężnych oraz w starannie przygotowywanych planach kościoła. Drugie dzieło przechodziło różne koleje, by obecnie zarysować się jako sprawa niedalekiej już przyszłości, o ile oczywiście nie zajdą jakieś nowe, nieprzewidziane przeszkody. Dla rozbudzenia czujności i zainteresowania publicznej opinii tą ostatnią sprawą, przytaczamy poniżej urywek ze scenariusza wspomnianego filmu, skreślony przez ks. J. Warszawskiego T. J. w przeciwieństwie do scenariusza p. I. Gałczyńskiego, ogłoszonego w »Prosto z mostu« (1. I. 39), utworu o wybitnie eksperymentalnym charakterze zarówno pod względem zadań, jakie stawia sztuce filmowej, jak i artystycznych rozwiązań, scenariusz ks. Warszawskiego, ma charakter opowiadania-dramatu epickiego, przystępnego w swych artystycznych założeniach dla szerokiej rzeszy kinowej publiczności, o co głównie chodziło inicjatorom dzieła. Realizację filmu o św. Andrzeju Boboli przejęło od PAT polskie tow. filmowe »Kohorta«, definitywny scenariusz opracowuje obecnie p. Adam Grzymała-Siedlecki.

REDAKCJA.

AKT I.

Chwila powołania.

24 lipca 1611 — Wilno

*Scena 1.**Przed katedrą św. Jana w Wilnie.*

Na ekranie — w obramowaniu ciągnących sztandarów i orłów polskich — kolejno trzy (coraz to potężniejsze) napisy:

24 lipca 1611.

Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska.

Jedynym MOCARSTWEM Europy wschodniej.

Miedzy poszczególnymi napisami widać zarysowujące się granice Rzeczypospolitej — pierwszy raz z bliska — potem na tle mapy Europy, by widz stanął zdumiony, widząc ogromną rozległość ziem (1,017.000 km²), które naonczas ogarniała Polska.

Przez cały czas słychać niemilknące okrzyki tłumów: Wiwat! Wiwat! — coraz to głośniejsze — muzyka parafrazuje marsz Stefana Batorego — dalekie dzwony.

Pozostają ciągnące orły i sztandary — na ich tle rysuje się powoli bok dzwonnicy przy katedrze św. Jana w Wilnie — tuż obok barczyste plecy halabardnika, czyniącego rozpaczliwe wysiłki, by wstrzymać napierający tłum — trzyma w poprzek halabardę — krzyczy ostatnim wysiłkiem: Stój! Stój!

Okrzyki cichną — nastaje tłok, cisza — głośnie oddechy spocynych, pełnych tuszy ludzi — mdlejący jegomość — cisza rośnie.

KTOŚ Z TŁUMU: Nie pchaj się tak Acan.

DRUGI (przedrzeźniając): Acan, acan! — a bo to ja gorszy od Waści!

JEDNA Z NIEWIAST: Jezusie miłościwy — moja chusta... (gdy nie pomagają błagalne spojrzenia i omdlenia przechodzi w nagłą złość).

Obraz się oddala. Widok na tłumy. Pierwsze osoby wdzierają się na dziedziniec ks. Piotra Skargi.

Wysiłki halabardników porządkujących szeregi, które zalegają dziedziniec Skargi — z początku ulegają naporowi — potem stopniowo opanowują tłum — ekran pokazuje boki dziedzińca z ludźmi (frontu nie).

Śród tłumy gromada podrostków — jeden ze sprytniejszych chłopaków zdołał się wymknąć z cizby i ucieka w kierunku bramy kościelnej — halabardnik go goni — już go ma chwycić — w tym chłopak znanym trykiem rzuca się mu pod stopy — halabardnik wywraca się pociesznie — rozlegają się śmiechy — chłopak umknął do kościoła — kamera wchodzi za chłopcem do kościoła.

Scena 2.

W katedrze św. Jana.

Z otwartych szeroko bram kościoła katedralnego — wypełnionych po brzegi ludźmi — dolatuje głos Skargi — słowa jeszcze niezrozumiałe.

Widać tłum napelniający świątynię — chłopaka wciskającego się gorączkowo pomiędzy zasłuchane szeregi — halabardnik, który tymczasem się podniósł, przystaje u wejścia do świątyni z miną: »ja ci dam, jeno cię chwycę«.

Kamera już w kościele — czuć wielkie skupienie — w dali ponad głowami widoczne prezbiterium — bliżej nieco las sztandarów.

Skargi jeszcze nie widać — słychać jedynie słowa kazania, które wygłasza:

Jeden Bóg — i wiara jedna! (ekran stosownie do słów kaznodziei pokazuje kolejno: króla, świętę, etc.) Przednie się tedy dzisiaj radujem z zwycięstwa onego, a szczęścia wojennego, którego Pan Nasz Miłościwy a król Zygmunt na Moskwie dokazał, zamek im odejmując i gród smoleński *(widać orła białego na chorągwi)*. Dzisiaj ptak on nasz biały, orzeł polski, najmocniej skrzydłami bije i najdalej — białym swym a nieskalanym, na wschodnie nasze ziemie, szlakiem — leci. Dzisiaj każdej Rzplitej syn i córa prawowita, pokornem dziękowaniem pieśń śpiewa chwalebną Bogu Najwyższemu.

(Stopniowo wylania się ambona ze Skargą). Jeden tylko Bóg i jedna tylko wiara — i także jedna Rzeczypospolita!

Tego przedsię, Bracia najmilejsi, rozumienia się imajmy.

Ruś! — to jest ta krwawa w ciele Rzeczypospolitej naszej rana ciekająca. Ruś i wschodnie one strony! — to jest korony tej, ojczyzny milej naszej, dziejowe od Boga posłanie. Ruś!! — zaklinaniem ja wielkiem wołam wołania te. Tam im Chrystusa nieść. Tam Chrystusową miłość i Chrystusów krzyż prawdziwy. Złamać on schizmy upór zacięty, złamać ten miecz, którym wojują, a zabijają prawowite sługi — dzieci Chrystusowej wiary.

(Widać tłum — z tyłu — ku ambonie zwrócony — w nim Andrzeja).

Przedmurzem tam stanąć, duchem onym olbrzymia, co jako wielki a nieprzebyty wał się kłada u oddrzwi duszy polskiej i nie dozwala, aby schizm jakowychbądź narodu duszy truto, narodu, wiary zabijano, Rzeczypospolitej spojenia najmocniejszego szarpano.

(Skarga z tyłu — z ambony widok na tłum — i na Andrzeja. Andrzej stoi razem z uczniami jezuickimi — ale najbliżej święty królewskiej — odcina się od innych odświętnym ubraniem — bogaty strój szlachecki — u boku karabelka).

Jeden bo tylko jest Bóg i przeto jedna tylko weń prawdziwa wiara — i tylko w onej wierze jednej możliwe jest spojenie serdeczne wszystkich dzieci tej matki jednej, którą jest Rzplita nasza.

(Skonfrontowanie Skargi i Andrzeja)

Ażaj znajdzie -li człowiek się on, coby odtąd szedł i poszedł na służbę oną Bożą a polską, a już jeno prawom ducha w tej Rzplitej naszej dawał się cały?

Nazwaliście mnie Skargą bom skargi wasze niósł przed Boga tron a gromił — a przeciw dzisiaj ja wam skargę rzucam swoją największą: Jest-li pośrodku was człowiek chociaż jeden, *(plan na Andrzeja — z bliska)* coby dokonał, dopełnił zwycięstwa dzisiejszego dziwnego a posłania dziejowego Rzplitej tej, tak iżby nie rzeczonej Jej z nowa: zwyciężać znałaś, ale użyć zwycięstwa byłoby za trudno? *(Skarga z boku — z bliska — natchnione oblicze — wznesione dłonie — z oczu, zda się, idą płomienie — pot perlący się na skroni — smuga jasnego światła pada na twarz kaznodziei — ogarnia całą postać).*

Ja bo stary już i bieg mój ma się ku końcowi, a jeno mnie serce ścisła i boleść w duszy wzbiera niezmierna, gdy patrzę na one zwycięstwa miecza naszego a zwycięstw ducha nie widzę, jeno upadek, jeno rozdarcie, jeno schizmy i odszczepieństwa i bratobójcze wśród narodów słowiańskich walki i mordy. Karze Bóg Moskwę przez nas, jakoż i nas nie ukarze — a rychło? Odmienne bo jest szczęście świeckie a jako koło chodzi: Kogo raz podniesie, zaś go na ziemię rzuci. I przeto nie dufajmy temu świeckiemu szczęściu, z którego teraz się weselim, póki go na duchowe i wieczne dobra nie zażyjem.

(Podkomorzy patrzy zdziwiony na Andrzeja — widok na Skargę z dołu).

Jedna tylko wiara i jeden kraj! — Bracia najmilejsi moi — tak jako jeden tylko jest na niebie Bóg — oto spuścizna moja najświętsza a testament życia mego, który zostawuję wam ku wypełnieniu.

(Andrzej — mimika — postanowienie wielkie rozgrywa się i dokonuje w jego duszy — dokonało się).

Daj wam Boże innego Skargę, który by tych wschodnich ziem wziął w siebie wołania serdeczne i z nich — chociażby własnej krwi powiązaniem — pacierz zawiązał jeden dzieci polskich — jednej Matki Rzplitej dzieci pacierz polski — na cześć wielką Boga i zbawienie nasze a szczęście ojczyzny naszej. Amen.

Skarga wyczerpany schodzi z ambony — organy wpadają potężnym akordem — przechodzą w melodię: *TE DEUM* — biskup — ubrany bogato w mitrę, kapę,... pastorał — wzruszony cały — wstaje uroczyście z tronu — powolnym, dostojnym krokiem podchodzi do ołtarza — intonuje: *TE DEUM* — cały kościół podchwytuje chórem — dzwonki, sygnaturka, dzwony — rycerstwo dobywa szabel, jak na czas ewangelii — król ze swiatą wstaje — śpiewają wszyscy — ogólny widok na śpiewający w wielkim uniesieniu kościół — charakterystyczne odpowiedniki w ornamentyce kościoła (główna aniołka ciekawsko w dół patrzącego itp.) — wszystko gubi się echem w sklepieniach kościelnych.

Scena 3.

Słychać zmieszane z końcowymi akordami organów fanfary królewskie — widać fasadę wieży św. Jana z góry — na jej tle podniesione w górę długie trąbki z zwisającymi sztandarkami, zdobnymi w białe orły — widok z góry — odsłania się portal św. Jana — przed nim fanfarzyści — z katedry wychodzi król — za nim świta — król w zbroi dosiada pysznego dzianeta — przy królu stoi podkomorzy — coś mówią — król rusza poprzez dziedziniec Piotra Skargi — wzmagają się wiwaty.

Z kościoła wychodzi śpiesznie Andrzej — z tym ogniem w oku, który przed chwilą wyniósł z kazania Skargi — podbiega do podkomorzego: Stryju! —

PODKOMORZY: *(przerywając mu)* Szybko, śpiesz się. Dzisiaj jeszcze będziemy na dworze. *(dosiada konia)* Przedstawię cię królowi *(do sługi):* konia dla panicza! — jedzie za królem — świta rusza w ślad za nim.

*Widać służbę na uboczu czekającą — jeden dobiera dla Andrzeja łagodnego konia — drugi śmiejąc się: Nie — tego mu damy *(wskazuje narowiącego się konia).**

Przyprowadzają Andrzejowi konia niesfornego — Andrzej dosiada — koń staje dęba — Andrzej jednym rzutem kietzna konia — odjeżdża — pokazał im, co umie — zgłupiała mina sługi.

Scena 4.

Ciągnące olbrzymio ulicą tłumy — wiwatujące — ulice zdobne słupami i łukami triumfalnymi. — Napisy niesione przez rozentuzjuszowane tłumy: Bogu miły król polski i szwedzki. Vivat Sigismundus III Pan nasz miłościwy. Który Rzplitej fortecę smoleńską poddał. Chyli się do stóp twoich wierne ci miasto wileńskie. — W dali rysuje się tło olbrzymie góry zamkowej — ustóp jej król ze świtą — ogromny łuk z napisem: Victori — Słychać fanfary — muzykę wojсковą — widać czoło rozwijającej się defilady — obraz przybliża się — na pierwszym planie król ze świtą — wszyscy w zbroi — wprost z pola walki.

Rozpoczyna się hołd miasta Wilna, połączony z wielką defiladą wojsk. Rzeczpospolita rozwija w potężnym pochodzie całą świetność swej wielkości, cały przepych tej świetności. Nigdy nie czuła jak tej chwili czuje.

Skład rewii:

*Na czele — na białych siwkach — fanfarzyści z zdobnymi trąbkami i rogami — za nimi idą buńczuki i sztandary zdobyte — w liczbie kilkudziesięciu — buńczuki i sztandary zdobyte rzucają królowi do stóp — półkołem — *(zdjęcia z różnych stron)* — za sztandarami zdobytymi — w pewnym odstepie — na koniach — złotem haftowane chorągwie dworu królewskiego — hołdują królowi — dalej ciągnie*

wojsko: królewskie chorągwie pancerne z białymi skrzydłami — w półkiryasach złotem szmelcowanych — tygrysy i lamparty na grzbiecie — dalej pachołcy królewscy w barwnych strojach — za nimi — witany entuzjastycznie — rdzeń wojska polskiego husaria Rzplitej — w stali od stóp do głowy — na bachmatkach zakutych w stal — przyłbice spuszczone — prowadzi Naruszewicz — za nimi kompania petyhorców, lekkiej kozackiej jazdy — dalej chorągwie z różną strzelbą — dalej pospolite ruszenie — każdy zbrojny inaczey — za nimi rajtaria — chorążowie chorągwiami wielkimi wywijają w krąg — walą w bębny i szalამაჲ — dalej piechota królewska w czerwonych i żółtych koletach — dalej polskie łanowe regimenty z węgierską puzdraną — jeszcze raz tanfaryści — pojazd z Żółkiewskim — towarzysząca mu husaria skrzydlata — za nimi sztandar zwyciężonego i uwięzionego Szuyskiego — Szuyscy w powozie — bojarowie ruscy — jeńcy — armaty, prochy, granaty, ogniście kule w osobnych wozach — łupy: srebra, złota, olbrzymi dzwon — a na samym końcu — transparenty niesione przez wilnian — sprawujący zarząd Wilna — cechy wileńskie w całej barwności swych strojów — dziewczęta wileńskie.

Akcja w czasie rewii:

KTOŚ ZE ŚWITY (zachwycony blaskiem przesuwającym się przed nim): Polska to jednak wielka rzecz.

ANDRZEJ: na koniu — poważny — patrzy zamyślony w ten blask — dla niego cała ta rewia jest ostatnim wielkim wołaniem świata i sławy.

PODKOMORZY (nadejżdża doń z prawego boku): Co tobie dziś? (przypatruje mu się uważnie): Kazanie Skargi ci w głowie?

ANDRZEJ: Kazanie Skargi, stryju.

PODKOMORZY: Pamiętaj Andrzeju ja stary już — i innego sobie podkomorzego obierze król. (po chwili) Trzeba będzie może mnie zastąpić.

Andrzej nie chciałby sprawić zawodu podkomorzemu — ale postanowienia swego nie cofnie.

Przesuwają się wciąż fragmenty defilady. —

KTOŚ ZE ŚWITY (podejżdża do podkomorzego): A witajcież Podkomorzy! Co za przepych, co za blask! — (przejeżdża husaria przed nimi) Dobrzeście to urządzili. Dobrze, dobrze.

Z podkomorzym witają się wszyscy — każdy ubiega się o pierwszeństwo.

Słysząc zbliżające się okrzyki: Wiwat Hetman! Wiwat Żółkiewski!

W odkrytej karecie zaprzęgniętej w 6 białych koni — Żółkiewski. — Na wysokości króla w karecie staje — wita buławą — szal entuzjazmu u tłumu — minawszy króla siada — kłania się podkomorzemu — ten podejżdża z Andrzejem — podaje dłoń.

Gdy wracają, ktoś ze świąty do podkomorzego: To tenci Waści bratanek? (wita się z Andrzejem) do Andrzeja: Godnie, godnie. Najlepszą szkołą do sławy, to rozwinąć młodemu wszystkie jej blaski. (widać całość rewii — najpełniejsze plenery — czyjeś pożądające oczy — spokojne oczy Andrzeja).

Poprzez całą szerokość ekranu powiewa biała chorągiew — wielka — z dwugłowym orłem carskim — niesiona — najpierw bez tła — potem na tle akcji.

Słysząc krzyki: Carl! car! na pohybel!

Gdy sztandar doszedł do wysokości króla rozpościerają go na ziemi.

Nadjeżdża zaprzęg Szuyskiego — koronę ma na głowie, płaszcz królewski na ramionach — boleścią ściągnięta twarz. Wzrok Szuyskiego i Zygmunta spotykają się — dwaj pacholankowie królewscy, asystujący na wozie — zrywają carowi koronę — rzucają pod stopy króla — widok z góry — zrywają płaszcz — widać więzy — oszalałe okrzyki tłumu — w powozie z Wasylem, bracia jego: Dymitr i Iwan — siedzą — mijają króla — jadą dalej — widać skrzepowane z tyłu dłonie i ramiona — sznury grube wpijające się w ciało.

Andrzej patrzy na to wszystko — do interlokutora ze świąty: Czy tak kończy się wszystek tej ziemi blask? — Niemądra mina szlachcica — okrzyki nie ustają.

KRÓL (dziękując podkomorzemu): Dziękuję Waści Podkomorzy, za tak wspaniały wjazd mi zgotowany.

Widać w bogatych strojach bojarów — związanych — wzbrańających się deptać po carskiej chorągwi — halabardnicy przymuszają — idą łupy — niosą srebra, złota — niosą wielki dzwon.

Dwaj starszuskowie z lukami w ustach — pykają mocno — zadowolone uśmiechy — siedzą na wzniesieniu opodal tłumu:

PIERWSZY: Słuchajcie-no, kumie, co też ten ksiądz Skarga dzisiaj prawil o jakowymś zwycięstwie miecza i zwycięstwie niby to ducha? Mnie tako bo się widzi, co większego zwycięstwa niemasz nad one, na które teraz oto patrzymy. Dalibóg, co tu jeszcze więcej potrzeba.

DRUGI: Wiecie, kmotrze, to jest tak, jak to niby z zielskiem na polu. Odetniesz kosą, a tu zaś odrasta. I tak widzicie, co kosy za mało. Tak i zwycięstwo miecza. Kto tylko mieczem zwycięży, niewiele mu to pomoże.

Widać dwie baby z trudem wydobywające się z tłumu:

PIERWSZA: Och, mój Boże, co by też mój Stach chciałby być takim wielkim jak ten, co to go wieźli. —

DRUGA: Eh, gdzie-by ta wasz — taki schizmatyk (akcent pogardy na »schizmatyk« — reakcja gwałtowna u pierwszej — zanoszą się na dobrą sprzeczkę).

Przesuwają się transparenty wielce ozdobne — niesione przez wilnian — z napisami: Wiwat! — Nasz Miłościwy Pan! — Król pol-

ski i szwedzki! — Ciągną delegacje cechów z sztandarami — król wysuwa się naprzód — ku ludowi — przeciągają dziewczęta wileńskie — strojne, wiwatujące — zasypujące króla kwiatami!

KTOŚ Z TŁUMU: Ty, popatrz ino! Komu one jeszcze tam kwiaty rzucają?

Widać Andrzeja — dziewczynki rzucają mu kwiaty — widać twarze zalotne dziewczynek — widać kwiat spadający na dłoń Andrzeja trzymającą lejce. — Andrzej wpatruje się w kwiat — długo — podnosi go — jakby chwila walki wewnętrznej — dłoń Andrzeja mieł kwiat — powoli i jakby wahająco puszcza go na ziemię. — Tłum ściele szaty pod stopy króla — król się uśmiecha łaskawie.

Podkomorzy schodzi się z Andrzejem.

ANDRZEJ: A wieczorem jedziemy?

PODKOMORZY: Tak, rozstajne konie już czekają.

Słychać fanfary — świta królewska rusza — tłumy wiwatujące — król wśród tłumu — zaczyna się bicie z dział — oddalające się głosy.

Scena 5.

Przed domem podkomorzego.

Piękny letni wieczór — na niebie cichy blask gwiazdy wieczornej. — Z dala dochodzi bicie z dział — okrzyki tłumu — przed domem dwa konie — przy nich Andrzej — ubrany do podróży — z domu wychodzi podkomorzy — dosiada konia: w domu pewnie nas już czekają?

ANDRZEJ: Ciebie czekają, stryju, bo ty spod Smoleńska wracasz.

PODKOMORZY: (z filuternym uśmiechem) A ciebie nikt nie czeka?

ANDRZEJ: poważnie — wie, że ktoś go czeka.

Zacinają konie — skracają w drugą uliczkę — a tu zator — wóz cygański — złamało się koło — cyganie się rozsiedli. — Podchodzi stara cyganka — wróży: Paniczul... Stara cyganka!... Droga zagrożona... — trzeba zawrócić od postanowienia swego.

Andrzej, uderzony tym zajściem. — Wytwarza się scena nieco śmieszna — stara cyganka, panicz młody — ktoś z gapiów zaczyna śmiać się na całe gardło. Andrzej gorączkowo dobywa szabli i chce natrzeć — wstrzymuje go podkomorzy: Jędrzeju!

Andrzej się opanowuje — potem do cyganki, śmiejąc się: Ja przeszkód nie uznaję. Przeszkody się bierze. — (przesadza koniem przez wóz)

PODKOMORZY (patrzy zadowolony — do siebie): Moja krew. (przesadza za nim). — Słychać za nimi głos cyganki: Na złą wróżbę

ta droga. — Na złą wróżbę — (nie słysząc już wyraźnie ostatnich słów).

Wyjeżdżają za miasto — robi się noc. — Tło maluje pyszne fajerwerki na tle góry zamkowej — głucho, dalekie bicie z dział. —

Przejeżdżają opodal ognisk koczujących przyjezdnych — czerwone, niespokojne płomienie ognisk rzucają snop światła na jezdnych — widać oświetlony bok konia, na którym siedzi Andrzej — siodło — na siodle wyszywany bogato herb Bobolów — herb rośnie — bijące wien płomienie — coraz jaśniej — herb przechodzi w herb Bobolów jak w scenie 6.

Scena 6.

Dwór podkomorzego w sandomierskim.

Wielki herb Bobolów — zdobny — nad otwartym oknem — okno — przez okno widok na salę — bogate obicie ścian — herby Leliwy, Korony, Litwy i Rusi — krzyżowane karabele — zbroja rycerska — trofea myśliwskie — wielkie rogi łosia — przez okno widok na gości — stoją, siedzą — gromadkami — gwarno i rojno — dolatuje głos Andrzeja:

Kochajmy się!

Widać grupkę stojącą w środku sali — trącającą kieliszki — wzajemne rozochocenie: Kochajmy się!

ANDRZEJ (wesół): Więc co mi patrzy z oczu? Bo złą mi wróżbę wróżyła cyganka. A ja to lubię.

JEDEN: Ha, ha, ha — szabla i białogłowa.

DRUGI (dobrze podchmielony): To stara tradycja Bobolów (całemu rozgwarowi towarzyszą głośnie śmiechy).

TRZECI (trzeźwo): Nie, nie! Stryj podkomorzy mu patrzy z oczu, stryj podkomorzy.

CZWARTY (rubasznie): A może diabeł Stadnicki?

ANDRZEJ: Czołem Waszmościom, czołem! — Więc zgadujcie. — By do samego ranal (Z miną na pół roześmianą, na pół tajemniczą). Bo mnie czekają (kłania się — chce odejść).

TRZECI: A dokądże to?

ANDRZEJ: To właśnie zagadka (odchodzi).

II. GRUPKA.

PIERWSZY (przystając): Co on im tam każe zgadywać?

PODKOMORZY: Nie wiem (patrząc się na Andrzeja). Może bym i zgadł.

INNY (do podkom.): A jakże tam pod Smoleńskiem było?

PODKOMORZY (widać, że zajęty inną sprawą): A było, było — oł, wróciłem i jestem (uderzając w szklanki).

Drugi nalewa czwartemu wino z dzbana — przelewa oczywista, ręce mu się trzęsą — Kochajmy się (z akcentem na »my«) — czwarty wychyla wiwatówkę — nie smakowało mu widocznie — rozbija wiwatówkę.

III. GRUPKA (debatują).

PIERWSZY: Dotychczas tu było cicho, a teraz? — Co my przeżywamy.

DRUGI: Ha, ledwo się rokosz skończył Zebrzydowskiego, a tu rokosz przeciw Bogu.

TRZECI: To u was też głośno?

PIERWSZY: Zjazd się odprawuje schizmatyków. O krok od nas w Sandomierzu.

CZWARTY: Słyszałem, co się mają połączyć schizmatycy z lutrami.

IV GRUPKA.

PIERWSZY (markotno): I na cóż się zdało to królewskie zwycięstwo, kiedy schizma i tak swoje robi.

DRUGI: Jeno się nie przejmować, zawszem tak gadał (popija sobie z dzbana — z namaszczeniem i znawstwem). Ma być schizma, to będzie. Ma być potop dla Rzeczypospolitej, to także będzie.

Scena 7.

Przy drzwiach wiodących do pokoju, przyległego do sali, — podkomorzy otwiera, podnosi kotarę — Andrzej jeszcze niewidoczny — słychać jego głos.

ANDRZEJ: Nie! Gdym słyszał głos Skargi, głos słyszałem Boga i — pójdę za tym głosem (widok na Andrzeja — z tyłu — od uchylonych drzwi). A proszę mi w tym przeszkód jakowych nie sprawować (wychodzi drugimi drzwiami).

W pokoju cała rodzina Bobolów z wyjątkiem Basi i Cześnika. Andrzej babci nie widział. Podkomorzy wchodzi — wszystkich oczy kierują się ku niemu — czekają ostatniego słowa.

GNOIŃSKI (podbiega do podkom. i wprowadza go — sadza na miejscu — perswaduje, gestykulując mocno — co chwila sobie wąsy podkręca): Stryju! Dalibóg, że tak nie można dalej. Wy mu zastępujcie ojca, wy, mu to wyperswadujcie. My przecież bezdzietni. Wojciech poległ pod Smoleńskiem. Sebastian będzie za cztery lata, jak poszedł do zakonu. Kacper (wskazuje kanonika) celebsem, a z tych dwóch (wskazuje Wojciecha lat 10 i Krzysztofa lat 5 — ci patrzą ze zdziwieniem na obcą im zgoła scenę), Bóg wie jaka pociecha będzie.

PODKOMORZY (po chwili): Nad dobro narodu idzie dobro Rzeczypospolitej.

GNOIŃSKI: Nie widzę, co tu Rzeczpospolita ma do powiedzenia tak ważnego, iżby zginąć miała świetność naszego rodu.

PODKOMÓRZY: Świetność rodu? Zginąć?! Przez syna co się dawa w służbę Bogu? Czym można więcej wstawić ród i naród, jak na ołtarzach kładąc imię jego cór i synów? *(po chwili — w której zalega głucho milczenie)*. A jeśli chodzi o perswadowanie, to wiecie sami, że Jędrzej to nie Jelski, nie chorągiewka Jelski.

Scena 8.

Z lewej strony zajeżdżają — w bogatej, poszóstnej karecie — państwo Jelscy w drodze do Sandomierza, gdzie mają zamiar wziąć udział w zjeździe schizmatyków — z początku widać tylko głowy państwa Jelskich jadących karoć — potem karoć — zaprzęg — później Popeńkę — orszak zbrojny im towarzyszący.

JELSKI *(charakter chwiejny, słaby)*: Ciekaw jestem, zali też łaskaw będzie na mnie podkomorzy, gdy się dowie, iż do Sandomierza znów jedziem, na ten dyssydencki zjazd. On to cały jest przeciwny temu.

JELSKA *(piękna i ambitna intrygantka)*: Gość w dom, Bóg w dom *(porozumiewawczym spojrzeniem przywołuje Popeńkę do męża)*, nawet dla takiego papieżnika jakim jest ten stary Bobola.

POPEŃKO *(na koniu — w skórzanym ubraniu — pierwszym zjawieniem się swoim wywołuje niemal równocześnie zachwyt i odrazę — młody, piękny watażka — orli nos — niepospolita duma — nachylając się lekko ku marszałkowi)*: Pan marszałek tylko wrogiem unii być mają *(gra oczu)*.

JELSKI *(pół biadając, pół z rezygnacją)*: Wiadomo, wiadomo. Wrogiem unii a przyjacielem schizmy. Za to Rzeczypospolitej wróg największy. Bo jakoż się ostoi Rzeczpospolita bez jedności wiary *(po chwili ogólnego milczenia — widok na orszak towarzyszący)*. Po cóż mi się było wdawać z wami.

POPEŃKO *(zaciną zęby — wyraz niezadowolenia na twarzy)*: Jedziem w poselstwie od cerkwi greckiej — trudno, by byli niełaskawi.

Przejeżdżają obok świeżo postawionego, dużego krzyża przydrożnego — krzyż łaciński — Jelski patrzy przed siebie — nie zauważa — Popeńko patrzy z wyrazem dumnej pogardy — ogląda się wstecz, czy ktoś przypadkiem nie kłania się przed krzyżem — ktoś z pachotków machinalnie zdejmuje czapkę — spotyka go gromiący wzrok Popeńki — zalekziony zapomina włożyć czapkę — podjeżdża doń z boku pop — z krzyżem prawosławnym na piersi — lewą ręką podnosi krzyż — palcem prawym wskazuje przestraszonemu pachotkowi »poprzeczkę ukośną« krzyża prawosławnego — wielki obraz tejże sceny — widać tylko »poprzeczkę« i palec raz po raz wskazujący — na drugim planie jawi się gładki trzon łacińskiego krzyża

*przydrożnego — Pop (ciągle jeszcze trzymając w lewej ręce krzyż — wskazuje w stronę krzyża łacińskiego): Etot niet nasz Boh — wi-
dać postać Chrystusa — najpierw na krzyżu diaka — potem z krzy-
ża przydrożnego — widać uderzającą tożsamość obu figur — pop
powtarza: Etot nie jest nasz Boh — smutny wyraz twarzy Chrystu-
sowej.*

JELSKA: Zresztą kochany — ugniesz się (*spojrzenie na Po-
peńkę*).

JELSKI: Ty myślisz, że uginanie to taki słodki chleb?

JELSKA: O tym — potem. Na razie dziś wielkie przyjęcie.
(*zalognie do Popeńki*) Będą krasawice. (*do męża*) Nieprawdaż, tę
sierotkę ich wyprosisz mi do fraucymeru mego.

JELSKI (*namyślając się ciężko*): Basię?

JELSKA (*przyskakując*): mhm (*umizg*).

JELSKI (*po chwili*): Dla ciebie — czy dla...

JELSKA (*zastania mężowi oczy — umizg do Popeńki*): Ależ
dla mnie kochany, dla mnie.

JELSKI (*zrezygnowany*): A ja wam powiadam, strzeżcie się
Jędrzeja, tego młodego; dla niego Basia... — (*zdanie urwane — akcja
przechodzi w scenę 9*).

Scena 9.

*Barbara Bobolanka, siostra stryjeczna Andrzeja — w towarzy-
stwie cześnika Jana Boboli z żoną — jadą karocą — zajeżdżają z pra-
wej strony — widać twarz Barbary — zamyśloną — ujmującą nie-
ziemskim pięknem.*

CZEŚNIK: Siła jeszcze drogi mamy, Basiu?

BARBARA: Będzie jeszcze z pół stajania stryjenku (*uśmiech
serdecznej radości*).

*Na koźle Tomasz — typ zabawny — moment humoru — Ka-
roca przybliża się do starego, przydrożnego krzyża, ale prawosławne-
go — widać »poprzeczkę« krzyża, mocno zmurszałą — Basia patrzy-
ca przez okno zauważa krzyż — żegna się — zupełnie niczego nie po-
dejrzewając — cześnik spostrzega żegnającą się Basię i »uśmiecha
się« — Basia nie zauważa uśmiechu.*

ZONA CZEŚNIKA (*po chwili*): Pewnie już wszyscy się zjechali.

BARBARA (*odruchowo*): A Jędrus będzie też stryjaszku? (*chce
cofnąć pytanie — nikt nie zauważa*).

CZEŚNIK: Musi, że będzie. Ze stryjem podkomorzym chyba
wrócili z Wilna (*do woźnicy*). Cóż Tomasz, panicz doma?

TOMASZ: A wrócili, wrócili.

CZEŚNIK: A zdrów?

TOMASZ: A co by miał chorować (*zaciną konia — znać, że nie ma ochoty czegoś wyjawić*). Jenó — że zaraz — uciekają.

ŻONA: Kto? Jędrzej?! A dokąd?

TOMASZ (*przełyka ślinę — kręci się*): Nie wiem, W. Pani, nie wiem. — Jenó — co babcia już dawno — mówili.

ŻONA (*ze zdziwieniem*): Babunia nic nie mówiła.

TOMASZ (*pokrzykuje na konie*): Ale! mówili, mówili. Co panicz już nie wróca.

BARBARA (*cały czas mimika — rosnący lęk — jako sierotka przywiązała się do Andrzeja — a teraz czuje, że ma go utracić*): Skąd?!

Scena 10.

Ostatni gości zajeżdżają.

PODKOMORZY: Witajcie! Witajcie!

Cześnik z żoną wysiada — za nimi Basia.

PODKOMORZY (*serdecznie się witając*): Już teraz wszyscy. (*do Basi, która podbiegła ku niemu*): Basiu! Jak się masz serdenko! (*czułe przywitanie*).

Tomasz stanął na wlokącym się ogonie sukni cześnikowej — tak, iż ta nie może postąpić kroku naprzód — wytwarza się kłopotliwa sytuacja — obrażona mina cześnikowej — Tomasz skrobie się za uchem i zamiast usunąć się na bok — zmieszany — jeszcze bardziej depcze po sukni.

Nadjeżdżają — z lewej — Jelscy.

PODKOMORZY: Kogoż to Bóg prowadzi? — Ach, marszałkostwo Jelscy.

Basia przywitawszy się z podkomorzym — jeszcze raz pobiegła do karocy — zdejmując starannie złożone dwa pączki ledwo rozkwitłych róż — całuje — wybiega — stara się ukryć kwiaty.

JELSKA (*do podkomorego*): Pokornie o noclek prosimy. (*Zauważa Basię*) Ah, i panna Basia (*wita się z nią z wyszukaną uprzejmością*). A kiedyż to powitamy w naszym domu?

BARBARA (*nieco zmieszana*): Wróć z państwem — jak babunia zezwola.

Popeńko zajechał konno — dostrzegł od razu Basię — i wpatruje się w nią.

JELSKA (*przedstawia Popeńkę podkomorzemu*): Watażka Popeńko — w poselstwie (*wzajemne ukłony — grzeczne, ale dalekie*). Podkomorzy z Jelskim wchodzi do domu — Popeńko wpatruje się znów w Basię — Jelska chce przedstawić — Basia napotyka wzrok Popeńki — miesza się — ukłon — ucieka do domu — Jelska (*do Popeńki znacząco*): To ona.

Scena 11.

Basia wbiega schodami — zmieszana — spotyka babunię w drzwiach pokoju: Babuniu! (serdeczne przywitanie).

BABUNIA: Dziecinko moja, dziecinko (zauważa pączki róż w ręku Basi — zauważa jej dziwne zaniepokojenie). — Ale co tobie?

BARBARA (wciąga babcię do pokoju — walczy chwilę z sobą — nie chce wyznać — szuka słowa): Babuniu? babuniu? Czy to prawda — że — Jędrzej — idzie? — (patrzy się badawczo w oczy babci — chce wyczytać z nich prawdę).

Babcia przypatruje się jej — rozumie co się w tym serduszkę dzieje — tuli ją do siebie — Róże wypadają z rąk Basi.

Scena 12.

Pokój Andrzeja — prosty — rycerska zaprawa — drewniane łóża nakryte skórą niedźwiedzią — na ścianie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. — Andrzej siedzi przy stole — na stole dzieła Skargi — Andrzej zamyślony — widać go z tyłu. — Następuje przepiękna scena malująca stosunek Andrzeja do Matki Boskiej — przez okno wpada rosnąca smuga promieni — odbija się od obrazu M. B. — (którego jeszcze nie widać) — a z obrazu pada na twarz Andrzeja — Andrzej zwraca twarz swą w ślad za blaskiem — Najśw. Panienska, zda się, tak go wzywa — napotyka wzrokiem obraz Matki Boskiej, który teraz dopiero widoczny — Andrzej wstaje — podchodzi do obrazu — wpatruje się długo — widać wymowne, piękne oczy Andrzeja — słychać cichym, serdecznym szeptem mówione słowa: Tobie — święcę — miłość swoją... Tobie — swoją — krew...

Wchodzi babunia — przystaje chwilę — patrzy na Andrzeja — Andrzej odwraca się — napotyka pytający wzrok babuni — podchodzi: Babuniu — idę (całuje dłoń babci).

BABCIA (po chwili): A Basia?

ANDRZEJ (chwila milczenia): Przyjechała?

BABCIA: Wie wszystko.

Andrzej siada — ciężko.

BABCIA (nachyla się nad nim — mówi czule): Trzeba Jędrzej — żebyś tam poszedł.

Andrzej wstaje — przystaje — wychodzi.

BABCIA (podnosi książeczkę otwartą ze stołu — widać kartę tytułową — »Wzywanie do pokuty i wiary, i przeciw szyzmie — ułożone przez księdza Piotra Skargę S. I.« — potakuje głową przecztawszy tytuł): No tak, — no tak.

PODKOMORZY (wchodzi innymi drzwiami): A Jędrzej?

BABCIA: U Basi. — Jeno że to wszystko tak zagnęła.

PODKOMORZY: To on. Jak co zrobić — to od razu.

BABCIA: A król Jegomość, co?

PODKOMORZY: Pokochał go od pierwszego wejrzenia.

BABCIA: A Jędrzej?

Słychać brzęk tłuczonego szkła — wiwaty gości.

PODKOMORZY: Trzeba nam do gości.

Scena 13.

Pokój — Andrzej pod drzwiami — otwiera bezgłośnie — widok na Basię — siedzi — jeszcze cała pod wrażeniem — pączki róż leżące na ziemi — nie zauważyła otwierania drzwi.

ANDRZEJ (*podszedł niespostrzeżony — chwilę się waha*):
Basiu —

BASIA (*wstaje*): Jędrzeju (*po chwili — z początku wahając*
— potem coraz więcej nalegając) Nie idź! — (*puszcza głowę*) — Nie idź!

ANDRZEJ (*zapatrzył się w dal*): Niewiasta mężczyźnie ma być skrzydłem, nie okową.

BASIA: Ale czemu tam? czemu tam?! — Czemu — zakon?!

ANDRZEJ: Są rzeczy wyższe na ziemi, Basiu, od ciała i krwi — a nimi są sprawy ducha. Pomnij, że Polsce potrzeba więcej duchów, niżli ciał. Ich tylko ogniem bije Rzeczypospolitej serce. Ja będę jedynym z nich.

BASIA: Ale ja z tobą, ja twoją iskrą. (*Andrzej uśmiecha się łagodnie ale przecząco*). O tak, tak! (*prosząc*) Jędrzeju. Bądźmy jak płomienie dwa połączone. Jako dwa wielkie — a Bogiem nad Polską świecące — słońca.

ANDRZEJ (*podejmuje porównanie*): Kto chce być słońcem, musi iść w samotność, samotną drogą. Takie jest prawo słońca. Słońca, gdy się zbyt zbliżą ku sobie, zderzają się — i gaszą wzajem.

BASIA: Przecież głos miłości jest ponad wszystkie głosy.

ANDRZEJ: Miłością tedy Boga ty miłość ugaś tę.

Łkanie Basi — ciche, wstrzymane — zarzuca mu ramiona na szyję — nie spostrzega jak stopą depcze rozchylające się kielichy róż — stopa depcząca pączki róż — uścisk pożegnania — w najwyższym napięciu słychać z przyległej sali muzykę: wezwanie do poloneza — rozluźniają się ramiona.

Kamera idzie za odgłosem muzyki — widać zbierające się pary.

Długie przejście septymowe — pary już stoją — panie głowy lekko oparte o pierś partnerów — dłonie splecione.

Andrzej i Basia ta sama pozycja — wielki obraz — po pierś — zaczyna się polonez — muzyka — obraz się oddala — widać ich całych — precudny obraz — ruszają pod krucyfiks.

Widok Andrzeja i Basi z tyłu — powolnym krokiem w rytm poloneza podchodzą pod krzyż — na ziemi zdeптane róże.

Widać pary idące — z tyłu — (analogicznie do Andrzeja i Basi) — pierwsze rozwinięcie figur — tworzy się malownicze potrójne półkole — w pośrodku podkomorzy — na pierwszym planie.

KTOŚ: Wiwat rycerz spod Smoleńska.

WSZYSCY (potrójne): »Cześć!«

Andrzej i Basia — przed krucyfiksem — Basia klęczy — Andrzej trzyma jej dłonie.

ANDRZEJ: Przeczysteń — miłości — ofiarę — przyjm, Panie.

Nachyla się ku Basi — pocałunek w czoło.

Widać pary — panie klęczą — panowie ruch naśladowy — pocałunek w czoło — w tył zwrot — śpiew — rozwijają się figury chórowe:

Jedno serca jest kochanie,

Raz bo krew żyłami gra,

Raz miłosne jest śpiewanie,

Raz w miłości tęskna łza.

Do dna więc kochania czasie

Chylmy — póty szczęścia dni.

Na kochanie serca nasze

Stworzył Bóg. — Więc pocóż łzy?

Podkomorzy z babcią przy stole — patrzą na tańczących.

BABCIA: Trzeba mu powiedzieć jeszcze ostatnie słowo.

PODKOMORZY (po chwili): Trzeba.

Sługa wywołuje podkomorzego — wychodzi — plener poloneza.

Scena 14.

W pokoju Andrzeja.

Podkomorzy-Andrzej — wielki obraz — siedzą.

PODKOMORZY: Ty wiesz, że zakon, to nie — niewiasta?

(Widać jedną z tańczących załotnie — śpiewa: Do dna więc...)

ANDRZEJ: Wiem.

PODKOMORZY: Ty wiesz, że takim jak ty trzeba ważyć wszystko, wszystko postawić na stawkę i wszystko przetrwać, — nawet własne załamanie?

Andrzej długo się wpatruje w oczy stryja.

Scena 15.

Andrzej u babci.

BABCIA: A jeśli cię opuści własny twój zakon? Jeśli opuści Bóg, tak jak opuścił Chrystusa na krzyżu — nie zdradzisz nigdy sprawy, której się poświęcasz — nigdy Jędrzejowi?

ANDRZEJ *(łza w oku — widać walkę)*: Nigdy — Babuniu.

BABCIA: Tedy idź. W imieniu matki nieboszczki na tę drogę — ze wszystkich najznojnniejszą — błogosławię ci — synu — idź — z Bogiem (*zalewa się łzami*).

Scena 16.

Przed dworem podkomorzego.

Cztery konie — Tomasz kończy zaprzęgać — Popeńko przy nim.

TOMASZ (*do niego*): To papieżnikom u was budet śmierć?!

POPEŃKO: Śmierć.

TOMASZ: A memu paniczowi też?!

POPEŃKO: Też.

TOMASZ: A któż się taki odważy?

POPEŃKO (*uśmiecha się pytająco*): Ja.

Widać Basię — nadbiega — trzyma w dłoni zdeptane róże — chce włożyć do karocy — dostrzega Popeńkę — Popeńko ją — Popeńko się uśmiecha — Basia cofa się lekko.

Z domu wychodzi Andrzej — spostrzega sytuację Basia-Popeńko — w jednej chwili pojmuje wszystko — staje przed zbyt oczywistym a nagłym i zgoła nieoczekiwanym faktem.

Tworzy się nowe, całkowicie niespodziewane zawiązanie dramatyczne — trójkąt: Andrzej - Basia - Popeńko — punkt kulminacyjny pierwszego aktu i zarazem wątek dramatyczny całości — stoją naprzeciwko sobie trzy światy — walczące o swoją wygraną — który z nich wygra?

U Andrzeja znać chwilę ostatniej walki — przybliżył się do Basi — ujął za ramię — patrzy bezwiednie na wędnące róże.

Bezradność Tomasza — chciałby wszystko uczynić dla »panicza swego« — a nie wie co.

Andrzej poczyną się podświadomie cofać do drzwi otwartego domu.

Z domu wychodzi podkomorzy — nie orientuje się w położeniu — podchodzi do Andrzeja i Basi.

Paruskający koń — rwie ziemię — nie chce stać — mocno potrzeba śliczną grzywkę.

Ostatnie pakunki przywiązane do powozu — powóz szarpnięty przez niecierpliwego konia lekko się posuwa z miejsca.

PODKOMORZY: Komu w drogę — temu czas. (*Do Basi*) Basiu — nie trza utrudniać Jędrzejowi.

ANDRZEJ (*silnie ściska dłoń Basi*): Niech cię strzeże — Bóg.

Wsiada do karocy — widać — w karocy — trwającą jeszcze walkę wewnętrzną.

Z domu — pełną falą — śpiew poloneza: Do dna więc...

Tomasz patrzy jeszcze bezradny to na siedzącego już w karcocy Andrzeja, to na Basię, to na Popeńkę — nie wie czy wsiadać na kozła, czy też nie — a może się jego panicz jeszcze namysli.

ANDRZEJ (cholerycznie): Jechać!

Głośne, radosne rżenie konia.

Na twarzy Basi niemy krzyk bólu.

Konie ruszają — mijają Popeńkę, który się trzyma cokolwiek na uboczu — Popeńko z uśmiechem zwyczajny kłania się Andrzejowi — Tomasz niby niechący batem w jego stronę.

Jeszcze raz trójkąt Andrzej - Basia - Popeńko.

Akcja koncentruje się pytająco na oddalającym się powozie — widać w nim wciąż jeszcze mocującego się z samym sobą Andrzeja — obejrzał się — przebija obraz starej cyganki (jak z sceny 5) — z groźnie podniesioną dłońią — woła: na złą wróżbę ta droga — Andrzej: spojrzał ku niebu.

Na niebie cichy blask wieczornej gwiazdy — nie czuć najbliższego wiatru ni poruszenia — z dala dochodzi piękno śpiewu i muzyki — szalony kontrast z wewnętrzną walką Andrzeja.

Pozostają stale obracające się koła powozu — poprzez nie widoczny jednostajny rytm kopyt końskich — w końcu widać tylko już jedno z tylnych kół powozu — powiększa się — zajmuje całą szerokość ekranu — wzbija się od niego coraz więcej kurzu i pyłu przydrożnego — kurz i pył zasłaniają coraz bardziej obracające się koło — nie widać nic więcej prócz kolistej masy toczącego się w koło swej osi kurzu i pyłu układającego się raz po raz w wielki znak zapytania.

Ks. Józef Warszawski T. J.

Belgia po wyborach.

Od kilku lat przeżywa Belgia stan niedomagania wewnętrznego, coś w rodzaju chronicznego przesilenia o nieco złagodzonych objawach. Powszechna jedność przekonań panuje w stosunku do dwóch faktów: konieczność ustrojowych zmian oraz widocznego przeżycia się przedwojennego parlamentaryzmu. Różnica zdań rodzi się tam, gdzie zaczyna się dyskusja na temat metod oraz zasięgu przypuszczalnej reformy: bądź powolnej, ostrożnej i organicznej, a zawartej w ramach instytucji demokratycznych; bądź socjalistyczno-rewolucyjnej, faszystowskiej, czy nawet na poły totalistycznej. (To niezbyt szczęśliwe pod względem logicznym wyrażenie dobrze jednak oddaje sprzeczności oraz wahania ujawniające się w kołach skrajnej prawicy belgijskiej). Na złożoność położenia wpływa fakt zażartej wojny językowej istniejącej pomiędzy obydwoma narodowościami zamieszkującymi dawne austriackie Niderlandy. Wallonowie bronią własnej chwiejącej się przewagi, Flamandowie dążą do osiągnięcia całkowitego równouprawnienia. Do politycznych trudności ustrojowej i gospodarczej natury dołączyło się przesilenie, które, przybierając kilkakrotnie ostry charakter, przejawiało się w dotkliwie przez kraj odczutej dewaluacji. Na koniec należy wymienić antagonizm pomiędzy katolikami i antyklerykałami, wprawdzie złagodzony w porównaniu z przeszłością, niemniej przeto i dzisiaj faktyczny. Wszystkie te czynniki składają się na wymowny obraz belgijskiej rzeczywistości.

Jednakże wielkie te kłopoty wewnętrzne maleją w porównaniu z zewnętrznym niebezpieczeństwem. Przy-

szłość Belgii niepokoi coraz więcej postronnych obserwatorów, wielka prasa amerykańska i angielska odmalowuje ją w czarnych kolorach. I w rzeczy samej obawy odnośnie do wewnętrznej jedności Belgii nie posiadają żadnego uzasadnienia, a sam naród z usposobienia swego niezmiernie żywy, w dziedzinie życia politycznego robi częstokroć „wiele hałasu o nic”. Zupełnie natomiast inaczej przedstawia się sprawa zewnętrznego niebezpieczeństwa.

Zagadnienia wewnętrzne.

Sprowadzają się one do jednego pytania, jak pogodzić odrębność flamandzką z ideą belgijskiej jedności państwowej? Świeże przykłady nauczyły świat, że rozwiązanie federalistyczne dopuszcza możliwość rozpadu państwa tam, gdzie decentralizacja nie posiada zadawnionych i głębokich korzeni, a natomiast opiera się jedynie na językowych podstawach. Niderlandy zaznały wprawdzie kiedyś ustroju federalistycznego na modłę szwajcarską czy amerykańską. Jednakże w Belgii współczesnej fakt podziału na autonomiczne prowincje ogranicza się wyłącznie i ściśle do dziedziny administracyjnej. I nie ma tam bynajmniej przeciwstawnych sobie uczuć dzielnicowych, brabanckich czy też antwerpskich; zwalczają się za to dwa poczucia narodowościowe: flamandzkie i wallońskie, znajdujące się całkowicie poza nawiasem belgijskiego patriotyzmu.

Fakt godny pożałowania; zarazem niewybaczalny grzech przedwojennej polityki wallońskiej, która tego faktu nie chciała ani dojrzeć ani uznać. Również jednak trzeba podkreślić błąd dzisiejszych nacjonalistów, którzy ze wspomnianego zagadnienia robią życiową oś wszechświata. Albowiem pomimo wszelkich językowych różnic belgijska jedność istnieje. Istnieje pod względem rasowym i politycznym, kulturalnym i obyczajowym. Kraj jest jeden i zjednoczony. Wspólne wspomnienia dziejowe spowijają go niby królewską szatą. Wykładnik jedności stanowią zewnętrzny wygląd belgijskich miast zarówno jak „psychiczny koloryt” ludności. A król, prawo, oraz wolność są jednakie i jedne dla wszystkich obywateli kraju.

A więc zagadnienie nad zagadnieniami wyraża się w tym, ażeby dać wyżej wymienionej powszechnej prawdzie zwycięstwo nad prawdami częściowymi, które usiłują spiętrzyć się w przeszkody. Zasadnicze rozwiązanie nosi w tym razie nazwę kulturalnej autonomii; niedopuszczalnym natomiast wyjściem byłby administracyjny rozdział terytorialny pomiędzy Flandrią a Wallonią. Autonomia kulturalna zapewniłaby każdej narodowości swobodę w rozwoju własnej cywilizacji; polityczna jedność sprzyjałaby pokojowemu ich współzawodnictwu. Bardzo rozumne prawodawstwo belgijskie — koniecznie zresztą wymagające rozbudowy — poręcza każdemu obywatelowi dostęp do wszelkich godności bez wyjątku i bez względu na mowę, której obywatel ten używa. Należałoby jeszcze ogłosić ponadto zupełną równość obu języków na całym obszarze kraju, dopuszczając równoczesną używalność jednego i drugiego w sądach, w administracji i w wojsku.

Drugie zasadnicze zagadnienie — to utrzymanie szczęśliwie dotąd istniejącej równowagi społecznej. Belgia przedstawia rzadki przykład kraju, gdzie żaden poważniejszy zgrzyt nie mąci harmonijnego współżycia klas. Wyjątek stanowią tu jedynie prow. Borinage oraz wielkomiejskie dzielnice zamieszkałe przez najuboższą ludność robotniczą. Źródłem takiego ustalenia wewnętrznej równowagi jest podobnie jak w Szwajcarii — brak prawdziwej nędzy wśród ludności poza wyżej wymienionymi dzielnicami wielkomiejskimi. Otóż tej dotychczasowej sielance poczęły od pewnego czasu zagrażać: gospodarcze przesilenie, deflacja, obniżenie rzeczywistej wysokości wynagrodzeń, na koniec zaś napływ cudzoziemskich handlowców pozbawionych skrupułów sumienia przy wykonywaniu swoich zawodowych czynności. Dlatego też znaczenie opieki nad rzemiosłem oraz nad wytwórczością rolniczą i przemysłową nie zawiera się jedynie w granicach gospodarczych czy społecznych, ale sięga znacznie głębiej i dotyka samych podwalin belgijskiej państwowości. I to właśnie zrozumiał p. Pierlot w okresie pierwszego swego urzędowania w ministerstwie rolnictwa i dlatego opracował wówczas program akcji dla okazania pomocy klasie włościańskiej; dzisiaj zaś usiłuje wyjaśnić

wspomniany fakt tym krótkowzrocznym jednostkom, które w trudnościach gospodarczych i w rozprawach nad stanem skarbowości, widzą jedynie przedmiot do dyskusyj, do targów parlamentarnych i do wzajemnych ustępstw na rzecz wyborów.

Na trzecim miejscu należy postawić uwspółcześnienie aparatu administracyjnego, przedawnionego jak tyle innych przejawów publicznego życia Belgii. Parlament działa źle, albo nie działa wcale, rząd ma ręce związane, król nie może nic przedsięwziąć, natrafia bowiem niechybnie na przeszkodę w postaci jakiegoś zakazu. Powolność postępowania w sprawach publicznych jest wprost zastraszająca, że wspomnimy tylko o budowie słynnej *Jonction*, przyszłego „metro” brukselskiego. Pominiemy milczeniem inne braki i niedociągnięcia, jak niemożność stworzenia wielkiej Brukseli na miejsce istniejących 30 oddzielnych gmin stołecznych, jak stan bruków i dróg, jako też gospodarka miejska w niektórych częściach kraju. Wszystko to pochodzi z jednej i tej samej choroby, wrodzonej organizmowi belgijskiego państwa, a chorobę tę stanowi liberalizm na starodawną modłę. Raczej jednak należy tu podnieść czwarte z kolei zagadnienie, które w przeciwieństwie do poprzednich otrzymało wspańnięte rozwiązanie. Zagadnieniem tym było mianowicie odrodzenie belgijskiej armii.

Kto chciałby wyrobić sobie pojęcie o ogromie dokonanego wysiłku niech weźmie do ręki opis wojskowego pokazu zarządzanego na krótko przed W. Wojną przez zmarłego króla Alberta na cześć duńskiego Chrystiana X-go. Jest czym rozweselić się przy czytaniu sprawozdania z tej parady! Tragiczne skutki wstrętu Belgów do wszystkiego cokolwiek przypomina mundur, miały okazać się w r. 1914. Dopiero zdecydowane wysiłki Alberta, rycerskiego króla, oraz jego syna, Leopolda III, stworzyły z poszczególnych a wielce różnorodnych części jednolitą armię, nie ustępującą najlepszym wojskom świata. Belgowie odnaleźli wojenne tradycje własnych przodków. Cztery lata nad Izerą wystarczyły aby wykuć zaczątki nowej armii i to zaczątki nieporównanej wartości. Od tej pory datuje się nieustający postęp. Dzisiaj, krótko mówiąc, Belgia posiada wojsko wyborowe.

Smutna przygoda czeska stwierdziła raz jeszcze, że ducha w wojsku nie można improwizować, utraconej zaś cnoty żołnierskiej odzyskać, nawet po ćwierćwiekowej zaprawie, nawet w cieniu najsilniejszych warunków i najpotężniejszych wojennych wytwórni. Jeżeli Belgia zdołała dokonać niemal cudu w zakresie wojskowości, jeżeli potrafiła zorganizować u siebie imponujące siły zbrojne, to prawdopodobnie potrafi zdobyć się w dalszym ciągu na każdy nieodzowny wysiłek. Tym więcej, że i w dziedzinie gospodarczej Belgowie wykazali, iż posiadają u siebie całe skarby śmiałej inicjatywy. Jeżeli nieporządek wkraść się do jednego z najbogatszych krajów, jeżeli ze swą ludnością zdolną, szlachetną, dumną i pracowitą kraj ten daje, pomimo wszystko, mniej wnikliwym obcym obserwatorom fałszywe pozory państwa w stanie rozkładu, to przyczyna zjawiska leży w pewnym swoistym niedołęstwie, czy też niedbalstwie, które tylko częściowo można przypisać na rachunek ustroju parlamentarnego. Mieszczański błogostan kazał Belgom zapomnieć o tym, że w troistym szeregu uświęconych i czcigodnych wartości, wolność następuje dopiero jako trzecia z rzędu po prawie, a przede wszystkim po królu, któremu ze wszechmiar należy się pierwsze miejsce. Ostatnie jednak lata upłynęły w Belgii niestety pod znakiem interesów i „afery”.

„Afery”.

Podczas gdy zdrowe interesy szły w Belgii niedobrze — przynajmniej wedle powszechnie utartego mniemania, mnożyły się za to i świetnie rozwijały tzw. „afery”. Wszystkie one posiadały równocześnie pewien rys wielkości i rys prowincjonalizmu. Drobne, w zestawieniu z prawdziwymi skandalami *à la* Stawisky, urastały w oczach belgijskich parlamentarzystów i wyborców do olbrzymich rozmiarów.

Barmat, Van Zeeland, Imianitoff, Martens i w ślad za nimi widma inflacji oraz deflacji, dalej zaś jeszcze Burgos oraz brak równowagi skarbowej — oto jakie obrazy przesunęły się w ciągu roku przed wzrokiem widowni belgijskiej. A za każdym z tych obrazów sunęła niby ponury cień — groźba rozwiązania parlamentu i rozbicia jedności kraju. Należy tu wszakże zauważyć niewspółmierność wagi i znaczenia po-

między poszczególnymi „aferami“, jako też odnośnymi ich „bohaterami“. Jedynie bowiem Belgowie ze swym fanatycznym umiłowaniem równości nadali wszystkim tym sprawom jednaki rozgłos i wszystkim przypisywali jednakową szkodliwość.

Cudzoziemcy patrzą na to wszystko w sposób zgoła odmienny. Znają dobrze odwieczne metody farbowania lisów, nadto umieją odróżnić działaczy od aferzystów. Inna rzecz, co sądzą o tragi-komicznych sprawkach dra Martensa. To pewne bowiem, że ostatnie spowodowały na koniec, ów publiczny wstrząs, którego przedtem przez tyle czasu zdołano uniknąć. Pewnym jest również, że ostatnio przytoczony fakt nie zdziwi nikogo z postronnych obserwatorów, ponieważ w danym wypadku — bardzo głębokie zagadnienia kryją się za mało znaczącymi pozorami.

Wracając do innych „afer“, wymienimy najpierw osobę pana Barmata. Był to uciekinier z litewskiego „getta“, reżyser nieczystych interesów i eleganckich flirtów, współbiesiadnik koryfeuszów b. rzeczypospolitej niemieckiej. Pomny berlińskich przeżyć i doświadczeń, rozpoczął gościnne występy w Brukseli. Stykał się z ministrami, parlamentarzystami, dyrektorami banków; siał obietnice, zbierał zaliczki... aż do chwili, kiedy zachłysnął się własnym kłamstwem i udławił się nagłą, niespodziewaną śmiercią w celi więziennej. Zaczyn rozwiązały się języki przeciwników politycznych niewiernego Barmatowego grona. Gama różnobarwnych plotek oczerniła w wyniku parlamentarne szczyty, a Van Zeeland zapłacił za wesołe igraszki ludu.

Bardzo wiele lekkomyślności, niemało nieświadomości. Agitatorzy i dziennikarze uczynili z Van Zeelanda kamrata z Barmatowej kliki. Następstwa: — dymisja premiera, położenie, które na długie miesiące sparaliżowało najzdolniejszego z belgijskich mężów stanu i jak najsmutniejsze skutki tego wszystkiego dla kraju. Van Zeeland bez wątpienia nie grzeszył ascezą ani nadmierną wrażliwością sumienia. Był to człowiek finansów, którego potrzeba chwili przemieniła w męża polityki. Oparł się niejednej pokusie, robił zaś — tylko to, co każdy inny byłby czynił na jego miejscu i ro-

bił o wiele lepiej aniżeli ktokolwiek inny. Ale przyprawiał o rozpacz tych, co chcieli postępować jeszcze lepiej.

Barmata zapisano na kredyt liberałów, Van Zeeland obciążył bilans obozu katolickiego, niejakiemu Imianitoffa wypada zapisać na rachunek socjalistów. Opis przygód rzekomego lekarza i wojskowego wolny jest od tragicznych akcentów przytłaczających rysy komizmu w dziejach jego poprzednika i współrodaka, Barmata. Imianitoff potrafił zdobyć sobie ludzką wiarę, zaufanie do swoich słów i do sfalszowanych świadectw, na koniec zaś osiągnąć kierownicze stanowisko w Ministerstwie Opieki Społecznej. Stał się „szarą eminencją” przy socjalistycznym piastunie wymienionej teki, ściągał na siebie gniew nie na żarty eskulapów całego kraju, rozpowszechnił w Belgii środki antykonceptyjne, czuwał nad rozwojem marxistowskiej higieny i gromadził odznaczenia i pełnomocnictwa. I byłby może dobił się ministerialnego fotela, gdyby jego pseudo koledzy a lekarze prawdziwi nie postarali się o wykrycie i ujawnienie prawdy dotyczącej... podrobionych dowodów wojskowych i dokumentów naukowych.

Jeszcze nie przebrzmiała w społeczeństwie wesołość, rozbudzona wyżej opisaną historią, gdy już ukazał się na scenie drugi adept Hipokratesowy, tym razem rzeczywisty doktor nazwiskiem Martens. Życie ministerialne płynęło za owych dni pod znakiem kwadratury błędnego koła... skarbowości. Prócz tego tematem kłótni był gen. Franco wraz ze swym rządem w Burgos: na czele belgijskiego gabinetu, liberalny „wuj Janson” obok socjalistycznego „siostrzeńca Spaaka” wytrzymywali natarcia rozentuzjasmowanej prawicy i napełnionej świętym oburzeniem lewicy. Wuj odszedł, siostrzeniec kilkakrotnie groził odejściem, wymógł od politycznych współtowarzyszy zarówno jak od przeciwników ustępstwa w postaci zwłoki, kompromisów i wołów zaufania... Aż w końcu bomba wybuchła!

Jaki zły duch (może w osobie antwerpskiego burmistrza i Prezesa Izby, p. Huysmansa, któremu wszyscy przyznają żyłkę złośliwości i żdźbło genialności?) podszeptał zgromadzonym na radzie ministrom nominację doktora Martensa w długim korowodzie innych sław lekarskich? Człowiek

ten, niegdyś skazaniec na śmierć za przynależność do Wielkiej Rady Flandrii, made in Germany, potem ułaskawiony czasu Wielkiej Wojny, mógł być przejść przez życie cicho i niespostrzeżony, jego zaś obecność w łonie Flamandzkiej Akademii Lekarskiej nie byłaby ani trochę zagrażała wewnętrznemu ani zewnętrznemu bezpieczeństwu Belgii. Ale jeżeli miłość czuwa, to czujniejszą nad nią jest nienawiść... Zaledwie Martens znalazł się w dostojnym naukowym gronie, a już wszyscy frankomani z całego kraju ruszyli do ataku na „zdrajcę”... Była to jedyna w swoim rodzaju sposobność do zniszczenia, przynajmniej częściowego, instytucji razem z duchem który ją stworzył.

Dwie rzeczy nie pozostawiają najmniejszej tutaj wątpliwości. Po pierwsze nominacja dra Martensa była niewybaczalną niezręcznością, którą spowodowała wrodzona belgijskiemu narodowi lekkomyślność. Po drugie: oburzenie zwrócone przeciwko pojedynczemu winowajcy Martensowi przemieniło się w ogólne natarcie skierowane przeciwko flamandzkiemu ruchowi oraz językowemu równouprawnieniu. Logika podniecająca tę walkę nie znalazła wprawdzie miejsca w dziennikach ani w broszurach, ale za to w ustnych rozmowach, którymi podburza ludność. I tu leży właśnie ośrodek niebezpieczeństwa. Fałsz, bowiem, przypisujący głosami Wallonów Flamandom zdradzieckie czy antypaństwowe dążności, może w końcu doprowadzić również i po tamtej stronie do wytworzenia pojęć łączących nieodzownie poczucie narodowościowe z myślą o irredencie.

Z chwilą popełnionego już błędu stronnictwo wallońskie powinno było postawić kropkę na fakcie, co byłoby wywarło znakomite wrażenie na przeciwnikach a zarazem oszczędziło najbardziej zachowawczym i najbardziej lojalnym, względem idei belgijskiej państwowości, czynnikom katolickim przykrej konieczności stowarzyszenia się z socjalistą — wolnomularzem, wyniesionym do godności narodowego bohatera.

Niebezpieczeństwa zewnętrzne.

Martensowska „sprawa” obaliła rząd Spaaka i uniemożliwiła zażegnanie wywołanego w następstwie przesilenia; dalej podkopała w ciągu kilku dni stanowisko gabinetu

Pierłota i spowodowała wreszcie, odnośnie do Izb, to ich nieuniknione rozwiązanie, które chciano — za wszelką cenę — opóźnić do jesieni. Ostatecznie bowiem trzechlecie przeniknęło Belgów zbawienną bojaźnią przed ideami marcowymi, wiosennymi i przed kanikulą letnią w ogóle. Wspomnieli naraz — w głębi własnej swej podświadomości — na bezpośrednie sąsiedztwo narodowo-socjalistycznych Niemiec i na to także, że sąsiad ten szanuje jedynie narody silne i silnie zjednoczone...

Tak więc z chwilą ogłoszenia w r. 1938 „wzmocnionego pokoju“ położenie międzynarodowe położyło koniec wszelkim nieporozumieniom i niesnaskom wewnątrz kraju. Waśnie i sprzeczki pomiędzy dwoma narodowościami oraz pomiędzy 36 odłamami i odłamkami politycznych stronnictw znikły jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Jesienią i zimą namiętności polityczne wzmogły się jeszcze ponownie, doszły zaś do szczytowego napięcia w marcu br. w następstwie ulicznej manifestacji b. uczestników W. Wojny oraz podłej napaści na min. Spaaka. A że był to właśnie moment rozwiązania parlamentu, wszystko kazało przewidywać gwałtowną i zaciętą walkę przedwyborczą. Rzeczywistość jednakże zadała kłam przewidywaniom. W tydzień bowiem po powołaniu do urn wyborczych, belgijscy wyborcy dowiedzieli się o losie czechosłowackiej republiky, a wtedy skandale, polemiki, porachunki osobiste, jako też teoretyczne dysputy odeszły w głęboki cień wobec powagi i grozy ogólnego europejskiego położenia, wobec poczucia zbliżającej się brutalnej dłoni, która za plecami wystawionych przez siebie marionetek reżyserowała w Belgii niepokoję wewnętrzne.

W ostatecznym wyniku wybory miały przebieg zupełnie spokojny.

Stronnictwa.

Wśród ugrupowań politycznych Belgia posiada bogatą paletę ideologicznych odcieni, osobliwość zaś tego kraju stanowi fakt, że biegunowo sobie przeciwne jednostki oraz grupy łączą się pod wspólnym sztandarem wiary bądź religijnej, bądź narodowej, silniejszej ponad wszystkie pozostałe

względy. Dotyczy to przede wszystkim Bloku katolickiego, w którym spotykamy konserwatystów, liberałów, skrajnych demokratów oraz czerwonych chrześcijan obok sympatyków faszyzmu. Dalej Blok dzieli się na dwie sekcje: wallońską i flamandzką, posiada dwóch przywódców, po jednym z każdej z dwóch wspomnianych narodowości. Jednolity światopogląd nie przeszkadza tutaj istnieniu różnic, wybuchających za każdą nadarzającą się sposobnością w dziedzinie zagadnień językowych.

Niesnaski te zresztą są jeszcze mniej szkodliwe, aniżeli rozbieżność zapatrywań, ujawniająca się w odniesieniu do zagadnień polityki wewnętrznej i zagranicznej, ujawniająca się przy tym w ramach stronnictwa bynajmniej nie jednolitego, pozbawionego bowiem praktycznie jedności nawet w zakresie dotyczącym własnego kierownictwa. Mamy zatem w obrębie Bloku: deflacionistów i inflacionistów, etatystów i ich przeciwników, obrońców interesów wsi i miast, reakcjonistów i rewolucjonistów, frankofilów i frankofobów, antysemitów i żarliwych przyjaciół Izraela, słowem: cały parlament w łonie parlamentu, cały *Corpus Catholicorum*, któremu nie brakuje ani prawicy, ani lewicy, ani środka, ani nawet skrajnych skrzydeł partyjnych. Wśród tego zamętu, wzmagającego się jeszcze na skutek przerostu indywidualizmów, jaśnieje jedna jedyna wyraźna nić przewodnia w postaci przekonań katolickich.

Jak już wspomnieliśmy, na czele Bloku stoi dwóch przewodniczących. Są to pp.: Hoyois i Verbist, cieszący się u ludzi ogólną życzliwością i szacunkiem. Brakuje tu jednakże wodza we właściwym znaczeniu słowa, a to dlatego, że jest zbyt wiele... umysłów wybitnych. Pomijając Van Zeelanda, swego czasu usuniętego w cień, wymienimy obecnego premiera Belgii, p. Pierlota, którego, niestety, przedwcześnie stargały sprawy dra Martensa, a także nierozsądny sprzeciw, okazywany programowi skarbowemu, bardzo mądrze pomyślanemu przez dzisiejszego ministra Sapa. Ten ostatni, Flamand wojujący, byłby urodzonym wodzem dla rządu koalicyjnego — mieszczańskiego, do którego mogliby wejść m. in.: hr. Carton de Wiart, przywódca flamandzkich narodowców; wicehrabia Du Bus de Warnaffe, doskonały

mówca, zawsze pogodny, zrównoważony i jowialny; i na koniec hr. d'Aspremont de Lynden, który tęsknił czas jakiś za władzą i ostatnio już do niej powrócił. Katolicką lewicę przedstawia dzisiejszy minister komunikacji, Marck, sumienny, uprzejmy i pełen prostoty; podczas gdy dusza flamandzka wcieliła się w niemniej flamandzką postać p. Van Cauwelaert'a; — ten człowiek o marzących oczach i złocistej bródce (moda z r. 1900!) jest rozjemcą wszystkich sporów na terenie własnego stronnictwa. Za nim idzie jeszcze p. De Vleeschouwer, dobry gospodarz belgijskich kolonij, jegośmość o flamandzkiej czuprynie, zjeżonej wedle wzoru z r. 1930.

Poza granicami Bloku istnieje odrębne stronnictwo, utworzone przez flamandzkich katolików, zazdrosnych o swój zdobywczy nacjonalizm. Jest to tzw. V. N. V., Narodowe Flamandzkie Zjednoczenie, głoszące hasło zupełnego wydzielenia ziem flandryjskich, zarazem spadkobierca owych „aktywistów“, którzy czasu Wielkiej Wojny zdecydowanie współdziałali z okupacją niemiecką. Dzisiejsze V. N. V. zapewnia o swej lojalności względem belgijskiej rodziny panującej. Przestano już tam wołać: *België kapo!* zadawalniając się żądaniem dualizmu na modłę austro-węgierską, a więc jednego monarchy na czele dwóch państw o wspólnej linii granicznej i obronnej; nie mówi się przy tym o autonomii kulturalnej, ani o równouprawnieniu językowym, jakiego domagają się Flamandowie z Bloku, oraz ze stronnictw: liberalnego i socjalistycznego. Ideał V. N. V. jest monolingwistyczny, to znaczy, że dla Wallonów wyłącznie francuski, ale dla Flamandów tylko i jedynie flamandzki. Takiego stanowiska brocił zrazu p. Borms, niegdyś, podobnie jak Martens, skazany na utratę życia. Później znalazło ono głośnego rzecznika w osobie p. Florimonda Grammensa, romantycznego bohatera, który strawił długie lata na zamalowywaniu francuskich napisów w całym kraju, gdy zaś dosięgła go karząca dłoń sprawiedliwości, wołał więzienie nad grzywny, a nawet nad darowanie kary. Zaczem stał się bohaterem flamandzkiej irredenty, bóstwem młodzieży, ale równocześnie przedmiotem żartów i żarcików, ciskanych w niego z umiarkowanych kół wallońskich oraz flamandzkich.

Rozmyślnie wymieniliśmy Grammensa przed parlamentarnymi wodzami V. N. V., tj. przed nazwiskami De Clercq'a i Borginon'a. Strukturalną bowiem właściwością omawianego stronnictwa jest fakt, że szerokie tłumy idą raczej za pacykarzem szyldów, aniżeli za przedstawicielami ludu, z urzędu swego zmuszonymi do obyczajów parlamentarnych. Pp. De Clercq i Borginon chcieli czy też musieli uczynić pewne pocieszające oświadczenia w chwili ostatniego przesilenia międzynarodowego, podkreślili więc z naciskiem swoje uczucia wierności dla Belgii, warunkowe wprowadzie, ale niemniej formalne. Grammens natomiast porzasta na prowadzeniu walki z językiem „złych“, nie troszcząc się bynajmniej o... złe języki.

Trzecie ugrupowanie spod katolickiego znaku to znany powszechnie *Rex* pod wodzą równie znanego Leona Degrella. Degrelle jest to pisarz i mówca o jednakowym stopniu rasy pisarskiej i klasy, poza tym wszakże kandydat na dyktatora, któremu zbywa na potrzebnej po temu stanowczości i bezwzględności. Nieprzejednany przeciwnik systemów parlamentarnych zbiera z wysokości mównicy wawrzyny i hołdy od wzruszonych, ale naiwnych słuchaczy, zgromadzonych na zebraniach przedwyborczych, czy jakich bądź innych. Wrogowie jego za to, o wiele mniej od przyjaciół naiwni, oskarżają go o pobranie italo-niemieckich subwencji. Inni, bardziej wyrozumiali krytycy, stwierdzają tylko z jego strony naśladownictwo *Führer'a* i *Duce* w niebardzo po temu sprzyjającej atmosferze. *Rex* narodził się z siły twórczej i siły *sex appeal'u* swego wodza. *Rex* urósł na skandalach, o których już mówiliśmy i które starannie wykorzystał. *Rex* upada od chwili, kiedy Belgowie spostrzegli zbliżającą się groźbę wkroczenia sił niemieckich. Albowiem są gotowi znieść wszystko, byle nie to właśnie. Na nic zatem obietnice, uśmiechy i płomienne wezwania! Nieprzyjaciele *Rex'a* zyskali teraz doskonały punkt oparcia: wystarczy im tylko wykazać linie styczne pomiędzy *Rex'em* a faszyzmem i narodowym socjalizmem. Najbardziej pojętne hasła nie wywołały tym razem żadnego oddźwięku na skutek nieprzejednanego wstępu do osoby Hitlera. *Rex* na próżno wywieszał sztandar antysemityzmu, jedyny między

stronnictwami poza V. N. V. Ludzie słuchają, czytają, przyznają słuszość, ale nie uważają, ażeby potępienie żydowskiego zalewu uprawniało jednocześnie Degrella do przybierania dyktatorskiej pozy i wprowadzania niemieckich metod.

Jak ostatniej deski ratunku, chwycił się wódz *Rex'a* gry na uczuciach anty-hitlerowskich. Chciał przelicytować innych pod tym względem — i oto on, niegdyś gość niemieckiego NSDAP'u, a przy tym gorący wielbiciel *Führer'a*, przeprowadził swą kampanię wyborczą wymyślając Martensowi i lżąc Szwabów. Szaweł stał się Pawłem, ale także w pierwotnym znaczeniu słowa stał się małym. Trudno wobec tego prorokować o przyszłości stronictwa. Możliwe, że podniesie się ono później. W danej chwili najlepsi towarzysze broni opuszczają jego szeregi. Tak np.: p. Paweł de Mont, jeden z umysłowych przywódców Flandrii, p. Piotr Daye, publicysta i genialny pisarz, wreszcie p. Sindic, polityk doświadczony i głęboko uczciwy, nie chcą znać dawnego swego wodza, Degrella.

Zatrzymamy się jeszcze chwilę przy ostatnim z ważniejszych ugrupowań prawicowych, tzw. *Verdinaso*, którego twórcą i zarazem przywódcą jest poeta flamandzki Joris Van Severen. Stronictwo stanowi dla Flandrii bardzo ścisły odpowiednik słynnej *Action Française* we Francji. Gromadzi ono flamandzką elitę społeczną, umysłową i moralną i poddaje ją podwójnej dyscyplinie wewnętrznej i zewnętrznej. Jego polityczny ideał wyraża się w postaci federalnego państwa, złożonego z Holandii, Flandrii, walońskiej Belgii i Luxemburga (porzucono już pretensje do północno-francuskich okręgów, zamieszkałych przez Flamandów). Van Severen szerzy swoje idee za pomocą czasopism, odczytów oraz za pośrednictwem pewnej organizacji, rekrutującej przede wszystkim szeregi młodzieży. Podkreśla przy tym dobitnie swoją lojalność wobec króla i Państwa, co mu nie przeszkadza żywić pomiędzy polityczną bracią belgijską najnamiętniejszych uczuć pan-niderlandzkich. *Verdinaso* nie posiada przewagi liczebnej, nie może nawet spodziewać się poselskiego mandatu, ale będzie pomimo tego wpływało coraz silniej na ideologię nadchodzących pokoleń flamandzkich.

Wprost przeciwnie dzieje się u liberałów. Ci żyją kosztem wielkich tradycji, idei i przesądów, datujących się od czasów założenia belgijskiego państwa. Liberałowie posiadają również sympatyków wallońskich i flamandzkich, ale w bardzo wyraźnej mniejszości. Poza tym członkowie tego stronnictwa pochodzą z pewnych kół dosyć ściśle odosobnionych, jako to ze sfer uniwersyteckich, bankowych i przemysłowych, przy czym wchodzi tu w grę głównie wielki przemysł, przede wszystkim zaś hotelarski, obejmujący także oberżystów i właścicieli kabaretów. Mentalność belgijskich liberałów b. często przypomina aptekarza z *Madame Bovary* (*Homais*), cechuje ich antyklerykalizm obok społecznego reakcjonizmu. Ci panowie nie boją się Boga ani diabła, drżą jedynie o własną skórę, wyśmiewają księży, szanują żandarmów. W ich szeregach znajdują się najbardziej uparci szowiniści językowi, stamtąd również wychodzi bojkot wszelkiej przemiany społecznej. Liberałowie lubią przywłaszczać sobie wyłączne prawo do inteligencji i patriotyzmu. W rzeczywistości wybitne umysły ześrodkowały się na czele stronnictwa, podczas gdy jego wyborczy trzon świeci zdumiewającą tępota. Spotykamy więc u góry znanego nam już „wuja Jansona“; Hymansa, znakomitego ministra spraw zagranicznych; Deveze'a, rozumnego sympatyka katolicyzmu, twórcę belgijskiej linii Maginota i dzisiejszego ministra robót publicznych; na koniec zaś dzielnego i zasłużonego p. Maxa, popularnego burmistrza stolicy, bohatera cywilnego oporu przeciwko Niemcom z czasów W. Wojny. P. Max zresztą cieszy się rozległą sławą nie tylko z powodu swej chwalebnej przeszłości, ale także z przyczyny swego wiernego, czworonogiego ulubieńca. Przeszłość i pies towarzyszą mu nieodłącznie na każdym kroku. — Dołączmy na koniec stereotypową uwagę odnoszącą się niezmiennie do każdego bez wyjątku belgijskiego stronnictwa: „idealna“ niezgoda panuje zazwyczaj w głębszych ośrodkach grupy, gdzie krótkie spięcia pomiędzy ludźmi i pomiędzy ideami powtarzają się przy każdej sposobności.

Ortodoksyjni socjaliści (P.O.B.) nie czynią wyłomu w powszechnej regule. Śmierć „patrona“ Emila Vanderwelde poważnie zachwiała stanowiskiem rewolucjonistów. Stary

De Brouckère pozostał sam jeden wierny doktrynie materialistycznego idealizmu, datującej się z okresu walki. Dzisiejszy zaś socjalizm belgijski posiada kilka rozmaitych kierunków. Z tych najbliższy katolicyzmowi ma przedstawiciela w osobie de Man'a; drugi utylitarystyczny dąży przede wszystkim do bezpośrednich osiągnięć politycznych i społecznych; jego ideologię wciela min. Spaak; trzeci wreszcie zbliża się raczej do dawnej marksistowskiej ortodoksji i znalazł heroldów w pp. Buset i Brunfaut. Do tego świetnego orszaku parlamentarzystów należy dołączyć p. Soudan, b. ministra Spraw Zagranicznych, oraz p. Wautersa b. ministra Zdrowia Publicznego. Obydwaj ci panowie, zagorzali antyklerykałści zdradzają jednakże niezaprzeczone talenty twórcze. Zespół wszystkich wymienionych osobistości daje nam pojęcie o współczesnym socjalizmie belgijskim, zakrojonym niewątpliwie na wysoką miarę. W sumie P.O.B. oddało znaczne usługi i klasie robotniczej i krajowi. Katolicy nie pragną bynajmniej osłabienia stronnictwa i liczą w tym na chwalebne wysiłki min. Spaaka, który z talentem i ofiarnością stara się wypełnić podwójne zadanie: utrzymać proletariat w granicach społeczności narodowej oraz zapewnić mu odpowiednie miejsce w łonie tejże społeczności. Na nieszczęście, umiarkowana i przewidująca postawa p. Spaaka naraża go na napaści ze strony pozbawionych sumienia agitatorów. P.O.B. musiało przeprowadzić niezmiernie trudną walkę wyborczą, zatrutą jadem komunistycznej demagogii.

Komunistom brakuje przywódcy wielkiego pokroju. Niemniej przeto korzystają oni z każdego powodu do niezadowolenia, ze sprawy hiszpańskiej, ze wszystkich skandalów publicznych, z obaw jakie budzi w Belgii postać Hitlera, z niedomagań gospodarki narodowej, z lojalności socjalistów i z upadku rexistów, aby na tych wszystkich podstawach oprzeć własne, dość poważne tryumfy. Jest to wszakże zwycięstwo bez widoków jutra, komuniści są osamotnieni i nie posiadają siły faktycznej. Nigdy też nie przekroczą pewnej ograniczonej liczby poselskich mandatów, dostępnych dla ich stronnictwa w Borinage i po wielkich ośrodkach przemysłowych.

Konieczność zmusza nas do pobieżnej tylko wzmianki o drobnych partiach, które żadną miarą nie zdołają zapewnić Belgii lepszej przyszłości. Wallońskie stronnictwo ks. Mahieu pragnie być odpowiednikiem V.N.V. i gromadzi pod swym sztandarem frankofobów, którzy własną mowę cenią wyżej nad patriotyzm. Kierunek ten nie ma żadnych danych powodzenia i ogniskuje się jedynie i głównie nad granicą francuską.

Kandydatury wysunięte przez b. uczestników W. Wojny mogą wykazać się wyłącznie zasługami wojennymi, które nie stanowią jeszcze bynajmniej o uzdolnieniu do życia politycznego. Praktycznie zatem frakcja ta stanowi grupę pomocniczą przy liberałach, z którymi dzieli jeżeli nie właściwe ideały, to w każdym razie wstręty.

Kwiefniowe wybory.

W ostatecznym wyniku koła umiarkowane osiągnęły dla siebie znaczne zyski, podczas gdy skrajna prawica padła, skrajna zaś lewica stanęła w miejscu. Nienawiść do totalizmu, a zwłaszcza do narodowego socjalizmu zapewnia liberałom pewną nieznaczną i prawdopodobnie krótkotrwałą poprawę położenia. *Rex* płaci za błędy przeszłości. Flamandzcy separatyści okupili nieznacznym krokiem naprzód programem zawartym całkowicie w ramach myśli belgijskiej. Dymisja dra Martensa, stanowi z ich strony piękny odruch pojednawczy, dokonany w imię przywrócenia powszechnej zgody w narodzie.

Mogłoby się zdawać, że wszystko już jest na dobrej drodze wiodącej ku zbawiennym reformom wewnętrznym oraz ku zbrojnej potędze kraju. Jednakże zwycięstwo liberałów, którzy blisko o połowę powiększyli dawną liczbę uzyskanych przy wyborach mandatów, kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo. Ujawniłoby się ono mianowicie wtedy, gdyby wymienione stronnictwo zechciało nadużyć swej przewagi i sięgnąć po nadmierną siłę wpływów; gdyby wpływami tymi zechciało pchnąć wewnętrzną politykę na niebezpieczne tory antyflamandzkie, co mogłoby wywołać niepożądany oddźwięk po drugiej stronie granicy oraz zniszczyć wszelkie dobre intencje górujące dzisiaj nad innymi prądami w Antwerpii, w Gandawie i w Bruges. Nie należy również zapo-

minać o istniejących antyklerykalnych dążeniach. W dniu wyborów (2 kwietnia) manifestujący liberałowie wznosili na cześć swojego zwycięskiego stronnictwa okrzyki: *À bas la calotte!*... Nie jest na koniec wykluczonym, że nowy układ sił parlamentarnych mógłby wpłynąć na zmianę zagranicznej polityki belgijskiej, co żadną miarą nie byłoby pożądanem.

Położenie Belgii jest trudne i drażliwe. Wymaga ono polityki rozważnej i zarazem energicznej, obronnej i gotowej w każdej chwili do przeciwdziałania jakiejkolwiek agresji z zewnątrz. Wyniki wyborów powierzyły katolikom kierownicze stanowisko w obecnym rządzie koalicyjnym. Wypadnie jednak ułagodzić socjalistów i nakłonić ich do wierności wytycznym min. Spaaka; z drugiej zaś strony poskromić uroszczenie liberałów, a równocześnie na każdym kroku i za wszelką cenę unikać najłżejszego nawet pozoru nieprzyjaźni czy tylko niesprawiedliwości w stosunku do Flamandów. Trzeba będzie również przystąpić do wielkiego dzieła urzędywstnienia nowego planu finansowo-administracyjnego, choćby przy odgłosie huczących w oddali grzmotów...

Czynnik decydujący o politycznej równowadze.

Na straży mądrej i sprawiedliwej polityki stoi w Belgii wódz nieporównany, król Leopold III. Jeżeli doskonale poczucie taktu nie pozwoliło monarsze na interwencję w walkach partyjnych, nie przeszkodziło mu jednakże w wypowiedzeniu wyraźnego i stanowczego zdania w związku z rozwiązaniem Parlamentu. Leopold III cieszy się w swym kraju ogromną popularnością oraz uznaniem dla swoich licznych a głębokich zalet. Belgia nie potrzebuje szukać innego wodza. Pod zwierzchnictwem króla Leopolda silny i odpowiednio uzdolniony gabinet zdoła niewątpliwie sprostać wszystkim zagadnieniom wewnętrznym jako też odeprzeć skutecznie wszelką groźbę zewnętrzną.

Dr F. Bifnicki.

Zagadnienia plastycznej sztuki religijnej.

W roku 1925 wyszło w Hamburgu ciekawe studium Fritza Karpfen'a o zwyrodnieniu sztuki pt. *Der Kitsch*. Kicz jest frazesem w sztuce. W rozdziale o kiczu religijnym autor twierdzi, iż sztuka religijna skończyła się, bo religia ludzi dzisiejszych z reguły jest frazesem i kłamstwem, wskutek czego w dziedzinie religijnego wyobrażenia wszystko stało się kiczem. Tylko pod warunkiem, że religia przestanie być powierzchowną i płytką a odzyska swą siłę przenikania w głąb życia, odrodzić się może sztuka religijna. — Te uwagi niemieckiego a prawdopodobnie protestanckiego autora dają dużo do myślenia.

Niestety trzeba stwierdzić, że kicz i w Polsce rozpiera się wszędzie. Pełno po kościołach naszych mechanicznie wytwarzanych figur i obrazów tandetnych, a same świątynie nowoczesne są jako budowle zbyt często przyodziane anachronicznie w staromodne i nieprawdziwe bo namiastkowe style wieków dawno minionych. Ma się wrażenie, że współczesna nam sztuka religijna, nie mając własnego kapitału, żyje pożyczkami, nie mając własnych myśli twórczych, naśladuje bezmyślnie, nie umiając się zastosować do żyjących, galwanizuje trupy; produkuje na zamówienie bez natchnienia, wyrasta więc z przyczyn tylko zewnętrznych, a nie, jakby należało, z przyczyn wewnętrznych.

Wprawdzie mamy mnóstwo artystów katolickich, pomiędzy nimi nazwiska wybitne i znane nie tylko w kraju, ale i za granicą. Retrospektywna wystawa polskiej sztuki kościelnej w warszawskim Tow. Zachęty Sztuk Pięknych

z roku 1932, tuż przedtem a raczej równocześnie polski oddział na międzynarodowej wystawie nowej sztuki religijnej w Padwie (w związku z 700-leciem św. Antoniego) z roku 1931, a przede wszystkim wielka wystawa polskiej sztuki religijnej w Katowicach z roku 1931 — były nawet dowodem, jak wielkie jest u naszych artystów zainteresowanie dla sztuki religijnej. A jednak w czerwcu 1932 Józef Młodecki pisał bez ogródek i bez protestu w *Gazecie Warszawskiej* (1932, nr 179), iż „współczesna sztuka religijna po prostu ...nie istnieje, nie istnieje w tym sensie, w jakim istniała w świetnych epokach swego rozwoju: bizantynizmu, romanizmu, gotyku a i później w epoce odrodzenia i baroku”.

W związku ze wspomnianą wystawą warszawską z roku 1932 podkreślano publicznie potrzebę utworzenia w Warszawie Instytutu Sztuki Chrześcijańskiej. Jeszcze przedtem pisano o zamiarze otwarcia podobnego Instytutu na Jasnej Górze, a z równą słusnością można by się domagać takiego Instytutu w polskim Rzymie, jakim jest dla narodu Kraków, z inicjatywy np. Koła Przyjaciół Dzieła Brata Alberta.¹⁾ Dla dzisiejszych rozważań jest rzeczą obojętną, czy powyższe zamiary zostały gdzieś choćby w przeróbce zrealizowane.

¹⁾ Zagadnienie sztuki religijnej i kościelnej w Polsce, znajdującej się w stanie wielkiego upadku, zaczyna w ostatnich czasach budzić zainteresowanie. Zajął się tym zagadnieniem Instytut Akcji Katolickiej w Warszawie, omawiana jest również ta sprawa w Poznaniu i Katowicach. Ostatnio, dnia 23 lutego br., z inicjatywy Sekcji Plastycznej Koła Przyjaciół Br. Alberta, odbyło się zebranie dyskusyjne w lokalu Naukowego Instytutu Katolickiego w Krakowie. Miarą zainteresowania był niezwykle liczny udział publiczności, a przede wszystkim artystów. Zebranie zagałę p. Dienstl - Dąbrowa, podkreślając ważność i aktualność zagadnienia, po czym pierwszy bardzo głęboki, subtelny i wnikliwy referat wygłosił Ks. Prof. Konstanty Michalski. Wychodząc z tomistycznej definicji piękna, wykazał jak ta definicja urzeczywistnia się w Kościele, jak powinna się urzeczywistniać w duszy artysty religijnego i w jego dziele sztuki. Referat ten został ogłoszony w nowym piśmie duszpasterskim, wydawanym w Poznaniu. Następne dwa referaty wygłosili: Ks. Prałat Emil Szramek z Katowic i prof. Witold Chomicz. Referat pierwszy drukujemy obecnie w *Przeglądzie*, następny zamieścimy w najbliższym zeszycie. Ufamy, że zainteresują one naszych Czytelników, tak duchownych jak i świeckich, a może wywołają dalszą bardzo pożądaną i pożyteczną dyskusję.

Jako punkt wyjścia wystarczy nam paradoksalna równoczesność mnóstwa kiczu z jednej strony, a mnóstwa artystów z drugiej.

Zapytajmy najprzód, czy taka paradoksalna równoczesność istnieje tylko w dziedzinie sztuki religijnej? Doświadczenie odpowiada, że nie, albowiem kicz znajdujemy także poza kościołami; pełno go w domach prywatnych, w biurach urzędowych, a nawet na placach publicznych. Trzeba więc stwierdzić ogólny rozbrat sztuki z życiem, ogólne oderwanie sztuki od życia. Na tym tle powstało w 19 wieku znane nam hasło artystów: sztuka dla sztuki! Hasło takie dowodzi, iż sami artyści teoretycznie pomylili się w swoim powołaniu, chociaż nie wyciągali praktycznych, konsekwentnych wniosków, bo dalej urządzali publiczne wystawy, przeznaczone przecież nie tylko dla artystów.

Zrodzone z pogardy dla tłumu hasło „sztuka dla sztuki” wywołało zaraz ostre protesty, wskazujące na to, że sztuka nie jest czymś oderwanym od życia, ale ważnym czynnikiem życia powszedniego i stanowi biologiczną konieczność każdego, nawet tzw. szarego, człowieka, chociaż nie każdy zdaje sobie z tego sprawę. Społeczny charakter sztuki świetnie określił już Adam Asnyk w wierszu „Poeci do publiczności”:

*Każda epoka, co ze swego łona
Wydała pieśni potężnej olbrzymia,
Nosila wyższej idei znamiona,
Pewien wzór piękna mając przed oczyma,
I sama była miłością natchniona,
Drżącą jak lutnia, którą śpiewak trzyma,
I on dlatego wielkim być nie przestał,
Że miał słuchaczów serca za piedestał.
On zbierał tylko marzenia tęczowe,
Które duch ludu z piersi swej wysnuwał,
Tylko im polof dawał i wymowę,
Ujmował w kształty i w przyszłość posuwał,
Więc kiedy stworzył potężną budowę,
Każdy jej wielkość i prawdę odczuwał,
Bo znalazł wszystko tam ubrane w ciało,
Co w jego piersi niewyraźnie tlało.*

Trafne uwagi o wewnętrznych dziejach sztuki ogłosił też Stanisław Pieńkowski w *Kuryerze Poznańskim* (1935, nr 55):

...Wewnętrzne dzieje każdej sztuki są przede wszystkim bezustanną wędrówką jej w łonie własnego narodu. W tysiącach swoich dzieł, w nieogarnionej ilości coraz nowych każdego dzieła narodził z pokolenia na pokolenie sztuka urabia oblicze swoje i ducha swego według ducha narodu, którego jest wyrazem i objawieniem. A i z kolei rzeczy sama sztuka, gdy do pewnego wieku swego dojdzie, kształtuje naród swój na obraz swój i podobieństwo. W tej pracy wiekowej i zobopólnej powstaje pewien odrębny, wielki typ sztuki narodowej, sztuki danego narodu, o wyrazie i stylu tak samoistnym bogatym, że wchodzi następnie do ogólnej skarbnicy ludzkości jako całość jednolita.

Jeżeli więc diagnoza kultury współczesnej wykazuje brak immanentnej społeczności sztuki, a nawet rażące oderwanie sztuki od życia, to zanotować to musimy jako stan wadliwy i chorobliwy. Znany myśliciel i publicysta niemiecki Fr. W. Foerster mówi o wewnętrznym pęknięciu współczesnego człowieka, które zaczęło się w okresie baroku. Autor widzi w baroku już cały upadek Zachodu. Barokowe postacie świętych, którzy z wzniesioną w górę głową patrzą w niebo oczyma wywróconymi tak silnie, że widać w nich już tylko białko, są dla Foerstera ostatnim krzykiem religijnej jeszcze Europy o ratunek przed utonięciem w materii. Europa utonęła jednak w materii, przy czym religia i sztuka dostały się na szary koniec, a nawet poza nawias życia codziennego. Foerster pisze dosłownie:

...Dziś mamy też barok, ale już barok bez wzniesionych w górę oczu! Raczej przeciwnie: tym samym, trochę sztucznym, trochę bolesnym ruchem, jakim człowiek baroku wznosił oczy ku niebu, zwraca je człowiek współczesny z wysiłkiem i afekcją ku ziemi... Elektryczne światło, słońce dzisiejszego świata, oślepiło współczesnego człowieka, przygniotało go nadużywanie dóbr materialnych; i przesycony i ociążony, przestał świat wyższy dostrzegać. Dziś nawet ludzie wierzący, nie wiedząc o tym, tkwią w baroku, tzn. wyczuwają bolesne rozdarcie obu rzeczywistości, ziemskiej i niebieskiej. Nawet u wierzących widoczny jest ten dziwny paraliż wiary, to jakieś dziwne zahamowanie ducha, ta niemożność i niechęć oddania się i poddania Bogu. Oko chrześcijańskie zwraca się jeszcze w uczciwym wysiłku ku górze, ale i ono jest już uwiedzione mirażem techniki, złudą „realnej polityki” i „gospodarczej rzeczywistości”. I człowiek współczesny

przerażony i zdezorientowany stoi na rozstajnych drogach niepewny i wahający.¹⁾

Bogdan Suchodolski nazywa tę chorobę czasu dwuwarstwowością kultury i poświęca jej sporo miejsca w swej ciekawej książce o uspołecznieniu kultury.²⁾ Tę szkodliwą dwuwarstwowość kultury potęguje jeszcze rozpasany ponad potrzebę produktywizm, który dzieli ludzi na producentów i konsumentów i przytłacza właściwą żywotność i twórczość oryginalną. Przy tym i sztuka staje się towarem efemerycznym, zamiast pozostać bezpośrednim i trwałym kształtem doświadczeń życiowych. Sztuka nie powinna być narzucana jako towar, ale powinna samorzutnie wyrastać z życia i pomagać nam w szukaniu pełni wyrazu dla naszych przeżyć.

...Jakieś istniejące choć ukryte bogactwo i zaczajone, ale nie wyrażalne przez nas same możliwości zostają przez sztukę obudzone, wyzwolone, ucieleśnione. Artysta przychodzi z pomocą naszej nieporadności i jego dzieło łagodzi bolesny konflikt, jaki istnieje w ludziach między wielką potrzebą wyrazu i ograniczonymi zdolnościami ekspresji. Sztuka pozwala nam zdobyć głębsze formy wyrazu i tym samym dopomaga nam w procesie samopoznawania. Taki stosunek do sztuki staje się pogłębieniem własnej osobowości. I w takim stosunku potwierdza się wielkość i ważność sztuki.³⁾

Po takich przesłankach łatwo zrozumiemy zadanie sztuki religijnej, która jako chrześcijańska, jest sztuką ludzkości odkupionej (Maritain). Jak każda inna sztuka, tak i sztuka religijna ma być szczerym i pięknym wyrazem przeżyć, w tym wypadku przeżyć religijnych. To miał na myśli Jacek Malczewski, kiedy 1912 r. jako rektor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych nazwał sztukę jedną z największych modlitw ludzkości i wyznał, iż sztuka leży na szlaku miłości do Boga.

Jeżeli sztukę religijną pojmować będziemy jako modlitwę, wtedy podzielić ją trzeba na modlitwę prywatną i modlitwę zbiorową, społeczną, zdyscyplinowaną, liturgiczną. Więcej swobody w doborze wyrazu daje oczywiście modlitwa prywatna, nie podlegająca żadnej kontroli zewnętrz-

¹⁾ *Światło wiekiuste a ziemskie ciemności*. Katowice 1938, str. 42.

²⁾ Warszawa, Rój, 1937.

³⁾ Suchodolski: *Uspołecznienie kultury*, str. 280.

nej a tylko wewnętrznej kontroli własnego sumienia. Modlitwa społeczna kępuje bujny indywidualizm, obowiązując jednostkę i ujmując ją w karby wspólnego ruchu liturgicznego. Modlitwa prywatna jest dla wielu artystów przyjemniejsza, a jednak obowiązek niedzielny odnosi się do nabożeństwa zbiorowego, liturgicznego. Modlitwa prywatna może być często egoistyczna i egocentryczna, nabożeństwo zaś liturgiczne odpowiada zawsze wezwaniu Kościoła: *oremus* — módlmy się i jest całkowicie nastawiona na społeczny ton modlitwy Pańskiej „Ojcze nasz”.

Zupełnie podobnie rzecz się ma z dziełem sztuki religijnej, która może być prywatnym i swobodnym wyrazem religijnych drgnień w duszy artysty albo tzw. sztuką kościelną, która mając podkreślić piękno i dostojęstwo społecznego kultu Bożego, jest pomocą modlitwy liturgicznej a sama stanowi rodzaj modlitwy mistycznego Ciała Chrystusowego, bądź to w parafii, bądź to w diecezji, bądź też w rodzinach zakonnych. Ponieważ zadanie tak pojętej plastyki kościelnej zlewa się z zadaniem aprobowanych ksiązek modlitewnych, powstała stara formułka, że *ars sacra — biblia pauperum*. Z jakim uczuciem można czytać w księdze sztuki, ujawnia zwięzłe i pięknie wykrzyknik estety kościelnego, augustianina Gelazego Lepore: *salve ars! Humani generis decus et solatium, in adversis refugium, novarum rerum praeco, floridum iter ad astra!*

Nie trudno zrozumieć, iż w sztuce kościelnej autor-artysta nie może narzucić swego wyrazu społeczności, lecz, obdarzony subtelniejszym od ogółu wyczuciem, ma jej tylko pomagać znaleźć wyraz najodpowiedniejszy. Czy go znalazł rzeczywiście, o tym nie decyduje już on sam, ale także władza kościelna, do której kompetencji należy orzekać, czy coś jest zgodne z nauką, tradycją i intencją Kościoła. O architekturze postanawia can. 1164 Kodeksu Prawa Kościelnego: *ut in aedificatione vel refectiōne serventur formae a traditione christiana receptae et artis sacrae leges*. Jakie są te prawidła *artis sacrae*, prawo nie powiada. W r. 1924 wydał Pius XI osobne rozporządzenie w przedmiocie sztuki kościelnej, miarodajne tak dla artystów jak dla przedstawicieli władzy kościelnej. O te wytyczne musiałyby się i u nas

opierać każdy powstać mający Instytut Sztuki Kościelnej. Ale pamiętać należy, że sztuki nie można się nauczyć a prawideł jej nie można nikomu wyjaśnić, kto nie odczuwa ich wewnętrznego uzasadnienia.

Sztuka rodzi się nie z paragrafów, ale z natchnienia czyli z łaski Bożej. Jak z łaski Bożej sprawują swe urzędy władze świeckie i kościelne, tak też z łaski Bożej władztwo nad duszami posiadają artyści. Schiller powiada: *Drum soll der Sänger mit dem König gehen. Sie beide wohnen auf der Menschheit Höhen (Jungfrau von Orleans)*. W idealnym państwie Platona rządzić by mieli filozofowie, których Platon porównuje z artystami. Kościół wciąga artystów świadomie do pomocy w szerzeniu chwały Bożej i do maksymalnych wyczynów zachęca ich słowami św. Tomasza z Akwinu: *Quantum potes tantum aude, quia maior omni laude, nec laudare sufficis*. Ale równocześnie jako najwyższa instytucja wychowawcza ludzkości, Kościół wiedząc, że pysznemu sprzeciwia się Bóg, a pokornemu łaskę daje, pragnie artystów uchronić od niebezpiecznej dla każdego chrześcijanina zarozumiałości, która jest zabójcza zwłaszcza dla każdego aktu religijnego. Jeżeli dotąd nie ma kanonizowanego artysty, to może dlatego, że tak rzadko spotyka się u artystów heroiczną pokorę, wskazaną słowami P. Jezusa w Ewangelii św. Łukasza (17, 10): „Gdy uczynicie wszystko, co wam rozkazano, mówcie: śludzyśmy nieużyteczni, cośmy winni byli uczynić, spełniliśmy“. Dla zbyt wielu sztuka jest, jak to powiedział Adam Chmielowski, strasznym widmem, które im rzeczywistego Boga zastania.

Fra Angelico da Fiesole zwykł był mówić, iż zawsze z Chrystusem musi przebywać, kto chce przedstawiać dzieła Chrystusowe. To też istniejąca pod jego wezwaniem *Scuola superiore d'arte cristiana* w Mediolanie co roku wzywa swoich wychowanków na specjalnie dla nich przeznaczone siedmiodniowe rekolekcje. Maritain powiada, iż dzieło chrześcijańskie wymaga, aby artysta jako człowiek był świętym. Wymaga ono, aby był objęty miłością. Wtedy może robić co chce. Tam gdzie dzieło nie daje czystego dźwięku chrześcijańskiego, — znaczy to, że w czystej miłości czegoś brakuje. Odnośnie do artystów można parafrazować znane

słowa św. Pawła: gdybym malował lub rzeźbił pędzlami względnie dłutami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, miedzią jestem dzwięczną i cymbałem brzęcącym (I. Kor. 13).

...Byłoby więc rzeczą bezpłodną szukanie techniki, stylu lub systemu, reguł lub sposobu pracy, które by cechowały sztukę chrześcijańską. Sztuka kiełkująca i rosnąca w ludzkości chrześcijańskiej może ich dopuścić nieskończenie wiele. Lecz te formy sztuki będą miały cechy jakby rodzinne i wszystkie będą się różniły substancjalnie od form sztuki niechrześcijańskiej; tak flora górska różni się od flory równin.¹⁾

Powiedział ktoś słusznie, że

...Styl jako coś żywego powstaje bezwolnie, gdy tylko popędy życia poczynają współdziałać wzajemnie w harmonii...

Kończę akordem nadziei Jakuba Maritain'a, który dziwnie zgadza się z zacytowanym na wstępie Karpfenem:

...Jeżeli wśród niestłuchanych katastrof, wywołanych przez świat współczesny, ma przyjść chwila chociażby krótka, czystej wiosny chrześcijańskiej, Niedziela Palmowa Kościoła, krótkie hosanna padołu ziemskiego dla syna Dawidowego, to wolno oczekiwać ponownego kiełkowania — ku radości ludzi i aniołów — sztuki prawdziwie chrześcijańskiej przy żywym rozwoju intelektualnym i duchowym.

¹⁾ Maritain: *Sztuka i mądrość*. Poznań, str. 82.

Ks. Emil Szramek.

Przegląd Piśmiennictwa.

Ks. dr Eugeniusz Dąbrowski: *Ewangelie, ich powstanie i rozwój literacki*. Warszawa, 1938. Str. 157.

W ostatnich czasach wzmoгло się u nas zainteresowanie problemami religijnymi — o tym wszyscy wiedzą — nie wszyscy jednak zdają sobie sprawę, że bardzo często zainteresowania te objawiają pewne cechy niepokojące. Mamy na myśli Wschód z całym kompleksem idei religijnych i filozoficznych. Kto ma jakąkolwiek styczność z rozwojem czytelnictwa, z ruchem księgarskim, z importem obcych książek, ten musiał stwierdzić, że popyt na dzieła traktujące o teozofii, o buddyzmie, o mistycyzmie ludów Dalekiego Wschodu, o mądrości życiowej koranu wzrósł znacznie. Oczywiście ten Wschód przychodzi do nas z Zachodu; prawie całą wiedzę o nim czerpie się z wydawnictw: Flammarion, Rieder et Cie, Gauthier-Villars et Cie i innych. A za jedną z największych powag w tej dziedzinie uważa się p. A. David Noel, badaczkę ascezy tybetańskich mnichów. Zresztą źródła informacji to rzecz uboczna, ważniejszą jest sprawa, że dzięki nim kult Wschodu szerzy się u nas coraz bardziej i coraz częściej spotyka się katolików, znawców i miłośników świętych ksiąg hinduskich lub koranu, a nie potrafiących odpowiedzieć na najbardziej niedorzeczne zarzuty stawiane naszym księgom świętym — Pismu świętemu.

Dla nich i dla wszystkich katolików, pragnących lub mających obowiązek pogłębić swą znajomość Pisma św. a zwłaszcza Ewangelii napisał ks. Profesor tę książkę. I napisał wspaniale. Nie chcemy używać tutaj określenia „dziełko popularne”, bo to zwykle przypomina pewną powierzchowność i rezygnację z krytycyzmu na rzecz zbyt uproszczonych syntez, nie chcemy też mówić o charakterze naukowym, ponieważ łączy się on zwykle z balastem wiadomości, które ocenić mogą tylko specjaliści. Wystarczy więc, jeżeli powiemy, że jest to dzieło uczonego przeznaczone dla szerszych kół inteligencji.

Uderza w nim przede wszystkim nacisk, jaki Autor położył na wiadomości pozytywne nawet w pierwszym rozdziale o stanie badań nad Ewangelią. Byliśmy przyzwyczajeni zbyt dużo uwagi poświęcać przeciwnikom a cała nasza rola polegała na rozpaczliwej obronie przed doskonale prowadzonymi atakami. W tych warunkach bardzo łatwo o kompleks niższości u katolickiego czytelnika, który chciałby mieć większy zasób wiedzy o Ewangeli, niezależnie od Harnacka czy Renana. Tutaj życzenie czytelnika będzie całkowicie zaspokojone, dla wielu też przeciętnych czytelników miłą niespodzianką będzie rozdział drugi: Ewangelia i Ewangelie, gdzie Autor porównał ilość i jakość najstarszych tekstów Ewangelii z tekstami dzieł autorów klasycznych. Tę samą pozytywną metodę zastosował w następnych rozdziałach, w których zostały omówione po kolei cztery Ewangelie. Uwzględniony został przede wszystkim pisarz i wpływ otoczenia na takie a nie inne ujęcie dzieła, na takie a nie inne przedstawienie rysów charakterystycznych działalności Chrystusa. Dzięki jasno postawionemu pytaniu przy każdej Ewangelii: kiedy, jak, dla kogo i kto ją pisał, przed oczyma czytelnika staje doskonale zarysowana sylwetka pisarza-człowieka i objawia się mądrość Autora-Boga. Wtedy też czytelnik rozumie różnice między Ewangelią, tak że nie będą one dla niego już nigdy źródłem trudności mniej lub więcej rozumnych. Równocześnie nauczy się czytać Ewangelie i, co jest ważniejsze, z nich korzystać. O jednym ze sposobów korzystania — o posługiwaniu się nimi przy pisaniu żywotów Jezusa mówi ks. Profesor w ostatnim rozdziale. Podaje krótkie oceny ważniejszych żywotów Chrystusa, jakie się dotąd ukazały.

Tę książkę więc powinni, a chciałoby się powiedzieć mają ścisły obowiązek, przeczytać zwłaszcza ci, którym zaczyna imponować Budda na kwiecie lotosu.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Rubczyński W., Prof. dr: *Problem ukształtowania charakteru*, str. VIII + 128, księgarnia św. Wojciecha.

Śp. Witold Rubczyński, „filozof życia” — jak go nazwał jeden z czołowych przedstawicieli myśli katolickiej w Polsce, ks. Konstanty Michalski, interesował się do ostatnich chwil swego życia wszystkim, co dotyczyło duszy, zwłaszcza duszy młodego pokolenia. Zagadnieniami tymi zajmował się Rubczyński zawsze, stanowiły one poniekąd jego specjalność. Sam zaznacza w „Przedmowie”, że kwestie te omawiał w szeregu swoich artykułów, zamieszczanych na łamach rozmaitych czasopism i w mniejszych rozprawach.

Problem kształtowania charakteru — to ostatnia praca prof. Rubczyńskiego. Można by nawet powiedzieć, że jest to dziełko pośmiertne, bo podobno Autor przeprowadzał jeszcze jego ko-

rekte w dniu swej nagłej śmierci, zaledwie na krótko przed zgonem.

Zastanawia się tu Rubczyński, na czym polega i jak daleki jest zasięg zależności jednostki od wpływów środowiska, o ile możliwe jest jej uniezależnienie się od niego, i o ile ma jednostka prawo do swobodnego wyboru w kształtowaniu swojej osobowości.

Wywody Rubczyńskiego nie są oryginalne. Praca jego jest umiejętną kompilacją teorii innych psychologów i socjologów. Mimo to *Problem* jest dziełkiem wartościowym. Autor z szeregu sądów wydobywa to, co najbliższe prawdy. Szuka jej w umiarkowanym „złotym środku”.

Krytycznie ustosunkowuje się do wywodów krańcowo sobie przeciwnych — tzw. katolików i liberalnych sceptyków.

Nowe drogi, wiodące do poznania natury ludzkiej, wytycza znakomity biolog Alexis Carrel. Poglądy tego uczonego zawarte w dziele *Człowiek istota nieznana*, Rubczyński streszcza i osądza krytycznie. Carrel obala przesąd, jakoby życie dało się wytłumaczyć mechanistycznie bez współudziału celowości. W zasadzie nawet dopuszcza nadnaturalność pewnych faktów. Nie wszystkie poglądy Carrela podziela Rubczyński. Śmiało wszakże ujęcie się znakomitego biologa za prawami dziecka i obowiązkami macierzyńskimi „rekompensuje z dokładem szalę zarzutów przeciw niemu wysuwanych”.

Oprócz tych wywodów posługuje się Autor zdobyczami psychologicznymi i wychowawczymi innych znanych na tym polu uczonych, oraz długoletnim doświadczeniem własnym.

Istotna myśl dziełka wyraża się w jego końcowej cytacie: „Gdy więc nie znamy żadnego innego skutecznego sposobu wychowania moralnego charakterów, jak ten, który przyzywa na pomoc uczucia religijne, to musi być w tym celu również troskliwie pielęgnowaną osobowość ludzka z jej głodem nieśmiertelności, z poczuciem, że jest odpowiedzialną za swe postanowienia i czyny, jak i moc jej przekonań o spólnocie swych losów indywidualnych i narodowych ogólnoludzkich z Wolą Dawcy wszelkiego życia myśli, Boga, którego współpracownikiem wolnym zostać: to najwyższe możliwe szczęście dla człowieka już tu na ziemi”.

Znamieniem tego dziełka, jak i całej filozoficznej pracy Rubczyńskiego — w okresie zwłaszcza jego męskiej dojrzałości i wieku sędziwego — jest głęboko religijny ton. Nie abstrakcja stanowi dlań zagadnienie najwyższe, ale żywy człowiek.

Stąd też mimo drugorzędnej jakości naukowej *Problemu*, mimo jego „doświadczalnego” oblicza — dziełko to może być cenną pomocą w pracy dla psychologów, wychowawców, kapłanów i wreszcie socjologów.

Wacław Malewski.

Will Durant: *Życie i twórczość wielkich filozofów*. Z przedmową prof. dra Hansa Driescha. Przełożył Leo Belmont. Polskie Towarzystwo Przyjaciół Książki. Warszawa, Kraków, Poznań, Lwów. T. I. Str. 302. T. II. Str. 351.

Francuskie nazwisko nie przeszkadza p. Durantowi być stu-procentowym Amerykaninem, co nie znaczy, że nie ma w nim nic francuskiego. Owszem cały urok swego pióra zawdzięcza prawdopodobnie jakiemuś związkowi z kulturą francuską, do tego bowiem stopnia te anglosaskie *słory* przypominają francuskie *causeries*. Zdaje się, że słoneczność i naiwną prostotę swej umysłowości, współżyjącą zgodnie ze sprytem i zmysłem kupieckim, zawdzięczają yankesi swej dwoistej francusko-anglosaskiej tradycji kulturowej. P. Durant, jako Amerykanin chce nauczyć czytelnika filozofii na drodze jak najmniejszego wysiłku myślowego. A zatem gawędzi z nim swobodnie, chętnie korzysta z tematów urozmaiconych anegdotą życia, bardzo niedyskretnie podgląda kulisy filozofii i w rezultacie budzi w czytelniku zainteresowanie, a nawet entuzjazm dla filozofii. I z tego względu opowiadania p. Duranta zasługują na żywą pochwałę. Spełnią one niewątpliwie dużą misję kulturalną: wprowadzą mianowicie niektórych ludzi, mniej skorych do myślenia, w nieznany świat filozoficznych pojęć, odstąpią przed nimi nowe horyzonty, powiodą na intelektualną wycieczkę, niemniej ciekawą od poetycznych wzlotów w krainę muz. Słowem triumfuje tu amerykańizm p. Duranta. Finezję zaś i jasność pióra skłonni bylibyśmy przypisać jego francuskim antenatom. Całość składa się na powabną, lekką, intrygującą książkę. Ale na tym bodaj kończy się rubryka plusów. Bo z całym okrucieństwem musimy stwierdzić, że tej ozdoby „amerykance” brak duszy. Jest bańka mydlana, roześmianą pożytecznym śmiechem. Nonszalancja gawędziarstwa p. Duranta pozwala mu na wygłaszanie pewnych sądów, których prawdziwość i rzetelność może być stanowczo kwestionowana. Bo jeżeli nawet nie uprawia się moralizującej, lecz estetyzującej historię filozofii, to przecież baczyć trzeba, żeby nie obrazić prawdy. Możemy darować Autorowi, że jego szkła, przez które ogląda dzieje filozofii, są kapryśne i wybredne; że dzięki nim np. krzykliwy i pyśzałkowaty Voltaire z wielkim hałasem rozsiada się na pierwszoplanowym krześle obok Arystotelesa i Platona; że geniuszowi średniowiecza poświęca się zaledwie kilka skąpych i przestarzałych komunikatów. Ale nie możemy patrzeć pobłaźliwie, kiedy pióro Autora banalizuje w swym popularyzatorskim zapędzie niektóre doniosłe zagadnienia. Do takich banalizujących skrótów zaliczamy wyrażenia Autora na str. 221, t. I:

...W gruncie rzeczy istnieją tylko trzy systemy etyki — trzy poglądy na idealne właściwości charakteru i obyczajny sposób. Jednym z nich jest pogląd Buddy i Jezusa, kładący nacisk na cnoty kobiece, wszystkich ludzi równający ze sobą, na złe odpowiadający dobrem, cnotę

stawiający na równi z miłością i w polityce skłaniający się do demokracji bez granic...

Jako dalsze rodzaje etyki wymienia Autor etykę Macchiavelli'ego i Nietzschego, czyli etykę „mocnych”, oraz etykę Sokratesa, Platona i Arystotelesa jako pewnego rodzaju syntezę tamtych dwóch orientacji życiowych. Jak widzimy, skrót bardzo uproszczony, świadczący co najmniej o powierzchownej znajomości chrześcijaństwa. P. Durantowi brak ideowego kośca, to też jego krytyka jest raczej przekomarzeniem się z filozofią niż filozofią. Choć może powiedzieliśmy za dużo. Bo właśnie brak filozoficznej orientacji jest orientacją p. Duranta. I tutaj p. Durant jest nieodrodnym Amerykaninem. Radzi dyskretnie czytelnikowi cieszyć się przede wszystkim życiem, nie przejmować się zanedbto zmartwieniami filozofów, a prawdę oceniać po amerykańsku, tzn. jej użytecznością. I tą orientacją bez orientacji zarazić może umysł czytającego. Nie chcielibyśmy jednak tej książki wytrącać z rąk polskiego czytelnika. Wobec zaniedbań naszej kultury w dziedzinie filozofii, należy tę filozofię wciskać do głów na wszelki sposób. Zwłaszcza jeżeli ten sposób jest tak powabny jak w książce p. Duranta. Należałoby tylko przed daniem jej do ręki poczynających filozofów poczynić odpowiednie uwagi, a po tym zachęcić do uzupełniającego studium.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

Walentyna Horoszkiewiczówna: *Etyka Towiańskiego, jej źródła i promieniowanie. Część I, Towiański jako moralista.* — Należadem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, Wilno, 1938. Str. 128.

Andrzej Towiański należy do postaci, które przez swą oryginalność i jakby samotność, wyraźnie zarysowują się na tle dziejów myśli polskiej. Może właśnie dlatego tak w ocenie jego dorobku myślowego, jak i oddziaływania, sądy o nim rozbiegają się biegunowo: polski Saint - Martin — typowy przykład rodzimej paranoi. Zwyczajne dzieje wartościowania, którego podstawę stanowi afekt a nie trzeźwe myślenie. — Tymczasem na wydawanie kategorycznych sądów jest nieco za wcześnie już choćby dlatego, że — mimo przeciwnych pozorów — zbyt mało znana jest sama doktryna Towiańskiego. Praca pani Horoszkiewiczówny uzupełnia w poważnej mierze ten brak, zbliża nas do „mistrza Andrzeja”, odtworzając najistotniejszą część jego nauki: etykę. Trud to — powiedzmy od razu — niemały. Towiański — jak wiadomo — nie pozostawił opracowanego, gotowego systemu etycznego, a zatem praca Autorki jest nie tylko komentarzem, ale przede wszystkim rekonstrukcją: Z wypowiedzi, spleatanych niejednokrotnie z marzenia i myślenia, a porozprasanych w pismach Towiańskiego, wyprowadza i cementuje logicznie powiązany system. W zrekonstruowanym przez siebie całokształcie etyki wyodrębnia Autorka

trzy dziedziny: 1) normatywną, w której skład wchodzi zasada naczelna: miłość Boga, bliźniego i wszelkiego stworzenia oraz z miłości płynąca troista ofiara, nadto szereg norm, opartych na Ewangeli; 2) intuicyjną, obejmującą normy, zdobyte w drodze doświadczenia wewnętrznego; 3) opisową, zawierającą analizę i opis stanów psychicznych jako pobudkę działania etycznego. — Twierdzenia swe i wywody wyprowadza Autorka zawsze ze starannie zebranego materiału źródłowego za pomocą wnikliwej i logicznie ścisłej analizy, wobec czego uogólnienia jej budzą pełne zaufanie. — Praca pani Horoszkiewiczówny rzuca spory snop światła na kwestię Towiańskiego: wydobywa na jaw szereg odcinków jego nauki, dotąd albo niezbadanych, albo też źle tłumaczonych, podcina niejeden będący do niedawna w obiegu aforyzm, a wszystko to podaje w formie pociągającej, przejrzystej i gładkiej. — Czytelnika niepokoi tylko jedno, mianowicie: pewien zamaskowany entuzjazm i żarliwość jakby misjonarska, bijąca z niektórych kart pracy o Towiańskim. Trudno się wtedy obronić wrażeniu, że Autorce chodziło nie tylko o naukowe odtworzenie systemu etycznego, ale o coś więcej: może o pozyskanie nowych wyznawców dla doktryny Towiańskiego?

Ks. Stefan Weidel T. J.

B. I. Święcicki: *Unia krajów chrześcijańskich*. Wyd. Dobra Prasa. Wilno, 1938. Str. 276.

Dlaczego Autor prowadzi czytelnika do problemu unii narodów chrześcijańskich tak okrężną i długą drogą, że naprawdę trzeba mieć dużo cierpliwości, by iść z nim aż do końca? Przy najlepszej bowiem woli trudno dopatrzeć się związku między głównym tematem książki a tajemnicą Trójcy Świętej, okultyzmem, reinkarnacją, wyjaśnieniem teorii o dniach stworzenia. To wszystko i więcej jeszcze jest omawiane, nawet dość szczegółowo w tej książce. Świadczy to o bardzo szerokich zainteresowaniach Autora, o jego wielkim odczytaniu — ale świadczy też o skłonności do jednorazowego wypowiedziania się o wszystkim, a to nie zawsze związane jest z korzyścią kompozycji pracy, czytelnika, a tym mniej Autora.

Można by ostatecznie darować dłużyzny i dygresje — nie każdy jest obowiązany czytać książkę całą i od początku (w naszym wypadku wystarczy zacząć od stronicy 186) — gdyby nie to, że są w nich sądy i wypowiedzenia, które słusznie zaniepokoją katolika. A więc reinkarnacja. Czy Autor jest mocno przekonany, że da się ona zupełnie pogodzić ze światopoglądem i nauką katolicką? Czy jest pewny, że jej pochodz przez wieki i pokolenia przedstawiony przez niego odpowiada prawdzie? Już samo lekceważenie sądów O. P. Siwka T. J., który przecież w tej sprawie nie jest laikiem, budzi pewną nieufność; nie mówiąc o tym,

że metoda dowodzenia Autora i przeciwstawianie przede wszystkim ogólnych i gotowych wniosków rzeczowym dowodom uczonego o autorytecie uznanym nie tylko w Polsce, musi wywołać u czytelnika zdumienie i wątpliwości, co do ściśle naukowego charakteru książki. A przecież Autor prawdopodobnie zna przynajmniej artykuł *Réincarnation* w *Dictionnaire pratique des connaissances religieuses* t. V. Poruszona jest w nim kwestia stosunku Kościoła do reinkarnacji. Jeżeli chodzi o rozwój historyczny teorii o reinkarnacji, to w *Neufestamentliche Abhandlungen XVII Band, 5 Heft* w pracy J. Dey'a pt. *Palingenesia*, str. 13 — 24 znalazłby rewizję utartych sądów o pochodzeniu i rozwoju nauki o wędrówce dusz. Literatura katolicka o tym przedmiocie jest obfita. Nie wiemy, czy Autor nie mógł z niej korzystać, czy tylko nie chciał. W każdym razie postąpił bardzo nieroztropnie, wprowadzając w błąd mniej uświadomionych katolików. Powtarza się to zresztą przy każdym zagadnieniu. Nie chcemy posądzać Autora o złą wolę — nie przemyślał prawdopodobnie wszystkich zagadnień np. zagadnienia o ewolucji człowieka; przecież wystarczyłoby dla uniknięcia pomieszanja pojęć postawić jasno pytanie, czy ostatecznie, przez Autora określony etap rozwoju człowieka jest człowiekowi należny, czy nie i jaką rolę odgrywa w tym procesie doskonalenia się łaska. Może wtedy i reinkarnacja straciłaby w jego oczach wartość złotego klucza otwierającego drzwi wszystkich tajemnic.

I tak co parę stronice powstaje między czytelnikiem i Autorem nieporozumienie nawet jeżeli chodzi o zagadnienia z dziedziny ekonomii lub polityki. Nie wszyscy zgodzą się na ciągłe przechodzenie z terenu filozofii historii na teren praktycznych zastosowań, a ściśle mówiąc teren propagandy takiego lub innego ustroju, takiego lub innego układu sił politycznych i gospodarczych w Europie. Wielka szkoda! Autor tak czytany mógłby nam dać coś wartościowego.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Zoltan Magyary, prof. Uniw. w Budapeszcie: Organizacja władz a zwłaszcza rola szefarządu w administracji publicznej. Warszawa 1937. Nakładem Tow. Pracy Społeczno-Gospodarczej. Str. 152.

Walka pomiędzy prądami demokratycznymi a totalistycznymi nie tylko nie słabnie, lecz owszem, przybiera na sile. Bardziej umiarkowani przeciwstawiają demoliberalizmowi system demokracji zorganizowanej, ale i tych podejrzewa się o zamaskowany totalizm. W całej tej walce góruje ton doktrynerstwa i zacietrzewienia, nieodłączny zresztą od rozgrywek politycznych. W tych okolicznościach najdotkliwiej daje się odczuć potrzeba bezstronnego i przedmiotowego wnिकnięcia w istotę zagadnienia. Gwarancję takiej bezstronności i przedmiotowości daje ściśle fachowa praca prof. Zoltana Magyary, przedstawiona na VI Mię-

dzynarodowym Kongresie Nauk Administracyjnych w lipcu 1936 r. w Warszawie, a oparta na referatach z tak różnorodnych ustrojowo krajów, jak Niemcy, Belgia, Dania, Estonia, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Węgry, Italia, Polska i Czechosłowacja. Do tych sprawozdań przyłączyły się studia i badania osobiste, które Autor przeprowadził w Anglii (1932), w Stanach Zjedn. Am. Półn. (1932-33), w Z. S. R. R. (1935), we Francji (1935), w faszystowskiej Italii (1936) oraz w państwie Watykańskim (1936). Wyniki tych badań na wspomnianym Kongresie były przedyskutowane oraz z pewnymi zastrzeżeniami przyjęte przez uczestników, reprezentujących bardzo różnorodne ustroje polityczne.

Jakaż jest ostateczna konkluzja tych badań? Oto z przedstawionych szkicowo przemian, jakie administracja publiczna przeszła w szeregu krajów od czasu monarchii absolutnej aż do państwa konstytucyjnego, wynika niezaprzeczony rozrost funkcji administracyjnych szefa rządu i związane z tym wzmocnienie władzy wykonawczej, przy czym zaznaczyć należy, że wśród państw przodujących pod tym względem znajduje się Polska. Nie bez wpływu na tę ewolucję pozostał przykład wielkich przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, które w poszukiwaniu Taylorowskiej, najlepszej metody pracy — *the one best way* — wykryły, że odpowiedzialność za straty w eksploatacji spada na kierownictwo więcej, niż w 50 procentach, że więc racjonalna organizacja pracy wymaga zwrócenia głównej uwagi na osobę kierownika, skoncentrowania w jego ręku zarówno pracy planowania, jak decyzji i wykonania planu oraz nadzoru nad jego wykonaniem. Autor podkreśla, że zasada ta została zrealizowana nie tylko w nowoczesnych przedsiębiorstwach, lecz również w nowoczesnej armii oraz w Kościele katolickim, czyli — dodajmy — wszędzie tam, gdzie czy to świadomość konkurencji, czy obawa niebezpieczeństwa, czy gorliwość o chwałę Bożą wykluczały rutynę, bezplanowość i brak odpowiedzialności bezgłowej i bezmyślnej maszyny biurokratycznej. Pod tym względem administracja publiczna wykazuje olbrzymie zapóźnienie w swoim rozwoju, który nie zawsze nadążał za rozszerzającym się ustawicznie zakresem agend państwowych. Dziś już nie podobna zacieśnić roli państwa do zadań „stróża nocnego“, życzyć więc sobie należy, aby odpowiednio przebudowany aparat administracji publicznej mógł sprostać swoim rozszerzonym zadaniom, gdyż to nakazuje prosta konieczność życiowa, niezależnie od wszelkich utarczek demokratyczno-totalistycznych. Za staranne wydanie pracy prof. Zoltana Magyary wraz z licznymi wykresami graficznymi należy się pełne uznanie p. dr-owi Bronisławowi Hełczyńskiemu, redaktorowi miesięcznika *Drogi Polski* oraz przewodniczącemu III Sekcji Kongresu, na której praca prof. Magyary była rozpatrywana.

Ks. Wacław Zajaczkowski T. J.

Zygmunt Szweykowski: *Dramat Dygasińskiego*. Gebethner i Wolff. 1938. Str. 240.

W setną rocznicę urodzin powieściopisarza, z okazji zbiorowego wydania jego pism dobrze jest zdać sobie sprawę z charakteru jego twórczości, przeprowadzić rewizję naszego dotychczasowego stanowiska do niej, wyrobić sobie jakiś syntetyczny pogląd na indywidualność artystyczną Autora. Te cele wytknął sobie prof. Szweykowski w swoim studium o Dygasińskim, charakteryzując je jako „próbę oświecenia indywidualności artystycznej Dygasińskiego i określenia jego stanowiska w historii literatury polskiej”. To w dyskretnym, to znowu w śmiałym i oryginalnym naświetleniu Autora przesuwa się przed oczyma czytelnika ciekawy, bogaty i różnorodny świat twórczości pieśniarza *Godów życia*, świat jego myśli i uczuć, fantazji, ale i ścisłej obserwacji, mistycznego zespolenia się z naturą, ale i wysiłków wyzwolenia się spod jej czaru, świat poezji, ale i brutalnej rzeczywistości życia. Cóż zatem dziwnego, że w rezultacie dostaliśmy *dramat Dygasińskiego*; *dramat bohaterów jego opowiadań*, *dramat przebiegu całej jego twórczości*, ale również — jak nam to Autor podsuwa — *dramat jego psychiki*. Więc nie tylko *dramat obiektywny*, ale i *subiektywny*. Czy nie za dużo powiedziano? Czy *dramatu bohaterów Dygasińskiego* nie przeniesiono na niego samego? Albo czy może światła przeżyć, zamkniętych w obrazie artystycznym, nie wzięto za dogłębne, rzeczywiste i istotne doznania artysty? Owszem. Tylko, że w tym wypadku wolno było Autorowi to uczynić. Upoważniała go do tego właściwa Dygasińskiemu struktura jego opowiadań, przeplatanych refleksjami osobistymi i dramatyczna linia rozwojowa jego światopoglądu znanego skądinąd. Co innego, czy sam twórca świadom był sobie w całej pełni dramatyczności konfliktów, które przeżywał. Czytelnik skłonny jest stwierdzić, że nie. A więc i *dramat Dygasińskiego* nie był znowu zaledwie dramatyczny. — Obok zagadnień tematycznych twórczości Dygasińskiego omawia Szweykowski i jego „oblicze artystyczne”. Z pożytkiem i ciekawością czyta się tę próbę syntezy jednego z najbardziej oryginalnych pisarzy ostatniej ćwierci XIX wieku.

Ks. J. Mikula T. J.

Dr Jan Sztudynger: *Marionetki*. Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa. Str. 146.

Żeby w okresie radia i telewizji pisać o marionetkach, trzeba być nie tylko znawcą przedmiotu lecz i wielkim entuzjastą, który wierzy w częściowy przynajmniej powrót rozleniwionej publiczności sal kinowych do swych dawnych zabawek, do lalek. Pan Sztudynger jest entuzjastą i znawcą; znawcą małych rozpiętych na drutach aktorów o bohaterskich gestach i znawcą człowieka,

widza. Widz bowiem podobnie jak dziecko nie lubi, gdy przedmiot jego zainteresowania jest zbyt wykończony, tak że nic nie może mu dodać ani ująć, nie świadczy to jednak, by z tego nie mógł zrezygnować. W teatrze marionetek wkład widza jest nie tylko dopuszczalny ale nawet pożądany, by stworzyć wielką iluzję rzeczywistości przy zastosowaniu prostych środków. Widz musi przejąć się losami bohatera z masy papierowej, a do tego pewien wysiłek fantazji jest konieczny. Piszący te słowa miał sposobność obserwować w Paryżu w jednym z Guignol'ów publiczność, która bawiła się lepiej aniżeli na filmie z Chaplinem — trzeba zaznaczyć, że na widowni nie były tylko same dzieci. W kinie w podobny sposób reaguje publiczność na filmy Disney'a — wystarczy zresztą porównać Micky ze Spejblem i Hurwinkiem.

Przede wszystkim jednak trzeba przeczytać *Marionetki*. Przed czytelnikiem otworzy się świat małej sceny i małych kulis; zrozumie, że co innego jest łątka a co innego pacynka, że inny charakter mają przedstawienia marionetek we Francji, inny w Belgii, że entuzjastami teatru kukiełek był Goethe, Konrad-Korzeniowski, Chesterton. A dzisiaj są jeszcze ludzie, dla których śledzenie losów lalek na scenie jest czymś więcej aniżeli zabawą i rozrywką dla dzieci. Autor oprowadza nas po wszystkich krajach, gdzie teatry marionetek istnieją i gdzie mają powodzenie, że nawet pisze się sztuki dla nich specjalnie przeznaczone. Wystarczy przeczytać rozdział poświęcony rozwojowi łątkarstwa w Czechosłowacji, by uprzytomnić sobie rolę, jaką przedstawienia marionetek mogą odegrać w szkole, w szpitalach dziecięcych, w wojsku. O tym mówi jeszcze osobno autor i mówi tak przekonująco, że czytelnik na pewno zgodzi się na jego wnioski. Zdaje się jednak, że najlepszą nagrodą dla autora będzie, jeżeli po przeczytaniu tej książki czytelnik przy pierwszej sposobności odwiedzi teatr kukiełek.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Maria Czapska: Ludwika Śniadecka. Warszawa. Biblioteka Polska. 1938. Str. 280.

Trudne zadanie nasunie się każdemu biografowi, który zechce opracować dzieje żywota Ludwiki Śniadeckiej. Ta bogata indywidualność odbiegła daleko od ubitych szlaków, którymi chodziły jej współczesne, a jednak na tych bezdrożach okazała tyle rozumu, tyle serca, tyle głębokiej, szczerzej i ofiarnej miłości, ile może niewiele podobnych znaleźlibyśmy wśród jej współczesnych. Uroczą i dumną mizantropką w domu ojca (Jędrzeja Śniadeckiego), ze swobodnym uśmiechem odrzucającą ofiarujące się jej, pełne uwielbienia, młode serce Julka Słowackiego, ale za to w pokorze, namiętnie ofiarująca swoje „Moskalowi” aż do wy-

niszczenia siebie, aż do wyrzeczenia się, a nawet potępienia w sobie i u innych uczucia miłości ojczyzny, krwawiącej wówczas, wreszcie nielegalna żona muzułmanina Sadyka - paszy Czajkowskiego — oto czarna karta tej „okrzyczanej, bezbożnej awanturnicy”. A biała? Białą zapisały miłość i poświęcenie dla ojczyzny i człowieka. Ale, niestety, karta ta nie da się oddzielić od czarnej, bo przypada na ostatnie 25 lat współżycia z renegatem. Wobec tych dwóch stron tak ściśle z sobą związanych obiektywizm badacza narażony jest na ciężką próbę: albo zbyt pochopnie rzuci kamieniem potępienia, albo nieopatrznie wkroczy na drogę pobłażliwego wynoszenia. Brązowanie albo modne odbrazowywanie zdają się grozić nieuchronnie. Uznanie dla badacza, który zdoła wybrnąć cało. Czy się to udało p. Czapskiej? Niech nas nie myli, że całą jej sympatię wyczuwamy po stronie Śniadeckiej. Ta sympatia ustrzegła Autorkę przed bezwzględny potępieniem narzeczonej Korsakowa; ale z drugiej strony takt i obiektywizm badaczki uchroniły ją od pomniejszenia wartości prawd zaprzeczonych postępowaniem Ludwiki. Nieliczne próby apologii jej kroku włożone są w usta samej Śniadeckiej. Autorka dyskretnie wycofuje się w tych miejscach. To ją uratowało. — Uporawszy się z tym szkopułem, już bez zastrzeżeń poddajemy się płynnemu tokowi opowiadania Autorki; z zaciekawieniem wnikamy w szerego, po epicku podmalowane tło tej burzliwej epoki; z zainteresowaniem śledzimy niezwykle losy samej Śniadeckiej, ale również i osób, z którymi się styka, a przede wszystkim tego, z którym tak ofiarnie związała swe życie, Czajki - Czajkowskiego, poety-awanturnika, organizatora kozacko - polskich formacji dla wyzwolenia niepodległości ojczyzny. Plastykę opisów potęgują liczne ilustracje. Książkę czyta się jednym tchem.

Ks. J. Mikula T. J.

Zofia Zaleska: *Czasopisma kobiece w Polsce. (Materiały do historii czasopism). Rok 1818 — 1937. Nakładem Wyższej Szkoły Dziennikarskiej w Warszawie, 1938 r., str. 264.*

W budowaniu kultury narodu ważnym zadaniem jest umiejętne gromadzenie rozproszonych wysiłków, sumowanie dokonanych przez jednostki prac, aby móc nie tylko zdać sobie sprawę z osiągniętych rezultatów, ale aby na nich można dalsze poczynania opierać.

Kobieta polska w okresie niewoli naszego narodu odgrywała wybitną rolę. Była nie tylko współtwórczynią siły odpornej umęczonego narodu, nie tylko umiała ona strzec czystości rodziny, będącej niezwykłą przeszkodą dla wszelkich prób wynarodowienia, ale w najcięższych chwilach stawiała wraz z mężczyzną do pracy kulturalnej, która była przecież jednym z najważniejszych odcinków obrony niepodległości ducha narodu.

Kobieta była poetką, powieściopisarką, publicystką, dziennikarką. Te dwie ostatnie dziedziny pracy kobiet najmniej są znane, choć może zasługują na specjalne uznanie. Naturalnie, opracowanie tego działu działalności kobiecej nastroczało olbrzymie trudności, wynikające z samego charakteru podobnej pracy.

Nie ulękła się tego zadania: przedstawienia dziennikarskiej pracy kobiet — zawodowa dziennikarka p. Zofia Zaleska, znana społeczeństwu polskiemu z umiejętności chwytania na swe pióro wszystkich blasków i cieni naszego życia społecznego i oświeclania ich w płaszczyźnie poglądów katolickich i szczerze polskich.

Jako ramy chronologiczne swej pracy postawiła sobie daty: 1818 rok ukazania się spod pióra kobiecego pierwszych w ogóle w Polsce książek dla ludu: *Pielgrzyma w Dobromilu*, napisanego przez ks. Izabelę Czartoryską i *Powieści wiejskich* przez jej córkę, Marię ks. Wirtemberską, a kończy swą pracę na chwili bieżącej, bo na r. 1937. 120 lat — okres czasu wielki, nie tylko ilością lat, ale różnorodnością przeżyć narodu polskiego. Obejmuje on i porwy do wolności naszych powstań i doby ciężkich prześladowań i świt zmartwychwstania Polski i spory szmat, bo 19-letni, jej bytu niepodległego.

Widzimy w tych okresach wielką ruchliwość kobiecego pióra: czasopisma kobiece o różnych programach od tygodników mód poczynając do pism o założeniach filozoficznych. Są czasopisma służące wyłącznie sprawie kobiecej, jej równouprawnieniu z mężczyzną, a są również takie, które służą zadaniom całego narodu.

Autorka objęła w swych żmudnych poszukiwaniach trzy zabory, sięgnęła nawet do wydawnictw szkolnej młodzieży żeńskiej, gazet organizacyjnych, starając się o ich jasne, obrazowe uszeregowanie. P. Zaleska zdaje sobie sprawę, że to jeszcze nie całokształt czasopiśmienniczej pracy kobiecej, tłumaczy się, że nie mogła objąć pism kobiecych na emigracji, co nastrocza wprost niemożliwe do przezwyciężenia trudności, ale każdy, kto miał sposobność opracowywania zagadnień w oparciu o publicystykę, oceni sprawiedliwie ogrom włożonej w książkę pracy. Autorka sama wykazuje, jakie działy nie zostały jeszcze dotknięte nie tylko ręką monografisty, ale zbieracza materiałów. Jednak to co zostało zrobione, zasługuje na szczerze uznanie.

Praca p. Zaleskiej źródłowa, sumienna, opatrzona licznymi przypisami, fotografiami tytułowych kart czasopism, spisami alfabetycznymi, chronologicznymi, terenowymi czasopism, jest fundamentem, na którym w swych dalszych pracach będą się niewątpliwie opierać badaczki i badacze dziejów kultury polskiej w tej epoce, będzie dla nich nieocenioną wprost pomocą i przewodnikiem w poszukiwaniach.

Dr M. Śliwińska - Zarzecka.

Stanisław Łoś: *Hellada na przełomie*. Skład główny: Gebethner i Wolff. Warszawa. 1938. Str. 172.

Czytelnika, który z helleńską przeszłością obcował pod auspicjami klasycznego gimnazjum, który później czytywał to i owo na temat sztuki klasycznej, *Hellada na przełomie* wprawia w bliżej nieokreślone zakłopotanie. Dotychczas bowiem patrzył na Grecję jako na krainę lśniących marmurów, lazuru nieba, kolebkę herosów, nieśmiertelnych poetów i filozofów, źródło niewiedzącego piękna, młodości i harmonii. Prowadzony przez oficjalnych przewodników szedł wydeptanymi szlakami, omijał wioski i boczne uliczki, trafiał prawie wyłącznie na podniosłe uroczystości lub wielkie wypadki historyczne, obcował i rozmawiał z największymi Grekami, a bardzo rzadko zaglądał do Grecji w dzień powszedni. To też dziwnie się czuje, gdy mu przychodzi obcować z greckim ulicznikiem, czy nawet greckim wieśniakiem; gdy się dowiaduje, że wśród greckich marmurów kryło się greckie bezrobocie, że istniała sprawa agrarna, sprawa państwowości, biurokracji itd. Czuje się zaskoczony nie dlatego, jakoby takie rzeczy wydawały się mu nieprawdopodobne, czy historycznie fałszywe. Przecież sam w swej świadomości potrafiłby znaleźć dość sporo potrzebnego materiału do wysnucia takich właśnie wniosków. I sam zdrowy rozsądek mówi, że Grecy także byli ludźmi. Mimo to bezrobotnego Greka skłonny jest traktować jak plamę na pięknym jednolitym obrazie. Po prostu przyzwyczaił się do patrzenia na świat starożytny przez pryzmat tzw. klasycznych, nieco sztywnych, urzędowych kategorii. To też „dyletantyzm”, z którego usprawiedliwia się we wstępie Autor, okazał się w tym wypadku twórczy. P. Łoś nie korzysta z oficjalnych przewodników ani oficjalnych powozów. Swą podróż odbywa jako turysta, trochę jako dziennikarz, najczęściej pieszo i najczęściej takimi szlakami, które z reguły omijają szkolne wycieczki (niekiedy i uniwersyteckie). I w tym właśnie widzę duży urok tej bez pretensji pisanej książki.

Świeżość przygodnego obserwatora i niewymuszone zaciekawienie dziejami greckimi dzieli Autor świadomie, jak się sam przyznaje, z historiografami anglosaskimi. Wniosek, że w odległej przeszłości możemy znaleźć daleko więcej pierwiastków, które nas łączą niż dzielą, wydaje się w świetle rozważań p. Łośa słuszny i obiektywny. Z pewnymi oczywiście zastrzeżeniami, które podziela również Autor. Podobnie i końcowe wnioski pracy, podające przyczyny upadku starożytnej Hellady, wydają się słuszne. Zwłaszcza zanik przewagi czynnika jakościowego nad ilościowym skłonni jesteśmy uznać za istotny i podstawowy czynnik rozkładu tego kwitającego ongiś państwa. Nie wątpimy, że wnioski te narzuciły się drogą kontemplacji dziejów. W książce jednak może nieco za krzykliwie i za natrętnie narzuca się nasza współczesność i zakłóca nam spokój kontemplacji. Czasem ma się nawet

wrażenie, że tu świadomie mówi się o dalekiej Japonii, mając na myśli bardzo niedalekie stosunki... Niewątpliwie jednak przeszłość grecka jest sama w sobie bardzo pouczająca i wydobycie tych pouczających momentów nie musi się zbiegać ze świadomą tendencją moralizatorską.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

M. B.: Irena Puzynianka. *Życie i praca*. Poznań. Str. 196.

Kresy, polskie kresy... Ileż bohaterskich postaci, głośnego męstwa, szczytnej ofiary od czasów najdawniejszych aż do najnowszych kojarzy się w umyśle Polaka z tym wyrazem! Ale może jeszcze więcej należałoby im przypisać bohaterstwa cichego, zamkniętego w ścianach dworów ojczystych, nieznanego cierpienia i ofiary, poniesionej dla najwyższych ideałów, szarej, ale twardej energii i wytrwałości w walce o słuszność i sprawiedliwość. Dowodem te liczne szeregi osób wyróżniających się zaszczytnie na długiej przestrzeni czasu w codziennym znoju i trudzie o lepsze jutro ojczyzny. Wśród tych szeregów kobieta kresowa zdołała urobić specjalne oblicze swojej psychiki i przekazać je wyobraźni niekresowca jako typ odrębny, zdawałoby się zamknięty już w swoich cechach zasadniczych. Dlatego czujemy wdzięczność względem pani M. B., która w obrazie życia i prac Ireny Puzynianki przedstawiła nam nowy typ kobiety kresowej. Nowy i ze względu na warunki, w jakich pracowała i na ducha, jakim płuwała. W syntetycznym skrócie ujmując jej życie napis nagrobkowy: „...poseł na Sejm, przewodnicząca wielu organizacji społecznych, słowem płomiennym, czynem, przykładem, cierpieniem, ofiarą, modlitwą, miłością walczyła o Polskę zgodną z wolą Bożą”. Walka o Polskę zgodną z myślą Bożą — to rys jej dominujący, hasło jej prac i poświęceń, pobudka wytrwania. Dlatego i jej osoba i książka o niej są bardzo a bardzo na czasie.

Ks. J. Mikołaj T. J.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Instytutu Wydawn. „Biblioteka Polska” w Warszawie, 1939:

Adolf Dygasiński: Pisma. T. 14. Pan Jędrzej Piłsudski (I). Str. 294. T. 15. Pan Jędrzej Piłsudski (II). Str. 170. T. 20. Gorzałka I. II. Str. 355. T. 24. A. S. Str. 207. T. 21. Gorzałka III — IV. Str. 283. T. 29. Zając. Str. 237.
Stanisław Karpiński: *Łot przerwany w Syjamie*. Str. 227.
Józef Wechsberg: *Wielki mur*. Str. 321.

Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1939:

Wacław Berent: *Zmierzch wodzów*. Str. 167.
Ks. dr Andrzej Krzesiński: *Daleki Wschód w obrazach*. Seria I. 80 ilustracji. Str. 63.

Zygmunt Nowakowski: Błękitna kotwica. Str. 322.
 Gordon Selfridge: Z dziejów handlu. Str. 265.
 J. A. Thomson: Z czego zbudowany świat. Str. 131.
 Aleksander Fredro: Zemsta. Str. 128.
 Eliza Orzeszkowa: Cham. Str. 271.
 F. Sławoj-Składkowski: Z walk Pierwszej Brygady. Str. 224.
 Stanisław Witkiewicz: Wybór pism. T. I. Str. 135. T. II. Str. 135.

Nakładem „Książnicy Atlas”, Lwów — Warszawa, 1939:

Herman de Man: Wezbrana fala. Str. 268.
 Juliusz Kędziora: Burza. Dramat w trzech aktach. Str. 116.
 Emil Ludwił: Kleopatra. Str. 307.
 Stefan Papée: Pogląd na świat młodzieży licealnej. Str. 46.
 Tadeusz Sinko: Klasyczne przysłówia w polszczyźnie. Str. 114.
 Zofia Starowieyska-Morstinowa: Twoje i moje dzieciństwo. Str. 158.

Nakładem Księgarni Katolickiej w Katowicach, 1939:

O. Bernard od Matki Boskiej, karm. b.: Jej śladem. Św. Teresa od Dz. J. wzorem młodych katoliczek. Str. 286.
 Maria Dynowska: Józef Moscati. Lekarz ciała i duszy. Str. 62.
 Aniela Potulicka. Skromna fundatorka wielkich dzieł. Str. 59.
 Robert Mäder: Komunista? Nie, katolik! Str. 35.
 Międzynarodówki socjalistyczno-komunistyczne eksploatują sprawę robotniczą. Praca zbiorowa pod redakcją H. Glassa. Str. 134.
 Dr Fryderyk Schneider: Twoje dzieci a ty. Str. 180.
 Ks. dr Stefan Wyszynski: Inteligencja w straży przedniej komunizmu. Str. 144.

Nakładem Księgarni św. Wojciecha, Poznań, 1939:

Ks. dr Andrzej Krzesiński: Problem misji katolickich na Dalekim Wschodzie. Str. 195.
 Tenże: W krajach misyjnych Dalekiego Wschodu. Str. 130.

Nakładem Seminarium Zagranicznego w Potulicach, 1939:

Zbigniew Kaczorowski: Tajemnica spowiedzi. Dramat religijny w 4 aktach. Str. 79.
 Jan Maryański: Jak przeprowadzane są roboty polne w komunistycznym państwie? Str. 46.
 Ks. Ignacy Posadzy: Przez tajemniczy Wschód. Str. 356.
 Ks. dr Jan Warczak: Cały człowiek. Współczesne rozważania. Str. 121.

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego w Katowicach, 1939:

Alfred Jesionowski: Problem polski na Śląsku w świetle nowszej beletrystyki niemieckiej. Str. 95.
 Józef Kokot: Zakres działania Województwa Śląskiego jako jednostki samorządu terytorialnego. Str. 100.
 Karol Miarka: Wybór pism. Zebrał i opracował Adam Bar. Str. 261.
 Eustachy Noszczyński: Szkolnictwo mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku w świetle polskiego prawa traktatowego. Str. 206.
 Zbigniew Miłobędzki: Przemysł w Województwie Śląskim. Cz. II. Przemysł na odzyskanych ziemiach Śląska Cieszyńskiego. Str. 24.

Zygmunt Wojciechowski: Polska nad Wisłą i Odrą w X wieku. Str. 206.

Zdzisław Wyżnikiewicz: Ubezpieczenia społeczne na Śląsku w świetle wykonania konwencji genewskiej. Str. 59.

Nakładem różnych:

Prof. Stefan Bieszk: Aktualność dzieła ks. Piotra Skargi. Nakł. Gen. Sekr. Kat. Stow. im. Piotra Skargi. Pelplin, 1939. Str. 13.

Aleksy Deruga: Kościół prawosławny a sprawa „Buntu” w r. 1789 we wschodnich województwach Rzplitej. Wilno. Str. 269.

Stanisław Helsztyński: Katoliccy poeci Anglii. Nakł. Nacz. Inst. Akcji Katolickiej w Poznaniu. 1939. Str. 47.

Kazimierz Twardowski. Nauczyciel — uczony — obywatel. Lwów. Nakładem Pol. T-wa Filozoficznego. 1938. Str. 49.

C. Konczewski: La pensée préconsciente. Essai d'une psychologie dynamiste. Felix Alcan. Paris, 1939. Str. 275.

Zofia Lipkowska-Górska: Pogadanki wychowawcze dla matek. Katolicki Związek Kobiet. Poznań. Str. 173.

Niech duch Skargi natchnie nas... Pokłosie III Zjazdu Delegow. Kat. Stow. im. Piotra Skargi Diecezji Chełmińskiej. Pelplin. Nakładem Gen. Sekr. Kat. Stow. im. Piotra. 1939. Str. 22.

Karl Rahner: Geist in Welt. Zur Metaphysik der endlichen Erkenntnis bei Thomas von Aquin. Felizian Rauch. Innsbruck-Leipzig. 1939. Str. 296.

Zdzisław Obertyński: Świętokrzyscy misjonarze a powstanie styczniowe. Warszawa, 1938. Str. 14.

Polak w Czechach. Popularny podręcznik językowy. Księgarnia popularna w Warszawie. Str. 58.

Ks. dr Wacław Padacz: Podręcznik organizacyjny Bractwa Trzeźwości. Warszawa. Skł. gł. Księgarnia Przegl. Katol. 1939. Str. 62.

Polska bibliografia wolnomularska. Zebrał i zestawił ks. mgr. Tadeusz Kozłowski. Włocławek, Ateneum Kapłańskie. 1938. Str. 12.

Ks. Alfons Schletz C. M.: Działalność Naukowo-Oświatowa ks. Józefa Jakubowskiego. Lwów, 1939. Str. 39.

Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich oraz Polski dotyczących. Opracował Adam Bar, przy współudziale Wł. Tad. Wistockiego i Tad. Godłowskiego. T. III. Skł. gł. Gebethner i Wolff. Kraków, 1938. Str. 146.

Klemens Stehle: Katechismus der Werktagsheiligkeit für die christliche Familie. Herder, Freiburg im Breisgau. 1939. Str. 79.

Józef Stemler: O półkoloniach letnich na wsi. Wydawn. Zarządu Gł. Pol. M. Szk. Warszawa. Str. 66.

Stanisław Studencki: Podstawy rasizmu niemieckiego. Warszawa, 1939. Str. 44.

Ks. Henryk Weryński: Cele i zadania Związku Katolickich Radiosłuchaczy. Kraków, 1939. Str. 15.

Adam Wierny: Na szlakach dziejowych Romana Dmowskiego. Nakł. autora. Piotrków Trybunalski, 1939. Str. 134.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wezwanie Ojca chrześcijaństwa. — W odmętach moralnego nibilizmu. —
Orędzie Polskiego Episkopatu.

Ostatnie święta Zmartwychwstania Pańskiego były dla Europy i całego świata okresem pełnego wojennej grozy napięcia. Święto pokoju, radości, zwycięstwa życia nad śmiercią obchodzono w wielu krajach w nastroju W. Piątku. Tragizm utraconej niepodległości, który w ciągu ostatniego roku zaciążył nad paru narodami, dotknął ostatnio Albanie, w której stolicy zatknięto pod koniec W. Tygodnia zaborczy sztandar królestwa włoskiego. Po gwałtach dokonanych przez dyktatora Niemiec nastąpił nowy gwałt dyktatora Italii.

Ale ten tragizm wypadków ma daleko szerszy zasięg. W brudnej fali międzynarodowych gwałtów tonie nie tylko wolność tych czy innych narodów i niepodległość państw ale, co daleko smutniejsze a w następstwach donioślejsze, zatracą się coraz to bardziej samo poczucie naturalnej etyki i sprawiedliwości, giną podstawy chrześcijańskiej kultury i cywilizacji.

I na ten właśnie najdonioślejszy fakt zwrócił z naciśkiem uwagę całego świata Pius XII w swym wielkanocnym przemówieniu.

Wszyscy wzdychają dziś tęsknie do pokoju, a tymczasem ten pokój staje się coraz wyraźniej mrzonką, utopią nie do urzeczywistnienia. Wszyscy uznają obecny wyścig zbrojeń za zbiorowe szaleństwo, które doprowadzić musi do powszechnej katastrofy i dogłębnej ruiny a równocześnie wszystkie państwa podnoszą ostatnim wysiłkiem swoje budżety wojenne, dozbrają się i mobilizują w tym przekonaniu, że tylko silni, uzbrojeni i przygotowani mogą się

obronić przed agresją. Połowa świata oskarża słusznie niemiecki totalizm o wzniecanie w świecie pożogi wojennej a przecież ludność Berlina przeżywała ostatnią Wielkanoc w ponurych nastrojach lęku o pokój a w zwycięskim Rzymie nie można było wyczuć szczerzego entuzjazmu.

Gdzież więc tai się źródło tych potwornych paradoksów?

Oto szereg wodzów, dyktatorów i polityków współczesnej doby zatraciło prawie bez reszty poczucie prawa natury. Stąd w wyborze między wojną a pokojem nie decyduje sprawiedliwość lecz jedynie i wyłącznie brutalny interes, podyktowany przez narodowy czy państwowy egoizm. Wyznawcy tego bożyszczka nie wyrzekają się wprowadzie pokoju, owszem pokojem szermują, pokojem licytują, ale chodzi im o pokój swoisty, narzucony własnym zwycięstwem, oparty na wyłącznie własnej korzyści. Stąd namiętne a wzajemne oskarżenia o podżeganie do wojny, o imperializm, o zdradzieckie okrażania, ale każdy z partnerów widzi zło jedynie w obozie swych wrogów, z całą obłudą najwznioślejszymi hasłami usiłuje pokryć swój własny interes i egoistyczną rację stanu, podniesioną do rangi nowoczesnego bóstwa.

Nic dziwnego, iż w tej atmosferze obłudy, brutalizmu oraz zakłamania straciły swe znaczenie wszelkie przyrzeczenia i międzynarodowe umowy. Tej kategorii politycy i dyktatorzy, dla których najwyższą wykładnią prawa jest interes własnego państwa, domagają się wprowadzie poszanowania traktatów, umów oraz aliansów od swych partnerów, domagają się pogróżkami nawet gwałtem i brutalną siłą, sami jednak gotowi są uznać i to z całym cynizmem podpisane przez siebie zobowiązania za „świsstek papieru”, z chwilą kiedy ich zdaniem wymagać tego będzie egoistyczny interes ich państwa.

Otóż Papież Pius XII, podejmując wspaniałą tradycję swego poprzednika, napiętnował z mocą tego rodzaju bezprawie, a zwolenników tej właśnie polityki odsądził od miana chrześcijan.

Zarzucić by im można nadto brak elementarnych zasad uczciwości, opartej na poczuciu i poszanowaniu prawa, na którym opiera się wszelka sprawiedliwość.

Pius XII, który w długim okresie swej dyplomatycznej służby poznał doskonale kulisy międzynarodowej polityki, nie wymienił w swoim przemówieniu nazwisk napiętnowanych przez siebie wodzów oraz mężów stanu. Cały jednak świat wie doskonale pod czym adresem skierowane były surowe słowa Chrystusowego Namiestnika.

Już Pius XI w swoich potężnych orędziach i nieustraszonych przemówieniach piętnował stanowisko, jakie wo-

dzowie Trzeciej Rzeszy zajęli wobec zawartego z Watykanem konkordatu. Nie mając odwagi, by zerwać podpisany układ, wypruli go perfidnie z treści, uznali praktycznie za „świsstek papieru” i głosząc obłudnie wolność religii podjęli zaciętą i bezwzględną walkę z katolicyzmem.

Od tego jednak czasu lista politycznych wiarołomstw dyktatora Trzeciej Rzeszy pomnożyła się wybitnie. W styczniu (30) r. 1934 powiedział Hitler w Reichstagu, że absurdem jest przypisywanie mu intencji użycia gwałtu w stosunku do Austrii. W marcu (7) r. 1936 zapewniał w tymże Reichstagu, że nie zamierza atakować Czechosłowacji. We wrześniu (26) r. 1938 oświadczył w Sportpalaście berlińskim, że Sudety są jego ostatnią rewindykacją terytorialną... Kilkakrotnie zapewniał z emfazą, iż wszystkie sprawy sporne z Polską są definitywnie załatwione, iż pakt nieagresji będzie trwałą podstawą współżycia obu narodów... A tymczasem jak wyglądają fakty? I coś dziwnego, iż lord admiralicji Duff Cooper oświadczył z tego powodu w Izbie Gmin, że podpisy Niemiec nie są warte papieru, na którym się je składa.

Dyktator Włoch podpisał dobrowolnie układy laterańskie, a jednak stojący nad grobem Pius XI z przejmującym smutkiem omawiał stosunek reżimu do poczynań Katolickiej Akcji w Italii. Po zaborze Abisynii powiedział Mussolini do angielskiego dziennikarza Ward Price'a, że Włochy nie mają już żadnych innych aspiracji kolonialnych... W ostatniej swej wielkiej mowie politycznej twierdził patetycznie, iż Europie potrzeba długiego okresu pokoju, a wkrótce potem posłał swoje pułki na zaborczą kampanię do Albanii. Rok temu hr. Ciano w atmosferze największej życzliwości był w Tiranie świadkiem ślubu Ahmeda Zogu. Po upływie roku w tej samej stolicy odsądził go od praw reprezentowania kraju, a jego małżonkę w 48 godzin po powiciu syna zmusił do 14 godzinnej podróży samochodem po bezdrożach Albanii...

Jaką wartość mają zatem wszelkie traktaty i pakt podpisane przez *Führer'a* lub *Duce*? Jak przyjmować ich „najbardziej szczere zapewnienia” o życzliwości i przyjaźni?

Czy jednak można winić tylko dyktatorów? Czy istotnie mogą oni dotrzymywać słowa, niesieni rozpętanym przez siebie dynamizmem totalizmów? Na brutalnej sile, nie uznającej sprawiedliwości, oparty imperializm ma swoje nieubłagane konsekwencje. Doktryna, która uznała wojnę za żywioł siły, za dowód rasowej tężyzny musi przeć do nieustannej ekspansji a walkę uznać za najwyższy i bezwzględnie konieczny warunek żywotności i rozwoju. Totalizmów w ich fatalnej ewolucji wstrzymać się nie uda, bo zastój i spoczynek byłby początkiem ich końca. W tej atmosferze szczegóły

przestają być ważne; nie chodzi już o Austrię, Czechy, Kłajpedę, Albanie, Gdańsk czy Szwajcarię, bo celem dyktatorskich imperializmów, wyzutyh z poczucia naturalnej etyki jest hegemonia na gigantyczną miarę, naszkicowaną w ideowym zrywie *Mein Kampf*'u.

Ale byłoby zasadniczym błędem przypuszczać, że całą winę za obecny przewrót moralnego nihilizmu w międzynarodowej skali ponoszą winę li tylko współczesne nam totalizmy. To bankructwo sprawiedliwości przygotowały pracowicie przez lat 50 także demokracje Zachodu, z Francją na czele. Dziś pragną odgrywać rolę zbawców kultury i wolności, której podstawy kruszyli w masońskim obiedzie przez długie lat dziesiątki. Dziś głoszą kruczate sprawiedliwości, apelują do elementarnych podstaw naturalnej etyki, ale trudno zdecydować, co większą rolę odgrywa w tej krucjacie: paniczny lęk, podziemny rewanż zgnębionej masonerii, czy prawdziwy nawrót do etyki i szczerza rewizja laicystycznych zasad wrogiego religii radykalizmu?

Długa seria polityków i wybitnych masonów jak Gambetta, J. Ferry, Bert, Combes, Clemenceau... rzuciła w świat z namiętnym sektaryzmem hasła laicyzacji, etyki bez Boga. Długi okres od r. 1879, w którym usunięto kler ze szpitali i dobroczynnych zakładów Francji aż do r. 1905, w którym przeprowadzono definitywny rozdział Kościoła od państwa — poświęcony był intensywnej propagandzie bezbożnictwa, podrywaniu podstaw naturalnej etyki i międzynarodowej sprawiedliwości.

Viviani, minister pracy, szkicując syntezę dokonanego przez laicyzm dzieła, wygłosił w r. 1906 (8. XI.), we francuskim parlamencie te bluźniercze słowa:

Trzecia Republika zebrała dokoła siebie dzieci wieśniaków oraz dzieci robotników; w te mózgi ciemne, w te zaciemnione sumienia zapuściła powoli rewolucyjne nasienie nauki. To jednak nie wystarczyło. Wszyscy razem, nasi ojcowie, nasi starsi bracia i my sami poświęciliśmy się w przeszłości dziełu antyklerykalizmu, walce z religią. Wydarliśmy z sumień ludzkich wiarę. Kiedy biedak, obarczony ciężarem dnia, zginał swe kolana, podnieśliśmy go i powiedzieliśmy mu, iż za chmurami nie ma nic innego, jak tylko chimery. Wspólnie, wspaniałym gestem zgasiłiśmy na niebie światła, których już nikt nie zaświeci!

Ogłoszenie afiszami tych bluźnierstw w całym państwie zostało przegłosowane przez 240 deputowanych francuskiego parlamentu. Z fanatyzmem burzono w sumieniach podstawy etyki a w laicystycznych szkołach wychowano nowe pokolenie radykałów, którzy po W. Wojnie tworzyć będą Front ludowy.

Tego właśnie pokroju politycy, adepci masonerii, dyktowali pokój wersalski. Nienawiść do katolicyzmu inspirowała politykę angielskiego masona Lloyd George'a. Dlatego zniszczono Austrię, odrzucono projekt stworzenia katolickiego cesarstwa południowych Niemiec, okrojono bezlitośnie Węgry, narzucono plebiscyty i krępujące ograniczenia katolickiej Polsce, a Ligę Narodów oparto na zakłamaney etyce egoizmów, depczących zasadę sprawiedliwości.

Marzenie Briand'ów o Paneuropie, rządzonej przez masonerię, zbratanej z Kremlen, rozwiały się w starciu z rosnącą potęgą totalizmów. Z traktatów wersalskich zostały dziś strzępy. Ale z faktów tych przeziara dziejowa nemezis pogwałconej etyki i zdeptanej sprawiedliwości, w której obronie stawali i stają papieże.

Przemówienie Piusa XII trzeba by rozważyć głęboko nie tylko w Rzymie i Berlinie ale także w Paryżu, w Londynie i Washingtonie. Bez etyki i sprawiedliwości nie stworzy pokoju nawet... nowa wojna. Nie wystarczą żadne ideologiczne bloki, jeśli w świecie nie nastąpi nawrót do ideałów Chrystusowej Ewangelii.

A na te ideały, jak ze smutkiem stwierdził ostatnio w swym przemówieniu do członków Akcji Katolickiej Pius XII, nie oglądają się politycy świata, ani ci grożący, dla których argumentem jedynym jest siła, ani ci zagrożeni, szermujący liczmanem masońskiego pacyfizmu. I dlatego dziś w świecie tak smutno i duszno; dlatego głosząc pokój gotuje się wojnę; dlatego traktaty i przyrzeczenia stają się świstkiem papieru.

Zarysowały się ostro w Europie dwa potężne, ideologiczne bloki. W jednym obozie dźwierz prym narodowy socjalizm, wsparty na bagnietach i koncentracyjnych obozach, zastępujący etykę sprawiedliwości mitem krwi i rasy, nawiązujący wyraźnie do polityki Fryderyków i Bismarcków. Z drugiej strony łączą się demokracje Zachodu, obarczone smutną spuścizną laicyzmu, przeżarte wewnętrznie masońskim liberalizmem, zezujące w stronę czerwonej i bezbożnej Moskwy. Wzajemne starcie, na śmierć i życie tych dwóch obozów wydaje się nieuniknione. Nie zażegnają go na dłuższą metę wysiłki dyplomatyczne Chamberlainów ani orędzia Rooseveltów.

Na tragicznym, niebezpieczeństwami zjeżonym pograniczu tych dwóch światów stoi dzisiaj Polska. Syrenie głosy obietnic i zapewnień usiłują przeciągnąć nasze państwo w orbitę gotującej się rozprawy. Ale polski naród uświadamia sobie coraz wyraźniej, iż zawierając pakt, umowy i alianse, znajduje się poza obrębem obydwu ideologicznych bloków. Nie chce mieć nic wspólnego z ideologią gwałtu, z pogańskim mitem krwi i rasy, ale nie nęci go również masoński

pacyfizm, marzący o aliansach z Moskwą. Na dziejowych szlakach wypracował naród polski swą własną ideologię, przywarł do niej ukochaniem i tęsknotą wiekowej tradycji. Ideologia ta pokrywa się w całej pełni z wskazaniem, które *urbi et orbi* przypomina właśnie Pius XII, Namiestnik Chrystusa. Polska coraz wyraźniej staje się dziś w świecie jednym z czołowych mocarstw, które dzieje swego państwa i narodowej wolności wiąże z zapoznaną przez demokrację Zachodu, zdeptaną przez neopogański rasizm i równie pogańską komunę ideologią Chrystusa. A do tej ideologii, wiemy to z metafizyczną pewnością, należy końcowe zwycięstwo.

Stąd w atmosferze europejskich pogroźek i europejskiego lęku właśnie w tej Polsce, która nie posiada ani złota demokracji Zachodu, ani olbrzymich wytwórni armat, samolotów oraz pancerników, na których buduje swą przyszłość totalizm — tyle spokoju i optymizmu! Obok bowiem zdecydowanej na wszystko armii staje cały naród, który wierzy w Boga i Jego Opatrzność i który Częstochowską Pannę swoją królową nazywa.

Do tej właśnie wiary i wspartej na niej ofiarności z mienia i z życia dla obrony państwa, a nie do mitów krwi czy laicyzmem przepojonych pacyfizmów apeluje Polski Episkopat w swoim zbiorowym orędziu.

Podjmując wezwanie Ojca chrześcijaństwa, wzywają polscy Arcypasterze cały naród do modłów o pokój powszechny, ale równocześnie mobilizują ducha narodu, by stał na straży tej ideologii, która wyłącznie zwyciężyć może i pokój trwały zapewnić.

Z patriotyczną dumą stwierdza Polski Episkopat, iż wobec zagrożenia naszych granic, cały naród zapomniawszy o waśniach i partyjnych swarach, stanął jak jeden mąż przy armii i jej potrzebach. Pod tym względem nie przeliczytuje nas żaden totalizm.

Ale równocześnie kierują nasi Pasterze wzrok całego narodu ku niebu, stają na straży Bożej ideologii, z którą naród nasz związał swą narodową tradycję i której dziś jest jednym z najbardziej zdecydowanych obrońców w świecie.

Do zadań Rzeczypospolitej w obecnej chwili dziejowej powinniśmy się ustosunkować z niezłomną wiarą w Opatrzność Bożą...

Do tej ufnej i niezłomnej wiary mamy pełne prawo; wszak

...w odrodzonej Polsce, pomimo ludzkich błędów i grzechów, wielbiliśmy i czciliśmy Boga i chcemy Mu coraz wierniej służyć. Odparliśmy bezbożniczy komunizm od granic Rzeczypospolitej

i nie pozwoliliśmy, by się w polskim życiu pod błędnymi hasłami kultury niechrześcijańskiej zagnieździł. Wyrastamy z bezbożnictwa, wolnomyślicielstwa, pozytywizmu. Leczymy się starannie z laicyzmu, materializmu, obojętności religijnej. Bronimy się skutecznie przed sąsiedzkim neopogaństwem, mimo że się do nas zakradło w owczej skórce słowiańskich podań i obrzędów. Coraz jawniej, coraz oficjalniej, coraz szerzej opieramy życie polskie na zasadach chrześcijańskich i na bożym prawie. Duchem Chrystusowym krzepimy się na wewnętrzny wzrost i powodzenie, a na zewnątrz nie hołdujemy zasadom gwałtu i przemocy, nie czyhamy na bezbronných sąsiadów, wyznajemy hasło braterskiej współpracy ludów, chcemy promieniować naokoło siebie nie błyskawicami najazdu, lecz światłami kultury chrześcijańskiej.

Jesteśmy pewni, że tak postępując, nie sprzeniewierzamy się swemu powołaniu, owszem współpracujemy z Opatrznością i urzeczywistniamy swe posłannictwo.

...Z tej moralnej podbudowy naszego patriotyzmu wypływa powaga naszej postawy praktycznej. W obliczu gróźb wojennych zachowamy spokój, rozwagę, godność.

...Współdziałać będziemy z zapałem z władzami państwowymi w wykonywaniu rozporządzeń, przygotowujących życie kraju na możliwości wojenne ku wolności ducha i życia narodowego; dozbiorzymy armię i wyposażymy ją w skrzydła potężne.

Wiarą, entuzjazmem patriotycznym, szlachetną wolą zgody podsycać będziemy znicz miłości ojczyzny, iżby rozgorzał płomieniem niebotycznym, jako nasz hołd modlitewny ku Bogu, jako krzyż, wyrastający z serc, jako wołanie Polski o pokój ludów, jako słup ognisty przed narodem, dla obcych zaś jako godło przyjaźni, ale zarazem w razie potrzeby, jako znak stanowczej przestrogi. W tym duchu pojednania, ale i nieustępliwej obronności łączymy się całym sercem ze wspaniałymi odezwaniami pokoju i sprawiedliwości Ojca św. Piusa XII...

Do narodu całego przemówił Episkopat Polski, ale przez usta swego Episkopatu przemówił też Naród polski do całego świata. Oto wyznanie polskiej ideologii, oto polska racja stanu, oto odpowiedź na berlińskie prowokacje i zerwanie paktu!

Zbrojni, opancerzeni i uskrzydleni a równocześnie zmobilizowani duchowo nie mamy się czego lękać, gdyż nad Polską czuwa Opatrzność Boga, którego praw i sprawiedliwości stróżem pragnie być Polski Naród na dziejowych szlakach.

Ks. Edward Kosibowicz I. J.

Sprawy Państwa.

Polityka wojenna. — Niebezpieczeństwo polsko-niemieckie. — Przemyśle polsko-angielskie. — Niebezpieczeństwo śródziemnomorskie. — Roosevelt, wojna i pokój.

Osobliwa, dotąd w historii niespotykana „pokojowa wojna”, w wyniku której jedno z mocarstw europejskich mogło w ciągu jednego roku powiększyć swój obszar i ludność o jedną trzecią część bez jednego wystrzału, — weszło w kwietniu w nowe stadium. Ten zwrot, może bardziej jeszcze niż poprzednie, nastąpił za sprawą Polski. Przybrał on postać reakcji przeciwko „pokoju zaborom”, mającej położyć im kres za pomocą rzeczywistego wojennego pogotowia i decyzji ze strony mocarstw zachodnich i naszej. Wskutek tego „pokojowa wojna” przeobraziła się w kwietniu w „politykę wojenną”, bardzo zbliżoną do tej, jaką prowadzono równolegle z operacjami militarnymi w latach 1914 — 18. Pomimo, że pokoju dotąd szczęśliwie nie naruszyła, posługiwała się już bezpośrednio wojskowymi środkami nacisku, jak częściową mobilizacją, oraz celowymi ruchami wojsk i flot.

Prawdopodobieństwo natychmiastowego wybuchu dochodziło w pewnych momentach do 90%, zwłaszcza na odcinku polsko-niemieckim i śródziemnomorskim. Mimo to jednak wybuch nie nastąpił ponieważ żadnej ze stron, a zwłaszcza osi rzymsko-berlińskiej, nie powiodło się dotąd przygotować dlań takiego międzynarodowego układu sił, który by jako tako zabezpieczał widoki zwycięstwa. Dla tejże przyczyny nie wiadomo jeszcze i nadal czy wojna w ogóle wybuchnie, mimo nieustannego i wysokiego jej niebezpieczeństwa. Jeśli zaś wojna nie wybuchnie to będą musiały być wynalezione, mimo wszystko, jakieś pozytywne warunki choćby prowizorycznego *modus vivendi* między wygłodzoną (ekonomicznie i terytorialnie) grupą mocarstw centralnych, a przesyconą grupą mocarstw zachodnich. Albo też nastąpić może gospodarczy i polityczny rozkład Europy nie za pomocą wojny, lecz poprzez przewroty wewnętrzne, zwłaszcza w Niemczech, Włoszech czy Turcji.

Przejdźmy jednak do miesięcznej relacji. Końcówka wydarzeń oraz wiązania przyczynowe pomiędzy nimi wykazały tym razem konstrukcję dość przejrzystą, lecz jak zazwyczaj organicznie uzależnioną od dawniej już powstałych punktów wyjścia. Takimi punktami wyjścia dla srogich niebezpieczeństw kwietniowych stały się marcowe, a nawet jeszcze lutowe pozycje, zajęte przez Włochy z jednej, zachodnie zaś mocarstwa z drugiej strony, — wobec Wschodu europejskiego. Jak w swoim czasie referowałem, Italia rozczarowana niepewną i niewdzięczną postawą Franca w Hiszpanii, który się nie kwapił przeciwko mocarstwom zachodnim, poszukała sobie namiastki w Rosji. Rosja bowiem za po-

średnictwem Turcji może, jeżeli zechce, bardzo poważnie zagrozić mocarstwom zachodnim na Bliskim Wschodzie, w Iraku, w Syrii i w ogóle w rejonie Kanału Suezkiego. Italia zmanifestowała swoją wznowioną skłonność do współdziałania z Rosją, zawierając z nią układ handlowy. Ponieważ jednak Niemcy wówczas ponownie zwrócili się przeciwko Wschodowi tj. Polsce i Rosji drogą na Ruś Zakarpacką, chodziło przeto Włochom o to, ażeby je stamtąd odepchnąć i równolegle z Rzymem zwrócić przeciwko Zachodowi. Ten cel wymagał współdziałania Polski z Rosją i Włochami, oraz włączenia w system także państw naddunajskich, jak Węgry i Rumunia.

Przybył więc do Warszawy naprzód minister włoski Ciano, w końcu lutego, następnie minister rumuński Gafencu w początkach marca. Jeszcze przed wizytami Polska zmanifestowała swoją dla tej koncepcji przychylność zawierając, wzorem Włoch, układ handlowy z Rosją. Zrozumiano to natychmiast w Londynie i Paryżu i wszczęto niebywały alarm w postaci tzw. „ofensywy złotych kul”. Polegała ona na obietnicach złotych gór dla Warszawy i Moskwy w kredytach i rozwoju obrotów handlowych, jako też ścisłego politycznego przymierza przeciwko mocarstwom centralnym. Ofensywa „złotych kul” zmierzała więc podobnie jak inicjatywa włoska do wskrzeszenia „bloku zachodniego” z r. 1933, lecz gdy wtedy występował on samodzielnie przeciwko „paktowi czterech”, teraz pakt czterech podzielił się na dwa wrogie obozy „osi” i ententy i każda z nich (choć przy pewnej rozbieżności włosko-niemieckiej) usiłowała nowoprojektowany blok przeciągnąć na swoją stronę.

Nawiasowo zauważmy, że jego wewnętrzna budowa dość harmonijnie składałaby się z lokalnych porozumień polsko-rumuńsko-węgierskiego, włosko-jugosłowiańskiego i ententy bałkańskiej z Turcją, ujętych w ramy zbliżenia włosko-rosyjsko-polskiego. W wersji natomiast zachodniej liczono głównie na Rosję, Polskę, Rumunię i Turcję.

Rzecz jasna, że te plany nie mogły być na rękę Niemcom, którym barykadowały *Drang nach Osten*, zwracając je wyłącznie w zachodnim kierunku największego oporu. Ponadto przyczepiły się do tych kombinacji Czechy i poczęły próbować samodzielności w sensie odrzucenia niemieckiego wpływu z Rusi Zakarpackiej oraz oparcie się o Rosję przeciwko Niemcom, — co jak doświadczenie uczy, w pewnych warunkach, mogło się zwrócić także i przeciw Polsce, względnie Małopolsce Wschodniej. Polityka czeska prowokowała więc potrosze Polskę, a doraźnie jeszcze bardziej Niemcy, które mogły się obawiać, że Czechosłowacja utkwii im nadal w boku, jako ekspozytura projektowanego bloku wschodniego w wersji włoskiej, czy zachodniej. Szczególnie ta ostatnia niebezpieczna ewentualność wydawała się Niemcom groźną; gdyby bowiem Zachód zdołał wzmocnić ekonomicz-

nie i militarnie Polskę, Rumunię i Moskwę, to Niemcy zostałyby doszczętnie unieruchomione w swej ekspansji, tak wschodniej, jak zachodniej.

Warszawa i Moskwa nie przyjęły wprawdzie ofensywy „złotych kul” bez zastrzeżeń, jednak ustosunkowały się do niej raczej przychylnie. Wynikało to dosyć wyraźnie z mowy Stalina, gdy znów mowa Becka zwracała się wyraźnie przeciwko Czechosłowacji, a na rzecz Węgier i polsko-węgierskiej granicy. W tych warunkach i wobec uporczywej oporności czeskiej, Niemcy zastosowały zapobiegawczy zabieg chirurgiczny likwidacji Czech. Ogromnym zyskiem geopolitycznym, strategicznym i wojenno-materiałowym wzmacniał on niemiecką pozycję, tak w coraz uciążliwszym wyścigu zbrojeń z Zachodem, jak wobec ewentualnego bloku wschodniego. Szczególnie Polskę, pomimo granicy z Węgrami, niemiecki protektorat nad Słowacją osaczył dosyć dotkliwie wbrew życzeniom, a zapewne i oczekiwaniom pp. ministrów: Becka i Ciano.

Rozbiór Czechosłowacji krzyżował na korzyść Niemiec plany bloku zachodniego przede wszystkim w wersji włosko-polskiej, ale przynaglał do akcji także zachodnią ofensywę „złotych kul”. Na terenie wschodu rozgorzała więc zacięta walka pomiędzy Niemcami a Zachodem, który otrzymał poparcie amerykańskie, szczególnie dla Niemiec dotkliwe w postaci 25 % „karnej” zwwyżki ceł amerykańskich na towar niemiecki. Walka była tym gorętsza, że same państwa wschodnie, tj. Polska, Rosja i Rumunia, w pierwszej chwili po rozbiórze Czechosłowacji skłaniały się raczej do postawy wyczekującej, formułując zastrzeżenia, zwłaszcza co do skuteczności ewentualnej pomocy militarnej Zachodu przeciwko Niemcom. Niemcy nie ustawały w ofensywie i zdobyły doraźnie pozycję rumuńską, szachując od tej strony zachodnią ofensywę „złotych kul” układem gospodarczym, wprawdzie tylko ramowym, lecz zakreślonym szeroko, tak, iż w zasadzie przechylał szalę rumuńską na korzyść mittel-europejskiego współdziałania z Niemcami. Skłoniła do tego Rumunię obawa, ażeby Niemcy nie zaszachowali jej Węgrami w Siedmiogrodzie.

Kontratakował z ramienia Zachodu angielski min. handlu zagran., wyruszając w awangardzie do Warszawy i Moskwy z łądunkiem obietnic, dotyczących „złotych kul”. Równocześnie przeciwdzierzenie niemieckie poszło na Kłajpedę 21 marca, w tydzień po aneksji Czech. Nosiło ono charakter wybitnie, choć pośrednio antypolski, podobnie jak okupacja Słowacji. Otwierało przy tym perspektywę dalszego nacisku na Litwę i ewentualnie podobnego dla niej jak dla Słowacji losu. A taki los na północy rozwijałby dookoła Polski niemiecki pierścień obłężniczy w sposób nadzwyczaj dla nas niepokojący. Liczyli zapewne Niemcy, że nas tym zastraszą dostatecznie, by zniweczyć akcję Hudsona w Warszawie. Znacznie później doszło do wiadomości

publicznej, że dla wypróbowania tego efektu Berlin zażądał od nas paru drobnych „upominków” dla *Führer’a* na urodziny: Gdańska, Bogumina i autostrady eksterytorialnej przez Pomorze.

Odpowiedź polska nastąpiła spontanicznie. W sposób wewnętrzny kraju dla opinii widoczny wyraziła się w ożywionej akcji manifestacyjnej i finansowo-pożyczkowej na rzecz obrony kraju. Według zaś późniejszych informacji prasy zagranicznej wyraziła się również w natychmiastowej, częściowej mobilizacji, oraz woj-skowej osłonie Gdańska, dokąd też Hitler, wracając z Kłajpedy nie mógł „po drodze wstąpić”.

To był pierwszy z naszej strony, żywiołowy odruch samo-obrony, wszczęty w samym punkcie wyjścia bezpośredniej przeciwno nam akcji niemieckiej. „Upominki”, o które się „przymawiali” min. v. Ribbentrop u ambasadora Lipskiego w Berlinie i ambasador Moltke u min. Becka w Warszawie, nie miały wprowadzić dla Polski tak decydującej wartości rzeczowej, by o ich ustępstwie za żadną cenę być nie mogło. Gdyby np. obszar wolnego miasta Gdańska został podzielony między Polskę a Niemcy tak, ażeby samo miasto przypadło Niemcom, z zastrzeżeniem demilitaryzacji, oraz praw polskiej ludności i polskiego handlu, to tego rodzaju transakcja byłaby może nawet obustronnie korzystna. Poprawilibyśmy strategiczną figurę Pomorza, a w Gdańsku obecny stan faktyczny niewiele by się zmienił na skutek *anschluss’owej* formalności.

To wprowadzić nie wyczerpuje dla nas problemu Gdańska, do którego należy również np. znajdująca się tam stocznia okrętowa. Na ogół jednak, jeśli nie na ograniczonej przez Niemców płaszczyźnie, to na szerszej, dopuszczającej rozleglejszą skalę kompensat, — układy prowadzić by można.

Niemcy wszakże nie proponowali żadnych transakcji, lecz tylko jednostronny „polityczny upominek” i to pod presją zagrożenia nas od strony Słowaczyny i Litwy, a w rozwinięciu dyplomatycznego pojedynku między nimi i Zachodem o przewagę wpływu nad Polską. W tych warunkach gdybyśmy ustąpili w małym, to w najbliższej przyszłości znaleźlibyśmy się pod presją niemiecką w sprawach znacznie donioślejszych: „zesłowaczenia” Litwy przez Niemcy, oraz presją mniejszościową w Polsce.

Ta ostatnia sprawa jest dla nas bardzo przykra moralnie, ponieważ Niemcy negują polską narodowość swoich: Kaszubów, Mazurów i Ślązaków, wynaradawiają ich, a „tytuł i prawa” polskiej mniejszości przyznają tylko 100 czy 200 tysięcy inteligentniejszej polskiej ludności miejskiej. Co gorsza jednak, sprawa mniejszościowa na terenie państw ościennych służy Niemcom jako bardzo skuteczne narzędzie rozsadzenia ich i ubezwładnienia od wewnątrz, jak to się stało z Czechami. Wobec Polski Niemcy niezawodnie naprzód wystąpiliby „w obronie” mniejszości niemieckiej, żądając dla niej przywileju jednolitej organizacji

hitlerowskiej. Po utworzeniu zaś tego hitlerowskiego „państwa w państwie” polskim zapewne nie upominaliby się na razie o Rusinów i autonomię Małopolski Wschodniej, skoro wpuszcili Węgrów na Ruś Zakarpacką. Ale za to z pewnością zajęliby się „wyzwoleniem” Litwinów i Białorusinów wileńskich spod polskiego „ucisku” za pomocą autonomii wileńskiego „korytarza”. To też autonomiczny korytarz nadawałby się bardzo do unii z opanowaną przez Niemców Litwą kowieńską i otwierałby Niemcom dostęp do Rosji od północy, nie gorzej niżli autonomia Małopolski od południa.

Tak więc na skutek starcia pomiędzy zachodnią ofensywą „złotych kul”, a sprowokowanym przez nią „pokojowym” rozbiorem czy zaborem Czechosłowacji przez Niemcy, popadła Polska w zawrotny wir przeciwstawnych dążeń, któremu bezpośrednio musiała i mogła oprzeć się tylko własną swoją siłą. Mogłoby do tej konieczności nie dojść jedynie w tym wypadku gdyby siła i wola Polski były dostateczne dla uprzedzenia takiego rozwoju wypadków, gdyby miała lepsze niż w rzeczywistości wyniki swego wyścigu zbrojeń z Niemcami, a przeto była zdolną odrzucić ofensywę „złotych kul”, tym samym nie prowokować jednostronnej akcji niemieckiej wobec Czechosłowacji, natomiast zorganizować przy poparciu Włoch, a może i aprobachie Moskwy bardziej zrównoważoną likwidację monstrualnej „ślepej kieszki” czesko-słowackiego korytarza na południe od Karpat. Chodziłoby tu głównie o przyłączenie Słowaczyny nie do Niemiec lecz do Węgier, a więc o rekonstrukcję granicy polsko-węgierskiej w jej całkowitej historycznej rozciągłości, czego i Włochy życzyły sobie gorąco.

Akcja taka dawałaby się pomyśleć tylko w ramach włosko-polsko-rosyjskiej wersji bloku wschodniego, zwracającego ekspansję nie tylko Włoch, lecz i Niemiec wyłącznie na zachód, zwłaszcza przeciw Anglii. Skoro jednak tak się nie stało i nastąpiło na wschodzie nowe „krótkie spięcie” pomiędzy prądem zachodniej ofensywy „złotych kul”, a zaborem prawie całej Czechosłowacji przez Niemcy, to dalsze wypadki mogły się już rozwijać z nieubłaganą konsekwencją tylko tak jak się w rzeczywistości rozwinęły.

Chronologiczne i rzeczowo pierwsze pośród nich miejsce zajął bezpośredni, samoistny odpór polski. Jednak daleko posunięta na korzyść Niemiec jednostronność rozbioru Czechosłowacji, dopełniona zaborem Kłajpedy, z bliska już wymierzonym przeciwko Polsce i Rosji, krzyżowała koncepcję włosko-polsko-rosyjskiego bloku wschodniego i angażowała Niemcy coraz silniej w kierunku wschodnim, wbrew dążeniom Italii. Stąd chronologicznie i rzeczowo drugie miejsce w rozwoju wypadków zajęła reakcja włoska.

Przybrała ona postać ugodowych w stosunku do Francji przemówień króla Wiktora i Mussoliniego, ogłoszonych bezpo-

średnio po zaborze Kłajpedy. Perspektywa, którą one otwierały była interesująca i rozległa. Ich „szyfr dyplomatyczny“ można wyłożyć jak następuje: Italia na serio i na stałe wycofuje się z Hiszpanii; z tej strony więc upada „barykada“ między nią a Francją. Italia redukuje swoje bezpośrednie żądania wobec Francji do nieterytorialnych ustępstw w Tunisie, Suezie i Abisynii (Dżibutti). Italia pragnie otrzymać pomoc finansową dla zagospodarowania Abisynii. Wreszcie Italia żąda od Francji wolnej ręki na Adriatyku, czyli na Bałkanie, a nawet w ogóle na Bliskim Wschodzie.

Ten ostatni punkt był najbardziej dalekonośny i najtrudniejszy do przyjęcia dla Francji, chociaż najmniej bezpośredni i aktualny. Mussolini zaledwie dostrzegalnie go dotknął, na pozór nie wiele mówiąc wzmianką o włoskiej przyjaźni dla Jugosławii, przewadze na Morzu Adriatyckim. Tajemnicza treść tej wzmianki zarysowała się wyraźniej dopiero po włoskim zamachu na Albanię. Gdyby ten plan mógł się rozwinąć we współdziałaniu Włoch z Francją, to wymagałby francuskiej rezygnacji z wpływu na Bałkanie na rzecz Włoch; w dalszych zaś konsekwencjach na Bliskim Wschodzie mógłby skierować się wprawdzie głównie przeciwko Anglii, oszczędzając Francję, lecz i tak zapewne w końcu doprowadziłby Francję do likwidacji całej wschodniej części jej kolonialnego imperium, gwarantując tylko część zachodnią, może z dodatkiem kompensat kosztem angielskim. W każdym razie te dalsze perspektywy ugody proponowanej Francji przez Włochy, zmuszały do rozerwania jej ententy z Anglią. O ile by zaś ugoda włosko-francuska ograniczyła się tylko do Tunisu, Suezu i Dżibutti, to byłaby wprawdzie raczej prowizoryczna, lecz mogłaby mieć wielką doniosłość taktyczną w stosunku do Niemiec. Nawiasowo dodajmy, że jakby dla podkreślenia tendencji mów króla i Mussoliniego, jeden z korpusów alpejskich wojsk włoskich przesunięty został bliżej granicy niemieckiej Austrii, z Werony do Trydentu.

Taktyczna doniosłość włoskiej propozycji ugodowej wobec Francji polegała na tym, że Niemcy znalazły się pod presją aż trzech okoliczności gwałtownie naglących je do wojny, o ile bez wojny osiągnąć już nie zdołają nowych poważnych sukcesów, zdolnych im zapewnić egzystencję i proporcjonalny z Zachodem przyrost potęgi na najbliższe lata. Pierwszą z tych okoliczności już wymienilem, mianowicie ofensywę „złotych kul“, grożącą wzmocnieniem Wschodu. Druga okoliczność — to ogromne, do-razne wzmocnienie militarne na skutek wchłonięcia wszystkich materiałowych zasobów armii czeskiej, co Niemcom dawało awans w coraz trudniejszym dla nich wyścigu zbrojeniowym z Zachodem. Trzeci zaś wreszcie moment, może najbardziej naglący, choć czysto negatywny, polegał na tym, że Niemcy już rozpoczęli finansowanie swoich zbrojeń przy pomocy inflacji. A to jest me-

toda, która na długo wytrzymać nie może i prowadzi wprost do katastrofy gospodarczej, w ślad za którą musiałby pójść również bezwład militarny. Bezpośrednio po zaborze Czech Niemcy stały u szczytu swojej wojskowej przewagi nad przeciwnikami, która za kilka miesięcy może już być powetowana i nadrobiona przez wyteżone zbrojenia bogatych mocarstw zachodnich. „Teraz zatem albo nigdy” stać się musiało hasłem wojennej polityki Niemiec.

Płynęło stąd niebezpieczeństwo szczególnie wielkie dla Polski ponieważ stanowi ona główną barykadę na drodze *Drang nach Osten*, jest militarnie i finansowo znacznie słabszą od Zachodu, a nie osłaniana bezpośrednio przez Włochy jak Jugosławia i Węgry. Przy tym Polska może wprowadzić oprzeć się na Rosji, ale tylko biernie, bez pomocy czynnej czerwonych wojsk. Stanowi więc Polska dla Niemiec kierunek najmniejszego oporu i największej, jako dostęp do Rosji, przynęty.

Zważywszy powyższe okoliczności można przypuszczać, że wojna polsko-niemiecka już by była wybuchła, choćby z powodu „upominków”, gdyby nie komplikacje jakie dla Niemiec wytworzyła ofensywa złotych kul organizująca do obrony przeciwko Niemcom kooperację mocarstw zachodnich, Polskę, Moskwę, Rumunię, z drugiej zaś — postawa Włoch. Gdyby doszło do współdziałania między nimi a ententą, choćby nawet czasowego tylko i taktycznego, to inicjatywa wojenna Niemiec zostałaby natychmiast osadzona na miejscu. Niemcy utraciliby swobodę wypowiedzenia wojny Polsce, gdyż rozpoczęłyby wtedy wojnę samoistną, bez Włoch, a przy prawdopodobieństwie nawet czynnej z ich strony „zdrady”, jak to już raz miało miejsce w latach 1914—15.

To też przez kilka dni po mowach króla i dyktatora Italii Niemcy znajdowały się w fatalnym położeniu. Z jednej strony natrafiły na bezpośredni odpór Polski, który wyszedł na przeciw ofensywie złotych kul, wywarł na Zachodzie doskonałe wrażenie i rokował poważne zacieśnienie przeciwniemieckiej solidarności obronnej Zachodu z Polską. Z drugiej zaś strony nowa postawa Włoch wobec Zachodu mogła zamknąć łańcuch osaczający Niemcy literalnie ze wszystkich stron.

Gorączkowo przeto rzuciła się dyplomacja niemiecka do ratowania sytuacji przede wszystkim od strony Hiszpanii. Już poprzednio udało się jej namówić Franca na przystąpienie do paktu przeciwkomunistycznego obok mocarstw osi, Japonii i Węgier. Teraz spróbowano zorganizować dla Franca hiszpańską imprezę zdobyczą na Tanger i Gibraltar, oraz przyciągnąć do niej na powrót Włochy. Widoki na Gibraltar były nikłe i nosiły charakter *bluffu*; ale Tanger mógł Franco istotnie zdobyć 60 tysiącami wojska, które zgromadził w hiszpańskim Marokku. Wreszcie dla szczytu demonstracji *gros* floty niemieckiej ruszyło z Bałtyku pod Gibraltar na „manewry”, mając od Franca zapewnione użytkowanie

portów południowo-hiszpańskich, gdy równocześnie Włosi wyładowali nowe zmotoryzowane dywizje, oddziały specjalistów i baterie ciężkiej artylerii pod Gibraltarem. W odpowiedzi strona przeciwna zgromadziła w porcie Gibraltaru *gros* floty francuskiej, gdy flota angielska zajęła pozycję na Malcie, zaciągając straż nad Grecją i śródziemnomorskim wschodem. Zdawało się, że lada dzień ogromne działa pancerników osi i ententy zażrzmia salwami przeciwko sobie.

Był to kulminacyjny punkt wojennego niebezpieczeństwa na południu, ale ustąpił on już po Wielkiej Nocy, gdy Włochy zajęły Albanię. O tym wtórnym, południowym naprężeniu zadecydowało północne, jeszcze krytyczniejsze, a wcześniejsze, przedwielkanocne. Otworzył je francuski premier p. Daladier. Ten socjal-radykalny mąż stanu, godzien pomnika w Berlinie obok swoich poprzedników, ewakuatorów Nadrenii, najwidoczniej postanowił pobić ich ligowe rekordy niebotycznym jak Mont Blanc wyczynem. W tym celu palnął sobie w parę dni po Mussolinim, mówkę pod jego adresem pełną zadzierzystej „godności”, według przysłowia „nie przystępuj bez kija”. Francja nic nikomu nigdzie nie da, a jeśli ktoś coś u niej chce wymienić niech się zgłosi z dokładnie sformułowaną supliką, to się ją w Paryżu rozpatrzy. Taki był mniej więcej sens tego przemówienia.

Świat się zdumiał, Rzym się wściekł. Mussolini publicznie cztery razy zaklął, a Berlin byłby szalał z radości, gdyby ostrożność i *Führer* pozwoliły. Kamień z serca zdjął im ten poczcwiiec, gwarantując, że już nie będzie kombinacji Stressy z blokiem wschodnim, spiętych włosko-francuską klamrą w jednolity pierścień obłężniczy dookoła Niemiec. Natychmiast więc pełnym gazem zajechał w Warszawie na ulicę Wierzbową p. ambasador Moltke i do p. ministra Becka w sprawie „upominków” musiał powiedzieć coś takiego, że nazajutrz po tej rozmowie premier Chamberlain w izbie gmin zareagował w imieniu Wielkiej Brytanii i Francji tymczasową jednostronną deklaracją sojuszniczej pomocy dla Polski, gdyby została zaatakowana w sposób wymagający z jej strony zbrojnego odporu.

Ogłoszenie takiej deklaracji na dwa dni przed przybyciem polskiego ministra do Londynu i zawarciem formalnego przymierza da się wytłumaczyć jedynie nagłą w tym kierunku potrzebą. Powstała ona zapewne na skutek ujawnionej ze strony Niemiec chęci stworzenia przeciwko Polsce jakichś faktów dokonanych, właśnie przed przybyciem p. min. Becka do Londynu. Pod osłoną tej deklaracji mógł p. Beck spokojnie już wyruszyć w swoją londyńską podróż i to nawet drogą na Berlin. Równocześnie wicepremier Kwiatkowski wprowadził pożyczkę P.O.P. osobnym przemówieniem, w którym się zastrzegł przeciwko „symbiozie gospodarczej” z jakimkolwiek wielkim sąsiadem, jako niebezpiecznej dla

niepodległości. W kraju zaś szerzyła się ofiarność na obrońcę narodową.

To był pierwszy punkt kulminacyjny wojennego niebezpieczeństwa, które złowrogo zabłysnęło na pograniczu niemiecko-polskim. W związku z nim doszło do skutku przymierze angielsko-polskie. Fakt istotnie niebywały, świadczący o zasadniczym przejeżdżaniu polityki angielskiej, która nigdy dotąd po wielkiej wojnie nie chciała towarzyszyć Francji w jej sojuszach ze Wschodem Europy. Jest to reakcja w systemie europejskiej równowagi przeciw jej naruszeniu przez niemiecki zabór Czechosłowacji.

Przymierze angielsko-polskie zniszczyło włoski projekt bloku wschodniego podtrzymujący równowagę z Niemcami, lecz zwracający je ofensywnie na zachód. Zastąpiła ten projekt konstelacja dośrodkowa, osaczająca Niemcy z zachodu i wschodu, do której próbowały się przyłączyć Włochy. Zostały jednak przez p. Daladier fatalnie odpędzone, a tym samym wpędzone z powrotem do centralnej osi rzymsko-berlińskiej.

Być może, iż p. Daladier postąpił tak nie bez pewnej głębszej myśli zachowawczej oraz taktycznej. Za przyjętą przezeń postawą przemawiał wzgląd zasadniczy, nietykalności zachodnich imperiów kolonialnych i to nie tylko doraźnej, lecz i na dalszą metę. Dlatego Daladier odrzucił porozumienie z Włochami, pomimo że na razie nie byłoby ono zbyt kosztowne, a taktycznie wobec Niemiec bardzo cenne. Odrzucił włoską ofertę, być może również dlatego, ażeby Polskę wycofać z linii włoskiej, zmusić ją do przejścia na drugą stronę barykady i z nią związać, wytwarzając antagonizm dążeń między nami a Rzymem.

Jeśli takie były zamiary p. Daladier to przyznać trzeba, że mu się na razie powiodły, aczkolwiek za cenę bezpośredniego niebezpieczeństwa wojny. Polska została wpędzona do obozu bezwzględnej obrony nie tylko terytorialnego *status quo* w Europie lecz także nietykalności kolonialnych imperiów, oraz bezwzględnej blokady niemiecko-włoskich konieczności ekspansyjnych.

Koncepcja nowej równowagi opartej na ścisłym sojuszu Polski z obu mocarstwami zachodniej ententy miała dwojakie oblicze, pokojowe i wojenne. W obu tych wersjach obejmowała na wschodzie oprócz Polski, jeszcze Rumunię, Moskwę i Turcję. W swej wersji pokojowej opierała się na ofensywie złotych kul, która miała gospodarczo zapłodnić i podnieść potęgę wschodnich sojuszników z Polską i jej Copem w pierwszym rzędzie. Realizacja tej strony planu mogła jednak wejść w życie z natury rzeczy tylko wówczas, gdyby nowa konstelacja okazała się dość silną ażeby na przeciwnikach wymusić pokój. Ponieważ to na razie nie mogło być uważane za pewne, przeto „złote kule” nosiły charakter raczej widokowy niż konkretny. Zarazem wymierzone były przeciw Niemcom jako współzawodnictwo wobec ich gospodarczej ekspansji na wschód.

Realniej zarysowywała się wersja wojenna planu. Tutaj p. min. Beck w Londynie wyraźnie rozgraniczył dwie kondygnacje pierwszorzędną i drugorzędną. Pierwsza obejmowała ententę, Polskę i Rumunię, druga kondygnacja, odrębna od pierwszej choć z nią skoordynowana, dotyczyła Rosji i Turcji. P. minister przeprowadził tak ściśle to rozróżnienie ponieważ nie życzy sobie bezpośredniego przeciwniemieckiego „towarzystwa broni” pomiędzy armią czerwoną a polską na polskim terytorium. Stąd jednak nie wynika, ażeby bierne współdziałanie Moskwy i Turcji z ententą nie miało mieć doniosłego znaczenia dla bezpośredniego odporu kondygnacji pierwszorzędnej a zwłaszcza jej polskiego członka przeciwko Niemcom. Tutaj bowiem przemożny głos mają geopolityka i strategia. Materiał wojenny z zachodu mógłby być dostarczany Polsce wojującej z Niemcami głównie przez Bałtyk i Morze Czarne, częściowo zapewne również drogą lądową przez Bałkan, zwłaszcza Saloniki. Bałtyk może być łatwo przez Niemcy zamknięty, jeśli opanują wyspy i cieśniny duńskie, na co mają dobre widoki. Na Morze Czarne zaś albo Bałkan i dalej ku północy materiał wojenny mógłby być przewożony pod warunkiem uprzedniego zneutralizowania szeregu przeszkód. Pierwszą z nich może stanowić wojna morska ententy z Włochami, drugą postawa Turcji i przepływ przez Dardanele. Trzecią stan rzeczy w Rumunii, jej własne zapotrzebowanie na materiał wojenny, oraz niewystarczające połączenie kolejowe, jakie Rumunię z Polską łączy. Czwarty czynnik który by tutaj wchodził w rachubę to postawa i warunki jakie by panowały na linii tranzytu z Salonik do Polski poza Rumunią, a więc w Bułgarii, Jugosławii i na Węgrzech. Najdogodniejszą i najważniejszą byłaby droga na Dardanele, Odesę i koleje rosyjskie, zależna od życzliwej postawy Moskwy. Właśnie cały ten kompleks zagadnień, a zwłaszcza stosunki ententy do Rumunii, Turcji i Rosji stały się przedmiotem wyłącznej walki dyplomatycznej pomiędzy ententą a osią rzymsko-berlińską po dojściu do skutku prowizorycznego układu sojuszniczego Wielkiej Brytanii z Polską. Toczyła się ta walka na dwóch frontach: bezpośredniego współzawodnictwa w Bukareszcie, Angorze, Moskwie, oraz działań wojskowo-politycznych na Morzu Śródziemnym i na Bałkanie. W Wielki Piątek wojska włoskie wylądowały w portach Albanii. Po czterokrotnej połażance ustnej była to czynna odpowiedź Mussoliniego pod adresem p. Daladier. Oficjalnie uzasadniono włoską okupację Albanii koniecznością ufortyfikowania jej portów, zwłaszcza Walonny, gwoili skuteczniejszej włoskiej kontroli nad cieśniną Otranto, która stanowi południowy wylot z Adriatyku na Morze Śródziemne. Jakoż istotnie przybyło wkrótce do Walonny 250 sztuk ciężkiej artylerii fortecznej z niemieckich zakładów Kruppa.

Zamknięcie Adriatyku ma swoje strategiczne i polityczne znaczenie ponieważ przeszkadza interwencji wrogich flot, które mogłyby skrzępować włoską swobodę ruchów wobec Bałkanu. Zamknięcie

Adriatyku zapewnia zatem Włochom dowolną możliwość blokady Jugosławii, jako środka nacisku na ten kraj i jego politykę. Lecz ponadto i co może najważniejsze Albania jest również bardzo cenną lądową pozycją gospodarczą, której mocne militarne opanowanie zapewniłoby Italii przemożny wpływ na kierunek polityki państw bałkańskiej ententy.

Owa ententa w składzie Turcji, Grecji, Jugosławii i Rumunii pretendowała dotąd do samodzielności swoich politycznych celów, formując otaczający obronny front wobec poszkodowanej przez ostatnie wojny Bułgarii, oraz zapewniając w zasadzie wzajemną pomoc uczestników także w razie zagrożenia zewnętrznego. Zrodziła się ententa bałkańska w r. 1934 jako pogrobowiec bloku wschodniego z r. 1933, miała więc naturalną predyspozycję i możliwość harmonijnego zestroju z nowym blokiem wschodnim włosko-polsko-rosyjskim, o którym była wyżej mowa. Zmieniła się wszakże sytuacja, gdy ów projekt włoski legł w gruzy pod ciosem mowy p. Daladier oraz polsko-angielskiego przymierza.

Albania została zajęta przez Italię jako baza operacyjna jej nowej samodzielnej polityki bałkańskiej, skoordynowanej raczej z Niemcami niż z kimkolwiek innym. Dwie stąd prowadzą odrębne linie dążeń między którymi może wybierać polityka włoska. Obie one ograniczają dostęp Niemiec na Bliski Wschód tylko do „transytu”, faktycznie zależnego od dobrej woli Italii, lecz obie harmonizują w wysokim stopniu ze swobodą ruchów dla Niemiec w kierunku północno-wschodnim, co bardzo obchodzi Rumunię, Polskę i Rosję.

Pierwsza z tych linii, bardzo pokojowa, opiera się na przyjaznym współdziałaniu z Jugosławią i właśnie teraz jest wypróbowywana. Linia ta prowadzi na południe i w swej perspektywie otwiera dostęp włoskiej ekspansji z Albanii na Grecję, przy równoległej ekspansji jugosłowiańskiej na grecką Salonikę, Bułgarii zaś na greckie również pobraże Morza Egejskiego w Dedeagacz i Kawalli. W ten sposób powstałby na Bałkanie silny miejscowy blok złożony z Bułgarii i Jugosławii dopuszczonych do morza południowego pod przewodem Italii, która by objęła najsilniejszą we wschodniej części Morza Śródziemnego pozycję strategiczną grecką. Taki obrót rzeczy mógłby wprowadzić niepokoić Turcję, lecz można by ją pozyskać propozycją wspólnej akcji przeciwko entencie a zwłaszcza Anglii, przy czym przed Turcją stałaby otworem ekspansja na Irak, Syrię, a może i dalej.

To perspektywa południowa pierwszej bałkańskiej linii operacyjnej Włoch. Uzupełnienie północne stanowi ugoda jugosłowiańsko węgierska, która by rewizjonizm węgierski skierowała na Siedmiogród i z ewentualną pomocą Niemiec, zapewniła rumuńską neutralność wobec południowej ekspansji jej południowo zachodnich sąsiadów. Ale dobrze harmonizuje cały ten plan także z blokiem polsko-rumuńsko-węgierskim, zwracającym Węgry na Sło-

wacyznę, a więc przeciw Niemcom, które by wtedy mogły bardziej być skłonne do wmieszania się od strony Jugosławii w akcję włoską.

W razie niepowodzenia tego planu posiadają Włochy jeszcze inny, rezerwowy, bardziej wojowniczy i ryzykowny. Równoznaczny on jest z wojną i rozbiorem Jugosławii. Włochy wspólnie z Bułgarią, Węgrami i zapewne sukursem niemieckim (a prawdopodobnie przeciwko sukursowi rumuńskiemu dla Jugosławii) musiałyby uderzyć na macedoński korytarz jugosłowiański wysunięty pomiędzy Albanie i Bułgarię ku greckiej Salonice i znieść go, oddając Macedonie jugosłowiańską Bułgarom i osiągając wspólną granicę bułgarsko-albańską, względnie włoską. Na północy do Węgier odeszłyby Chorwacja i Słowenia, Serbia zaś właściwa, Bośnia i Dalmacja znalazłyby się pod protektoratem włoskim. Ta wersja samorządnej polityki włoskiej na Bałkanie mogłaby być urzeczywistniona tylko za pomocą akcji wojennej włoskiej przeciwko Jugosławii, podjętej równolegle i solidarnie z Niemcami uderzającymi przez Węgry na Rumunię lub na Polskę, a więc przy wojnie powszechnej z mocarstwami osi.

Aktualnie wystąpiła na widownię oczywiście przede wszystkim wersja pierwsza. Na wieść o włoskim lądowaniu w Albanii, a nawet nieco wcześniej, awangardowa eskadra angielska zajęła pozycję pograniczną z Albanie greckiej (a strategicznie wysoko wartościowej) wyspy Korfu, siły zaś główne angielskie skoncentrowały się na Malcie, czuwając nad Grecją. Wkrótce w Londynie i Paryżu zadeklarowano solidarną jednostronną gwarancję ententy dla niepodległości Grecji i Rumunii. Była to postawa defensywy wobec włoskich poczynań w Albanii i związanych z nimi niebezpieczeństw. Ponieważ już przedtem, w Wielkim Tygodniu rozwijać się począł forsowna demonstracja hiszpańska pod Gibraltarem i Tangerem, nastąpił więc drugi, wtórny po polsko-niemieckim moment kulminacyjny wojennego niebezpieczeństwa, tym razem na Morzu Śródziemnym, między ententą i osią.

Nie wiadomo jakby się on rozwiązał, gdyby go doraźnie nie rozładowała Ameryka. Niemcy bowiem, reprezentowane przez bawiańskiego na włoskiej Riwierze Goeringa, najwidoczniej zmierzały do uwikłania Włoch w wojnę po swojej stronie. Jedynie tym sposobem mogły osiągnąć pewność, że nie będą wojowały z całym światem osamotnione przy włoskiej neutralności, oraz że po pewnym czasie nie ujrzą Włoch w szeregu swoich wrogów. Jedynie więc po uprzednim zaangażowaniu Italii uzyskiwały Niemcy swobodę akcji wojennej i to, wbrew życzeniom włoskim, raczej defensywnej wobec Zachodu a ofensywnej wobec Wschodu.

Wojna tedy po raz wtóry w ub. miesiącu zawisła literalnie na włosku. Rozładował ją Roosevelt swoim orędziem. Jego propozycje rzeczowe nie są wprawdzie do przyjęcia dla mocarstw osi, gdyż wydałyby je na łaskę i niełaskę przeciwników. Mimo to jednak torują drogę dyskusji nad kompromisem, bo taktycznie

stawiają oś rzymsko-berlińską pod groźbą, że ich całkowicie negatywna odpowiedź Rooseveltowi mogłaby wzburzyć opinię amerykańską i spowodować bezpośredni udział Stanów Zjednoczonych w wojnie przeciwko mocarstwom osi.

Z tym muszą się one liczyć, zarówno jak z niepewną lecz skłoną raczej ku entencie i Polsce postawą Turcji, Rosji i Rumunii. W razie ich ostatecznego pozyskania przez obóz zachodnio-wschodni i przy czynnym wystąpieniu amerykańskim mocarstwa centralne znalazłyby się w obliczu przemocy, która by porwy orężny dla nich obu uczyniła równie ryzykownym, jak dla Niemiec izolowanych od Italii. Dlatego to w mowach włoskich odezwały się znów akcenty pokojowe, a Hitler odłożył odpowiedź, wprowadzając „rozejm dziesięciodniowy”. W trakcie tego rozejmu zarysowały się pewne tendencje pośredniczące ze strony Rumunii i Polski podczas podróży do Londynu min. Gafencu, z którym konferował podczas jego przejazdu przez Polskę, min. Beck. Wkrótce po wyjeździe Gafencu z Londynu powrócił do Berlina angielski ambasador Henderson.

Kompromis prowizoryczny, przede wszystkim gospodarczy, wydaje się mimo wszystko możliwy. O gotowości doń Niemiec świadczy, mimo buńczucznego tonu i mimo zerwania paktu morskiego z Anglią a paktu nieagresji z Polską, ostatnia mowa kanclerza Hitlera w Reichstagu.

Warszawa 28 IV 1939.

Andrzej Prawdziec.

Ze świata filmu.

Za kulisami produkcji. — Szerzenie defetyzmu. — O polską *Hays Organisation*. — Mobilizacja filmu. — Tezy realizatorów i publicystów filmowych. — Nowe filmy krajowe. — Z zagadnień aktorstwa filmowego. — Przegląd repertuaru.

To wszystko, co w ciągu ostatniego miesiąca wypełniało życie polskiego świata filmowego, da się doskonale wysnuć ze sprawy nowego filmu krajowej produkcji pt. *Doktor Murek*. Ów *Doktor Murek* stał się dla naszego filmu symbolem, żywym przykładem, jakby klasycznym wzorem, w którym można szukać odbicia niemal wszelkich cech charakterystycznych pracy filmowej w Polsce. Scenariusz pochodzi z przeróbki powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza (czyż nie typowe?), jest dziś społecznie szkodliwy, wykazuje niezrozumienie powagi chwili i potrzeb polskiej publiczności. W scenopisie nieodzownie naiwne błędy, w kompozycji filmu — brak jednolitości, w ujęciu psychologicznym — powierzchowność, ucieczka od roli mocno postawionej i głęboko przeżytej, w wykonaniu aktorskim — albo epizodyczne świetnych artystów teatralnych albo niewybredne zgrywanie

się aktora filmowego w głównych rolach. Wreszcie i losy handlowe *Doktora Murka* postarały się o zachowanie tradycji: kłopoty z cenzurą, groźba zupełnego zakazu, wycinanie scen, przeróbki i na koniec po długich perypetiach — zezwolenie na premierę.

W dopuszczeniu do wyświetlania tego filmu widać niewątpliwą pobłażliwość Centralnego Biura Filmowego przy Min. Spraw Wewn. powołanego do wykonywania cenzury filmowej. Czy pobłażliwość ta, bardzo zresztą ryzykowna, może znaleźć usprawiedliwienie? Odpowiedzi na to niezbyt dyskretne pytanie, trzeba szukać w kulisach życia filmowego, w nieznanym ogółowi warunkach pracy w przemyśle filmowym...

Już w poprzednim zeszycie *Przeglądu Powszechnego* wskazywałem na stosowane przy produkcji metody kredytowe. Obecnie wypada powrócić szerzej do tego samego zagadnienia. Wiadomo więc, iż producent bardzo rzadko posiada odpowiednie fundusze na zrealizowanie filmu. Przygotowaną gotówkę wydaje przede wszystkim na scenariusz, scenopis, zadatkowanie atelier i laboratorium, na zaliczki dla aktorów i wstępną reklamę filmu. Ogłoszenia w tzw. pismach branżowych czyli głównie w *Filmie* i *Wiadomościach filmowych* obwieszczają o rozpoczęciu produkcji i ściągają zamówienia kin. Kino rezerwuje sobie u producenta termin wyświetlania filmu i wpłaca jednocześnie zaliczkę. Oczywiście i kino chętnie unika transakcyj gotówkowych, posługując się weksłem. W ten sposób producent w miarę nakręcania poszczególnych scen zyskuje pieniądze na budowę dekoracji, wypłacenie honorariów, weksle zaś kieruje do właściciela atelier, czyli — że firma przemysłowa, prowadząca prace laboratoryjne i posiadająca hale do zdjęć, udziela producentowi podwójnego kredytu: bezpośredniego — przez prolongowanie należności, pośredniego — przez przyjmowanie zapłaty weksłami kin. Jest to sytuacja, w której „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma”. Wprawdzie producent całkowicie „siedzi w kieszeni” u wynajmującego atelier, ale odwrotnie — losy atelier i laboratorium zależą całkowicie od wypłacalności jego klientów. Posuńmy się jeszcze krok dalej i powiedzmy: powodzenie filmu — to sukces dla wszystkich wierzycieli producenta.

Ale i odwrotnie. Nieukończenie filmu, załamanie się produkcji lub jej przerwa, konfiskata filmu — są to klęski uderzające przede wszystkim w przemysł pomocniczy i w kina. Producent traci ów minimalny, często wręcz humorystyczny (zazwyczaj pożyczony) kapitałik, z jakim przystąpił do pracy, właścicielom zaś kina giną bezpowrotnie zaliczki. Kilkakrotne zarwanie kin przez producentów może zniszczyć materialnie skromne i niezasobne w gotówkę, lecz za to najpożyteczniejsze placówki: małe kina prowincjonalne. Również i atelier nie może współpracować tylko z niewypłacalnymi producentami. Że nie idzie tu o teorię handlowych niepowodzeń, wystarczy powiedzieć, iż ostatnio

w ciągu jednego roku przepadły bezpowrotnie zaliczki na 10 filmów!

Czemuż w takim razie właściciele kin nie są ostrożniejsi, czemu udzielają zaliczek? Zdaje się, że ostatnie wydarzenia na terenie filmowym poważnie zahamowały działanie systemu zaliczkowego, powiedzmy jednak otwarcie, że póki filmem nie zainteresuje się wielki kapitał i banki, zaliczki są konieczne, jeśli chcemy w ogóle mieć filmy w języku polskim. Ale sedno rzeczy leży dopiero w tym, że produkcja filmowa jest niemal w stu procentach żydowska, kina w 70—80 procentach polskie, największe zaś atelier warszawskie i jedyne w Polsce nowoczesnie zmechanizowane laboratorium stanowią własność polskiej firmy „Falanga”. Stąd już narzucający się wniosek że 1) żydzi usadowili się w najmniej ryzykownej pozycji, 2) za błędy żydowskich producentów płaci polskie laboratorium i polskie atelier, znajdując się równocześnie 3) pod dyktando żydowskich producentów, decydujących o tematyce polskich filmów.

Stan nieznośny. Nie sposób zrozumieć, iż właściciele kin współ z „Falangą” nie zażądali w kateryczny sposób utworzenia komisji, opiniującej scenariusze i mającej prawo odrzucić temat bądź nieodpowiedni ze względu na interes społeczny czy państwowy, bądź też ryzykowny ze względów cenzuralnych. Tu znowuż spotykamy się ze zręcznym „kruczkim” ze strony producentów. Okazuje się bowiem, że komisja taka niby istnieje. Związek Producentów powziął nawet postanowienie, że zanim nowy film uzyska tzw. konwencję, czyli pozwolenie na realizację, musi uprzednio posiadać komisyjną aprobatę scenariusza. Tylko... cóż może powiedzieć o społecznych kwalifikacjach tematu w środowisku polskim pan prezes Izidor Fenigstein nie mówiący poprawnie po polsku, albo pan Anatol Sigał vel Naftule, czy p. Arnold Grünstein, czy Jasek Green, specjalizujący się w filmach żargonowych, czy nawet prowadzący firmę pod ultrapolskim szyldem „Polonia-film” p. Walerian Drut, a wszystko to jednak są członkowie nielicznego Związku Producentów.

Właściwe zadanie mogłaby spełnić jedynie komisja złożona z ludzi niezależnych od Związku Producentów, niczym nieskrepowana w wypowiedaniu swego zdania i reprezentująca odpowiedni poziom zarówno moralny jak i intelektualny w połączeniu z wyrobieniem społeczno-politycznym. Opiniowanie pomysłów niefortunnych producentów przez tychże producentów do niczego nie prowadzi i może co najwyżej przypominać dość brutalnie formułując swój moral przysłowie ludowe o dwóch Marcinach. Zresztą — ostatnie decyzje skompromitowały komisję ostatecznie: dopuszczono do realizacji obrazu wedł. powieści Zapolskiej *O czym się nie mówi*, który był ukrytym *businesssem* robionym na pozorach pornografii, dopuszczono do przeróbki dwóch powieści Mostowicza o dr Murku, mimo, iż temat obu książek zwią-

zany z epoką ostrej walki wewnętrznej i kryzysu gospodarczego nie odpowiada wymaganiom r. 1939, w którym cały naród zjednoczył się wokół armii.

Tadeusz Mostowicz pisał powieść *Dr Murek zredukowany* i dalszy jej ciąg *Drugie życie doktora Murka* w latach 1935 — 6, a więc jeszcze za życia Marszałka Piłsudskiego, w pełni *regime'u* sanacyjnego, wielmożnowładztwa starostów, szerokiego systemu protekcji, w dobie gnębiących nas trudności gospodarczych. Dzieje dr Murka, człowieka wykształconego, zdolnego i pracowitego, któremu uczciwość zamknęła drogę do kariery i który później, mimo, iż jest wartościowym pracownikiem, musi spaść na dno bezrobocia — były gryzącą satyrą na społeczeństwo, na układ stosunków marnujący najlepsze jednostki.

Dziś satyra Mostowicza straciła, na szczęście, wiele ze swej słuszności, a poza tym wiosna 1939 r. jest chyba najgorszą, najszkodliwszą porą dla wyświetlania filmu o podobnym charakterze. Wprawdzie na początku filmu podano kilka słów wstępu, zastrzegających, iż akcja dzieje się w przeszłości, ale wymowa realizmu filmowego ma taki charakter, że podczas wyświetlania nikt nie będzie pamiętać o tym zastrzeżeniu. Zwłaszcza zaś publiczność mniej wyrobiona, publiczność uczęszczająca na najtańsze miejsca, publiczność małego miasteczka. A nie daj Boże pokazać ten film chłopu! Chyba, że chcemy wpoić w niego opinię, iż miasto składa się z oszustów, wydrwigroszów, sutenerów i bandytów.

Bohater filmu, dr Murek, przechodzi dwukrotnie wstrząs wewnętrzny. Najpierw oszukany w swych najlepszych uczuciach — decyduje się rzucić drogę prawa, drugi raz — przekonawszy się, że nic nie zdoła zagłuszyć głosu sumienia, postanawia popełnić samobójstwo. Finał filmu stanowi pewną moralną rehabilitację tematu, ale tylko tej części tematu, która odnosi się do doktora Murka. Natomiast sugestia obrazu polskich stosunków pozostanie, bez względu na sposób rozstrzygnięcia wewnętrznych obrachunków dr Murka.

Nie wiem, co było przyczyną nadmiernej pobłażliwości cenzury. Przypuszczam, że wzgląd na skomplikowaną, nienormalną strukturę gospodarczą przemysłu filmowego i na niezamierzone skutki finansowe, jakie wywołuje konfiskata filmu. Można zrozumieć, że Centr. Biuro Filmowe stara się chronić zaliczki polskich kin i nie zamierza godzić w rozwój *Falangi* — z drugiej jednak strony istnieje granica ustępstw. Dopuszczenie do wyświetlania *Dr Murka*, nawet w obecnej formie, poprzerabianej przez producenta i przyciętej przez cenzurę, jest z pewnością wyrozumiałością zbyt wielką. Wolno jedynie mieć nadzieję, iż był to ostatni akt pobłażliwości.

Film bowiem *Doktor Murek* działa dziś defetystycznie, godzi w ufność obywatela do porządku społecznego, niszczy u pod-

staw ten stan psychiczny, który jest podstawą tężyzny obronnej: wiarę w siebie, wiarę w społeczeństwo, w naród.

Nie chcę wołać o konfiskatę filmu. Chcę wierzyć, że produkcja filmowa złoży dowód prawdziwego zrozumienia dla hasła ogólnej mobilizacji sił Polski i *Doktora Murka* wycofa z ekranów dobrowolnie. Nie można jedną ręką dawać na Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej i na FON, a drugą zbierać zyski z osłabiania postawy obronnej narodu.

Przykład *Doktora Murka* jest jaskrawym dowodem konieczności opiniowania scenariuszy. Centralne Biuro Filmowe Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, chroniąc interesy polskich placówek przemysłowych, ma wszelkie prawo — z najdalej idącym naciskiem — żądać powołania odpowiedniej komisji opiniującej. Praktyka zagraniczna wykazuje pożyteczną pracę amerykańskiej komisji *Wills Hays Organisation*, spełniającej swoje zadanie ku zadowoleniu wszystkich stron zainteresowanych. Zatem — stwórzmy czym prędzej polskiego Willa Hay'a!

Możemy się też chyba spodziewać, po ogłoszeniu wyniku wyborów do zarządu Związku Producentów i do Rady Naczelnej Przemysłu Filmowego w Polsce, że objęcie przez p. Stefana Dękierowskiego, współwłaściciela *Falangi*, prezesury zarówno Rady Naczelnej, jak i Związku Producentów, nie pozostanie bez wpływu na bieg sprawy.

Dorzućmy jeszcze jeden ważki argument: w żadnej ze sztuk konfiskata nie wyrządza tyle strat, ile w filmie. Konfiskata książki naraża wydawcę i autora na straty parutysięczne, konfiskata filmu rozpoczyna łańcuch załamania gospodarczych, mnożąc straty w setki tysięcy złotych. Ujemne jej skutki finansowe sięgają dalekiej prowincji, stawiają pod znakiem zapytania wypłaty dla personelu, dla robotników, podrywają produkcję. Wszystkie względy — zarówno moralne jak i materialne — niezbicie wykazują potrzebę stworzenia polskiej *Hays Organisation* we własnym interesie produkcji.

Niezależnie od tej sprawy, szczególne wymagania stawiają produkcji i tematyce filmów polskie potrzeby mobilizacyjne. Mobilizacja nie jest trudna, jeżeli jest co zmobilizować. Lecz oto pytanie — czy mamy dość materiału mobilizacyjnego w dziedzinie kina i filmu!

Nie będę wdawał się w szczegółowe uzasadnienie, że podczas wojny film nie jest tylko rozrywką i drugorzędną potrzebą. Wiemy przecież dobrze, że film należy do najpotężniejszych środków propagandowych, jest jednym z najlepszych, najczulszych instrumentów oddziaływania psychicznego na masy. W chwili działań wojennych kraj potrzebuje zarówno zdjęć z pola walki,

z życia żołnierza, jak i dramatu bohaterskiego i optymistycznej komedii, różnymi bowiem drogami wpływa się na to, co Anglicy nazywają *morale* społeczeństwa.

Punktem wyjścia mobilizacji filmu jest ilość kin w kraju. Niestety zajmujemy pod tym względem ostatnie miejsce wśród wielkich narodów Europy, a dajemy się dystansować i wielu małym. Statystyka światowa przynosi tu interesujące dane. W dniu 1 stycznia 1938 r., rynek światowy obejmował 66,253 kina dźwiękowe, rozmieszczone w sposób następujący:

Europa	37,578
St. Zjednoczone Amer. Półn.	16,228
Daleki Wschód	5,796
Ameryka Południowa	4,571
Kanada	1,224
Afryka i Bliski Wschód	856

Z krajów pozaeuropejskich czołowe miejsce zajmują: St. Zjednoczone — 16,228, Japonia — 1,574, Australia — 1,371, Brazylia — 1,250, Kanada — 1,224, Indie — 1,025, Argentyna — 1,021.

Z krajów europejskich: Sowiety — 8,000, Niemcy — 6,450, Anglia — 5,300, Włochy — 3,800, Francja — 3,750, Szwecja — 1,907, Hiszpania — 1,600, b. Czechosłowacja — 1,245, Belgia — 950, Polska — 753. Charakterystyczne jest, że dalsze kraje, mające mniej kin dźwiękowych niż Polska (obecnie ilość kin dźwięk. w Polsce doszła do 800), mają równocześnie znacznie mniej ludności, natomiast przewyższała Polskę znacznie pod względem kinofikacji o ileż mniejsza od niej Czechosłowacja, przewyższa i dziś jeszcze 8 milionowa Szwecja, a co najznamienniejsze — mała Belgia.

Drogą do powiększenia kin w Polsce jest przede wszystkim rozwój kina na prowincji, zwłaszcza na ziemiach północnych i wschodnich. Tam jednak, ze względu na małe wyrobienie kulturalne ludności, kino może zdobywać teren, wyświetlając wyłącznie filmy polskie. Film amerykański jest dla ludzi nieprzyzwyczajonych do kina, trudny i niezrozumiały, odczytywanie napisów nie tylko że nie może iść w parze z analfabetyzmem tak jeszcze rozpowszechnionym na ziemiach b. Rosji, ale wymaga nadto czytania wprawnego i pewnego stopnia ogólnego wyrobienia. Te właśnie przyczyny składają się na powodzenie filmu z dialogiem polskim i zapewniają stałe sukcesy produkcji krajowej. Niestety — ta jest za mała. Im więcej będzie polskich filmów, tym większe zainteresowanie publiczności, tym szybszy wzrost i ilość kin. Ideałem bowiem byłoby, aby kino w jakimś Opatowie czy Pińsku wyświetlało prawie wyłącznie filmy polskie i ewentualnie kilka zdubbingowanych filmów zagranicznych. Ale wówczas produkcja polska musi pokryć nie 10 procent zapotrzebowania jak obecnie, lecz 80 procent.

Krótko: wzrost ilości kin jest zależny od wzrostu produkcji dobrych polskich filmów. Zatem hasło mobilizacyjne nakazuje niezwłocznie zreformować produkcję tak, by mogła zacząć wydajnie wzrastać. Jednym z pierwszych warunków byłoby zawarcie odpowiedniej konwencji między Zw. Własc. Kin. a Zw. Producentów w sprawie systemu zaliczkowania i usunięcia niespodzianek ze strony cenzury. A to znów prowadzi do stworzenia polskiej *Komisji Hays'a*.

Komisja nie da jednak inicjatywy (choć, kto wie, czy i to nie byłoby pożądane?) w poszukiwaniu nowych tematów. Należałoby więc produkcji wskazać drogę tematyczną i zwrócić film krajowy ze szlaku *Trędowatych i Michorowskich*. Głównie temu właśnie trudnemu zagadnieniu tematyki filmowej poświęcone było zebranie zorganizowane przez Realizatorów i Techników Filmowych, gdzie licznie był reprezentowany zaproszony przez S.R. i T.F. — Związek Dziennikarzy i Publicystów Filmowych. W dyskusji podkreślono ciężkie warunki pracy w filmie polskim — brak zdrowych podstaw gospodarczych, nieunormowany system pracy, przeciążenie istniejących atelier, gorączkowy pośpiech wywołany szczupłością środków finansowych. Są to jednak okoliczności wpływające na poziom wykonania filmów, ale tylko częściowo przesądzające o wyborze tematu. Podczas gdy jednak dawniej tytuły filmów brzmiały: *Mogiła Nieznanego Żołnierza, Na Sybir, Młody las, Dziesięciu z Pawiała, Huragan, Pan Tadeusz, Róża, Ziemia obiecana*, gdy przerabiano na film arcydzieła literatury, lub już co najmniej wybitne dzieła powieściowe, dziś film goni za tematem odcinka powieściowego w bulwarowym dzienniku. W wyniku zebrania wysunięto następujące tezy:

1) Aktualne warunki polskiej produkcji filmowej nie dają możliwości realizowania filmów, odpowiadających ambicjom polskich twórców filmowych i wymaganiom publiczności.

2) Jest rzeczą konieczną prowadzenie walki o podniesienie poziomu artystycznego produkcji. Zebrani postanawiają współpracować ściśle z organizacjami odpowiedniej akcji na terenie przemysłu i prasy.

3) Koniecznym warunkiem podniesienia poziomu artystycznego polskiej produkcji filmowej jest przywrócenie twórcom swobody artystycznego wypowiedzania się.

4) Nakazem chwili obecnej jest zmiana tematyki filmowej, wyrwanie filmu z zakłamanego kręgu sprzecznych z rzeczywistością polską konwencji i szukanie tematów o wyraźnym obliczu ideologicznym. Film polski spełnić winien twórczą rolę w organizowaniu siły obronnej państwa na odcinku kultury, a tym samym przyczynić się do pozytywnego kształtowania nowej rzeczywistości polskiej oraz wzrostu poczucia jedności narodowej.

Jak w świetle tych tez, uchwalonych przez konferencję realizatorów filmowych i prasy filmowej wygląda *Doktór Murek*?

Droga koniecznej, jak najszybszej naprawy obecnego stanu rzeczy, wiedzie przez a) wprowadzenie do produkcji niezależnych, silnych polskich kapitałów, b) stworzenie wspomnianej już niezależnej komisji opiniodawczej, c) uniezależnienie i rozwój krytyki filmowej, d) stworzenie Instytutu Studiów Filmowych, jako ośrodka badań nad artystycznymi zagadnieniami filmu w Polsce, pracującego równolegle z działalnością Rady Naczelnej Przem. Film. w zakresie gospodarczym, e) ustanowienie nagród filmowych dla produkcji, reżyserii, gry aktorskiej, prac technicznych, publicystyki filmowej, f) stworzenie szkolnictwa filmowego, g) szeroką propagandę filmu wśród publiczności.

Przede wszystkim zaś film krajowej produkcji musi odzyskać zaufanie cenzury, krytyki, publiczności. I oto znów nawracamy do dwóch spraw fundamentalnych: komisja „polskiego Haysa” i niezależność krytyki. Tylko tą metodą zdoła się usunąć z filmu niewłaściwą tematykę.

Część zanotowanych tu postulatów jest już w stadium realizacji. Jeśli idzie o polski kapitał, powstała wielka firma polska „Kohorta” (sen. T. Katelbach i inż. S. Katelbach), której plany obejmują budowę nowoczesnego laboratorium i atelier, produkcję i eksploatację filmów polskich oraz szeroko postawioną eksploatację filmów zagranicznych. Obecnie „Kohorta” przygotowuje film o św. Andrzeju Boboli, dla którego scenariusz pisze Adam Grzymała-Siedlecki. W dalszych projektach przewidywane jest zrealizowanie filmu o Chopinie, mówi się również o filmie sensacyjnym obrazującym działalność policji polskiej na Kresach Wschodnich, o filmach o tematach wojskowych, o przeróbce filmowej *Lalki* Prusa, a nawet o *Grunwaldzie*.

O komisję opiniodawczą prowadzi obecnie walkę prasa filmowa, na jesień przygotowywana jest szeroka akcja propagandowa na rzecz krytyki filmowej. Związek Dziennikarzy i Publicystów Filmowych zapowiada ustanowienie jeszcze w końcu bież. sezonu dwóch nagród: filmowej i publicystycznej. Zagadnienie Instytutu Studiów Filmowych i zorganizowanie szkolnictwa od kilku miesięcy jest przedmiotem intensywnej pracy komisji obradującej w Radzie Naczelnej Przemysłu Filmowego. Komisji przewodniczy dyrektor biura rady — Józef Handt, sekretarzem jest Jerzy B. Toeplitz, jako członkowie zasiadają: Zdzisław Broncel, Eugeniusz Bunda, M. Emmer, J. Lejtes, L. Lisiecki, M. Krawicz, S. Ostrzycki, Andrzej Ruszkowski, S. Tross, A. Wywerko, S. Zahorska. Prawdopodobnie jeszcze w bież. sezonie filmowym Komisja zakończy swe wstępne prace, przygotowując obszerny memoriał i materiały dla władz i organizacji filmowych w sprawie powołania Instytutu Studiów Filmowych.

*

Podobnie jak handlowe kulisy *Doktora Murka*, i strona artystyczna filmu może być odzwierciedleniem typowych właściwości naszych obrazów krajowych.

Jak już wspomniałem, scenariusz filmu połączył dwie powieści T. Dołęgi-Mostowicza: *Doktor Murek zredukowany* i *Drugie życie doktora Murka*. Otóż o ile tom pierwszy ma charakter powieści społecznej, przedstawiając najpierw walkę człowieka uczciwego ze skorumpowanym otoczeniem, a następnie beznadziejne wysiłki uzyskania pracy, tom drugi rezygnuje z satyry, zamienia się w powieść sensacyjną opartą na mocno naciąganych pomysłach udawania przez Murka jasnowidza. Naiwnie również wygląda finansista, który tak bez zastrzeżeń ufa dziwacznym talentom Murka, iż nie tylko wchodzi z nim w spółkę, lecz oddaje mu swą córkę za żonę. Dr Murek, poprzez zbrodnie, kradzieże, oszustwa, doprowadzenie dawnych współkamratów do zguby, współzawodnika — do obłąkania, toruje sobie drogę do kariery i majątku. Na koniec pozbywa się kochanki Arlety, wydając ją w ręce handlarzy żywym towarem — zdaje się, że wszelki już ślad przeszłości został zatarty, gdy odzywa się głos sumienia. Wśród powodzeń — dr Murek postanawia uciec od obecnego życia, wrócić do dawnego. Ale to stało się niemożliwe — jedyne wyjście widzi bohater powieści Mostowicza w samobójstwie.

Film usunął wiele drastycznych momentów, złagodził zbrodnie Murka, bądź co bądź jednak tak różny typ dwóch książek nie mógł dać obrazu o jednolitym wyrazie. Otrzymaliśmy mieszaninę, w której akcenty społeczne przeplatają się z naiwną akcją sensacyjną. Próba wprowadzenia jakiejś tendencji moralizatorskiej obciąża treść sensacyjną, sensacja zaś nie pozwala treści rozwinąć się w głąb. W rezultacie film, znów jak tyle innych, jest zlepkiem kłócących się z sobą motywów, nie posiada wyraźnego kośca akcji, wyraźnej dynamiki — rozplywa się w streszczaniu wydarzeń, w porządkowym wyliczaniu wypadków powieści.

Co gorsza — ujęcie roli czołowego bohatera przez Brodniewicza, całkowicie zwichnęło linię psychologiczną filmu. Obraz rozpoczyna się od krótkiej spikerki à la Sacha Guitry. „Głos ekranu” mówi, że doktor Murek składał się z binokli, biurowych „rękawków” i... serca. Przy pierwszych słowach ukazują się na ekranie wymienione przedmioty, przy słowie „serce” — widzimy już samego dra Murka. Ale widzimy w sytuacji nic nie mającej wspólnego z „sercem”, dr Murek odmawia przyjęcia niekorzystnej dla firmy propozycji. Oto drobny, początkowy „wstępny” nonsens.

Pomysł spikerki chybiony jest w założeniu i dowodzi niezrozumienia estetycznego waloru „głosu ekranu”. Spikerka bowiem albo ma służyć celom wyłącznie i ściśle informacyjno-rzeczowym, co w danym wypadku jest zbędne, albo — jak to podnosiłem w dyskusji na ten temat w tygodniku *Kronika* — ma być skrótem słownym akcji, zastępującym szablonowy skrót wizualny, albo wreszcie — jak to w polemice ze mną zaznaczył J. Ulatowski — wyrażać i narzucać pewien stosunek widza do postaci

i akcji filmu. Druga możliwość nie ma tu zastosowania, natomiast najfatalniej zastosowano trzecią. Mówiąc bowiem, że dr Murek składał się z binokli, rękawków itd. oraz z serca — wytworzono w widzu przeświadczenie, że dr Murek jest typem tzw. „szarego człowieka”, że należy na niego patrzeć z pobłażliwą litością, słowem — że jest czymś w rodzaju pocziwego fajtlapy. Brodniewicz w pierwszej części filmu tak właśnie poprowadził rolę.

Tymczasem dr Murek ma być w swym mieście osobistością niemal że wybitną, w każdym razie człowiekiem ogólnie znanym i szanowanym. Po usunięciu go z biura nie może uzyskać pracy nie dlatego, iżby nie był wykwalifikowanym, pożądanym pracownikiem, ale ponieważ łapownicy, którym przeszkadzał, rzucili na niego oszczerstwo. I tylko na tle tych okoliczności zrozumiałe jest późniejsze załamanie się dra Murka, przerzucenie z jednej ostateczności w drugą, z kryształowej uczciwości w bezwzględny cynizm i bandytyzm. Trzciny się gną, dąb się łamie. Człowiek miękki poszedłby na proponowane, niezbyt etyczne posady — dr Murek jako człowiek silny, odrzucał podejrzone oferty. Ufność w ludzi i świat zmieniła się u niego w nienawiść, gdy doznał ostatecznego zawodu.

Jak wiadomo, dr Murek, wyjeżdżając do Warszawy dla szukania pracy, był przekonany, że ma dziecko ze służącą Karolką. Dziecko postanowił uznać i utrzymywać. W tej decyzji odbija się prosty, uczciwy, chłopski podkład charakteru dra Murka. Popełnił błąd — chce ponieść jego konsekwencje. Czyż zdobyłby się na to Murek niemrawy, rozlazły, raczej sentymentalny, niż uczuciowy? A jeżeli nawet tak, to czyż fakt, że Karolka była zwykłą szantażystką i dziecko wymyśliła, mógłby odegrać w życiu Murka decydującą rolę?

Brodniewicz, interpretując Murka jako życiowego niedołęę, odebrał rozwojowi akcji wszelkie dramatyczne prawdopodobieństwo. Nie rozumiemy dla czego oszustwo Karolki tak oddziało na Murka, nie rozumiemy jak ów urzędniczy zahukany mógl być narzeczonym eleganckiej panny Niry, nie rozumiemy skąd wzięło się w Murku tyle nienawiści do świata.

Dołączają się do tego niekonsekwencje scenariusza i scenopisu. Bardzo możliwe, że wynikły one ze skreśleń cenzury, tym niemniej widz ma prawo — niebacząc na uboczne względy — ocenić to, co mu pokazano. A zatem — jeżeli dr Murek jest niepozornym człowieczkiem, jakże mógł uzyskać tak reprezentacyjne narzeczeństwo? Jeżeli zwalniają Murka bez poważnych powodów, dlaczego pracownik znany ze swych zalet nie może dostać innej pracy? Jeżeli Murek został oczerniony, spotwarzony — dlaczego nic o tym nie ma w filmie? A jeżeli oszczerstwo nie było przyczyną, lub przynajmniej wykorzystanym pozorem powodu do zwolnienia z pracy, co znaczy w zakończeniu filmu list o rehabilitacji? O jaką rehabilitację chodzi?

W ślad za niekonsekwencjami idą naiwności i sytuacje nie-możliwie naciągnięte. Czyż Murek w roli jasnowidza nie jest raczej groteskowy, niż „sensacyjny”? Czy ktokolwiek uwierzy, że jedna wróżba dra Murka może jego współzawodnika o rękę córki bogatego przemysłowca doprowadzić do obłąkania? W powieści — pod sugestywnym piórem Mostowicza zdają się te rzeczy niemal prawdopodobne, czytelnik rozciekawiony narracją, znarkotyzowany barwnym opisem, przechodzi nad nimi do porządku. Realistyczna wymowa filmu demaskuje zawsze sytuacje sztuczne.

Jeszcze parę słów o technice aktorskiej. Jak pisze J. B. Toeplitz w *Wiadomościach Kinotechnicznych*, znany aktor filmowy, Paweł Muni, tak szczegółowo opracowuje intonację każdego zdania, jakie ma wypowiedzieć przed mikrofonem, że nagrywa głos na płyty, wysłuchuje sam siebie, i dopiero po wielokrotnych próbach decyduje się stanąć do zdjęć. Gdzie u nas szukać podobnego stosunku aktora do filmu?

Brodniewicz, jako dr Murek, stosuje nieustanną szarżę, w pierwszej części jest taki sam jako człowiek, utrzymujący się jeszcze na powierzchni życia i jako człowiek zdeklasowany. W części drugiej — robi jakiegoś krajowego Stroheima w sposób bardzo rażący. Andrzejewska, grając sympatyczną rolę Miki, nie wiezieć czemu przesentymentalizowuje ją do ostatnich granic i ma nieznośną manierę „niewytartego nosa”: po każdym zdaniu pociąga nosem, jak ktoś kto albo ma zamiar rozplakać się, albo zapomniał chusteczki. Wilczówny nie nauczono jak ma się zachować przed aparatem. Krzewiński dał niczym nieuzasadnioną karykaturę. Sierański — banał, w innych epizodach poprawni byli: Cwiklińska, Żabczyńska, Lidia Wysocka, Junosza-Stępowski, Zelwerowicz, Dardziński. Widać jednak, że są to role obsadzone tylko po to, żeby pochwalić się na afiszu nazwiskami znanych artystów. Prawdziwie filmową kreację dała Nora Ney (Arleta) i doskonała Ina Benita (Karolka), nasza Vivianne Romance, której należy się film specjalnie dla niej realizowany.

Zakończmy na tym obrachunek z dr Murkiem i przejdźmy do kilku uwag o drugim nowym filmie krajowej produkcji *Włóczędzy* (prod. Feniks, reż. Waszyński) poświęconym Szczepkowi i Tońkowi, popularnym artystom radiowej lwowskiej *Wesołej Fali*. Wprawdzie scenariusz jest zarówno naiwny, jak i banalny, posiada jednak mimo to wdzięk sentymentu, pogody, ufności że „będzie lepiej”, przypominający nastrój francuskiego filmu *Pod szczęśliwą gwiazdą* (*Belle étoile*), wyświetlanego w poprzedn. miesiącu. Komedyjka ta daleko odbiega od ponurych bzdur z nieodzowną porcją sadysty, uwiedzionej, trucizny, trumny, cmentarza. Treść przedstawia przygody dwóch lwowskich „bafiarów”, opiekujących się sierotą, która po śmierci ojca nie chce udać się o pomoc do bogatej, ale samolubnej babki. W końcu jednak „straszna babunia” okazuje się tylko nieco zbyt pańska i dzi-

waczała, pod powierzchowną szorstkością odzywa się serce. Kończy się wszystko dobrze: Szczepcio i Tońcio wydają swą pupilkę za mąż, a między babcią, wnuczką i jej opiekunami nastaje zgoda. Wśród kilku zręcznych chwytów scenariusza można podkreślić nie nowy, ale zręcznie wprowadzony pomysł finału (orszak weselny u bram rzekomego więzienia — motyw w stylu Clair'a).

Oczywiście atutem filmu jest para lwowskich wesołków: nasreszcie humor, bez szmoncesu, optymistyczna postawa wobec życia, dzielność gotowa z każdym wziąć się za bary, opieka nad słabszym, kult koleżeństwa. Obaj: Szczepcio i Tońcio, okazali się przyjemnymi aktorami filmowymi i powinniśmy ich odtąd jak najczęściej widzieć na ekranie. „Straszną babunię” zagrała St. Wysocka — to mówi samo za siebie, farsowym defektywem był Fertner — niestety, dano mu słaby tekst, główną rolę kobiecą powierzono młodej StępnioŹwie. Decyzja zasługuje na pochwałę — StępnioŹwa ma dużą bezpośredniość, nie wyróżnia się może urodą, ale uważam to niemal za korzystne: wreszcie naturalna postać, a nie wymuskana piękność.

Akcja rozgrywa się z początku na tle Lwowa. Niestety, jest to Lwów wymalowany na płótnie, fotografowany w *atelier*. Film, który prosi się o plener, obywa się bez plenerów. Dekoracja za dekoracją i to dekoracja rażąca (sceny na dachu pod gwiaździstym niebem) swą bezceremonialnością. Jakaż szkoda, że wciąż jeszcze nie możemy oddać na filmie uroku polskich miast i polskiego krajobrazu. Toćże polskie *atelier* nie posiadają nawet kopiarki optycznej — jeśli już mamy rezygnować z autentycznego pleneru, jako zbyt kosztownego.

*

Na czele repertuaru ub. miesiąca trzeba postawić wspaniały, wysoce artystyczny film angielski o Rembrandcie. Jest to obraz o charakterze biograficznym — wielki aktor, Charles Laughton, odtwarza postać tytułową, całość zaś filmu wprowadza widza w epokę Rembrandta (XVII w.). Film ten nie był jednak, jak dotąd, dostępny dla publiczności warszawskiej — wyświetlano go na prowincji, nie zyskał tam powodzenia i nie chciało go przyjąć żadne kino warszawskie. Jedynie Związek Dziennikarzy i Publ. Filmowych na zaproszenie kina „Napoleon” mógł obejrzeć go na specjalnym pokazie.

Niefortunne losy *Rembrandta* przypominają sprawę filmów niewidzialnych. Są to obrazy, przeważnie o wysokich wartościach artystycznych, które jednak nie docierają do Polski, ponieważ importerzy filmów kierują się wyłącznie względami kasowymi, albo też po prostu zależne są od swych agentów nie posiadających żadnych kwalifikacyj do uprawiania oceny estetycznej. O sprowadzeniu i wyświetlaniu filmu decyduje udział znanych gwiazd, popularny temat i rozmiar humbugu reklamowego, urzą-

dzionego wokół filmu przez zagranicznego producenta. Wskutek tego nie poznajemy najlepszych filmów zagranicznych — nie trzeba dodawać, jak się to odbija na poziomie kultury filmowej. Przynajmniej w stolicy powinno istnieć jedno kino tzw. repertuarowe, wyświetlające filmy artystyczne. Jestem przekonany, że miałoby ono stałe powodzenie. Jest tu ewentualnie sposobność do ładnej inicjatywy dla Rady Przemysłu Filmowego, dla projektowanego Instytutu Studiów Filmowych lub Zw. Dzienn. i Publ. Film.

W ciągu kwietnia na ekranach warszawskich utrzymywały się następujące filmy o premierach z datą marcową: *Wielki walc*, *Biały murzyn*, *Trzy serca*. *Wielki Walc* wyświetlany w kinie *Atlantyc* blisko już dwa miesiące, jest, obok *Miasta chłopców* (marzec w kinie „Roma”), najlepszym filmem wiosennym sezonu, jednym z najzręczniejszych ostatnich filmów muzycznych i nowym popisem reżyserskim Duvivier’a. *Biały murzyn* po 40 dniach wyświetlania w „Casino” ustąpił miejsca amerykańskiej komedii, a *Trzy serca* z ostatnim dniem kwietnia notują 44 dzień w kinie „Pan”. Obydwa ostatnie filmy są obrazami krajowej produkcji, omówionymi krytycznie w poprzednim zeszycie *Przeglądu* — mimo katastrofального poziomu mają powodzenie. Aż takim magnesem jest polski dialog w filmie! Jakież więc sukcesy mógłby osiągnąć film krajowej produkcji, porządnie wykonany! Niestety, producenci nie chcą tego zrozumieć, zachowują się tak, jakby zapomnieli o powodzeniu *Młodego lasu* itp. obrazów, na które przyjdzie nie tylko publiczność stale chodząca na polskie filmy, ale i każdy kulturalny widz, każdy kinoman! Powodzenie filmów w rodzaju *Trzech serc* jest właściwie nieszczęściem dla filmu krajowego: producent mówi: — po co robić filmy dobre, jeśli i na złych można zarobić...

Z premier pierwszych 20 dni kwietnia najciekawsze są: *Niewidzialna rywalka*, *Gunga Din*, *Gibraltar*.

Niewidzialna rywalka — to polski tytuł bardzo zręcznej groteski, opartej na trickowych zdjęciach. Wyświetlana w Londynie w reprezentacyjnym kinie „Odeon” na Leicester Square pt. *Topper takes a trip* zyskała ogromne powodzenie. Należy ona do nieznanej u nas serii przygód „niewidzialnego małżeństwa”, stanowiącej wesołą parodię możliwości wellswoskiego *Niewidzialnego człowieka*. Pomysł scenarzystów wytwórni United Artists polega na tym, że pewne młode małżeństwo ginie w katastrofie samochodowej. Nie posiada jednak dostatecznej liczby dobrych czynków, by móc się niegorzej zaprezentować na tamtym świecie. Muszą więc w niewidzialnej postaci odbywać wędrówkę po ziemi, spełniając dobre uczynki. Pierwszy film tej serii był — jak można się domyślać — opisem przygód męża, obecnie kolej na żonę, by również zdobyła prawo do pośmiertnego spokoju.

Otrzymuje ona zadanie pogodzenia pana Toppera z żoną. Po licznych psotach, w których gęsto korzysta ze swej czapki niewidki (uczestniczy w tym i zabity w tejże samej katastrofie piesek) osiąga swój cel i ze skrzydła samolotu, którym wracają do domu pojednani małżonkowie, ulatuje ku czekającemu na nią w zaświatach Jerzemu.

Anegdota filmu jest błaża i raczej banalna, natomiast humor i dowcip oparty został całkowicie na efektach wyłącznie filmowych i należy do rodzaju groteski, nieosiągalnego w teatrze, co właśnie każe zwrócić uwagę na *Niewidzialną rywalkę* i zalecić jej obejrzenie wszystkim interesującym się sztuką filmową.

Inna natomiast sprawa, gdy idzie o szerszą publiczność: tu nasuwają się zastrzeżenia. Śmierć i życie pośmiertne stało się w filmie przedmiotem żartu — żartu bez złej woli, przechodzącego bez wrażenia w społeczeństwach protestanckich, ale budzącego niesmak u widza katolickiego. Pomysł *Niewidzialnej rywalki* jest po części reminiscencją teorii spirytystycznych i na tym tle da się zrozumieć i tu też widać charakterystyczne jego pokrewieństwo z szeroko dyskutowaną sceną na cmentarzu ze sztuki Th. Wildera *Nasze miasto*, granej niedawno w Teatrze Narodowym. O ile szczerze zabawny jest udział w akcji osoby niewidzialnej, o tyle — jeżeli nie jest to w fantastycznej historii osoba żywa, lecz duch umarłej, mimo całego sugestywnego komizmu filmu, nie sposób oprzeć się refleksji, iż mieszanie ducha w te sprawy, w dziecinne psoty lub wątpliwej elegancji żarty — traci trywialnością. A szkoda — bo film wykonano zręcznie, doskonale zagrała tercet głównych ról trójka: Constance Bennet (duch), Billie Burke (świecna histeryczna żona) i Roland Young (nie mieszać z młodym amantem — Robertem Young'iem).

Gunga Din — film produkcji amerykańsko-angielskiej, nowy program kina „Roma” w warszawskim Domu Katolickim, należy do tej serii obrazów, która wydała już głośnie *Bengali* oraz *Drum*. A więc znów angielskie walki kolonialne, propaganda imperializmu brytyjskiego i cnót żołnierskich. Bohaterstwo, odwaga — obok tego humor, zimna krew, opanowanie, słowem — typ gentlemiana. Scenariusz, wedł. poematu Kiplinga o nosicielu wody oddziału wojsk kolonialnych w Indiach, Hindusie, imieniem Gunga Din — nie wybiega poza tradycyjne wzory filmów awanturniczych. Mamy wszystkie nieodzowne rekwizyty: góry, przepaście, tajemnicza świątynia, sekta fanatyków, torturowanie angielskich oficerów, trójka przyjaciół na wzór trzech muszkieterów, piwnica z węzami, bitwa, uwolnienie, happy end. Logiczności akcji jak i etycznej stronie postępowania trzech śmiałków dałoby się przy bliższej analizie coś niecoś zarzucić. Ale uwagi o treści są tu na marginesie — istotę filmu stanowią wielkie, efektowne sceny zbiorowe, wspaniałe plenery, element ruchu, przygody — niczym w najlepszych filmach Fairbanksa. Warte zobaczenia. Oglądając

jednak *Gunga Din* pamiętajmy, że Anglicy zawsze pokazują swą walkę z kolorowymi, nigdy z białymi. W stosunku do kolorowego mniej mamy instynktownego poczucia, że to również człowiek — i to właśnie wykorzystuje scenarzysta: na masowe mordowanie kolorowych, na okrutną walkę, będziemy patrzeć mniej wrażliwym okiem. Przyjmiemy ją jak bajkę, a nie jak wstrząsającą rzeczywistość. Nadto — producent pamięta zawsze, żeby przeciwników angielskich uczynić ludźmi o zbrodniczych zamiarach.

Gibraltar — film produkcji francuskiej, bardzo dobrze przygotowany przez ex-sowieckiego reżysera, Fedora Ozepa, twórcę *Damy Ptkowej*. Ozep umie dać doskonałą mieszaninę waleń sensacji z zaletami artystycznymi. Interesująca treść, jedna z popisowych ról Vivianne Romance, banalizujący się coraz bardziej E. v. Stroheim, efektowne zdjęcia Gibraltaru, aktualny temat — ententa francusko-angielska również i w dziedzinie filmu. Osoby akcji banalne: tancerka kabaretowa, młody oficer, doświadczony szef szpiegów i przeciwnik: agent Intelligence Service, — zostały wciągnięte w zawikłany tok wydarzeń. Można się domyśleć, że robota szpiegowska jak i wywiadowcza prowadzi do drastycznych etycznie sytuacji — są one też zaznaczone i w *Gibralfar*ze.

Poza tą czołową trójką: nowy film Deanny Durbin: *Panny na wydaniu*. Temat banalno-sentymentalny, treść i opracowanie przeciętne, D. Durbin ładnie śpiewa. Następnie — *Kentucky* z Loretą Young, ładnie zrealizowany w kolorach obraz z życia hodowców koni. *Idziemy przez życie* — film o tzw. szarym człowieku, przeciętny, wzruszający jednak ładnie zarysowaną rolę kobiecą, sympatyczny ze względu na tendencję podkreślającą rolę małżeństwa, jako ostoji życiowej człowieka; za to *Niebieski lis* z Zarah Leender przeciwnie — spreczny jest z katolickim pojęciem moralności małżeńskiej. *Bitwa nad Marną* — słaby francuski film wojenny z doskonałą jednak kreacją Raimu w roli francuskiego chłopca oślepionego na wojnie. Wreszcie — *Wstań i walcz* z Wallace'm Beery i R. Taylorem — film z pionierskiej epoki Ameryki, barwny w treści, efektowne plenery i sceny zbiorowe. Temat — pierwsza kolej przez obszar Stanów. *13 krzesel* — zabawna farsa niemiecka wedł. powieści sowieckich autorów.

Poniżej poziomu artystycznego reprezentowanego przez tę grupę obrazów znajdują się następujące filmy, nie zasługujące na bliższe omówienie. *Panienskie szaleństwa* (urocza Barbara Stanwyck gra niestety w złym i trywialnym filmie), *Nieustraszony* — nieudana komedia z Errol Flynem, *Dziś wieczór u Ritza* — mętny film sensacyjny z marnowaną w Ameryce Annabellą.

*

Akademia Filmowa w Los Angeles przyznała nagrody filmowe za rok 1938. M. inn. nagrodę za najlepszą sztukę filmową otrzymał G. B. Shaw za *Pygmaliona*. Kiedyż nareszcie zobaczymy

u nas ten film, o którym cuda opowiadają i w którym gra świetny aktor angielski: Leslie Howard! Słusznie odznaczono jako najlepszą kobietą kreację aktorską rolę Bette Davies w filmie *Jezabel*. Przyjemną będzie wiadomością dla kina „Roma”, że analogiczną nagrodę dla aktorów otrzymał Spencer Tracy za rolę ks. Flanagan w *Mieście chłopców*. Nagrodę zdobyli również autorzy scenariusza tego filmu (Dora Scherr i Eleonora Griffin) za najlepszy oryginalny temat. Jako najlepszą fotografię wyróżniono zdjęcia w filmie *Wielki Walc*.

Zdzisław Broncel.

Mieszaniny naukowo-literackie.

W pierwszej serii „Mieszanin” zaznaczyłem, że epistolografia jest teraz *en vogue* w Polsce. Do sprawy tej wypadnie nam jeszcze powrócić choćby na chwilę, nie tylko w tym celu, by nadmienić, iż indeks „listowników”, jaki tam zestawilem, jest mocno niedokładny (można by wymienić spore wiązki listów Sienkiewicza, wydane w odbitkach, listy Wyspiańskiego, zbierane przez Leona Płoszewskiego i td.), ale i po to, by oddać wielką pochwałę książce prof. Gustawa Przychockiego: *Studium epistolografii grecko-rzymskiej, zasady i cele* (Lwów). Jest to rozprawa zasadnicza, bo choć już w tytule mowa, jakoby wyłącznie o epistolografii starożytnej, przecie uwagi stosujące się do owych czasów dają się zastosować i do nowszych. Najważniejszą i podstawową rzeczą jest podział listów na dwa typy: listów „prawdziwych”, czyli zwróconych rzeczywiście do danych osób, oraz listów fikcyjnych, czyli utworów literackich, ubranych w formę listu. Oczywiście w czasach nowszych forma listowa miewała w literaturze jeszcze szersze zastosowania, niżli w starożytności; wspomnijmyż na przykład modne kiedyś powieści w tę formę ubrane, albo rozprawy filozoficzne, przemycane pod postacią korespondencji. Takie nowożytny „listowniki” wprowadzały tę nowość, iż stanowiły ściśle jednolitą fikcyjną kompozycję, wychodząc przy tym od faktów zmyślonych, gdy natomiast w starożytności, mimo wszelkich fikcyjnych elementów, przeważnie punktem wyjścia były jakieś zdarzenia rzeczywiste. Osobne miejsce należy się listom „poetyckim”, w którym to rodzaju podobno starożytność ma prym niezaprzeczony.

Widzę, że już przekroczyłem granice omówienia książki prof. Przychockiego, skoro zaczynam bawić się w porównania z czasami nowożytnymi. Więc żeby jeszcze raz wrócić do tej cennej rozprawy, dodam, że szczególnie godne są uwagi-informacje o antycznych teoriach listowania, oraz o psychicznej stronie epistolografii starożytnej. Pod tym względem książka ta jest

uzupełnieniem wspomnianej już przez nas pracy p. Skwarczyńskiej.

Mówiąc o tej pracy, zaliczyłem autorkę do „szkoły” prof. Kleinera. Będę się musiał podobno wytłumaczyć z tego terminu, zwłaszcza, że już kiedyś przygodnie używałem go przy jakiejś okazji. Odróżniłem wtedy, a raczej przeciwstawiłem sobie wzajemnie, dwie tak od siebie odbiegające szkoły: Pilata i Chrzanowskiego. Wspomniałem je wtedy *exempli gratia*, albo *illustrandi causa*, wcale zaś nie jako „jedyne” szkoły, jakie się wytworzyły w sferze badań nad literaturą polską. Szkół tych, wyraźnych i wyrazistych, można wyróżnić kilka. Podstawą ich odróżnienia będzie nie tyle siedziba (jak w historii wyróżniało się szkołę „krakowską” czy „warszawską”), a raczej pewne środowisko czy ognisko pracy badawczej, ale też, co ważniejsza, wspólne kierownictwo i pewna łączność metod badawczych. Szkoły takie, gdy chodzi o badania nad literaturą, rozporządzają też zazwyczaj własną swą „bazą wydawniczą”. Dał w tym względzie przykład prof. Chrzanowski swą serią prac historyczno-literackich, mających zdawna wyrobioną sławę dzięki szeregowi nazwisk, stojących w czołowym rzędzie badaczy. Seria „Badań literackich” we Lwowie, liczebnie nie tak pokaźna, zdobyła sobie też znaczenie dzięki pracom badaczy wyszłych z kuźnicy prof. Kleinera; podobne znaczenie osiągnęły warszawskie „Studia z zakresu literatury polskiej”.

Obecnie została nader szczęśliwie zainaugurowana nowa seria wydawnicza z zakresu badań nad literaturą: seria, która jednocześnie tworzy nową „szkołę”. Nagłówek tej serii brzmi: „Z zagadnień poetyki”.

Do niedawna punkt ciężkości w badaniach nad literaturą stanowiła historia literatury w różnych jej odmianach. To też nie obeszło się bez walki, gdy badacze nowsi poczęli coraz to bardziej rugować element historyczny, a zajmować się wyłącznie dziełem literackim, stawiając co najwyżej na drugim planie okoliczności zewnętrzne, takie jak epoka powstania dzieła, jego geneza, wpływy literackie, a nawet osobistość samego pisarza.

Nie myślę tu być ani uczestnikiem owej walki ani jej rozjemcą. Dowiodłem nieraz, że umiem cenić zasługi historyków literatury, a nie przestaną ich cenić na pewno nigdy w życiu. W każdym razie sądzę, że pewna reakcja przeciwko, że się tak wyrażę, monopolowi historyzmu w badaniach nad literaturą była potrzebna, może nawet konieczna. Albowiem od lat wielu leżały odłogiem badania nad teorią literatury, zwłaszcza nad formami literackimi, zatem opóźnił się na tym polu poważnie w porównaniu z Europą.

Tyczy się to zwłaszcza badań nad formami wierszowymi poezji. Na tym polu uwidoczniło się do niedawna nie tylko zaniedbanie, ale wręcz przykry zastój, który sprawiał, że wiedza

o wierszu u wielu świetnych skądinąd badaczy zaczęła się cofać niemal na poziom sławetnej gramatyki Małeckiego lub bodajże *Nauki poezji* Cybulskiego. Jeżeli z jakichkolwiek przyczyn dotknęli mimochodem spraw wersyfikacji, ograniczali się zwykle do — rachowania sylab w wierszu, przy czym nie obeszło się czasem bez omyłek... arytmetycznych. Z kręgu takiego pojmowania wersyfikacji nie umiał się niekiedy wydobyć badacz tak niezmiennie zasłużony, jak Jan Łoś. Jego książka *Wiersze polskie w dziejowym rozwoju* budzi podziw i uznanie ze względu na ilość przytoczonych i omówionych dzieł wierszopisarstwa polskiego, dzięki czemu będzie ona na długi czas kopalnią materiału dla przyszłych badaczy. Ale materiał to przeważnie nieobrobiony, surowy, opisany tylko zewnątrz, nieraz błędnie; autor nie pozostawał w kontakcie z nauką europejską jemu współczesną i jej badań nie uwzględniał; tyczy się to nie tylko tak obfitych (zwłaszcza w Niemczech i w Anglii) badań nad rytmiką poezji średniowiecznej, ale także prac nad teorią wersyfikacji nowoczesnej. Dla przykładu wspomnę, że nie rozumiał zupełnie struktury wiersza „*Księgi ubogich*” Kasprowicza, jak zresztą bezzadni wobec niej stawali i następni badacze poety, choć sprawa była najzupełniej prosta i jasna każdemu, ktokolwiek czytał wiersze Schillera lub Heinego, albo Szekspira, czy choćby Kiplinga. Wszak rytmiką wierszy *Księgi ubogich*, polegającą nie na ilości sylab, lecz na stałej ilości przycisków, jest np. identyczna z rytmiką *Heimkehr* Heinego; Kasprowicz przecie już ze szkół wyniósł świetną znajomość poezji niemieckiej, zaś następnie przetłumaczył tyle, ile nikt inny, z poezji angielskiej, nie mówiąc o tym, że na sprawach wierszowania znał się, jako poeta, — zawodowo. Trzeba więc było dopiero drugiego, niżej podpisanego poety (zajmującego się w nielicznych chwilach wolnych także badaniami literackimi), żeby rzecz tak niezmiernie prostą wytłumaczył w „*Ruchu literackim*” (1929), bo inaczej liczono by nadal sylaby Kasprowiczowi — i nie doliczono by się nigdy niczego...

Do zajmowania się sprawami wersyfikacji, jak do wszelkich innych badań, trzeba mieć (trudno i darmo!) przygotowanie naukowe i to wielostronne. O dwóch koniecznych warunkach już wspominałem: jednym z nich jest ciągły kontakt z naukowymi badaniami na tym polu za granicą, drugim zaś choćby jaki taki kontakt z samymi wierszopisami i obserwowanie „jak to oni właściwie piszą wiersze” (czy rzeczywiście tylko „liczą na palcach”, jak sobie z takiej opinii uczonych słusznie pokpiwał śp. Liebert). Przy tym trzeba mieć, rzecz konieczna, pewne wykształcenie muzyczne — i wyrobiony słuch. Dalej, trzeba być dobrze obznajmionym nie tylko z poezją starożytną, średniowieczną i nowożytną wszystkich narodów europejskich, ale ponadto z retoryką starożytną, począwszy, co najmniej od sofistów greckich, którzy teorię rytmiki

już nie samego wiersza, ale prozy opracowali pod każdym względem znakomicie; dla przykładu wspomnę, że to oni właśnie, poprzednicy Platona, omawiali wszechstronnie znaczenie rymu, tego rymu, który wedle mniemania niektórych polskich uczonych urodził się niespodzianie gdzieś dopiero — w XI czy XII wieku po Chrystusie!...

Jak widzimy, mają polskie badania na tym polu do zrobienia czy odrobienia bardzo wiele. Dlatego też silny nawrót do opracowywania zagadnień poetyki, a w szczególności teorii rytmiki polskiej, należy powitać z radością i uznaniem, jako rzecz z dawna żadaną. Tym bardziej cieszyć się należy, że jawią się już rzeczy zasługujące na uwagę powszechną, bądź przynoszące nowe materiały i podniety, bądź pobudzające do szerszej dyskusji przez stawianie też ważkich i intrygujących.

Nowe bodźce na polu badań nad wierszem polskim dał prof. Henryk Życzynski w swych kilku rozprawach („Problemy wersyfikacji” i inne), z których ostatnia, o ile dobrze pamiętam, była ogłoszona w *Pamiętniku literackim* przed dwoma laty. Zagadnienia przezeń poruszone były różnorodne i ważne, zarówno gdy poddawał krytyce dawne poglądy (Bądzkiewicza, Małeckiego), czy gdy zaznajamiał publiczność polską z poglądami teoretyków francuskich i niemieckich, czy gdy dawał nowe oświecenia miary rytmicznej, czy charakteru wierszy sylabicznych (z. jedenastozgłoskowcem i trzynastozgłoskowcem na czele). Inne kwestie znowu roztrząsał Kleiner, zajmując się głównie jambami Słowackiego, i badaczka ze szkoły Kleinera, Maria Grzędzińska.

Niewątpliwie wspomniani przed chwilą badacze obdarzą nas jeszcze niejedną pracą z omawianego tu zakresu, więc będzie sposobność na tym miejscu szerzej o nich mówić. Dziś niech mi to nie będzie wzięte za złe, że wezmę pod uwagę jedynie wspomnianą serię „Z zagadnień poetyki”.

Patronują jej dwaj wybitni badacze. Jednym z nich jest zmarły niedawno senior i inspirator „wierszoznawców” czy „stylizatorów”, Kazimierz Wóycicki, drugim inicjator i kierownik wydawnictwa, a tym samym współtwórca „szkoły” teoretyków literatury, prof. Manfred Kridl.

Nie trzymając się numerowego porządku, zaczniemy od tomu najbardziej ważkiego pod względem znaczenia i objętości. Tom ten nosi nazwę: *Prace ofiarowane Kazimierzowi Wóycickiemu*.

Stało się z tym tomem tak, jak ze wspomnianą niedawno przeze mnie książką ku czci prof. Spiny: dar zbiegł się ze śmiercią jubilata... A zwięzła, choć pełna treści przedmowa prof. Kridla, charakteryzująca Zmarłego, stała się mimo woli nekrologiem... Ale zarazem stwierdziła, że jeżeli kiedy, to właśnie teraz plon życia Wóycickiego — żyje i żyć będzie nadal.

Prof. Kridl raz po raz słusznie nazywa Wóycickiego: prekursorem. Bibliografia prac Zmarłego wyszczególnia zaledwie 21 pozycyji, a przecie niemal każda z tych pozycyji to punkt wyjścia nowego, proszącego się o kontynuację, zagadnienia.

Że kontynuację podjęto, dowodem prace zamieszczone w księdze, z których każda w sposób pośredni, czy bezpośredni, nawiązuje do tej czy innej inicjatywy Wóycickiego. Tak na przykład Józef Hrabák zajął się polskim ósmiozgłoskowcem, K. Budzyk zagadnieniami stylistyki, M. Grzędzielska jeszcze raz trzynastozgłoskowcem, Hopensztadt zaś „mową pozornie zależną”. I tak można by jeszcze długo wyliczać owe związki.

Nie mogę na kartach *Przeglądu* bawić się w szczegółowe omawianie wszystkich rozpraw zawartych w owej księdze, więc poprzestanę na kilku, wymownych już samymi nazwiskami autorów. Pod tytułem „Forma i norma” prof. Z. Łempicki zawarł rozważania na temat wiecznie aktualny: kryteriów oceny dzieł literackich. W rozważaniach tych, prowadzonych z jednoczesną wielostronnością i bezstronnością, przeciwstawił „formalistów” przede wszystkim badaczom „kładącym nacisk na zawartość ideową w dziele sztuki”.

Prof. Kridl w bystrym, a niekiedy z żywą swadą pisanym szkicu *O elemencie fikcyjnym w liryce*, wykazał niezbicie, iż nie mają racji ci, co lirykę uważają za odbicie przeżyć rzeczywistych. Fikcja w tej dziedzinie poezji jest tak nieodzowna, jak w wyrosłym z liryki dramacie, a nawet bodaj, że jak w tym dziale, który Anglicy określają terminem *fiction*, tj. w powieści i noweli.

Rytmika prozy Żeromskiego to temat, który dawno prosił się o szczegółowe opracowanie. Kiedyś dość przygodnie porównywano okresy zdaniowe Żeromskiego z okresami Cycerona, kiedy indziej zaś ja sam, też przygodnie, poświęciłem parę spostrzeżeń „heksametrycznym” zdaniom w *Dumie o hetmanie* (co pozwoliło nawet odkryć pewne zniekształcenia tekstu w późniejszych wydaniach tego utworu). Dobrze, że do tego tematu, już systematycznie i metodycznie, wziął się mistrz Wacław Borowy, świetny znawca Żeromskiego. Z wielu zasług tej pracy wymienię jedną, a mianowicie: zastanowienie się nad rytmiką paralelizmów syntaktycznych. Kwestia ta do niedawna nie wychodziła u nas poza koła filologów-klasyków, chociaż nie dotyczy ona bynajmniej samych autorów starożytnych. Jakże by na przykład przedstawiała się u nas inaczej znajomość wersyfikacji średniowiecznej, gdyby nasi poloniści chcieli coś wiedzieć o tej kwestii żywej i kulturowanej przez całą poezję grecką i łacińską wieków średnich!

Już kiedyś pisałem, że wiedzę o wersyfikacji średniowiecznej trzeba u nas budować wprost od podstaw. Były kiedyś prace Porębowicza; nie znalazły echa i kontynuatorów. Są dziś prace

ks. docenta Gładysza, ogłaszającego nie wiem którą już z kolei książkę o średniowiecznej poezji łacińskiej; poloniści o nich nie wiedzą. Wolą błędzić w tej dziedzinie po omacku, snuć różne ryzykowne domysły, a nawet... klócić się o nie, zamiast po prostu zapoznać się z wyglądem średniowiecznych wierszy greckich, łacińskich, niemieckich, angielskich, czy celtyckich. Przykro mi bardzo, że muszę zarzut ten postawić m. in. krytykowi tak skądinąd bystremu i niepospolicie zasłużonemu, jak K. Zawodziński.

W samą porę jawi się w omawianej tu księdze rozprawka prof. J. Kuryłowicza *Próba teorii metryki starogermańskiej*, gdyż zaraz w pierwszym zdaniu zawiera się wyjaśnienie zasady metrycznej, żywotnej po dziś dzień w wierszach niemieckich i angielskich, która do niedawna stanowiła taki szkopuł dla badaczy *Księgi ubogich*. Że zasada ta nie obca była i polskiej poezji średniowiecznej, wskazywałem sam niedawno, krytykując metodę naciągania jej zabytków (wiersz „Śloty” i legenda o św. Aleksym) do rozmiarów rzekomego „ośmioletkoskowca”.

Danią Skwarczyńską jeszcze raz wspomnieć muszę, ze względu na ciekawie przez nią ujęte zagadnienie „makaronizmu”. Praca ta uderza nie tylko subtelnością rozróżniań pojęciowych, oraz żywym stylem, ale też i wnioskiem czy postulatem końcowym: „Opis zjawisk językowych prosi się o dopełnienie sądem o ich wartościach estetycznych, wkraczających tym samym w domenę stylistyki jako estetyki”.

Postulat to coraz częstszy i silniejszy, a trzeba przyznać, że za żądaniami idą i czyny. Pojawia się coraz więcej prac, w których badania nad dziełem literackim idą w parze z analizą lingwistyczną. W zakresie badań nad wersyfikacją spotykali się już nieraz znawcy literatury z językoznawcami. Rymami na użytek językoznawstwa zajął się niegdyś prof. Nitsch w nader ważnej po dziś dzień rozprawie, a ja też kiedyś dorzuciłem swoje trzy grosze do kwestii „wymowy rymów”; pewne kwestie tam dotknięte (rymowanie takie jak: *lesie* i *dziwuje się*) doczekały się rozwinięcia w całą książkę: jest nią drugi tom *Studiów z metryki polskiej* Franciszka Siedleckiego, zatytułowany *Problem transakcentacji metrycznej w wierszu polskim*. Autor stawia swoją tezę w sposób na ogół przekonujący, choć czasem zbyt generalizujący fakty; erudycja bibliograficzna p. Siedleckiego jest w obranym przezeń temacie godna podziwu, jednakże pozwolę sobie wyrazić pewne zdziwienie, czemu tak szczegółowo zajął się moim artykułikiem „O rytmach i rymach Bogurodzicy”, skoro był to artykułik zgola okolicznościowy, zrozumiałym jedynie w związku z artykułem dr Pohoreckiego, na który tam odpowiadałem. Stąd, pomimo wszelkich komplementów, jakimi mnie darzy p. Siedlecki, muszę stwierdzić, że myśli moich nie zrozumiał; lepiej było zajrzeć do innych prac moich (nieuwzględnionych),

gdzie zajmuję się zasadniczo sprawami wersyfikacji średnio-wiecznej.

Sprawa: czy badacze literatury mają współpracować z językoznawcami, czy też się od nich separować, wyszła niedawno na forum publiczne z powodu stanowiska, jakie zajął prof. Stefan Kołaczkowski. Po różnych wypowiedziach na ten temat, w których godne były uwagi głosy profesorów: Nitscha, Ułaszyna i Krzyżanowskiego, doszło już podobno do armistycjum. Nie chcę bynajmniej wznawiać tej kwestii, w której rad byłem zajmować stanowisko pojednawcze. Może istotnie komu z polonistów cięży zajmowanie się zagadnieniami lingwistycznymi; mnie to jarzmo nie ciążyło jakoś nigdy, choć jestem literatem i krytykiem literackim; owszem, podziwiałem anielską dobroć prof. Nitscha, iż tak chętnie drukował moje wyczyny niby lingwistyczne, kreślone przygodnie na marginesie zgoła innych zajęć mego żywota. Przekonałem się, że nie tacy straszni lingwiści, jakimi ich malują; mnie, choć byłem notorycznym dyletantem w lingwistyce, nie ukrzywdzili nigdy w życiu... Mam ich za bardzo łagodnych ludzi, z którymi miło współpracować: *sympphilologe*in...

Nie jestem jedynym literatem, który tak się do nich ustosunkowuje. O wiele wymowniej wyznawali swą sympatię dla polskich językoznawców literaci tak znakomici, jak: Stefan Żeromski i Stanisław Wasylewski. Pisał kiedyś o tym doskonałą broszurkę prof. Ułaszyn.

Jeżeli jednak literatom czy badaczom literatury nie zawadzi, owszem przyda się kontakt z pracami językoznawców, tedy mamy też prawo życzyć sobie, żeby i językoznawcy, jeżeli zavadzają o sprawy literackie, byli zaznajomieni ze stanem badań literackich i zasadniczymi metodami tych badań. Uwaga taka nasuwa się podczas czytania książki prof. Witolda Doroszewskiego: *Język polski w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej* (Warszawa, Towarzystwo Naukowe Warszawskie).

Autor tej książki jest wybitnym językoznawcą, ale badaniom literackim nie poświęcał się nigdy. Skoro zaszedł po raz pierwszy w tę dziedzinę, zajmując się w dwóch rozdziałach: „Piśmiennictwem polskim w Stanach Zjednoczonych” oraz „Gwarą polsko-amerykańską w beletrystyce i publicystyce polskiej”, powinien był z jednej strony zaznajomić się dokładniej z tym, co już w danych kwestiach przed nim pisano¹⁾, z drugiej zaś zaglądać raz po raz do *Literatury polskiej* Gabriela Korbuta, tego nieodzownego *vademecum* każdego polonisty. Wówczas nie pominąłby kilkudziesięciu co najmniej ważnych utworów literackich, takich

¹⁾ Przegląd ważniejszych dzieł dałem jeszcze w r. 1937 (Chicago), w rozprawce *The U. S. A. in Polish Literature*. Językiem polsko-amerykańskim zajmowano się na parę lat przed wojną w *Poradniku językowym*. Na oba artykuły prof. Doroszewski nie zwrócił uwagi.

jak *Szkice amerykańskie* i inne dzieła Sienkiewicza, jak *Księżniczka* Reymonta itd., itd. Nie popełniłby też tak poważnego błędu, jakim jest zaliczenie do „piśmiennictwa polskiego w Stanach Zjednoczonych” szeregu pisarzy, którzy nigdy w życiu w Ameryce nie byli i nic z nią wspólnego nie mieli, poza tym, że ktoś czasem przedrukował w Ameryce ich utwory (ależ drukowano tu i Mickiewicza i Kaczkowskiego, a teraz drukują zawzięcie Skargę: czy to też pisarze „polsko-amerykańscy?”) Tak np., pominąwszy już Kucza, popularnego komika warszawskiego sprzed lat siedemdziesięciu, znalazł się w tym poczcie „polsko-amerykańskim”... znany Alojzy Żółkowski, aktor i komediopisarz z czasów Księstwa Warszawskiego, zmarły w r. 1822, więc na trzydzieści lat przed powstaniem pierwszej osady polskiej w Ameryce (Panna Maria Texas)...

Jeszcze jedną pretensję zgłosić może badacz literatury. Zasadniczym postulatem badań na tym polu musi być korzystanie z tekstów literackich krytycznych, tj. najzgodniejszych z tekstem napisanym przez samego autora. Tymczasem prof. Doroszewski, wzięwszy z całej twórczości Sienkiewicza pod uwagę jedynie *Za chlebem*, posługiwał się tekstem nie tylko nie krytycznym, ale najgorszym z istniejących i osławionym ze swego niechlujstwa, a mianowicie takstem „Biblioteki Uniwersytetów Ludowych”. Parę lat temu wykazał prof. Pigoń, jak to się prepara-uje Sienkiewicza w owej „Bibliotece”, jak się przekręca wszystkie wyrazy cudzoziemskie w Sienkiewiczowskich nowelach, jak się, na domiar złego, dopisuje do tych wyrazów przeróżne arcy-cudaczne „komentarze” i „objaśnienia” zgoła bezsensowne, za które Sienkiewicz nie tylko nie ponosi najmniejszej odpowiedzialności, ale przeciwko którym protestowałby najdosadniej, jak to czynił nieraz za życia, nawet gdy mniejsze przekręcenia znalazł w swych tekstach. Sprawę tę może kiedy zechce jeszcze poruszyć dr W. Doda w drugiej serii swych rozważań: „Jakiego Sienkiewicza znamy”. W każdym razie wniosek prof. Doroszewskiego, jakoby Reymont znał lepiej angielszczyznę niż Sienkiewicz, uważam za zbyt pochopny. Sienkiewicz robił błędy w angielszczyźnie, ale pisał w niej dość płynnie (świadczą o tym liczne zachowane rękopisy), gdy natomiast Reymont nie władał żadnym językiem poza polszczyzną, której był mistrzem i łaciną, w której się „przegryzował”, jako pochodzący z księżej i organistowskiej rodziny.

Przez czas swego kilkomiesięcznego pobytu w Ameryce prof. Doroszewski stykał się z Polonią amerykańską właściwie bardzo mało. Nie przebywał wcale w tak ważnych ogniskach, jak we wspomnianej Panna Maria Texas, ani w „Bufli” (Buffalo), gdzie czwarta i często nawet piąta generacja wychodziła mówi po polsku; nie bywał wcale w Pittsburgu, Cleveland i tętniącym od życia polskiego Detroit, a słabe kontakty miewał nawet z Po-

lonią chicagoską. To też sam zaznaczył, że w książce jego „materiał jest z konieczności niepełny”. Brany był ten materiał bowiem tylko czasem z żywej mowy (garstka uczniów — Polaków oraz innych spotykanych ludzi, przeważnie ze stanu Wisconsin), w lwiej zaś części był czerpany z dwóch dzienników polskich wychodzących w Milwaukee, rzadko z innych pism.

Pomimo tego względnego niedostatku źródeł, autor zebrał wcale pokaźną ilość obserwacji, które usystematyzował metodycznie i bardzo przejrzyście, mówiąc najpierw o zapożyczeniach leksykalnych z języka angielskiego i dosłownych przekładach z tego języka w polszczyźnie amerykańskiej, dalej o faktach syntaktyczno-morfologicznych, o wpływie angielskiej konstrukcji zdaniowej itd., wreszcie zaś o faktach fonetycznych w zakresie samogłoskowym i spółgłoskowym.

Równolegle z wyjaśnianiem owych faktów biegnie przez znaczną część książki słowniczek wyrazów i zwrotów unaoczniających dane obserwacje. Słowniczek ten można by, rzecz prosta, uzupełnić wieloma wyrazami, właściwymi niemal tylko Polonii amerykańskiej; dla przykładu wspomnę kąpielnię, wyraz odpowiadający ogólnopolskiej łazience. Z drugiej zaś strony niektóre wyrazy nie wydają mi się specjalnie „polsko-amerykańskie”. Czy np. wyraz cenzor jest w ogólnej polszczyźnie ograniczony tylko do znaczenia „sprawującego cenzurę pism”? A cóż w takim razie pocznie, znany z podręczników łaciny i historii, cenzor Kato Starszy? nie cenzurował przecie gazet, bo ich nie czytał, a zresztą w ogóle poznał litery dopiero w starości!... Albo czy trybut dostał się do polszczyzny dopiero z angielskiego? A cóż pocznie w XVII wieku zacny Wespazjan Kochowski ze swym „Trybutem wdzięczności”? Albo czy przymiotnik faworytny jest amerykanizmem? Nie słyszałem, żeby był w Ameryce Mickiewiczowski Asesor, który swego Sokoła nazywa faworytnym. Także hazardu, w znaczeniu uznanym przez prof. Doroszewskiego za amerykańskie, używa Słowacki w *Księdzu Marku*...

A czy wynalazkiem amerykańskim jest dormitarz? Przez dziewięć lat mego pobytu w internacie chyrowskim sypiałem stale w dormitarzu i ani mi kiedy na myśl nie przyszło odkrycie, że jest on: *made in America*.

Caetera... delassare valent Fabium... Muszę już kończyć tę serię „Mieszanin”, bo czytelnicy gotowi zasnąć nad moim artykułem — nawet bez dormitarza...

Dr Józef Birkenmajer.

NACZELNY REDAKTOR: KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.

Papiestwo a przełomy dziejowe.

Imperium Christi.

Stolica Apostolska jest wyjątkowym zjawiskiem historycznym i ustrojowym. Głowa Kościoła Powszechnego zasięgiem władzy objęła *orbem terrarum*. Rząd dusz, który nad człowieczeństwem sprawuje, nie dotyczy wprawdzie bezpośrednio materialnych spraw życia zbiorowego podległych kompetencji państw; jednak mocą prymatu ducha nad materią przypada Stolicy Apostolskiej w udziale zwierzchni nadzór moralny nad wszelką, a więc i państwową działalnością ludzką.

Doświadczenie wieków uczy, iż ten zwierzchni nadzór, zwłaszcza w razie konfliktów, musi z natury rzeczy przechodzić nieraz w stan defensywy, pokrewnej opozycji politycznej. Także pozytywnie rzecz biorąc, wyjednanie u państwa ustaw i warunków należycie ubezpieczających duchową działalność Kościoła wymagać może i wymagało nieraz wyjątkowej akcji o charakterze zbliżonym do politycznego. Wreszcie zdarza się, zwłaszcza w tragicznych chwilach przełomów dziejowych, że świecka działalność państw i kultur zawodzi, niezdolna ratować społeczeństwa od katastrofy tak moralnej jak materialnej. Wówczas Stolica Apostolska na czele Kościoła nie tylko podejmuje kontrofensywę moralną, lecz bywa zmuszona do zastępczej inicjatywy kierowniczej także w obrębie ziemskich losów ludzkości.

Doświadczenie historyczne uczy, że takie inicjatywy mogą przybierać postać ciągłą pewnego systemu dążeń stopniowo wprowadzanego w czyn. Wtedy przemożnym

wpływem swym duchowym i materialnym określają charakter epok, najwyraźniej jednak występują w krytycznych momentach przełomowych panowań, lub nawet w oddzielnych wystąpieniach. Otwierają one wrota czasów, przeobrażają ich ducha, obyczaje, kulturę zarówno jak systemy ustrojowe.

Miara tych przemian jest tak olbrzymia, że sądząc podług niej bez przesady nazwać się godzi Stolicę Apostolską i Kościół Rzymski osią rozwoju Europy. One ustaliły zasadniczy pion tego rozwoju zarówno przez swoje triumfy jak porażki. W dwutysiącleciu ery chrześcijańskiej nie było epoki, której by nie wprowadził na widownię dziejową Kościół, już to niepodzielnie już też współczynnie. We wstępnym okresie cesarsko-rzymskim Objawienie po raz pierwszy wszczepione zostało w zuniwersalizowaną kulturę klasyczną, jako nadprzyrodzone antidotum przeciwko jej przyrodzonej jednostronności. Gdy z katakumbowych nasion, zapłodnionych męczeńską krwią, wyrósł bujny już krzew chrześcijaństwa, ono to z rozkładowych fermentów klasycyzmu wyniosło i uratowało dodatnią część klasycznego dziedzictwa, przeistoczywszy je duchowo w kulturę rzymsko-bizantyjską. Materialnie zastępstwo upadającego zachodniego imperium przejął wówczas Leon Wielki, odpierając Attyłę od wrót Rzymu. To była pierwsza epoka, w którą wprowadzili Europę Tron Piotrowy i Ojcowie Kościoła.

W półtora wieku później Grzegorz Wielki i benedyktyni podjęli dzieło jednoczenia w wierze rozbitego przez herezję i zbarbaryzowanego kulturalnie Zachodu pod berłem już nie cesarza, lecz Biskupa Rzymskiego. Oni wnieśli samoistnie nową budowę wczesno-średniowiecznej kultury romańskiej. Po dwuchsetletnim zamęcie „żelaznego wieku” IX i X, Grzegorz VII i benedyktyni z Clugny wdrażają jeszcze większy, kosmiczny wręcz przełom, z którego wykwiła szczytowa chrześcijańska kultura krucjat: Bernarda, Franciszka, Dominika, Tomasza i gotyku.

Po czternastowiecznym wstrząsie wielkiej zachodniej schizmy papieże otwierają nową epokę renesansu poszukującą syntezy między nadziemską mistyką gotycyzmu a klasycznym umiłowaniem doczesności. Ta gigantyczna próba skojarzenia dwu podstawowych a przeciwstawnych sobie

prądów kultury duchowej zawodzi. Po dwuwiekowych zmaganiach i wojnach religijnych utrwała się opłakany rozłam wśród zachodniego chrześcijaństwa, a w następstwie indyferentyzm, jako punkt wyjścia nowej epoki materialistycznej. Za panowania Innocentego XI miecz polski pod Wiedniem zamyka tysiącletnią walkę krzyża z półksiężycem, zapewnia bezpieczeństwo rozwoju zmaterializowanej Europie i ostatnim tym czynem na wszechludzką miarę na dwa znowu stulecia, XVIII i XIX, wyprowadza katolicyzm z areny dziejotwórczej.

Jak w mrocznej otchłani wieku żelaznego, uwięziwszy Kościół w romańskich ufortyfikowanych świątyniach, poza obrębem jego wpływu formował się feodalny ustroj społecznej wszechmocy miecza, tak w jasnie oświeconym wieku racjonalizmu, wycofawszy Kościół do zakrystyj, a episkopat do salonów, zwolna dojrzewał kapitalistyczny ustroj społecznej wszechmocy złota. Aż w ogniu wielkiej rewolucji wybuchnęła zeń masońska „wolność, równość, braterstwo“, które ujęły życie w kodeks Napoleona i konstytucje demoliberalne.

Struktura Opoki.

Te znane rzeczy nawet katolicy pamiętają tak słabo, tak rzadko używają ich dla dziejowej orientacji, że gdy się pragnie dokładniej wyjaśnić dzisiejszą rolę papieżstwa, koniecznym było je przypomnieć. Najbliższy stąd wniosek dotyczyć musi ustroju Kościoła i jego najwyższej władzy. Pozbawiona bezpośrednich podstaw materialnych swą wiecznotrwałą moc czerpie hierarchia katolicka z nadprzyrodzonej wyżyny Objawienia, z kosmicznej głębi uczuć, którymi dusze chrześcijan związane są z Istotą Bytu. Ta więc ustrojowa okazała się w dziejowej próbie niezniszczalną i zdolną zapewnić jedność działań hierarchii na całym obszarze duchowo rządzonego globu.

Nie tylko jednak przestrzenna jedność, lecz i bezprzekładna ciągłość, nieugiętość, konsekwencja działań, przy łagodnej powściągliwości ich form, znamienne cechują Stolicę Apostolską w perspektywie wieków, które są dla niej tylko odcinkami wieczności. Tę ciągłość rodzi naprzód Obja-

wieniem wskazany, wiekuiście niezmienny, podstawowy cel dążeń do Królestwa Chrystusowego na ziemi, które pod jednym Pasterzem zjednoczyć ma w jednej owczarni wszystkie narody i rasy. Ta ciągłość dążeń, podobnie jak jedność działań, wypływa również z charakteru funkcji rządu dusz, jako też niezmiennych norm prawa Bożego i prawa natury, na straży których postawiony został Tron Piotrowy. Ponadto zapewniają tę ciągłość również właściwości ustrojowe papieństwa przystosowane do kosmicznej miary zadań Bożego Namiestnictwa na ziemi.

Pośród tych właściwości uderza na pierwszym miejscu samowładztwo z Bożej Łaski, przez nią wysoko wyniesione ponad wszelką inną władzę pochodną od Boga nie wprost lecz tylko za pośrednictwem prawa natury. To samowładztwo ograniczone jest tylko przez dogmat i prawo Boże. Jego ściślejsza duchowna sfera działania oddziela je też wprawdzie od materialnej sfery zwierzchnictwa państw świeckich. Nie brak jednak wzajemnego przenikania obu tych sfer, podobnego do związku jaki istnieje między duszą i ciałem ludzkiej jednostki. Nie powinno więc zabraknąć także analogicznej supremacji sfery pierwszej nad drugą.

Z absolutyzmem władzy papieskiej kojarzy się nieograniczony zasięg przestrzenny, który jej nadaje charakter monarchii uniwersalnej, duchowego *imperium mundi*, wypływający z Namiestnictwa Boskiej wobec wszelkiego stworzenia wszechmocy. Doświadczenie przeszłości uczy, że samowładztwo i uniwersalizm Piotrowego Tronu w olbrzymiej mierze objęły nie tylko sferę duchowego rozwoju człowieczeństwa, lecz także jego materialne losy dziejowe. Jak już wspomniałem, równoległy do nadprzyrodzonego i pomocniczy wobec niego mandat historyczny powszechnej władzy ziemskiej, przejęła Stolica Apostolska od chylącego się ku upadkowi świeckiego tronu Walentynianów. Ostatni, chrześcijańscy cesarowie zbizantynizowanego kulturalnie Rzymu, chętnie mianujący się „biskupami rzeczy zewnętrznych”, poszukiwali oparcia w nowej duchowej a uniwersalnej potędze Stolicy Piotra. Nie odmówili jej ze swej strony *auxilium brachii saecularis*, dopóki udzielić go byli jeszcze w stanie. Apokryfem okazało się *donatio Constantini*, ale na nazwę *donatio*

Valentiniani zasługiwać się zdaje autentyczny edykt cesarski, który w tych herezjami zaburzonych czasach, zapewnił posłuch władzy papieskiej na całym obszarze zachodniego imperium i zachodniego patriarchatu. Był to już w każdym razie pewien realny, pozytywny kontakt obu najwyższych, uniwersalnych władz: duchownej i świeckiej.

Historycznie, rzeczowo i ustrojowo choć nie formalnie, przekazał jednak Tronowi Piotrowemu dziedzictwo świeckiej władzy zachodnio-rzymskiej ów wstrząsający, jeden z najtragiczniejszych i najwspanialej bohaterских momentów dziejowych, gdy cesarz zamknął się w ufortyfikowanej pośród błot Rawennie, gdy wódz z czterdziestoma tysiącami półbarbarzyńskich legionów stał w obliczu krociowych hord Atyli, gdy nad światowładnym tak długo imperium zdawał się już zwiśać ostateczny dzień sądu i zagłady. Wtedy to cesarz i wodza zastąpił Biskup Rzymu, nieustraszony starzec, Leon. Samotrzcę stanął twarzą w twarz przed „biczem Bożym“, Boską potęgą ducha odparł najazd, ocalił państwo i zapewnił mu cichy, bezbolesny, bezkłęskowy koniec jego olbrzymiego dziejowego żywota, w ćwierć wieku później, w małej rewolucyjce pałacowej. To też gdy pierwszy barbarzyński król Italii odsyłał insygnia cesarskie do Bizancjum, duch ziemskiej władzy uniwersalnej uleciał ze „świętego pałacu“ cesarskiego w Rawennie z powrotem do Rzymu i osiadł na Lateranie. Odtąd rzecz można, iż wszedł w skład *patrimonii Petri*, że stanął do pomocy Duchowi Bożemu, by rękoma Grzegorzów otwierać i zamykać podwoje czasów, które szły.

W ustroju tego nowego Chrystusowego imperium ujawniły się jeszcze dwie inne cechy organiczne, a dla jego sprawności dziejotwórczej bardzo doniosłe: to bezwzględnie osobisty charakter oraz elekcyjność pontyfikalnego samowładztwa. Elekcyjność władzy absolutnej jest historycznym i ustrojowym unikatem, zawiera bowiem w sobie *contradictionem in adiecto*. Elekt zawsze pozostaje zależnym od elektora. Wyjątek okazał się możliwym tylko wtedy, gdy gremium elektorskie uznaje samo siebie jedynie za narzędzie Ducha Świętego, elekt zaś natychmiast po wyborze staje się Nominatem Boga i Namieśnikiem Chrystusa. Na-

tychmiast po wyborze roztwiera się pomiędzy wybranym a wyborcami podobna przepaść różnicy dostojęstwa, powołania i władzy jak między Chrystusem a Jego apostołami. Stwierdza ją dziekan św. Kolegium, kardynał biskup Ostii, gdy usłyszawszy z ust dotychczasowego współtowarzysza zgodę na przyjęcie wyboru i suwerenne imię, natychmiast przed nimi klęka, na znak hołdu.

Z tego samego sakralnego źródła płynie bezwzględnie osobisty charakter najwyższej Władzy kościelnej, oraz uderzający historyczny fakt jej sprawowania przez wyjątkowo wielką liczbę indywidualności dość silnych, by godnie unieść ciężar potrójnej korony. Dzieje Kościoła nie mają wielkich sekretarzy stanu. U Tronu Piotrowego nigdy nie stanął żaden Richelieu ani Mazarini, Bismarck, Cavour lub Gladstone, tym mniej — Mussolini. Wybitni jak Antonelli i Rampolla niknęli zawsze w półcieniu wobec Piusów Dziewiątych i Leonów Trzynastych. Wielkim dziejotwórcą bywał zawsze tylko oświadczenie sam władca — Namiesnik Chrystusa.

Rozstrzyga o tym Duch Święty na konklawe; ale jako materialne narzędzie ma do pomocy ustrojową zasadę elekcji wysoko kwalifikowaną większością przez szczupłe gremium wyborcze. Samo ono powstało w drodze bardzo starannego doboru długo doświadczonych, starszych wiekiem, patriarchów Kościoła Powszechnego. Stąd wynika materialne *maximum* widoków wyboru najgodniejszego spośród najgodniejszych. W pierwszym tysiącleciu dziejów Kościoła, przed reformą gregoriańską, która ustanowiła św. kolegium kardynalskie, wybór nie zawsze mógł być wolnym od wpływów przypadku lub przemocy zewnętrznej, co szczególnie groźnym bywało w pomroce wieku żelaznego.

Rzym wojujący.

Ducha Bożego pełna, a takim ustrojem zbrojna, prowadziła więc Stolica Apostolska bieg dziejów świata, złotym młotkiem jubileuszów, uderzając w symboliczne drzwi stuleci, wielkimi zaś rozstrzygnięciami wielkich panowań, rozwiązując rzeczywiste epoki. Każda z nich znaczyła nowy etap na wielkim szlaku tej generalnej i najwyższej misji dziejowej

Kościół Rzymskiego, jaką jest bojowanie o Królestwo Boże na ziemi. Olbrzymich ono wymagało zmagających, głębokich przełomów, ciężkich przejść, groźnych wstrząsów, ciężkimi nieraz klęskami godziło w Nawę Piotrową. Ileż to razy u wrót Rzymu, zbrojnego jedynie w Moc Bożą, stawały zbrojne zastępy wrogów; ileż razy one zdobywały i pustoszyły Wieczne Miasto; ile razy pędziły zeń Namiestnika Chrystusowego na wygnanie, raz nawet „babilońskie” dziesiątki lat trwające. Mimo to, choć chwilowo przyćmiona, nie wygasła nigdy ani duchowna ani ziemską moc Stolicy Rzymskiej. Prędzej zaś lub później odradzała się jak feniks z popiołów, by nowym blaskiem zajaśnieć na nieboskłonach dziejów.

Z tego więc dwutysiąclecia ery chrześcijańskiej wyszła Stolica Apostolska w czasy nowsze i najnowsze jako jedyna instytucjonalna więź bezpośrednią ciągłością dążeń wiążąca starożytność, średniowiecze, renesans z wiekiem „pary i elektryczności”, postępu, demokracji i pozytywizmu.

Wkroczyła więc strojna w ornat koronacyjny niezrównanego, niedoścignętego dla ustrojów świeckich majestatu wielkiej tradycji dzieło i kulturo-twórczej, odziana renesansowym przepychem dworskim Watykanu, lśniąca klejnotami archaicznych dostojęństw bezpośrednio przejętych z walentyńskiej Rawenny, jak *maior domus sacri palatii apostolici*. Uniżona sługa sług Bożych, łaską i Namiestnictwem Boga wywyższona do steru świata, ojcostwa królów i książąt,¹⁾ państw i narodów Europy, błogosławiła zawsze „miastu i światu”, lecz nie zawsze w jednakiej mierze bywało jej powierzone kierownictwo ich ziemskimi losami.

W czasy nowsze wkroczyła więc Stolica Apostolska, przejściowo wytracona z głównego łożyska dziejów, podobnie jak w stuleciach IX i X obezwładniona przewagą materii, płynącej z ustrojów i nastrojów świeckich. Podobnie też jak wtedy uderzać poczęły o Nawę Piotrową gwałtowne burze przewrotów. Czterokrotnie w XIX wieku był zdobywany Rzym przez siły zbrojne wrogów Kościoła. Cztero-

¹⁾ Z formuły koronacyjnej.

krotnie papież musiał opuszczać Wieczne Miasto, poszukując wygnańczego schronienia, lub uprowadzany przemocą, o ile nie pozostawał jako więzień w Watykanie. Zwyródniały materialnie w przeludnieniu, a duchowo w materializmie ustrój stanowo-absolutystyczny *ottocento* rozsadzony został siłą wybuchową „wolności, równości i braterstwa”. Od wielkiej rewolucji aż po „wiosnę ludów” 1848 r., lub nawet nacjonalistyczne zjednoczenia Niemiec i Włoch, szalał nad Europą *Sturm und Drang Periode*, wyłaniając z romantycznych wolnościowych zapałów zmateralizowaną klasowo demokrację kapitalistyczną. Zarówno liberalizm, jak nacjonalizm oraz imperializm napoleoński z jednaką mocą godziły w Łódź Piotra, szamocąc nią i grożąc zatopieniem.

Tragiczne wstrząsy napoleońskich pontyfikatów Piusa VI i VII wyprowadziły Stolicę Apostolską z bezwładu zatęchłej atmosfery XVIII stulecia. Drżały pod ciosami Korsykanina sterroryzowane trony świeckie, budziły się sprężone energie narodowe i demokratyczne, ale równocześnie wzmagala się duchowa odporność Watykanu. Występuje ona w całej pełni po krytycznej wiosnie r. 1848. Był to rok decydujący w kształtowaniu, poza obrębem wiary i Kościoła, kapitalistycznego ustroju. Wraz z nim i również poza obrębem wiary i Kościoła dominowała obca wiekuistej Prawdzie, nowa kultura triumfującego materializmu. Wprawdzie zniszczywszy Państwo Kościelne i uwięziwszy Watykan pod zwierzchnictwem Kwirynału ustały albo osłabły bezpośrednie zamachy, lecz zastąpiło je systematyczne oblężenie ideowe. Jego minowe podkopy pod objawioną Prawdę jako fundament uniwersalnej twierdzy organizacyjnej Kościoła były jeszcze groźniejsze od zbrojnych szturmów na Wieczne Miasto. To też Duch Boży, który zawsze zdąża kędy chce i gdzie jest nieodzowny, w porę tchnął na Św. Kolegium wskazując mu znów po trzykroć trzy indywidualności, które na długo obsadziły Tron Piotrowy w trzech wielkich panowaniach. W uderzającym kontraście z ubezwładnionymi przez demoliberalizm monarchiami świeckimi, zajaśniały te trzy panowania pełnym blaskiem żywotności, prężności, inicjatywy i odwagi.

Epoka wielkomieszczańska.

Lwią część zwrotnej lecz ograniczonej zaledwie do lat kilkudziesięciu epoki wielkomieszczańskiej wypełniły pontyfikaty Piusa IX, Leona XIII i Piusa X. Każdy z nich miał określone zadanie do wypełnienia. Dobrośliwy, ujmującej powierzchowności i obejścia Pius IX, do którego lgnęły serca, objął Stolicę Apostolską w przededniu owej burzliwej „wiosny ludów“, która ostatecznie rozstrzygnęła o zwycięstwie nowych demoliberalnych zasad ustrojowych nad absolutyzmem biurokratyczno-policyjnym; a także o tryumfie zasady narodowościowej nad legitymizmem dynastycznym.

Pomimo że siły reakcji przeciwko uciskowi, oraz o bojowym rozpędzie prądy wolnościowej, równościowej i nacjonalistycznej przybrały cechę żywiołowego rozkiełznania, wrogię wszelkiemu autorytetowi tak że niemożliwym było asymilować je do światopoglądu katolickiego, jednakże Pius IX zajął wobec nich z początku postawę ugodową, pojednawczą. Próbował je uspokoić umiarkowanymi ustępstwami, okiełznać, zrównoważyć i pozyskać w ten sposób dla współpracy z Kościołem w budowie Królestwa Bożego na ziemi. Nadał więc konstytucję Państwu Kościelnemu i powołał rząd parlamentarny. Jego popularność pośród spragnionych wolności szerokich warstw ludu włoskiego była wielka. Rozłam nastąpił jednak wkrótce w zderzeniu z demokratycznym prądem narodowo-zjednoczeniowym.

Il papa-re nie mógł się podjąć misji zjednoczenia Włoch, gdyż byłaby go ona wprowadziła w konflikt równocześnie z trzema katolickimi dynastiami: konkurencyjny o koronę włoską z domem sabaudzkim, eliminacyjny z Bourbonami, których by wypadło usunąć z królestwa obojga Sycylii, oraz z Habsburgami, którzy od XVIII wieku podpierali zachwiane trony włoskie wraz z Państwem Kościelnym włącznie. Gdyby więc Pius IX, zgodnie z nawoływaniem chóralnej opinii przystąpił wspólnie z Piemontem do wojny z Austrią, celem wyparcia jej z Werony i Wenecji, to musiałby się całkowicie podporządkować nowemu prądowi, który był katolicyzmowi obcy, a nawet wrogi, bo ściśle związany z masonerią.

Wtedy więc padło z łagodnie zazwyczaj uśmiechniętych warg Piusa IX owo spokojne, lakoniczne: *Non possumus*, które wkrótce urosło do miary symbolu nieugiętej postawy władczej wobec wrogich a przemożnych sił. Kosztowało ono Piusa IX bezpośrednio Rzym, Stolicę zaś Apostolską — Państwo Kościelne. Uwięziony po raz pierwszy w pałacu watykańskim przez rewolucję w r. 1848, zmuszony był ratować nie tyle swoją osobę ile niezależność najwyższej władzy duchownej przez ucieczkę do Gaety. Gdy zaś powrócił do Rzymu w oparciu o zwycięską na razie potęgę Habsburgów, wówczas już udzielił swemu sekretarzowi stanu kardynałowi-diakonowi Antonelliemu *carte-blanche* na absolutystyczną reakcję w rządach Państwem Kościelnym.

Sam oddał się całkowicie zadaniom odrodzenia i umocnienia Stolicy Apostolskiej w jej ściśle duchownej sferze działania. Stawało się to koniecznym po części wobec kurczących się podstaw papieskiej władzy świeckiej, jeszcze bardziej zaś wobec zagrożeń ideowych, jakimi w Prawdę objawioną i w Kościół Rzymski godziły zwycięskie prądy i ustroje demoliberalne. Z tych założeń wychodząc, ogłosił Pius IX w r. 1865 słynną encyklikę *Quanta cura* wraz z załączonym do niej *Syllabus*’em, czyli rejestrem potępiającym błędy przeciwko prawu Bożemu i prawu natury, którymi grzeszą zwycięskie idee demoliberalne. Były to akty bojowe, wyzywające wobec nowego ducha czasu, bo mu groziły nałożeniem twardych, nieznających nadużycia wolności wędzi-deł. Ze strony przeciwników spotkało się to nowe Piusowe *non possumus* z zarzutem wstecznictwa. W obiektywnej zaś ich wartości ze stanowiska katolickiego uważać je należy za wyraz obronnej postawy Kościoła wobec idei, pojęć i urządzeń epoki wielkomieszczańskiej i kultury materialistycznej.

Jakby w odpowiedzi na to, w pięć lat później, wrogie Kościołowi siły pozbawiły Stolicę Apostolską na długo władzy świeckiej. Pius IX ogłosił się więźniem Watykanu. I znowu w czynnej defensywie wobec atakującego Kościół materializmu, Pius IX zwołuje sobór watykański, by jeszcze wyżej niż dotąd, wynieść duchowe *imperium mundi* przez dogmat nieomyślności; równocześnie zaś przypomnieć i podnieść w zmateralizowanym człowieczeństwie jego wysoką

godność duchową przez dogmat o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej, a człowieczej Bogarodzicy.

Pośród dziejowej burzy, która zmaterializowała ustrój i kulturę tryumfem rozkiełzanych namiętności, Pius IX słodki, niezłomny i nieustraszony wznosił ideową warownię katolicyzmu, ostrymi blankami akcentowanych różnic odgradzając ją od dążeń czasu. Ocalił przez to przed niebezpieczeństwem kompromisu nienaruszony skarb objawionej Prawdy, Opokę zaś Piotrową — przed uległością. Z obwarowań prasowych mógł jego następca podjąć działalność szerszą, rozleglejszą, wkraczającą w sam odmęt rzeczywistości.

Jeśli pontyfikat Piusa IX stanąwszy u wrót wielkomieszczaństwa skupił przeciwko niemu defensywę chrześcijańską pod osłoną wyniosłych wież dogmatu, to Leon XIII w momencie szczytowego rozkwitu kapitalistycznej demokracji określił czynny do niej stosunek i współudział katolicyzmu. Jakkolwiek ustrój i kultura wykształtowane pod koniec XIX stulecia były obce, a nawet wrogie katolicyzmowi, to jednak zbyt wielki przyjęły one rozmach ażeby nie należało uznać, że mają one sobie od Boga wyznaczoną pewną pozytywną misję rozwojową do wypełnienia. Tym samym należało nie tylko defensywnie przeciwko niej umacniać, lecz i pozytywnie w nią wprowadzać chrześcijaństwo właściwie dobranymi drogami.

Mając już poza sobą dostatecznie długi okres obserwacji sił społecznych i prądów kulturalno-twórczych libero-kapitalizmu, starannie wybadawszy zarówno dodatnie ich strony, jak związane z nimi błędy, Leon XIII podjął więc wielką akcję nauczycielską i wskazującą nowe wobec tych „rzeczy nowych” chrześcijańskie drogi postępowania. Gdy Pius IX w *Syllabus*’ie przede wszystkim negował, potępiał, zabraniał i wskazywał czego unikać należy, Leon XIII w długim szeregu encyklik długiego swego panowania oddzielił w „rzeczach nowych” ziarno od plewy, sformułował pozytywną chrześcijańską teorię życia zbiorowego, wskazał miarę jaką należy zachować w dążeniach nowej epoki i metodę jaką należy stosować dla przeciwdziałania jej stronom ciemnym.

W dwu zwłaszcza kierunkach: społecznym i umysłowym, wydało to Leonowe nauczycielstwo płodny owoc. Wiekopomna encyklika *Rerum Novarum* z r. 1891 powołała do życia chrześcijańską demokrację oraz chrześcijański robotniczy ruch społeczny, określając czynną postawę chrześcijaństwa wobec demokracji kapitalistycznej wraz z nieodłączną od niej walką klas. Na gruncie tej suwerennej inicjatywy Leonowej rozwinęły się też potężne katolickie stronnictwa polityczne: w Niemczech, Austrii i Belgii. Wprowadzały one katolicyzm w życie demoliberalnego ustroju i dostarczyły Kościołowi tej materialnej siły społecznej, bez której nie można skutecznie wpływać na kształtowanie w duchu chrześcijańskim doczesnej rzeczywistości.

Drugie równoległe wielkie dzieło w zakresie światowego rządu dusz wypełnił Leon XIII pod hasłem *Deus scientiarum dominus*. Odrodził ruch umysłowy katolicki dając mu za podstawę szczytowe osiągnięcie intelektualne kultury gotyckiej: filozofię św. Tomasza z Akwinu. Wszczęty w środowisku katolickiego uniwersytetu w Lowanium pod auspicjami prymasa Belgii, słynnego współpracownika Leonowego, kardynała Mercier, ten ruch neo-scholastyczny nie mógł wprowadzić organicznie się włączyć w zmateriaлизованą atmosferę umysłową epoki, ale wdarł się w nią niejako przemocą, zdobywając pozycję wydatną, choć wobec innych współczesnych prądów intelektualnych wyodrębnioną. W materialistyczną jednostronność myśli naukowej XIX i XX wieku wprowadził element odśrodkowy, któremu też z czasem wyszły naprzeciw powstające w samej nauce współczesnej antymaterialistyczne reakcje. Przede wszystkim jednak już za Leona XIII, neo-scholastyka rehabilitowała intelektualnie katolicyzm żywym wysiłkiem myśli filozoficznej, zadając kłam zarzutom bezwładu umysłowego, którymi był zwalczany przez pozytywistycznych wrogów za Piusa IX.

Oba te wielkie dzieła pontyfikatu Leona XIII: ruch społeczny i ruch umysłowy katolicki wprowadziły wiarę i Kościół ponownie na głęboki nurt dziejowej ewolucji, płynąc pod wodę panującego nad nią w epoce wielkomieszczańskiej materializmu. Wszczepiły się skutecznie w szybko tętniący bieg nowoczesnego rozwoju, rozrastając się płodnie

na niwie społecznej, równocześnie pociągając talenty i wierając wpływ na literaturę, zwłaszcza francuską. Wracając katolicyzm życiu nie zdołały jeszcze wprowadzić życia nawrócić na katolicyzm, ale weszły weń, w jego dynamikę, wprowadzając je ponownie w kontakt z wiekiustą Prawdą oraz jej ziemską kościelną reprezentacją. Były wstępny awangardowym uderzeniem zdobywającym w ustroju i kulturze materialistycznej przedpole dla dziejotwórczej ofensywy generalnej.

Znów na przełomie.

W szybkim „elektrycznym” tempie pośował się naprzód rozwój, a równolegle i rozkład nowej epoki. Powstając sądziła się być koroną i finałem dziejów człowieczeństwa, definitywnym szlakiem nieskończonego postępu ku materialnej szczęśliwości życia ziemskiego. Jednak ukazała zgół odmienne oblicze triumfów techniki z jednej, rozpasanej zaś pogoni za złotem i dzikiej walki klas z drugiej strony. To były wewnętrzne, społeczne i moralne momenty rozkładu, które obok międzynarodowej walki o byt w początkach XX wieku, poczęły fermentować coraz groźniejszym niepokojem, zwiastunem nadciągającej nowej wielkiej burzy.

W tej perspektywie ster Nawy Piotrowej powierzyła Opatrzność dwu mniejszej miary lecz niemniej celowym i użytecznym pontyfikatom Piusa X i Benedykta XV. Po Malachiaszowym *Crux de cruce* (Pius IX) i *Lumen de coelo* (Leon XIII), a więc dwóch wielkich panowaniach punktem ciężkości zwróconych na zewnątrz, ku obronie lub ekspansji katolicyzmu, Pius X, *Ignis ardens*, miał religijnie pogłębić i organizacyjnie uporządkować rozległy już nurt katolickiego odrodzenia. Dokonał tego w trzech ważkich, starannie opracowanych posunięciach. Religijnemu pogłębieniu w szerokiej skali propagandowej służył wzmożony ruch eucharystyczny oraz zapoczątkowana Akcja Katolicka. Rozpowszechniającą się wiarę osłonił Pius X przed skłonnością do kompromisu dogmatycznego, potępiając modernizm odpowiednią encykliką i nowym Syllabusem. Wreszcie zaś uporządkował organizacyjnie życie kościelne nowym kodeksem prawa kanonicznego.

Pius X zamknął oczy na progu wielkiej wojny. *Religio depopulata*, Benedykt XV w swym pontyfikacie miał sobie od Opatrzności zleconą misję przeprowadzenia Łodzi Piotrowej pośród długoletniego orkanu, który wstrząsnął do głębi wewnętrznym i międzynarodowym ustrojem wielkomieszczańskiego świata. Ksiązę pokoju, Namiestnik Chrystusowy, z natury swego powołania stanąć musiał raczej na uboczu od tych tragicznych zmagających się czysto materialnej, zbiorowej walki o byt. Uspokajać, łagodzić, pośredniczyć, celowo kierować kojącą akcją miłosierdzia to było zadaniem tego przejściowego, ochronnego dla wiary i Kościoła panowania.

Na Benedykcje zakończyć też wypada niniejszą zwięzłą charakterystykę doczesnej działalności Stolicy Apostolskiej w czasach poprzedzających okres przeżywany obecnie. Charakterystyka ta była nieodzowną dla właściwej oceny ostatniego, świeżo zamkniętego panowania. Jego bowiem wielkość występuje z należytą plastyką dopiero wtedy, gdy się ją włączy jako ogniwo w łańcuch rozwojowy, z którego wyrasta i gdy się odmaluje tło, na którym się rozwinęła. Dziejotwórczej perspektywie pontyfikatu Piusa XI poświęcimy więc artykuł następny.

Stanisław Szczutowski.

Związek Sowiecki wobec kryzysu niemiecko-polskiego.

Kryzys, który nastąpił w stosunkach niemiecko-polskich, grożąc w każdej chwili możliwością przerodzenia się w zbrojny konflikt i wojnę europejską, zmusza siłą rzeczy zarówno Polskę, jak i Sowiety do poddania rewizji doświadczeń w zakresie możliwości współżycia, może nawet współdziałania, tych dwóch państw, skazanych na sąsiedztwo, mimo dzielącej je przepaści różnic ideologicznych i ustrojowych.

Dla całego świata politycznego, w tej liczbie również dla kierowników państwa bolszewickiego, jest jasne, że obecny niemiecki napór na Polskę jest tylko etapem w zaborczych zamiarach Niemiec, zakrojonych na bardzo szeroką skalę. Ostrze ich jest zwrócone również a może przede wszystkim przeciw Związkowi Sowieckiemu, choć w tej chwili kieruje się je przeciw innym mocarstwom Europy.

W okresie ostatnich kilkunastu miesięcy sprawa zachowania i ugruntowania niepodległości i całości Polski stała się zagadnieniem żywotnym — trzeba to wiedzieć i zrozumieć — również dla Rosji Sowieckiej. Uzależnienie Polski od Niemiec lub, jeszcze gorzej, upadek niepodległości Polski, to dla ZSSR bezpośrednie, śmiertelne niebezpieczeństwo zetknięcia się oko w oko z zachłannym i wciąż jeszcze prężnym hitleryzmem. Wojna na dwa fronty — na Zachodzie z Niemcami, na Wschodzie z Japonią, a prawdopodobnie i na froncie trzecim na południu z Włochami, stałaby się wówczas dla Rosji Sowieckiej nieuniknioną i odbyłaby się dla ZSSR w sytuacji militarnej jak najbardziej niekorzystnej.

Wydaje się, że rządzący Związkiem Sowieckim rozumieją też, iż jakiś kompromis między Sowietami a Niemcami, o którym prasa światowa raz po raz podaje sensacyjne doniesienia, acz teoretycznie niewykluczony, byłby tylko kompromisem taktycznym, przejściowym i z wyłączną korzyścią dla Niemiec. Zyskany czas, zresztą niezbyt długo-trwały, obrócony na wzmoczenie tempa zbrojeń i przygotowań wojennych, nie wyrównałby na pewno szkody wyrządzonej bezpieczeństwu ZSSR przez ogromne wzmocnienie Niemiec i bezpośrednie przybliżenie ich granic do ZSSR, po ewentualnym podboju czy choćby tylko uzależnieniu Polski.

To, co kiedyś w latach prężności i szturmu rewolucyjnego oburzało bolszewickich przewodców na Polskę, a mianowicie fakt, że jest ona barierą nie przepuszczającą zaborczo-rewolucyjnego bolszewizmu na zachód Europy,¹⁾ to samo w innej co prawda sytuacji i w zgoła odmiennym aspekcie, jest obecnie w oczach mężów stanu ZSSR czymś bardzo pożądanym. ZSSR chętnie widzi Polskę znowu w roli bariery, ale tym razem przeciwko zaborczości innego, brunatno-niemieckiego totalizmu. Oby jak najprędzej i jak najpowszechniej zrozumiano rolę Polski, która była i chce być pomostem dla przesiąknięcia kultury i cywilizacji chrześcijańsko-zachodniej na wschód, ale która w przeszłości, jak i w teraźniejszości przeciwstawia się wszelkim zbrojnym najazdom dynamicznych prądów ze wschodu na zachód czy też odwrotnie. Polska chce i może być pomostem do pokojowego współżycia narodów, ale zarazem musi być wałem ochronnym przeciw najeźdźcom ze wschodu czy z zachodu. Taką pozycję dyktuje Polsce zarówno jej położenie geopolityczne jak i jej wyznaczone przez Opatrzność po-

¹⁾ W r. 1925 ówczesny i obecny sekretarz Kominternu, Manuilski, jeden z najbliższych współpracowników Stalina oświadczył: „Istotna rola współczesnej Polski polega na tym, aby być barierą uniemożliwiającą przedostanie się idei komunistycznej na zachód... Dlatego obecnie międzynarodowy proletariatus musi postawić sobie zadanie zdruczenia kapitalistycznej Polski“ (Cytuję według *Historii KPP* J. A. Reguły, 2 wyd. 1934, str. 124).

wołanie służenia sprawie pokoju na głównym szlaku i skrzyżowaniu dróg Wschodu i Zachodu Europy.

Jest więc Związek Sowiecki aktualnie zainteresowany w utrzymaniu niepodległości i całości Polski z uwagi na swój własny życiowy interes.

Do tego samego wniosku dojdziemy, gdy rozpatrzymy sprawę z szerszego punktu widzenia. ZSSR od lat orientuje się na wielkie mocarstwa demokratyczne, jako na państwa zainteresowane w utrzymaniu *status quo*, a więc pokoju, przeciw państwom totalistyczno - nacjonalistycznym, nie tyle zbrojącym się przeciw komunizmowi, ile przygotowującym się na kęsy, bogatej w surowce, ziemi sowieckiej.

Bolszewizm wiele już utracił i ciągle jeszcze traci ze swej prężności i możliwości skutecznego oddziaływania na zewnątrz. Uwiad to starczy czy czasowy paraliż; fakt, że bolszewizm kurczy się w Europie, znajduje się od lat w odwrocie, a próby zrywu do nowej ofensywy rewolucyjnej kończą się bez wyjątku tragicznie. Widzą to nie tylko przeciwnicy komunizmu, ale również sami przewodcy bolszewizmu. Przy tym, może właśnie w związku z utratą zdolności odniesienia zewnętrznych zwycięstw, ZSSR zaabsorbowany jest wewnętrznymi trudnościami i do pewnego stopnia wewnętrzną twórczością cywilizacyjną i pracą gospodarczą o militarnym przeważnie charakterze.

Przejściowy okres między jednym a drugim kryzysem rewolucyjnym w Europie, okres gromadzenia sił i wyczekiwania nadejścia drugiej fazy rewolucji przeciąga się dla komunistów nazbyt długo. Okres ten wypełnia się procesem krwawych „czystek” wewnętrznych, które mimo powszechnych oczekiwań, nie zakończyły się wraz z odejściem obłąkanego Jeżowa. W czasie największego naprężenia w stosunkach polsko-niemieckich, gdy germańskie niebezpieczeństwo czyhało zarówno na Bałtyku, jak i na Morzu Śródziemnym, przeprowadził Stalin rozprawę z kierownictwem sowieckiej floty morskiej i żeglugi śródlądowej, unieruchamiając faktycznie swą flotę na dłuższy czas. W chwili, gdy W. Brytania i Francja podążają daleko w swych posunięciach dyplomatyczno - obronnych, idących zdawałoby się po myśli również aktualnej polityki sowieckiej — Najwyższy

Sowieci usuwa wieloletniego komisarza spraw zagranicznych Litwinowa, rozpoczynając, zwyczajem stalinowskim, nie wiadomo już który z rzędu pogrom dyplomacji sowieckiej!

Ten stan rzeczy nie może bynajmniej świadczyć o jakiejś stabilizacji stosunków, a więc i polityki sowieckiej. Ale też ten właśnie stan rzeczy trzeba mieć na uwadze przy rozważaniu możliwości jakiegoś współdziałania ze Związkiem Sowieckim.

W narzuconym sobie okresie przejściowym, który stał się równocześnie okresem stagnacji, Związek Sowiecki usposobił się na pewien czas pokojowo i w tym swoim usposobieniu znalazł się na linii polityki tzw. demokratycznych mocarstw Zachodu, które coraz bardziej rozumieją, że pokój da się uratować jedynie przez zajęcie bezkompromisowej, twardej postawy wobec totalistycznych napastników, grożących zwichnięciem równowagi na kontynencie Europy, z równoczesnym zastosowaniem pewnej rozsądnej ugodowości w sprawach kolonialnych, surowcowych i komunikacyjnych na szerokim świecie ze strony państw „sytych” w stosunku do państw „głodnych”, potrzebujących naprawdę nie tyle przestrzeni i rąk roboczych co właśnie surowców i rynków zbytu. Dodawać chyba nie potrzeba, że Polska, aczkolwiek nie robi o to takiego hałasu, jak Niemcy i Włochy, do tych naprawdę potrzebujących państw należy i wobec swego naturalnego rozrostu coraz bezsporniej należeć będzie.

Prowadzi tedy Związek Sowiecki, od lat kilku, politykę „pokojową”, piszemy „pokojową” w cudzysłowie ze względu na intencje i na metody. Nie łudzimy się, bo wiemy, iż pokojowych intencji Związek Sowiecki nie ma i że mieć ich nie może w stosunku do żadnego państwa tak długo, jak długo nie wyrzeknie się ostatecznie światoburczych planów międzynarodowej rewolucji socjalistycznej i nim nie porzuci stalinowskiego mitu o tzw. kapitalistycznym otoczeniu, nie dającym się zharmonizować z istnieniem Związku Sowieckiego. Metody zaś sowieckiej polityki nie były zbyt pokojowe nawet w czasie najbardziej „ligowej” polityki. Intrzygi i podżegania sowieckie były nieraz demaskowane, nie potrzebujemy więc przypominać faktów. Ostatnia jeszcze mowa Stalina na XVIII zjeździe partii bolszewickiej w marcu br.

zawierała karkołomne twierdzenie, że Anglia i Francja pchają Niemcy do wojny przeciw Polsce i ZSSR i że próba z „Ukrainą” Przykarpacką była właśnie intrygą wojenną angielsko-francuską. Należy przypuszczać, że mimo wielkich trudności, na które państwa pokojowe napotykały na drodze swego współzycia ze Związkiem Sowieckim — górę weźmie wzajemny, aktualny interes zachowania pokoju i odparcia roszczeń zaborczych, a Sowiety nie tyle pozostaną w bloku państw pokojowych, ile dopiero naprawdę do tego bloku przystąpią. W tym też kierunku można spodziewać się prowadzenia polityki zewnętrznej Sowieców przez nowego komisarza spraw zagranicznych Mołotowa (Skriabina), najwybitniejszej, obok Stalina, jednostki wśród wodzów bolszewizmu w chwili obecnej.

Nie trzeba wszakże tracić z pola widzenia całości polityki bolszewickiej, kierującej się mirażem światowej rewolucji komunistycznej, polityki, nie porzuconej dotychczas, mimo wszystkich niepowodzeń. Nawet uprawiając aktualnie politykę pokojową liczą bolszewicy na to, że za jej pomocą uda im się zrealizować swój dalekosiężny cel rewolucyjny. I chodzi tu nie tylko o fakt, iż drogą uratowania pokoju i zatrzymania pochodzenia hitleryzmu zostanie zachowany w całości Związek Sowiecki, ta „twierdza rewolucji międzynarodowej”. Bolszewicy liczą na coś więcej. W najnowszej stalinowskiej strategii swoista polityka pokojowa Sowieców ma również inne zgoła zamiary. Bolszewicy są przekonani, że w razie nieokazania przez państwa „syte” ustępstw państwom „głodnym”, do wojny dojść musi, a raczej wojna ta już się zaczęła. Cały wysiłek sowieckiej polityki polega na tym, aby nie dopuścić, by wojna ta bezpośrednio zahaczyła o sowieckie granice. Wbrew swym zapewnieniom, bolszewicy powitają z zadowoleniem wybuch wojny pomiędzy państwami cywilizowanymi, w ich nomenklaturze: kapitalistycznymi. Uważają, bowiem, nie bez pewnej słuszności, że poprzez wojnę obie strony wzajemnie się tylko osłabiają i w pewnej perspektywie czasu widzą już chwilę, gdy komunizm znowu będzie mógł czynnie wkroczyć na arenę europejską i, wyzyskując osłabienie tych państw, rozniecić tam pożar rewolucji komunistycznej.

Rzecz jasna, że Sowiety życzą sobie klęski wojennej państw tzw. faszystowskich i są gotowe dużo zrobić, aby do tej klęski doprowadzić, ale to „dużo” nie oznacza wcale, iż Sowiety są naprawdę gotowe i chętne, by przyjść z pomocą bezpośrednio-zbrojną państwu napadniętemu przez oś totalnego nacjonalizmu. W istocie rzeczy pomoc sowiecka, w mniemaniu samych bolszewików, ograniczyć się winna do dziedziny uzbrojenia, dostarczania surowców czy zapewnienia tranzytu i traktowana jest zupełnie po kupiecku, kapitalistycznie — za gotówkę czy za inne wymienne dobra. Jest tak dlatego, że po pierwsze bolszewikom nie zależy wcale na jakiejś trwałej pomocy dla jakiegokolwiek państwa kapitalistycznego; po wtóre bolszewicy nie ufają własnej armii i z wielką niechęcią zdobyliby się na wysyłanie większych oddziałów wojskowych do kraju, gdzie kontrola prawomyślności tych oddziałów byłaby uniemożliwiona czy choćby tylko bardzo utrudniona; po trzecie chcą uniknąć ryzyka bezpośredniego wmieszania się w wojnę i obawiają się zaangażowania się w konflikt europejski, ze względu na pewność zaatakowania ich wówczas na Dalekim Wschodzie przez Japonię.

Generalną dyrektywę dla sowieckiej polityki zagranicznej dał Stalin w przytoczonej już mowie w słowach: „W stosunkach międzynarodowych musimy zachować ostrożność, i nie dać się sprowokować do działań wojennych”. Jest rzeczą możliwą, iż upadek Litwinowa jest związany z niezbyt ścisłym przestrzeganiem tej właśnie stalinowskiej dyrektywy. Projekt sojuszu wojskowego ZSSR, W. Brytanii i Francji, ostrzem swoim zwrócony zarówno przeciwko Niemcom, jak i przeciwko Japonii, lansowany podobno przez Litwinowa, wybiegał daleko za powyższą, miarodajną dyrektywę. Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, żeby Litwinow, czy jakiegokolwiek inny komisarz bolszewicki odważył się na własne, niezależne zdanie i by mógł w czymkolwiek postąpić niezgodnie ze zdaniem dyktatora sowieckiego. Mniejsza zresztą o to, czy Litwinow stał się kozłem ofiarnym nieudanej stalinowskiej improwizacji politycznej czy też po prostu dyktator, przy nadarzającej się okazji, załatwił jakieś dawniejsze porachunki i animozje osobisto-klikowe...

W każdym razie przykłady Chin i Hiszpanii przekonywują, że bolszewicy potrafią prowadzić wojnę bez narażenia się na bezpośrednie dla siebie ryzyko wojenne. Wysyłając oddziały swe — mniejsze zapewne od Włoch i Niemiec — do Hiszpanii republikańskiej, zabezpieczyli sobie bolszewicy taki udział we władzy, który centrali moskiewskiej umożliwił pełną kontrolę nad bolszewickimi oddziałami wojskowymi w Hiszpanii. Wiemy przecież, że w Hiszpanii nie obyło się bez krwawych rozpraw GPU z rzekomymi „ochotnikami”; wystarczy gdy wymienimy najślawniejszych dyplomatów Rozenberga i Antonow-Owsiejenko, polskich przewodców komunistycznych Rwała-Reichera i Skulskiego-Martensa, pomijając szereg wyższych wojskowych sowieckich, których rozstrzeliwano jako „wrogów ludu”, mimo (a może właśnie dlatego?), że organizowali rewolucję hiszpańską. Chinom zaś bolszewicy pomagają przede wszystkim przez dostarczanie broni a częściowo również instruktorów wojskowych. Pamiętać przy tym należy, że stosunki chińskie nie odbijają tak rażąco od sowieckich, jak stosunki europejskie.

Po tej dygresji wracamy do stosunków sowiecko-polskich. Najzagorzalszy nawet przeciwnik bolszewizmu, o ile chce pozostać realnym politykiem, któremu sprawa zachowania niepodległości i całości Polski jest najwyższym wskazaniem, nie może nie uwzględnić w swym rachunku aktualnej wartości stosunków ze Związkiem Sowieckim.

W tej chwili Polska i Związek Sowiecki nie zagrażają sobie wzajemnie. Oba państwa ożywione są szczerym pragnieniem zachowania pokoju. To już jest dużo; rzadko bowiem kiedy mieliśmy w przeszłości takie warunki.

Zagrożenie przez niemiecki imperializm jest drugim elementem łączącym w tej chwili politykę rządu sowieckiego z polityką polską.

Powszechnie wiadomym faktem jest, że zarówno rząd polski, jak i szeroka opinia społeczna polska nie życzą sobie bezpośredniej pomocy wojsk sowieckich na terenie Polski, nawet przy ewentualności wojny z Niemcami. Wobec tego co wyżej przedstawiliśmy wynikałoby, że również w tej sprawie istnieje zgodność poglądów polsko-sowieckich. Zakładamy bowiem, iż w Sowietach porzucono już niewczesne

pomysły niedojrzałych polityków-awanturników, wzbudzenia w Polsce rewolucji oryginalnym sposobem przyjscia jej z „pomocą” w chwili zagrożenia od zewnątrz...

Poza sojuszem wojskowym pozostaje jednak cała, szeroka w możliwościach i zupełnie aktualna pomoc sowiecka zarówno dla Polski, jak i dla innych państw mogących się stać ofiarami napaści ze strony państw bloku wojennego. Pomoc taka wyrażałaby się w udzieleniu kredytu czy gotówkowej sprzedaży surowców, niezbędnych dla przemysłu obronnego, materiałów wojennych, w pierwszej linii samolotów. Produkcja samolotów w Sowietach jest ilościowo bardzo poważna, przy tym wciąż wzrasta; jakość zaś, po niezbyt chlubnych doświadczeniach hiszpańskich, ostatnio wybitnie się podobno poprawiła. Wreszcie w grę wchodzić mogą ułatwienia komunikacyjno-tranzytowe przez terytorium ZSSR (Morze Czarne, Zatoka Fińska itd.) dla śpieszących nam z pomocą zaprzyjaźnionych państw względnie dla naszego przewozu, który natrafi na trudności blokady niemieckiej.

Czy wolno byłoby w imię pryncypializmu antykomunistycznego zrezygnować wspaniałomyślnie z tej możliwej pomocy? Sądzimy, iż takie postawienie kwestii byłoby wielką lekkomyślnością, z której powinien wyleczyć wszystkich brutalny gest zapatrzonego w swą wielkość wodza Trzeciej Rzeszy, uczyniony dnia 21 marca br. w stosunku do Polski. Przez swą krótkowzroczną, bo egoistyczną politykę, kanclerz Trzeciej Rzeszy zniszczył stan względnie pokojowego współżycia narodów polskiego z niemieckim i wykazał jak bardzo mało zależy mu na prawdziwie sprawiedliwym pokoju między narodami i jak egoistycznie i opatrnie pojmuje on swą walkę z bolszewizmem.

W propagandowym przygotowaniu się do wojny przeciw Polsce próbują hitlerowcy, utartym już zwyczajem wmówić swoim i obcym, że chcą również w Polsce „bronić europejskiej kultury przed bolszewickim barbarzyństwem”. Otóż, aby z góry odeprzeć ten zakłamany w ich ustach argument, należy jasno i krótko stwierdzić następujące niewątpliwe fakty.

Rozwój nielegalnego ruchu komunistycznego jest w latach ostatnich o wiele silniejszy w Niemczech

aniżeli w Polsce. Stwierdził to bez obsłonek sekretarz Kominternu, Manuilski w swoim sprawozdaniu na XVIII zjeździe partii bolszewickiej w Moskwie, dnia 11 marca rb. Stwierdzamy to i my na podstawie niezłej znajomości dziejów i aktualnego stanu ruchu komunistycznego w Europie. Nie są bynajmniej jakąś patriotyczną przechwałką, ale w pełni uzasadnioną prawdą słowa spokojne a tryumfalne w swej treści, zawarte w orędziu Episkopatu Polski z kwietnia br.: „Odparliśmy bezbożniczy komunizm od granic Rzeczypospolitej i nie pozwoliliśmy, by się w polskim życiu pod błędnymi hasłami kultury niechrześcijańskiej zagnieżdżył.”

Wewnątrz Polski komunizm nigdy nie miał tak masowego wpływu jak w Niemczech przedhitlerowskich (przypominamy sześć milionową rzeszę czerwonych wyborców do Reichstagu w 1932 roku!), mimo, że Polska graniczy z państwem bolszewickim i ma największy w świecie odsetek mniejszości żydowskiej, niedwuznacznie sprzyjającej komunizmowi. Od roku z górą, agentura Kominternu w Polsce, tzw. Komunistyczna Partia Polski została przez Moskwę rozwiązana i dotąd nie udało się jej odbudować, gdy natomiast nielegalna Komunistyczna Partia Niemiec, mimo nieludzkiego terroru władz hitlerowskich, nadal istnieje i wykazuje swą wywrotową działalność nawet w państwowych i amunicyjnych fabrykach Rzeszy.

Argument antykomunistyczny jest więc w ustach Goebbelsa czy jego urzędowych pionków frazesem, który w odniesieniu do Polski całkowicie chybia.

Nic więc dziwnego, że Hitler w swej prelekcji z 28 IV br. przeornie ominął tym razem temat bolszewizmu. Czyżby chciał zyskać sobie życzliwość największej ofiary, na którą przygotowuje swoje ostateczne uderzenie?...

Rozważając sprawę ewentualnej pomocy sowieckiej dla Polski, ani na chwilę nie zmieniamy jednak w czymkolwiek naszej negatywnej postawy wobec wewnętrznego niebezpieczeństwa komunistycznego, które może się potencjalnie odrodzić pod wpływem nowych wysiłków Kominternu. Ale wobec wspaniałej jedności narodowej, która się ujawniła w ostatnich tygodniach ciężkiej próby i w sprawie istotnie najważniejszej, możemy śmiało stwierdzić, iż od czasów od-

zyskania niepodległego bytu państwowego dziś najmniej obawiamy się groźby komunizmu!

Realna sytuacja nakazuje więc traktować oddzielnie sprawę ewentualnego współdziałania obronnego obu państw: polskiego i sowieckiego oraz sprawę walki z komunizmem jako międzynarodowym ruchem wywrotowym czy jako fałszywą, bezbożniczą i niszczącą teorią. Stanowisko takie, powiedzmy to jasno, jest trudne i kryje w sobie realne niebezpieczeństwa. Nie sądzimy jednak, by niebezpieczeństw tych nie można uniknąć przy odpowiedniej postawie moralnej narodu.

Wiara w Opatrzność Bożą i sprawiedliwość naszej sprawy, dokoła której zjednoczył się cały naród, dozbrojenie militarne i moralne odgrywa niewątpliwie pierwszorzędną i najdonioślejszą rolę. Bez gotowości narodu do heroicznej walki, nie wystarczą żadne fortyfikacje ni żadne przymierza. Wolność jednak narodu, niepodległość oraz całość Rzeczypospolitej to sprawa tak wielka, iż w obronie jej możemy i musimy sięgnąć po wszystkie godziwe i celowe środki obrony. W tym oświeceniu kwestia pomocy wprawdzie nie militarnej ale mimo wszystko sojuszniczej, opartej choćby tylko na wspólnym interesie, jakkolwiek pozostanie dla nas kwestią drugorzędną, niemniej przeto posiada swe doniosłe znaczenie. Zaniedbać jej lekkomyślnie nie wolno!

J. Skaliński.

Cerkiew prawosławna na Chełmszczyźnie.

Pod nazwą Chełmszczyzna lub Ziemia Chełmska rozumiemy obszar leżący pomiędzy Bugiem a Wieprzem, obejmujący powiaty województwa lubelskiego: chełmski, hrubieszowski, tomaszowski oraz część biłgorajskiego, zamojskiego i krasnostawskiego. Powiaty leżące na północ od nich: włodawski, bialski i radzyński tworzą część odrębnego Podlasia, jakkolwiek przedtem złączone były z poprzednimi pod względem kościelnym, tworząc jedną diecezję unicką chełmską, a obecnie są również złączone administracyjnie, leżąc w granicach wojew. lubelskiego. W uwagach poniższych zasadniczo pomijamy Podlasie, a zajmujemy się właściwą Ziemią Chełmską.

Ziemię Chełmską zna dziś cała Polska choćby z noweli Reymonta: *Z Ziemi Chełmskiej*, z *Martyrologium* ks. Pruszkowskiego, ze skarg prześladowanej przed Wielką Wojną przez zaborczy rząd rosyjski ludności polskiej, zamykanej w nowej „gubernii chełmskiej”, a w ostatnich czasach z parokrotnych audycji radiowych, odbywających się 8 września w dzień „Ziemi Chełmskiej” itp. Od czasu do czasu prasa zajmuje się nią;¹⁾ w roku zeszłym złożono nawet w Sejmie interpelacje w tej sprawie.

Niewielki to zakątek Rzplitej, a jednak znajduje tylu interesujących się nim, nawet wśród obcych. Czasami słyszemy jeremiady prasy prawosławnej, zwłaszcza zagranicznej, inspirowanej przez nasze krajowe prawosławie, a nie-

¹⁾ Np. *I. K. C.* n. 56, 128, 244, ukraińska *Meta* parę razy w r. 1938 itd.

kiedy germańscy nosiciele „wolności“ włączają tę ziemię na mapach do projektowanej Ukrainy.¹⁾

Nie mam zamiaru z nikim polemiki prowadzić, pragnę jedynie rzucić parę bezstronnych uwag, które pozwolą polskiemu, może także i obcemu czytelnikowi zorientować się w sytuacji naszej Chełmszczyzny i wytłumaczyć sobie szereg zachodzących tu zmian. Nie zamierzam również podawać historii tej ziemi, chcę uwzględnić przede wszystkim momenty religijne, mające wpływ na życie tego zakątka Rzplitej, skazanego od wieku XIX na eksperymenty prawosławne, od których nie może się uwolnić jeszcze do dziś dnia.

Nieco z przeszłości unickiej.

Ziemia Chełmska znalazła się ongiś w zasięgu obrządku greckiego, który zwykło się w Polsce od dawna nazywać „ruskim“, a ludność praktykująca go często, do dziś nawet nazywa się „ruską“.

Gdy na ziemiach wschodniej Słowiańszczyzny zapanowała pod wpływem Greków schizma, wówczas i nasz kraj uległ temu losowi. Dopiero Unia brzeska w 1596 r. przywróciła tu katolicyzm w formie greckiej, za rządów gorliwego propagatora unii biskupa Dionizego Zbirujskiego. Od tam już stale Chełmszczyzna żyje katolicyzmem, a w jej stolicy — Chełmie, siedzibie również biskupów obrz. łacińskiego, zasiadają wybitni pasterze i dobrzy synowie Rzplitej, jak: bp Susza, Maksymilian Rylło, Ferdynand Ciechanowski i wielu innych. Ostatnim był biskup - nominat Mikołaj Kałiński, zesłany w głąb Rosji i towarzysz wygnania biskupa warszawskiego, ks. Wincentego Popiela, zmarły na wygnaniu.

Biskup Susza, znany ze swych dzieł, pisanych po polsku i po łacinie,²⁾ towarzyszył z cudownym obrazem Matki Bożej Chełmskiej królowi Janowi Kazimierzowi na pole zwycięskiej bitwy z Kozakami pod Beresteczkiem w r. 1651. Zwycięstwo to zostało uwiecznione na srebrnym antependium unickiej katedry w Chełmie, na którym widzimy u stóp Bogarodzicy klęczących: króla, biskupa Suszę w szatach

¹⁾ Por. „pokój“ brzeski w 1918 r.

²⁾ Np. słynne *Phoenix* — o N. M. P. Chełmskiej.

wschodnich i wojsko polskie. Antependium to po r. 1875 Rosjanie ukryli w muzeum piotrogradzkim, lecz po wojnie polsko - rosyjskiej, w r. 1920 zostało ono odzyskane i przez Prezydenta Rzplitej, p. Stanisława Wojciechowskiego, oddane świątyni chełmskiej, dziś rzymsko - katolickiej.

Działalność unickich biskupów chełmskich, których ciała dziś spoczywają w podziemiach katedry i czekają na odpowiednie pomieszczenie,¹⁾ sprawiła, że Chełmszczyzna brała pełny udział w życiu katolickim i polskim.

Po rozbiorach Polski Chełmszczyzna znalazła się pod zaborem rosyjskim i wówczas zaczęły się jej krwawe dzieje, tym krwawsze, im więcej unicy przejawiali przywiązania do polskości, a im bardziej Rosjanie trwali w przekonaniu, że to lud rosyjski, a tylko spolszczony, który trzeba przemocą odpolszczyć.

Katolicyzm i polskość tej ziemi była rzeczywiście ustalona. Kościoły unickie budowane były w stylu łacińskich kościołów „ludowych“, wewnętrzne urządzenie ich prawie nie różniło się od łacińskich; utensilia liturgiczne: kielichy, monstrancje, krzyże itp. nosiły polskie napisy dedykacyjne i pamiątkowe; księgi liturgiczne słowiańskie i obrazy miały podpisy przeważnie polskie, czasami słowiańskie, nawet szaty liturgiczne upodabniane były do rzymskich i nosiły polskie podpisy inwentarzowe; księgowość cerkiewna, jak metryki, kroniki i różne dokumenty prowadzone były po polsku, niekiedy po łacinie; na cmentarzach nie było innych napisów jak tylko polskie i to bez wyjątku.²⁾ Duszpasterstwo prowadzone było wyłącznie po polsku, a więc kazania i obcowanie z wiernymi. Dodatkowe nabożeństwa odprawiano również polskie, np. godzinki, różaniec, gorzkie żale, pieśni na procesjach. Inwentarze cerkiewne wykazują w zakrystii unickiego kościoła: komże dla ministrantów, polskie ewangeliczki.

W aktach jednej z cerkwi unickich znalazłem dokument, stwierdzający dar arcybactwa Najśw. Sakramentu

¹⁾ Podziemna te były niegdyś zamurowane przez Rosjan, a w czasie Wielkiej Wojny „przeszukane“ przez okupantów.

²⁾ Rosyjskie lub słowiańskie pojawiają się dopiero około r. 1890, a więc po 15 latach od zniesienia Unii.

w Warszawie w postaci 2 ornatów unickich i komż, wartości 307 zł. Liczne dowody na powyższe twierdzenia znajdują się w diec. Lubelskim Muzeum.

Duchowieństwo unickie, bazylianie i klerycy semin. chełmskiego odznaczali się patriotyzmem polskim, a za udział w powstaniach byli karani.¹⁾ Diecezja unicka chełmska była jedną z pierwszych, która dołączyła się do tworzono-ego komitetu powstaniowego w 1862 r.²⁾

Ludność unicka wykazywała również przywiązanie do Kościoła i do Polski; używała chętnie języka polskiego, oraz całkowicie zbratała się z łacinnikami i upodobniła do nich w ramach kultury polskiej tak, że można mówić o jednym narodzie, przynależącym do dwóch katolickich obrządków: rzymskiego i greckiego.³⁾

Nie chcemy tu rozstrzygać kwestii, czy ta ludność należała pierwotnie do etnicznej grupy ruskiej, czy też polskiej,⁴⁾ faktem jest tylko, że była ona polską w życiu, nstawieniu duchowym i służbie ojczyźnie.

Katastrofą dla tych ludzi i narodowym naszym nie-
szczęściem oraz stratą dla Kościoła katolickiego było
zniesienie Unii przez Rosjan i gwałtowna rusyfikacja, „od-
polszczanie” zniewolonych unitów. Unię zniesiono w r. 1875,
lecz przez lat prawie 40 przygotowywano ten akt, wycho-
wując i sprowadzając skądinąd powolny sobie kler, coraz
mniej czuły na sprawy katolickie. Gdy pewna część tak
przygotowanego kleru uległa pokusie i formalnie zerwała
Unię, „oporną” część wywieziono, a lud przepisano na pra-
wosławie i zaczęto go dopiero wychowywać w nowej wierze.

Oprawosławienie i jednocześnie gwałtowna rusyfikacja
ludu chełmskiego przez urzędy, cerkiew i szkołę posuwały

¹⁾ Zob. *Z dziejów Unii kościelnej na terenie b. diecezji chełmskiej w latach 1851 — 1866*, przez prof. Al. Kossowskiego, Lublin, 1938.

²⁾ Zob. czasop. *Rozkaz Wewn. Biskupa Polow. Wojsk Polskich*, nr 1, r. 1938, str. 19.

³⁾ W lubels. Archiw. Państw. mamy dowody, jak jeszcze na przeło-
mie XX w. kler prawosławny, przynaglany przez władze cywilne, posta-
nawiał oduczać prawosławnych polskiego pozdrowienia: „Niech będzie
pochwalony Jezus Chrystus”.

⁴⁾ Na Podlasiu unici pochodzili z dawnych Jadźwingów.

się naprzód, lecz nie tak łatwo. Lud ten okazał się opornym w swej większości, pomimo niezmiernie zorganizowanej akcji rosyjskiej.

Przytoczę znane już skądinąd może zestawienia statystyczne. Gdy w r. 1875 przepisano unitów na prawosławie, liczba ich wynosiła około 250,000 (Chełmszczyzna, Podlasie i część Łomżyńskiego). Do r. 1905 cyfra ta wzrosła do 340,000 (przyrost naturalny i kolonizacja). W r. 1905, gdy „ukaz” cara Mikołaja II przyniósł nieco wolności religijnej, natychmiast około 200,000 „dobrowolnych prawosławnych” — przyjęło katolicyzm w obrz. rzymskim, bo tylko ten był tolerowany.¹⁾ Reszta około 140,000 pozostała przy prawosławiu. Liczba ta obecnie wzrosła do 210,000 prawosławnych w granicach wojew. lubelskiego, z czego na Chełmszczyznę przypada przeszło 150,000.²⁾ Oczywiście, ta reszta ludności prawosławnej została zrusyfikowana, lecz nie doszczętnie. Statystyka rosyjska, sporządzona przez Francewa³⁾ z r. 1909 wykazuje jeszcze wiele miejscowości, w których ludność prawosławna używała nadal języka polskiego w codziennym życiu, a możemy się spodziewać, że w tym zestawieniu mogło być dużo nieścisłości dla celów politycznych. Statystyka polska z r. 1931 wykazuje przeszło 100,000 prawosławnych używających języka polskiego, choć może brak im zorganizowanego uświadomienia polskiego.

Do prawosławnej ludności Chełmszczyzny, jako potomków przeważnie unitów, zgłasza swoje prawa naród i kultura polska, co można zauważyć choćby z tego, że nie ma tam innych szkół niż polskie i nie słyszeliśmy, by ludność o inne się dopominała.

Jednocześnie do tegoż ludu zgłaszają swe pretensje naród i kultura rosyjska. Jakkolwiek rosyjskość nie doznaje poparcia ze strony żadnego obcego państwa, to jednak siłą rozpędu przedwojennego, przyzwyczajenia oraz działania niektórych duchownych prawosławnych, jest dość skutecznie podtrzymywana w starszym pokoleniu i przerzuca się

¹⁾ Niech tę cyfrę zapamiętają sobie ci, którzy unitów z trudnością odróżniają od prawosławnych, nawet dzisiaj, i wątpią w ich katolicyzm.

²⁾ Zob. *Roczn. Statyst.*

³⁾ *Karty russkaho i prawost. nasilenia Chełmskoj Rusi*, W-wa, 1909.

tu i ówdzie na młodsze pokolenie, wychowane już w szkołach polskich; zdąża jednak ku zanikowi.

Wreszcie do tego ludu wyciąga dłoń polityczny ukrajinizm, coraz bardziej zdobywczy. Czerpiąc swe siły z pobliskiej Małopolski wschodniej, oddziaływa na lud przez prasę oraz cerkiew prawosławną, którą coraz bardziej opanowuje.

Stąd na tym terenie wre cicha walka ideowa. Ludność wskutek tego dezorientuje się i dzieli, tym bardziej, że zajął do jej chat gdzieniegdzie komunizm ukraiński, oraz sekty religijne.

Duszpasterstwo prawosławne.

Najmocniejszym spoidłem naszego ludu jest świątynia, kościół lub cerkiew wraz z duchowym przewodnikiem. W r. 1866, według statystyki ks. Bańkowicza, prof. Seminarium Chełmskiego unickiego,¹⁾ w dzisiejszych powiatach Chełmszczyzny: chełmskim, hrubieszowskim, tomaszowskim, biłgorajskim, zamojskim i krasnostawskim duszpasterstwo zorganizowane było w 12 dekanatach ze 146 parafiami, skupiającymi 111,978 unitów. W tym zaś czasie na tych samych terenach, według katalogu rz.-katol. diecezji lubelskiej za r. 1865 żyło 264,913 łacinników w 91 parafiach. Na jedną parafię unicką przypadało zatem przeciętnie 768 wiernych, na łacińską — 2,911.

Po likwidacji Unii ilość łacińskich parafij zaczęła maleć, prawosławnych zaś wzrastać.²⁾ Z oficjalnej statystyki cerkiewnej za r. 1886 wynika, że w powiatach wymienionych było 152 parafij prawosławnych z 230 świątyniami i 6 kaplicami, dla 169,936 formalnie prawosławnych, w rzeczywistości w olbrzymiej większości „opornych” unitów. Duchowieństwo i cerkwie zostały bardzo hojnie wyposażone w ruble i ziemię, a cel tego był oczywisty. Danych statystycznych z r. 1914 — na razie nie posiadamy.

¹⁾ Podanej w dziełku pt. *Rus Chełmska*, Lwów, 1887 — Drukarnia Narodowa, Manieckiego.

²⁾ W r. 1918 parafij łacińskich na tych samych terenach było już tylko 58; w okresie 20-lecia przybyło znowu 55; obecnie jest 113.

W czasie Wielkiej Wojny ludność prawosławna w większości wyjechała do Rosji uciekając przed wojskami austriacko-niemieckimi. Podobnie duchowieństwo prawie całkowicie wyemigrowało, nie przewidując, że już tu nie powróci razem z armią carską. Duszpasterstwo prawosławne faktycznie przestało więc istnieć. Świątynie prawosławne zostały opuszczone.

Samorządnie ludność katolicka rewindykowała część świątyń, w pierwszym rzędzie te, które były łacińskimi kościołami, a zamienione zostały na cerkwie prawosławne (Szczembrzeszyn, Radechnica, Chełm - św. Andrzeja, Bończa). Nadto zabrane zostały do użytku katolików niektóre z cerkwi byłych unickich, a nawet prawosławnych z pochodzenia tam, gdzie tłumione dotychczas, a obecnie budzące się życie katolickie tego wymagało. W ten sposób na cele kultu rzymsko-katolickiego od r. 1918 do 1937 przejęto 72 obiekty kościelne, w roku 1938 — jeszcze dwa. Kilkanaście cerkwi w pierwszych latach powojennych uległo rozbiórce, ponieważ albo nosiły one charakter pomników zwycięstwa przemocy nad narodem (np. w Chełmie cerkiew p. w. św. Cyryla i Metodego — wybudowana na pamiątkę zniszczenia Unii), lub też okazały się zupełnie zbędne z powodu braku wiernych, były one bowiem budowane w celach misyjnych, przerwanych wojną (np. Krasnobród) lub dlatego, że były w złym stanie i nikt się nimi skutecznie nie opiekował.

Wszystkimi innymi pozostałymi i opuszczonymi cerkiewiami zaopiekowały się władze polskie.

Po wojnie, w latach 1918 — 22 większość prawosławnych powróciła na ojczyście zagony, za nimi wróciła także część duchownych. Dla religijnych potrzeb tej ludności zaczęto, w porozumieniu z rządem, organizować duszpasterstwo prawosławne, otwierać w miarę potrzeby cerkwie i urządzać przy nich parafie.

Było rzeczą zrozumiałą, że nie mogła powstać sieć duszpasterska tak gęsta, jaka istniała przed wojną, choćby dlatego, że nie było do tego niezbędnych ani duchownych, ani funduszy, a nadto cele polityczne, narzucone cerkwi, przestały istnieć, cele zaś czysto religijne osiągnąć były w dostatecznym stopniu przez organizowane systematycznie

parafie. W ten sposób do r. 1938 uformowało się 41 parafij prawosławnych, uznanych i subsydiowanych przez Państwo. Są one rozmieszczone następująco:

Powiat chełmski — 9 parafij: Chełm, Berdyszcze, Czułczyce, Syczyn, Żulin, Żmudź, Pławanice, Wojsławice, Bezek;

pow. hrubieszowski — 14 parafij: Hrubieszów, Brzeście, Dubienka, Czerniczyń, Dołhobyczów, Hostynne, Matcze, Miętkie, Moniatycze, Podhorce, Szychowice, Strzyżów, Teratyn i Koniuchy;

pow. tomaszowski — 7 parafij: Tomaszów, Grodysławice, Cześniaki, Szlatyn, Poturzyn, Telatyn, Tyszowce, oraz filia w Mazilach;

pow. biłgorajski — 4 parafie: Babice, Kulno, Potok Wielki i Tarnogród;

pow. zamojski — 2 parafie: Siedliska i Łaziska;

pow. krasnostawski — 2 parafie: Krupie i Bończa.

Nadto parafie istnieją poza terenem właściwej Chełmszczyzny, należą jednak do całości duszpasterstwa prawosławnego w tych okolicach, — mianowicie: w Otroczu (pow. janowski), w Drafcowie (pow. lubartowski) i w Lublinie.

W jakim stosunku pozostaje ta sieć duszpasterstwa prawosławnego do analogicznej katolickiej organizacji ilustrują nam zupełnie ściśle następujące dane, zaczerpnięte z *Rocznika Statystycznego* (spis z 1931 r.) i *Katalogu Duchowieństwa* diecezji lubelskiej za r. 1938:

powiat chełmski:	prawosławnych	37,530,	parafij	9,
	katolików	88,488,	"	21;
pow. hrubieszowski:	prawosławnych	49,128,	"	14,
	katolików	63,365,	"	17;
pow. tomaszowski:	prawosławnych	33,059,	"	7,
	katolików	73,021,	"	22;
pow. biłgorajski:	prawosławnych	20,913,	"	4,
	katolików	82,614,	"	21;
pow. krasnostawski:	prawosławnych	4,853,	"	2,
	katolików	113,442,	"	11;
pow. zamojski:	prawosławnych	6,778,	"	2,
	katolików	125,240,	"	21.

W wymienionych powiatach razem: prawosławnych 152,261 w 38 parafiach, czyli przeciętnie na parafię przypada 3,743,7 dusz; katolików 546,170 w 113 parafiach, czyli przeciętnie 4,833 dusz w każdej parafii. Pomijamy w zestawieniu 3 pozostałe parafie prawosławne, ponieważ są to właściwie nieduże wyspy wśród katolików: Otrocz z 1,000 dusz, Drałow z 2,000 i Lublin — około 900 prawosławnych.

Powyższe zestawienie dobitnie wskazuje, że duszpasterstwo prawosławne jest w korzystniejszych warunkach dla pracy ze względu na mniejszą ilość dusz aniżeli katolickie.

Cerkiew prawosławna jednak, żyjąc reminiscencjami przedwojennymi, oraz kierując się innymi jej wiadomymi pobudkami, nie ograniczała się do tego stanu. Prócz tych bowiem 41 parafij prawnie istniejących stworzyła filie duszpasterskie. Przysłany duchowny odprowadzał nabożeństwa w izbach wiejskich, w kaplicach cmentarnych lub nowo-wzniesionych, a nieraz otrzymywał doraźne pozwolenie na celebry w nieczynnej cerkwi. Takich filij utworzono 42.

Otóż rok 1938 przyniósł prawne uregulowanie stosunków między Państwem Polskim a Cerkwią Prawosławną w formie Dekretu P. Prezydenta Rzplitej i Statutu Wewnętrznego,¹⁾ przyniósł również parę miesięcy przedtem likwidację filij duszpasterskich prócz jednej i zbędnych obiektów kościelnych w sumie 104. Podkreślić należy, że likwidacją nie objęto ani jednej parafii prawosławnej tzw. etatowej, czyli stworzonej na podstawie porozumienia Cerkwi z Państwem. Dlatego zupełnie niesłuszne były alarmy prawosławne o dezorganizowaniu prawosławnej sieci duszpasterskiej.

Dla pełności obrazu należy jeszcze wspomnieć o duchowieństwie prawosławnym Chełmszczyzny. Duchownych prawosławnych zatrudnionych jest tu 42.

Ze względu na przygotowanie naukowe i środowisko, z którego pochodzą, możemy ich podzielić następująco:

Z ukończonym studium teolog. w Warszawie, przy uniwersytecie J. P. jest 9, ze średnim wykształceniem semina-

¹⁾ *Dziennik Ustaw R. P.* nr 88 i 103.

ryjskim (w Krzemieńcu) 7; z ukończonym dawnym seminaryum chełmskim 4; dawnych „carskich” duchownych z różnych szkół — 8; z b. gr.-katolików małopolskich — 5; b. oficerów rosyjskich — 2; z niższym przygotowaniem szkolnym — 3; z „hodurowskim seminaryum” — 2; z innych zakładów seminaryjnych — 2.

Do czasu likwidacji filij duszpasterskich w roku ubiegłym przebywało tu nadto 38 duchownych, których przygotowanie do kapłaństwa i środowisko były jeszcze bardziej różnorodne, z tendencją w kierunku niższego poziomu.

Wśród duchownych oddających się duszpasterstwu są jednostki takie, o których opinia okolicy zarówno prawosławna, jak i katolicka jest bardzo dodatnia. W pracy duszpasterskiej, która w prawosławiu na ogół nie dociąga do poziomu katolickiej, dawała się zauważyć działalność narodowo-społeczna, zwłaszcza wśród pracowników na filiach, nie pobierających pensji rządowej i dlatego czujących się bardziej niezależnie i mocniej związanych z ludem przez otrzymywanie od niego większych ofiar na swoje i swej rodziny wyżywienie. W ostatnich miesiącach po ustąpieniu z terenu duszpasterzy filialnych i skupieniu wiernych przy kościołach parafialnych, praca duszpasterska niewątpliwie ma widoki większej prężności w dziedzinie religijnej. Dla katolickiego stanu posiadania zdaje się ona być niegroźna. Czy jednak zdoła zespolic lud prawosławny z polską kulturą i pomóc mu do powrotu do wspaniałej polskiej przeszłości? — dziś absolutnie nie można jeszcze dać odpowiedzi pozytywnej, pomimo, że coraz więcej przybywa duchownych wychowanych już w Warszawie.

Jesteśmy dotychczas przekonani, że rozdział religijny wśród mieszkańców wsi jest decydującym czynnikiem, który ten powrót tak ze wszech miar sprawiedliwy i naturalny hamuje. Dlatego zjednoczenie w wierze jest tu niezbędne, zresztą wymaga go poczucie sprawiedliwości, dążące do wyrównania krzywdy, zadanej ludowi przez rządy zaborcze.

Lud prawosławny jest świadom poprzedniej swej przynależności do katolicyzmu, o czym starzy dzieciom opowiadają; chętnie garnie się on do kościołów katolickich w dni odpustowe, chętnie słucha kazań katolickich, ale tylko

w niewielkiej liczbie, bo około 1,000 dusz rocznie (w r. 1938: 1305 dusz) odpływa bez specjalnej propagandy do katolicyzmu i zdecydowanej polskości. Proces ten, w stosunku do naturalnego przyrostu, wynoszącego przeszło 2,500 dusz rocznie, jest za powolny.

Wskrzeszenie dawnej unii kościelnej, opartej na duchowieństwie miejscowym, wolnej od tendencji politycznych, mogłoby znowu zespolić lud, dając mu wspólny skarb wiary katolickiej, a jednocześnie zachowując mu to, co przez wieki wyłobiło się w jego psychice — umiłowanie form liturgicznych wschodnich — obrządek grecko-słowiański, nie stojący na przeszkodzie do zespolenia się z resztą ludności; podobnie jak to było przed zniszczeniem unii i wprowadzeniem religijnego rozdarcia. Rozumie się samo przez się, że ruch unijny nie musi wykluczać i uniemożliwiać przechodzenia na katolicyzm w obrz. rzymskim.

Nie wiemy, jak ułoży się przyszłość ludu prawosławnego Chełmszczyzny pod względem religijnym i narodowym. Uważamy jednak, że należy podkreślić następujące fakty i liczyć się z nimi:

a) Ludność prawosławna Chełmszczyzny stanowi niewielki procent w stosunku do katolicko - łacińskiej: 152,261:546,170, a w całej diecezji 155,000:1,114,150 i ten stosunek koniecznością życiową zmienia się i zmieniać się będzie na korzyść strony katolickiej.

b) Warunki społeczno - polityczne działają wchłaniająco na mniejszość religijną i prowadzą ją zdecydowanie do powrotu pod wpływ kultury polskiej; hamulcem jest jednak brak jedności wiary.

c) Przeszłość tego ludu, jak i ich braci dziś łacińskich katolików, jest własnością katolicką i polską, pomimo swego charakteru unickiego, nieraz związanego z tzw. bizantyzmem. I jak własnością naszą są bizantyjskie freski katedry rzymsko - katolickiej w Sandomierzu, kościoła św. Trójcy w Lublinie,¹⁾ lub katedra ormiańskiego obrządku we Lwowie, tak naszą własnością są byłe unickie świątynie,

¹⁾ Zob. *Życie sztuki* I rocznik, W-wa, 1934, str. 101 — 136. Celiny Osieckowskiej *Ze studiów nad szkołą polską malarstwa bizantyjskiego*.

w pierwszym rzędzie wspaniała katedra unicka w Chełmie, zbudowana zresztą w czystym stylu polskiego baroku. I jak własnością narodu jest postać śp. arcybpa Teodorowicza, tak również własnością naszą są unici-męczennicy, pomimo tego, że modlili się oni i uświęcali nie w rzymskim, lecz w grecko-słowiańskim obrządku.

Dlatego bardzo żałować należy, że niekiedy społeczeństwo nasze o tym zapomina i zacieśnia granice polskości do granic katolicyzmu rzymskiego obrządku, a tylko z pewną rezerwą wspomina unitów. Szczerze żałujemy, że tyle pamiątek po naszych unitach zostawiamy prawosławnym, oraz że niektóre stare, stylowe unickie nasze świątynki w roku zeszłym podległy rozbiórce przy likwidacji zbędnych przedmiotów kultu prawosławnego.

d) Sprawy Chełmszczyzny są naszymi sprawami wewnętrznymi i nikt nie ma prawa mieszać się w nie, ani prawosławni Rosjanie, zwłaszcza zagraniczni, gdyż i prawosławie i rosyjskość jest na tej ziemi importem wieku XIX, zwłaszcza po smutnym roku 1875, ani też greko-katolicy i prawosławni Ukraińcy, gdyż kochany przez lud nasz obrządek wschodni nie jest jeszcze podstawą do tworzenia uogólnień i wniosków narodowościowych. Dlatego zbyt śmiało jest stawianie znaku równania między pojęciami: prawosławny czy w ogóle wschodniego obrządku i Ukrainiec (lub Rosjanin) a już na nieuczciwość lub niemądrą złośliwość zakrawa podawanie w angielskiej pisowni „ukraińskiego” miasta Szczezbrzeszyna z fotografią rozbieranej cerkwi „ukraińskiej”, gdyż ludność w ogóle nie zna tam innego języka prócz polskiego.

e) Wreszcie kwestie wyznaniowe muszą być oddzielnie traktowane od narodowościowych, pomimo nieraz ich częstego zązębiania się.

Powrót ludu prawosławnego do wiary ojców jest koniecznością, ale odbyć się on musi procesem wynikłym z czynu apostołskiego, płynącego z szerokiego serca bratniego, ze wzajemnego zaufania, z należnego uświadomienia. *Opus iustitiae — pax!*

Ks. Michał Niechaj
Prof. Semin. Duch.

Kolonialne problemy.

Kolonizacja, która przetwarza kulturalne, gospodarcze i polityczne ustroje krajów pod wpływem obcych przybyszów, jest niewątpliwie jednym z najbardziej aktywnych czynników historii. Przyswajanie przez ludność skolonizowanych krajów wprowadzonych na ich terytoria obcych cywilizacyjnych idei dokonywało się zazwyczaj w ramach politycznego ich podporządkowania państwom przybyszów. Zwarte osiedlanie się tych ostatnich na kolonizowanych ziemiach tym ściślej wiązało je z cywilizującą je metropolią. Węzły te nie ulegały zerwaniu nawet w wypadkach usamodzielnienia się kolonii.

Przez parę początkowych stuleci nowoczesnej kolonizacji zamorskiej geograficzne warunki nadceanicznych państw Europy synchronizowały polityczne podporządkowanie kolonizowanych ziem z narodową przynależnością kolonizujących je przybyszów. Wiek XIX naruszył jednak tę harmonię. Uaktywniając bowiem kolonizacyjny udział kontynentalnych narodów Europy, zmusił je zarazem do poświęcania swych synów w celu spotęgowania rozwojowych możliwości obcych im państw. Niebezpieczeństwo wynaradawiania się europejskiego elementu kolonizacyjnego stało się więc jednym ze skutków dzisiejszego stadium kolonizacji. Utrata przez macierzyste państwo kolonizatorów gospodarczych korzyści, płynących z ich działalności, jest drugim tego skutkiem.

W tym samym również czasie wkroczyła Europa na nowe drogi gospodarczej ewolucji. Dokonane w tej dziedzinie przemiany charakteryzuje prof. G. Hardy,¹⁾ mówiąc,

¹⁾ G. Hardy: *La Politique coloniale et le Partage de la terre*. 1937.

że „dwa wielkie fakty dominują w życiu XIX wieku: rozwój środków transportu i powstanie wielkiego przemysłu”. W rezultacie ogromnego przyspieszenia przewozów

...wszystkie rejony świata miast zamykania się we własnych granicach, lub wymieniania towarów o wielkiej tylko wartości i małym ciężarze, zaczynają zespalać całość swych zasobów. Takie produkty jak: kawa, herbata, tytoń, użytkowane dotychczas przez ograniczone tylko grono konsumentów, wchodzą obecnie w skład najskromniejszych nawet budżetów. Cięższe natomiast towary, jak: zboże, tkaniny, drzewo, rudy, które dawniej mogły być przewożone na krótkich tylko odcinkach, dziś już okrążają cały świat. Dlatego też tyle krajów egzotycznych zapowiada się jako kraje przyszłości, o które rozpoczną się niedługo najzaciętsze walki. Wysiłki natomiast o zdobycie jakiejś afrykańskiej sawanny nie będą mniej zaciekle niż dawniejsze boje o zajęcie miodem płynących wysp antylskiego Śródziemnomorza.

Mechanizacja środków wytwórczości sprzyja koncentracji przemysłu, co powoduje „nieustanny wzrost produkcji, pobudzanej ponadto rozwojem handlu, oraz zmusza do otwierania nowych rynków zbytu i do poszukiwania tanich źródeł surowcowych”.

Zestawienie tych faktów wystarczy całkowicie dla uplastycznienia przeciwieństw, tak charakterystycznych dla dzisiejszych kolonizacyjnych poczynąń. Z jednej bowiem strony świat cały domaga się intensywniejszego i bardziej równomiernego zagospodarowania wszystkich krajów, co jest niemożliwe bez aktywnego udziału przodujących w wiedzy, technice i energii Europejczyków. Z drugiej natomiast kraje najbardziej zasobne w te ludzkie właśnie siły, zmuszane są do ich poświęcania na obcych ołtarzach. Stąd też dalszy rozwój kolonizacji zależny jest całkowicie od należytego pogodzenia tych tak jaskrawych przeciwieństw, a wysiłki w tym kierunku stać się winny najgłówniejszym zadaniem naszego wieku.

Masowość i standaryzowanie produkcji, obniżając koszty wytwórczości, poszerzyły chłonność konsumcyjnego rynku. Wywołane wojną społeczne przemiany wydały również takie same, przynajmniej potencjonalnie, rezultaty. Szerokie bowiem masy obywateli, powołane pod sztandary narodowe dla obrony interesów państwa, dostatecznie gruntownie

uświadomiły sobie wagę swych uprawnień do równomierniejszego podziału osiągalnych wspólną pracą dóbr.

Wzrostowi przetwórczych możliwości świata oraz spogęgowaniu się konsumcyjnych potrzeb ludzkości nie towarzyszy jednak równoległy rozwój zagospodarowania poszczególnych rejonów globu. Mamy dziś bowiem kraje zmuszone do niszczenia swych płodów, bez względu na fakt, że w innych krajach głodują miliony. Mamy również terytoria obfitujące w nadmiar rąk roboczych, gdy na innych odlegiem leżą olbrzymie obszary i nietknięte kopalniane ich bogactwa. Niemniej paradoksalnym jest fakt bezużytecznego gromadzenia się wymienionych bogactw w jednych państwach, przy równoczesnym utrudnianiu ich wytwarzania w innych.

W tych warunkach ziemie kolonialne, wolne od narodowościowych antagonizmów Europy, stać się mogą rezerwuarem, skąd tak przeinwestowane jak i przeludnione jej kraje czerpać będą mogły niezbędne dla swego rozwoju substancje. Wszechstronna też organizacja tych kolonij korzystną okazać się może tak dla mocarstw zasobnych w kolonie, jak i dla państw usiłujących je zdobyć, lub bodaj tylko je eksploatować.

Rozbudowany przeważnie ponad własne potrzeby przemysł kolonialnych i finansowych metropolii domaga się coraz pojemniejszych rynków zbytu. Obecny stopień rozwoju kolonizacji uniemożliwia znalezienie tych rynków w koloniach. Szczelnie ponadto zamykają się przed tym przemysłem egzotyczne rynki Azji, a po części i Ameryki. Rynkowa chłonność państw Środkowej Europy nie może również wzrastać z powodu chronicznego ich niedoinwestowania.

Metropolie zatem mogą zdobyć nowe rynki zbytu ze spalając swe wysiłki z krajami, w których równocześnie istnieją i ogromne jeszcze potrzeby i pewne elementy ich rozwoju. Państwa Środkowej Europy, zacofane w swym gospodarczym rozwoju, bogate jednak w energiczną i nie mającą dostatecznego zatrudnienia ludność, do tych przede wszystkim zaliczyć należy krajów.

Ogromne dysproporcje pomiędzy naturalnymi zasobami państw Środkowej Europy a zagęszczeniem ich ludności, są

jednym z czynników, hamujących ich rozwój. Takie też lub inne powiązanie ich ludnościowego potencjału z bogactwami kolonii, walczyć przyczynić się może do wygładzenia tych nierówności. Zasilenie bowiem gospodarstw narodowych Środkowej Europy wydobytymi w koloniach surowcami, pozwoli na osiągnięcie koniecznego dziś, a standaryzowanego niejako w świecie stopnia uprzemysłowienia tych państw. Umożliwi to intensywniejsze zatrudnienie ich obywateli oraz podniesie poziom ich dobrobytu. Uwszechstronnienie tych gospodarstw narodowych przyczyni się nadto do zwiększenia ich politycznego bezpieczeństwa.

O ile naturalne bogactwa kolonii mogą ułatwić zacofanym państwom Europy nadrobienie opóźnień w gospodarczym i społecznym ich rozwoju, dalecy jesteśmy od twierdzenia, że sam fakt zdobycia przez nie określonych kolonii rozwiąże wszystkie trapiące je w tej dziedzinie bolączki. Najbogatsze bowiem kolonie niewiele zmieniają w tym stanie rzeczy bez należytego ich eksploataowania. Zaniedbanie tej elementarnej prawdy, zupełnie możliwe z braku u tych państw i własnych kapitałów i dostatecznego doświadczenia i politycznego bezpieczeństwa ich komunikacji z koloniami może snadnie powiększyć tylko ilość grożących im niebezpieczeństw zamiast ulżyć w ich kłopotach.

Zbadanie tedy dzisiejszych warunków kolonialnej eksploatacji zmusza do tym większej wstrzeźliwości w zbyt pochopnych dążeniach do „własnych” kolonii. O ile bowiem naturalna gospodarka tubylców, zbierająca w dziesięcioleciach ubiegłych samorzutnie rodzące się płody, obywatela się minimalnymi nakładami ze strony europejskich kolonizatorów, dzisiejsze najskromniejsze nawet kolonizacyjne poczynania wymagają kolosalnych wstępnych wydatków, nie licząc stałych produktywnych już inwestycji. Wkłady te są jednakowo wysokie tak w plantacyjnym systemie gospodarki kolonialnej, jak w górniczej czy drobno-rolniczej na tubylcach lub osadnikach europejskich opartej eksploatacji. Sformułowanie tej prawdy znaleźć można w gruntownej pracy Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.¹⁾

¹⁾ Royal Institut of International Affairs. — *The Colonial Problem*. 1937.

Szeroki import kapitałów — jak mówi Instytut — z metropolitalnych i obcych krajów jest dziś najbardziej wyróżniającą się charakterystyką rozwoju kolonialnych terytoriów. Osadnicza i handlowa ich kolonizacja z okresów ubiegłych nie wymagała wysokich wkładów stałego kapitału. Wzrost uprzemysłowienia podniósł ogromnie koszty ich zagospodarowania. W konsekwencji tego każda z tych kolonij uzależnia się coraz bardziej od handlowych i przemysłowych ośrodków Europy, Ameryki i Wschodu.

Wśród masy Europy jeszcze podporządkowanych kolonij jedynie terytoria Afryki zachowują jakie takie polityczne warunki dalszego trwania ich kolonialnego uzależnienia. Kraje te są naturalnym poza tym i klimatycznym uzupełnieniem europejskiego gospodarstwa. Stąd też na nich przede wszystkim skupi się prawdopodobne zainteresowanie dążących do kolonialnej działalności narodów. Otóż, jak twierdzi wzmiankowany Instytut właśnie

...w Afryce, w znaczniejszym niż gdzie indziej stopniu, przemysłowe i rolnicze inwestycje nie są możliwe bez uprzedniego dokonania prac publicznej użyteczności, z których najważniejsze, jak drogi i koleje, instalacje siłotwórcze i inne, pociągną za sobą olbrzymie wydatki.

Eksploatacja kolonij spowoduje konieczność ciągłego ich zaopatrywania w niezbędny dla ich zagospodarowania kapitał. Niemniej imperatywną stanie się potrzeba zużycia wytworzonej dzięki tym wysiłkom kolonialnej produkcji. Już obecna eksploatacja kolonij przyczynia ich metropoliom niemało w tym względzie kłopotów. Sądzić należy, że te właśnie kłopoty z wchłonięciem kolonialnej produkcji spowodowały liberalniejsze ustosunkowanie się metropolij do niektórych kolonialnych zagadnień. Oświadczenie min. Hoare w r. 1935, ofiarującego w imieniu Brytyjskiego Imperium innym państwom możliwości udziału w eksploatacji kolonij, było wysoce w tym względzie znamienne. Niemniej charakterystyczny był również wstępny artykuł w *Temps* (3 XII 37), poruszający te sprawy w dobie wizyty min. Delbos'a w Warszawie i uporczywych pogłosek o omawianiu przy tej okazji kolonialnych także zagadnień. Artykuł ten wyraźnie bowiem wyznaje, że w żadnym wypadku i przy najbardziej rozwiniętym protekcjonizmie rynek francuski nie

będzie mógł wchłonąć bardzo wielu produktów kolonialnej wytwórczości. W świetle tego wnioskować więc można, że zamykając w swych celnych granicach nowo nabyte kolonie, mało uprzemysłowione kraje tym bardziej powiększą dziś już odczuwane trudności w znalezieniu rynków zbytu dla produktów rodzimych. Jeżeli wiele z nich dopłaca dziś grube sumy do wywozu takiego na przykład węgla, cukru, zboża itp. to może dołączyć się jeszcze konieczność takichże dopłat do eksportu kolonialnych surowców „własnej” produkcji.

Gospodarcze oblicze kolonialnych spraw jest związane jak najściślej z ich obliczem demograficznym i społecznym. Gospodarcze bowiem osiągnięcia kolonizacji możliwe są jedynie dzięki należytej pracy człowieka, jak również stawiane tej kolonizacji cele dążyć muszą do zaspokojenia jego własnie potrzeb. Niestety kolonizacyjne poczynania dzisiejsze więcej uwagi poświęcają inwestycjom i handlowi kolonij niż problematom ich demograficznego rozwoju. Przyczyn tego szukać należy w całkowitym wyczerpaniu emigracyjnego potencjału w aktualnych metropoliach kolonialnych. Historyczne wspomnienia z okresu handlu murzynami, pozwalając na traktowanie tubylców jedynie jako narzędzia pracy, wale nie też przyczyniły się do tego zjawiska.

Wstąpienie na arenę kolonialnego współzawodnictwa narodów o wysokim potencjale emigracyjnym wywołały żywsze zainteresowanie się tymi zagadnieniami. Z jednej bowiem strony zaistniały możliwości, że europejscy konkurenci aktualnych metropolij szybciej zasiedlą swe kolonie, z drugiej natomiast powstały niebezpieczeństwa zaludnienia kolonialnych ziem przez inno-rasowe narody, również rozpoczynające kolonialną rywalizację. Zagadnienie zaludnienia kolonij występuje szczególnie ostro w ramach brytyjskiego Imperium, posiadającego olbrzymie przestrzenie, odpowiednie dla europejskiego osadnictwa a mimo to prawie całkowicie puste. O znaczeniu tej sprawy dla przyszłości Imperium mówią słowa australijskiego senatora Sir George Pearce'a (*Times* 10 III 38), że „w świecie dzisiejszym Australia albo się zaludni albo zginie”. Komentując raport urzędu osadnictwa zamorskiego, podsekretarz stanu dominiów stwierdził mniej więcej to samo, w jego bowiem opinii „dopóki

nie będziemy w stanie zaludnić Imperium i uczynić go samowystarczalnym w dziedzinie obrony, istnieć będzie groźba, że tego dokonają za nas inni“.

Przez długie lata kwestionowano możliwości stałego zamieszkania białych w tropikalnych krajach oraz ich wszechstronnego w tych warunkach rozwoju. Jeżeli poprzedzające nas pokolenie wypowiadało negatywne w tym względzie opinie, nowsze osiągnięcia w dziedzinie zwalczania chorób tropikalnych zrodziły znacznie więcej w tych sprawach optymizmu.¹⁾ Badania klimatu kolonij, ich gleby oraz zrodzonej na niej żywności, nauczyły sposobów dostosowywania środków, zapobiegających rozmaitym tym brakom. Osiągnięcia te, połączone z należyтым wykorzystaniem krajów o wysokim wzniesieniu nad poziom morza, umożliwiają dziś stałe i zdrowe zamieszkiwanie przez Europejczyków wielu tropikalnych krajów. Na tych również zdobyczach kolonialnej wiedzy opierają się dzisiejsze kolonizacyjne i osadnicze poczynania Italii w Abisynii i Libii.

Równolegle do rewizji poglądów na kwestie osadnictwa kolonialnego, dokonywały się również przemiany w ustosunkowaniu się kolonizatorów do ludności tubylczej. Konieczność spotęgowania chłonności kolonialnych rynków zmusiła do utworzenia bardziej solidnych baz gospodarczego jej rozwoju. Dlatego też, jak to zaznacza cytowany już Instytut: „wszyscy nowsi autorzy kolonialni zgodnie stwierdzają, że rozbudowa drobnego rolnictwa, uprawianego przez liczne masy chłopskie, jest najbardziej charakterystyczną cechą polityki XX wieku, jak system plantacyjny był właściwością XIX wieku“.

Nowe próby gospodarczej i społecznej reorganizacji kolonialnych organizmów stawiają na porządku dziennym sprawę stosunku dwu ras. Sądzić można nawet, że drobnorolnicze nastawienia w dzisiejszych kolonizacyjnych poczynaniach sprzyjać raczej winny tak sprawie powiększenia ilości Europejczyków w koloniach, jak i racjonalniejszemu uregulowaniu sąsiedzkiego współżycia białych z kolorowymi. Z jednej bowiem strony przetworzenie murzyńskiej mental-

¹⁾ R. H. Whitbeck oraz O. J. Thomas: *The Geographic Factor*. 1932.

ności i europejskie jej zdyscyplinowanie, będzie wymagać licznej rzeszy europejskich fachowców w rozmaitych dziedzinach i na wszelkich szczeblach. Z drugiej strony ich przykład i kierownictwo uwielokrotnią produkcję kolonij, co ze swej strony podniesie konsumcyjne i zarobkowe potrzeby tubylców. Zmniejszy to oczywiście niebezpieczeństwo tubylczej konkurencji, tak groźnej dla białych pracowników w koloniach. Wzrost zapotrzebowania na pracę roboczą pozwoli natomiast na regionalną segregację poszczególnych rasowych grup pracowniczych.

Jeżeli gospodarcze i populacyjne kwestie kolonij domagają się szybkiego ich rozwiązania i sprzyjają, jak się zdaje, kolonialnej współpracy Europy, to polityczne zagadnienia ogromnie te sprawy komplikują. Nikt dziś przecież nie wątpi, że posiadanie zamorskich kolonij, ich należyte zagospodarowanie, oraz dostateczne zasiedlenie własnymi obywatelami, spotęguje międzynarodowe znaczenie ich metropolij oraz urozmaici ich polityczne środki działania. Nic więc dziwnego, że kolonialne metropolie niezbyt się śpieszą ze zgodą na nowy podział kolonij.

W dyskusji kolonialnej, toczącej się od paru już lat, argumentacji państw, usiłujących zdobyć kolonie, przeciwstawia się polityczne właśnie i strategiczne argumenty państw, pragnących zachować swój dzisiejszy stan posiadania. Polityczna ta kontrargumentacja nie pozbawioną jest zresztą swego uzasadnienia. W stosunkach bowiem z mocarstwami, jak Niemcy lub Italia, które mają względnie swobodny dostęp do morskich szlaków i potężne floty wojenne, metropolie kolonialne obawiać się mogą, że czyniąc im ustępstwa spowodują tym samym osłabienie swych strategicznych pozycji na oceanach.

W konkretnym wypadku kolonialnych żądań Niemiec, ich polityczne i strategiczne oblicze całkiem niedwuznacznie kryje się za enigmatyczną formułą kolonialnej równości. W światoburczych bowiem ich planach możliwość użytkowania własnych zamorskich portów uwielokrotni ruchliwość ich floty wojennej i pomnoży jej siły. Korsarskie natomiast operacje, w oparciu o te właśnie porty, mogą szkodzić handlowi przeciwnika, a zarazem odciągać jego siły z głównego

teatru wojny. Zainstalowanie się niemieckiej floty w portach Afryki Środkowej, dajmy na to w Kamerunie, zmniejszy tym samym bezpieczeństwo brytyjskich szlaków dookoła tego kontynentu. A one przecież stać się mogą jedyną arterią, łączącą metropolię z jej koloniami w razie zabarykadowania śródziemnomorskich dróg komunikacyjnych.

Rzecz charakterystyczna, że te właśnie strategiczne względy spowodowały wystąpienie Ameryki przeciw odstąpieniu kolonij Niemcom. Jeden bowiem ze styczniowych artykułów *New York Herald Tribune*, sądzi na przykład, że gdyby Niemcy usadowiły się w Kamerunie, dysponowałyby bazami znacznie bliższymi Południowej Ameryki niż te, które posiadają Stany Zjednoczone. Stąd też ewentualna cesja Kamerunu, winna, według tejże opinii, pociągnąć za sobą brytyjskie i francuskie ustępstwa na Antylach na rzecz Washingtonu. Uwzględniając naprężone stosunki pomiędzy Ameryką a autorytatywnymi państwami Europy, można liczyć na prawdopodobieństwo wysunięcia tych argumentów w ewentualnych pertraktacjach kolonialnych.

Jeżeli kolonialne żądania mocarstw „osi”, nawet uzasadnione słusznymi gospodarczymi potrzebami, z politycznych właśnie względów wzbudzają sprzeciw aktualnych metropolii, to w odniesieniu do państw Środkowej Europy argumenty te nie mają oczywiście żadnego znaczenia. Wzajemna bowiem geograficzna sytuacja tych państw i kolonialnych metropolii umożliwia tym ostatnim stałą kontrolę śród-kowo-europejskich połączeń z koloniami. Znikome natomiast morskie ich siły zmuszają je raczej do ściślejszych związków z kolonialnymi metropoliami Zachodu, niż do wyraźnego przeciwstawienia się im.

Uwzględniając fakt, że właśnie polityczne motywy, wpływające z kolorowych niebezpieczeństw grożących koloniom zmuszają do nawiązania kolonialnej współpracy Europy, można sądzić, że brak przeciwieństw pomiędzy dążeniami państw środka Europy i jej zachodu, scementuje ich współdziałanie.¹⁾

¹⁾ W szczególności w dziedzinie afrykańskich spraw istnieje, jak sądzi wstępny artykuł *Times*'ów (28/X.37) a strong case for enlisting the cooperation of all the best European experience in its solution. Rozważając

Ponieważ zagadnienia kolonialne domagają się nowych rozwiązań, zaspokajających potrzeby całej Europy i tychże kolonii, przeto nie można przypuścić, że uczestnictwo Polski w tych sprawach mogłoby być pominięte lub wykluczone. Rozszerzenie gospodarczego obszaru na terytoria o innych naturalnych i klimatycznych warunkach staje się imperatywną koniecznością dla Polski, której ludność podniesie się w niedalekiej przyszłości do 40 milionów. Wszechstronna rozbudowa gospodarstwa narodowego Polski, oparta na kolonialnych tych osiągnięciach, uwielokrotni chłonność jej rynku, z niemałą dla zachodnio-europejskich narodów korzyścią. Wiadomo jest bowiem, że wbrew utopijnym planom autarkii, wymiana międzynarodowa w dzisiejszych czasach specjalizacji wzrasta w miarę uwszechstronniania gospodarczej rozbudowy państwa. Nasze zasoby ludnościowe należycie wyzyskane dla zagospodarowania kolonii, w tymże samym stopniu podniosą ich chłonność na wyroby przemysłowe Polski i Zachodu. Wciągnięcie więc Polski do kolonialnych rozwiązań leży w obustronnym interesie.

Imperatywne natomiast konieczności uprzemysłowienia kraju w celu wyżywienia coraz liczniejszej ludności, stają się w Polsce aksjomatami przez nikogo już dziś niekwestionowanymi. Powoli rozpowszechnia się również świadomość potrzeby otwarcia dróg kolonialnych dla polskiego gospodarstwa, które mogłoby mu dostarczyć tak niezbędnych dla jego uprzemysłowienia surowców, jak i koniecznych dla dalszego jego rozwoju kolonialnych rynków zbytu. Aktywne w tej dziedzinie poczynania Polski na międzynarodowym forum przyczyniły się poważnie do wykazania, że obalenie tych przeszkód na drodze do jej intensywniejszego zagospodarowania wyjdzie na dobre dla całej także Europy.

Niezbędność europejskiego elementu w koloniach, czynnego w tej lub innej dziedzinie, staje się dzisiaj coraz bardziej oczywistym i szeroko rozumianym faktem. Realne

te sprawy z gospodarczego punktu widzenia do tychże samych dochodzi wniosków i prof. Waibel, mówiąc: *dass Afrika und insbesondere das tropische Afrika, ein wichtiger Ergänzungsraum für die europäische Wirtschaft sei, ist eine Erkenntnis, die sich heute schon vielfach durchgesetzt hat.* (L. Waibel: *Die Rohstoffgebiete des tropischen Afrika.* 1937).

osiągnięcia Italii w podejmowanym obecnie eksperymencie osadniczej kolonizacji na wielką skalę, uwielokrotnią międzynarodowe walory emigracyjnego dynamizmu Polski. Jednostronny zawodowy i społeczny układ żydowskiej ludności Polski, zmuszający ją z konieczności do emigracji, z niej również czyni niewyczerpalny rezerwat ludzkiej energii, której aktywność można zawsze przenieść na terytoria innych i obcych krajów.

Zespół rozwojowych tych możliwości i warunków Polski uaktywnia jej rolę jako czynnego członka społeczności międzynarodowej i tworzy szeroką bazę naszych rewindykacji kolonialnych. Równocześnie nie należy jednak zapominać o fakcie, że prócz uprawnień do kolonizacyjnych poczynań, społeczność narodów wiąże kolonialny stan posiadania z coraz wyraźniej zarysowującymi się licznymi i uciążliwymi obowiązkami. Jeżeli więc współzależność państw, wzajemnie wiążąc rozwojowe ich możliwości, upoważnia je do stawiania kolonialnych żądań, taż sama współzależność nakłada na nie wyraźny przede wszystkim obowiązek skutecznej eksploatacji posiadanych terytoriów.¹⁾

Jakże więc w świetle tych kolonialnych praw i obowiązków przedstawiają się istotnie możliwości naszej samodzielnej eksploatacji kolonialnej?

Przed wszystkim więc rysuje się tu ostro sprawa głównego nerwu wszelkich dzisiejszych poczynań gospodarczych — sprawa dostatecznych zasobów finansowych. Patrząc śmiało prawdzie w oczy będziemy musieli stwierdzić, że nawet dla rozwoju własnych terytoriów odczuwamy w tej dziedzinie niemałe braki. By osiągnąć zachodnio-europejski poziom kulturalny, musimy bezwzględnie wyprzedzić u siebie tempo rozwoju krajów Zachodu. Pociągnie to oczy-

¹⁾ Prawdy te, krystalizujące się w nowych tendencjach prawa narodów, ujął prof. G. Scelle (George Scelle: *Précis de Droit des Gens*), jeden z czołowych prawników międzynarodowych, w słowach: *la disposition d'un sol et de ses richesses naturelles implique l'obligation de l'exploiter en conformité avec les besoins de la solidarité internationale*. Tę samą ideę nie mniej wyraźnie sformułował lord Snell, przemawiając w Izbie Lordów (*Times*, 21 VII. 38) *our retention of great territories could be justified only if we did our utmost to develop them; and unless we made the Empire as strong at the circumference as at the centre it would drift into danger*.

wiecie za sobą konieczność użytkowania olbrzymich kapitałów na publiczne inwestycje wewnątrz kraju. Wysuwając więc nasze aspiracje kolonialne, nie możemy przeoczyć faktu, że zagospodarowanie i eksploatacja znacznie rozleglejszych i bardziej jeszcze zaniedbanych przestrzeni kolonialnych domagać się będzie tym większych nakładów finansowych.

Stawiając te rewindykacje, pamiętać również musimy, że ponieważ nie będziemy zdobywać kolonii z bronią w rękę, lecz na zasadzie porozumień z posiadającymi je metropoliami, konieczne jest uprzednie przekonanie ich, że potrafimy należycie zagospodarować przede wszystkim własne terytoria. Stąd też nie osiągniemy kolonii do czasu dopóki kursować będą na zachodzie opinie, w rodzaju wypowiedzianej niedawno przez tak poważne pismo, jak *The Economist* (18 III. 39). Twierdzi on bowiem, że głównym obecnym zadaniem Polski winny być wysiłki, zmierzające do powiększenia rolniczej jej wydajności przez powszechniejsze i szersze zastosowanie nowoczesnych metod uprawy. Jeżeli widać w tym wyraźną aluzję do naszych zaniedbań na wschodnich kresach państwa, to niemniej zdecydowanie uwidocznia się to i w dalszym również zdaniu, iż „kolonialny problem Polski jest w rzeczywistości sprawą wewnętrzną a nie afrykańską, a o jej rozwiązaniu należy myśleć nie w porozumieniu z kolonialnymi zadaniami Niemiec i Italii, ale w szczerej współpracy po stronie Paryża i Londynu“.

Suwerenne dysponowanie koloniami, związane z należytym ich zagospodarowaniem, nakłada dalsze jeszcze obowiązki. Ich metropolie znaleźć się bowiem mogą przed niemniej uciążliwą koniecznością samodzielnego wchłonięcia ich produkcji i równoczesnego ich zaopatrzenia w niezbędne wytwórcze i konsumpcyjne środki przemysłowe. I o tej więc ewentualności nie wolno nam zapominać przy rozważaniach kolonialnego problemu i formułowaniu kolonialnych żądań.

Dalej, coraz bardziej komplikująca się administracja koloniami wymaga długoletnich w tej właśnie dziedzinie doświadczeń. Nie można przecież zaprzeczyć, że podstawy jej opierają się na innych nieco założeniach niż administracja własnych metropolitalnych ziem. Samodzielne zdobycie

przez całość społeczeństwa niezbędnego kolonialnego doświadczenia nastęrczy więc niemałe trudności i wymagać będzie długiego a planowego wysiłku.

Poważne wreszcie przeszkody na drodze do suwerennego posiadania kolonij stwarza nasza geopolityczna sytuacja w głębi zamkniętego w swym obszarze morza. Posiadanie bowiem kolonij zakłada możliwość komunikacyjnego z nimi połączenia tak w okresie pokoju, jak zwłaszcza w okresie wojny. Otóż nasze kolonialne linie komunikacyjne podlegały dotychczas ścisłej kontroli tak ze strony naszego sąsiada z zachodu, jak i kolonialnych metropolij Europy. W tych warunkach można więc sądzić, że posiadłości kolonialne podporządkowane naszej suwerenności narodowej, nie tylko spotęgują wydatki administracyjne, ale nadto mogą uwikłać nas w różne komplikacje międzynarodowe. Przed naszą polityką zagraniczną wyłonią się więc siłą faktu nowe i niełatwe problemy. Sytuację w tej dziedzinie ułatwi nam niewątpliwie nasz sojusz z W. Brytanią.

Zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że prestiż narodu i państwa domaga się suwerennego posiadania przez Polskę własnych kolonij. Niemniej przeto nie wolno nam zapominać, że prestiż i ambicja narodowa nie rozwiążą same przez się tych wielkich trudności jakie się wiążą z problemem kolonij, podległych naszej suwerenności państwowej. Nadto dzisiejszy stan politycznych i gospodarczych stosunków międzynarodowych niewątpliwie sprzyja bardziej rozwiązaniom, planującym współpracę, niż zmierzającym do nowego podziału kolonij. Wzrastająca bowiem liczba grożących koloniom niebezpieczeństw zmusza ich metropolie do bardziej ugodowego postępowania z innymi państwami Europy w kolonialnych sprawach. Zbyt bowiem arbitralna forma niemieckich żądań kolonialnych, oraz niewątpliwa konieczność takiego lub owego dopuszczenia Niemiec na kolonialne terytoria, może wskazać ich obecnym metropoliom jako najlepszy środek równowagi czynniejsze zaangażowanie się innych również państw, a wśród nich na pierwszym miejscu Polski, w dziedzinę kolonialnych wysiłków.

Jest rzeczą oczywistą, że współpraca taka musi być korzystną dla obu partnerów. Metropolie kolonialne uzyskać

mogą w niej większe bezpieczeństwo dla swych kolonij, oraz intensywniejsze ich zagospodarowanie. Korzystając natomiast z od stuleci gromadzonych gospodarczych zasobów i kolonialnego doświadczenia metropolij Zachodu, państwa środkowej Europy, a więc przede wszystkim Polska, mogłyby obficie czerpać z naturalnych bogactw zamorskich krajów oraz skuteczniej zatrudniać tam i u siebie swych obywateli. Ścisłe powiązanie gospodarczych i politycznych interesów tak współpracujących ze sobą państw, uwarunkować powinno polityczne i strategiczne bezpieczeństwo możliwości obustronnego korzystania z owoców tej współpracy.

Na koniec, niewątpliwa konieczność zwiększenia w koloniach europejskiego elementu na wszelkich szczeblach społecznej drabiny, upoważnia narody mogące go dostarczyć do specjalnych kulturalnych uprawnień w dziedzinie narodowej. Nie można przecież od nich wymagać, żeby poświęcały swe żywotne siły na rozbudowę potęgi obcego państwa i łatwo godziły się na zerwanie ideowych i kulturalnych węzłów z emigrującymi za morza współobywatelami. Doświadczenia dominiów brytyjskich, jak Kanady i Afryki Południowej, oddadzą niewątpliwie ogromne w tej dziedzinie usługi. Zachęcają one ponadto do takich właśnie prób rozwiązania i rokują im pomyślne wyniki. Takie rozwiązanie kolonialnych spraw, rezerwując najszerszą skalę dalszych możliwości dla dwu współpracujących i zainteresowanych narodów, zbliżyć może i uzgodnić również ich europejskie poczynania.

Roman Piotrowicz.

Szkoła a zdrowie młodego pokolenia.

O opiece nad zdrowiem młodzieży szkolnej pomyślano u nas od pierwszej chwili odzyskania niepodległości. „Każda szkoła, zarówno niższa, jak średnia i wyższa... znajdują się pod stałą opieką higieniczno-lekarską“, mówiły „Przepisy“, ogłoszone w *Dzienniku Urzędowym Min. W. R. i O. P. Królestwa Polskiego* z dn. 15 marca 1918 r. (nr 3, poz. 10); organizację władz kierowniczych ustalono krótko potem dekretem z dn. 29 lipca 1918 r. (tamże, nr 6, poz. 27). Poza tym, wprowadzone po szkołach, a cieszące się wydatnym poparciem władz wojskowych, wychowanie fizyczne i sport kazały się spodziewać, że młode pokolenie Polski rósć będzie w warunkach dla zdrowia i rozwoju fizycznego korzystnych, owszem, z postępem czasu stan ten będzie się polepszał coraz bardziej.

Tak miało być i przez lat kilkanaście szerokie sfery społeczeństwa żyły w przekonaniu, że tak jest rzeczywiście. Dopiero ostatnie kilka lat rozwiały w sporej mierze te złudzenia. Przeprowadzone tu i ówdzie dokładniejsze badania lekarskie młodzieży szkół powszechnych i średnich wykazały, że jej stan zdrowotny pozostawia wiele do życzenia; co więcej, zaczęły się mnożyć oznaki, że to właśnie szkoła i sport, wbrew pokładanym w nich nadziejom, przyczyniły się do tego pogorszenia. Rozpoczęte w r. 1932/33 i prowadzone odtąd systematycznie obowiązkowe badania studentów, zgłaszających się do uczelni akademickich, potwierdziły raczej powyższe podejrzenia. Zwróciliśmy na to uwagę Czytelników w artykule pt. „Stan zdrowotny naszej młodzieży

szkolnej", w zesz. *Przeglądu Powszechnego* z lutego 1937 r. (str. 176).

Niepokojące te objawy, stwierdzone na razie na niewielkim tylko odcinku, były w ciągu paru ostatnich lat przedmiotem dalszych badań. Poza sprawozdaniami lekarzy szkolnych, zawierającymi na ogół surowy materiał i nadsyłanymi do władz centralnych, zanotować tu możemy poważniejszą pracę dra med. Tadeusza Bok'a, z którego artykułu w *Nowinach Społeczno-Lekarskich* zaczerpnęliśmy poprzednio główne dane o zdrowiu młodzieży szkół średnich; obecnie rozszerzył on teren swych badań i ogłosił je pt.: *Stan narządów krążenia młodzieży szkolnej. Metoda i wyniki badań* (Warszawa, 1938). Innym posunięciem (które wskutek niewłaściwego sposobu wykonania pozostawiło po sobie smutne wspomnienia) były badania biologicznej wartości młodzieży, dokonane w r. 1937 na kilkunastu tysiącach uczniów i uczennic. Wspomnieć wreszcie należy, odbyty w październiku ub. roku w Warszawie, I Ogólnopolski Kongres Dziecka, na którym nie omawiano wprawdzie kwestii opieki higieniczno-lekarskiej w szkole, ale w każdym razie poświęcono szereg referatów sprawom zdrowia dziecka i młodzieży.

Wyniki tych dochodzeń nie wykazały, o ile nam wiadomo, żadnej poprawy w zestawieniu z poprzednim stanem rzeczy. Widzimy to zresztą najlepiej z uwag tak kompetentnej osoby, jaką na tym polu jest dr med. Czesław Wroczyński. W obszernym artykule pt. „Nowe kierunki opieki lekarskiej nad dorastającą młodzieżą”¹⁾ zajmuje się on wyjaśnieniem dzisiejszych metod tzw. klinicznego badania młodzieży, stosowanych u nas i za granicą, w Anglii, Francji, Niemczech i Szwajcarii; równocześnie zaś, opierając się na zdobytych u nas materiale, daje obraz stanu fizycznego naszej młodzieży szkolnej i stara się wskazać czynniki, które na ukształtowanie tegoż wpłynęły.

Na materiał rzeczowy, z którego dr W. korzysta, składają się: 1) sprawozdania lekarzy szkolnych z badań, dokonywanych corocznie w miastach i miasteczkach; 2) wyniki wspomnianych powyżej badań biologicznej wartości mło-

¹⁾ *Wiedza Lekarska*, Warszawa, r. 1939, nr 2, str. 25.

dzieży; 3) badania młodzieży w Poradniach wychowania fizycznego, mniej liczne ale bardziej dokładne. Na podstawie wymienionych źródeł i stosownie do programu badań klinicznych, omawia Autor kolejno: cechy morfologiczne dzieci i młodzieży (wzrost, waga), stan odżywienia, budowę i zmiany kośćca, typy konstytucjonalne naszej młodzieży, stan uzębienia, narządy wewnętrzne, zwłaszcza układ krążenia i oddechowy, układ nerwowy. Nie wszystkie z tych punktów zostały omówione równomiernie, jedne podano obszerniej, inne tylko naszkicowano. Szczegółów, tu zawartych, nie będziemy jednak poruszać, zwłaszcza że podane są tak zwięźle, iż trudno je jeszcze bardziej streścić; w tej chwili obchodzi nas bowiem całokształt stanu zdrowotnego młodzieży, oraz zdanie Autora, co do przyczyn, które na to wpłynęły.

Otóż obraz ten nie przedstawia się bynajmniej różowo.

Jakaż jest bowiem „biologiczna wartość” naszej młodzieży w świetle materiałów, dostarczonych przez zbadanie blisko 15-u tysięcy chłopców i dziewcząt? — Po odliczeniu niewielkiego odsetka młodzieży o bardzo małej wartości fizycznej (kaleki i wybitnie upośledzeni), pozostaje 96 — 97% pozornie zdrowych; z tych jednak młodzieży „zupełnie silnej i zdrowej” jest stosunkowo mało, mianowicie: 1) 18 — 19% wśród ośmioletnich, 2) 22% wśród jedenastoletnich i 3) 30 — 31% wśród czternastoletnich chłopców i dziewcząt. Pozostałe kilkadziesiąt procent cierpi na różne schorzenia i braki.

Tak wygląda fizyczny stan naszej młodzieży. A teraz drugie ważne pytanie: jakiego rodzaju niedomagania dają się szczególnie zauważyć i w czym należy upatrywać ich przyczynę? — Ażeby na to odpowiedzieć, sięga dr Wroczyński także do całego pozostałego materiału, dostarczonego przez lekarzy szkolnych i Poradnie wychowania fizycznego.

1) Przede wszystkim — powiada — o ile chodzi o budowę konstytucjonalną, spotykamy wśród młodzieży stosunkowo dużo asteników, których spory odsetek nie jest zdolny do większych wysiłków.

2) Znaczna grupa młodzieży jest mało wytrzymała na większe wysiłki, a to z powodu zaburzeń układu krążenia.

3) Dość duży odsetek wykazuje wady budowy i rozwoju układu kostnego, stawów i mięśni.

4) Prawie u 30% młodzieży rozwój kośćca i układu mięśniowo-ruchowego jest upośledzony w następstwie krzywicy.

5) W niebywałym stopniu znajdujemy dziś u młodzieży posuniętą próchnicę zębów. Obejmuje ona, zależnie od miejscowości, 45 — 60% badanych, przy czym ubogie dzieci wiejskie posiadają ją w mniejszym stopniu. Chorobę tę zaliczają dlatego niektórzy lekarze do chorób społecznych, kulturalnych, które rodzą się na tle dzisiejszych warunków życia. W innych krajach występuje ona jeszcze silniej. Na 30,000 dzieci, zbadanych w Stanach Zjednoczonych A. P., znaleziono próchnicę u 65·90%, w Londynie zaś u 11·7% zbadanych wykazano lekką, a u 62·8% posuniętą próchnicę zębów.

6) Dość częste w młodszych latach choroby zakaźne pozostawiają nieraz trwałe ujemne zmiany układu krążenia, narządów zmysłów i narządów wydzielniczych. O zgubnych następstwach przewlekłych chorób społecznych, jak gruźlica, jaglica i choroby weneryczne, oraz używania alkoholu, Autor nie wspomina, gdyż wymagałoby to osobnego omówienia.

7) Jeśli powyższe niedomagania można było, w poważnej przynajmniej części, tłumaczyć warunkami bytowania lub dziedzicznością, to ostatni punkt jest oskarżeniem, skierowanym pod adresem szkoły, oraz dzisiejszych metod wychowania fizycznego i sportu. Jako czynnik, wybitnie szkodliwy dla zdrowia młodzieży szkolnej, wymienia bowiem Autor: nadmierne obciążenie jej, zwłaszcza w szkole, którego następstwem jest przemęczenie i wzmożona pobudliwość nerwowa.

Tak, bynajmniej nie wesoło, przedstawia się w streszczeniu obraz stanu zdrowotnego naszej młodzieży szkolnej i główne źródła jego braków. Robi on wrażenie tym bardziej przygnębiające, że ciemnym jego stronom Autor nie przeciwstawia jaśniejszych i nie usiłuje uspakajać nas przysłowiowym „to nic strasznego, wszystko będzie dobrze”. Wprost przeciwnie, przestrzega on przed lekceważeniem

tego stanu rzeczy i nawołuje do ratowania sytuacji. „Zagadnienie — pisze — podniesienia sił fizycznych i odporności rasy, wymaga z naszej strony energicznej interwencji w celu usuwania przyczyn, tak bardzo upośledzających wartość obecnego pokolenia“.

Co więc należy robić?

Z odpowiedzią na to pytanie pośpieszą niezawodnie wszyscy; nikomu bowiem zagadnienie młodzieży nie jest obojętne. Wśród nich boimy się jednak szczególnie tej grupy ludzi, która zaraz rzuci się do opracowywania gigantycznych planów ratowania dziecka, każe zwoływać konferencje lekarzy, społeczników i pedagogów, przeprowadzać głębokie badania nad zaradzeniem powyższym brakom: „żeby dziecku polskiemu nie brakowało niczego, by zdrowe i silne mogło budować mocarstwową Polskę!“ Czujemy instynktowny lęk przed tymi ludźmi, których zapał mogliśmy niejednokrotnie podziwiać w ciągu minionych 20-u lat i na skutki jego patrzymy w różnych dziedzinach życia, a jeśli chodzi o młodzież, to zwłaszcza w szkolnictwie i opiece nad zdrowiem młodzieży! Jest u nas w modzie stawiać zaraz maksymalistyczne programy, zamiast nakreślić plan skromny, ale dostosowany do możliwości obecnej i wykonać go. Niestety ten, jedynie życiowy postulat bywa u nas często przeoczany i gdy przyjdzie do rzeczy, ten jest bardziej oklaskiwany i uważany za większego „przyjaciela dziecka“, kto więcej mówi i więcej żąda. Czyż nie było podobnie i na zeszłorocznym Kongresie Dziecka?

Dr Cz. Wroczyński we wspomnianym artykule ujął rzecz praktyczniej. Pierwszym nakazem chwili jest podług niego działać: „musimy otoczyć młodzież szkolną należytą opieką lekarską i społeczną i starać się usuwać wszystko to, co działa szkodliwie“. Naukowe badania lekarskie stoją na razie na drugim planie: „nie wolno nam zapominać“ o nich.

Lecz jakkolwiek hierarchia zadań została tu utrzymana, mamy wrażenie, że Autor nie uniknął w całości błędów innych skrajnych teoretyków. Zdaniem jego, dawna szkoła kładła główny nacisk na intelektualne wyrobienie młodzieży,

co przyczyniło się niestety do jej fizycznego upośledzenia; nowsza szkoła stara się więc ten błąd naprawić i zwraca więcej uwagi na zdrowie i ciężyznę ciała. Chodzi tylko o uzgodnienie obu tych dążeń przez znalezienie równowagi pomiędzy wychowaniem intelektualnym a fizycznym; i tu właśnie szczególniejszą rolę ma do spełnienia szkolna opieka lekarska.

Na tym jednak, ciągnie dalej dr Wroczyński, nie kończy się jej zadanie. Na stan zdrowotny młodzieży wpływa bowiem nie tylko szkoła, ale także dom rodzinny i inne rozliczne czynniki: wewnętrzne i zewnętrzne. Należy więc wszystkie te wpływy poddać szczegółowym badaniom, by stwierdzić, jaką z osobna rolę odgrywają czynniki konstytucjonalne, warunki bytowania (mieszkanie, odżywianie, warunki społeczne), praca umysłowa i fizyczna (zwłaszcza ćwiczenia cielesne). Dopiero po objęciu całej tej różnorodnej i skomplikowanej sieci czynników będzie trzeba przystąpić do takiego ich uregulowania, by mogły harmonijnie współdziałać dla należytego rozwoju młodzieży.

Otóż co do takiego postawienia zagadnienia mamy poważne zastrzeżenia. Jest ono może „naukowo”, to znaczy w obecnym wypadku teoretycznie, słuszne; ale chyba sam Autor musi przyznać, że gdybyśmy od pełnego wykonania powyższego programu uzależniali poprawę stanu zdrowia młodzieży, to nie doszlibyśmy najprawdopodobniej nigdy do celu. Już samo wykrycie, w jakim stopniu poszczególne czynniki wpływają na zdrowie i rozwój fizyczny dziecka, stanowi gąszcz, trudny do przebycia. Niektóre zagadnienia nie są w ogóle jeszcze wyświecone; należy tu higiena pracy umysłowej i fizycznej w wieku młodzieńczym, sprawy dotyczące budowy ciała, wzrostu i ich różnic w odmiennych środowiskach, przebieg dojrzewania i jego wpływ na pozostały rozwój itd. Inne znowu zjawiska tłumaczy się wprawdzie, ale w sposób, który właściwie nic nie mówi. Jeżeli bowiem jako przyczynę tak bardzo dziś rozpowszechnionej próchnicy zębów podaje się „warunki życia obecnego”, jest to raczej próba ominięcia trudności niż jej wyjaśnienie.

Długo więc, powtarzam, musielibyśmy czekać na otrzymanie wyczerpującej odpowiedzi na wszystkie powyższe py-

tania. Lecz nawet w razie jej uzyskania niewiele by nam to pomogło. Przecież zarówno pod względem budowy konstytucjonalnej, jak warunków bytowania i postronnych czynników istnieje niesłychana różnorodność wśród młodzieży. Któż więc podejmie się wszechstronnego zbadania i ustalenia tych poszczególnych kompleksów, a następnie wytyczenia metod postępowania, które choćby nawet nie były indywidualne (a powinny być nimi, jeśli metoda wychowania ma być doskonała), musiałyby uwzględniać przynajmniej każde zamknięte środowisko szkoły i klasy z osobna.

Szczegółowe badania naukowe trzeba więc prowadzić, i razem z dr Wroczyńskim żywimy zgodne pragnienie, by w każdym mieście uniwersyteckim powstał ośrodek tych badań, w rodzaju warszawskiej Poradni klinicznej i zapowiedzianej podobnej instytucji w Poznaniu. Ale od tych daleko sięgających, teoretycznych dochodzeń nie można uzależniać rozbudowy opieki higieniczno-lekarskiej nad młodzieżą szkolną, będącej dziś nagłą potrzebą. Naukowe badania mają zawsze tę niebezpieczną właściwość, że oddani im specjaliści zanadto różniczkują zagadnienia i stawiają potem drobiazgowo postulaty, podczas gdy akcja na szerszą skalę musi się ograniczyć do niewielu ale istotnych rzeczy i te bezwzględnie przeprowadzić. Jedynie pod tym warunkiem może ona przynieść rzeczywistą korzyść; inaczej stan zdrowotny naszej młodzieży, w oczekiwaniu owych „zbawczych recept i nowoczesnych metod“, będzie tylko ulegał dalszemu pogorszeniu.

Tych zaś istotnych punktów programu, które muszą być wykonane w interesie zdrowia młodego pokolenia, jest rzeczywiście niewiele i spróbujemy je obecnie wymienić. Dwa z nich, trzeba to podnieść z uznaniem, spełnia już od szeregu lat Ministerstwo Opieki Społecznej, łącznie z samorządami i różnymi organizacjami; należą do nich:

1) Dożywianie dzieci szkolnych, w liczbie rosnącej z roku na rok.

2) Rozległa akcja w sprawie kolonij wakacyjnych i półkolonij, które, dla celów leczniczych i wypoczynkowych, ogarniają z postępem czasu coraz szersze zastępy młodzieży.

Te dwa rodzaje pomocy należy dziś uznać za najbardziej potrzebne i skuteczne, zwłaszcza dla podniesienia stanu zdrowia uboższej i chorowitej młodzieży. Szkolna opieka lekarska ma tu pole współdziałania przez badanie dzieci i wskazanie rzeczywiście potrzebujących tej pomocy.

3) Trzecim punktem, który pragniemy szczególnie podkreślić, gdyż dotyczy ogółu młodzieży szkolnej i czeka dopiero na wykonanie, jest kwestia programów i pracy szkolnej. Dzisiejszy bowiem stan rzeczy, zarówno w szkołach powszechnych, jak jeszcze bardziej w średnich, nie sprzyja zdrowiu młodzieży, owszem, jak stwierdzają sprawozdania lekarzy szkolnych, odbija się ujemnie na jej układzie nerwowym, oddechowym i krążenia.

„W związku — pisze dr Wroczyński — ze wzmożoną pobudliwością układu nerwowego, nader często spotykamy w dobie obecnej, szczególnie w okresie wiosennym, młodzież męską i żeńską — kierowaną do lekarza z powodu złego wyglądu, ubytku wagi, bólów głowy, bezsenności, rozdrażnienia, łatwego męczenia się. Wywiad wykazuje z reguły nadmierne obciążenie tej młodzieży”. Zbyt duża liczba zajęć, stąd konieczność pracowania niekiedy w nocy, brak potrzebnego snu i odpoczynku (zwłaszcza u młodzieży dojeżdżającej), wpływają szkodliwie na zdrowie młodych i pozostawiają niekiedy trwałe ślady.

Dr Wroczyński, który powyższe twierdzenie opiera na rozległym materiale rzeczowym, powołuje się zatem, w wyjaśnieniu złego stanu zdrowotnego młodzieży, na te same ujemne strony dzisiejszej organizacji szkoły, jakie wysunęliśmy w naszym poprzednim artykule i których dlatego nie będziemy tu szczegółowo powtarzać. Przytacza to samo, co i my, zdanie dr fil. i med. Eleonory Reicher, która na podstawie dłuższych, specjalnych badań wyraża poważną wątpliwość, „czy metody współczesnego wychowania fizycznego są w istocie dobrodziejstwem dla młodzieży”? Podaje te same ostateczne wnioski, że dokonane dotychczas badania stanu zdrowotnego młodzieży każą uznać za konieczne: unormowanie trybu jej życia codziennego „w kierunku zapewnienia w pierwszej linii należytego wypoczynku, unikania wszystkiego, co w życiu młodzieży wprowadza element niepokoju

i rozdrażnienia (długie i męczące imprezy, uroczystości, źle pomyślane wycieczki szkolne). Nadmierne obciążenie umysłowe, nieracjonalnie pojęte wychowanie fizyczne, które musi się zbliżyć do potrzeb słabszej młodzieży, unikając nadużywania ćwiczeń ruchowych, a nade wszystko — niezdrów rywalizacja sportowa, odgrywają na pewno wybitną rolę, jako przyczyny złego.

Ażebym zaś nie pozostawić żadnych wątpliwości w tej mierze i dać do poznania, że chodzi o sprawę dużej wagi, podkreśla dr Wroczyński na innym miejscu, przy analizie „głównych przyczyn usterek zdrowotnych” młodzieży, że: „groźnym objawem... jest wielka częstość klinicznych objawów przemęczenia szkolnego i nadmiernej pobudliwości układu nerwowego”, do czego, obok społecznych warunków bytowania, przyczynia się „wieczny pośpiech i nadmierne obciążenie umysłowe i fizyczne”.

Przyczyny te można usunąć i to niezależnie od opieki lekarskiej. Czy zostaną usunięte, zawisło od Ministerstwa W. R. i O. P., które jest miarodajne w ustalaniu programu i związanych ze szkołą innych zajęć młodzieży. Dopóki zajęcia te nie zostaną zredukowane i sprowadzone do takich rozmiarów, by młodzież szkolna miała czas na wczesny powrót ze szkoły do domu, możliwość przerobienia zadanych lekcji w ciągu dnia, wolny czas na odpoczynek i rozrywkę, dostateczną ilość godzin snu — tak długo jej stan zdrowotny nie może ulec poprawie i daremne będą naukowe badania, zarówno „kliniczne” jak nad „racjonalizacją metod wychowania”.

To ograniczenie liczby godzin — a zwłaszcza bezwzględne zniesienie godzin popołudniowych, zmuszających daleko nieraz mieszkające dzieci do powtórnego przychodzenia do szkoły — można zrobić kosztem przeróżnych kółek i posiedzeń, oraz pewnych, do niedawna tak wyolbrzymianych co do znaczenia przedmiotów, dzięki którym uczeń szkoły średniej potrafił nieudolnie coś wyciosać z drzewa, ale do matury czasem nie umiał poprawnie pisać po polsku lub kompromitował się odpowiedziami, świadczącymi o skrajnej wprost ignorancji znanych osób i rzeczy. Choćby zresztą jakie zajęcia były nawet pożyteczne, trzeba je po-

święcić, jeśli zdrowie młodzieży wymaga jej odciążenia. Dodajmy, że z przeprowadzeniem tych reform należy się śpieszyć, bo inaczej każdy rok będzie żłobił coraz nowe szczyrby w zdrowiu młodego pokolenia, na którym opiera się przecież przyszłość kraju!

Rozumiemy naturalnie, że gdy chodzi o obciążenie pewnych godzin, znajdują się tacy, którzy nad każdą z osobna będą załamywać ręce, gotowi raczej dodać jeszcze, niż ująć cokolwiek z dotychczasowego planu. Dla pocieszenia ich pozwolimy sobie przypomnieć skromnie, że w dawnej, przez nich tak lekceważonej szkole, młodzież miała daleko więcej czasu wolnego, a więcej wynosiła ze szkoły właściwej wiedzy, jak o tym poświadczyć mogą profesorowie wyższych uczelni. Co więcej, tylko tworzeniem nowej legendy jest twierdzenie, jakoby wychowanie fizyczne było dopiero zdobyczą najnowszych czasów. Istniało ono i przed wojną w formie gimnastyki i tzw. „zabaw“, a w b. zaborze austriackim ćwiczenia młodzieży szkół średnich stały wyżej niż obecne. Ani w stolicy ani w innych miastach nie widziałem tak świetnie reprezentujących się i na taką skalę zorganizowanych ćwiczeń i pochodów, jakie przed wojną światową należały tam do rzeczy zwyczajnych.

4) Czwartym wreszcie czynnikiem, potrzebnym dla utrzymania i podniesienia stanu zdrowotnego młodzieży, jest należyta opieka higieniczno-lekarska w szkole. Opieka ta w teorii istnieje wszędzie, w praktyce jednak jest wykonywana w szkołach średnich, a w szkołach powszechnych na ogół tylko w wielkich miastach; i tu zaś poziom jej pozostawia dużo do życzenia, a należyte jej postawienie napotyka na różne i poważne trudności. Trudności te, poza finansowymi, są zazwyczaj niedoceniane, gdyż mało kto posiada możliwość zapoznania się z wielorakimi zadaniami, jakie stawia się lekarzowi szkolnemu.

Niepodobieństwem jest wchodzić tu w szczegóły tych zagadnień; kogo interesują one bliżej, temu radzimy przeczytać odczyt, jaki dr Jan Szmurło, prof. h. Uniw. S. B., miał w styczniu br. w Warszawie i który został wydrukowany w *Warszawskim Czasopiśmie Lekarskim* (r. 1939, nr 6 — 8). Autor ilustruje rzecz na przykładzie stolicy

i stwierdza, że mimo dwudziestoletnich usiłowań opieka higieniczno-lekarska w warszawskich szkołach powszechnych „przeżywa w chwili obecnej poważny kryzys. W rozmowach z lekarzami szkolnymi, zwłaszcza tymi, którzy pracowali przed reorganizacją lat ostatnich, wyczuwa się gorycz i zniechęcenie”. Dr Witold Chodźko, b. min. zdrowia publ., omawiając stan opieki higieniczno-lekarskiej w szkołach powszechnych kraju, widzi jedną z głównych przyczyn jej niedomagań w wyłącznym przydziale tych spraw Ministerstwu W. R. i O. P. i żąda dlatego powrotu do pierwotnej koncepcji z r. 1918, kiedy to sprawy higieny szkolnej należały łącznie do Min. W. R. i O. P., oraz Min. Zdrowia Publicznego.¹⁾

Czy takie wyjście, jakie proponuje dr Chodźko, urатуje sprawę i zapoczątkuje owocną współpracę lekarza i szkoły, nie wiemy i pozostawiamy rozstrzygnięcie bardziej kompetentnym czynnikom. Nam chodzi jedynie o stwierdzenie faktu, że opieka higieniczno-lekarska nad młodzieżą, zwłaszcza szkół powszechnych, wykazuje stale duże braki, oraz o wyrażenie wspólnego wszystkim, gorącego życzenia, by sprawę tę załatwiono jak najprędzej. Przedłużenie stanu obecnego pozbawia bowiem młodzież należytej pomocy, a krajowi przynosi nieobliczalne szkody.

Uregulowanie tej rzeczy nie jest jednak tak proste i z tego zdajemy sobie sprawę. Przede wszystkim lekarz szkolny powinien i w szkole mieć możliwe warunki pracy i otrzymać takie wynagrodzenie, które by mu pozwoliło poświęcić się jej rzeczywiście. Do warunków pracy zaliczamy również, by pozwolono mu zostać lekarzem, a nie zamieniano na pisarza i buchaltera niekończących się statystyk, które obrzydzić mogą tylko zawód lekarza szkolnego, nie wiele albo nic nie przynoszą pożytku, a zabierają czas, potrzebny do właściwych zajęć lekarskich. Poza tym, ze względu na zgodną współpracę szkoły i lekarza, konieczne jest ściśle wyznaczenie zakresu działania tego ostatniego. Z jednej bowiem strony chodzi o wykluczenie ewentualnych utrudnień ze strony czynników szkolnych i o zapewnienie

¹⁾ *Lekarz Polski*, Warszawa, r. 1939, nr 1 i 2.

lekarzowi najkonieczniejszych przynajmniej warunków. Z drugiej zaś należy zapobiec tym wypadkom, by lekarz rościł sobie zbyt pretensje i mieszał się do zagadnień wychowawczych, które niekoniecznie do niego należą, a do których brak mu nieraz i wiedzy pedagogicznej i taktu. Ingerencja tego rodzaju na własną rękę powinna więc być zakazana lekarzowi szkolnemu, a dozwolona jedynie w poszczególnych wypadkach, po uprzednim omówieniu i otrzymaniu zgody grona nauczycielskiego, a w pewnych razach także rodziców.

Cztery powyższe, praktycznej natury, postulaty uważamy za konieczne dla podniesienia stanu zdrowotnego naszej młodzieży szkolnej. Dwa pierwsze — dożywianie w szkole i akcja kolonijna — znajdują się już w stadium realizacji; dwa pozostałe czekają na nią. Zaznaczymy przy tym, że nie czwarty (opiekę higieniczno-lekarską) uważamy za najważniejszy, lecz trzeci, tj. sprawę uregulowania programów i pracy szkolnej zgodnie ze zdrowiem dziecka i młodzieży. Póki bowiem to się nie stanie, póki nie zostanie zmniejszona liczba godzin i zajęć szkolnych, a wychowanie fizyczne i sport nie zostaną ujęte we właściwe ramy, tak długo lekarz będzie mógł tylko co roku „stwierdzać” na nowo fakt przemęczenia młodzieży i szkodliwe tego następstwa. Dopiero gdy Ministerstwo W. R. i O. P. ten punkt, od niego wyłącznie zawisły, załatwi pomyślnie, lekarz szkolny będzie mógł oddać się właściwej sobie pracy; a będzie miał jej jeszcze przez długie lata aż nadto!

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Współczesne zagadnienia religijnej sztuki plastycznej.

Retrospektywny rzut oka na przejawy sztuki dowodzi niezbicie, że poczęła się ona w wszelkich jej przejawach z tęsknoty ducha ludzkiego ku czemuś nieuchwytnemu, potężnemu, co rządzi prawami życia i śmierci. Poczęła się ona z kosmicznego niepokoju, który znalazł ukojenie w wierzeniach religijnych. Wystarczy wziąć do ręki podręcznik Historii Sztuki, a spostrzeżemy dowodnie, że właściwie jest ona w najpiękniejszych swych przejawach Historią Sztuki Religijnej. Biorąc pod uwagę tylko historię sztuki europejskiej, włączając do niej najbliższe jej prairródła, jak Asyrię i Egipt, których wpływy wynikające z historycznej konieczności, opromieniły nieśmiertelnym pięknem wyniosłe wzgórza Olimpu, potem objęły Rzym i Bizancjum, aby ująć potężnymi płomieniami ludy Europy od pd. - zachodu poprzez kraje łatyńskie, a od pd. - wschodu poprzez stepy i rubieże mało zaludnione przez plemiona Chazarów, i dotrzeć aż do polarnych kresów Europy, wszędzie niosąc ze sobą ukojenie tęsknot metafizycznych człowieka. Widzimy potem wspinały rozkwit sztuki przejawiający się kolejno w stylach historycznych od romańszczyzny przez gotyk, renesans, barok, aż do czasów dzisiejszych. Obiektywny obserwator musi przyznać, że najwspanialsze przejawy sztuki plastycznej w każdym jej zakresie, są wyrazem zaspokojenia tęsknot religijnych. Mimochodem można zaznaczyć, że również najpiękniejszymi pomnikami literatury i muzyki są utwory powstałe na podłożu religijnym, począwszy od psalmów proroków, skoń-

czywszy na *Missa solemnis* Bethovena. Dziś, gdy oglądamy zabytki architektury wczesnochrześcijańskiej, doznajemy głębokiego wewnętrznego przeżycia na widok cudownych harmonij kolorystycznych, wspaniałych mozaik w Rawennie; nastrój modlitewnego skupienia musi ogarnąć każdego w mrocznym kościółku Gallii Placidii, gdzie słońce załamuje się ciepłym światłem poprzez płytki alabastru wprowadzonego w otwory okienne, a ze ścian mrocznych spływa ukojenie najwspanialszych harmonij barwnych mozaik. Gdy wchodzimy poprzez imponujące odrzwia kościołów romańskich południowej Francji, do wnętrz pełnych surowej prostoty i powagi, to niemniej jak na widok gotyckich tumów, w realizacji których duch przewyciężył materię, zda się, że człowiek znajdujący się w obrębie tajemniczego działania proporcji smukłych kolumn, strzelistych wiązań, staje się lepszy i szlachetniejszy.

Gdy wreszcie staniemy przed dziełami renesansu odczuwamy pełny wyraz zaspokojonych tęsknot, gdyż epoka ta niezaprzeczenie wyraziła się w najpełniejszej symfonii wszystkich sztuk plastycznych, poczynając od prymitywu Cimabue Giotto, poprzez Fra Angelico Verocchia aż do wspaniałego zespołu: Ghirlandaia, Botticello, Leonarda, Michała Anioła. Niezwykle charakterystyczne zjawisko zda się potwierdzać harmonijność tej epoki, w której synchronicznie rozwijały się bujnie wszystkie przejawy sztuki. Oto na horyzoncie pojawiają się postacie genialne, które reprezentowały w swej pracy i najwyższych osiągnięciach cały zespół zjednoczonych sztuk. Wszak powszechnie znanym jest, że Michał Anioł, podobnie jak Leonardo da Vinci, był jednocześnie genialnym poetą, malarzem, rzeźbiarzem, muzykiem, architektem, inżynierem. Artystów tych określić można jako najwyższe symbole harmonii ducha ludzkiego w zakresie sztuki.

W czasach późniejszych następuje stopniowy upadek i poprzez barok, który jeszcze świeci resztkami słońca renesansu i ma wielkie wzloty, przechodzimy przez rokoko i empire — które można nazwać stylami reżimu politycznego, wyrazem dworskich smaków Ludwików i Napoleona — by dojść do zupełnej prawie bezstylowości w XIX. Wiek XIX, sławny przez naukowe zdobycze i przyrodnicze odkrycia,

wiek filozofów i muzyków, w sztuce plastycznej nazwać można dnem wielkiego koliska nieustannych przemian z zakresu plastyki. Widzimy bowiem jak w w. XIX całe szeregi wybitnych indywidualności gorączkowo poszukują nowych dróg, to znowu grupy jednostek tworzą dla swej własnej satysfakcji, czy dla małego grona swych wielbicieli lub wreszcie pracują w myśl hasła „Sztuka dla sztuki”.

Widzimy gorączkowe poszukiwania w kierunku rozwiązania zagadnienia: w czym leży tajemnica praw rządzących naturą i dziełem sztuki. Twórca XIX wieku analizował, rozbijał światło na pierwiastki barw, barwy na punkty, punkty grupował w plamy, plamy w harmonie kolorystyczne, w tym procesie rozbijania całości zjawiska na elementy i układanie z tych elementów znów całości, był najzupełniej niezrozumiały dla szerokich rzesz, łaknących chleba sztuki, a w braku tegoż rzesze te skazane były na konsumpcję namiastek wielkiej sztuki. Wiadomo jak bardzo byli zwalczani pionierzy impresjonizmu, mieszczaństwo współczesne i krytyka uważała ich w ogóle za wariatów i to nawet niebezpiecznych, gdyż przewracali pojęcia dotychczasowego spojrzenia na świat. Ze swej strony mieli oni w pogardzie tzw. treść, sprowadzali ją do pojęcia literatury w malarstwie, a w ostatecznej definicji do ilustracji. Rezultat był ten, że wiek XIX pozostawił wiele kierunków, niemal tyle ile było wybitnych indywidualności, a sztuce religijnej poświęciły się tylko jednostki mniej twórcze, które stworzyły całe grupy epigonów, minionych form i epok. I tu dochodzimy niemal do sedna sprawy, dlaczego dzisiejsza sztuka plastyczna religijna jest pogrążona w upadku. Gdy z jednej strony jednostki prawdziwie twórcze zajęły się poszukiwaniami czysto formalnymi chcąc objąć rozumem prawa rządzące zjawiskami optycznymi, to z drugiej strony odłam artystów mniej twórczych umieścił swe tęsknoty w najwyższych wzlotach renesansu uważając, że nie należy nawet marzyć o zdobyciu własnego wyrazu twórczości. Odłam ten począł ślepo naśladować formy renesansu, zdobywając się na małe odchylenia indywidualnego wyrazu jak: Moreau, Puvis de Chavanne, Burne Jones, Rozetti. Reszta w typie: Feuerbachów, Overbecków, Corneliusów... karmiła smak mieszczaństwa raz jeszcze prze-

żutym pokarmem form renesansowych. Ruch neoklasyczny wystąpił synchronicznie we Francji, Anglii, Niemczech i Włoszech, zależnie od tego przybierał różne nazwy w wyrazie swym, nie wyszedł jednak poza zewnętrzną nieskazitelną formę renesansu, nie był ożywiony nowym duchem. W zakresie malarstwa religijnego specjalnie może zasługiwać na uwagę w tym względzie grupa tzw. nazarejczyków, którzy wzięli sobie za cel opracowanie tematów religijnych. W obrazach tych znajdujemy wszelkie cechy martwoty, która charakteryzuje zawsze epigonów, a więc kompozycja zawsze jest idealnie gładka i cikliwa, postacie wszystkie są świetnie narysowane ale bez wyrazu, wyszukane draperie w klasycznych fałdach dodawały z reguły powagi tym dobrze odżywionym postaciom. Wobec wielkiego rozwoju litografii, chromolitografii, oleodruku i w ogóle metod reprodukcyjnych, obrazy te były reprodukowane i dzięki niskim cenom reprodukcji dostawały się do rąk szerokich rzesz, które w setnych kopiach: Corneliusów, Feuerbachów, Overbecków widziały ideał wyśnionego piękna mieszczańskiego, który i dziś nie zmienił się na jotę. Czyż można się dziwić zresztą, wszak wielcy naprawdę twórcy jak: Manet, Monet, Cezane, Renoire, Van Gogh, Pissarro, nie interesowali się w ogóle tematami religijnymi, poza Gauguinem, który w swoisty sposób pojmował tę dziedzinę. A eksperymenty i praca tychże niewątpliwie wielkich twórców wydawała się pocziwemu *bourgeois* zgola niebezpieczną dla porządku społecznego.

Widzimy więc, że właściwie wiek XIX nie zaznaczył się chlubnie w zakresie twórczych poszukiwań sztuki religijnej, poza sztuką ludową, która właśnie w wieku tym osiągnęła punkt kulminacyjny swojego rozwoju, ale omówienie tego wychodzi poza ramy obecnego tematu.

W rezultacie spostrzegamy zjawisko bardzo charakterystyczne, jakby antytezę XV i XVI wieku; sztuka religijna XIX wieku tworzy harmonijny zespół, tylko że nie wzniosłego piękna lecz banału i przeciętności. Znamy przecież wszyscy kościoły neo-romańskie i neo-gotyckie z kopiami Rafaelów, pełne odlewów gipsowych, oleodruków przedstawiających postacie Męki Pańskiej. Ze ścian tych wieje chłód,

twór talentu i ręki twórczego artysty został dzięki przyspieszonej industrializacji XIX wieku zastąpiony falsyfikatami, kopią i wytworem maszynowym. W nagich ścianach Feliksa i Adaukta czujemy się lepiej niż w najbogatszym wnętrzu neo-gotyku. Jaka jest potęga działania ducha ludzkiego w tej dziedzinie niech będzie przykładem fakt, że w ubogich ścianach kaplicy wybudowanej rękoma Brata Alberta w Kuźnicach Zakopiańskich odczuwa się bezsprzecznie nastrój modlitewny i jakby wcielenie słów Norwida:

O, gdybym jedną kaplicę zobaczył
Choćby, jak pokój ten, wielkości takiej,
Gdzieby się polski duch raz wytłumaczył,
Usymbolicznił rozkwitłymi znakami,
Gdzieby kamieniarz, cieśla, mularz, snycerz,
Poeta — wreszcie Męczennik i rycerz
Odpoczął w pracy, czynie i modlitwie...

W czym leży tajemnica tego dziwnego odczucia, w czym leży istota problemu? Nie łudzę się, aby zagadnienie to dało się rozwikłać w dwóch słowach i pozostawię je bardziej powołanym od siebie, jednakże mam wrażenie, że prawdziwe dzieło sztuki musi powstać z głębokiej potrzeby ducha i znajdzie zawsze takie środki do objawienia się, że będzie promieniować z siebie poprzez wieki i pokolenia niezniszczalne wartości.

Dzieło sztuki religijnej musi więc być wewnętrznie przeżyte a wtedy udzieli się zawsze widzowi, choćby nim był i niedowiarek. Dzieło sztuki religijnej winno nami wstrząsnąć, wtedy spełni swoje zadanie, choćby sposobem wyrażenia były tak ubogie środki jakimi rozporządzała sztuka ludowa, gdzie drzeworyt czarno biały, świątek wyrzeczany kozikiem, malowidło na szkle są tworem ducha ludzkiego, wynikającym z tęsknoty metafizycznej, są niewątpliwym dziełem sztuki, wobec najbardziej wymuskanego, najbogaciej ozłoczonego oleodruku lub banalnej statuetki.

Gdy zadamy sobie pytanie: Czy dzisiaj może powstać prawdziwe dzieło sztuki religijnej? po namyśle odpowiemy, tak — o ile wynika z wewnętrznego szczerzego przeżycia danego tematu i duchowej potrzeby wyrażenia religijnej tęsknoty przez artystę.

Teraz rozważmy czynniki, które sprzyjają stworzeniu prawdziwego dzieła sztuki religijnej. W grę wchodzi przede

wszystkim środowisko, następnie tzw. atmosfera artystyczna, wiedza artystyczna w ogóle oraz w szczególności znajomość Pisma świętego, ikonografii, symboliki i historii.

Poza tym niezbędne jest rzetelne i gruntowne poznanie rzemiosła artystycznego, umiejętność stosowania materiałów istotnie trwałych.

Gdy weźmiemy pod uwagę dostępne nam dzieła artystów średniowiecznych i przeprowadzimy ich analizę przekonamy się, że zarówno iluminatorzy ksiąg, jak i malarze cechowi do renesansowych włącznie, głęboko i szczerze przeżywali dany temat, mieli dostateczną wiedzę ikonograficzną i na wylot znali swoje rzemiosło. W sposobie wyrażania się, jakże dalecy byli od dzisiejszych kanonów cikliwej piękności. Jakże wstrząsające są sceny męczeństw, jakże pełne ascetyzmu, skupienia i surowości są twarze Świętych Pańskich, ile w nich powagi i dobroci. Postacie ożywające freski malarzy trecenta i quattrocenta są pełne wyrazu, święty Franciszek z Assyżu na freskach Giotto ma twarz nie piękną, lecz prześwieconą wewnętrzną treścią; jakże wspaniałe i pełne odczucia są twarze Madonn i świętych Mantegny i Ghirlandaja! Jakżeż niezatarte wizje wyczarował nasz Wyspiański w postaciach Boga Ojca, św. Franciszka, bł. Salomei, jakże wstrząsają nami postacie z kartonów jego witraży. Dalekie są one od powszechnie przyjętych dziś bez wyrazu wizerunków współczesnych i wyretuszowanych reprodukcji. Wydaje się, że i tu wkraść się materializm w pojmowaniu scen i wizerunków, widocznym jest ogromne szablonowanie, jedna indywidualność jest wyrażona kroplą w kroplę podobna do drugiej, a wszystkie wypielęgnowane, różowe, dobrze odżywione, takie przykłady muszą pogłębiać sceptycyzm niedowiarków, wątpiących, by ci surowi dla siebie asceci, umartwiający swe ciało, mieli tak ślicznie i nieskazitelnie wyglądać, w szatach ułożonych w jak najpoprawniejsze fałdy. Zapomina się często o tym, że Święci Pańscy byli indywidualnościami w każdym calu, że byli to ludzie genialni, dobrzy, mądrzy, surowi, asceci. Tymczasem wygląd ich, a raczej plastyczny symbol, naginamy do smaku najszerszych rzesz, wyobraża się ich takimi, jakimi nie byli. Inaczej wyobraża ich sobie nieomylna intuicja prawdziwego

artysty. Dziś widzimy ich na modłę ideałów niemieckiego mieszczańskiego o pięknie fizycznego ciała. I spostrzegamy, że poczucie to jest głęboko zakorzenione od stu przeszło lat, a wyrobione równoległe z napływem oleodruków i wzorów niemieckich eksportujących do nas obrazy święte i świeckie w typie: Lohengrinów, Nibelungów, wschodów i zachodów słońca. Narzucanie szablonu, zniechęca bezwarunkowo artystów rzetelnych i szczerych. Często konieczność życiowa zmusza ich do zastosowania się do wymogów i wówczas następuje poważny konflikt wewnętrzny, który każe rzetelnemu artyście wycofać się raz na zawsze z tej dziedziny, albo przechodzi on na drogę kompromisu, odrabia tematy i przystosowuje się do banalnych wymogów, nie wnosząc nic nowego. Musimy jedną rzecz podkreślić wyraźnie, że okres mecenasów w typie Juliusza II i Medyceuszów skończył się i należy pomyśleć o tym, kto ich może zastąpić. Obawiam się, że za lat 50 szlachetna twarz Brata Alberta, prześwietlona rozumem i dobrymi oczami, wyda się nakładcom i retuszerom w swym realizmie zbyt banalna i będą się starać za wszelką cenę uczynić tę twarz zbliżoną do swych ideałów.

W tych przykładach widzimy, że uleciał duch szczerego przeżywania treści, a jest tylko kalkulacja obliczona na gust szerokich mas. Trudno zaś powiedzieć, aby takie właśnie przedstawianie scen i postaci podnosiło na duchu bodaj o jeden szczebel wyżej.

Przyjrzyjmy się teraz obiektywnie jak problem ten przedstawia się w Polsce? Musimy stwierdzić, że bardzo smutno; mianowicie: potrzeby sztuki religijnej zaspokajają się przeważnie fabrykatami bez cech artystycznych. Szerokie rzesze kupują obrazy, obrazki, dewocjonalia o cechach wybitnie obcych naszemu duchowi, często wyrób i smak jest importowany. Zamówienia na polichromię, obrazy ołtarzowe, witraże, rzeźby trafiają jakże często do rąk dyletantów; w niewielkim tylko procencie pracę tę otrzymują artyści. Lud na odpustach kupuje fabrykowaną masowo tandetę, pochodzenia często obcego przemysłu i smaku. Dlaczego tak jest? Trudno na to odrzec. Stwierdzić musimy, że w Pol-

sce nigdy nie było wielkich mecenasów sztuki, na miarę Medyceuszów, a rolę tę dziś może, choćby w części, spełnić tylko organizacja wyłoniona ze sfer miarodajnych, organizacja, której celem byłoby zogniskowanie wszystkich usiłowań poszczególnych jednostek w tym kierunku, by podźwignąć sztukę religijną na możliwie najwyższe poziomy.

Wszak artystów zdolnych mamy dużo, a rokrocznie opuszczają uczelnie artystyczne rzetelni fachowcy z zakresu wszystkich specjalności sztuk plastycznych, a więc: architektury, malarstwa, rzeźby, grafiki, tkactwa; wielu spośród nich poświęciłoby się chętnie poważnej pracy w zakresie sztuki religijnej. Oczywiście nie sądzę bynajmniej, aby każdy absolwent uczelni artystycznej mógł być artystą pracującym w tym zakresie, gdyż do tego niewątpliwie trzeba mieć specjalny rodzaj powołania, a w każdym razie żywe zainteresowanie i chęć pogłębienia problemów związanych z dziedziną sztuki religijnej. Należy jednak wierzyć, że stoimy u progu odrodzenia; po okresach nieudanych prób, zwątpień i eksperymentów nieodzowną jest współpraca artystów wszystkich specjalności, architekt będzie ściśle współpracować z malarzem, rzeźbiarzem, witrażystą, wspólny duch musi łączyć ich pracę o ile ma to być dzieło sztuki, a duchem tym ożywiającym twórczość może być tylko głęboka wiara i przeżycie tego nad czym pracują. Wówczas możemy spodziewać się, że powstaną współcześnie nam kościoły-pomniki wypełnione dziełami sztuki. I duch znów przewycięży materię.

Należy wierzyć, że w Polsce prędzej czy później powstanie powołany przez czynniki decydujące Instytut Sztuki Religijnej, który będzie miał na celu zogniskowanie w swych ramach wysiłków wszystkich jednostek twórczych, które chcą w tej dziedzinie bezkompromisowo pracować. Instytucja ta winna zgromadzić artystów ze wszystkich specjalności, a więc: architektów, malarzy, grafików, rzeźbiarzy, artystów, tkaczy i artystów pracujących w technikach metalowych, by stworzyć im atmosferę pracy, drogą zamówień, konkursów, wystaw; artyści ci stykając się z sobą wytworzą siłą faktu atmosferę artystyczną, sprzyjającą pogłębieniu problemów. Organizacja powyższa winna być oparta na ścisłym kontakcie z warsztatami wytwórczymi rzemieślniczymi, aby projekty mogły być doraź-

nie realizowane, na wysokim poziomie technicznym i artystycznym. Instytut taki winien mieć ogniska prowincjonalne wyposażone w biblioteki dzieł związanych z ikonografią, symboliką, historią i technikami artystyczno-rzemieślniczymi.

Wymarzoną siedzibą takiej właśnie centrali wydaje mi się Kraków, gdyż w murach swych zawiera wszelkie dane do wytworzenia odpowiedniej atmosfery; bogate tradycje, zbiory i muzea, uczelnie artystyczne i naukowe. Ponieważ jest to problem niezwykle żywotny, można optymistycznie twierdzić, że ognisko takie wpływami swymi promieniować będzie na całą Polskę. I tu właśnie, gdzie rozpoczął swoją działalność Brat Albert, ten wymarzony patron bractwa artystów polskich, pracujących w zakresie sztuki religijnej, mogłoby powstać potężnie pulsujące środowisko artystyczne, gromadzące w swych ramach artystów, którzy już poważnie dali się poznać swoją pracą, a pragnęliby swój talent poświęcić sztuce religijnej. Usiłowania tych artystów czynniki miarodajne otoczyłyby swoją życzliwą opieką.

Ognisko takie powinno być oparte na zdrowych zasadach rozwoju, które by umożliwiały rokroczny napływ młodych sił i talentów. Wówczas zapewne w zdrowej atmosferze, bez zawiści zawodowych, powstawałyby dzieła o wysokich wartościach; z warsztatów wytwórczych związanych artystyczną ideą wychodziłyby przedmioty kultu o cechach artystycznych, począwszy od pięknych opraw ksiąg, koronek, haftów ornatów, kielichów, skończywszy na stallach, posągach, witrażach, polichromiach. A do ludu polskiego, miast pozbawionych smaku wzorów obcych, trafiać by mógł wytwór pomysłu polskiego artysty, wykonany przez polskiego rzemieślnika. Może wówczas ucieleśnia się marzenia poety zawarte w słowach:

I tak ja widzę przyszłą w Polsce sztukę,
Jako chorągiew na prac ludzkich wieży —
Nie jak zabawkę ani jak naukę
Lecz jak najwyższe z rzemiosł apostoła
I jak najniższą modlitwę anioła.

Prof. Witold Chomicz.

Przegląd piśmiennictwa.

Sally Salminen: *Katrina*, tłum. Apolonia Załuska (wyd. Książnica-Atlas). — Zofia Kossak: *Warna* (wyd. Biblioteka Polska). — Kazimierz Wierzyński: *W garderobie duchów* (wyd. Książnica-Atlas). — Tadeusz Żeleński (Boy): *Murzyn zrobił...* (wyd. Rój). — Jerzy Schwarzenberg — Czerny: *Bemaki* (wyd. Biblioteka Polska). — Reginald Campbell: *Poo Lorn, król sioni* (wyd. Michałak i S-ka).

Ukazanie się w polskim przekładzie powieści Sally Salminen: *Katrina* poprzedzone zostało wzmiankami w prasie, z których dowiedzieliśmy się, że książka ta otrzymała na szwedzkim konkursie literackim 1936 roku pierwszą nagrodę, dystansując 75 innych, równocześnie zgłoszonych na konkurs powieści, oraz, że autorką jest jej służąca. Zapowiedzi tego rodzaju budzą zawsze zaciekawienie. W wypadku *Katrin*y jednak reklama ta miała wyjątkowo małe znaczenie. Książka posiada bowiem wartości, które tak głęboko i bezpośrednio przemawiają do czytelnika, że zdobyłyby jej zawsze powodzenie, niezależnie od orzeczeń sądu konkursowego. Posmak zaś sensacyjności, związany z zawodem i stanowiskiem społecznym autorki, nie trwa dłużej, niż lektura kilkudziesięciu stron powieści. Nie ma w *Katrinie* nic z prymitywizmu literackiego, z dosłownego autentyzmu, jakiego można by się spodziewać. To nie pamiętnik służącej, ale utwór literacki, oparty zapewne na własnych przeżyciach i obserwacjach, lecz przetwarzający je artystycznie i nadający im pożądany kształt pisarski, kształt sztuki. Powieść ta należy bez żadnych zastrzeżeń do literatury, jest bezsprzecznie powieścią, nie. pamiętnikiem czy reportażem, — i to jest wielki sukces Autorki

Dzieje *Katrin*y, córki zamożnego gospodarza z północnej Szwecji, a żony ubogiego, lekkomyślnego marynarza z wysp Alandzkich, są jednym pasmem trudów, upokorzeń, cierpień. Własnością jej męża jest tylko lichy sklepcony, maleńka chata. Na życie swoje i dzieci musi Katrina zarobić pracą rąk, harując ciężko i znosząc wyzysk bogatych kapitanów, u których pracuje jako najemnica. W tych trwałych warunkach rozwija się jej in-

dywidualność, złożona z wielkich zalet i niemałych wad, prawdziwa i przekonująca indywidualność mocnego i dobrego człowieka. Wbrew pozorom swojej zaciętości, uporu, gwałtowności, Katrina żyje przede wszystkim sercem. Macierzyńskimi uczuciami, serdeczną opieką otacza nie tylko swoje dzieci, nie tylko dziecinnie niezaradnego męża, ale każdą nieszczęśliwą, wydziedziczoną, potrzebującą pomocy istotę, która się do niej zbliży. Odchodzą od niej po kolei wszyscy bliscy, zabiera ich śmierć lub życie dalekie od rodzinnej wioski, — Katrina przeżywa ciężkie ciosy i rozczarowania, wypełnia jednak do końca swoje zadanie życiowe. Trafnie i wzruszająco przedstawione jest zwłaszcza jej współżycie z dziećmi. Plastycznie zarysowują się sylwetki owych trzech synów, z których każdy posiada odrębną indywidualność i inaczej układa swój stosunek do matki. Książka, choć opisuje bardzo smutne i ciężkie życie, nie przygnębia. Przeciwnie, jest w niej coś krzepiącego. Hart ducha Katriny i wielkość jej serca przewyciężają ponurą atmosferę fatalnych warunków życia. I ten ton bohaterstwa w życiu codziennym dominuje w powieści.

Nufa społeczna wyraźna, lecz nie krzykliwa. „Kapitanowie” wyzyskują wprawdzie robotników, wynika to jednak bardziej z układu sił społecznych, niż z ich osobistej złej woli. Nie ma w *Katrinie* irytującego schematu wielu polskich powieści „społecznych”, w których przedstawiciele warstw posiadających są z reguły łotrami bez czci i sumienia. Kapitanowie z *Katriny* nie są czarnymi manekinami, lecz ludźmi. Artystycznej prawdzie powieści wyszło to tylko na dobre, a jej głębszy sens społeczny raczej wzmocniło, niż osłabiło. Protest przeciw takiemu ustrojowi społecznemu, w którym możliwa jest zamiana człowieka w zwierzę robocze, jest tak słuszny i zrozumiały, że nie ma potrzeby wzmacniać go naciąganiem przedstawionej rzeczywistości. Sally Salminen rozumie to lepiej, niż niektóre autorki. I dlatego jej powieść, pozbawiona jest nut fałszywych, tym mocniej i czystiej przemawia do czytelnika. Mniej natomiast przekonujący jest negatywny stosunek Autorki do wielkiej filantropii. Nie sposób zgodzić się z tezą, że bezpośrednia pomoc człowieka drugiemu człowiekowi jest czymś bez wartości, że jest zawsze i tylko upokorzeniem przyjmującego. Ten doktrynerski rys książki, sprzeczny z prostym, ludzkim odczuciem, kłóci się z tym właśnie, co w powieści jest najlepsze i najgłębsze: z przejmująco odczutym i ukazanim człowieczeństwem Katriny.

Warna Zofii Kossak nie jest właściwie powieścią, a tylko szkicem powieściowym, jak to sama Autorka słusznie określa w zakończeniu. Opowiadanie nie rozlewa się szerokim nurtem, nie posiada bogato podmalowanego tła, przedstawia wśród zwieźle, oszczędnie ukazanych okoliczności historycznych jedną tylko sprawę: życie i śmierć ostatniego krzyżowca Europy, młodzień-

czego Władysława Warneńczyka. Zofia Kossak pragnie oczyścić pamięć bohaterskiego króla Polski i Węgier z zarzutu wiarołomstwa, obalić legendę o rzekomej „karze boskiej”, za jaką uważa się powszechnie klęskę warneńską. Znając jej sumiennność historyczną chętnie uwierzmy, że sprawa rzeczywiście tak się miała, jak nam to ona według najnowszych źródeł i badań przedstawia, i że pamięć młodziutkiego bohatera polskiego, niesłusznie oczerziona, zasługuje w pełni na naszą cześć, szacunek i sentyment. *Warna* jest jakby ostatnim ogniwem wielkiego cyklu powieści Kossak o wyprawach krzyżowych. Postać króla Władysława, owiana poetycznym urokiem, nosi na sobie odbłask tego samego serdecznego ciepła i podziwu, jakimi otaczała Autorka swoich poprzednich bohaterów — krzyżowców. Czuje się od razu, że jest on jednym z ich rodu, a klimat *Warny* jest tym samym klimatem bohaterstwa i szlachetności, który panował na kartach *Krzyżowców*. Piękne to opowiadanie posiada wszystkie niepospolite zalety pióra Zofii Kossak, znane nam zbyt dobrze z innych jej powieści historycznych, by trzeba było raz jeszcze wyliczać je tutaj. Talent Autorki sprawia, że czyta się *Warnę* z ogromną przyjemnością i niesłabnącym zajęciem, że żałuje się, iż jest to tylko krótki szkic, który nie rozrósł się do rozmiarów normalnej powieści. Ale refleksje, jakie ubocznie nasuwa ta lektura, są całkiem nieoczekiwane i zapewne nieprzewidziane przez Autorkę. Przychodzi nam bowiem na myśl, że męstwo, odwaga, zapał dla dobrej sprawy, nie są jeszcze wszystkim w biegu dziejów świata, że gdyby król Władysław posłuchał głosu rozsądku zawierając układ z sultaniem, może inaczej potoczyłyby się losy Europy, a że już na pewno inny byłby koniec bitwy pod Warną, gdyby król nie dał się ponieść temperamentowi bitewnemu i nie zginął szaleńczą, niepotrzebną śmiercią. Mimo woli zastanawiamy się, czy właśnie ten, — apoteozowany przez Autorkę, — typowo „polski” charakter szlachetny i zapałny, lecz łatwowierny i nierozważny, nie stał się przyczyną klęski zamiast zwycięstwa? I nie możemy oprzeć się wrażeniu, że to sam Władysław Warneńczyk w porywie swojej rycerskiej fantazji zaprzepaścił jednak to, co było najważniejsze: wielką sprawę chrześcijaństwa, której pragnął służyć.

Pisanie recenzji o recenzjach teatralnych jest zadaniem wyjątkowo niewdzięcznym. Taka robota „z trzeciej ręki”, zdawanie sprawy nie z samego tworu literackiego czy scenicznego, ale z sądów, jakie o nim wydano, ma w sobie tak mało pierwiastka twórczego, że nie może być zbyt pociągająca. Ponadto można spierać się o to, jakie stanowisko należy zająć przy ocenie cudzej oceny: merytoryczne, oceniając przede wszystkim trafność sądu, literackie, traktujące recenzję jako twór literacki i stosujące kryteria artystyczne, czy socjologiczne, upatrujące w recenzji przejaw reakcji umysłów na zagadnienia poruszane w sztuce?

Spór taki byłby zresztą z góry skazany na niepowodzenie, bo wszystkie trzy punkty widzenia są uprawnione, i wszystkie bywają stosowane, tylko z przewagą jednego lub drugiego, zależnie od wymagań materiału. Tom recenzji Kazimierza Wierzyńskiego: *W garderobie duchów* najwięcej może nasuwa refleksyj natury literackiej. Tom ten zawiera wybór sprawozdań teatralnych, drukowanych w *Gazecie Polskiej* w latach 1933 — 37. Ponieważ miał on za zadanie ocalić od zapomnienia tylko najlepsze recenzje, omówienia sztuk najciekawszych, znalazły się w nim niemal wyłącznie oceny pochlebne, i stąd oblicze jego jest dość monotonne. Jednostajność ta wynika zresztą nie z samego tylko jednolite pozytywnego stosunku Autora do oglądanych przedstawień, ale daleko bardziej z raz przyjętej postawy obserwatora i raz ustalonej manieri pisarskiej. Postawa Wierzyńskiego wobec teatru nie jest czynnie estetyczna, w tym znaczeniu, by docierał on do tajemnicy wzruszenia, któremu ulega, by starał się odkryć sekret piękna sztuki, czy odsłonić magię kunsztu scenicznego. Pozwala on przepływać przez siebie wzruszeniom i wrażeniom, poddając im się posłusznie, zajmując postawę bierną. Refleksyjność tych urywków, to tylko zaduma nad własnym wrażeniem, dość banalne ogólniki o życiu, śmierci czy miłości, wreszcie nawiązywanie do polskiej chwili bieżącej w duchu „państwotwórczym“, ale nie analiza sztuki teatralnej. W tych „wrażeniach teatralnych“ — jak głosi podtytuł — sporo jest Autora, nie mało też aktualiów polityczno-społecznych, ale najmniej samego teatru. Dużo za to jest pięknych słów, które stają się z kolei drugim źródłem monotonii książki. Niezmiernie „poetycki“ styl, z pobrzmiewającą tu i ówdzie nutą patosu, kunsztowne zestawienia pojęć, metafory, cały w ogóle zespół środków wyrażania, właściwy mowie wiązanej, czyni z tych recenzji fragmenty pięknej prozy, może nawet poczji prozą, ale uwydatnia tym silniej ich wybitną, zasadniczą ateatralność.

Nadesłany jednocześnie do oceny zbiór recenzji teatralnych Tadeusza Żeleńskiego Boya: *Murzyn zrobił...* różni się korzystnie od książki Wierzyńskiego swoją — powiedziałabym — rzeczowością. To są rzeczywiście sprawozdania ze sztuk granych w teatrze, a nie impresje i dygresje, dla których sztuka teatralna jest tylko punktem zaczepienia. Nie znaczy to, żeby recenzje Boya były jakimś suchym opisem, czy prostym wyliczeniem różnych elementów przedstawienia, by nie uwidoczniły się w nich w sposób bardzo wyraźny osobowość i światopogląd Autora. Wprost przeciwnie. Od razu wiemy, z kim mamy do czynienia, naświetlenie różnych zagadnień poruszanych w sztukach (zwłaszcza sprawy małżeństwa, moralności seksualnej itp.) jest bardzo charakterystyczne i aż za dobrze nam znane! Ale nie chodzi tu o podejmowanie merytorycznej dyskusji z Autorem na marginesie tej

właśnie książki. Pomimo zasadniczo negatywnego stosunku względem wielu wyrażonych w niej poglądów, pomimo niesmaku, jaki niejednokrotnie budzi niepotrzebna trywializacja języka i trywialne ujęcie niektórych spraw, musimy oddać sprawiedliwość właśnie walorom teatralnym tych recenzji. Ze sprawozdań Boya poznajemy rzeczywiście sztukę graną na scenie, nie tylko jej treść podaną w umiejętnym skrócie, nie tylko jej aspekty ideowe, ale także jej wartości sceniczne. Przy tym kultura teatralna i literacka Autora pozwala mu na robienie ciekawych porównań i skojarzeń, na wykrywanie filiacji i podobieństw, jednym słowem na dokształcanie czytelnika pod względem teatralnym. Gdybyż nie te obsesje myślowe, nie te dwuznaczniki i wiadomego kalibru dowcipy!... Ta żałosna atmosfera specyficznej pikanterii jest nie do zniesienia już po kilku stronicach książki.

Gawędy żołnierskie Jerzego Schwarzenberg-Czernego: *Bemaki* nie uderzają specjalnymi walorami literackimi. Jest to garść osobistych wspomnień Autora z bojów legionowych i z czasów obrony Lwowa. Spisał je Czerny *ad perpetuum rei memoriam*, dla utrwalenia pamięci o bohaterskich czynach prostych, nikomu nie znanych, nie odznaczonych orderami żołnierzy, a po części także w celach informacyjnych, by sprostować niektóre dane, dotyczące walk o Lwów, zawarte w dziele płk. Mączyńskiego: *Boje lwowskie*. To też w opowiadaniach tych więcej znac troski o wierność historyczną zdarzeń, niż o ich artystyczne oszlifowanie. Nie zdradzają one w Autorze nawet tego najprostszego, wrodzonego talentu narratorskiego, którym nieraz odznaczają się pamiętnikarze, umiejący przykuć uwagę czytelnika po prostu żywością i wartkością barwnego opowiadania. Ale jest za to w *Bemakach* coś, co pomimo wszelkich zastrzeżeń literacko-artystycznych sprawia, że będą czytane, zwłaszcza dzisiaj: nuta patriotyzmu, gotowości do ofiar, bohaterstwa, która tym bezprezjencyjnym, niemal prymitywnym opowieściom dodaje w obecnej chwili blasku pięknej aktualności.

Jeszcze jedna powieść Reginalda Campbella, której akcja toczy się w dalekim Sjamie, wśród eksploatorów puszczy, wyrębujących i spławiających z biegiem rzeki cenne drzewa tekowe. Tym razem jednak losy białych ludzi, rzuconych w serce puszczy, odciętych od cywilizowanego świata, a zdanych tylko na własne siły, są jedynie tłem, na którym wyrasta potężna sylwetka właściwego bohatera tej książki, straszliwego króla słoni *Poo Lorna*. Jak skrzywdzony przez ludzi olbrzym zniechędził swoich prześladowców i mścił się nad nimi, jak odbywał tajemnicze wędrówki na północ i niszczycielskie wyprawy na linię kolejową, jak go wreszcie ułagodziły czar i dobroć małego dziecka, tak, że z postrachu okolicy zmienił się w jej dobrego ducha,

o tym wszystkim możemy się dowiedzieć z tej miłej, pogodnej książki, której lektura stanowi prawdziwy wypoczynek.

Mgr. Hanna Wierzbicka.

Ks. Dr Ildefons Bobicz: Jezus Chrystus Syn Boży. Wykład Ewangelii św. Marka w 65 homiliach. Nakł. Tow. Bibliot. Religijnej, Lwów. 1938. Str. IV i 312.

Autor, znany zaszczytnie i zasłużony na niwie kaznodziej-skiej, dał w swej książce praktyczną odpowiedź na pytanie, co-raz częściej stawiane na różnych zjazdach duszpasterskich: jak zbliżyć lud katolicki do źródeł Bożych, jakimi są księgi Pisma św. — Odpowiedź ta brzmi: trzeba ludowi o Piśmie św. mówić dużo, często i dokładnie, by je poznał i umiłował. Dlatego nie można ograniczać się do wykładania wiernym tylko niedzielnych perykop ewangelicznych, które obejmują zaledwie drobną część Ksiąg świętych; trzeba wiernym objaśniać całe księgi Pisma św. — Tak czyni od kilku lat sam Autor w swej parafii w lwiu; a jak to czyni, pokazał nam na przykładzie tych 65 homilij, w których objaśnił całą Ewangelię św. Marka, najmniej znaną ze wszystkich, bo najrzadziej cytowaną we Mszach św. niedzielnych, więc i najrzadziej ludowi czytaną i objaśnianą z ambon.

W objaśnieniu Ewangelii św. Marka, zwraca Autor uwagę przede wszystkim na stronę obyczajową, by słuchacze wynieśli z tych nauk owoc praktyczny do poprawy własnego życia. Korzystał tu ze swego wieloletniego doświadczenia duszpasterskiego. Nie brak jednak objaśnień o charakterze egzegetycznym, mających na celu poznanie tak odległego i mało dla nas zrozumiałego tła Ewangelii: epoki, kraju, ludzi, stosunków społecznych, religijnych i politycznych, o których są wzmianki w Ewangelii, lub służących do lepszego zrozumienia przypowieści i porównań, którymi posługuje się Zbawiciel w swych naukach; nie brak także objaśnień, pogłębiających znajomość prawd wiary. Tak więc łączą w sobie te homilie głęboką wiedzę teologiczną i egzegetyczną z wieloletnim doświadczeniem duszpasterskim. I to jest pierwsza cenna ich zaleta.

Prosty układ nauk, oparty zawsze na treści objaśnianego ustępu, jasny i przystępny wykład, styl poprawny, wolny od wyszukanych nowotworów językowych i wyrazów obcych, mało zrozumiałych ludowi — oto dalsze zalety.

Na początku dał Autor dwa kazania wstępne o Piśmie św. i jego znaczeniu. Drugie z nich kończy tymi słowy: „Pismo św. — wyznajemy to ze skrucą — było dla wielu z nas dotychczas Księgą zamkniętą siedmioma pieczęciami. Niejeden ledwie coś niecoś wiedział o jego istnieniu i układzie. I dlatego tak chwiejna była nasza wiara, tak nieraz złe nasze obyczaje. Z chwilą, gdy się zbliżymy bezpośrednio do Chrystusa, wszystko się odmieni;

słowa Jego umocnią wiarę, rozjaśnią mroki, rozprószą wątpliwości; przykład Jego zapali do naśladowania, zagrzeje do walki" (str. 9). — Jesteśmy przekonani, że Autor te błogie skutki ze zbliżenia do Pisma św. ogląda w swej parafii. Dlatego życzyć by należało, by przykład Autora znalazł jak najwięcej naśladowców, do czego wydane przez niego homilie niewątpliwie się przyczynią.

Ks. B. Waczyński T. J.

Wiktor Sukiennicki: Ewolucja ustroju Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich w świetle oficjalnych publikacji władzy radzieckiej. (Wilno. 1938. Nakładem Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej).

Wileński Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej wydaje liczne publikacje naukowe poświęcone badaniom Rosji Sowieckiej. Wśród publikacji tych czołowe niewątpliwie miejsce zajmie świeżo wydana praca docenta U. S. B. dr Wiktora Sukiennickiego. Stanowi ona pierwszą część obszernego dzieła poświęconego ustrojowi sowieckiemu i dającego nam dokładny obraz właściwej ustroju tego ewolucji w świetle oficjalnych publikacji władzy radzieckiej.

Uczony wileński objął w swej pracy okres między listopadem 1917 r., a marcem 1931 r., to jest począwszy od momentu właściwych narodzin rosyjskiego bolszewizmu, aż do VI Zjazdu Sowietów. (Zapowiedziany tom następny dotyczyć ma okresu 1931 — 1938, ostatni zaś tom trzeci stanowić ma zbiór źródeł, którymi są dla Autora cytowane przez niego ustawy sowieckie, teksty deklaracji oficjalnych i komunikatów urzędowych, wycinki z pism itd.).

„Praca niniejsza (pisze w przedmowie dr Sukiennicki) jest próbą przedstawienia ewolucji politycznego i społecznego ustroju Z. S. R. R. niejako od wewnątrz w świetle oficjalnych publikacji i wydawnictw władzy radzieckiej. W oparciu o nie przedstawiam ideologie i intencje czynników rządzących oraz z zestawienia ich wyciągam wnioski o rzeczywistości jaka się kształtowała w Z. S. R. R. w rezultacie prób praktycznego realizowania tych intencji”.

Na wstępie swej pracy daje nam Autor jasny i przejrzysty obraz doktryny komunistycznej oraz syntezę zapatrywań Lenina na istotę państwa; następnie zapoznaje nas z pierwszą fazą realizacji państwa proletariackiego na terenie rosyjskim, przechodząc z kolei do okresu tzw. wojennego komunizmu i nowej polityki ekonomicznej (Nep).

Po przeprowadzeniu gruntownej analizy tekstów konstytucji z 1918 i 1924 r., omawia Autor kryzys partii bolszewickiej po śmierci Lenina, zakończony zrodzoną na tym tle przewlekłą walką wewnętrzną.

Końcem tej walki to zwycięstwo Stalina i jego doktryny, doktryny socjalizmu narodowego, doktryny rezygnacji z rewolucji światowej i zamknięcia jej w obrębie jednego kraju. Stalin rozprawia się z lewicowym blokiem opozycyjnym, łamie: Trockiego, Zinowiewa i Kamieniewa, następnie skutecznie walczy z prawym odchyleniem, reprezentowanym przez Tomskiego, Bucharina i Rykowa. Na terenie gospodarczym występuje równocześnie kolektywizacja rolnictwa i związana z nią likwidacja klasy tzw. kułaków, dokonuje się gwałtowne uprzemysławianie Rosji w drodze pierwszego planu pięcioletniego.

Doktryna Stalina jest skrajnie dyalektyczna; powoduje „obumieranie” państwa w drodze jego wzmacniania. Początkową decentralizację zastępuje maksimum centralizacji i związany z nią system biurokratyczno - szpiegowsko - policyjny. Pryncypializm pierwszej epoki ustępuje przed praktycznie zabarwionym oportunistycznym, pseudodemokratyzm przed okrutnym i dzikim wschodnim despotyzmem.

Autor do niczego nas nie przymusza, nie narzuca nam konkluzji już gotowej, — może ona być w zasadzie taką lub inną. Na tle pracowicie zebranego i trafnie zestawionego materiału źródłowego, na tle pełnej tragizmu rzeczywistości rosyjskiej, rodzą się spontanicznie wnioski niewesołe wprawdzie, ale logicznie wypływające z przedstawionych bezstronnie faktów. — Wielką zaletą pracy Sukiennickiego jest właśnie ów absolutny, niczym niezmqacony obiektywizm.

Dr Andrzej Mycielski.

Biblioteka Kultury Polskiej i Obcej — pod redakcją prof. dr Kazimierza Hartleba. T. I — VII. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Lwów, 1938.

Postulat lektury dla szkoły w pierwszym rzędzie, a następnie dla tych wszystkich, którym potrzeba książki naukowej i poważnej, ale nie przeciążonej aparatem przypisów i konstrukcją drobiazgową — zrodziło pożyteczne wydawnictwo p. n. *Biblioteka Kultury Polskiej i Obcej*. Zadaniem tej serii monografij jest — według zapowiedzi redakcji — opracowanie poszczególnych epok i problemów, które w sumie mają się złożyć na całość dziejów kulturalnych, wypisy do tychże dziejów, odpowiednio przystosowane do założeń kultury popularno - naukowej, wreszcie atlasy oraz zbiory rycin z tekstami wyjaśniającymi. Redakcja spoczywa w ręku prof. K. Hartleba, autora licznych studiów z dziejów polskiego Renesansu oraz równocześnie z Biblioteką opublikowanej *Kultury Polskiej w zaranku dziejów* (omów. w *Przeglądzie Powsz.* 1938, nr 12). Umiejętna i troskliwa myśl redaktora skoncentrowała się na kwestii selekcji zagadnień, doborze autorów, dostosowaniu książek do wymogów i metod

współczesnej szkoły średniej i liceów, wreszcie na starannej i pouczającej szacie ilustracyjnej. Pod tym względem prawie wszystkie tomiki przedstawiają poziom wzorowy i znakomicie wypełniają lukę w ubogim piśmiennictwie popularno-histerycznym.

W t. I. Łucja Charewiczowa daje dzieje *Kobiety w dawnej Polsce do okresu rozbiorów* (str. 108, ryc. 18), kreśląc jasne i ciemne strony życia kobiecego w odległej przeszłości. Stosunki rodzinne, rola w gospodarstwie, naukach, piśmiennictwie, wzniosłe rozumienie wiary i cnót w życiu publicznym — znalazły tu jasne i interesujące przedstawienie. T. II pióra Stanisława Łempickiego pt. *Opiekunowie kultury* (str. 92, ryc. 21) przynosi zupełnie w piśmiennictwie naszym nową syntezę mecenatu kultury zarówno w Polsce jak i w innych krajach i to od najdawniejszych czasów aż po współczesność. Znakomitym swym, barwnym językiem odtworzył znany historyk oświaty i szkolnictwa wszystkie wysiłki szlachetnych patronów i magnatów ducha, których celem było dźwignięcie i utrzymanie zdobyczy cywilizacji, marniejących nieraz z braku środków materialnych. Toteż książka ta spełni szczególnie wartościową funkcję wychowawczą w czasach dzisiejszej pauperyzacji duchowej. T. III stanowi praca Józefa Skoczka: *Stosunki kulturalne Polski z Zachodem w XV w.* (str. 88, ryc. 10). Autor na kanwie dziejów piśmiennictwa i obyczajowości uwypukla węzły kulturalne między prekursorami humanizmu u nas a za granicą, rozstruwając ciekawe porównania w różnych dziedzinach twórczości.

T. IV. — Bronisława Nadolskiego *Kierunki rozwojowe dziejopisarstwa staropolskiego* (str. 72, ryc. 30) dają niezwykle zwięzły i przejrzysty szkic historiografii polskiej od roczników i Galla po szkołę naruszewiczowską. Można by kwestionować proporcje poświęcone poszczególnym autorom, czy pominięcie niektórych pisarzy historyków, może nie dość silne uwypuklenie poszczególnych działów dawnego dziejopisarstwa, ale przyznać trzeba bezwzględnie, iż tomik czyta się jednym tchem, a temat z natury erudycyjny nabiera w nim kolorów życia. Tom VI obejmuje tegoż Autora *Rozkwit literatury narodowej na fle życia umysłowego w Polsce w XVI w.* (str. 144, ryc. 54). Odznacza się trafnym i nowym — mimo tylu poprzedników — ujęciem.

Dwa wreszcie tomiki poświęcono tym działom historii wojskowości, które najwięcej mają wspólnego z kulturą i postępem techniki. W t. V Antoni Knot omówił szeroko — pod względem chronologicznym i rzeczowym *Dzieje szkolnictwa wojskowego w Polsce* (str. 124, ryc. 48), podnosząc momenty rycerskie i patriotyczne; w t. VII zaś Władysław Dziewanowski dał obraz *Uzbrojenia w rozwoju dziejowym* (str. 108, tablic 30), charakteryzując środki bojowe i zbroję od czasów przedhistorycznych po dzień dzisiejszy.

Podkreślić należy, iż wszystkie tomiki zaopatrzone są w indeksy nazwiskowe i rzeczowe, wszystkie podają ważniejszą literaturę, a niektóre posiadają poza tym słowniczkę terminów technicznych. W ten sposób publikacja ta uprzystępniając najnowsze wyniki wiedzy, poucza również o metodzie pracy naukowej, wdrażając do poważnej, fachowej lektury. Oddać więc może wielkie usługi tym wszystkim, których szczerze obchodzi kultura ludzka w złożonych swych objawach i procesach.

Dr Marian Tyrowicz.

K. Małeczyński, T. Mańkowski, F. Pohorecki i M. Tyrowicz: *Lwów i Ziemia Czerwieńska* (Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie). Str. 324.
Jan Rogowski: *W obronie Lwowa*. Lwów, 1939. Str. 144.

Sprawa ukraińska jest dzisiaj wielce aktualna i żywo dyskutowana przez całe społeczeństwo polskie. I nic w tym dziwnego, gdyż od jej pomyślnego rozwiązania zależy nie tylko w znacznym stopniu nasza sytuacja wewnętrzna i nasze stanowisko w Europie, ale także dola i niedola narodu ukraińskiego, jęczącego w strasznej niewoli bolszewickiej. Lecz wszelkie plany rozwiązywania tego zagadnienia w Małopolsce Wschodniej bez znajomości przeszłości tych ziem, oraz stanowiska jakie tu zajmowali od wieków Polacy, skazane są z góry na niepowodzenie. Aby więc ułatwić nauczycielom historii poznanie głębsze tej kwestii i obiektywne jej przedstawienie młodzieży, z inicjatywy Sekcji Dydaktycznej Oddziału Lwowskiego Towarzystwa Historycznego, ukazała się książka *Lwów i Ziemia Czerwieńska*, opracowana przez znanych historyków lwowskich na podstawie skrzętnie zebranych źródeł archiwalnych i bogatej literatury. Autorzy sięgając czasów najdawniejszych podają gruntowne opracowanie tych ziem pod względem historycznym. Zaraz na początku zaznaczają, iż najstarsze źródła podają wyraźnie, że pierwotnymi panami grodów czerwieńskich byli Polacy. Później ziemia ta przechodziła z rąk do rąk, aż ją zdobył na Tatarach i Litwie Kazimierz W. Polacy staczali w jej obronie ustawiczne boje z Tatarami, Turcją i Kozakami, pieczętując swe prawa do niej strugami krwi, aż do czasów obecnych. I całkiem słusznie, gdyż kraj ten zawsze był gęsto zaludniony przez ludność polską, którą nęciły bogactwa naturalne. Polacy też byli pionierami kultury zachodniej, promieniującej szeroko ze stołecznego Lwowa, jak świadczą bogate i liczne ilustracje umieszczone w tekście. Pewnym uzupełnieniem tego podręcznika może być książka Rogalińskiego: *W obronie Lwowa*, w której Autor po fragmentarycznym zaznajomieniu czytelnika z faktem, że Małopolska Wschodnia jest konieczna dla Polski, gdyż daje jej oparcie o Karpaty, otwiera wrota na Morze Czarne i zapewnia wspólną granicę z Rumunią, opisuje

nam szeroko przygotowania Ukraińców do zajęcia Lwowa i przebieg walki „Dzieci Lwowskich” w obronie tego polskiego bastionu na kresach wschodnich. Ujęcie opowiadania w krótkie ustępy, przedstawiające przebieg ważniejszych walk na poszczególnych odcinkach wielce zaciekawia czytelnika.

Książki te oddadzą z pewnością wielkie usługi w nauczaniu historii, winny się też znaleźć w rękach tych wszystkich, którym sprawa Małopolski Wschodniej leży na sercu.

Ks. K. Drzymała T. J.

Wielka Biblioteka Historyczna pod redakcją Stefana Poma-
rańskiego i Mariana H. Serejskiego. Państwowe Wydawnictwo Książ-
zek Szkolnych we Lwowie. 1938.

Celem publikacji, ukazującej się pod powyższym tytułem jest zamknięcie dziejów powszechnych i ojczystych w szeregu zwięzłych i przystępnych naukowych monografii, obejmujących średniowiecze, erę nowożytną i czasy najnowsze. Redaktorowie nakreślili sobie jako cel podać młodzieży licealnej i szerokiemu ogółowi czytelników najnowsze zdobycze wiedzy w formie przejrzystej i prostej.

Średniowieczu poświęcono na razie trzy tomiki. Marian H. Serejski nakreślił *Narodziny średniowiecznej Europy* (str. 118), przedstawiając proces formowania się na gruzach Imperium Rzymskiego nowych tworów państwowych i nowej kultury. Autor sięga do w. IX, pomija w swej pracy Słowiańszczyznę, Cesarstwo bizantyńskie i rozkwit Arabów, dotyka tylko szkicowo roli Kościoła, ale czyni to wszystko z założeń redakcyjnych. I rzeczywiście Mieczysław Żywczyński zajął się w odrębnym tomiku *Papieżstwem i papieżami średniowiecza* (str. 102), przebiegając w zestawieniu może zbyt schematycznym dzieje Stolicy Apostolskiej od Leona I do Bonifacego VIII. Praca ta znajdzie niewątpliwie dużo czytelników i słusznie, dostarcza bowiem najcenniejszych wiadomości z dziejów Kościoła, nieodzownych dla zrozumienia powszechnej historii politycznej i kulturalnej. Tadeusz Manteuffel w niewielkiej pracy pt. *Feodalizm* (str. 50) uzupełnił obraz życia średniowiecznego zarysem struktury społecznej, nie docenił jednak dostatecznie fazy początkowej przed Karolem W. i nie zaznaczył, jak feodalizm wpłynął na postęp militarny rycerstwa.

Na tle wszystkich epok dziejów powszechnych przedstawił Antoni Kudławiec *Wielkie odkrycia geograficzne* (str. 126), wypełniając tym ujęciem dotkliwy brak w naszej literaturze geograficzno-historycznej, zasypywanej ciągle nowymi reportażami podróżniczymi. Książka Kudławca jest bardzo pożytecznym zbiorem wiadomości o odkrywcach nowych ziem i pionierach postępu europejskiego, wśród których niemało nazwisk Polaków, dokonują-

cych na najtrudniejszych terenach: Ameryki, Australii, Azji i Afryki doniosłych odkryć. Ale jest i w książce omawianej potępienie gwałtu i zła moralnego, które niósł ze sobą w nieznaną ziemię przybysz europejski — konkwistador czy awanturnik.

Z dziejów Polski zawiera *Wielka Biblioteka Historyczna* jeden tomik: *Ostatni Jagiellonowie. Sylwety monarchów i ludzi. — Ocena wydarzeń*, pióra K. Hartleba (str. 96). Autor zajął się gruntownie trzema postaciami: Zygmuntem I, królową Boną i Zygmuntem Augustem, dając nie tylko wnikliwe ich portrety duchowe, ale charakteryzując w trafnych, choć zwięzłych słowach, cały zespół warunków politycznych i kulturalnych ich panowania, najciekawsze przejawy życia dworskiego, wreszcie najbujniej rozkwitłe dziedziny sztuk pięknych i nauk.

Wszystkie tomiki *Biblioteki* zaopatrzone są we wskazówki bibliograficzne, tablice chronologiczne i indeksy osobowe i rzeczowe, co niepomniernie podnosi ich wartość dydaktyczną i wyróżnia dodatkowo w powodzi lektur popularno-naukowych dla młodzieży i czytającej inteligencji. To też podjęte wydawnictwo winno być jak najskwapliwiej kontynuowane, bo im większy będzie wybór tematów, tym większą zyska sobie popularność i wartość praktyczną cała inicjatywa wydawnicza.

Dr Marian Tyrowicz.

J. Feldman: *Bismarck a Polska*. Katowice, 1938 r. Str. 451.

Znany i zasłużony historyk polski, który ma już za sobą szereg prac pierwszorzędnej wartości, poświęconych przeważnie mocarstwu zachodnim i ich stosunkom do Polski, wzbogacił naszą literaturę historyczną dziełem dużej wartości i to w czasach, które najmniej sprzyjają badaniom w tym zakresie. Dzieło to jest owocem kilkunastoletnich badań i przetrząsań kilkunastu bibliotek i zbiorów archiwalnych w stolicach europejskich, a powstało jako pogłębiona synteza szeregu prac ogłoszonych uprzednio. Autor przedstawia nam wiekowe zmagania się potężnego mocarstwa europejskiego, uzbrojonego w cały szereg możliwości politycznych, gospodarczych i kulturalnych z paru milionowym narodem, zasłaniającym wszelkimi sposobami swą ziemię, narodowość i kulturę, którego jedyną bronią była głęboka wiara i przywiązanie do Kościoła katolickiego, miłość ziemi i gorący patriotyzm. Postać i działalność „Żelaznego Kanclerza” występuje na szerokim tle stosunków polsko-pruskich i europejskich. Bismarck jest przedstawicielem rozległych procesów dziejowych, a sprawę polską pojmuje nie tylko jako doniosłe zagadnienie polityki Prus, ale jako integralny element sytuacji międzynarodowej. Stąd też genialny ten wróg polskości, dążący przez całe swe życie do wyćpienia obcego narodu, miewa chwilami przelotne plany wskrzeszenia Polski, aby ją przeciwstawić Rosji, gdyby zaszła tego po-

trzeba. Dla lepszego zrozumienia wrogiej działalności Bismarcka względem Polaków podaje nam Autor całe podłoże konfliktów między narodami sąsiadującymi z sobą wzdłuż rozległej granicy, nie umocnionej żadnymi naturalnymi obwarowaniami. Narody te różniące się biegunowo swoim rozwojem historycznym, charakterem i ustrojem toczyły ze sobą walkę, która rozpoczynając się na dobre w drugiej połowie XVII w. skończy się upadkiem Polski w wieku następnym. Kamieniem węgielnym polityki Bismarcka była ugoda z Rosją, która pozwoliła nie tylko włączyć w pruskie granice kilku milionów Polaków, ale też pokonać Austrię i Francję i stworzyć najpotężniejsze mocarstwo w Europie. Atoli możliwość zmartwychwstania Polski napędzała go ustawiczną obawą przed koniecznością oddania zabranych ziem. W pamięci jego przez całe życie tkwiło wspomnienie z czasów jego pobytu na studiach w Getyndze, gdzie w r. 1832 spotkał się z gronem polskich posłów na sejm insurekcyjny, którzy otwarcie wyrażali swe myśli rewindykacyjne i wskazywali, że nawet w samej Brandenburgii znajduje się szereg miejscowości o nazwie czysto słowiańskiej. A przed oczyma miał Bismarck obraz z r. 1848, którym straszyl swoich rodaków, kiedy to więźniowie Moabit, w przeddzień jeszcze przytłoczeni wyrokiem śmierci, zostali nagle wyniesieni na szczyt popularności i sławy, a tłum w triumfie obwoził ich po ulicach Berlina. Bohaterem dnia był Mierosławski, stojący w malowniczym stroju polskim na bogato przystrojonym wozie. Bismarck pchnął naród niemiecki do walki eksterminacyjnej z polskością, aby w chwili koniecznej zgody na powstanie Polski wykazać światu, że w Prusach już Polaków nie ma. W walce tej prowadzonej na śmierć i życie, każdy środek, prowadzący do celu, uznany był z góry za dobry, czy to będą „prawa majowe”, czy sławne „ruży pruskie”, ustawy „kagańcowe”, czy „wywłaszczeniowe”. Ze względu na brak miejsca nie podaje nam Autor reakcji społeczeństwa wobec zamachów na jego ziemię, kulturę i religię i nie przedstawia nam metod obrony, które wykazałyby nam powody, dla których wszystkie zabiegi wrogów okazały się bezskuteczne, a dzisiaj po dwudziestu latach niepodległości ziemie byłego zaboru pruskiego należą do najczystszych etnograficznie w całej Polsce.

Autorowi można by zrobić zarzut, że przez wydanie tego dzieła może się przyczynić do zajątrzenia stosunków między Polską a jej sąsiadem zachodnim. Lecz przeciw temu zarzutowi Autor z góry się zastrzega podkreślając, że zadaniem jego było wyświetlenie *sine studio et ira* jednego z doniosłych zagadnień naszej przeszłości dziejowej bez powziętych uprzednio założeń i bez ubocznych celów. Dlatego też ze swej książki nie robi ani apologii ani dzieła nienawiści.

Ks. K. Drzymała T. J.

Ks. dr Michał Klepacz: Karol Hubert Rostworowski (Szkic psychologiczno-ideologiczny) Biblioteki „Spraw otwartych”, t. 2, Wilno, 1938. Str. 88.

Autor w „Prologu” i „Zakończeniu” poczynił przezornie takie zastrzeżenia, że nie ma o co zaczepić. Pozostaje tylko stwierdzić, że osiągnął to, co zamierzał: „By czytelnik zatęsknił... do całości — na scenie”.

Trzy rozdziały: personalia, dzieła, ideologia. Za najważniejszy uznał Autor rozdział trzeci. Można by się na ten sąd nie zgodzić. Wszak dzieła Rostworowskiego pozostały, dostępne są dla wszystkich, a z nich ideologię nie trudno wyłuskać. Większą wartość mają „personalia” — zbyt niestety szczupłe — zwłaszcza te szczegóły, podchwyczone na gorąco przez tych, co mieli szczęście żyć blisko Autora *Judasza*. To dla potomnych przedstawia największą wartość. — Streszczenie dzieł (część druga) oryginalne. Uzupełnia je ostatni rozdział: „Ideologia”. Wybór tekstów świetny. Doskonale ilustrują one omawiane zagadnienia. Mogą naprawdę zachęcić czytelnika do zapoznania się z całością.

Ujęcie swobodne, ale rzeczowe. Za szczęśliwe należy uważać owo szukanie Rostworowskiego — twórcy w jego dziełach, na scenie, ba! — nawet śmiałe spojrzenie w głąb duszy...

Forma? — dwa światy, ścierające się ze sobą: „stary” i „młody”. Młody potraktowany może zbyt pobłażliwie, jako nadający się tylko do wstępów, zakończeń i ozdóbek — dla wytechnienia czytelnika. Do wyrażenia głębi naukowych jeszcze nie nabył całkowitych praw. Tu i ówdzie wraca zbyt upornie tradycyjny, tzw. „naukowy” sposób wyrażania myśli. A przecież i ten „młody” może wyrazić prawdę, może nawet jaśniej, prościej i żywiej...

Zakradł się drobny błąd: „...4 marca 1938 r., zakończył życie” (str. 22). O ile mi wiadomo K. H. Rostworowski zmarł w lutym. Pomyłkę należało by sprostować.

Ks. J. Nowak T. J.

Notatki bibliograficzne.

Nauka Polska. Jej potrzeby, organizacja i rozwój. XXIV. Wydawnictwo Kasy Imienia Mianowskiego. Warszawa, 1939, str. 587.

XXIV tom tego wartościowego wydawnictwa przynosi następujące rozprawy i materiały: Paweł Rybicki: *Nauka a element irracjonalny*. Kazimierz Dobrowolski: *Nauki humanistyczne a potrzeby życiowe narodu*. Uwagi zasadnicze. August Krogh: *Myślenie wzrokowe* „Szkic autobiograficzny”. Władysław Semkowicz: *Życie naukowe współczesnego Krakowa* (c. d.). Kronika polska: Ogólne potrzeby organizacyjne nauki polskiej. Dyskusje naukoznawcze. Polonica za granicą. Zjazdy i konferencje. Nauka w budżecie

państwowym. Instytucje naukowe. Ustawodawstwo naukowe i artystyczne. Kronika zagraniczna: Ruch organizacyjny - naukowy. Korespondencje i notatki. Ankieta Organonu. Recenzje. Listy do Redakcji. Uzupełnienia do zjazdów i konferencji oraz do instytucji naukowych. Bibliografia naukoznawcza 1935 — 1936 (c. d.). Dział II, 1. Materiały biograficzne dotyczące polskich pracowników naukowych.

Świat katolicki w dążeniu do odnowy obyczajów. Pamiętnik I. Międzynarodowego Katolickiego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie. 11 — 14 września, 1937. Poznań, 1938, str. 206.

Rezolucje, powzięte na podstawie wykładów i obrad, stanowią dla całej katolickiej akcji przeciwalkoholowej jasny drogowskaz, który odpowiada podstawowym zasadom nauki katolickiej a równocześnie wskazuje katolikom wszystkich krajów najsilniejsze motywy skłaniające do żywej współpracy. Spis rzeczy Pamiętnika:

Referaty:

Dr A. Niesiołowski: Trzeźwość a nowoczesne apostołstwo świeckich; *Doc. dr A. Wojtkowski*: Alkoholizm doniosłym zagadnieniem Kościoła św. w obecnej chwili; *Bép M. Kaller*: Walka z alkoholizmem pilnym zadaniem Akcji Katolickiej; *Ks. dr J. Ciemniewski*: Abstynencja jako czynnik kształcenia woli i charakteru; *Ks. kan. H. Pinson*: Trzeźwość chrześcijańska jako przygotowanie duszy na działanie Ducha Św.; *O. S. Maschek O. M. C.*: Młodzież silna i zdrowa w służbie Chrystusa Króla; *Ks. mag. St. Sprusiński*: Zadania młodzieży katolickiej szkół wyższych; *Ks. M. Łazarz*: Harcerstwo a abstynencja; *Red. St. Sedlaczek*: Katolicka młodzież pozaszkolna w walce z alkoholizmem; *Ks. prob. W. Weidmann*: Mąż katolicki a ruch trzeźwościowy; *K. Gertkampfer*: Zadania kobiety katolickiej w rodzinie i parafii; *Dr M. Słowińska-Larzecka*: Zadania organizacji kobiecych i młodzieży żeńskiej; *L. Floss*: Współpraca kobiety katolickiej w ratowaniu alkoholików; *M. Nowakowska*: Sprawa „płynnego owocu” pilnym zadaniem kobiety katolickiej; *Ks. prot. Z. Kaczyński*: Prasa katolicka w walce z alkoholizmem; *Ks. prof. dr W. Padacz*: Zadania organizacji przeciwalkoholowych, szczególnie abstynenckich; *Ks. prof. kan. Hermann*: Ratowanie alkoholików pilnym zadaniem nowoczesnej pracy charytatywnej; *Prof. dr P. Gantkowski*: Zasady praktyczne opieki nad alkoholikami; *Ks. dyr. W. Baumeister*: Potrzeba i zadania katolickich poradni i zakładów dla alkoholików; *O. M. Kassiepe*: Nowoczesny alkoholizm w krajach misyjnych; *Ks. Strake T. J.*: Współczesna żądza używania i asceza nowoczesna; *Prof. dr O. Graf*: Medycyna pastoralna wobec problemu narkomanii; *O. C. Noppel*: Alkoholizm a nowoczesne duszpasterstwo; *Ks. kan. J. Mystkowski*: Alkoholizm a duszpasterstwo współczesne; *Ks. van Grinsven*: Praktyczne zadania duchowieństwa zakonnego i świeckiego; *O. Elpidius O. F. M.*: Praktyczne zadania dla duchowieństwa zakonnego.

Księga Pamiątkowa na dziewięćdziesięciolecie *dziennika Czas*. Kraków, 1848. Warszawa, 1938, str. 28. ↓

W czterech działach (historycznym, politycznym, artystyczno-kulturalnym, gospodarczym) przedstawia Pamiętnik dorobek i wkład kulturalny tego zasłużonego dziennika.

C-te Rénaud Przeździecki: Wilno. Varsovie. „Biblioteka Polska”, str. 232.

W opowiadanie o Wilnie Autor włożył dużo pietyzmu i znawstwa kultury tego grodu na rubieżach cywilizacji zachodniej. Książkę zdobią liczne i piękne ilustracje. Treść: La ville romantique. Promenades dans Wilno. De la garre à la cathédrale. La cathédrale et les châteaux. Une tournée au centre de la vieille ville. Les quartiers des bords de la Wilia. „Les trois églises” et les hauteurs de Rossa. Antokol. Entre les vieux et les nouveaux quartiers. Les environs de Wilno.

Ks. prof. Władysław Kwiatkowski: Królewska katedra św. Jana w Warszawie. Nakładem Zarządu Miejskiego w m. st. Warszawie. Warszawa, 1939.

Estetycznie i wprost luksusowo wydany przewodnik po katedrze św. Jana w Warszawie. Ułatwi on znakomicie orientację w tym zabytku dużej kultury artystycznej.

Ks. dr Kazimierz Karłowski: Podróż do Ziemi Świętej. Fakty, przeżycia, refleksje. Potulice. Nakładem Seminarium Zagranicznego. 1939, str. 322.

Pielgrzymka, jaką odbył Autor, przypadła na okres równoczesnych świąt wielkanocnych Łacinników, Greków, Koptów i Ormian oraz zbiegła się z uroczystościami muzułmańskimi Nebo Musa. W tym czasie rozpoczął się również słynny strajk arabski, trwający nieomal pół roku, od kwietnia do października 1936 r., nadający ciekawe tło całości przeżyć i doświadczeń. Te okoliczności złożyły się na szczególnie bogatą i urozmaiconą treść pamiętnika.

M. Ficińska: 20 lat w Paranie. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa, 1938, str. 118.

Bezpretensjonalny lecz żywy obraz życia Polaków w Paranie. Treść: Pierwsze lata. Koloniści. Kolonia Affonso Penna. Teatr. Drugie dziesięciolecie. „Feiticeiro” — czarownik. Jose. Zakończenie.

Dr Jan Hirschler, prof. U. J. K.: Z Łwowa do Liberii. Wspomnienia z Afryki tropikalnej. 50 rycin i 1 mapa. Książnica — Atlas. Łwów — Warszawa, str. 237.

Książka ta nie jest pracą naukową w tym znaczeniu, by zawierała w sobie wyniki naukowych badań. Ma ona jednak to wspólne z nauką, że jest pisana przez naukowca, że dotyczy podróży o charakterze naukowym, a nadto, iż traktuje o warunkach, w jakich się naukowo pracuje w najpierwotniejszych, nie-
tkniętych kulturą, ostępach Afryki. Będzie więc dobrym pionierem popularyzacyjnym idei kolonialnej w Polsce.

Mariali: Krysia Rudzka. Krótki żywot, długie cierpienie i święta śmierć polskiego dziecka. Poświęcone nie dzieciom ale rodzicom chrześcijańskim. Potulice. Nakładem Seminarium Zagranicznego. 1939, str. 116.

Małeńka bohaterka Jezusa przywodzi na myśl zagadnienie stosunku rodziców do dziecka i na odwrót. Krysia Rudzka niejednego ojca i niejedną matkę pogodzi ze stratą ukochanego dziecka. Ale Krysia wpłynie może również na dzisiejsze „nowoczesne” bezdzietne małżeństwa.

Anna Zahorska: Ofiara poranna. Nakładem Seminarium Zagranicznego. Potulice. 1939, str. 230.

Kleryk Józef Miękus to kwiat młodo zerwany ze świeżego zagonu Seminarium Zagranicznego w Potulicach. Przeszedł on przez życie powstającego Towarzystwa jak smuga jasności, zostawiając żal i wspomnienie życia pełnego cnót.

Ks. Jan Stepa, prof. U. J. K.: Kościół a współczesny kryzys wolności. Wydawnictwo Instytutu Wyższej Kultury Religijnej. Łwów, 1939, str. 26. Skład główny: Tow. „Biblioteka Religijna”. Cena 50 gr.

Autor wychodząc z założenia, że przeżywamy dziś nie tylko kryzys gospodarczy, ale i o wiele ważniejszy: kryzys ideologiczny — początków tego kryzysu dopatruje się już w okresie renesansu. Wtedy bowiem rozpoczął się wielki, po dziś nieskończony, dramat wolnościowy duszy ludzkiej. Przesilenie to ujawniło się na trzech odcinkach: religijnym, kulturalnym i społeczno-politycznym. Autor kreśli kulisy i przebieg tego potrójnego dramatu, jego zboczenia i szlachetne zrywy, by postawić wniosek: należy wychowywać nowego człowieka — światłego i mocnego (pod względem charakteru). Ku temu właśnie dążyć mają Instytuty Wyższej Kultury Religijnej.

Ks. Henryk Weryński: Niedzielną siejba. Wydanie drugie. Nakładem ss. służebnic N. Serca J. Karczówka. Kielce, 1938. Str. 424, in 8°. Cena 6,50. Na przesyłkę 1 egz. 50 gr, przy 10 egz. przesyłka gratis.

Pierwsze wydanie tych kazań ks. H. Weryńskiego przyjęła krytyka z uznaniem. Wydanie obecne, drugie, jest podarkiem dla braci-kapłanów i w ogóle dla katolickiego społeczeństwa, złożonym przez Autora, obchodzącego w roku bieżącym 25-lecie piarskiej działalności. Rozpoczął ją artykułem w poznańskim *Świcie*, oraz pierwszym w Polsce studium pt. *Z dziejów Tabernakulum*. — W *Niedzielnej Siejbie* porusza Autor dawne, wieczyste prawdy Boże, ale w nowoczesnej formie i w zastosowaniu do obecnych potrzeb i zagadnień.

Dr Stefan Świeżawski: *Duch źródłem wolności*. Wydawnictwo Instytutu W. Kultury Relig. we Lwowie, 1939. Nr 6. Str. 40. Cena 0.70 zł. Skład Główny „Biblioteka Religijna” we Lwowie, ul. Rutowskiego 5.

Jest tu mowa o ogólnym fakcie wolności wyboru, o sfo-sunku ducha i materii do wolnego wyboru, a wreszcie o wolności rzeczywistej. Wolność rzeczywista jest podstawą życia społecznego, a wypływa z wewnętrznej doskonałości człowieka czyli świętości. Dlatego korzeniem jej jest miłość nadprzyrodzona.

Dr Henryk Dembiński, prof. Uniw. Lubelskiego: *Kryzys demokracji*. Wyd. Instytutu W. Kultury Rel. we Lwowie, 1939. Nr 7. Str. 24. Cena 0.50 zł.

Autor uwypukla na tle historycznym niedomagania ustroju demokratycznego, zbudowanego na wierze w wszechwładzę ludu. Demokracja jest ustrojem, który wymaga od swych obywateli dojrzałego zrozumienia dla potrzeb dobra powszechnego i dyscypliny, gotowej do poświęcenia prywatnych interesów. Gdy tych warunków nie ma, ustrój ten prowadzi społeczność do upadku.

Dr Leon Halban, prof. U. J. K.: *Własność podstawą wolności*. Wyd. Inst. W. Kult. Relig. Lwów, 1939. Nr 8. Str. 30. Cena 0.60 zł.

Broszura oświeśla doskonale znaczenie własności w zagadnieniu wolności. Zależnie od teorii własności czy to w ustroju liberalno - kapitalistycznym czy też w ustroju komunistycznym zmienia się pojęcie wolności. Wolność bowiem jest ściśle związana ze sprawą własności, a tylko ustrój, zalecony przez encykliki papieskie, w pełni realizuje zasadę wolności, która nie godzi w podstawy społeczności.

Adam Goćławski: *O świadome słuchanie radia*. Wyd. Instytutu W. Kultury Rel. Lwów, 1939. Nr 11. Str. 15. Cena 0.30 zł.

Mała ta rozprawka zawiera cenne dla każdego katolika wskazówki w zakresie moralnej i prawnej strony używania radia. Tu znajdzie każdy nakreślone granice słuchania i nadawania audycji, które mogą stać się okazją do dobra lub zła.

Łakomy Ludwik: *Obrazki z powstań górnośląskich*. Wojskowy Instytut Naukowo - Oświatowy. Warszawa, 1938, wyd. II. Cena 0.50 zł.

Szereg ciekawych opowiadań. W żywych i mocnych barwach przedstawiono w nich zmaganie powstańców górnośląskich w walkach z Niemcami.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Księgarni św. Wojciecha, 1939.

Witold Bieńkowski: *Ich dom — powieść*. Str. 311.

Jan Dobraczyński: *Lawa gorejąca*. Studium o Janie Papinim. Str. 106.

Prof. dr Marcin Fassbender: *Królewski kunszt woli*. Z niemieckiego tłumaczył I. S. Str. 208.

- Ks. dr Witold Klimkiewicz: *Młodość, kapłaństwo i działalność dyplomatyczna ks. Mieczysława Ledóchowskiego*. Str. 382.
- Eugenia Kobylińska: *Wielki tydzień. Powieść współczesna*. Str. 321.
- Ks. Alojzy Liguda: *Chleb i sól. Homilie i rozważania na tle niedzielnych ewangelij*. Str. 349.
- Cita i Zuzanna Malard: *Bóg Żywy. Misterium radiowe o Męce Pańskiej*. Z francuskiego przełożył Andrzej Rybicki. Str. 230.
- Wanda i Stanisław Miśaszewscy: *Wspominamy*. Str. 194.
- Myśli Bł. Anieli z Foligno. Wybrała dr Maria Winowska. Str. 136.
- Kard. J. H. Newman: *Sen Geroncjusza*. Tłum. Szczepan Łaniecki. Str. 87.
- Wybór pism kaznodziejskich kard. Jana Henryka Newmana*. Przetłumaczyła K. Nawratilowa. Str. 223.

Nakładem Seminarium Zagranicznego Potulice, 1939:

- J. Millot: *Maryja pośredniczka wszelkich łask. Czytania maryjne*. Z francuskiego przetłumaczył ks. Stanisław Stefanowicz. Str. 167.
- Ks. dr. Jan Warczak: *Czekam na odpowiedź!.. Problem życia w młodych sercach*. Str. 183.

Nakładem P. Téqui et Fils. Libraires-Éditeurs, Paris 1939:

- Albert Daléry-Reywal: *Le Père Coubé*. Str. 286.
- Louis Lajoie C. J. M.: *Dieu et mon âme*. Str. 144.

Nakładem różnych:

- Jo Van Ammers-Küller: *Taniec wokół gilotyny*. Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa. Str. 528.
- Ks. Władysław Chrościk, Mag. Teologii: *Idea odkupienia i Odkupiciela w Nowym Testamencie a religie starożytne*. Lublin 1939. Str. 97.
- Dzieła Tacyta*. T. II. Przełożył i wstępem poprzedził Seweryn Hammer. Wyd. Kasy Im. Mianowskiego. Warszawa 1939. Str. 363.
- Ewangelia św. — według św. Jana. — Z greckiego przetłumaczył ks. Feliks Gryglewicz, Mag. Teologii*. Nakład tłumacza. Sosnowiec 1939. Str. 104.
- Roman Fajans: *W Chinach znów wojna... Towarzystwo wydawnicze „Rój”, Warszawa 1939. Str. 363.*
- Kazimiera Hłakowiczówna: *Ścieżka obok drogi*. Nakładem Księgarni A. Krawczyńskiego, Warszawa 1939. Lwów. Str. 335.
- Dr Jan Kuchta: *Nowe kierunki i dążenia współczesnej katolickiej pedagogiki. Na tle obrazu chaosu we współczesnym wychowaniu*. Nakładem Księgarni R. Schweitzera we Lwowie 1939. Str. 182.
- B. Minlos: *Das Dorf in republicanischen Spanien*. Verlag für Fremdsprachige Literatur. Moskau 1939. Str. 97.
- Myśli wybrane. — Z audycji radiowych — zebrał Artur Górski*. Nakładem Wł. Michalaka i Ska, Warszawa. Str. 235.
- Ks. dr Władysław Padacz, poseł na sejm R. P.: *Mowy Sejmowe*. Skład główny. Księgarnia Przeglądu Katolickiego, Warszawa 1939. Str. 80.
- Paulus Siwek T. J.: *Psychologia metaphysica*. Apud aedes Universitatis Gregorianae, Romae 1939. Str. 546.
- Ks. Ignacy Świrski: *Do walki o dobrą książkę*. Wilno 1939. Str. 23.
- Henryk Worcell: *Zdarzenia w mroku*. Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1939. Str. 546.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z kim pójdzie Watykan? — O wolność Następcy Piotra. — Polonia semper fidelis.

Trudno się oprzeć wrażeniu, iż w chwili obecnej nie chodzi o jakieś dalsze tylko przygotowania do nowej wojny światowej. Wszystko wskazuje raczej na fakt, podkreślony przez wybitnego Francuza, iż obecnie zajmuje się już pozycje strategiczne, w oczekiwaniu na decydujący sygnał...

Odnosi się to również do dziedziny propagandy. Łatwo można zauważyć, że wynurzenia odpowiedzialnych polityków rozbrzmiewają wprawdzie hasłami pokoju, ale w pierwszym rzędzie panom tym chodzi już tylko o to, by w odpowiednim dla nich sensie rozwiązać zagadnienie odpowiedzialności za wywołanie nowej wojny. Każdy z tych Płatów czuje instynktowną potrzebę, by mu w odpowiedniej chwili podano z dostojnym ceremoniałem misę, aby mógł ostantacyjnie obmyć swe niewinne ręce, które może już jutro pełne będą krwi.

Także w zakresie idei zajmuje się już tylko ostatnie pozycje. Po jednej stronie barykady krystalizują się podstawy demokratycznego poglądu na świat, po stronie drugiej krzepną teorie dynamicznego rasizmu.

Coraz więc wyraźniej i coraz dogłębniej dzieli się świat na dwa wrogie obozy, gotujące się do ostatecznej, totalnej rozprawy. Resztki niejasności, okrywanej pozorami neutralności, rozprasza nacisk głównych partnerów dziejowej rozgrywki, domagających się odpowiedzi niedwuznacznej: za, czy przeciw?...

I w tej właśnie atmosferze najwyższego napięcia nerwów i gigantycznego wyścigu militarno-politycznych zbrojeń

jawi się pytanie: z kim pójdzie Watykan? Chciwe sensacji i politycznych plotek agencje prasowe donosiły nie tak dawno o dyplomatycznych posunięciach Stolicy Apostolskiej, o ożywionej akcji nuncjuszów, o szeroko zakrojonym planie interwencji na korzyść tych czy innych bloków...

Jest rzeczą aż nazbyt zrozumiałą jak trudnym jest stanowisko Kościoła w takich przełomowych czasach, gdy zewsząd wylaniają się żywiołowe siły, wyposażone nie tylko w tanki, bombowce i łodzie podwodne ale i w broń prężnych ideologii. Kościół katolicki ma swych synów i swoje córki we wszystkich obozach i nawet daleko posunięty stopień religijnego uświadczenia nie może przeszkodzić faktowi, że wielu z nich wpada w sieci tej lub owej propagandy, że ulegają przewrażliwieniu na tle uczuć narodowych, wyradzających się tak łatwo w pogański szowinizm, że może w praktyce życia codziennego zaciera się w ich umysłach ideał chrześcijański, chociaż w głębi serca pragnęliby się go trzymać jak najmocniej.

Każdy człowiek, u którego uprzedzenie nie zaciemnia sądu, zrozumie, iż w takich czasach Kościół musi zachować pewną rezerwę. Przez chwilę huraganowe grzmoty dział mogą nawet zagłuszyć spiżowy dźwięk dzwonów, głoszących stale pokój Chrystusa w Chrystusowym państwie. W tego rodzaju rezerwie nie należy się jednak dopatrywać utylitarystycznej taktyki, jest to raczej, do pewnego przynajmniej stopnia, życiowa konieczność. Konieczność ta jednak nie nakłada kagańców absolutnego milczenia, nie zepchnie też sterników Kościoła na manowce zgubnych kompromisów wskutek których ucierpieć by mogła nauka Ewangelii. To też Pius XII wielokrotnie i z niemałym naciskiem, w okresie tych kilku miesięcy swego panowania, wskazywał na ideały pokoju, prawdy i sprawiedliwości. I niewątpliwie Kościół nie zaniedba z swej strony niczego, ażeby w przeddzień dziejowych rozstrzygnięć, o nieobliczalnych skutkach, podkreślać z mocą prawdziwe wartości, których poszanowanie jest podstawą porządku i ładu.

Kościół szanuje i ceni wolność człowieka i narodów, płynącą z woli samego Stwórcy i Jego chronioną prawami. Ale jak sam P. Bóg nie może podeptać wolności ludzkiej decyzji oraz ludzkiego wyboru, tak samo i Kościół może wprowadzić głosić prawdę, może przestrzegać, grozić i zaklinać ale nie może i nie chce zmuszać do przyjęcia prawdy i umiłowania cnoty.

W żadnym jednak wypadku rozsądna rezerwa nie może przeszkodzić, by Kościół nie zajął swego stanowiska, nie określił swych ideowych pozycji w momencie, gdy poza

hałasem wojennych pogroźek, trudno innego głosu do-
słyszeć.

W dziedzinie zasad nie istnieje neutralność. Faktem
zaś jest, iż zapaśnicy, którzy dziś gotują się do straszliwej
rozprawy odmienny wykazują stosunek do katolicyzmu.
Ideologie, które w czasie wojny zwiążą sztandary pułkowe,
stoją już dziś bliżej lub dalej od chrystianizmu.

Dlatego w powodzi plotek o watykańskich sympatiach
trzeba przypomnieć, iż kiedy Pius XII kierował swe nie-
dawne orędzie do Hiszpanii, powołał się wyraźnie na wielką
mowę, którą jego poprzednik Pius XI wygłosił 14 września
1936 r. w Castel Gandolfo do hiszpańskich uchodźców.
A w mowie tej padło doniosłe zdanie, które Pius XII po-
dejmuje jako zasadniczy motyw:

...Gdzie się walczy z Kościołem, religią i z ich dobroczyn-
nym wpływem, tam, choćby inaczej wydawać się mogło, walczy
się na rzecz sił niszczących i do nieszczęsnego skierowanych
celu...

W jakikolwiek zatem sposób ustawia się wojenne fronty
w nadciągającej światowej rozprawie, dla Kościoła i dla Wa-
tykanu istnieje i pozostanie jeden tylko, dobrze znany, od
wieków broniony i umacniany front, na którym wypisane
jest hasło obrony chrześcijaństwa i jego kultury, opartej na
sprawiedliwości i miłości, której gwarantem jest godność
i wolność osobowości człowieka. W obronie tego i tylko
tego frontu staje dziś Pius XII.

I chociaż wrogie sobie mocarstwa i bloki nie ruszyły
jeszcze do militarnego ataku, Kościół wypowiedział już nie
od dzisiaj wojnę wrogom Boga, którzy ateizmem usiłują wy-
rugować religię. Pius XI podał niedwuznaczne określenie
bezbożnego bolszewizmu, a określenie to nie było zależne
od czysto militarnej i mocarstwowo - politycznej sytuacji.
Wypowiedzenie przez Kościół katolicki wojny wrogom reli-
gii, którzy w swym państwie zamknęli świątynie i wytępiłi
duchowieństwo, którzy w Hiszpanii palili kościoły i kla-
sztory, a na kapłanów urządzali polowania, — jest i pozo-
stanie wypowiedzeniem wojny tym wszystkim systemom,
obozom i ideologiom, w których panuje takie samo zasad-
nicze stanowisko.

Cóż ma począć Kościół katolicki w społeczeństwie, w któ-
rym stale natrafia na przeszkody w wywieraniu wpływu na ro-
dzinę, na młodzież, na naród?... Cóż może uczynić Kościół tam,
gdzie prasę katolicką krępuje się wszelkimi sposobami, podczas
gdy pełną wolnością cieszy się prasa, której zadaniem jest wpro-

wadzać zamęt w świat idei, oczerniać religię, ogłaszać chrystianizmy o jakimś nowoczesnym charakterze?!...

W tych krajach, w których panuje taki światopogląd, znajduje się główny nieprzyjaciel Kościoła katolickiego i to niezależnie od faktu, czy w świecie utrzymuje się jeszcze pokój czy zagrzmią armaty.

Tak mówił 14 września r. 1936, Pius XI; słowa te podejmuje i przypomina dziś światu jego Następca.

Treści tych słów nie umniejszą żadne odwiedziny nuncjusów, ni żadne posunięcia dyplomatyczne Watykanu. Obowiązkiem Namiestnika Chrystusowego jest dokładać wszelkich starań, by wiernym zapewnić wolność religijną, by prześladowców religii skłonić do opamiętania, ale nie oznacza to żadną miarą tworzenia z nimi jakiegoś kompromisowego frontu, nie ma nic wspólnego z ideologicznym przetargiem.

Watykan nie pójdzie więc z państwami osi, dopóki w tym obozie panuje ideologia neopogańskiego rasizmu. Wie o tym zresztą doskonale narodowy socjalizm i dlatego gotuje listy proskrypcyjne kapłanów i biskupów na wypadek wojny. Ale też nie poprze Watykan swym autorytetem moralnym bloku, wspartego na masońskim indyferentyzmie, a sprzymierzonego z bezbożniczym komunizmem, który marzy o rozpaleniu nowej rewolucji światowej.

Pytanie zatem lansowane na łamach tej czy innej prasy: z kim pójdzie Watykan na wypadek wybuchu światowej wojny? jest w swym sformułowaniu dowodem głębokiego niezrozumienia zasadniczej misji Kościoła. Do przeszłości na szczęście należą okresy historii, w których ci lub inni władcy wciągali Kościół w doczesne i polityczne rozgrywki. Dziś Namiestnik Chrystusowy, po dobrowolnej rezygnacji z państwa kościelnego, stanął u szczytu moralnej potęgi. Dziś reprezentuje w świecie najwyższy autorytet opartej na prawie sprawiedliwości i autorytetu tego nie narazi dla politycznych korzyści.

W oparciu zatem o najbardziej rzeczowe dowody możemy zapewnić, iż Watykan nie złączy swych losów ni losów katolicyzmu, ani z państwami osi ani z demokratycznym obozem, ale zachowa swe stanowisko nadrzędne stróża prawa i sprawiedliwości. Dobro katolicyzmu, dobro nieśmiertelnych dusz jest i będzie jedynym pionem jego „polityki”.

I takiej właśnie a nie innej „polityki” Watykanu pragnie cały katolicki świat, tworzący na opoce Piotrowej wielką Ligę Narodów. Ta właśnie Liga gromadzi wszystkich, którzy bronią dziś człowieka przed apokaliptyczną bestią, którzy odwieczne prawa ludzkie opierają o prawo Boże, a w tradycji papieżstwa żywo odczuwają to wszystko, co po

raz pierwszy w całej pełni historycznego znaczenia urzeczywistnił Grzegorz Wielki za czasów gasnącej starożytności, a w brzaskach rodzącego się średniowiecza.

I do tej właśnie Ligi Narodów, nie mającej wprowadzić pałacu w Genewie, ale ożywionej jedną wspólną ideą Chrystusowej wiary należy dziś obrona wolności Stolicy Apostolskiej, wolności jej „polityki”, by nad nią nie zaciążyła moc tych czy innych potentatów dnia.

W obecnych chwilach przełomu, w przededniu potężnych starć ideowych, a może i militarnych, wszyscy katolicy, członkowie tej światowej Ligi Narodów, muszą sobie uświadomić doniosły obowiązek obrony niezależności Stolicy Piotrowej! Bo kiedy Piotr jest w okowach, Kościół jest w więzach, a kiedy Kościół popada w więzy ziemskiej potęgi powstaje głęboki dysonans w porządku duchowym i ginie prawdziwa wolność człowieka.

To też wszyscy odczuwają boleśnie niewątpliwy fakt, że ludzkość ubożeje tam, gdzie nie ma wpływu papieżstwa. Wszyscy rozumieją, że w wolności papieżstwa zamyka się nie tylko wolność Kościoła ale i idea wolności w całym swym najszerszym zakresie. Ów Leon, który według podania, oparł się Attyli, uratował w swym czasie kulturę europejską, kulturę wolności. Ów Grzegorz VII, któremu pewne klany historyków nie mogą darować, że cesarz niemiecki upokorzył się przed nim w Karossie, jeszcze raz uratował hierarchię wartości, wśród których, z czysto politycznego punktu widzenia, najwyższą była właśnie wolność.

Nawet wolność nauki, w imię której usiłowano tak często zwalczać autorytet papieżstwa, jego właśnie żyje wolnością. Rzut oka na świat współczesny wykazuje przecież aż nadto dowodnie, jak to jest z wolnością nauki, prasy, nawet myśli wszędzie tam, gdzie się atakuje wolność i niezależność papieżstwa. Prawdą jest tedy i historycznym pewnikiem, że z wolnością papieżstwa kończy się również wolność człowieka we wszystkich dziedzinach kultury.

Ten obowiązek obrony wolności i niezależności papieżstwa ciąży więc nie tylko na kierownikach wielkich organizacji kościelnych, nie tylko na uczonych i publicystach, ale dotyczy wszystkich państw, ras i narodów, dotyczy dosłownie wszystkich ludzi, którzy, pomimo politycznych granic, poczuwają się do obywatelstwa uniwersalnego państwa, do członkostwa owej Ligi Narodów, jakim i jaką jest katolicki Kościół. Owszem, obowiązek ten dotyczy wszystkich, którym zależy na obronie prawdziwej wolności człowieka, na prymacie kultury ducha nad przemocą siły.

Obowiązek to aktualny zwłaszcza dziś, kiedy w przededniu dziejowych rozstrzygnięć łatwo o środki polityczne

przemocy wobec Kościoła i wobec papieżstwa, które stanowi mocarstwo i autorytet wyłącznie moralno - religijny.

Taktyka polityczna w odniesieniu do papieżstwa jest jeszcze w chwili obecnej daleka od środków brutalnej przemocy. Dlatego nie stawiamy pytania, co stać się musi w wypadku, gdy przeciwnicy Stolicy Piotrowej wystąpią z metodą gwałtu?

Jedno jednak jest już pewne, iż jeśli za naszych dni papieżstwo i Kościół zwalcza się właśnie na politycznym terenie i politycznymi środkami, to katolicyzm światowy może i powinien przeciwstawić się temu niebezpieczeństwu nie tylko pogłębieniem wewnętrznego nurtu, ale i wzmożeniem wysiłków, by tam, gdzie jest to rzeczą możliwą, utrzymać i wzmocnić swe znaczenie w życiu politycznym, a tam gdzie to jest w obecnej chwili zgoła nie do osiągnięcia, powinien przygotowywać się w wewnętrznym skupieniu sił na moment, może niezbyt już odległy, kiedy godzina nadejdzie...

Na Polskę kieruje się dziś spojrzenie całego świata. Jest w tym spojrzeniu wiele szczerego podziwu i uznania dla zdecydowanej postawy całego narodu, który miłując pokój i szanując cudze prawa, gotuje się równocześnie do zdecydowanej, bohaterskiej obrony własnego mienia i własnych praw. Polska urosła dziś na miarę symbolu; stała się bastionem wolności, o który rozbija się bezsilnie fala brutalnej przemocy. Ale gdy cały cywilizowany świat spogląda z podziwem na Polskę skupioną pręźnie dokoła sztandaru swej niepodległości, to przede wszystkim katolicyzm świata nie tai gorącej sympatii dla tego żywego przedmurza chrześcijaństwa w Europie.

Walcząc bowiem o wolność i całość Rzeczypospolitej walczyć będziemy równocześnie z neopogańskim rasizmem o triumf chrześcijańskiej idei! Zawierając i wzmacniając przymierza z demokracjami Zachodu, odcinamy się równocześnie z całą świadomością od ich laicyzmu czy masonerii. Licząc na ich militarną i ekonomiczną pomoc nie dopuścimy w nasze granice prądów, które by rozbroiły nas moralnie. Przykład nieszczęśliwego narodu czeskiego jest dla nas w tym względzie dziejową przestrogą. A chociaż demokracje Zachodu przymierzają się i łączą w sojuszu z dyktaturą czerwonego komunizmu, my stojąc twardo na stanowisku zawartego paktu, nie myślimy o sojuszu, nie chcemy pomocy czerwonej armii, bo dzieli nas do głębi odmienna ideologia. W tej dziedzinie nie dopuścimy do żadnych przetargów, nie sprzedamy wiary za armaty!

Bez żadnej więc sofistyki możemy podkreślić z dumą, iż polityka nasza pokrywa się w całej pełni z „polityką” Watykanu. I jeśli Watykan nie pójdzie ani z osi, ani z obo-

zem demokracji, z Polską idzie bez zastrzeżeń, bo Polska stojąc dziś w Europie na straży prawa i sprawiedliwości, stoi równocześnie na straży wolności katolicyzmu i niezależności papieżstwa.

Wspaniałą rolę do odegrania wyznaczyła nam Opatrzność a świadomość tego posłannictwa powinna rość w całym narodzie, krzepić jego siły i łączyć wysiłki.

Cieszymy się dziś sympatią całego cywilizowanego świata; nawet wśród obywateli „osi” mamy licznych, chociaż cichych sprzymierzeńców, którzy wiedzą doskonale, że maszerując na Berlin przyjdziemy nie jako wrogowie, ale jako oswobodziciele prześladowanego chrześcijaństwa. Przede wszystkim jednak z nami jest najwyższy autorytet moralny współczesnego świata, z nami jest Następca polskiego Papieża i Następca Piotra. On z nami a my z Nim! Bo Polska nawet w walce o całość swych granic, o zachowanie swej niepodległości nie zdradzi swoich przekonań ni swej historycznej tradycji. *Semper fidelis!* Takie zapewnienie i taki dyplomatyczny raport usłyszy, jak ufamy, już w najbliższym czasie, Następca Piotra, Pius XII z ust ambasadora Polski w Watykanie.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Hitler i Beck. — Patiomkin i Papen. — Przymierze tureckie. — Przymierze sowieckie. — Sojusz berliński.

Już w kwietniowym zeszycie *Przeglądu* miałem sposobność stwierdzić, że od marca br. równowaga europejska poczęła się gwałtowniej niż kiedykolwiek wahać między dwu przeciwnymi biegunami: wielkiej koalicji centrum i Wschodu przeciwko mocarstwu zachodnim, oraz wielkiej koalicji Zachodu i Wschodu przeciwko mocarstwu centralnym. Gwałtowność tego ruchu wahadłowego była tak wielka, że w kontrataku Niemiec wobec zachodniej „ofensywy złotych kul” zdruzgotała Czechosłowację. Ten głęboki, na korzyść Niemiec przewrót układu sił wywołał reakcję w postaci przymierza anglo-polskiego. Przechyliło ono znów szalę równowagi na niekorzyść mocarstw centralnych, a więc w kierunku wielkiej przeciwko nim koalicji pomiędzy Zachodem a Wschodem.

Przełom ten w kwietniu doprowadził do szczytu dramatyczne napiętej sytuacji, po dwakroć przesuwając ją „o włos” od zbrojnego wybuchu.

Maj wypełniła przede wszystkim dalsza na fundamencie przymierza anglo-polskiego rozbudowa wielkiej koalicji przeciwko mocarstwu centralnym. Ententa i oś współzawodniczyły w kon-

strukcji nowych lub odnawianych przeciwko sobie sojuszów. Dzięki przewadze jaką na tym polu wykazała ententa nad osią bezpośrednie niebezpieczeństwo wojny raz „tylko” jeden zajrzało w maju Europie w oczy, gdy w kwietniu zazierało aż dwukrotnie. Jednak pomimo tej przewagi ententy w końcu okresu sprawozdawczego, proces formowania nowego układu sił, który by zdołał ubezwładnić prężność ekspansyjną mocarstw centralnych, nie został zamknięty. W chwili gdy piszę wciąż jeszcze widnieje luka od strony Rosji. Dopiero czerwiec ma przynieść ostateczne w tej mierze rozstrzygnięcie.

Wydarzenia rozwijały się logicznie i chronologicznie jak następuje.

Koniec kwietnia upłynął pod znakiem przejściowej ciszy, czyli „rozejmu dziesięciodniowego”, który zarządził Hitler, odraczając swoją odpowiedź na proklamację Roosevelta do specjalnego posiedzenia *Reichstag*’u. W ten sposób pragnął *Führer* zyskać czas do namysłu i zorganizowania kontrofensywy naprzód w tej samej płaszczyźnie, na której wystąpił prezydent U. S. A. Rząd berliński rozesał więc w międzyczasie ankietę do większości państw, które Roosevelt wymienił jako zagrożone przez Niemcy. Ankietą miała stwierdzić, czy istotnie te państwa obawiają się niemieckiej agresji. Jak to było do przewidzenia, większość odpowiedzi wypadła wymijająco, spory zaś procent nawet bardziej na korzyść tezy Roosevelta niż Hitlera. Nie zacerpnawszy więc z tego źródła materiału dowodowego o zaufaniu mniejszych państw europejskich do Niemiec, rząd berliński podjął kroki dalsze i szersze już nie tylko pod kątem przygotowań do zapowiedzianej mowy polemicznej z Rooseveltem. Wysłannicy Berlina, względnie jego propozycje, wyruszyły nieomal we wszystkie cztery strony świata. Nie wskórały na razie wiele w Hiszpanii i Japonii, które po odezwie Roosevelta poczęły się dyskretnie odsuwać od osi. Na twardy również grunt natrafił w Turcji nowy ambasador niemiecki v. Papen, aczkolwiek „opromieniony glorią” poprzedniego skutecznego przygotowania *Anschluss*’u w Wiedniu. Na Bliskim Wschodzie szykowało się jednak pole doniosłego starcia pomiędzy dążeniami nie tylko osi i ententy lecz także samoistnym wypadem Sowietów. Drugie nawet jeszcze dramatyczniejsze pole walki ożywił Niemcy na Bałtyku występując z ofertą paktów nieagresji wobec Łotwy, Estonii i Danii oraz Finlandii, Szwecji i Norwegii. Zapewne zamierzali w ten sposób sprowokować Zachód i Rosję do zawarcia ze swej strony podobnych paktów zwłaszcza z Danią, Łotwą i Estonią, co w razie wojny znacznie skreślałoby swobodę ruchu przeciwników Niemiec na ważnych odcinkach pobrzeża oraz w cieśninach bałtyckich. W razie gdyby państwa bałtyckie i skandynawskie weszły w nieagresję tylko z Niemcami to musiałyby z natury rzeczy swoją postawą obronną i odporną zwrócić się przeciwko przeciwnikom Niemiec, tym sa-

mym wejść na linię niemieckich interesów i dążeń. Przejrzały jednak pozornie pacyfistyczną rachubę Niemiec zarówno angażowane przez nie państwa mniejsze, jak mocarstwowy Zachód i Wschód. Łotwa, Estonia i Dania początkowo skłaniały się do przyjęcia propozycji niemieckiej, lecz poczęły rokowania przewlekać, gdy zajęła wobec nich postawę konkurencyjną Rosja i Zachód. Szwecja, Norwegia i Finlandia po radzie zorganizowanej w Sztokholmie wprost odmówiły paktu z Niemcami. Zajął się natomiast sprawą fortyfikacji wysp Alandzkich, która by zamknęła dostęp do zatoki Botnickiej i osłoniła większą część wybrzeży finlandzkich, a znaczną część szwedzkich przed morską agresją zarówno Niemiec jak Rosji. Cała zatem kombinacja bałtycka Rzeszy musiała ostatecznie zadowolić się sfinalizowaniem paktu o nieagresji z Danią.

Główny jednak węzeł sieci niemieckich, zwłaszcza rozstawionych na południu, koncentrował się dla Berlina w Rzymie. Tam bowiem sytuacja pozostawała wciąż niewyjaśniona ze stanowiska solidarności osi, ubezwładniając niemiecką determinację wojenną. Pomimo szorstkiej odprawy ze strony premiera Daladiera udzielonej Włochom w przededniu anglo-polskiego przymierza, Anglia zużytkowując jego wagę, dyskretnie popierała nadal wymianę zdań między min. hr. Ciano a francuskim ambasadorem. Z Berlina wysłano zatem do Rzymu dla kontrakcji naprzód szefa sztabu gen. Brauschitza następnie Goeringa (także z uboczną misją hiszpańską) a w końcu samego v. Ribbentropa.

Spośród całego tego systemu zabiegów tylko ankietą o zagrożeniu dała już wynik wyraźny w chwili gdy Hitler nareszcie zabrał głos w *Reichstag*'u. To też dla umocnienia jej efektu, a zarazem przeciwczenia w wojsku starszych nieprzeszkolonych roczników poborowych, powołano ich w Niemczech aż 6 pod broń na okres kilkomiesięczny. Ta nowa zbrojna demonstracja wywarła w Londynie pewne wrażenie. Naprzód więc spróbowano przestrzec Hitlera posyłając znów do Berlina ambasadora Hendersona z oświadczeniem, iż Anglia gotowa jest wprowadzić przymusową służbę wojskową. Gdy zaś to nie poskutkowało wówczas istotnie ustawa o rekrutacji obowiązkowej została przez rząd brytyjski w parlamencie przeprowadzona.

To były dwa najmocniejsze akcenty rzeczowe kończącego się kwietnia. Mowa Hitlera została w znacznej mierze wygłoszona *pro foro interno*. Dawała satysfakcję niemieckiej ambicji narodowej, oraz usprawiedliwiała międzynarodową politykę hitlerowską z jej triumfami i niepowodzeniami argumentacją wybitnie subiektywną. Natura położenia jednak zwracała ostrze tej mowy na zewnątrz. Formalna polemika z Rooseveltem wypadła raczej powierzchownie. Rozgłosne gesty zerwania paktu z Polską i układu morskiego z Anglią nadawały się może dla podtrzymania prestiżu wobec własnego społeczeństwa, ale wobec zagranicznych

przeciwników nosiły cechy defensywy mało skutecznej. Przemyśle bowiem z Anglią kompensowało dla Polski układ pacyfistyczny polsko-niemiecki z r. 1934, groźba zaś wyścigu zbrojeń morskich ze strony Niemiec nie przedstawiała dla Anglii realnego niebezpieczeństwa wobec zachwianej siły finansowej niemieckiej. Ogólny ton mowy, pomimo znacznej dynamiki, był wyraźnie defensywny, etycznie usprawiedliwiający i o tyle pokojowy, o ile zdradzał obawę przed wojną w warunkach osaczenia. Rezerwował też furtki do układów z Anglią o kolonie, a z Polską o nowy pakt pokojowy.

Zwrot pod adresem Polski wprowadzał też pewne momenty nowe, jak propozycję gwarancji polsko - niemiecko - węgierskiej dla Słowaczyny oraz 25 letniego paktu nieagresji. Jedna i druga propozycja była typową pułapką. W razie ich przyjęcia przez Polskę ustalilibyśmy obecny niemiecki stan posiadania na Słowaczynie, wyrzekając się rozszerzenia historycznej granicy polsko - węgierskiej i związalibyśmy sobie ręce w obronie Litwy przed możliwą niemiecką presją czy agresją. Pułapka ta zastąpiła pogroźkę o poparzeniu sobie przez Polskę palców jeśli zechce wyciągać dla Anglii kasztany z ognia, oraz o niemieckich krokach zapobiegających okrażeniu od strony Litwy. Tak mówił Hitler w Wilhelms-hafen po pierwszej deklaracji angielskiej na rzecz Polski, a w chwili wyjazdu min. Becka do Londynu. W miesiąc później przekonał się już jak dotkliwie poparzyły się Niemcy przez dotknięcie Pomorza, zmienił przeto sposób podejścia do Polski.

Mowa Hitlera w gruncie rzeczy ujawniła wobec przeciwników raczej ciężkie położenie Niemiec, oraz płynącą stąd gotowość do układów, czyli do wyjednywania drogą pokojową nowych koncesyj. Nazwano tę mowę złośliwie „niemieckimi kazaniami“.

Autorytatywną odpowiedź otrzymała od polskiego ministra spr. zagr. niespełna w ciągu tygodnia. Roosevelt i Chamberlain nie odpowiedzieli w ogóle pozwalając się zastąpić Polsce, jako bezpośredniej „winowajczyni“ osaczającego Niemcy zwrotu w równowadze europejskiej. Zarówno w mowie sejmowej, jak w przesłanej do Berlina odpowiedzi pisemnej na niemiecką notę, wypowiadającą pakt z r. 1934, p. min. Beck umiejętnie przeprowadził prawną obronę polskiego stosunku do paktu z Niemcami. Dowiódł, iż nie dał rządowi niemieckiemu absolutnie żadnej podstawy do zerwania tego układu. W sejmie ponadto dodał, iż Hitler podając za przyczynę zerwania sam fakt sojuszu polsko - angielskiego ujawnił wyraźnie chęć silniejszego skrępowania Polski w stosunku do Niemiec, niżli Niemcy są skrępowane w stosunku do Polski. Uwypuklił p. minister rzeczową bezpodstawność niemieckich żądań aneksji Gdańska oraz autostrady przez Pomorze. Stwierdził, iż rzeczywistą choć zamaskowaną tendencją tych dążeń jest odparcie Polski od morza i, uderzając ręką w stół, zapowiedział

stanowczy odpór. Co do samego układu z r. 1934 to mówca go nie deprecjonował, lecz podniósł, że dla Polski przedstawia on wartość dopóty dopóki Niemcy respektowały równouprawnienie obu partnerów. Z chwilą gdy ujawniły skłonność wyzyskania układu na swoją tylko korzyść, oraz zażądały ustępstw bez kompensat układ ten traci dla Polski swoje znaczenie i żaloby po nim nosić nie będziemy. Zaznaczył też p. minister, że dopiero z mowy kancлера Hitlera dowiedział się o propozycjach słowackich i 25 latach nieagresji. Pewne sugestie były wprawdzie czynione prywatnie ze strony jednego z członków rządu niemieckiego, lecz ogólnikowo i także w innych, szerszych zagadnieniach, o których nasz minister rezerwuje sobie prawo powiedzenia jeszcze kiedyś czegoś w razie potrzeby. Na razie nie ujawnił p. Beck chęci wzięcia pod uwagę gwarancji słowackiej oraz 25 lat nieagresji, chociaż zasadniczo nie uchylał się od rokowań, gdyby ich sobie Niemcy życzyły. Silnym akcentem o miłości pokoju ale i gotowości do wojny w obronie honoru i żywotnych interesów narodu zakończył p. minister swoje przemówienie. Z zapartym oddechem słuchał go przez radio świat cały. Wielkie dzienniki stolic zachodnich podały jego treść w dodatkach nadzwyczajnych. Sławiono pod niebiosy niezłomność postawy polskiej. Istotnie bowiem w mowie Becka podstawa przeciwniemieckiego zwrotu w równowadze europejskiej ani nie drgnęła.

Na tym zakończona została na razie kampania przygotowań i słów, tym szybciej zaś i gwałtowniej poczęły się tłoczyć wydania. Prawie równocześnie z mową Becka gruchnęła po całym globie wieść nieomal „wstrząsająca“, a w każdym razie ważna, o dymisji Litwinowa. Od chwili powrotu polskiego ministra z Londynu z układem sojuszniczym anglo-polskim, oraz odparowania kontrataku osi na Bałkan (*via* Jugosławia) przez jednostronną gwarancję ententy dla Grecji i Rumunii (o czym pisałem w zeszycie majowym) mocarstwa zachodnie, za zgodą Polski i Rumunii, wszczęły mozolną pracę nad dalszą rozbudową „pierścienia bezpieczeństwa“ dokoła Niemiec. Konieczną była do tego, obok Polski i Rumunii, druga jeszcze linia obronna, posiłkowa i rezerwowa, złożona z Rosji i Turcji.

Dyplomacja angielska z pomocą francuskiej nawiązała więc z obu państwami układy, które jednak toczyły się od połowy kwietnia opornie. Zwłaszcza od strony Moskwy dawała się zauważyć widoczna niechęć do pośpiechu, wypływająca zapewne z chęci możliwie najlepszego wyzyskania korzystnej dla Rosji koniunktury, w której rosyjskie współdziałanie (choćby tylko bierne) po stronie polsko-rumuńskiej przeciwko niemieckiej agresji stanowiło niezbędny warunek skuteczności „pierścienia bezpieczeństwa“. Również Turcji, mocą geopolityki przypadała w jego budowie rola bardzo doniosła, ze względu na komunikację przez cieśniny do czarnomorskich portów Rumunii i Rosji, ze względu na bezpie-

czeństwo lądowe angielskiego naftonośnego Iraku i francuskiej Syrii, oraz ze względu na strategiczną wagę śródziemnomorskich portów tureckich dla morskiej obrony Grecji, Egiptu i Suez w razie wojny z Italią. Dodajmy wreszcie, o czym już nieraz na tym miejscu była mowa, że Turcja dotąd była powszechnie uważana za wasala Rosji, że Rosji przypisywano zdolność poruszenia jej lub hamowania w ekspansji na południowe arabskie posiadłości mocarstw zachodnich aż do Palestyny i Suez. Mocarstwa osi centralnej ze swej strony niejednokrotnie też zabiegały albo o sojusz z Rosją i wyzyskanie przeciwko zachodniej entencie rosyjskiej dyspozycji tureckimi możliwościami; albo też o wydarcie Moskwie wpływu na Turcję i bezpośrednią własną dyspozycję tymi jej geopolitycznymi właściwościami.

Po przypomnieniu tych faktów zrozumiałym będzie, że Moskwa nie ujawniła skwapliwości w kierunku tak pożądanego przez Zachód przymierza z nią za cenę samej tylko „ofensywy złotych kul”, która przy tym wciąż jeszcze nie przybrała postaci dostatecznie namacalnej. Wręcz przeciwnie umyśliła sobie Moskwa, że teraz nastąpił czas odpowiedni dla wznowienia z tej strony szerszej inicjatywy politycznej, która by jej mogła zapewnić trwały i możliwie decydujący wpływ na dalsze losy równowagi między osià a ententą. Z takiej bowiem pozycji mogłaby maksymalnie wyzyskać Zachód zarówno finansowo jak politycznie. W tym więc celu podjęto z Moskwy równolegle z przewlekаныmi układami z Zachodem samotną, dalekosiężną i drastyczną, szczególnie dla mocarstw zachodnich, akcję na Bliskim Wschodzie. W Angorze ścierały się dotąd wpływy Anglii i Francji z usiłującym je podkopać berlińsko-rzymskim v. Papenem. Walka toczyła się dość długo bez rezultatu, gdy na jej teren wkroczył wicekomisarz spr. zagr. czerwonego imperium, książę Patiomin. Przy sposobności reprezentowania rządu sowieckiego na uroczystościach zaślubin następcy tronu perskiego, komisarz Patiomin rozpoczął od Teheranu podróż dyplomatyczną, której etap główny stanowić miała Angora, dalsza zaś trasa wiodła przez Sofię i Bukareszt aż do samej nawet Warszawy. Do prasy przepuszczono wieść, iż Rosja pragnie nawiązać do istniejącego już czwórporozumienia Turcji, Persji, Iraku i Afganistanu, by związek ten rozszerzyć na Bałkan i częściowo przeobrazić w „ententę czarnomorską”.

Cel takiej konstelacji ze stanowiska rosyjskiej racji stanu jasno tłumaczy geopolityka. Chodzi wszak tutaj o tzw. *Randstaaten* czerwonego imperium, wieńcem otaczające jego południową i zachodnią granicę od Afganistanu aż po Finlandię. Chodzi również o to, by za pośrednictwem owych *Randstaaten* uzyskać, rozwinąć lub utrwalić wpływ Moskwy na sąsiadujące z nimi „obszary życiowe” zarówno centralnej osi w Europie, jak ententy na ziemiach arabskich i w Indiach. Gdyby się to powiodło wówczas Moskwa nie potrzebowałaby się wysługiwać Zachodowi jako

drugorzędna współgwarantka wschodnich sąsiadów Niemiec, za opłatą „złotych kul”, lecz jako protektorka swoich *Randstaaf*ów mogłaby przejąć w swe ręce polityczną dyspozycję między ententą a osią. Skłonność zaś do współdziałania z osią czerwona Moskwa ujawniła już dwukrotnie, raz wiosną 1937 roku w związku z ówczesnym stanem wojny hiszpańskiej i sytuacją japońsko-chińską, po wtóre zaś niedawno, w związku z inicjatywą włoską, w początku b. roku.

Z taką perspektywą w tece wyruszył komisarz Patiomin w objazd Bliskiego Wschodu i pod kątem takiej perspektywy przewlekła Moskwa swoje układy z Londynem, wysuwając coraz to nowe zamierzenia i żądania, już to odnośnie do prasowej formy układu, już też jego zasięgu, np. na Daleki Wschód w sensie sojuszu przeciw Japonii. Trudno przewidzieć jak daleko by się jeszcze rozwinęły te żądania sowieckie gdyby książę Patiomin powrócił ze swej podróży z gotową „ententą czarnomorską”. Tymczasem jednak stało się inaczej.

Pierwszy wyraz zewnętrzny nieoczekiwanego zwrotu stanowiła dymisja Litwinowa. Jej sensu nie umiano sobie na razie właściwie wytlumaczyć. Prasa zachodnia przypuszczała, że Stalin jest niezadowolony z przewlekania układów z Londynem, więc rokowała sobie po tej dymisji nadzieję szybszego tempa w porozumieniu z Rosją. Nie tylko prasa lecz nawet dyplomacja osi rzymsko-berlińskiej interpretowała znów tę dymisję, łącznie z podróżą Patiomina, jako rosyjski zwrot ofensywny przeciwko mocarstwom zachodnim na Bliskim Wschodzie, a więc przejście Moskwy na linię nowego Rapallo. Od polsko-angielskiego przymierza zabiegał Berlin w Moskwie usilnie, próbując kusić między innymi swoją nieagresją bałtycką; ba, proponując nawet podział sfer wpływu czy „obszarów życiowych” w Europie środkowej zgodny z życzeniami Moskwy, a więc szanujący wyżej zaznaczoną linię jej *Randstaaf*ów. Dymisję Litwinowa związanego z Ligą i Zachodem zrozumiano więc w Rzymie, gdzie już bawili ministrowie niemieccy, jako początek rosyjsko-tureckiej ofensywy przeciwko entencie. Świadczyć się o tym zdaje pogotowie do równoległej akcji włoskiej, która się ujawniła w skupieniu 70 tysięcy wojsk włoskich w Albanii południowej nad granicą grecką, oraz wieści prasowe o delegacji gubernatora Libii, marszałka Balbo do Kairu na układy z Egiptem.

Krótko jednak trwała ta rzymsko-berlińska uciecha. Na czwarty dzień po dymisji Litwinowa rozbiegła się po świecie inna wieść jeszcze bardziej sensacyjna i ważna. Prasa turecka ogłosiła komunikat, według którego rząd angorski wprawdzie gorąco pragnie nadal utrzymać przyjacielskie stosunki z Rosją sowiecką, równocześnie jednak postanowił zawrzeć formalne przymierze z Anglią i Francją. W razie wojny zapewnia okretom tych mocarstw wolny przejazd przez czarnomorskie cieśniny, oraz

wolną dyspozycję swoimi portami śródziemnomorskimi. Tym samym wyrzeka się jakichkolwiek nieprzyjaznych zamiarów wobec anglo-francuskich „mandatów” na ziemiach arabskich, zwłaszcza jeśli do tego porozumienia Francja dołoży Aleksandrettę. W niespełna tydzień później premierowie brytyjski i turecki ogłosili w parlamentach odpowiednią deklarację, przy czym nowy sojusz był najwidoczniej wzorowany na wcześniejszym, anglo-polskim.

Ta akcja formalnie zgodna z układami, które Zachód prowadził z Moskwą, niewątpliwie wzmocniła jego pozycję w tych układach wobec rosyjskiej partnerki, ale zarazem oznaczała fiasko emancypacyjnych i protektorskich celów podróży Patiomkina na Bliskim Wschodzie. Wyjaśniła się więc tajemnica dymisji Litwinowa. Dzięki Turcji, która pozostając wierną entencie bałkańskiej, nie życzyła sobie „pozyskać” sąsiedztwo faszystowskich Włoch w Grecji, Egipcie oraz być może w Syrii, Iraku i Palestynie, zwycięska dyplomacja zachodniej ententy odniosła sukces niemniej doniosły w skutkach od przymierza polskiego. Założyła też drugi kamień węgielny pod rozbudowę wielkiej koalicji kresowej przeciw mocarstwu centralnym. Na fundamencie polskim opierać się miała nowa równowaga przeciwniemiecka i nadbałtycka, na fundamencie tureckim, przeciwiwłaskim i śródziemnomorskim. Porażkę poniósł przy tym zarówno Patiomkin, emisariusz Moskwy, jak v. Papan, emisariusz Niemiec, o którym nie wiadomo, czy w ostatnich czasach w Angorze bardziej z Rosją współzawodniczył czy też może współdziałał. Zadecydowała o losach równowagi europejskiej sama Turcja, która z pośród kleszczy rosyjsko-niemiecko-włoskich znalazła sobie wyjście na zachód podobnie jak Polska. Ten najdonioślejszy fakt historii dyplomatycznej ubiegłego miesiąca nie omieszkaj natychmiast wyrzucić wpływu na dalszy rozwój wydarzeń. *Faisant bonne mine au mauvais jeu*, Rosja aprobowała przepływ zachodnich flot przez Dardanele, a zarazem nieco spuściła z tonu w układach z Londynem i Paryżem. Przestała się upierać przy nazbyt formalnym sojuszu przeciwjapońskim na Dalekim Wschodzie, za to silniej zaakcentowała żądanie prestiżowych form przymierza zachodniego, analogicznych do paktów anglo-francuskich z Polską i Turcją. Położyła większy nacisk na szybką konkretyzację „złotych kul”, które by jej umożliwiły podwojenie budżetu wojskowego. Wreszcie wysunęła drażliwe dezideraty wojenno-polityczne nad Bałtykiem. Zaprotestowała zgodnie z tradycją carską przeciwko fortyfikacji wysp Alandzkich. Ale, co najważniejsze, zażądała od mocarstw zachodnich gwarancji przeciwnapastniczej dla Estonii i Łotwy.

To ostatnie żądanie było istotnie delikatne i to w podwójnym kierunku, niemieckim i polskim. Dla Niemiec przede wszystkim dlatego, że gdyby po skrystalizowanych już przymierzach anglo-polskim i anglo-tureckim Rosja zdecydowała się ostatecznie przystąpić do tego systemu zabezpieczeń, to stalowy

pierścien zamknąłby się i unieruchomił Niemcy prawie bez nadziejnie. W szczególności gwarancja dla Łotwy i Estonii ze strony nowego trójprzymierza anglo-franko-rosyjskiego łącznie z sojuszem anglo-franko-polskim zawarłaby przed Niemcami ostatni, bałtycki wylot *Drangu nach Osten*, tym cenniejszy, że ustępując Węgrom Ruś Zakarpacką, Niemcy zrzekli się już sami południowego wylotu na Ukrainę. Weszły również w grę względy prestiżowe z powodu uprzednio przez Niemcy zaofiarowanego państwom bałtyckim systemu paktów nieagresji, który by teraz miał być zastąpiony przez układ przeciwniemieckich zabezpieczeń osaczających. Dodać przy tym należy, iż w oparciu o przymierze z Anglią, Polska wykonała niedwuznaczny gest protekcyjny przeciwko Niemcom na rzecz Litwy, co znalazło swój wyraz w odwiedzinach litewskiego szefa sztabu, gen. Rasztikisa w Warszawie.

Dla tych więc przyczyn Niemcy uznali nadbałtycką kontr-ofensywę Polski i Rosji za tak wysoką dla siebie prowokację, że warto jej przeciwdziałać choćby bezpośrednio ryzykując wojnę. W tym przeto celu poruszyli Niemcy Gdańsk, zapowiadając tam na 15 maja wielką demonstrację hitlerowską sprowadzonych z Niemiec oddziałów szturmowych. Niewątpliwie taka demonstracja nie miała stanowić celu sama w sobie, lecz posłużyć za narzędzie do takiej prowokacji Polski, która by sprawę zaboru Gdańska postawiła na ostrzu miecza, a opór Polski złamała już to groźbą, już też wprost siłą oręża.

Wówczas to właśnie nastąpił kulminacyjny na miesiąc maj moment niebezpieczeństwa wojny polsko-niemieckiej i powszechnej. Napięcie było bardzo dramatyczne, zostało zaś rozładowane z jednej strony za pomocą parokrotnych ostrzeżeń pod adresem Niemiec z Londynu i Paryża, z drugiej zaś ustępstwem formalnym. Polegało ono na tym, iż żądaną przez Rosję od Zachodu wspólną imienną gwarancję dla Estonii i Łotwy postanowiono zastąpić formułą bardziej ogólną, adresowaną bezimiennie i utrzymaną w stylu Ligi Narodów. Środek ten okazał się wystarczającym, Niemcy bowiem zredukowały względnie odroczyły swą prowokację gdańską. Wznowiły wprawdzie tydzień później przeciw-polskie awantury w Gdańsku, zapowiedziały nadto na 9 czerwca nową kolosalniejszą hecę z 30 tysiącami szturmowców pod dowództwem ich naczelnego komendanta z Berlina, była to jednak tylko pogroźka na wypadek finalizacji trójprzymierza mocarstw zachodnich z Moskwą. Na razie bowiem Niemcy zajęły postawę wyczekującą, pilnie obserwując przebieg układów anglo-frankosowieckich. Zdają się być zdecydowane zareagować na ewentualne dojście do skutku tego sojuszu za pomocą zamachu na Gdańsk.

Ani taka postawa Niemiec wobec Gdańska, ani także postawa Moskwy wobec Łotwy i Estonii nie mogła pozostać bez

odwiedzin naczelnego dowódcy armii łotewskiej w Warszawie, oraz rewizyt Naczelnego Wodza wojsk polskich w Kownie, Rydze i Tallinie. W ten sposób zaznaczała Polska swoją wolę opieki nad całym trójporozumieniem państw wschodniego pobrzeża Bałtyku. Zamiar ten przeciwstawiał się dążeniom niemieckim, lecz zdawał się współzawodniczyć również z rosyjskimi, przynajmniej na Łotwie i w Estonii. Nie wiadomo czy i co o tym mówił p. min. Beck na swej konferencji z Patiomkinem, który go odwiedził w Warszawie. W prasie zagranicznej ukazały się tylko wieści, bodaj inspirowane z naszej strony, jakoby sowiecki komisarz miał zostać wtajemniczony w „propozycje Goeringa”, wspólnej niemiecko - polskiej agresji na Ukrainę. Być może, iż w ten sposób p. min. Beck „powrócił do tematu” o szerokich sugestjach niemieckich, który już zaznaczył w swej sejmowej odpowiedzi Hitlerowi w pierwszych dniach maja. W chwili forsownych zabiegów Berlina o pozyskanie Moskwy i odciągnięcie jej od sojuszu z Zachodem temat „propozycji Goeringa” odrzuconych przez Polskę może w jej rozmowach z Moskwą służyć jako dobra broń przeciwko nowemu Rapallo.

Najkonkretniejszym może z posunięć polskich w obliczu ostrego gdańsko - bałtyckiego naprężenia z Niemcami, a niezupełnie jasnej sytuacji z Moskwą była paryska podróż służbowa min. spr. wojsk. gen. Kasprzyckiego. Przedmiot jego licznych i wyczerpujących narad z Daladierem, Bonnetem, gen. Gamelin, min. de Monzie i innymi przedstawicielami rządu oraz naczelnego dowództwa francuskiego nie został podany do wiadomości publicznej. Domyślać się jednak wolno, iż musiał dotyczyć kwestii możliwie szybkiego, dalszego wzmocnienia pogotowia wojennego Polski jako też jej potencjału przemysłowego. W tym ostatnim względzie dość wydatnym rezultatem mógł się poszczycić wice-minister przemysłu i handlu p. Rose w swej podróży do Londynu i Paryża. Przywiózł pierwsze jaskółki realizacyjne „ofensywy złotych kul”, przyoblecanej dotąd dość gołosłownie przez Zachód państwom wschodnim, jako warunek nieodzowny skuteczności ich udziału w „pierścieniu bezpieczeństwa” dokoła Niemiec.

Do takiego punktu dobiegł w końcu maja niedokończony jeszcze proces budowy wielkiej koalicji kresowej, mającej na celu ubezwładnienie prężności ekspansyjnej mocarstw centralnych. Niemcy stawiały mu opór nie tylko bezpośredni na pobrzeżu bałtyckim. Główną manifestacyjną odpowiedzią z ich strony na sojusz ententy z Turcją, oraz układy o sojusz jej z Moskwą, było przekształcenie dotychczasowej osi rzymsko-berlińskiej w stałe, na dziesięć lat obowiązujące, obronne (a podobno nawet zaczepne) przymierze niemiecko-włoskie. Zawrzeć je postanowiono dość niespodzianie na zjeździe ministrów Ribbentropa i Ciano w Mediolanie, nazajutrz po wiadomości o zawartym sojuszu anglo-tu-

reckim. Potwierdził ten zamiar Mussolini w dość melancholijnej mowie turyńskiej w połowie maja, oskarżając ententę nie tylko o okrażanie lecz i o gospodarcze oblężenie Niemiec i Włoch. Wtórowała mu prasa niemiecka i włoska podnosząc proletariacką sytuację wygłodzonych totalizmów faszystowskich wobec przesyconych zachodnich plutokracji. Były to akcenty ideowo agitujące Moskwę. Wreszcie przybył min. Ciano do Berlina, gdzie uroczyste ów traktat przymierza podpisano, poczem zaraz wybuchły nowe antypolskie zajścia w Gdańsku.

Prasa mocarstw zachodnich potraktowała sojusz ten lekceważąco, dowodząc jakoby nie wnosił on żadnej zmiany w położeniu dotychczasowym. Jest to o tyle nieścisłe, że solidarność osi nieraz mocno dotąd szwankowała, tak że np. w kwietniu, bezpośrednio po zawarciu przymierza anglo-polskiego, Niemcy nie chwyciły za oręż prawdopodobnie tylko z powodu bardzo dla nich niepewnej postawy Włoch. Dopiero ich odtrącenie przez Francję i okrażenie od wschodu przez sojusz anglo-turecki, równoległy do anglo-polskiego, skierowanego przeciwko Niemcom, zcementował ponownie oś i to w myśl życzeń niemieckich w bardziej niż dotąd skonsolidowanej formie. Sens tego umocnionego związku mocarstw centralnych zdaje się polegać na zobowiązaniu Włoch, iż w razie gdyby Niemcy „zostały wciągnięte” w wojnę (niekoniecznie zatem zaatakowane lecz choćby „sprowokowane” do agresji), to Italia zobowiązała się do udziału w wojnie po stronie niemieckiej. Przypuszczać wprawdzie wolno, że wobec tego będzie się starała Niemcy od wojny powstrzymać, jednak swym formalnym wobec nich zobowiązaniem ograniczyła raczej swoje w tym kierunku możliwości.

Sojusz berliński naprężył więc ponownie sytuację zwłaszcza w zestawieniu z wciąż jeszcze nie zawartym sojuszem Zachodu z Moskwą. Może on oddziaływać na Sowiety hamująco groźbą natychmiastowego wybuchu. Pomimo przewagi jaką w ciągu maja budowa wielkiej koalicji kresowej wykazała nad osią rzymsko-berlińską horoskop na czerwiec przedstawia się dość zagadkowo. Po części definitywne stanowisko, jakie zajmie Rosja, ale także i inne ważne względy, jak np. kierunek w jakim by ewentualnie Włochy i Niemcy solidarnie wojować miały, oraz ich stan gospodarczy, który zwłaszcza w Niemczech staje się coraz cięższy, wszystko to może wojenną determinację Niemiec już to rozpaczliwie podżegać, już też przeciwnie wręcz uniemożliwić.

Trudno w tych warunkach przewidzieć co przyniesie najbliższa przyszłość. W kwietniowej i majowej perypetii międzynarodowej jako objaw dodatni występuje głównie ogromny przyrost powagi i znaczenia państw środkowo-wschodnich szczególnie Polski i Turcji. One stają się „języczkiem u wagi” w coraz większej mierze decydującym o układzie sił między obozami wielkich mocarstw. Ostatnio weszli w grę nawet Arabowie, co się ujawniło

w zwrocie filoarabskim polityki angielskiej w Palestynie. Gdyby się udało silniej zdynamizować, solidarniej związać i usamoistnić dążenia środkowego Wschodu to mógłby on dobroczynnie wpłynąć na losy świata.

Andrzej Prawdziec.

Ze świata filmu.

Koniec umowy filmowej z Niemcami. — Układ Zw. Prod. ze Związkiem Właśc. Kin. — System konwencji. — Film o Solskim. — Niedbalstwo PAT-a. — Film o Rembrandcie. — Przegląd repertuaru.

Najważniejszymi wydarzeniami ubiegłego miesiąca w polskim świecie filmowym było: usunięcie z ekranów filmów niemieckich połączone z wypowiedzeniem polsko-niemieckiej umowy filmowej, zawarcie układu między Polskim Związkiem Producentów Filmowych, a Związkiem Polskich Zrzeszeń Teatrów Świetlnych, premiera warszawska filmu dokumentarnego o Ludwiku Solskim pt. *Geniusz sceny*, o którego odznaczeniu na dorocznym weneckim Biennale *Przegląd Powszechny* swego czasu obszernie pisał.

Zlikwidowanie niefortunnego układu z Niemcami jest zupełnie zrozumiałe w obecnych warunkach, inna zaś sprawa, że system wymiany, wynikający z tej umowy, dawno już należało usunąć.

Stosunki filmowe z Trzecią Rzeszą rozpoczęły się zawarciem tzw. „porozumienia filmowego” w dn. 20 lutego 1937 r. Przyznawało ono Niemcom przywilej wprowadzenia na rynek polski 50 filmów, w zamian za co Niemcy mieli wprowadzić film polski na rynek niemiecki. Ponieważ jednak zaledwie jeden nasz film był wyświetlany w Niemczech w okresie kiedy aż 25 filmów importowanych z Rzeszy ukazało się w Polsce, umowa została w dn. 1 października 1937 wypowiedziana. W układzie następnym przewidziano już, iż stosunek wymiennego eksportu filmowego musi wynosić 4:1 na korzyść Niemiec, to znaczy że na cztery filmy niemieckie wpuszczane do Polski, muszą Niemcy sprowadzić jeden film polskiej produkcji. Tymczasem w okresie od dnia 1 stycznia 1938 r. do 1 maja 1939 Rzesza wysłała do Polski 51 filmów, które były wyświetlane na 260 (liczba przybliżona) ekranach, ze szczególnym uwzględnieniem terenów, położonych w bliskości granicy niemieckiej, a więc głównie na Śląsku i Pomorzu, co wywołało zrozumiałe zadowolenie mniejszości niemieckiej i zrozumiałe zdziwienie ludności polskiej.

W zamian za to Niemcy zakupili w Polsce 7 filmów, pokazali przed swoją publicznością zaledwie jeden (*Jego wielka miłość* z Jaraczem). Nie trzeba dodawać, że film został zdubbingowany, to znaczy, że dialogi polskie były zastąpione nagraniem nie-

mieckim, oraz że filmu — mimo zniemczenia tekstu — nie dopuszczono ani we wschodnich prowincjach Niemiec, ani też w dzielnicach zamieszkałych przez polską emigrację robotniczą, jak np. w Westfalii. Co więcej, w ośrodkach polskich Niemcy zakazali wyświetlania własnego, niemieckiego filmu *Ritt in die Freiheit*, opartego na temacie polskich walk o niepodległość, a zarazem realizowali obrazy sięgające do tematów polskich tylko po to, by Polskę przedstawić w ujemnym świetle.

Propaganda niemiecka, która wówczas kokietowała Polaków, chwaliła się filmami *Das Polenblut* („Polska krew”) i *Der Bettelstudent* („Student-żebrak”), jako dowodem zainteresowania Polską ze strony współczesnej publiczności niemieckiej. O sposobie wykonywania tych filmów, jak i o metodach przedstawiania polskiego środowiska, świadczy fakt, że cenzura nie mogła dopuścić do wyświetlania u nas owych obrazów, rzekomo Polskę idealizujących. Niekiedy zaś tendencja była bezceremonialnie ujawniona, jak np. w filmie *Das Jugend*, w którym nędznej postaci księdza polskiego została przeciwstawiona szlachetna sylwetka księdza Niemca. Wreszcie — nie brakło stosowania takich tricków, jak kupowanie starych polskich filmów, przetrzymywanie ich po kilka lat, by później stawały się one dowodem zacofania polskiej techniki kinematograficznej.

Żadnych tedy z umowy z Niemcami nie było korzyści. Nawet finansowych. Płaciły bowiem niemieckie biura ryczałtową cenę za eksploatację filmu na rynku niemieckim, zupełnie niewspółmierną z osiąganym dochodem. Było to zresztą płacenie tylko teoretyczne. Pieniądze pozostawały na „zamrożonym” koncie, przedsiębiorca zaś niemiecki nie wahał się otrzymanej kopii filmu sprzedawać dalej — aż na rynek zagraniczny. Tą drogą np. dostawały się filmy polskie do... Turcji via Niemcy.

Kina w Polsce postanowiły jednomyślnie filmów niemieckich nie wyświetlać. Ze względów artystycznych — strata żadna. Na przyszłość, gdyby kiedyś doszło do nowej umowy, mamy nadzieję, że będzie ona lepiej respektowała interesy przemysłu pracującego w Polsce.

*

Poruszana w poprzednim zeszycie *Przegl. Powsz.* sprawa osobliwej konstrukcji kredytowej rynku filmowego, sprawiającej iż za błędy i ignorancję producenta płaci właściciel atelier i właściciel kina, znalazła częściowe rozwiązanie w postaci zawarcia układu między Pol. Zw. Prod. Filmowych a Pol. Zw. Zrzeszeń Teatrów Świetlnych.

Układ postanawia, że odtąd produkcję filmu będzie można rozpocząć jedynie na podstawie specjalnego zezwolenia komisji, powołanej do tych funkcji przez Związek Producentów. Odwrotnie — właściciele kin będą udzielać zaliczek tylko na te

filmy, które wykażą się posiadaniem zezwolenia, czyli tzw. konwencji.

Przy udzielaniu konwencji, komisja Związku Producentów będzie brać pod uwagę odpowiedzialność finansową producenta, jego przygotowanie fachowe, ewentualnie także kwalifikacje zgłoszonych przez niego realizatorów filmu, oraz możliwe zastrzeżenia co do tematu filmów.

Dalsze postanowienia układu przewidują asekurację negatywu produkowanego filmu, ograniczają ilość wydawanych pozwoleń do dwóch jednocześnie dla jednego producenta, przewidują wylegitymowanie z koniecznego kapitału inwestycyjnego dla nowego producenta oraz ustalają szczegółowe przepisy wykonywania układu.

Istotną jego cechą jest nadanie określonej kompetencji i egzekutywy komisji opiniodawczej, pracującej przy Zw. Producentów. Jak widać jednak z poszczególnych postanowień, układ powstał ze względów gospodarczych i nie kładzie dostatecznego nacisku na zagadnienie tematyki filmowej. Komisja, złożona z producentów, w znakomitej większości — żydów, nie daje gwarancji zorientowania się i wycucia, czy film o projektowanej treści może odpowiadać potrzebom polskiego społeczeństwa. Jeżeli ci sami producenci, którzy pozwolili sobie na przerabianie żydów-kryminalistów na Polaków w *Strachach* i *Za winy niepopelnione*, mają dziś oceniać projekty scenariuszów i w ten sposób kształtować treść filmów polskich, jest to co najmniej grubym nieporozumieniem. Oczywiście w tych warunkach trudno spodziewać się postawienia tamy mdłej sentymentalności, taniej makabrze i trywialnemu erotyzmowi — trzem charakterystycznym cechom krajowych filmów, pozbawiających je z góry możliwości artystycznych i wartości społecznej. Tym bardziej zaś nie sposób oczekiwać, aby komisja Związku Producentów spełniła swą właściwą rolę i oddziaływała w sposób wychowawczy na produkcję, wskazując drogi, którymi powinna kroczyć. Na razie, wobec rozpoczęcia letniego sezonu produkcji, inne rozwiązanie tego zagadnienia byłoby spóźnione, w nowym jednak sezonie filmowym, 1939—40, zorganizowanie niezależnego ośrodka opiniodawczego, posiadającego głos odpowiednio autorytatywny i mogącego podjąć się zarówno oceny projektów produkcji, jak stawiania postulatów tematycznych przemysłowi filmowemu i eliminowania filmów szkodliwych — stanowi jedno z najważniejszych zadań społecznych w dziedzinie kinematografii.

*

Na czele programów ub. miesiąca w kinach warszawskich należy postawić premierę filmu produkcji polskiej pt. *Gentuz sceny*, poświęconego twórczości aktorskiej Ludwika Solskiego. Rzadko się zdarza, by można było z całą ścisłością użyć okre-

ślenia film polski, nie posługując się formułką film krajowy, posiadającą wiadome znaczenie i podkreślającą, że obraz nie jest ani polski, ani zagraniczny. W tym jednak wypadku, film o Solskim, powstał jako dzieło polskiego reżysera, Romualda Gantkowskiego, o którym mieliśmy już sposobność pochlebnie pisać z racji jego reportażu z pogrzebu Dmowskiego, a zrealizowany został przez Biuro Filmowe Polskiej Agencji Telegraficznej, w okresie, kiedy na czele Biura stał Tadeusz Katelbach. Dzięki staraniom T. Katelbacha i R. Gantkowskiego uzyskano potrzebne fundusze — film projektowany początkowo na serię jednoaktowych nadprogramów rozrósł się w istną monografię Solskiego, tym osobliwą, że nie pisaną, ale zanotowaną na taśmie filmowej.

Geniusz sceny jest jedynym w swoim rodzaju filmem badającym w całej kinematografii. Sądzę, że po raz pierwszy użyto aparatu kinematograficznego dla utrwalenia kreacji wielkiego aktora. Solski będzie odtąd zawsze żywy nie tylko we wspomnieniach wielbicieli jego talentu, ale dla wszystkich dostępny, widzialny — wspaniały przykład gry aktorskiej. Aktor, któremu zawód przeznaczal zawsze tylko oklaski za życia, zdobywa drogę przejścia do nieśmiertelności.

By unaocznić, jak wielką wagę dokumentarną posiada *Geniusz sceny*, dość zwrócić uwagę na fragment *Warszawianki* Wyspiańskiego. Solski, jeszcze na krakowskiej prapremierze tej przejmującej sztuki, grał w niej, słynną odtąd, rolę niemą — rolę Wiarusa, wracającego z pola bitwy i w milczeniu podającego Chłopickiemu meldunek. Wiarus z *Warszawianki* w kreacji Solskiego stał się jedną z legend polskiego teatru. Niestety, niewiele pamięta krakowskie przedstawienie, nie wszyscy też mogli widzieć Wiarusa na wznowieniu sztuki w Warszawie. Już dziś — za życia Solskiego — rola ta jest tylko wspomnieniem... I dopiero dzięki filmowi, Wiarus — Solski znów powraca, ba! zostaje utrwalony na lata w swej niezafartej, niezwyklej postaci. Jakże trzeba żałować, że podobnego filmu nie doczekał się Frenkiel, że nie znano kina w epoce Żółkowskiego! I jak pilnie i nieustępliwie trzeba się domagać, by, po doświadczeniu z Solskim, pośpieszono zachować dla przyszłego pokolenia wspaniałe role wielkiej tragiczki — Stanisławy Wysockiej.

Widz warszawski, który przez tyle lat mógł Solskiego widzieć bezpośrednio w teatrze, nie docenia doniosłości tego filmu. Wartość *Geniusza sceny* występuje w całej pełni dopiero w kinie prowincjonalnym, w małym mieście — gdzie teatru nie ma, dokąd Solski nigdy nie przyjedzie... Dzięki filmowi widzowie wszystkich kin w Polsce — przynajmniej w teorii — mogą Solskiego zobaczyć.

Obok spełnienia zadań dokumentarnych i popularyzatorskich, *Geniusz sceny* jest niezwykle cenną pomocą naukową dla

młodych wychowanków Państw. Inst. Teatralnego i dla badaczy teatru. Możliwość oglądania kilkakrotnego poszczególnych fragmentów, zatrzymywania ruchu taśmy i uchwycenia postaci Solskiego, zastygłej w geście — pozwala na drobiazgowy opis aktorski, na analizę ruchu i środków mimicznej ekspresji. Szpule z kopią *Geniusza sceny* powinny nieodzwrotnie wejść do żelaznej biblioteki P. I. S. T-u.

Reż. Gantkowski realizował film według scenariusza Adama Grzymały-Siedleckiego, znakomitego krytyka, znawcy teatru, swego czasu dyrektora sceny krakowskiej. Grzymała-Siedlecki jest autorem monografii o Solskim i zna na wylot i arcyciekawy życiorys artysty i dzieje jego kariery scenicznej. Prowadzi też widza, jak pewny przewodnik, po drogach talentu Solskiego, komentując jego sławne role: Judasza w dramacie Rostworowskiego, Fryderyka Wielkiego w sztuce Nowaczyńskiego, ojca-zabójcy w *Niespodziance*, Łatki w fredrowskim *Dożywociu*, Chudogęby w *Wieczorze Trzech Króli* Szekspira. Wprowadza nas do historycznej garderoby w Krakowie, i do drugiego muzeum teatru, jakim jest mieszkanie Solskiego w Warszawie, wszędzie służąc dyskretnym objaśnieniem i podsuwając syntezę tego niepospolitego zjawiska, jakim był i jest na scenie polskiej sędziwy, a jakże młodzieńczy jej jubilat — Ludwik Solski.

O ile z tak jasnych stron składa się sam film i słuszną dumą może nas napelniać jego zrealizowanie, o tyle sprawą co najmniej smutną i przykrą jest sposób, w jaki go warszawskiej publiczności pokazano.

Przedewszystkim — premiera odbyła się w ostatnich dniach maja. Przy normalnej wiosennej pogodzie jest to pora upałów, kiedy kto może — ucieka w niedzielę z miasta, a już tym bardziej stroni od widowisk, przekładając słońce i zieleni ponad teatr, koncert czy kino. Świat filmowy nie uważa końca wiosny za tzw. sezon, lecz za początek letnich „ogórków”. Czyli po prostu — *Geniusza sceny* zepchnięto na ostatnie miejsce, zlekceważono, zmarnowano włożony w film wysiłek artystyczny i finansowy.

Właściciel filmu, czyli PAT, może tłumaczyć się, że film w Warszawie, z przyczyn podawanych poprzednio, nie posiada np. tej atrakcyjności, co na prowincji i wobec tego przez właścicieli kin był uważany za obraz niekasowy. Istotnie — ten wzgląd mógł być usprawiedliwieniem dla względnie krótkiego okresu wyświetlania, nie może jednak tłumaczyć premiery dopiero u schyłku sezonu. Zwłaszcza, gdy film słusznie uważany jest za obraz reprezentacyjny polskiej produkcji, gdy był wysłany na Biennale, skąd powrócił z zaszczytnym wyróżnieniem. Jedyną więc właściwą porą na premierę *Geniusza sceny* w Warszawie były miesiące zimowe.

I tu powracamy do starej śpiewki. Niedosć mieć polskie atelier i laboratorium, niedosć mieć polską produkcję, trzeba jeszcze mieć polskie kina. Tymczasem w Warszawie rozporzą-

dzamy obecnie zaledwie dwoma tzw. zeroekranami, czyli kinami premierowymi. Są to kinoteatry: „Roma” i „Napoleon”. Kino „Roma” — dostępne dla szerokich sfer publiczności — gra wyłącznie repertuar popularny, „Napoleon” zaś powstał w czasie, kiedy była już podpisana umowa PAT-a z kinem „Palladium”.

Rzecz jest niedwuznaczna — „Palladium” gra *Geniusza sceny* jako tzw. „polską zapchaj — dziurę”. Dyrekcja kina przywiązuje niewiele wagi do kasowych wyników filmu, licząc na zupełnie inne korzyści. Mianowicie istnieje przepis popierający produkcję krajową i przyznający ulgę w podatku tym kinom, które w ciągu roku wyświetlały 10 procent filmów polskich. Ażeby film mógł być zaliczony do kontyngentu owych „krajowych 10 procent” musi znajdować się na ekranie co najmniej przez tydzień. O „zgraniu” kontyngentu przez kino i tym samym o uzyskaniu prawa do ulgi w podatku, decyduje komisja mieszana, złożona z przedstawicieli Związku Producentów i Zrzeszenia Właścicieli Teatrów Świetlnych. Pewne kina warszawskie, jak np. „Palladium” niemal że nie grywają filmów produkcji krajowej — znane są z tego komisji i oczywiście nie mogą liczyć na przychylny stosunek delegatów Związku Producentów. To też, nie zmieniając charakteru swego repertuaru, starają się — w martwym sezonie letnim — „dopełnić formalności”, czyli przez możliwie małą ilość dni grać film produkcji krajowej. I oto mamy genezę premiery *Geniusza sceny*...

Zdawałoby się jednak, że mimo swego opóźnienia, będzie to premiera uroczysta. Że ministerstwo W. R. i O. P. udzieli swego protektoratu, że zainteresują się filmem teatry i pierwszy dzień wyświetlania *Geniusza sceny* zamieni się w hołd dla Ludwika Sol-skiego. Tymczasem Solskiego nikt nawet nie przywitał u wejścia, przeszedł nie zauważony...

PAT mógł postarać się o protektorat odpowiednio wysokich czynników państwowych, mógł użyć do reklamy filmu swego serwisu prasowego, radiowego, mógł reklamować *Geniusza sceny* w Tygodniku aktualności. Nie zrobiono dosłownie nic. Podobno kino oświadczyło gotowość urządzenia specjalnego seansu za zaproszeniami dla sfer kulturalno-artystycznych Warszawy. PAT nie zainteresował się tą propozycją.

Ale czyż można się dziwić owej do cna biurokratyzowanej instytucji prasowo-filmowej, jeżeli nie jest należycie spełniane nawet główne zadanie: dostarczanie kinom aktualnych zdjęć filmowych!

PAT posiada monopol na aktualności. W praktyce wygląda to tak, że np. mowa min. Becka znalazła się na ekranach francuskich już w 48 godzin po posiedzeniu Sejmu — publiczność polska czekała cierpliwie blisko tydzień, nie mówiąc już o tym, że na temat mowy można było tanio i łatwo zmontować doskonały dodatek propagandowy. A moment był tak niezwykle, że

zagranica wyrywałaby sobie krótkometrażówkę PAT-a, z takim przypuścmy programem: podpisanie paktu polsko - niemieckiego, ostatnia wielka mowa kancl. Hitlera (fragment), mowa min. Becka, reportażowe zdjęcia Sejmu i Senatu, mapa Polski, widoki Gdańska i Pomorza, polska flota, polska armia (od Bałtyku odepchnąć się nie damy!)

Zamiast tego — jeden mały fragmencik w zwykłym Tygodniku aktualności między jakimiś pięknościami z Florydy, a równie tradycyjnymi np. niedźwiadkami z Zoo. Jeżeli taką okazję zmarnowano, coś dopiero dziwić się, że np. w czasie pobytu w Polsce min. de Monzie, z racji monopolu PAT-a odmówiono zezwolenia wytwórni Fox'a na sfilmowanie francuskiej wizyty. PAT postąpił tu w myśl zasady: sam nie, ale i drugiemu nie dam! Dodajmy na zakończenie krytycznych uwag o Biurze Filmowym, że przed mową min. Becka aparatura dźwiękowa PAT-a była zepsuta i nie pomyślano o tym, by ją na czas naprawić. Oszczędności? Chyba tak, skoro np. orkiestry do nagrywania ilustracji dźwiękowej do krótkometrażówek angażuje się każdorazowo na podstawie przetargów. Kryterium: która najtańsza. A gdyby tak najniższą pod względem ceny ofertę złożyła kiedyś orkiestra grajków podwórzowych?

Na szczęście, wojsko, nie oglądając się na PAT-a, na własną rękę wzięło się do propagandy, wypuszczając kilka, dość amatorskich obrazków o sprawności polskiego żołnierza, przeplatanych hasłami patriotycznymi. Mimo, że jest to zwykły montaż zdjęć z ćwiczeń (nawet nie najefektowniejszych), publiczność gorąco oklaskuje krótkometrażówki rtm. Jaryczewskiego, dając wyraz zadowoleniu, że przecież nareszcie ktoś... poszedł po rozum do głowy.

*

Miesiąc ubiegły na zeroekranach warszawskich podtrzymał przede wszystkim dawne sukcesy. Rekordy powodzenia bije *Wielki wał* Duviviera, grany w kinie „Atlantic” bez przerwy od 3 marca — film wkracza już w czwarty miesiąc wyświetlania i jeszcze nic nie zapowiada nowej premiery... Francuski *Gibraltar*, zreszczenie zrealizowany obraz sensacyjny, grany był przez cały prawie maj, a licząc od dnia premiery w dn. 30. III — w sumie przez 55 dni. Z filmów krajowej produkcji, omawianych już w poprzednich zeszytach *Przeglądu*, do dn. 25 maja utrzymały się na ekranie *Trzy serca* (70 dni wyświetlania!) a nadal „idzie” w kinie „Victoria” sympatyczny obrazek Szczepka i Tońka *Włóczęgi*, już drugi miesiąc zapełniający widownię.

Z filmów krajowych po za *Geniuszem sceny* pojawił się drugi film istotnie polskiej produkcji, stanowiący własność jednego z dawnych wspólników Polskiej Spółki Filmowej, prowadzącego obecnie własną wytwórnię pod firmą „K. S. Popławski”. Obraz

ten pt. *U kresu drogi*, stanowi niestety, dalszy ciąg linii sentymentalno-tragicznych historii w rodzaju: *Znachora*, *Tředowatej*, *Wrzosa*, *Ordynata Michorowskiego* itd. Założenia etyczne akcji pozornie tylko wyglądają na podkreślanie ideałów poświęcenia, w co zresztą mało wyrobiony widz gotów uwierzyć. W rzeczywistości opuszczenie młodej żony przez męża — naukowca, tylko dlatego, że pewne sytuacje wzbudziły w nim podejrzenie, że nie jest kochany, a może nawet zdradzany — nie da się pogodzić z chrześcijańskim pojęciem małżeństwa. Profesor znika, wykorzystując dla ucieczki stan letargiczny, w jaki pogrążył go zastrzyk jego własnego preparatu. Film otrzymuje takie makabryczne sceny, jak przygotowania do pogrzebu, trumnę na katafalku w pałacowej kaplicy i wyjście z trumny rzekomego nieboszczyka. Postępowanie profesora nie tylko, że nie jest poświęceniem się dla szczęścia żony, ale równocześnie jest porzuceniem drugiego — dobrowolnie przyjętego — obowiązku: służby dla bliźnich, pracy naukowej nad zwalczaniem raka, która wydaje się już być bliska doniosłego odkrycia...

Nie zatrzymując się tym razem dłużej nad tematyką filmów krajowych — sprawą niejednokrotnie omawianą — przejdziemy do interesujących nowości zagranicznych.

Do nich należy świetny film angielski *Dama z portretu*, w oryginale noszący tytuł *Rembrandt*. Reżyserował obraz wybitny inscenizator Aleksander Korda, rolę zaś tytułową gra jeden z najznakomitszych angielskich aktorów teatralnych i filmowych — Charles Laughton. Widzieliśmy go już jako Henryka VIII w filmie pod tym samym tytułem, jako okrutnego kapitana Blissa w *Bounty*, jako doświadczonego Rugglessa, pobłażliwie patrzącego na życie w *Arcylokału*. Wszędzie dawał kreacje nie zapomniane. Taką też jest jego rola w *Rembrandcie*, którego odtwarza z wielkim umiarem, narzucając jednak widzowi wiarę w wewnętrzny ogień, płonący wciąż w sercu genialnego malarza. Końcowe sceny obłędu i wypowiedzenia słów Salomona: „próżność nad próżnościami” — są przejmujące.

Rembrandt stanowi w dziedzinie filmu odpowiednik tak poczytnych dzisiaj powieści biograficznych. Korda, reżyser *Rembrandta*, ma już za sobą takie obrazy, jak: *Henryk VIII*, *Don Juan*, *Katarzyna Wielka* — do tego też cyklu należy i film o geniuszu holenderskiego malarstwa. W trzech częściach zakończonych epilogiem widzimy kolejno *Rembrandta* — malarzem wziętym i bogatym, malarzem trudnym i niepopularnym, malarzem wygnanym ze stolicy, ale w największym rozkwicie swego talentu, wreszcie — człowiekiem zapomnianym, głodnym, na wpół ślepym. Wówczas to, na krótko przed zgonem, maluje *Rembrandt* swój ostatni obraz „Syn marnotrawny” — w filmie dzieje się nieco inaczej: *Rembrandt* portretuje swą współprzysiężną twarz.

Rembrandt pochodził z Lejdy, był synem młynarza, sławę zdobył w Amsterdamie, tam też ożenił się r. 1636 z Saskią van Uylenburch. Modny portrecista, malarz ceniony i przez patrycjat miasta i przez dwór książęcy, zarabiał bardzo wiele, żyje zbyt kownie, ciesząc się sławą i szczęściem z piękną żoną. Ale rychło los się odmienia — pani Saskia odchodzi do lepszego świata, talent zaś Rembrandta rośnie tak niebezpiecznie, że doprowadza go do zatargu z Amsterdamem na tle zamówienia zbiorowego portretu członków Bractwa kurkowego. Zamówienie zmieniło się w słynny obraz Rembrandta „Straż miejska“, ale niewiele postaci było tam podobnych do swych pierwowzorów. Rembrandt zaczynał zyskiwać nieśmiertelność, „kompromitował się“ jednak, jako portrecista.

W tym czasie mniej więcej prywatne życie Rembrandta wypełnia przelotny związek z dawną gospodynią, dopóki malarz nie poznał młodzikutkiej dziewczyny, uroczej Hendriki Stoeffels. Od roku 1669 jawnie z nią żyje, a że równocześnie popada w długi, prowadzi dom rozrzutnie, budzi się reakcja opinii. Hendrika wezwana przed konsystorz zostaje usunięta z gminy protestanckiej. Rembrandt wraz z Hendriką wyjeżdża z Amsterdamu — nie dbając o pieniądze, maluje świat tak, jak go widzi. Hendrika dała mu dziecko, jest też mu nieocenioną opieką i pomocą.

Shczęście jednak, zbudowane na nietrwałej podstawie, nie trwa długo. Umiera ukochana Hendrika, z którą Rembrandt nie zdążył połączyć się związkiem małżeńskim, później traci też syna (z pierwszego związku) i synową, zostaje jako osamotniony, ubogi starzec z półroczną wnuczką, pogrobową córką syna. Czyż trzeba wymowniejszego zestawienia: genialność i nędza, wielkość i cierpienie, starzec — i niemowlę. Wówczas powstają najbardziej natchnione obrazy, a „Syn marnotrawny“ wydaje się wyrazem rozpaczliwej nadziei Rembrandta, że nie będzie odrzucony, gdy przyjdzie do Ojca jako marnotrawne, lecz zawsze kochane, dziecko. I kto wie, czy klęska dla malarza najcięższa — ślepota, nie jest dowodem tej Miłości, pragnącej Rembrandtowi pomóc w oczyszczeniu się ze starych win...

Burzliwe koleje życia Rembrandta film oddaje dyskretnie, strzegąc się przesadnego biografizmu. Jedyne w trudnej zresztą do rozwiązania scenie sądu wyznaniowego nad Hendriką Stoeffels, wprowadzono momenty ośmieszające sędziów i stawiające pod znakiem zapytania ich purytańską moralność. Może na tle epoki i środowiska było to nawet i słuszne, ale widz odnosi wrażenie, że twórcy filmu hołdują tendencjom wolnomysłicielskim i chcieliby dać moralną aprobatę postępowaniu Hendriki i Rembrandta.

Główny nacisk położono na wydobycie spontaniczności, samorodności talentu Rembrandta, na związanie charakteru dzieł z temperamentem ich twórcy, wreszcie na niezależność duchową artysty, na jego suwerenność w dziedzinie sztuki, odważnie bro-

nioną przed kompromisem połączonym z korzyściami materialnymi.

Wielkim atutem filmu jest piękna fotografia, artystyczna kompozycja zdjęć, sceny zbiorowe, wyglądające jak ożywione obrazy mistrza. Ponad zaś walory techniczne i reżyserskie wyrasta wspaniała gra Laughtona. Niepoślednią jest również kreacja Elsy Lancaster w roli Hendriki, przeprowadzonej bardzo delikatnie przez drastyczne sytuacje.

Warto jeszcze kilka słów poświęcić losom filmu o Rembrandcie na rynku polskim. Po opracowaniu polskiego tekstu, ocenzeniu i zatytułowaniu *Dama z portretu* obraz błąkał się blisko dwa lata po kinach prowincjonalnych — dla Warszawy zaś należał do kategorii „filmów niewidzialnych”, o których pisaliśmy w poprzednim *Przeglądzie*. Pomógł mu dopiero przypadek. Wskutek zawieszenia wyświetlania filmów niemieckich kino „Studio”, będące własnością Tobisu, znalazło się nagle bez programu. Ponieważ Zw. Dzienn. i Publ. Filmowych domagał się w akcji prasowej swych członków wyświetlania *Damy z portretu* w Warszawie, „Studio” film wynajęło. Nie spodziewano się powodzenia, tymczasem obraz utrzymał się na ekranie przez 20 dni przy dużej frekwencji publiczności. Widać stąd, że jednak można by prowadzić w stolicy przynajmniej jedno kino o artystycznym repertuarze.

Drugim filmem, który w maju zwrócił na siebie ogólną uwagę, jest francuski obraz dokumentarny *Francja czuwa...*, dający w sposób dotąd niewidziany przegląd imponującej siły zbrojnej naszego sojusznika. Ze względu na swą aktualność i prawdziwie interesujące zdjęcia wojskowe (linia Maginota!) film zastuguje na obejrzenie.

Produkcja francuska stale zresztą dostarcza wiele interesujących obrazów. Należy też do nich bardzo dobrze skonstruowany film dramatyczny z życia wędrownej trupy akrobatów pt. *Varietés* (tyt. polski: „Kochała ją dwóch”) z Annabellą, Janem Gabin i F. Gravey. Może on śmiało uchodzić za wzór celowej kompozycji i umiejętności ożywienia banalnego tematu rywalizacji dwóch partnerów o względy partnerki. Zastrzeżenie budzi kilka scen, zwłaszcza scena rozbierania się bohaterki filmu w wozie cyrkowym, obliczona na niedwuznaczny efekt.

Interesującą próbą filmu psychologicznego i ograniczającego się do wizualnych środków wyrazu było *Macierzyństwo* (Maternité) realizacji Jana Choux; ładny obrazek stanowią *Dni szczęścia* z Simone Simon (reż. Marc Allegret), popis zreczności montażu — film sensacyjny *Niewolnica Szanghaju* (G. W. Pabst), dyskwalifikujący się jednak ze strony etycznej. Tę samą ocenę ujemną trzeba również dać przeróbce powieści Vicki Baum *Studentka*, dziś zupełnie już przebrzmiałej w swych pesymistycznych nastrojach. Po raz drugi w krótkim odstępie czasu (*Hôtel du Nord* —

Studentka) spotykamy tu w filmie francuskim motyw samobójstwa kochanków — jest to symptomatyczne i wymaga omówienia w przyszłości charakteru moralnego produkcji francuskiej.

Przegląd repertuaru byłby niezupełny, gdyby nie wspomnieć o dwóch nowych sukcesach kin warszawskich: *Ukochanym* (Irene Dunne, Charles Boyer) i *Pannie Ewie* (Claudette Colbert). Są to obrazy bez pretensji do wartości artystycznych, dobrze zato wykonane, wykorzystujące upodobanie publiczności do filmów sentymentalnych, a zawdzięczające swój rozgłos udziałowi popularnych artystów. Pewien odskok od przeciętnych programów stanowi efektownie zrealizowana w kolorach operetka filmowa *Mikado*, o odpowiednio operetkowej bzdurnej treści, przyjemną „rewię na lodzie” daje Sonja Henje w *Królowej lodu*, film *Korsarze północy* (program kina „Roma”) jest obrazem z Dzikiego Zachodu wykonanym w kolorach naturalnych. Pojawienie się go stanowi sygnał „letnich programów”, w których zwykle przeważają filmy cowboyskie. Dla młodzieży — emocjonujący wieczór w kinie!

O bzdurze takiej, jak *Syn Frankensteina*, nie umiejącej nawet zdobyć się na makabryczność i fantastyczność nie ma co pisać. Nie wymagają również omówienia tak słabe filmy, jak *Burza nad Bengali*, *Booloo*, *Serca uliczników*, *Ostatnie ostrzeżenie*, *Zbudź się i żyj*, *Przygoda we dwoje*, które szablon treści i wykonania z góry wyłącza z zainteresowań inteligentniejszego widza kinowego.

Zdzisław Bronceł.

Mieszaniny naukowo-literackie.

W czasie, gdy się będzie drukować niniejszą serię „Mieszanin”, ja już będę przygotowywał się do odjazdu ku Europie. Wobec tego może wypada, bym na pożegnanie zostawił Ameryce tę drobną pamiątkę mojego w niej pobytu, a mianowicie: omówienie kilku książek z nią związanych.

Zanim wypadki ostatnich miesięcy zwróciły uwagę Amerykanów na Europę, zmuszając ich do studiowania (oby dokładnego!) skomplikowanych spraw narodowościowych i historyczno-geograficznych w „Starym kraju”, ulubionym tematem dyskusji na terenie tutejszym była rola „grup narodowościowych” (o „mniejszościach” w Ameryce się nie mówi) w ogólnym życiu społecznym i kulturalnym ludności Stanów Zjednoczonych.

Do niedawna brała w tych kwestiach górę zasada, którą w pewnym państwie europejskim nazwanoby *Gleichschaltung*, tutaj zaś darzono mianem „unifikacji” lub „amerykanizacji”. Po

prostu: „w Ameryce nie ma miejsca na różnice narodowościowe, należy zatrzeć je całkowicie, wprowadzić wszędzie język angielski i kazać zapomnieć obywatelom amerykańskim o ich pochodzeniu z tego czy innego narodu”. Tak twierdzono i w związku z tym szerzono niechęć, jeżeli nie nienawiść do tzw. *hyphenated Americans*, tj. obywateli amerykańskich zaznaczających swe pochodzenie etniczne (*Polish-Americans, Swiss-Americans etc.*).

W łączności z tymi nastrojami istotnie zaczął się proces wynaradawiania się pewnych grup narodowościowych. Niektórzy nawet twierdzili przedwcześnie, że proces ten już się — dokonał. Do twierdzeń takich byli pochylni szczególnie ci, którzy po- bywszy parę tygodni w Ameryce, już na podstawie dorywczych i luźnych obserwacji tworzyli sobie apodyktyczne sądy o wszelkich zjawiskach tego olbrzymiego kraju. Tak więc, im mniej który z takich wojażerów stykał się z Polonią amerykańską, z tym większą pewnością siebie wygłaszał sądy o „całkowitym” jakoby zamerykanizowaniu żywiołu polskiego w Stanach Zjednoczonych.

Tendencja do zupełnej niwelacji elementów etnicznych, do zupełnego ich „stopienia w tygłu amerykańskim” dziś już zbankrutowała w Stanach Zjednoczonych. Hołdują jej co najwyżej ludzie o bardzo prymitywnym na świat spojrzeniu, albo tak już zastarzali, że już się niczego nowego nauczyć — zwłaszcza w zakresie historii nie mogą; a trzeba nadmienić, że historia była i jest dziś jeszcze w Ameryce gałęzią wiedzy lekceważoną i stosunkowo słabo rozwiniętą, więc o rolę *magistrae vitae* kusić się tu jeszcze nie może. Tak czy owak, owo zacieranie indywidualnych cech plemiennych było jednym z głównych czynników, które zrodziły ową przeraźliwą banalność i jałowość powojennego życia i kultury amerykańskiej, tak schłostaną w powieści *Babbitt* przez największego z żyjących pisarzy tego społeczeństwa, Sinclaira Lewisa.

Od szeregu lat rozpoczęła się dość silna reakcja przeciw owej uniformizacji. Poczęto cenić znaczenie różnorodności pierwiastków etnicznych w życiu i ogólnej kulturze Stanów Zjednoczonych, uważać ją za poważny zastrzyk odżywczy; co więcej, pojawiły się twierdzenia, na pozór paradoksalne, że cała przyszłość kultury amerykańskiej i możliwość jej rozwoju zależy od zapoznania się z życiem, obyczajem i cechami psychologicznymi owych „mniejszych społeczności” amerykańskich i wciągnięcia ich do czynnego, a pełnego inicjatywy udziału w życiu Stanów Zjednoczonych.

Szczegółowo nad kwestią tą rozwodzić się nie będę; można by o niej napisać całą książkę. I nie tylko można, bo nawet na ten temat już pisano. Nie zmieściłbym w artykule niniejszym samej nawet „bibliografii przedmiotu”, więc ograniczę się do rzeczy, które zainteresować mogą najwięcej nas, Polaków. Oto podnieta

twórcza w danym kierunku wychodzi w znacznej mierze od ludzi pochodzenia słowiańskiego, a więc plemienia do niedawna uważanego za „niższe”. Dla przykładu wspomnę interesujące, choć nie pozbawione szczegółów nie dość zgłębionych, prace Czecha, dra Slabey-Roucčka, przede wszystkim zaś głośne dziś i nabrzmiałe intrygującym materiałem książki młodego Słoweńca, Ludwika Adamicza (*My America* i inne), którym kiedyś godzi się poświęcić specjalne omówienie.

Dziś chcę tylko zająć się, choćby po krótko, publikacjami dotyczącymi wychodźstwa polskiego w Ameryce, czyli tzw. Polonii amerykańskiej.

Im więcej jawi się z rokiem każdym płytkich, wojażerskich, na kolanie pisanych „informacji” w tej kwestii, tym bardziej trzeba cenić rzadkie prace prawdziwych znawców i badaczy życia Polonii. Spośród wszystkich, jacy w ciągu dwóch lat ostatnich pisali o tych czy innych sprawach wychodźstwa polsko-amerykańskiego, dwom tylko ludziom ośmieliłbym się nadać miano poważnych znawców przedmiotu: jednym z nich jest najznakomitszy anglista polski, prof. Roman Dyboski, drugim najwytrwalszy historyk polskiej emigracji w Ameryce, kustosz Muzeum Polskiego w Chicago, Mieczysław Haiman.

Prof. Dyboski ogłosił kilka lat temu książkę pt. *Stany Zjednoczone Ameryki Północnej*, z którą musi zapoznać się każdy, ktokolwiek chce zabierać głos o Ameryce; jest to bowiem produkt długoletniego (od 1919 roku) spółzycia ze społeczeństwem amerykańskim, pogłębionego całorocznym pobytem w Stanach Zjednoczonych, przedstawianiem z całą elitą intelektualną tego kraju, a także z jego różnymi sferami społecznymi i grupami narodowościowymi, wreszcie rozległą i doborową lekturą prowadzoną w ciągu lat kilkunastu. Obecnie ogłosił mniejszą broszurkę będącą poniekąd ekstraktem owej książki, a poniekąd jej uzupełnieniem: *Cywilizacja amerykańska a cywilizacja europejska* (Warszawa, Kultura i wychowanie). Szczególnie warto zwrócić uwagę na rozdział poświęcony roli młodej generacji polsko-amerykańskiej. Pisze tak o niej ten jeden z najbliższych, pod każdym względem, jej obserwatorów: „począł się powiększać odsetek tych młodych Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy z zainteresowaniem i umiłowaniem zagłębiają się w studia nad językiem polskim — oraz nieznaną im wiekową historią Polski i jej współczesnym życiem duchowym... Młodzi wyjeżdżają na uniwersyteckie kursy wakacyjne, a nieraz na dłuższe studia w uniwersytetach polskich, zaznajamiają się z historyczną kulturą i współczesnym życiem narodu polskiego, poznają dawną i dzisiejszą sztukę i literaturę polską i z zapałem propagują ich znajomość wśród społeczeństwa amerykańskiego przez pośrednictwo stworzonych w tym celu zrzeszeń kulturalnych”.

Fundacja Kościuszkowska w Nowym Jorku jest jednym z głównych ogniw kulturalnego spóżyłcia Polonii Amerykańskiej z Macierzą.¹⁾ Drugim takim ogniwem jest Muzeum Polskie w Chicago, istniejące czwarty rok dopiero, a przecie mogące rywalizować z wieloma znacznie dawniejszymi. Dwie te instytucje mogłyby się stać główną podwaliną przyszłego wielkiego Instytutu Polsko-Amerykańskiego, który by zespalał pracę uczonych, zatrudnionych badaniem historii wychodźstwa i pośredniczył między nauką polską i amerykańską. Dziś trud badań nad historią wychodźstwa dźwiga na swych barkach niemal wyłącznie p. Haiman, który rok po roku ogłasza to jedną to dwie rozprawy historyczne, zdumiewające i sumiennością i rozległością, a przede wszystkim wynikami, czasem wręcz nieoczekiwanymi. Któż na przykład w Polsce dawniej wiedział, że Polacy już w XVII wieku spełnili ciekawą rolę w dziejach kolonizacji amerykańskiej. Mówi o nich bardzo ciekawa książka p. Haimana: *Polish Pioneers of Virginia and Kentucky* (Chicago, Zjednoczenie Rz. - Katolickie). Zwłaszcza ciekawe są losy protestanckiej rodziny Sadowskich, którzy już z początkiem XVIII wieku handlowali z Indianami; choć później nazwisko ich uległo przekręceniu na „Sandusky” (jest kilka miast amerykańskich noszących to nazwisko), jednakże tradycja ich polskiego pochodzenia przechowała się po dziś dzień w rodzinie.

Z tych czasów, kiedy jawili się pierwsi polscy „pionierzy” na ziemi amerykańskiej, osiedlali się w Ameryce również „Bracia morawscy” czy „Bracia czescy”, w znacznej mierze wychodźcy z Polski; odegrali oni dość ważną rolę zwłaszcza w historii Pensylwanii. Ciekawe, że wśród tych wychodźców jawi się w XVIII wieku nazwisko polskie Zygmunta Leszczyńskiego, nie wiadomo czy krewniaka króla Stanisława, ale za to „wyśmienitego” browarnika w Betleem (pensylwańskim) i przełożonego religijnego zboru (niemal komunistycznego), w którym, należy dodać, wyhaftowano w czasie rewolucji amerykańskiej sztandar dla Pułaskiego... Kombinacja zawodów iście amerykańska...

Opowiedział to Haiman w drugiej swej książce: *Ślady polskie w Ameryce* (Chicago, Zjednoczenie). Zawiera ona szereg drobnych szkiców, wśród których są rejestry Polaków przybyłych do Ameryki w r. 1812 i 1834, są wiadomości o różnych Polakach — bojownikach za sprawę amerykańską, ale większą część publikacji zapełniają szczegóły dotyczące kulturalnych poczynąń Polaków na ziemi amerykańskiej. Jakże przyjemnie czyta się na przykład opowiadanie o „Początkach imigracji polskiej w Kalifornii”. Zaczyna się ono od wiadomości historycznych

¹⁾ Niedawno bawił z jej ramienia w Ameryce prof. Oskar Halecki, który tu odegrał niezmiernie pożyteczną rolę przez swoje odczyty o historii i kulturze polskiej.

o jakimś tajemniczym „szlachcicu polskim hr. de Roussillon“, który miał być adiutantem Kościuszki, a następnie doświadczył dziwnych przygód na morzu; kończy się zaś zebranymi szczegółami o dobrze każdemu Polakowi znanych postaciach: Sienkiewicza, Modrzejewskiej, Paderewskiego. Z innego szkicu dowiadujemy się, że polska książka drukowana w Ameryce, już sto lat sobie liczy; inny szkic mówi o Pawle Sobolewskim, tłumaczu dzieł literatury polskiej na język angielski; jeszcze inny omawia wiersze angielskie poświęcone Polsce, tłumaczone i oryginalne; zwracają wśród nich uwagę zwłaszcza poezje Jamesa Gatesa Percivala, wybitnego uczonego i poety amerykańskiego, współczesnego Mickiewiczowi (monografię o tym ciekawym pisarzu zapowiada prof. A. Coleman z Uniwersytetu Columbia w New Yorku).

Szkic o historii Polaków chicagowskich, pióra p. Haimana, otwiera publikację zbiorową pt.: *Poles in Chicago (Chicago, Polish Pageant)*. Inne szkice w tej książce mówią o udziale Polaków chicagowskich w życiu politycznym amerykańskim, następnie zaś o ich dorobku w zakresie sztuk plastycznych (Pałczyńska), muzyki (Głomski), teatru. Osobny rozdział poświęcono polskim parafiom, o tak charakterystycznych nazwach: Wincentowo, Trójcowo, Stanisławowo, Młodziankowo (brak o tych nazwach wzmianki w książce prof. Doroszewskiego).

Wszystkie te publikacje stanowią wstępną pracę do większego, syntetycznego dzieła o historii Polonii. Dzieło takie pisał zmarły niedawno ks. Wacław Kruszką, ale przy wszystkich swych zasługach niezupełnie odpowiada ono naukowym wymaganiom historii. To też cieszyć się należy na rychłe ukazanie się zarysu historycznego, napisanego również przez p. Haimana, a noszącego tytuł: *Polish Past in America*. Miałem przyjemność czytać tę rzecz w rękopisie i jeżeli mógłbym co Autorowi „zarzucić“, to tylko to, że doprowadza historię osadnictwa jedynie do drugiej połowy w. XIX, tj. początku „emigracji ekonomicznej“. Ale pozwólmymy sobie rzecz załatwić ugodowo: gdy wyjdzie książka, będę ją wszędzie nazywał „tomem pierwszym“ dzieła, którego część drugą pewnie nam Autor rychło ofiaruje, gdy mu (da Bóg) zdrowie i siły jak najlepiej służyć będą.

Zapoczątkowane przez Sobolewskiego i Percivala, a następnie podjęte przez Jeremiasza Curtina zainteresowania się Amerykanów literaturą polską, mają dziś kilku kontynuatorów. Tak więc Kanadyjczyk, prof. W. Kirkconnell, obdarzył nas tomikiem pięknych przekładów liryki polskiej, prof. Artur Coleman do dawniejszego przekładu *Marii* Malczewskiego dodał zgrabny przekład *Marii Stuart* Słowackiego. Ale rekord co do ilości przekładów zdobył prof. G. R. Noyes z Kalifornii. Nie tylko co do ilości, ale i co do doboru. Więc przełożył *Treny* Kochanowskiego, *Anhellego* i *Ojca zadżumionych*, *Irydiona*, *Pana Tadeusza*, *Dziady*, *Wallenroda*, szereg sonetów Mickiewiczowskich, *Fredry Damy*

i huzary, Wyspiańskiego *Meleagra*, oraz *Protesilasa i Laodamię*. Wzruszający był w roku zeszłym obchód dwudziestolecia twórczości przekładowej tego seniora slawistyki w Ameryce, urządzony przez Polonię chicagoską.

Nie tylko na polu literatury polskiej prof. Noyes zorientowany jest wybornie. Równie wielkie znawstwo okazuje na polu literatury rosyjskiej. Dowodem tego może być doskonała jego książka angielska o Tołstoju, świeżo wydana przez Uniwersytet Berkeley w Kalifornii. Pięknym i prostym stylem, a z doskonałą znajomością przedmiotu, kreśli tu Autor rozwój twórczości tego, którego nazywa „największym z pisarzy słowiańskich”. Siegając nawet do mniej znanych jego dzieł, nawet takich, które nie wyszły w zbiorowym wydaniu (i które wskutek tego po raz pierwszy drukuje we fragmentarycznym angielskim przekładzie), wywada z szczególnej wnikliwości ewolucję Tołstojowskich poglądów religijnych, społecznych i wychowawczych, najdokładniej może uwzględniając te ostatnie. Dużo uwagi poświęca *Wojnie i pokojowi*, które to dzieło stawia na czele twórczości rosyjskiego pisarza (nb. ja bym się z tym nie zgodził, uważając raczej *Zmarłychwstanie* za punkt szczytowy); w labiryncie tego ogromnego dzieła szuka myśli przewodnich i podkreśla odrębność jego w rzędzie powieści historycznych literatury światowej.

Koło ewolucji religijnych poglądów wielkich pisarzy zawsze się będą obracały zainteresowania badaczy literatury, a ponoć zawsze coś nowego do wyświeatlenia się znajdzie. Ileż to pisano o religijności Mickiewicza, a przecież potrzebny był jeszcze jeden szkic, pióra Ignacego Chrzanowskiego, żeby dać pełny obraz owych idei, jakie jaśniały „Na szczytach polskiej liryki religijnej”. Ile jeszcze będzie do powiedzenia w tym względzie o Rostrowskim, Słowackim, Kasprowiczu! O Pascalu też pewno jeszcze z tego punktu widzenia niejedna potoczy się dyskusja. Nic też dziwnego, że zajęto się i poglądami religijnymi Szekspira. Jak niegdyś toczyła się dyskusja: Szekspir czy Bacon? tak teraz zajęto się kwestią wyznania religijnego arcydramaturga angielskiego.

Szekspir katolikiem, tak brzmi tytuł rozprawy, napisanej przez wybitnego polskiego szekspirologa, prof. Władysława Tarnawskiego (Lwów, Towarzystwo Naukowe). Autor zaznacza, iż „krytyków szekspirowskich od dawna uderzał niewątpliwy fakt, że pojęcia religijne poety są, przynajmniej w ogromnej większości wchodzących w rachubę wypadków, wyraźnie katolickie”. Że tak jest w istocie, Autor wykazuje nam na podstawie analizy wielu szczegółów w utworach Szekspira (jak np. wprowadzenie czyścica w *Hamlecie*, nade wszystko zaś momenty zakonne w *Wef za wef*), choć z drugiej strony nie przemilcza i takich szczegółów, które mogłyby świadczyć przeciwko katolicyzmowi poety (np. ujemna charakterystyka biskupów). Omawia też stosunek jego krytyczny względem królowej Elżbiety, jego sympatie dla Essexu. Pomimo,

że sądy stawia ostrożnie, jednak skłania się silnie do tej tradycji, która głosiła, iż Szekspir „umarł jako papista”; stwierdza, że pochodzenie Szekspira po mieczu i kądzieli było katolickie, etyka katolicka, światopogląd katolicki.

Niewątpliwie książka wywoła w Polsce zaciekawienie, nie tylko ze względu na kwestię katolicyzmu, ale i dzięki silnemu u nas zainteresowaniu literaturą angielską. W dziedzinie nauk humanistycznych anglistyka zajmuje u nas wciąż jedno z miejsc naczelných i z każdym rokiem nowymi może poszczycić się pło-
nami. Świeżo wydana rozprawka prof. Dyboskiego o Matthew Arnoldzie jest przykładem niesłychanej żywotności nestora polskich anglistów, który przecież poza swoją specjalnością zajęty jest sprawami innymi (np. redagowaniem *Cambridge History of Poland*). Postać M. Arnolda czytelnikom polskim stosunkowo mało znana, jest jedną z czołowych w tzw. okresie wiktoriańskim: „Jakie znaczenie miał Carlyle, jako siła odradzająca w dziedzinie filozofii moralnej i społecznej, Newman w zakresie myśli religijnej, a Ruskin dla odrodzenia poczucia piękna, także miał Arnold w zakresie kultury literackiej i intelektualnej swego pokolenia w Anglii”. Nie był on jednakże wyłącznie krytykiem; podobnie jak większość twórczych krytyków literackich uprawiał i poezję. W zakresie krytyki społecznej i politycznego myślenia nowoczesnej Anglii uderza u Arnolda zwłaszcza scharakteryzowanie tegoż myślenia jako „przewagi hebraizmu nad hellenizmem”. Przypuszczam, że sąd podobny mógłby wypowiedzieć prof. Zieliński w swych słynnych antytezach kultur świata.

Jak angiści, tak i filologowie klasycy nie zaprzestają u nas roboty i wciąż obdarzają nas nowymi, a jakże często aktualnymi, szkicami i rozprawami. Prof. Zieliński wymownie nam świadczy w swej broszurce *O wiecznej aktualności antyku*, iż „piękno problemów artystycznych jest wieczne”, a Homer nie przestarzał się po dziś dzień. Czy stąd wniosek, że mamy ciągle tkwić w zakłętym kręgu starożytności? Niezupełnie. Konkluzja autora brzmi: „antyk powinien być dla nas nie normą, ale nasieniem”, zapłodnieniem naszej myśli, która jednakże powinna się rozwijać samodzielnie, żyć własnym życiem.

O tej wiecznej aktualności antycznej myśli i antycznego piękna pamiętano w Polsce często w czasach ostatnich. Nie tylko dlatego, że rocznica cesarza Augusta pobudziła wielu naszych myślicieli do rozważań (w czym Zielińskiego francuska rzecz o Horacym jeszcze raz zasługuje na uznanie); jak ta rocznica odbiła się u nas, widać z niedawnego zarysu na ten temat, napisanego przez prof. Przychockiego. Ale i w inne sfery życia antycznego biegnie też teraz myśl Polaka, miłującego piękno czy myśl szlachetną. Aż dwa tomy Platona wydano w tym roku: jeden z nich, dialog *Fileb* w mistrzowskim przekładzie Witwickiego,

drugi zaś — znów listownik! — *Listy* wielkiego filozofa greckiego w przekładzie Maykowskiej.

Jeżeli oba tomy opatrzone są cennymi komentarzami (u Witwickiego tworzą one misterne glosy, w których tłumacz przyjmuje na siebie rolę widza dialogu i gawędzi o nim z publicznością, raz chwalać, raz krytykując), to już całą rozprawę obszerną i uczoną dał prof. Hammer, wydając (Warszawa, Bibl. prozaików greckich i łacińskich) swój sumienny przekład dzieł Korneliusza Tacyta. Przekład powstał jako dzieło samodzielne, mimo, że tłumacz tu i ówdzie skorzystał z prac poprzedników (Naruszewicza i Okeckiego). Uwzględnił też szeroko wpływ Tacyta na literaturę polską; szkoda tylko że przeoczył jedną rzecz ważną: znaną przetoż mi niedawno powieść Sienkiewicza o cesarzu Ottonie.

Lektura Tacyta wydaje się dziś dziwnie aktualna, w tych czasach posępnych i groźnych, gdy tak się gmatwa polityka władców, wodzów i mężów stanu... i gdy niepokój w świecie budzą, jak przed wiekami, niespokojne Italia i Germania...

Józef Birkenmajer.

NACZELNY REDAKTOR: KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.

Druk ukończone dnia 5 maja 1939 r.

Spis rzeczy tomu 222.

Artykuły:

	Str.
Prof. dr Ludwik Chmaj: Pius XI, wychowawca ludzkości	3
Ks. B. Waczyński T. J.: Sobór florencki w dziejach teologii katolickiej	20
Mgr Henryk Zasada: Problem religii u A. Świętochowskiego	40
Dr Andrzej Niesiołowski: Założenia poznawcze katolickiej ideologii wychowawczej	50
M. Bruckus: Narodowy Socjalizm i los narodów nie-niemieckiej krwi	68
Ks. St. Podoleński T. J.: Praktyki szpitalne młodzieży żeńskiej szkół średnich	78
Ks. Fryd. Muckermann T. J.: Umowa kulturalna z antychrystem	153
Ks. St. Bednarski T. J.: Rzym a Wittenberga, w XVI w. a dziś	158
Roman Piotrowicz: Europa w poszukiwaniu nowych podstaw równowagi	171
Dr Andrzej Niesiołowski: Założenia aksjologiczne katolickiej ideologii wychowawczej	189
Ks. J. Warszawski T. J.: Św. Andrzej Boboła	211
Dr F. Bitnicki: Belgia po wyborach	229
Ks. Emil Szramek: Zagadnienie plastycznej sztuki religijnej	246
Stan. Szczutowski: Papieństwo a przełomy dziejowe	313
J. Skaliński: Związek Sowietów wobec kryzysu niemiecko-polskiego	327
Ks. Michał Niechaj: Cerkiew prawosławna na Chełmszczyźnie	337
Roman Piotrowicz: Kolonialne problemy	349
Ks. St. Podoleński T. J.: Szkoła a zdrowie młodego pokolenia	363

	Str.
Prof. Witold Chomicz: Współczesne zagadnienia religijnej sztuki plastycznej	375

Przegląd piśmiennictwa.

Wanda Miłaszewska: Bogactwo. — Tadeusz Kudliński: Uroki. — Jarosław Iwaszkiewicz: Dwa opowiadania. — Izabella Lutosławska: Państwo Bobrowscy. — F. A. Ossendowski: Biesy. — Henryk Zbierzchowski: Kariera pana Franciszka (Mgr Hanna Wierzbicka)	90
Hermann Rauschnig: Die Revolution des Nihilismus (Ks. J. Rostworowski T. J.)	96
Józef Kisielewski: Ziemia gromadzi prochy (Wacław Małewski)	98
Dzieła Tacyta (Dr Stan. Seliga)	101
Ks. dr Eugeniusz Dąbrowski: Ewangelie, ich powstanie i rodzaj literacki (Ks. Br. Wójcik T. J.)	254
Prof. dr W. Rubczyński: Problem ukształtowania charakteru (W. Małewski)	255
Will Durant: Życie i twórczość wielkich filozofów (Ks. A. Kisiel T. J.)	257
Walentyna Horoszkiewiczówna: Etyka Towiańskiego, jej źródła i promieniowanie (Ks. Stefan Weidel T. J.)	258
B. I. Święcicki: Unia krajów chrześcijańskich (Ks. Br. Wójcik T. J.)	259
Prof. Zoltan Magyary: Organizacja władz (Ks. W. Zajączkowski T. J.)	260
Zygmunt Szwejkowski: Dramat Dygasińskiego (Ks. J. Mikuła T. J.)	262
Dr Jan Sztaudynger: Marionetki (Ks. Br. Wójcik T. J.)	262
Maria Czapska: Ludwika Śniadecka (Ks. J. Mikuła T. J.)	263
Zofia Zaleska: Czasopisma kobiece w Polsce (Dr M. Śliwińska-Zarzecka)	264
Stan. Łoś: Hellada na przełomie (Ks. A. Kisiel T. J.)	266
M. B. Irena Puzynianka (Ks. J. Mikuła T. J.)	267
Sally Salminen: Katrina. — Zofia Kossak: Warna. — Kazimierz Wierzyński: W garderobie duchów. — Tadeusz Żeleński: Murzyn zrobił.. — Jerzy Schwarzenberg - Czerny: Bemaki. — Reginald Campbell: Poo Lorn, król słoni (Mgr Hanna Wierzbicka)	384
Ks. dr Ildefons Bobicz: Jezus Chrystus Syn Boży (Ks. B. Waczyński T. J.)	389
Wiktor Sukiennicki: Ewolucja ustroju Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich w świetle oficjalnych publikacji władzy radzieckiej (Dr Andrzej Mycielski)	390
Biblioteka Kultury Polskiej i Obcej (Dr Marian Tyrowicz)	391

	Str.
K. Małczyński, T. Mańkowski, F. Pohorecki i M. Tyrowicz: Lwów i Ziemia Czerwieńska. — Jan Rogowski: W obronie Lwowa (Ks. K. Drzymała T. J.)	393
Wielka Biblioteka Historyczna (Dr Marian Tyrowicz) . .	394
J. Feldman: Bismarck a Polska (Ks. K. Drzymała T. J.) . .	395
Ks. dr Michał Klepacz: Karol Hubert Rostworowski (Ks. J. No- wak T. J.)	397
Notatki bibliograficzne	397

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Kwiecień: Katolicyzm w Finlandii (Dr Stanisław Brze- ziński)	104
Maj: Wezwanie Ojca chrześcijaństwa. — W odmětach moral- nego nihilizmu. — Orędzie Polskiego Episkopatu (Ks. Edward Kosibowicz T. J.)	270
Czerwiec: Z kim pójdzie Watykan? — O wolność Następcy Piotra. — Polonia semper fidelis (Ks. Edward Kosibowicz T. J.)	403

Sprawy Państwa:

Kwiecień: Niesamowity triumf pacyfizmu. — Pokojowy rozbiór dobrze uzbrojonego państwa. — Ofensywa złotych kul. — Przewaga Niemiec i reakcja Włoch. — Widmo wielkiej koalicji (A. Prawdzic)	119
Maj: Polityka wojenna. — Niebezpieczeństwo polsko-niemiec- kie. — Przymierze polsko-angielskie. — Niebezpieczeństwo śród- ziemnomorskie. — Roosevelt, wojna i pokój (A. Prawdzic) . . .	277
Czerwiec: Hitler i Beck. — Patiomkin i Papen. — Przy- mierze tureckie. — Przymierze sowieckie. — Sojusz berliński (A. Prawdzic)	409
Ze świata filmu (Zdzisław Broncel)	131, 289, 420
Mieszaniiny naukowo-literackie (J. Birkenmajer)	143, 304, 430
Zjazd Ewangelików w Warszawie (A. Opęchowski)	150